

**Victor Hugo**

# **Nędznicy**

**(Przełożyła Krystyna Byczewska)**

**Część trzecia**

**Mariusz**

## **Księga pierwsza**

# **Paryż oglądany w swoim atomie**

# I

## Parvulus

Paryż ma swoje dziecko, a las ma swojego ptaka; ptak nazywa się wróblem; dziecko nazywa się ulicznikiem. Połączcie te dwa pojęcia, z których jedno mieści w sobie całe zarzewie, a drugie całą jutrzenkę; zetknijcie te iskry: Paryż i dzieciństwo, a powstanie z nich mała istotka, *Homuncio* - powiedziałyby Plaut. Ta mała istotka jest wesoła. Nie co dzień jada, ale co wieczór - jeśli ma ochotę - chodzi do teatru. Nie ma koszuli na grzbiecie, nie ma butów na nogach, nie ma dachu nad głową; jest jak muszki, które obywają się bez tego wszystkiego. Liczy sobie siedem do trzynastu lat, żyje gromadnie, zbija bruki, mieszka pod gołym niebem, nosi stare spodnie po swoim ojcu, które mu opadają poniżej pięt, po jakimś innym ojcu stary kapelusz, który mu opada poniżej uszu, i jedną szelkę z żółtej krajki; biega, czatuje, węszy, zbija bąki, pociąga z fajeczki, klnie jak potępieniec, włóczy się po szynkach, zna się ze złodziejami, jest na ty z ulicznymi dziewczynami, mówi żargonem, śpiewa sprośne piosenki i nie ma w sercu ani odrobiny zła. Nosi bowiem w duszy perłę - niewinność, a perły nie rozpuszczają się w błocie. Dopóki człowiek jest dzieckiem, Bóg chce, żeby był niewinny.

Gdyby zapytać olbrzymie miasto "Co to takiego?" - odpowiedziałyby: - "To mój mały".

## II

### **Kilka znaków szczególnych**

Ulicznik paryski - to karzełek, syn olbrzymki.

Nie przesadzajmy: ten cherubin rynsztoków ma czasami koszulę, ale tylko jedną; ma czasami buty, ale bez podeszw; ma czasami dach nad głową i kocha go, bo tam jest matka, ale woli ulicę, bo tam jest swoboda. Ma własne zabawy, własne żarty, których podłożem jest nienawiść do mieszcuchów, własne przenośnie: “Umrzeć” - to w jego języku: “Gryźć sałatę od korzonka”. Ma też swoje fuchy: a więc sprowadza dorożki, opuszcza stopnie pojazdu, po ulewie ustanawia “mostowe” z jednej strony ulicy na drugą, co nazywa “stawianiem grobli”, obwieszcza mowy wygłaszane przez czynniki oficjalne w obronie ludu francuskiego, szlifuje bruk; ma własną monetę składającą się ze wszelkiego rodzaju kawałków miedzi, które można znaleźć na publicznych drogach. Ciekawa ta moneta, nosząca nazwę “ciupa”, ma swój stały, dokładnie określony kurs wśród tej małej dziecięcej cyganerii. Ulicznik paryski ma wreszcie swoją faunę, którą pilnie bada po różnych zakamarkach: a więc bożą krówkę, mszycę “trupią główkę”, pająka-kosiarza i “diabła”, czarnego owada, który wije się, grożąc zbrojnym we dwa kolce ogonem. Ma także legendarnego potwora z łuską pod brzuchem, choć nie jest jaszczurką, i brodawkami na grzbiecie, choć nie jest ropuchą, który mieszka w starych dołach po wapnie lub w wyschniętych ściekach. Ten czarny, włochaty, lepki potwór raz pełza wolno, raz znów bardzo szybko, nie wydaje głosu, tylko patrzy i jest tak przerażający, że nikt go nigdy nie widział: potwora tego nazywa “głuchym gadem”. Szukanie “głuchego gada” między kamieniami jest przyjemnością wzbudzającą dreszcz grozy. Inna przyjemność to unieść z nagła kostkę bruku i przyglądać się stonogom. Każda dzielnica Paryża słynie z różnych ciekawych odkryć, których można tam dokonać: w tartakach przy ulicy Urszulanek są szczypawki, w Panteonie – stonogi, a w rowach na Polu Marsowym - kijanki.

To dziecko miewa powiedzonka godne Talleyranda. I nie jest mniej cyniczne, ale jest uczciwsze. Ma dar jakiejś nieoczekiwanej wesołości; wybuchami szalonego śmiechu wprawia w osłupienie kramarzy. Skala tego śmiechu rozciąga się bez żenady od subtelnej komedii do farsy.

Przechodzi kondukt pogrzebowy. Wśród odprowadzających zmarłego idzie lekarz. “Ejże! - woła ulicznik. - A odkąd to lekarze odnoszą na miejsce swoją robotę?”

Inny ulicznik znajduje się w środku ciżby. Jakiś poważny jegomość, ustrojony w okulary i breloki, obraca się z oburzeniem: “Nicponiu! Skradłeś mojej żonie całusa!” - “Ja? Niech mnie pan zrewiduje!”

### III

#### Jest miły

Wieczorem, za parę groszy, które zawsze potrafi w jakiś sposób zdobyć, *homuncio* idzie do teatru. Gdy przekracza ten czarodziejski próg, odmienia się: był andrusem, staje się urwisem. Teatry przypominają okręt odwrócony dnem do góry. Urwis tłoczy się na tym właśnie dnie okrętu. Urwis ma się tak do andrusa jak motyl do poczwarki; ta sama istota lotna i unosząca się w powietrzu. Wystarczy, żeby tam się znalazł, promieniejący szczęściem, z całą mocą swego entuzjazmu i radości, klaszczący w dłonie niby ptak, który trzepocze skrzydłami, aby to dno okrętu ciasne, smrodliwe, ciemne, nędzne, cuchnące, ohydne i szpetne otrzymało wdzięczną nazwę “jaskółki”. Obdarzcie jakąś istotę wszystkim tym, co zbędne, i odbierzcie jej to, co konieczne - a będziecie mieć ulicznika.

Ulicznik ma pewne odczucie literatury. Jego gusty, mówimy o tym z należąca dozą ubolewania, bynajmniej nie są klasyczne. Z samej natury jest mało akademicki. Tak więc - dla przykładu - popularność panny Mars w tym burzliwym świecie dziecięcym była zaprawiona szczyptą ironii. Ulicznik zwał ją “kławą pannicą”.

To stworzenie wrzeszczy, drwi, wyśmiewa się, użera, ma gałganki jak dziecko, a łachmany jak filozof, łowi w ściekach, poluje w kloakach, z nieczystości wydobywa wesołość, smaga swą werwą ulicę, szydzi i kąsa, gwizdże i śpiewa, oklaskuje i beszta, łagodzi *Alleluja* przez *Tralalala*, wyśpiewuje na wszystkie tony zaczynając od *De profundis*, a kończąc na karnawałowych śpiewkach; znajduje to, czego nie szukał, wie to, o czym nie ma pojęcia; spartańskość jego graniczy z oszustwem, szaleństwo z mądrością, liryzm z plugastwem; przykucnąłby na Olimpie, tarza się w gnojówce i wychodzi z niej obsypany gwiazdami.

Ulicznik paryski - to mały Rabelais.

Nie jest zadowolony ze swoich portek, jeżeli w nich nie ma kieszonki na zegarek.

Niewiele rzeczy go dziwi, jeszcze mniej przeraża. Szydzi z przesądów, ośmiesza wszelką przesadę, kpi z tajemnic, pokazuje język upiorom, odpoetyzowuje koturny, a do epicznych hiperboli wprowadza karykaturę. Nie dlatego, że jest prozaiczny, nic podobnego -

po prostu zastępuje uroczyste wizje krotchwilną fantasmagorią. Gdyby Adamastor\* zjawił się przed nim, ulicznik zawołałby: “Patrzajcie! Strach na wróble!”

---

\* Adamastor - postać z poematu “Luziady” portugalskiego poety Camöensa (1525-1580); olbrzym, który chciał przeszkodzić Vasco da Gama w okrążeniu Przylądka Burz.



## IV

### Może być użyteczny

Paryż zaczyna się na gapiu, a kończy na uliczniku, dwóch istotach, jakich nie wydało żadne inne miasto; bierna aprobata, która zadowala się patrzeniem, i niewyczerpana przedsiębiorczość. Prudhomme i Fouilloux. Tylko Paryż ma wśród swojej fauny takie okazy. Cała monarchia mieści się w gapiu. Cała anarchia mieści się w uliczniku.

To blade dziecko przedmieścia Paryża żyje i rozwija się, kształtuje i zniekształca w cierpieniu, w obliczu rzeczywistości społecznej i spraw ludzkich, jako myślący świadek. Wydaje mu się, że jest beztroskie, ale to nieprawda. Patrzy - gotowe w każdej chwili parsknąć śmiechem; gotowe także i do innych rzeczy. Kimkolwiek jesteście wy, którym na imię Przesąd, Nadużycie, Hańba, Ucisk, Nierówność, Despotyzm, niesprawiedliwość, Fanatyzm, Tyrania - strzeżcie się tego rozbudzonego urwisa.

Ten malec urośnie.

Z jakiej gliny jest ulepiony? Z najzwyczajszej grudki błota. Garstka mułu, tchnienie - i oto Adam! Wystarczy, by przeszedł bóg; w łobuziaku jest zawsze coś z boga. Fortuna urabia to małe stworzenie. Przez słowo fortuna rozumiemy po trosze przygodę. Czy ten Pigmej ulepiony ze zwykłej gliny, ciemny, niepiśmienny, zagubiony, pospolity, gminny - stanie się Jończykiem, czy może synem Beocji\*? Poczekajcie, *currit rota*\*, duch Paryża, ten demon, który stwarza dzieci przypadku i mężów przeznaczenia - inaczej niż garncarz łatyński - potrafi dzban przemienić w amforę.

---

\* Jończyk był w starożytności synonimem inteligencji, syn Beocji - głupca.

\* Koło się toczy.

## V

### Jego granice

Łobuziak lubi miasto, lubi także samotność, ponieważ ma w sobie coś z mędrca. *Urbis amator*, jak Fuscus; *ruris amator*, jak Flaccus.

Błąkać się w zamyśleniu, czyli wałęsać się bez celu - to dobre zajęcie dla filozofa; zwłaszcza wałęsać się po tej niby to wiejskiej okolicy, dość szpetnej, ale dziwacznej i o dwojakim charakterze, ciągnącej się wokół niektórych wielkich miast, a szczególnie wokół Paryża. Obserwować przedmieścia to obserwować amfibię. Kończą się tu drzewa, zaczynają dachy, kończy się trawa, zaczyna bruk, kończą się niwy, zaczynają sklepy, kończą się utarte nawyki, zaczynają namiętności, kończy się szept boski, zaczyna zgiełk ludzki. Stąd ich niezwykła, atrakcyjna siła.

Stąd te pozornie bezcelowe włóczęgi marzyciela po miejscach mało pociągających i raz na zawsze określonych przez przechodnia mianem "smutnych".

Ten, kto kreśli te słowa, długie lata błądził po przedmieściach Paryża i jest to dla niego niewyczerpanym źródłem wspomnień. Pociągały go tam niskie murawy, kamieniste ścieżki, kredy, margle, wapień, cierpka jednostajność ugorów i odłogów, z nagła ukazujące się w oddali grzędy warzywnych ogrodów, połączenie dzikości i życia miejskiego, rozległe, pustynne zakątki, gdzie garnizonowi dobosze ćwiczą donośnie, imitując zgiełk bitwy, miejsca opustoszałe za dnia, które są spelunką zbójceją w nocy, na pół rozwalony wiatrak kręcący się na wietrze, maszyny do wydobywania kamienia, karczmy przy cmentarzach, tajemny czar wysokich, ciemnych murów, wrzynających się prostopadle w rozległe, nieogarnięte okiem przestrzenie zalane słońcem i pełne motyli.

Niewielu chyba mieszkańców ziemi zna te miejsca osobliwe, jak Glaciere, Cunette, ohydny, pocętkowany kulami mur Grenelle, jak Mont-Parnasse, Fosse-aux-Loups, Aubiers na wysokim brzegu Marny, Montsouris, Tombe-Issoire lub Pierre-Plate do Chatillon, gdzie w starym, opuszczonym kamieniołomie rosną już tylko grzyby, a pokrywa go równo z ziemią kładka z przegniłych desek. Wieś rzymska ma swoistą treść; podmiejska okolica Paryża mieści w sobie treść inną. Widzieć w tym, co ukazuje nam widnokrąg, jedynie pola, domy, czy drzewa to zatrzymać się tylko na powierzchni; wszelka postać rzeczy jest myślą Boga. Miejsce, w którym równina łączy się z miastem, jest zawsze przepojone jakimś dojmującym

smutkiem. Przemawia tam do ciebie jednocześnie natura i człowiek. Ukazują się tam wszystkie osobliwości okolicy.

Ten, kto podobnie jak my wałęsał się po tych pustkowiach przylegających do naszych przedmieści, które można by nazwać ostatnim kręgiem Paryża, zauważył tam - w miejscu najbardziej opuszczonym i w zupełnie nieoczekiwanej chwili, za nędznym żywopłotem czy w załamaniu jakiegoś ponurego muru, rozkrzychaną gromadkę dzieci, bladych, obłoconych, zakurzonych, obdartych i rozczochranych, które w wiankach z bławatków na głowie grają w "młynka"! To są mali zbiegowie z rodzin biedoty. Na bulwarach okalających Paryż zaczynają swobodnie oddychać, podmiejska okolica jest ich własnością. Tam wiecznie chodzą na wagary. Tam naiwnie wyśpiewują swój repertuar plugawych śpiewek. Tam przebywają - a raczej tam żyją, z dala od oczu ludzkich, w łagodnym świetle majowym czy czerwcowym, klęcząc wokoło jamki w ziemi, grając w jakąś "piłkę do dołka", wyklócając się o groszaki stworzenia nieodpowiedzialne, pierzchliwe, wolne, szczęśliwe; a gdy tylko dostrzegą przechodnia, przypominają sobie, że mają swój "fach", że muszą zarabiać na życie, i proponują kupno starej, wełnianej pończochy, napełnionej chrabąszczami, lub pęku bzów. Spotkania z tymi dziwnymi dziećmi stanowią jeden z urzekających i zarazem bolesnych uroków okolic Paryża.

Czasami wśród tych gromadek chłopców są też i dziewczynki, ich siostry może, niemal już dorastające, chude, rozgorączkowane, o rękach spalonych słońcem i twarzach usianych piegami, w wiankach z kłosów i maków na głowie, wesole, płochliwe, bose. Widzi się, jak zajadają w zbożu wiśnie, a wieczorem słyszeć ich śmiechy. Te gromadki, oświetlone ciepłym blaskiem południowego słońca czy też dostrzeżone o zmierzchu, długo zaprzatają myśl, a widok ich wplata się w marzenia.

Paryż - centrum, przedmieścia, obwód koła: oto cały glob ziemski tych dzieci. Nigdy nie zapuszczają się dalej. Nie mogą żyć bez atmosfery Paryża, tak jak ryba nie może żyć bez wody. Dla nich o dwie mile za rogatką nie ma już nic. Świat kończy się na Ivry, Gentilly, Arcueil, Belleville, Auberyilliers, Ménilmontant, Choisy-le-Roi, Billancourt, Meudon, Issy, Vanves, Sèvres, Puteaux, Neuilly, Gennevilliers, Colombes, Romainville, Chatou, Asnieres, Bougival, Nanterre, Enghien, Noisy-le-Sec, Nogent, Gournay, Drancy i Gonesse.

## VI

### Nieco historii

W epoce prawie nam współczesnej, w której rozgrywa się akcja tej książki, policjant nie stał - jak dzisiaj - na każdym rogu ulicy (dobrodziejstwo, które nie czas teraz roztrząsać) i w Paryżu pełno było bezdomnych dzieci. Statystyki podają średnią liczbę dwustu sześćdziesięciorga dzieci bez dachu nad głową, znajdujących corocznie przez patrole policyjne na nie ogrodzonych terenach, w obrębie budujących się domów czy też pod mostami. Jedno z tych "legowisk", głośne do dnia dzisiejszego, wydało tak zwane "jaskółki spod mostu Arcole". Jest to zresztą najzgubniejszy z objawów społecznych. Wszelka zbrodnia dojrzałego człowieka bierze początek we włóczęgostwie dziecka.

Zróbmy tu wszakże wyjątek dla Paryża. W pewnej mierze, mimo wspomnianego przed chwilą przypadku, wyjątek ten jest słuszny. Jeśli bowiem w każdym innym mieście dziecko-włóczęga jest człowiekiem straconym, jeśli wszędzie indziej prawie zawsze dziecko pozostawione samemu sobie jest jak gdyby wydane i rzucone na łup groźnego zalewu występków ogółu, który niweczy jego uczciwość i sumienie, to ulicznik paryski, podkreślamy to z naciskiem, choć na powierzchni tak prostacki i zepsuty, jest prawie nietknięty wewnętrznie. Trzeba tu stwierdzić tę niezwykłą rzecz, której jaskrawym przykładem jest wspaniała uczciwość naszych ludowych rewolucji: pewna niezmienna prawość jest wynikiem idei tkwiących w atmosferze Paryża jak sól w wodach oceanu. Kto oddycha Paryżem - ten chroni swoją duszę.

To, co tu mówimy, w niczym nie umniejsza bolesnego uczucia, jakie ściska serce za każdym razem, gdy napotykamy jedno z tych dzieci, za którym - zda się - wloką się porwane więzy rodzinne. W dzisiejszej cywilizacji, tak jeszcze niedoskonalej, te rozbite rodziny, które pochłania mrok, nie wiedzące o losach swoich dzieci i porzucające swoje trzewia na publicznych drogach, są rzeczą dość powszechną. Stąd nieszczęsne dole. Nazywa się to - ten smutny objaw bowiem zrodził porzekadło - "być rzuconym na paryski bruk".

Wtrąćmy tu mimochodem, że dawna monarchia nie tępiła bynajmniej porzucania dzieci. Coś z obyczajów Egipcjan i Cyganów wśród dołów społecznych dogadzało wyższym sferom i leżało w interesie możnych. Wstręt do nauczania dzieci ludu stanowił niewzruszony dogmat. Na cóż "połowiczna wiedza"? Takie było hasło. A wiadomo, że dziecko-włóczęga to niejako następstwo dziecka ciemnego.

Zresztą monarchia potrzebowała niekiedy dzieci do swoich celów, a wówczas szumowała ulice.

Za Ludwika XIV, aby nie sięgać do dawniejszych czasów, król, nie bez racji, chciał stworzyć flotę. Pomysł był dobry. Ale przyjrzyjmy się, jakich chwycono się środków. Flota nie istnieje, jeśli obok okrętu żaglowego, igraszki wiatrów, nie ma okrętu, który by go holował w razie potrzeby, okrętu płynącego tam, gdzie chce płynąć, poruszanego czy to za pomocą wiosła, czy też za pomocą pary; galery były wówczas w marynarce tym, czym dzisiaj są parowce. Trzeba więc było galer; lecz galera poruszana jest rękoma galerników. Colbert polecił przeto zarządom prowincji i trybunałom dostarczać jak najwięcej przestępców. Sądownictwo wykonywało to polecenie z wielką gorliwością. Ktoś nie zdjął kapelusza przed procesją - zachował się jak hugonot: wysyłano go na galery. Napotkano na ulicy dziecko: jeśli miało piętnaście lat i było bez dachu nad głową - wysyłano je na galery. Wielki monarcha, wielki wiek.

Za Ludwika XV w Paryżu ginęły dzieci: policja porywała je w niewiadomym, tajemniczym celu. Szeptano sobie ze zgrozą potworne domysły o purpurowych kąpielach króla. Barbier z całą naiwnością mówi o tych rzeczach. Zdarzało się niekiedy, że urzędnicy policji, z braku dzieci opuszczonych, chwyтали dzieci, które miały ojców. Zrozpaczeni ojcowie rzucali się na urzędników policji. Wówczas wkraczał parlament i skazywał na powieszenie. Kogo? Urzędników policji? Nie. Ojców.

## VII

### **Ulicznik znalazłby swe miejsce w hierarchii kast indyjskich**

Ulicznicy paryscy tworzą niemal kastę, Można by powiedzieć, że nie każdy, kto chce, należy do niej.

Słowo *gamin*\* zostało wydrukowane po raz pierwszy i przeszło z języka gminnego do języka literackiego w roku 1834. Ukazało się ono w dziełku pod tytułem "Klaudiusz nędzarz". Zgorszenie było wielkie. Słowo się przyjęło.

Poważanie, jakim cieszą się ulicznicy między sobą, zależy od najróżniejszych czynników. Jeden, którego znaliśmy dobrze i widywali często, był otoczony powszechnym szacunkiem i uwielbieniem dlatego, że widział jakiegoś człowieka spadającego z wieży katedry Marii Panny; inny dlatego, że udało mu się dostać na tylny dziedziniec, gdzie złożono na jakiś czas posągi zdobiące kopułę Inwalidów, i "zwędzić" z nich kawałek ołowiu; trzeci znów dlatego, że widział wywracający się dylizans; inny wreszcie, bo "znał się" z żołnierzem, który o mało co nie wybił oka jakiemuś mieszcuchowi.

Tym tłumaczy się okrzyk pewnego paryskiego ulicznika, pełen głębokiej treści, z którego zwykły śmiertelnik śmieje się nie rozumiejąc go: "Mój ty Boże! Jakiego też ja mam pecha! Pomyśleć, że nie widział jeszcze, jak ktoś leci z piątego piętra".

Zapewne, świetna jest odpowiedź chłopca, którą przytaczamy: "Wasza żona umarła po długiej chorobie, dlaczegoście nie wezwali lekarza?" - „A bo to, proszę łaski pana - my, prości ludzie, umieramy sami”. Lecz jeśli w tym powiedzeniu wyraża się całe bierne kpiarstwo chłopca, to całą wolnomyślną anarchię łobuziaka z przedmieścia wyraża doskonale inne powiedzenie. Skazaniec, jadąc na wózku na miejsce stracenia, słucha, co mówi do niego spowiednik. Urwis paryski woła: "Patrzcie! Gada ze swoim klechą! A to tchórz!"

Pewne zuchwalstwo w sprawach religijnych zwiększa mir ulicznika. Być niedowiarkiem to rzecz wielkiej wagi.

Asystowanie przy egzekucjach jest obowiązkiem. Ulicznicy pokazują sobie gilotynę i śmieją się. Dają jej różne nazwy: "Ostatni kasek", "Burczymucha", "Niebieska mama" itd., itd. Aby nie stracić nic z tego widowiska, włączają na mury, wspinają się na balkony, wdrapują na drzewa, wieszają się krat, czepiają kominów. Ulicznik rodzi się dekarzem, tak jak rodzi się

---

\* Ulicznik.

marynarzem. Dach podobnie jak i maszt nie przeraża go. Żadna uroczystość niewarta jest placu Gréve. Sanson\* i książdz Montés\* to prawdziwie popularne nazwiska. Wygwizdują skazańca, aby mu dodać odwagi. Podziwiają go niekiedy. Ulicznik Lacenaire\*, widząc jak mężnie umiera okropny Dautun, wyrzekł słowa, które były wróżebne: “Zazdrościłem mu”. Ulicznicy nie znają Woltera, ale znają Papavoine'a\*; w ich opowieściach występują “polityczni” na równi z mordercami. Lubią sobie opowiadać, jaki był ostatni strój skazańców. Wiedzą, że Tolleron miał czapkę palacza, Avril czapkę z wydry, Louvel okrągły kapelusz, że stary Delaporte był łysy i z gołą głową, że Castaing miał rumieńce i był bardzo przystojny, że Bories miał romantyczną bródkę, że Jean-Martin był w szelkach, a Lecouffé spierał się o coś ze swoją matką. “A nie kłóćciez się o koszykowe!” - krzyknął do nich jakiś ulicznik. Inny znów, który był mały i ginął w tłumie, chcąc zobaczyć przejeżdżającego Debackera wypatrzył uliczną latarnię i wdrapał się na nią. Żandarm stojący tam na posterunku zmarszczył groźnie brew. “Niech mi pan pozwoli wdrapać się tam, panie żandarmie! - powiedział ulicznik i aby rozczulić przedstawiciela władzy dodał: - Na pewno nie spadnę!” - “A dużo mnie to obchodzi, czy spadniesz, czy nie” - odparł żandarm.

Każdy niezwykły wypadek ma wśród uliczników wielkie znaczenie. Szczyt poważania osiąga ten, kto skaleczy się głęboko, “aż do kości”.

Pięść to nie najśłabszy argument dla wzbudzenia poważania.

Ulicznik bardzo lubi mówić: “Ale mam krzepę, co?” Mańkut wzbudza wielką zazdrość. Zezowaty cieszy się ogromnym szacunkiem.

---

\* Charles-Henri Sanson (1740-1793) i Henri Sanson (1767-1840), ojciec i syn, kaci; pierwszy wykonał m. in. wyrok na Ludwiku XVI, drugi - na Marii Antoninie.

\* Spowiednik odprowadzający skazańców na miejsce kaźni.

\* Pierre-François Lacenaire (1800-1836) - dziennikarz, poeta, słynny w swoim czasie złodziej, fałszerz i morderca.

\* Louis-Auguste Papavoine (1784-1825) - morderca dwojga dzieci, które, jak twierdził, wziął za dzieci królewskie.

## VIII

### W którym czytelnik zapozna się z uroczym żartem ostatniego króla

W lecie ulicznik przemienia się w żabę i wieczorem, nim noc zapadnie, w pobliżu mostu Austerlitzkiego czy mostu Jeny, z barek węglowych lub z tratw, na których piorą praczki, skacze do Sekwany, naruszając na wszelkie możliwe sposoby przepisy obyczajności i zarządzenia policji. Ale stróże porządku czuwają - i stąd nieraz wynika ogromnie dramatyczna sytuacja, która spowodowała kiedyś pamiętny, braterski okrzyk; okrzyk ten, sławny koło 1830 roku, jest strategicznym ostrzeżeniem ulicznika przez ulicznika; skanduje się on jak wiersz Homera, w kadencji nieuchwytniej jak kadencja eleuzyjskiej melopei podczas Panatenajskich uroczystości i brzmią w nim echa antycznego *Evoe!* A oto on: „Hej, hej! Andrus! Hej! Idą ziandary! Łachy w garść! Wiej przez kanał! Wiecej!”

Czasami ten komar - tak sam siebie nazywa - umie czytać; czasem umie pisać, a zawsze umie gryzmolić. Ulicznicy przekazują sobie, mocą jakiegoś tajemniczego wzajemnego nauczania, wszystkie talenty, które mogą być przydatne w publicznej sprawie: między rokiem 1815 a 1830 naśladują głos indyka, a od roku 1830 do 1848 rysują na murach gruszki\*. Pewnego letniego wieczora Ludwik Filip, wracając pieszo z przechadzki, zobaczył jakiegoś malca ledwo odrosłego od ziemi, który, wspinając się na palce, mozolnie rysował węglem olbrzymią gruszkę na jednym ze słupów łączących kraty Neuilly. Król z właściwą sobie, odziedziczoną po Henryku IV, jowialnością dopomógł chłopcu skończyć gruszkę i dał mu ludwika ze słowami: “Spójrz, i na nim też jest gruszka”. Ulicznik lubi harmider. Podoba mu się stan specyficznego podniecenia. Nie cierpi “proboszczów”. Pewnego dnia jakiś mały hultaj grał na nosie przed bramą numer 69 przy ulicy Uniwersyteckiej. “Dlaczego tak się wykrzywiasz przed tą bramą?” - zapytał go przechodzień. - “A bo tam mieszka proboszcz!” Istotnie mieszkał tam nuncjusz papieski. Niemniej, bez względu na swój wolterianizm, jeśli nadarzy się sposobność zostania ministrantem, ulicznik nieraz z niej korzysta i w tym wypadku służy do mszy bardzo poprawnie. Dwie są rzeczy, których - jak Tantal - wiecznie pożąda i nigdy osiągnąć nie może: obalenia rządu i załatania swoich portek.

---

\* Ludwik XVIII z powodu skłonności do obżarstwa nazywany był indykiem, a Ludwik Filip -*poire*, co oznacza i gruszkę, i ciamajdę.



Ulicznik doskonały zna wszystkich policjantów w Paryżu i gdy którego z nich spotka, potrafi zawsze skojarzyć nazwisko z osobą. Umie wyliczyć ich na palcach. Studiuje ich obyczaje, o każdym z nich wie coś szczególnego. Czyta w duszach policji jak w otwartej księdze. Bez zająknięcia powie ci od razu, “ten jest fałszywy”, “a ten jest bardzo zły”, “tamten jest wielki”, “a tamten znów - zabawny” (w ustach ulicznika wszystkie te słowa: fałszywy, zły, wielki, zabawny - mają swoiste znaczenie). “Ten wyobraża sobie, że most Nowy należy do niego, i zabrania «ludziom» spacerować po zewnętrznym gzymsie parapetu”, “a tamten ma manię ciągnięcia «człowieka» za uszy” itd., itd.

## IX

### Stary duch galijski

Coś z tego dziecka miał w sobie Poquelin\*, syn Hal paryskich; coś z niego miał i Beaumarchais. Urwisostwo to jeden z odcieni galijskiego ducha: w połączeniu ze zdrowym rozsądkiem przysparza mu czasem mocy, jak alkohol dodany do wina. Czasem mu szkodzi. Homer głądzi - zgoda! Można by rzec, że Wolter się łobuzuje. Kamil Desmoulin pochodził z przedmieścia Paryża, Championnet, który tak grubiańsko poczynał sobie z cudami\*, wyrósł na paryskim bruku; jako mały chłopak "podlewał portyki" Św. Jana z Beauvais i Św. Szczepana i dostatecznie spoufalił się z relikwiarzem św. Genowefy, aby później wydawać rozkazy ampułce z krwią św. Januarego. Paryski ulicznik jest pełen szacunku, kpiarstwa i bezczelności. Ma brzydkie zęby, bo się źle odżywia i cierpi na żołądek, ma piękne oczy, bo jest inteligentny. W obecności samego Jehowy skakałby na jednej nodze po stopniach wiodących do raj. Celuje w walce na kopniaki. Wszystkie formy wzrostu są mu dostępne; bawi się w rynsztoku i wprost od zabawy idzie na barykady; jego zuchwalstwo ostoja się nawet wobec gradu kartaczy; był łobuziakiem, jest bohaterem. Jak mały Tebańczyk potrząsa skórą lwa; dobosz Bara\* był ulicznikiem paryskim; woła: "Naprzód!", jak rumak z Pisma Świętego wołał: "Wah!" - i w jednej chwili ze smarkacza wyrasta na olbrzyma.

To dziecko rynsztoku jest również dzieckiem ideału. Zmierzcie rozpiętość sięgającą od Moliere do Bara.

Krótko mówiąc, aby wszystko zamknąć w jednym zdaniu - ulicznik to stworzenie, które się bawi, ponieważ jest nieszczęśliwe.

---

\* Poquelin - nazwisko rodowe Moliere.

\* Jean-Antoine-Etienne Championnet (1762-1800) - generał wojsk republikańskich, który przeszedł do legendy, gdyż kazał wrzucić ampułce krwi św. Januarego w Neapolu w r. 1799; pod groźbą zbombardowania miasta zmusił mnichów do zgody na "cud".

\* Joseph Bara (1779-1793) - czternastoletni dobosz armii republikańskiej w Wandei; zginął bohatersko w zasadzce.

## X

### Ecce Paris, ecce homo

Aby raz jeszcze streścić wszystko, powiedzmy, że dzisiaj ulicznicy Paryża - podobnie jak niegdyś *graeculus* w Rzymie - to ludek dziecięcy, mający na czole zmarszczkę starego świata.

Ulicznik to wdzięk narodu, ale zarazem jego choroba. Choroba, którą trzeba uleczyć. Czym? Światłem.

Światło uzdrawia.

Światło zapala.

Wszelkie szlachetne promieniowania społeczne wywodzą się z wiedzy, nauki, sztuki, nauczania. Twórcie ludzi, twórcie ludzi. Oświećcie ich, a oni was ogrzeją. Prędzej czy później wspaniałe zagadnienie nauczania powszechnego narzuci się z nieodpartą mocą prawdy absolutnej; wówczas ci, którzy będą rządzić pod przewodem myśli francuskiej, staną przed dylematem: dzieci Francji czy ulicznicy Paryża? Płomienie wśród światła czy błędne ogniki wśród mroków?

Ulicznik jest wyrazem Paryża, a Paryż jest wyrazem świata. Albowiem Paryż - to *summa*, Paryż - to strop rodzaju ludzkiego. Całe to cudowne miasto jest skrótem zwyczajów umarłych i zwyczajów żywych. Kto ogląda Paryż, ma wrażenie, iż ogląda od wnętrza bieg całej historii, a w przerwach - niebo i konstelacje. Paryż ma swój Kapitol - Ratusz, swój Partenon - Katedrę Marii Panny, swój Awentyn - przedmieście Św. Antoniego, swoje Asinarium - Sorbonę, swój Panteon - Panteon, swoją Via Sacra - bulwar des Italiens, i swoją Wieżę Wiatrów - opinię; Gemonie\* zastąpił śmiesznością. Jego *majo* zwie się strojnisiem, mieszkaniec Zatybrza - mieszkańcem przedmieścia, *hammal* - tragarzem z Hal, *lazzarone* - łotrzykiem, a *cockney* - fircykiem. Wszystko, co jest gdzie indziej, jest w Paryżu. Handlarka ryb Dumarsaisa\* odpowiada eurypidesowej zieleniarce, dyskobol Vejanus odradza się w linoskoczku Forioso, żołnierz Terapontygonus spacerowałby pod rękę z grenadierem

---

\* Gemonie - schody w starożytnym Rzymie na północno-zachodnim zboczu Kapitolu, gdzie wystawiano na widok publiczny ciała skazańców przed wrzuceniem ich do Tybru.

\* César Chesneau Dumarsais (1676-1756) - filolog francuski, autor artykułów poświęconych gramatyce w "Encyklopedii".

Vadeboncoeur\*, Damasippus, kolekcjoner starożytności, czułby się szczęśliwy w naszych antykwariatach. Wrota Vincennes zamknęłyby się za Sokratesem zupełnie tak samo, jak portyki Agory uwięziłyby Diderota; Grimod de la Reyniere wynalazł *roastbeef* na łożu, tak jak Kurtillus wymyślił pieczonego jeża; w balonie pod łukiem na placu Gwiazdy odnajdujemy trapez znany z Plauta; połykacz mieczy z Portyku Malowanego w Atenach, spotykany przez Apulejusza, to połykacz mieczy z mostu Nowego; kuzynek Ra-meau i nierób Kurkulio stanowią dobraną parę; Ergazylus postarałby się, aby go d'Aigrefeuille wprowadził do Cambacéresa; czterej eleganci rzymscy - Alkezymarchus, Fedromus, Diabolus i Argyrippus, wyjeżdżaliby z Courtille karetką pocztową Labatut, Aulus Geliusz równie mało poświęci uwagi roli Kongria jak Karol Nodier - Poliszynelowi. Marton nie jest tygrysią, ale i Pardaliska też nie była smokiem; w kawiarni angielskiej frant Pantolabus nabiera hulakę Nomentanusa; Hermogenes jest tenorem na Polach Elizejskich, a obok niego wyciąga rękę po pieniądze żebrak Trasius, ubrany jak Bobéche; natręt, który cię łapie w Tuileriach i nie puszcza, trzymając za guzik od surduta, przywodzi na myśl - po dwóch tysiącach lat - apostrofę Tespriona: "*Quis properantem meprehendit pallio?*"\*; wino z Suresnes nieudolnie naśladowuje wino z Alby, a pełna szklanica Desaugiersa równać się może z wielkim pucharem Balatrona; cmentarz Père-Lachaise poprzez nocny deszcz mży tym samym mdłym blaskiem co Esquilineum, a grób biedaka, zakupiony na pięć lat, niczym się nie różni od wypożyczonej trumny niewolnika.

Poszukajcie czegoś, czego nie miałby Paryż. W kadzi Mesmera jest to wszystko, co w pieczarze Trofoniusza\*; Ergafilas odżywa w Cagliostrze; bramin Vâsafantâ wciela się w hrabiego de Saint-Germain; na cmentarzu Św. Medarda dzieją się takie same cuda jak w meczecie Umunie w Damaszku.

Paryż ma swego Ezopa w osobie Mayeux a Kanidię w osobie panny Lenormand\*. Przeraza go - podobnie jak przerazał Delfy - oślepiający realizm wizji; Paryż każe wirować stolikom, jak Dodona trójnogom. Osadza na tronie gryzetskę, jak Rzym sadzał kurtyzanę; i - ostatecznie - jeśli Ludwik XV jest gorszy od Klaudiusza, to pani du Barry lepsza jest od Messaliny. Paryż zespala - tworząc niezwykłego osobnika, który żył i o którego ocieraliśmy

---

\* Therapontigonus - postać z komedii Plauta "Kurkulio", chełpliwy żołnierz; Vadeboncoeur - typ żołnierza odnoszącego sukcesy na polu walki i w przygodach miłosnych.

\* "Mnie się spieszy! Kto mnie za płaszcz ciągnie?" (Plut. "Epidikus", I. przekład G. Przychockiego).

\* Trofoniusz - architekt w starożytnej Grecji, twórca świątyni w Deliach; pieczara, w której znajdował się jego grobowiec, słynęła z wyroczni.

\* Mayeux - postać stworzona po rewolucji 1830 roku przez karykaturzystę Charlesa Travies (1804-1859); typowy mieszcuch owych czasów; Kanidia - wróżka w starożytnym Rzymie; Marie-Anne-Adelajde Lenormand (1772-1843) - słynna wróżka w Paryżu.

się co dzień - nagość grecką, hebrajskie wrzody i żart gaskoński. Łączy Diogenesa, Hioba i Pajaca, ubiera widmo w stare numery "Constitutionnela" i wydaje Chodruca Duclos.

Chociaż Plutarch mówi, że "tyran nigdy się nie starzeje" - Rzym zarówno za Sulli, jak i za Domicjana dawał nieraz za wygraną i chętnie dolewał sobie wody do wina. Jeśli dać wiarę nieco doktrynerskiej pochwalie Varusa Vibicusa - Tybr był Letą: *Contra Gracchos Tiberim habemus. Bibere Tiberim, id est seditionem oblivisci*\*. Paryż wypija milion litrów wody dziennie, ale nie przeszkadza to, aby w potrzebie bił w werble i dzwonił na alarm.

Lecz poza tym - Paryż to poczciwa dusza. Po królewsku godzi się na wszystko; nie jest wybredny w sprawach miłosnych; jego Wenus to Hotentotka; Paryż rozgrzesza wszystko, co daje mu okazję do śmiechu; brzydota go śmieszy, ułomność rozwesela, występki zaciekawia; bądź zabawny, a możesz być łajdakiem; nie oburza go nawet obłuda, ten szczyt cynizmu; tak jest literacki, że nie zatyka sobie nosa przed Bazylem, i tyle samo gorszy go modlitwa Tartuffe'a, co Horacego oburza "czkawka" Priapa. Żaden rys oblicza świata nie jest obcy fizjonomii Paryża. Bale Mabilie'a\* nie przypominają płasów ku czci Polihymnii na Janikulum, ale i tam mydlarka nie spuszcza wzroku z loretki, podobnie jak rajfurka Stafila dybała na dziewicę Planezjum. Rogatka Combat to nie Koloseum, ale objawia się tam takie okrucieństwo, jak gdyby patrzył na to Cezar. Karczmarka syryjska ma więcej wdzięku niż matka Saguet\*, ale podobnie jak Wergiliusz włóczył się po szynkach Rzymu, tak samo Dawid d'Angers, Balzac i Charlet wysiadali w knajpach paryskich. Paryż króluje. Spalają się tam geniusze, prosperują błazny. Adonai przejeżdża tam na swoim rydwanie o dwunastu kołach z piorunów i błyskawic; Sylen wjeżdża do niego na swojej oślicy. Sylen - czytajcie Ramponneau.

Paryż - to synonim Kosmosu. Paryż - to Ateny, Rzym, Sybaris, Jeruzalem, Pantin. Wszystkie cywilizacje znajdują się tam w skrócie, całe barbarzyństwo również. Paryż byłby bardzo niezadowolony, gdyby nie miał gilotyny.

Użyteczna to rzecz - mała domieszka placu Gréve. Czym byłoby, bez takiej przyprawy, to nieustanne święto? Mądrze zapobiegły temu brakowi nasze prawa i dzięki nim z noża gilotyny krople krwi ściekają na te wieczne zapusty.

---

\* Przeciw Grakchom mamy Tybr. Łyk wody z Tybru pozwala zapomnieć o buncie.

\* Bal Mabilie - publiczna sala taneczna otwarta w Paryżu w 1840 r. przez nauczyciela tańców Mabilie.

\* Matka Saguet - właścicielka popularnej w pierwszej połowie XIX wieku restauracji w Paryżu na Montparnassie.

## XI

### Drwić - to panować

Paryż nie ma granic. Żadne inne miasto nie doszło do takiej potęgi, co kpi sobie nieraz z tych, których ujarzmił. “Podobać się wam, o Ateńczycy!” - wołał Aleksander. Paryż tworzy więcej niż prawo. Tworzy modę. Paryż tworzy więcej niż modę, tworzy przyzwyczajenia. Paryż, jeśli mu przyjdzie fantazja, może być głupi; czasem pozwala sobie na ten zbytek; wówczas cały świat głupieje razem z nim; potem Paryż się budzi, przeciera oczy, mówi: “Jakież jestem niemądry!”, i parska śmiechem prosto w nos rodzajowi ludzkiemu. Cóż to za cud takie miasto! Dziwna rzecz, jak wielkość i śmieszność godzą się tu ze sobą, jak parodia nie pomniejsza w niczym majestatu, jak te same usta dziś mogą dać w trąby sądu ostatecznego, a jutro dmuchać w fujarkę. Paryż ma monarszą jowialność. Jego wesołość to grom, jego krotochwila dzierży berło. Jego huragan rodzi się nieraz z pociesznej miny. Jego wybuchy, jego dzień powszedni, jego arcydzieła, cuda, epepeje docierają na kraniec świata; jego brednie również; śmiech jego to krater wulkanu, który obryzguje całą ziemię. Jego błazeństwa - to iskry. Narzuca innym narodom zarówno swoje karykatury, jak i ideał, najślawniejsze pomniki cywilizacji ludzkiej przyjmują zgodnie jego złośliwości i jego żartom użyczają własnej wiecznotrwałości. Paryż jest wspaniały! Ma cudowny dzień 14 lipca, który wyzwala świat; wszystkim narodom narzuca przysięgę z sali “Gry w piłkę”; jego noc 4 sierpnia w trzy godziny przekreśla tysiąc lat feudalizmu; ze swojej logiki czyni sprężynę powszechnej woli; uwielokrotnia się pod każdą postacią wzniosłości; napędza swoim blaskiem Waszyngtona, Kościuszkę, Boliwara, Botzarisa\*, Riega, Bema, Manina, Lopeza\*, Johna Browna, Garibaldię; jest wszędzie tam, gdzie rozplomienia się przyszłość: w 1779 roku w Bostonie, w 1820 roku na wyspie Léon, w 1848 roku w Peszcie, a w 1860 roku w Palermo.

Szepcze przemożne hasło: “Wolność”, do ucha abolicjonistom amerykańskim zebranych przy promie w Harper's Ferry i patriotom z Ankony zgromadzonym nocą w Archii, na brzegu morza przed oberżą Gozzięgo; stwarza Canarisa, stwarza Quiroge, stwarza

---

\* Botzaris (1788-1823) -jeden z największych wodzów greckich podczas walk wyzwoleniczych z Turkami.

\* Narcisco Lopez (1799-1851) - urodzony w Wenezueli, hiszpański działacz polityczny, organizator walk wyzwoleniczych na wyspie Kubie.

Pisacana\* ; promieniuje wielkością na glob ziemski; jego duchem natchniony Byron umiera w Missolonghi, a Mazet\* w Barcelonie; jest trybuną pod stopami Mirabeau, a kraterem pod stopami Robespierre'a; jego księgi, jego teatr, jego sztuka, nauka, literatura i filozofia są podręcznikami szkolnymi rodzaju ludzkiego; ma Pascala, Regniera, Corneille'a, Kartezjusza, Jana Jakuba, Woltera na każdą chwilę, a Moliera po wszystkie wieki; cały świat mówi jego językiem i ten język staje się Słowem: we wszystkich umysłach kształtuje ideę postępu; dogmaty niosące wolność, jakie wykuwa, stają się hasłem, w imię którego walczą całe pokolenia; z ducha jego poetów i myślicieli wywodzą się od 1789 roku wszyscy bohaterowie wszystkich narodów; to nie przeszkadza mu łobuzować się. I ten potężny geniusz, zwany Paryżem, który przekształca cały świat swoim blaskiem, rysuje również węglem na ścianie świątyni Tezeusza nos Bouginiera\*, a na piramidach pisze: Credeville złodziej!

Paryż zawsze pokazuje zęby; jeśli nie w gniewie, to w uśmiechu.

Taki już jest ten Paryż! Dymy nad jego dachami to idee świata. Stos kamieni i błota! Być może. Ale przede wszystkim - duch. Jest więcej niż wielki - jest olbrzymi! Dlaczego? Dlatego, że ma odwagę.

Mieć odwagę - oto cena postępu.

Wszelkie wzniosłe zwycięstwa są, w mniejszym czy większym stopniu, zapłatą za śmiałość. Aby wybuchła rewolucja, nie wystarczy, żeby Monteskiusz ją przeczuł, Diderot głosił, Beaumarchais obwieszczał, Condorcet obliczał, Arouet przygotowywał, Rousseau przemyślał - trzeba, aby Danton się na nią odważył!

Okrzyk: "Odwagi!", to *Fiat Lux!* Rodzaj ludzki, aby iść naprzód, musi mieć nieustannie na szczytach dumne przykłady męstwa. Zuchwalstwa olśniewają historię i są jednym z wielkich światel człowieka. Jutrzenka wschodząca na niebie to akt odwagi. Próbować, stawiać czoło, trwać, wytrwać, być wiernym samemu sobie, brać się z losem za bary, zadziwić klęskę, że tak niewiele strachu w nas budzi, raz przeciwstawiać się niesprawiedliwej władzy, raz lżyć upojone zwycięstwo, nie ugiąć się, nie ustąpić z pola - oto przykład niezbędny dla narodów, oto światło, które je elektryzuje.

Ta sama potężna błyskawica przechodzi od pochodni Prometeusza do fajeczki Cambronne'a.

---

\* Carlos Pisacane (1818-1857) -rewolucjonista wioski, uczestnik walk wyzwoleniczych.

\* André Mazet (1793-1821)- lekarz francuski, członek komisji wysłanej przez rząd francuski dla walki z epidemią dżumy w Barcelonie. Padł ofiarą zarazy.

\* Bouginier (XIX w.) - nieznanym malarz, wstawił się w Paryżu swoim wielkim nosem, który rysował na murach Paryża.

## XII

### Przyszłość utajona w ludzie

Jeśli zaś chodzi o lud paryski, to zawsze - nawet osiągnąwszy wiek męski - pozostaje on ulicznikiem; odmalowując dziecko - malujemy miasto; dlatego właśnie badaliśmy tego orła w tym wolnym wróbelku.

Rasa paryska, podkreślamy to z naciskiem, występuje głównie na przedmieściach: tam ma czystą krew, tam ukazuje prawdziwą twarz; tam lud pracuje i cierpi, a praca i cierpienie - to dwa oblicza człowieka. Tam znajduje się nieprzeliczona mnogość istot nieznanych, wśród której roją się najosobliwsze typy, od tragarza z la Râpée aż po oprawcę z Montfaucon<sup>\*</sup>. *Fex urbis* - woła Cycero; *mob* - dodaje oburzony Burke. Motłoch, gmin, pospólstwo. Łatwo powiedzieć te słowa. Ale niech tam. Jakież to ma znaczenie? Cóż mnie to obchodzi, że ludzie ci chodzą boso? Nie umieją czytać; trudno. Czy dlatego pozostawicie ich własnemu losowi? Czy niedolę ich uczynicie przekleństwem? Czy światło nie może przeniknąć tych mas? Powróćmy do okrzyku: "Światła!", i powtarzajmy go uparcie! Światła! Światła! Kto wie, czy te nieprzeniknione mroki nie staną się przejrzyste? Czyż rewolucje nie są przemianami? Nuże, filozofowie! Nauczajcie, oświecajcie, zapalajcie, myślcie głośno, mówcie głośno, biegnijcie radośni ku jasnemu słońcu, bratajcie się z ulicą, głoście dobre nowiny, rozdawajcie elementarze, ogłaszajcie prawa, śpiewajcie "Marsylianki", siejcie entuzjazm, zrywajcie zielone gałęzie dębu. Z myśli uczynicie zawieruchę! Ten tłum może być wzniosły. Nauczmy się posługiwać tym ogromnym płomieniskiem zasad i cnót, które niekiedy tryska iskrami, bucha płomieniem i dygoce. Te bose nogi, te nagie ramiona, te łachmany, ta ciemnota, to upodlenie, te mroki mogą być użyte w walce o ideał. Spójrzcie w lud, a ujrzycie prawdę. Rzućcie w piec ten nędzny piach, który depczecie stopami, niech się tam przetopi i wzburzy, a stanie się przepięknym kryształem - dzięki niemu Galileusz i Newton odkryją gwiazdy.

---

<sup>\*</sup> La Râpée - wybrzeże Sekwany w Paryżu, gdzie znajdowały się wielkie składy drzewna i wina; Montfaucon, słynne od wieku XIII miejsce straceń, w XIX w. znajdowała się tu rakarnia.



## XIII

### Mały Gavroche

W osiem czy dziewięć lat po zdarzeniach, opisanych w drugiej części tej opowieści, na bulwarze Tempie i w okolicy Château-d'Eau można było zauważyć małego chłopca liczącego około dwunastu lat, który dość wiernie odpowiadałby nakreślonemu powyżej typowi andrusa, gdyby mimo dziecięcego uśmiechu na ustach serce jego nie było zupełnie mroczne i puste. Ten chłopak był cudacznie ubrany w spodnie dorosłego mężczyzny, ale nie otrzymał ich od ojca, i w kaftanik kobiecy, ale nie otrzymał go od matki. Jacyś obcy ludzie z litości przyodziali go w łachmany. Miał jednak ojca i matkę. Ale ojciec nie troszczył się o niego, a matka nie kochała go wcale. Było to jedno z tych dzieci, godnych szczególnego współczucia, co mają ojca i matkę i są sierotami.

Chłopiec ten nigdzie nie czuł się równie dobrze jak na ulicy. Bruk nie był dla niego tak twardy jak serce matki.

Rodzice kopniakiem wypchnęli go w świat.

I tak rozpoczął samodzielne życie.

Był to chłopak hałaśliwy, blady, żwawy, rozgarnięty, kpiarz, z wyglądu bystry i chorowity. Biegał to tu, to tam, śpiewał, grał w guziki, grzebał w rynsztokach, kradł trochę, ale tak jak wróble i koty, na wesoło, śmiał się, gdy nazywano go wisusem, gniewał się, gdy nazywano go hultajem. Nie miał dachu nad głową, nie miał chleba, nie miał ogniska domowego, nie miał miłości, a jednak był wesoły - bo był wolny.

Gdy te nieszczęsne istoty dorosną, prawie zawsze chwyta je w tryby machina społeczna i miazdzy, ale dopóki są dziećmi, wymykają się jej. Są małe, najmniejsza szparka jest dla nich ratunkiem.

Chociaż chłopak ten był tak opuszczony, zdarzało się jednak raz na parę miesięcy, że mówił: "No, idę do mamy". Wtedy opuszczał bulwar, Cyrk, bramę Św. Marcina, zbiegał na nadbrzeżne bulwary, przechodził mosty, dochodził do przedmieść, mijał Salpâtriére i zatrzymywał się - gdzie? Właśnie przed owym podwójnym numerem 50-52, który czytelnik już zna - przed rudereą Gorbeau.

W owym czasie rudereą tę, zazwyczaj pustą i ozdobioną wiecznie tabliczką z napisem: "Pokoje do wynajęcia", zamieszkiwało - rzecz rzadka - kilka osób, których zresztą, jak to

zwykle bywa w Paryżu, nie łączyły żadne więzy ani żadne stosunki. Wszyscy należeli do tej ubogiej warstwy, która zaczyna się od najbiedniejszego mieszczanina, borykającego się z trudnościami materialnymi, i sięgając od nędzy do nędzy aż do samego dna społeczności, kończy się na owych dwóch istotach, na których wyczerpuje się wszelka materialna strona cywilizacji: na zamiataczu ulic zgarniającym błoto i gałganiarzu zbierającym szmaty.

“Główna lokatorka” z czasów Jana Valjean umarła, miejsce jej zajęła inna, zupełnie do niej podobna. Nie wiem jaki to filozof powiedział: “Starych bab nigdy nie brakuje”.

Ta nowa starucha nazywała się pani Burgon i - poza dynastią trzech papug, królujących kolejno w jej sercu - życie jej nie przedstawiało nic godnego uwagi.

Spśród mieszkańców rudery najnędzniejszą była rodzina składająca się z czterech osób: ojca, matki i dwóch dorastających córek, zamieszkująca jedną norę, jedną z tych klitek, o których już mówiliśmy. Rodzina ta, poza wyjątkowym ubóstwem, nie odznaczała się na pierwszy rzut oka niczym szczególnym. Wynajmując pokój, ojciec powiedział, że nazywa się Jondrette. W jakiś czas po przeprowadzce, która - że posłużymy się tu pamiętym określeniem głównej lokatorki - dziwnie była podobna do wprowadzenia się “wielkiego nic”, Jondrette rzekł do owej kobiety, która - jak jej poprzedniczka - była również odźwierną i zamiatała schody: “Matko, jeżeli przypadkiem kto zapyta o Polaka, Włocha lub może Hiszpana - ja nim jestem!”

Ta rodzina była rodziną naszego małego, wesołego obdartusa. Przychodził tu i odnajdywał biedę, nędzę i - co najsmutniejsze - ani jednego uśmiechu. Zimne palenisko i zimne serca. Kiedy wchodził, pytano go: “Skąd przychodzisz?” - Odpowiadał: “Z ulicy!” Kiedy odchodził, pytano go: “Dokąd idziesz?” - Odpowiadał: “Na ulicę!” Matka mówiła mu: “Po coś tu przyszedł?”

Dziecko żyło pozbawione jakiegokolwiek uczucia, jak te blade rośliny, które wyrastają w piwnicy. Nie bolało nad tym i nie miało żalu do nikogo. Właściwie nie wiedziało, jacy powinni być ojciec i matka.

Zresztą matka kochała jego siostry.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że na bulwarze Tempie zwano tego chłopca małym Gavroche. Dlaczego nazywał się Gavroche? Prawdopodobnie dlatego, że jego ojciec nazywał się Jondrette.

Wydaje się, że pewne biedne rodziny instynktownie zrywają wszelkie nici.

Izba, którą zamieszkiwała rodzina Jondrette w ruderze Gorbeau, mieściła się na samym końcu korytarza. Sąsiedni pokój zajmował bardzo ubogi młodzieniec, zwany panem Mariuszem.

Powiedzmy, kim był pan Mariusz.

**Księga druga**

**Patrycjusz**

## I

### Dziewięćdziesiąt lat i trzydzieści dwa zęby

Wśród osób zamieszkujących od dawna ulicę Boucherat, ulicę Normandzką i ulicę Saintogne są jeszcze do dziś tacy, co pamiętają jegomościa nazwiskiem Gillenormand i chętnie o nim mówią. Jegomość ten był już stary, kiedy oni byli młodzi. Dla tych, co z melancholią wpatrują się w mgliste kłębowisko cieni, które się zwie przeszłością, postać jego nie znikła jeszcze całkowicie z labiryntu uliczek sąsiadujących z Tempie, obdarzonych za Ludwika XIV nazwami wszystkich prowincji francuskich, zupełnie tak samo, jak za naszych czasów ulicom nowej dzielnicy Tivoli nadano nazwy wszystkich stolic europejskich; wtrąćmy mimochodem, że w tym postępowaniu widać postęp.

Pan Gillenormand, który w roku 1831 cieszył się najlepszym zdrowiem, należał do ludzi budzących ciekawość dla tej jednej przyczyny, że żyją tak długo, którzy tym się wyróżniają, że niegdyś byli podobni do wszystkich, a dziś nie są już podobni do nikogo. Był to starzec niezwykły, w całym tego słowa znaczeniu człowiek innego stulecia, prawdziwy, w każdym calu, typ nieco wyniosłego *bourgeois* z XVIII wieku, który swą starodawną godność patrycjusza miejskiego obnosił tak, jak hrabia tytuł hrabiowski. Pan Gillenormand przekroczył już dziewięćdziesiątkę, trzymał się prosto, mówił donośnie, świetnie widział, tego pił, jadł, spał i chrapał. Miał trzydzieści dwa zęby.

Okulary nakładał jedynie do czytania. Z usposobienia kochliwy, mówił jednak, że od dziesięciu lat nieodwołalnie wyrzekł się kobiet. "Nie podobam się już - powiadał, lecz nie dodawał: - bo jestem za stary - lecz - bo jestem za biedny. Gdybym nie był zrujnowany, to... ho! ho!" - mówił. Istotnie, zostało mu zaledwie około piętnastu tysięcy franków dochodu. Marzył o tym, aby otrzymać spadek i mieć sto tysięcy franków renty i kochanki. Nie należał, jak widzimy, do tych cherlawych osiemdziesięciolatków, którzy, jak pan Wolter, kwękają przez całe życie; nie była to długowieczność nadtłuczonego garnka; ten chwacki starzec nigdy nie chorował. Powierzchnowy, impetyk, łatwo unosił się gniewem. Grzmiał i piorunował o byle co, najczęściej wbrew oczywistej słuszności. Gdy mu kto przeczył, podnosił laskę; bił służbę jak w czasach wielkiego wieku. Miał córkę, przeszło pięćdziesięcioletnią starą pannę, którą mocno poszturchiwał, kiedy wpadał w złość, i chętnie byłby oćwiczył. Zdawało mu się, że ma osiem lat. Policzkował służbę, wołając: "A ścierwo jedne!" Ulubionym jego

przekleństwem było: “Do kroćset tysięcy par butów!” Objawiał niekiedy zadziwiający spokój; kazał się co dzień golić golibrodzie, który miewał ataki szału i nie cierpiał pana Gillenormand, bo był zazdrosny o swoją żonę, urodziwą zalotną kobietkę. Pan Gillenormand wysoko cenił swój sąd w każdej sprawie i miał się za bardzo przenikliwego; oto jedno z jego powiedzeń: “Nie brak mi bystrości, doprawdy! Kiedy mnie ugryzie pchła, potrafię powiedzieć, z jakiej kobiety na mnie przeskoczyła!” Najczęściej wypowiadał słowa: “człowiek czuły” i “natura”. Tego ostatniego słowa nie używał zresztą w tym szerokim znaczeniu, jakie mu nadała nasza epoka. Ale wtrącał je - na swój sposób - do sarkastycznych historyjek, opowiadanych przy kominku: “Aby cywilizacja miała wszystkiego po trosze - mówił - natura obdarzyła ją ucieśnymi okazami barbarzyństwa. Europa ma - w zmniejszonym formacie - okazy tego, co jest w Afryce i w Azji. Kot to salonowy tygrys, jaszczurka to krokodyl w kieszkowym wydaniu. Baletniczki z Opery to różowolice dzikuski. Nie zjadają ludzi, ale łupią z nich skórę. Albo też, czarodziejki, zamieniają ich w ostrygi i połykają! Ludożercy zostawiają tylko kości, one zostawiają pustą skorupkę. Takie są nasze obyczaje! My nie pożeramy, ale obgryzamy; nie mordujemy, ale drapiemy”.

## II

### Jaki pan - taki kram

Pan Gillenormand mieszkał w dzielnicy Bagno, przy ulicy Panien Kalwaryjskich pod numerem 6. Dom należał do niego. Dom ten został zburzony i odbudowany na nowo, a i numer jego zapewne uległ zmianie wśród rewolucji w numeracji domów, jakie przeżywają ulice Paryża. Pan Gillenormand zajmował obszerne, staroświeckie mieszkanie na pierwszym piętrze, między ulicą a ogrodami, obite aż po sufit wielkimi tkaninami z Gobelins i z Beauvais, przedstawiającymi sceny pasterskie; postacie z sufitów i ścian powtarzały się w pomniejszeniu na obiciach foteli. Łóżko osłaniał szeroki, dziewięcioskrzydłowy parawan z koromandelskiej laki. Sute, długie zasłony wisiały w oknach układając się w bardzo okazałe, głębokie fałdy. Ogród, leżący tuż pod oknami, łączyły z oszklonymi narożnymi drzwiami schody o kilkunastu stopniach, po których nasz jegomość wbiegał i zbiegał z największą łatwością. Poza biblioteką, przyległą do sypialni, miał buduar, który szczególnie lubił, dość frywolny zakątek obity wspaniałą tkaniną koloru słomki tkaną w lilie i inne kwiaty, wykonaną za panowania Ludwika XIV na galerach. Obicie to pan de Vivonne zamówił u swoich galerników dla swej kochanki. Pan Gillenormand odziedziczył je po jakiejś straszliwej ciotecznej babce po kądzieli, zmarłej w wieku lat stu. Żonaty był dwa razy. Jego sposób bycia był czymś pośrednim między manierami dworaka, którym nigdy nie był, i sędziego, którym mógł być zostać. Kiedy chciał, był wesoły i ujmujący. Za młodu należał do tych mężczyzn, których zawsze zdradza żona, a nigdy kochanka, są bowiem najbardziej niezdolnymi mężczyznami, a najmiłszymi z kochanków. Znał się na malarstwie. Miał w swoim pokoju cudowny portret Jordaensa przedstawiający nie wiadomo kogo, malowany szerokimi pociągnięciami pędzla, z tysiącem szczegółów nagromadzonych bezładnie i jakby od niechcenia. Pan Gillenormand nie nosił stroju z czasów Ludwika XV ani nawet Ludwika XVI; ubierał się tak jak eleganci za Dyrektoriatu. Do tego okresu bowiem uważał się za zupełnie młodego i stosował do mody. Nosił frak z cienkiego sukna o szerokich klapach, długich połach i dużych, metalowych guzikach, krótkie spodnie i trzewiki ze sprzączkami. Ręce zawsze wsadzał w kieszonki od kamizelki. Zwykł być mawiać z powagą: "Rewolucja Francuska to zgraja nicponi".

### III

#### Luc-Esprit

Gdy miał szesnaście lat, dostąpił pewnego wieczoru w Operze nie lada zaszczytu, bo Camargo i Sallé, dwie dojrzałe i sławne piękności, opiewane przez Woltera, lornetowały go równocześnie. Wzięty w dwa ognie, wykonał bohaterski odwrót do małej baletniczki, zwanej Nahenry, która miała tak jak on szesnaście lat, była nieznana jak mysz, a w której był zakochany. Wspomnień miał mnóstwo. “Ależ śliczna była ta szelmutka Guimard, kiedym ją ostatni raz widział w Longchamps, z puklami ułożonymi w «uczucia zdławione», z wyzywającą kolia z turkusów przy sukni koloru pchli brzusek i kokietyjnym zarękawkim”. Jako młody chłopak miał kurtkę od Nain-Londrin, o której mówił chętnie i z wylewnością: “Ubrany byłem niczym prawdziwy Turek z lewentyńskiego Lewantu!” Pani de Boufflers, zobaczywszy go przypadkiem, kiedy miał dwadzieścia lat, nazwała go “czarującym lekkoduchem”. Gorszyły go wszystkie nazwiska, które napotykał w polityce i na wysokich urzędach, bo znajdował, że są gminne i mieszczańskie. Czytał dzienniki “te nowe świstki, te gazety” - jak mówił, tłumiąc wybuchy śmiechu. “A cóż to za ludzie?! - wołał. - Corbiere! Hu-mann! Kazimierz Periér! I to jest ministrem. Wyobrażam sobie taką rzecz w dzienniku: «Pan Gillenormand, minister». A toż dopiero byłaby komedia! Ale tacy z nich durnie - że i to by uszło!” Beztrosko nazywał każdą rzecz imieniem właściwym - lub zgoła niewłaściwym - nie krępując się obecnością kobiet. Najgorsze grubiaństwa, plugastwa i bezceństwa wypowiadał bez wzruszenia, tonem wykluczającym zdziwienie, który uchodził za elegancki. Była to bezceremonialność właściwa jego epoce. Należy zaznaczyć, że okres subtelnych omówień w poezji był okresem soczystych powiedzeń w prozie. Jego ojciec chrzestny przepowiedział, że będzie on genialnym człowiekiem, i dał mu te dwa wiele mówiące imiona: Luc-Esprit.



## IV

### Kandydat na Matuzalema

W dzieciństwie pan Gillenormand dostawał nagrody w kolegium w Moulins, swoim rodzinnym mieście, i otrzymał nawet wieniec z rąk księcia Nivernais, którego nazywał księciem de Nevers. Ani Konwent, ani śmierć Ludwika XVI, ani Napoleon, ani powrót Burbonów, nic nie zdołało zatrzeć tego wspomnienia. Księżę de Nevers był dla niego najwybitniejszą postacią stulecia. “Cóż to za uroczy wielki pan - mówił - i jak dostojnie wyglądał z wielką orderową wstęgą!” Katarzyna II okupiła, w oczach pana Gillenormand, zbrodnię rozbioru Polski, płacąc Bestużewowi trzy tysiące rubli za tajemnicę eliksiru złota. Mówiąc o tym ożywał się. “Eliksir złota! - wołał. - Żółta tynktura Bestużewa, krople ge-narała Lamotte! W osiemnastym wieku za flakon półuncjowy dawano jednego ludwika, było to najlepsze lekarstwo na zawody miłosne, lek uniwersalny na rany Amora. Król Ludwik XV dwieście takich flakonów posłał papieżowi”. Rozzłościłby się strasznie i wyszedł z równowagi, gdyby mu ktoś powiedział, że ów eliksir złota był po prostu nadchlorkiem żelaza. Pan Gillenormand uwielbiał Burbonów, a nienawidził 1789 roku; opowiadał niezliczone razy, jak uratował się podczas terroru i że tylko jego dobry humor i spryt pozwoliły mu ocalić głowę. Jeśli jakiś młody człowiek ośmielił się w jego obecności pochwalić republikę, pan Gillenormand siniał i złościł się tak, że niemal tracił przytomność. Niekiedy robił aluzję do swoich dziewięćdziesięciu lat i mówił: “Mam nadzieję, że nie będę dwa razy oglądał dziewięćdziesiątego trzeciego roku”. Kiedy indziej dawał do zrozumienia, że zamierza żyć sto lat.

## V

### Bask i Nikoleta

Miał swoje teorie. Oto jedna z nich: “Kiedy mężczyzna namiętnie kocha kobiety, a ma żonę, o którą wcale nie dba, szpetną, przykrą, prawowitą, pełną uroszczeń, obkutą w kodeksie i w razie czego zazdrosną, to w jeden tylko sposób może się od niej wykręcić i mieć święty spokój: zostawić jej zarząd kasą. To ustępstwo daje wolność. Żona ma wtedy zajęcie, zapala się do obracania pieniędzmi, zieleni sobie palce o miedziaki, bierze się do pouczania dzierżawców i musztrowania gospodarzy, zwołuje adwokatów, czuwa nad notariuszami, narzuca swoje zdanie rejentom, odwiedza żony sędziów, biega na procesy, układa umowy, dyktuje kontrakty, czuje się wszechwładną panią, sprzedaje, kupuje, reguluje, rządzi się jak szara gęś, obiecuje i nie dotrzymuje, zaciąga zobowiązania i zrywa kontrakty, zawiera układy, przeszkadza układom, udziela cesji, odbiera, znów udziela, ciuła pieniądze, trwoni pieniądze, robi głupstwa - najwyższe szczęście osobiste - i to ją pociesza. Mąż nią wzgardził, ona ma satysfakcję, że go rujnuje”. Pan Gillenormand zastosował tę teorię do siebie i stała się ona jego własną historią. Żona, druga z kolei, tak gospodarowała jego majątkiem, że kiedy pan Gillenormand pewnego pięknego dnia owdowiał, zostało mu akurat tyle pieniędzy, aby żyć; umieścił prawie całą tę sumę na dożywociu, otrzymując piętnaście tysięcy franków renty, z których trzy czwarte wygasało wraz z jego śmiercią. Nie zastanawiał się ani chwili, nie dbając o to, aby zostawić po sobie schedę. Widział zresztą, że ojcowizny przechodziły różne koleje i na przykład przemieniały się w “dobra narodowe”; napatrzył się na metamorfozy pożyczki skonsolidowanej i niewiele miał zaufania do Głównej Księgi Długów Państwowych. “Zawracanie głowy te wasze banki!” - mówił.

Dom na ulicy Panien Kalwaryjskich, mówiliśmy już o tym, był jego własnością. Pan Gillenormand miał dwoje służby, rodzaju męskiego i żeńskiego. Przyjmując nowego służącego, musiał go zawsze przechrzcić. Mężczyznom nadawał imiona od prowincji, z której byli rodem: Pikardyjczyk, Bretończyk, Burgundczyk itd. Ostatnim jego służącym był pięćdziesięcioletni grubas, dychawiczny i ledwo powłóczący nogami, który nie ubiegłby i dwudziestu kroków, ponieważ jednak pochodził z Bayonne, więc pan Gillenormand nazywał go szybkonogim Baskiem. Każda zaś służąca zwała się u niego Nikoletą (nawet owa Magnon, o której później będzie mowa). Pewnego razu zgłosiła się do niego kucharka, osoba godna,

mistrzyni w swym zawodzie, wywodząca się z dumnego rodu odźwiernych. “Ile chcecie dostawać miesięcznie” - zapytał ją pan Gillenormand. - “Trzydzieści franków”. - “Jak wam na imię?” - “Olimpia”. – “Dostaniesz pięćdziesiąt franków i będziesz się nazywać Nikoletą”.

## VI

### **W którym spotykamy po raz pierwszy Magnon i jej przychówek**

Ból pana Gillenormand wyrażał się gniewem; wściekał się, że jest smutny. Hołdował wszelkim przesądom i pozwalał sobie na wszelkie wybryki. Podkreślał swoim wyglądem zewnętrznym i cieszył się tym w duchu, co zaznaczyliśmy już powyżej, że pozostał nadal “kobieciarzem”, i zdecydowanie chciał za takiego uchodzić. Nazywał to “królewską reputacją”. Ta królewska reputacja ściągała na niego czasami osobliwe niespodzianki. Pewnego dnia przyniesiono mu w koszyku, niczym w koszu na ostrygi, noworodka, tęgiego chłopaka drącego się wniebogłosey i starannie owiniętego w powijaki. Wypędzona przed pół rokiem służąca pomawiała pana Gillenormand o ojcostwo. Pan Gillenormand miał wówczas swoje osiemdziesiąt cztery lata. Otoczenie zawrzało głośnym oburzeniem. Kogóż ta bezczelna hultajka chce wziąć na kawał? Co za zuchwalstwo! Co za niegodziwa potwarz! Pan Gillenormand zaś nie gniewał się bynajmniej. Popatrzył na niemowlę z dobrodusznym uśmiechem człowieka, któremu oszczerstwo mile pochlebiało, i rzekł tak głośno, aby go wszyscy słyszeli: “Więc cóż? O co chodzi? Co się stało? Dziwicie się, prawdę mówiąc, jak jacyś nieokrzesañcy. Jaśnie oświecony książę d'Angoulème, bastard jego królewskiej mości Karola IX, mając lat osiemdziesiąt pięć, poślubił piętnastoletnią gąskę; pan Virginal, markiz d'Alluye, brat kardynała de Sourdis, arcybiskupa Bordeaux w wieku lat osiemdziesięciu trzech miał syna z pokojową pani prezydentowej Jacquin, prawdziwe dziecko miłości, syn ten został potem kawalerem maltańskim i radcą stanu; jeden z wielkich ludzi naszego stulecia, ksiądz Tarabaud, jest synem osiemdziesięciosiedmioletniego człowieka. To najzwyczajsze w świecie rzeczy! A Biblia! Co powiedziawszy, oświadczam, że ten młodzieniec nie jest moim synem. Proszę o niego dbać. To nie jego wina!” Było to bardzo dobrotliwe załatwienie sprawy. Dziewczyna ta, imieniem Magnon, w rok potem przysłała mu jeszcze jeden upominek. Był to znowu chłopak. Tym razem pan Gillenormand skapitulował. Oddał matce obu malców, zobowiązując się wpłacać na ich utrzymanie osiemdziesiąt franków miesięcznie, pod warunkiem, że wyżej wymieniona matka na tym poprzestanie. Dodał przy tym: “Życzę sobie, żeby matka traktowała ich dobrze. Od czasu do czasu będę ich odwiedzał”. Co też i robił. Pan Gillenormand miał brata, księdza, który był przez trzydzieści trzy lata rektorem akademii w Poitiers i umarł mając siedemdziesiąt dziewięć lat. “Odumarł mnie młodo” - mówił pan

Gillenormand. Brat ów, po którym zostało niewiele wspomnień, był spokojnym skąpcem, który uważał, że jako ksiądz powinien wspomagać jałmużną napotykanymi biedaków, ale dawał im zawsze groszaki wytarte albo wyszłe z obiegu, wynajdując sposób, aby drogą wiodącą do rajów dojść do piekła. Pan Gillenormand starszy nie skąpił jałmużny: dawał ją chętnie i po pańsku. Z natury życzliwy ludziom, szorstki i miłosierny, gdyby był bogaty, miałby skłonność do wystawnego życia. Chciał, aby wszystko, co go tyczyło, było robione z rozmachem, nawet szacherki. Gdy w jakiejś sprawie spadkowej pełnomocnik okradł go w sposób oczywisty i ordynarny, zawołał z godnością: “A fe! Jak to po partacku zrobione! Doprawdy, wstyd mi takich matactw! Wszystko schodzi na psy w naszych czasach, nawet szelmy. Do kroćset! Nie w ten sposób należy okradać takiego człowieka jak ja. Obrabowano mnie, jak w ciemnym lesie, ale obrabowano niezręcznie.

“*Silvae sint consule dignae!*”<sup>\*</sup> Mówiliśmy już, że był dwukrotnie żonaty. Z pierwszą żoną miał córkę, która nie wyszła za mąż, z drugą również córkę, zmarłą około trzydziestego roku życia. Córka ta z miłości, z przypadku czy też z innej przyczyny poślubiła żołnierza, który walczył w armiach republiki i cesarstwa, dostał krzyż pod Austerlitz, a pod Waterloo został mianowany pułkownikiem. “Zakała rodziny” - mówił o nim stary *bourgeois*. Zażywał dużo tabaki i z nieporównanym wdziękiem strzepywał dłonią swój koronkowy żabot. Nie bardzo wierzył w Boga.

---

<sup>\*</sup> “Niech lasy będą godne konsula!” (Wergiliusz, “Bukoliki”, IV, 3).

## VII

### **Zasada: wizyty można przyjmować tylko wieczorem**

Takim był pan Luc-Esprit Gillenormand, który nie stracił żadnego włosa z czupryny, raczej szpakowatej niż siwej, i zawsze zaczesanej na uszy, według mody Dyrektoriatu. Ogólnie biorąc, postać - mimo wszystko - czcigodna. Miał w sobie coś z osiemnastego wieku: był płochy i wielki. W pierwszych latach Restauracji pan Gillenormand, podówczas jeszcze młody - w roku 1814 miał zaledwie siedemdziesiąt cztery lata - mieszkał na przedmieściu Saint-Germain, niedaleko kościoła Św. Sulpicjusza, przy ulicy Servandoni. Dopiero wówczas, kiedy już dobrze przekroczył osiemdziesiątkę, wycofał się z życia światowego i przeniósł na Bagno.

Wycofawszy się z życia, zasklepił się w swoich przyzwyczajeniach. Trzymać za dnia drzwi domu zamknięte, a wizyty bez względu na to, kto go odwiedzał i w jakiej sprawie, przyjmować jedynie wieczorem - to była jego główna i niezmienna zasada. O godzinie piątej jadł obiad, po czym dom swój otwierał dla gości. Taka była moda jego epoki i za żadną cenę nie chciał od niej odstąpić. "Dzień to hołota - mawiał - i zasługuje tylko na zamknięte okiennice. Przyzwoici ludzie błyszczą dowcipem, gdy u zenitu rozbłyskują gwiazdy". I zamykał się na cztery spusty przed wszystkimi, nawet przed królem. Staroświecka elegancja jego czasów.

## VIII

### Dwoje ludzi nie zawsze stanowi parę

Przed chwilą wspomnieliśmy o córkach pana Gillenormand. Dzieliła je różnica dziesięciu lat. W młodości mało były do siebie podobne; zarówno z charakteru, jak i twarzy nie wyglądały wcale na siostry. Młodsza była to urocza istota, rwąca się do wszystkiego, co świetlane, zajęta kwiatami, poezją i muzyką, ulatująca w promienne przestworza, eteryczna, pełna entuzjazmu, od dzieciennych lat zaręczona w marzeniu z jakąś mglistą postacią bohatera. Starsza też miała swoje rojenia: oto z błękitów wyłaniał się ku niej jakiś kupiec, jakiś poczciwy, gruby i bardzo bogaty dostawca wojskowy, mąż idealnie głupi, milion w postaci mężczyzny; albo znów prefekt: przyjęcia w prefekturze, w przedpokoju woźny z łańcuchem na szyi, oficjalne bale, przemówienia na merostwie, tytuł “pani prefektowej” - wszystko to wirowało w jej wyobraźni. I tak za swych dziewczęcych lat obydwie siostry zatapiały się każda w swoim marzeniu. Obie miały skrzydła: jedna anioła, druga - gęsi.

Żadne pragnienie nie ziszcza się całkowicie, przynajmniej na tym padole. W epoce, w jakiej żyjemy, żaden raj nie zstępuje na ziemię. Młodsza poślubiła mężczyznę swoich snów, ale umarła. Starsza nie wyszła za mąż.

W chwili gdy pojawia się ona w historii, którą opowiadamy, jest to podstarzała cnotka, skromnisa nieczuła na żadne pokusy; najostrzejszy nos i najlepszy umysł, jaki można napotkać. Szczegół charakterystyczny: nikt poza najbliższą rodziną nie znał jej imienia. Nazywano ją: “starsza panna Gillenormand”.

Pod względem pruderii starsza panna Gillenormand nie ustępowała angielskiej *miss*. Była to skromność posunięta do ostatecznych granic. Panna Gillenormand miała jedno straszliwe wspomnienie: jakiś mężczyzna widział kiedyś jej podwiązkę.

Wiek pogłębił jeszcze tę bezlitosną wstydlivość. Uważała, że jej stanik zawsze jest zbyt przezroczysty i nigdy nie dochodzi dość wysoko pod szyję. Przypinała mnóstwo agrafek i szpilek tam, gdzie nikomu ani śniło się zaglądać. Taka już jest właściwość pruderii - tym pilniej strzec, im twierdza jest mniej zagrożona.

A jednak niech ten, kto potrafi, wytłumaczy odwieczne tajemnice dusz niewinnych; panna Gillenormand bez przykrości pozwałała się całować pewnemu oficerowi lansjerów, który był jej ciotecznym wnukiem i nazywał się Teodul.

Pomimo feblika do owego lansjera, etykieta "skromnisia", pod którą ją zaklasyfikowaliśmy, odpowiadała jej najzupełniej. Panna Gillenormand była jakąś zmierzchającą duszą. Pruderia jest pół-cnotą i pół-występkiem.

Z pruderią łączyła bigoterię, podszewkę istotnie dobraną. Należała do sodalicii mariańskiej, nosiła biały welon w niektóre święta, mamrotała specjalne modlitwy, czciła "Najświętsze Serce", wielbiła "Najświętsze Rany", w kaplicy, zamkniętej dla zwykłych wiernych, godzinami trwała w kontemplacji przed rokokowojezuickim ołtarzem, a dusza jej wlatywała między obłoczki z marmuru i wielkie promienie z pozłacanego drzewa.

Miała przyjaciółkę z kościoła, starą pannę jak i ona, zwaną panną Vaubois, kompletnie zidiociała, w towarzystwie której panna Gillenormand miała tę satysfakcję, że czuła się orłem. Poza *Agnus Dei* i *Ave Maria* panna Vaubois umiała tylko na różne sposoby smażyć konfitury. Panna Vaubois, doskonałość w swoim rodzaju, była wcieleniem głupoty, niepokalanej jak biel gronostaja, nieskażonej żadną plamką inteligencji.

Powiedzmy to: starzejąc się, panna Gillenormand raczej zyskała, niż straciła. Tak się dzieje z biernymi naturami. Nigdy nie była zła, co jest względną dobrocią; a poza tym lata ścierają kanty - z wiekiem złagodniała. Była smutna jakimś tajemniczym smutkiem, którego przyczyny nie знаła sama. Z całej jej postaci biło zdziwienie skończonego życia, które się nigdy nie zaczęło.

Zarządzała domem ojca. Pan Gillenormand miał przy sobie córkę, tak jak ekscelencja Benvenuto miał przy sobie siostrę. Takie współzycie starca i starej panny nie należy do rzadkości i stanowi zawsze wzruszający widok dwóch słabości, które wzajemnie się wspierają.

Między starcem a starą panną było jeszcze w tym domu dziecko, mały chłopak, zawsze zalękniony i milczący w obecności pana Gillenormand. Pan Gillenormand zwracał się do dziecka zawsze srogim głosem, a często z podniesioną laską: "Do mnie, paniczu! Chodź tu, ty gałganie! Odpowiadaj, błażnie! Pokaż no się, nicponiu!" itd., itd. Ubóstwiał go.

Był to jego wnuk. Spotkamy się jeszcze z tym dzieckiem.



**Księga trzecia**

**Dziadek i wnuk**



# I

## Dawny salon

Kiedy pan Gillenormand mieszkał jeszcze na ulicy Servandoni, często bywał w paru salonach bardzo dystyngowanych i bardzo arystokratycznych. Przyjmowano go tam, mimo że był mieszczaninem. Ponieważ zaś miał dowcip podwójny, ten, który w istocie posiadał, i ten, który mu przypisywano, był nawet poszukiwany w towarzystwie i honorowany. Bywał tylko tam, gdzie górował nad otoczeniem. Są ludzie, którzy za wszelką cenę pragną mieć znaczenie i zwracać na siebie uwagę; tam gdzie nie mogą być wyrocznią, stają się błaznami. Pan Gillenormand nie był człowiekiem tego pokroju; królował w salonach rojalistycznych, do których uczęszczał, nie narażając na szwank godności własnej. Był wyrocznią wszędzie. Zdarzało mu się sprzeciwić panu du Bonald<sup>\*</sup>, a nawet panu Bengy-Puy-Valée<sup>\*</sup>.

Koło roku 1817 spędzał niezmiennie dwa popołudnia w tygodniu w bliskim sąsiedztwie, na ulicy Ferou, u pani baronowej de T., godnej i szanowanej osoby, której mąż za Ludwika XVI był ambasadorem Francji w Berlinie. Baron de T., który za życia interesował się namiętnie ekstazami i zjawiskami magnetyzmu, zmarł zrujnowany na emigracji, pozostawiając za cały majątek dziesięć tomów rękopisu bardzo ciekawych wspomnień o Me-smerze i jego kadzi, oprawnych w czerwony safian, ze złoceniami na grzbiecie. Wiedziona poczuciem godności, pani de T. nie ogłosiła drukiem tych wspomnień i utrzymywała się z małej renty, która w jakiś sposób ocalała. Pani de T. żyła z dala od dworu - bardzo mieszanego towarzystwa, jak powiadała - w odosobnieniu szlachetnym, dumnym i biednym. Paru przyjaciół zbierało się dwa razy w tygodniu przy jej wdowim kominku i w ten sposób tworzył się salon czysto rojalistyczny. Pito tam herbatę i zależnie od elegijnego lub dytyrambicznego nastroju ubolewano albo oburzano się na obecne czasy, na kartę konstytucyjną, na bonapartystów, na bezczeszczenie Orderu Św. Ducha, rozdawanego mieszczanom, na jakobinizm Ludwika XVIII i mówiono po cichu o nadziejach, jakie budził Monsieur<sup>\*</sup>, późniejszy Karol X. Wybuchy radości wywoływały tam gminne śpiewki, w któ-

---

<sup>\*</sup> Louis-Gabriel-Ambroise wicehrabia de Bonald (1754-1840) -publicysta i filozof francuski, moralista.

<sup>\*</sup> Philippe-Jacques de Bengy-Puy-Vallée (1743-1823) - przedstawiciel prawicy w Konstytuancie, pisarz polityczny.

<sup>\*</sup> Tytuł nadawany we Francji bratu królewskiemu.

rych Napoleon nazywany był Mikołajkiem. Hrabiny, najsubtelniejsze i najwytworniejsze damy, rozplęwały się z zachwytu nad takimi oto wierszykami, skierowanymi do “konfederatów”:

*Wsadźcie se dobrze w portki koszule,  
Żeby wam bielą nie błyskało,  
Bo wraz powiedzą, że patrioci  
Wywieszają chorągiew białą.*

Zabawiano się także układaniem kalamburów, sądząc, że są straszliwe, i niewinną grą słów, mniemając, że jest jadowita. Układano też czterowiersze, a nawet dystychy; na przykład na umiarkowany gabinet Dessolles'a, w którego skład wchodziłi Decazes i Deserre:

*Tron pada, a trzech durniów w fotelu się rozpiera,  
Wrzeszcząc jeszcze: “Dej soli, dej kaszy, dej sera!”*

Albo układano listę Izby Parów - “izby obrzydliwie jakobińskiej” i - łączono ze sobą nazwiska tak, aby tworzyły różne pocieszne zdania. Wszystko to na wesoło.

W świecie tym parodiowało się rewolucję. Z jakimś dziwnym upodobaniem obracano to samo ostrze gniewu w odwrotnym kierunku. Śpiewano swoje niegroźne, ”*Ça ira*”:

*Ah! Ça ira, ça ira, ça ira!  
Bonapartystów na latarnię!\**

Piosenki są jak gilotyna: z jednaką obojętnością ścinają dziś tę głowę, jutro tamtą. To tylko sprawa wariantu.

W sprawie Fualdesa\*, która przypada na te czasy, na rok 1816, opowiadano się po stronie Bastide'a i Jausiona, ponieważ Fualdes był “bonapartystą”. Liberałów określano mianem “braci i przyjaciół” - była to najgorsza obelga.

Jak niektóre dzwonnice przy kościołach, salon baronowej T. miał dwa koguty. Jednym był pan de Gillenormand, drugim był hrabia Lamothe-Valois\*, o którym szeptano sobie na

---

\* Trawestacja rewolucyjnej piosenki: “Ah! *Ça ira, ça ira!* Les royalistes à la lanterne!”

\* Antoine-Bernardin Fualdés (1761-1817), prawnik, bonapartysta, został bestialsko zamordowany przez swojego powinowatego Jausiona i szwagra tegoż, Bastide'a.

ucho z pewnym szacunkiem: “Czy pan wie? To ten Lamothe od naszyjnika”. Koterie stosują takie osobliwe amnestie.

Dodajmy jedno: w środowisku mieszczańskim zaszczytne stanowiska pomniejszają się, nawiązując zbyt łatwe stosunki; trzeba uważać, kogo się u siebie przyjmuje; tak samo jak traci się kalorie w sąsiedztwie ludzi, którym jest zimno, tak traci się poważanie w zbliżeniu z ludźmi powszechnie wzgardzonymi. Dawny wielki świat był ponad to prawo, jak i ponad wszelkie inne. Marigny, brat pani la Pompadour, bywa u księcia de Soubise\*. Mimo że? Nie. Dlatego że Du Barry\*, opiekun pani Vaubernier, jest dobrze widziany u marszałka de Richelieu. Ten świat to Olimp; Merkury i księżę de Guemenee czują się tam u siebie; dopuszcza się tam złodzieja, jeśli jest bogiem.

Hrabia de Lamothe, który w roku 1815 miał siedemdziesiąt pięć lat, nie odznaczał się niczym szczególnym poza powściągliwym i uroczystym sposobem bycia, chłodną, kościstą twarzą, nienagannie grzecznymi manierami, surdudem zapiętym aż po halsztuk i długimi, założonymi jedna na drugą nogami w luźnych pantalonach koloru sjeneńskiej terakoty. Twarz miał koloru pantalonów.

Z panem de Lamothe “liczono się” w tym salonie z powodu jego “sławy” i - rzecz dziwna, lecz prawdziwa - z powodu nazwiska Valois.

Poważanie, jakim się cieszył pan Gillenormand, było w prawdziwie dobrym gatunku: miał autorytet dlatego, że był autorytetem. Mimo swej lekkomyślności, zachowaniem godnym, szlachetnym i patrycjuszowsko wyniosłym nakazywał szacunek, co w niczym zresztą nie umniejszało jego wesołości; sędziwy wiek dodawał mu jeszcze powagi. Nie dźwiga się bezkarnie stulecia. Z biegiem czasu lata tworzą naokół głowy nimb czcigodności.

Miał też powiedzenia, przez które przebłyskiwała stara, dobra rasa. Tak na przykład, gdy król pruski, wprowadziwszy na tron Ludwika XVIII, złożył mu wizytę pod nazwiskiem hrabiego de Ruppin, potomek Ludwika XIV przyjął go trochę jak margrabiego brandenburskiego, z pewną subtelną impertynencją. Pan Gillenormand przyklasnął temu. “Każdy król, poza królem Francji, to prowincjonalny królik” - powiedział. Kiedyś toczyła się przy nim taka rozmowa: “Na co skazano redaktora «Kuriera Francuskiego»? - “Na

---

\* Marc-Ambroise-Nicolas de la Motte-Valois (1754-1831) - arystokrata skompromitowany wraz z żoną w głośnej aferze kradzieży naszyjnika Marii Antoniny.

\* Charles de Rohan książę de Soubise (1715-1787) - arystokrata, zręczny dworak, faworyt Ludwika XV, a zwłaszcza pani de Pompadour.

\* Guillaume du Barry - arystokrata, ożenił się z piękną Jeanne Becu (1743-1793), osobą dość ciemnego pochodzenia, zwaną Jeanne Vaubemier, która potem dzięki intrygom swego szwagra Jana du Barry i przy pomocy marszałka Richelieu została faworytą Ludwika XV.

zawieszenie” - “Właściwsze byłoby zamienić za na po” - zauważył pan Gillenormand. Takie słowa stwarzają pozycję.

Podczas *Te Deum* w rocznicę powrotu Burbonów, widząc przechodzącego Talleyranda, rzekł: “Oto ekscelencja Bies!”

Pan Gillenormand przychodził zwykle w odwiedziny w towarzystwie córki, wysokiej pannicy, która przekroczyła wówczas czterdziestkę, a wyglądała na lat pięćdziesiąt, i ślicznego siedmioletniego chłopczyka, białego, różowego, świeżego, z pełnym szczęścia i ufnym spojrzeniem. Wejściu chłopca do salonu towarzyszył zawsze szept: “Och, jaki śliczny! Co za szkoda! Biedne dziecko!” Był to ten sam chłopczyk, o którym wspominaliśmy przed chwilą. Nazywano go “biednym dzieckiem”, bo ojcem jego był “zbój znad Loary”<sup>\*</sup>.

Ten zbój znad Loary to wymieniony już tutaj zięć pana Gillenormand, zwany przez niego zakałą rodziny.

---

<sup>\*</sup> Pogardliwa nazwa nadawana przez rojalistów niedobitkom wojsk napoleońskich, które po klęsce pod Waterloo wycofały się nad Loarę.

## II

### Jedno z czerwonych widm tego czasu

Kto odwiedził w owej epoce miasteczko Vernon i zatrzymał się na pięknym, monumentalnym moście, na którego miejscu, jak należy się spodziewać, już wkrótce stanie jakiś szpetny żelazny most, ten, spoglądając w dół, poza balustradę, mógł zobaczyć mężczyznę lat około pięćdziesięciu w skórzanym kaszkiecie, sabotach, spodniach i kurtce z grubego, szarego sukna, na której naszyte było coś żółtego, co niegdyś było czerwoną wstążeczką; człowiek ten, spalony słońcem, miał twarz prawie czarną, a włosy prawie białe i głęboką, sięgającą aż po policzek, bliznę na czole. Pochylony, zgarbiony, przedwcześnie postarzały, przechadzał się niemal całymi dniami z motyką lub nożem ogrodniczym w ręku po jednym z tych otoczonych murami skrawków gruntu, które sąsiadują z mostem i okalają niby łańcuchem tarasów lewy brzeg Sekwany; gdyby te urocze zakątki były znacznie większe, można by o nich powiedzieć: "to ogrody"; gdyby były trochę mniejsze: "to bukiety". Każdy z tych zakątków graniczy z jednej strony - z rzeką, z drugiej - z domem. Mężczyzna w kurtce i sabotach, o którym mówiliśmy przed chwilą, mieszkał około 1817 roku w najmniejszym z tych ogródków i w najuboższym z domków. Żył tam samotny, w ciszy i niedostatku; usługiwała mu kobieta ani młoda, ani stara, ani urodziwa, ani brzydka, ni to chłopka, ni mieszcza. Kawałek ziemi, który nazywał swoim ogrodem, słynął w mieście z pięknych kwiatów, które tam hodował. Kwiaty były jego jedynym zajęciem.

Dzięki pilnej pracy, wytrwałości i niezliczonym wiadrom wody udało mu się udoskonalić dzieło Stwórcy - i wynaleźć pewne odmiany tulipanów i dalii, o których przyroda jak gdyby zapomniała. Był niezwykle pomysłowy; przed Soulange Bodinem\* wpadł na pomysł, aby dla hodowli rzadkich i cennych krzewów z Chin i Ameryki sypać małe kopczyki ziemi z wrzosowiska. Latem skoro świt był już w ogródku, pikował, przycinał, pełł, podlewał, chodził wśród kwiatów z wyrazem dobroci, smutku i łagodności, a czasem zadumany stał w miejscu długie godziny, słuchając śpiewu ptaka na drzewie czy szczebiotu dziecka w jakimś domu, albo wpatrywał się w źdźbło trawy, na którym kropla rosy lśniła w słońcu jak diament. Jadał bardzo skromnie i pijał raczej mleko niż wino. Dziecku ustępował z drogi, słudze

---

\* Etienne Soulangue Bodin (1774-1846) - dyplomata francuski, zamiłowany hodowca roślin, jeden z założycieli Instytutu Ogrodnictwa w Paryżu oraz Towarzystwa Ogrodnictwa.

pozwalał się łącać. Był nieśmiały tak bardzo, że wydawał się dziki, wychodził z domu rzadko i widywał tylko żebraków, którzy stukali do jego okna, i proboszcza, księdza Mabeuf, poczciwego staruszka. Wszelako, gdy jakiś mieszkaniec miasteczka czy też ktoś przejezdny, ciekaw jego róż i tulipanów, dzwonił do jego domku, przyjmował go z uśmiechem. Był to “zbój znad Loary”.

Kto w owym czasie czytywał pamiętniki wojenne, biografie, “Monitora” i biuletyny Wielkiej Armii, mógł zwrócić uwagę na powtarzające się tam dość często nazwisko Jerzego Pontmercy. Jako młody chłopak, ów Jerzy Pontmercy był żołnierzem w pułku Saintonge. Wybuchła rewolucja. Pułk z Saintonge wszedł w skład armii Renu; dawne pułki królewskie bowiem, nawet po upadku monarchii, zachowały swoje własne nazwy, pochodzące od nazw prowincji, i dopiero w 1794 roku połączyły się w brygady. Pontmercy bił się pod Spirą, pod Wormacją, pod Neustadt, pod Turkheim, pod Alezey i Moguncją, gdzie należał do dwustu ludzi, tworzących straż tylną Houcharda. Był jednym z dwunastu żołnierzy, którzy za starym szańcem Andarnach wstrzymali napór całego korpusu księcia Heskiego i dopiero wtedy wycofali się i połączyli ze swoją armią, kiedy nieprzyjacielski pocisk rozdarł szaniec od góry do dołu. Pod dowództwem Klebera walczył w Marchiennes i wziął udział w bitwie pod Mont-Palissel, gdzie kula z garłacza strzaskała mu ramię. Potem przeszedł na granicę Włoch i był jednym z trzydziestu grenadierów, którzy bronili przełęczy Tende wraz z Joubertem. Joubert został za to mianowany generałem-adiutantem, Pontmercy - podporucznikiem. Pontmercy był u boku Berthiera w ogniu kartaczów pod Lodi owego pamiętnego dnia, o którym Napoleon powiedział: “Berthier był tam kanonierem, kawalerzystą i grenadierem!” Widział, jak pod Novi padł jego dawny generał Joubert, w chwili gdy z podniesioną szpadą wołał: “Naprzód!” Załadowany wraz ze swoją kompanią, jak tego wymagały wojenne okoliczności, na szalupę jadącą z Genui do jakiegoś małego przybrzeżnego portu, wpadł - jak w gniazdo os - między siedem czy osiem żaglowców angielskich. Komendant, Genuńczyk, chciał zepchnąć działa do morza, ukryć żołnierzy pod pokładem i prześliznąć się w ciemnościach jako statek handlowy. Pontmercy kazał wciągnąć na maszt trójkolorową banderę i dumnie przepłynął przed działami angielskich fregat. Ujechawszy jeszcze dwadzieścia mil, nabrał takiego zuchwalstwa, że zaatakował na swojej szalupie spory transportowiec angielski, wiozący wojsko na Sycylię i aż po wiązania pomostu wyładowany ludźmi i końmi. W roku 1805 należał do dywizji Maniera, która odebrała Günzburg arcyksięciu Ferdynandowi. Pod Wettingen wśród gradu kul padł mu w ramiona pułkownik Maupetit, raniony śmiertelnie na czele 9 pułku dragonów. Odznaczył się pod Austerlitz, biorąc udział we wspaniałym marszu zwartymi kolumnami pod ogniem nieprzyjacielskim. Kiedy jazda



rosyjska gwardii cesarskiej rozniosła jeden z batalionów 4 liniowego, Pontmercy należał do tych, którzy wzięli odwet i rozbili gwardię. Cesarz udekorował go krzyżem. Pontmercy widział, jak kolejno szli do niewoli: Wurmser w Mantui, Melas w Aleksandrii, a Mack w Ulm. Należał do 8 korpusu Wielkiej Armii, który pod dowództwem Mortiera zdobył Hamburg. Potem przeszedł do 55 liniowego, który był dawnym pułkiem flandryjskim. Pod Eylau znajdował się na cmentarzu, gdzie bohaterski kapitan Ludwik Hugo, stryj autora tej książki, wytrzymał przez dwie godziny sam, wraz ze swoją kompanią liczącą osiemdziesięciu trzech ludzi natarcie całej nieprzyjacielskiej armii. Pontmercy był jednym z trzech ludzi, którzy z życiem uszli z tego cmentarza. Był pod Frydland. Potem widział Moskwę, potem Berezynę, potem Lutzen, Bautzen, Drezno, Wachau, Lipsk i wąwozy Gelenhausen; potem Montmirail, Château-Thierry, Craon, brzegi Mamy, brzegi Aisne'y, i niebezpieczną pozycję w Laon. Pod Arnay-le-Duc, jako kapitan, zarąbał szablą dziesięciu kozaków i ocalił nie swojego generała, ale swojego kaprala. Został posiekany przy tej okazji tak, że z samego tylko lewego ramienia wydobyto mu potem dwadzieścia siedem odłamków kości. Na tydzień przez kapitulacją Paryża pomieniał się ze swoim kolegą i przeniósł się do jazdy. Miał bowiem, jak to nazywano w dawnych czasach, talent w palcach, to znaczy, że jako żołnierz z jednakową zdolnością władał pałaszem co karabinem, a jako oficer - szwadronem co batalionem. Z tej to zdolności, pogłębionej wiedzą wojskową, powstały pewne specjalne formacje broni, jak np. dragoni, którzy są zarazem jazdą i piechotą. Towarzyszył Napoleonowi na Elbę. Pod Waterloo dowodził szwadronem kirasjerów w brygadzie Dubois. Zdobył też sztandar batalionu luneburskiego. Złożył go u stóp cesarza. Złany był krwią. Podczas walki o sztandar dostał cięcie szablą przez twarz. Cesarz, zadowolony, zawołał do niego: "Jesteś pułkownikiem, baronem i oficerem Legii Honorowej!" Pontmercy powiedział: "Najjaśniejszy panie, dziękuję w imieniu wdowy po mnie!" W godzinę później padł w wąwozie Ohain. A teraz kimże był ów Jerzy Pontmercy? Właśnie "zbójem znad Loary".

Znamy już pewne fakty z jego życia. Po bitwie pod Waterloo Pontmercy wyciągnięty - jak sobie przypominamy - z wąwozu Ohain zdołał dogonić armię i przerzucany z ambulansu do ambulansu dotarł do obozu nad Loarą.

Restauracja wyznaczyła mu połowę żołdu, a następnie zesłała go na pobyt, to jest pod dozór do miasteczka Vernon. Król Ludwik XVIII uważając za niebyłe wszystko, co zaszło w okresie Stu Dni, nie uznał ani jego godności oficera Legii Honorowej, ani stopnia pułkownika, ani tytułu barona. On zaś przy każdej sposobności podpisywał się: "Pułkownik, baron Pontmercy". Miał jeden jedyny, stary, niebieski frak, lecz ile razy wychodził, nie zapomniał nigdy przypiąć rozetki Legii Honorowej. Prokurator królewski kazał go uprzedzić,

iż będzie ścigany sędownie za “bezprawne noszenie tego odznaczenia”. Gdy ostrzeżono go o tym nieoficjalnie, Pontmercy odparł z gorzkim uśmiechem: “Nie wiem doprawdy, czy to ja nie rozumiem już po francusku, czy też pan mówi jakimś innym językiem, dość, że nic nie pojmuję”. Po czym przez tydzień wychodził dzień w dzień na miasto ze swoją rozetką Legii. Nie ośmielono się go niepokoić. Minister wojny i generał, komendant departamentu, pisali do niego parę razy, adresując: “Do pana kapitana Pontmercy”, odsyłał listy nie rozpieczętowane. W tym samym czasie Napoleon na św. Helenie w ten sam sposób postępował z pismami sir Hudsona Lowe adresowanymi do *generała Bonaparte*. Pontmercy doszedł w końcu do tego, że - niech nam czytelnik wybaczy to określenie - miał w ustach tę samą ślinę co jego cesarz.

W Rzymie byli także żołnierze kartagińscy wzięci do niewoli, którzy nie chcieli oddawać honorów Flaminiuszowi i mieli coś z duszy Hannibala.

Pewnego ranka Pontmercy spotkał na jakiejś ulicy Vernon prokuratora królewskiego, podszedł do niego i zapytał: “Panie prokuratorze, czy wolno mi nosić na twarzy moją bliznę?”

Nie miał nic prócz bardzo mizernego półżołdu dowódcy szwadronu. Wynajął w Vernon najmniejszy domek, jaki mógł znaleźć. Żył tam samotny, widzieliśmy, w jaki sposób. Za cesarstwa, między jedną kampanią a drugą, znalazł czas, żeby poślubić pannę Gillenormand. Stary *bourgeois*, oburzony do głębi, zgodził się wzdychając i mówiąc: “Najlepsze rodziny bywają do tego zmuszone “. W 1815 roku pani Pontmercy, kobieta zresztą pod każdym względem urocza, wykształcona, nieprzeciętna i godna swego męża, umarła, zostawiając dziecko. Dziecko to było wielką radością dla pułkownika w jego osamotnieniu; ale dziadek kategorycznie zażądał wydania mu wnuka, oświadczając, że w przeciwnym razie go wydziedziczy. Dla dobra malca ojciec ustąpił i - nie mogąc mieć dziecka przy sobie - pokochał kwiaty.

Wyrzekł się zresztą wszystkiego, nie ruszał się z wyznaczonego mu miejsca zamieszkania ani nie konspirował. Dzielił swoje myśli między sprawy niewinne, które wypełniały mu terażniejszość, i sprawy wielkie, których dokonał w przeszłości. Spędzał czas, czekając na rozwinięcie goździka lub wspominając Austerlitz.

Pan Gillenormand nie utrzymywał żadnych stosunków ze swoim zięciem. Pułkownik był dla niego “bandytą”, a on był dla pułkownika “zakutym łbem”. Pan Gillenormand nigdy nie mówił o pułkowniku, czasem tylko robił szydercze aluzje do jego “baronostwa”. Dziadek zastrzegł sobie wyraźnie, że Pontmercy nie będzie nigdy usiłował widywać syna ani z nim rozmawiać, pod groźbą wydziedziczenia i odesłania mu chłopca. Dla Gillenormandów pułkownik był trędowaty. Chcieli wychować dziecko po swojemu. Pułkownik może źle zrobił, przystając na takie warunki, ale przestrzegał ich, przekonany, że postępuje słusznie i

poświęca tylko samego siebie. Spadek po starym Gillenormand był niewielki, ale spadek po pani Gillenormand starszej był znaczny. Ciotka ta, która nie wyszła za mąż, odziedziczyła po matce duży majątek, a syn siostry był jej naturalnym spadkobiercą.

Chłopiec, który miał na imię Mariusz, wiedział, że ma ojca, ale nic ponadto. Nikt nawet słowem nie wspominał mu o tym ojcu. Jednakże szept, półsłówka i znaczące spojrzenia osób z towarzystwa, do którego wprowadzał go dziadek, powoli przeniknęły do świadomości dziecka, które zaczęło wreszcie rozumieć coś niecoś; ponieważ zaś, naturalnym biegiem rzeczy, nasiąkało powoli przekonaniami i pojęciami, którymi - rzecz by można - oddychało, więc w końcu każda myśl o ojcu przejmowała go wstydem i boleścią.

Kiedy tak Mariusz rósł, pułkownik wymykał się z domu, przyjeżdżał co parę miesięcy ukradkiem do Paryża jak przestępca, który wykradł się spod nadzoru policji, i szedł do kościoła Św. Sulpicjusza w porze, w której ciotka Gillenormand przyprowadzała Mariusza na mszę. Tam, ukryty za filarem, drząc, żeby ciotka nie obejrzała się przypadkiem, stał nieruchomo, wstrzymując oddech - i wpatrywał się w swoje dziecko. Ten pokiereszowany wojak bał się starej panny.

To dało początek jego zażyłości z proboszczem w Vernon, księdzem Mabeuf.

Brat zacnego księdza, skarbnik u Św. Sulpicjusza, widywał często w kościele mężczyznę, który wpatrywał się w dziecko, zauważył też i bliznę na jego twarzy i wielkie łzy w oczach. Mężczyzna o tak marsowym wyglądzie, płaczący jak kobieta, zwrócił jego uwagę. Ta twarz utkwiała mu w pamięci. Pewnego dnia, przybywszy do Vernon w odwiedziny do swojego brata, spotkał na moście pułkownika Pontmercy i poznał w nim nieznanego z kościoła Św. Sulpicjusza. Skarbnik opowiedział o tym proboszczowi i obaj - pod jakimś pretekstem - złożyli wizytę pułkownikowi. Po pierwszej wizycie przyszły następne. Pułkownik, zrazu bardzo powściągliwy, w końcu rozgadał się szczerze; proboszcz i skarbnik poznali całą historię i dowiedzieli się, że Pontmercy poświęca swoje szczęście dla przyszłości syna. Zdobył sobie tym szacunek i sympatię proboszcza, pułkownik zaś serdecznie polubił księdza Mabeuf. Zresztą nikt lepiej nie zrozumie się i nie żyje łatwiej niż stary kapłan i stary żołnierz, jeśli przypadkiem obaj są dobrzy i prawi. W gruncie rzeczy to ten sam człowiek. Jeden walczy o ojczyznę na tym padole, drugi o ojczyznę tam w górze: to jedyna różnica.

Dwa razy do roku, pierwszego stycznia i w dzień św. Jerzego, Mariusz z obowiązku pisał do ojca listy, dyktowane przez ciotkę, jakby przepisane z jakiegoś poradnika epistolarnego; było to jedyne ustępstwo pana Gillenormand; ojciec odpowiadał najczulszymi listami, które dziadek, nie czytając, wsadzał do kieszeni.

### III

#### Requiescant

Salon pani de T, stanowił jedyne źródło poznania świata dla Mariusza Pontmercy. Przez to jedno tylko okno mógł patrzeć na życie. Było mroczne - istne okienko piwniczne, przez które sący się więcej chłodu niż ciepła, więcej ciemności niż światła. Dziecko, które wchodząc do tego dziwnego towarzystwa było uosobieniem radości i blasku, w krótkim czasie stało się smutne i - co jeszcze bardziej nie zgadzało się z jego wiekiem - poważne. Otoczone imponującymi i niezwykłymi postaciami spoglądało wokół siebie ze skupionym zdziwieniem. Wszystko przyczyniało się do tego, żeby powiększyć jego zdumienie. W salonie pani de T. bywały stare, arystokratyczne i bardzo czcigodne damy o imionach: Mathan, Noe, Lewis, które wymawiało się Lewi, i Cambis, które się wymawiało Kambiz. Te antyczne oblicza i biblijne imiona mieszały się chłopcu w głowie ze Starym Testamentem, którego się uczył na pamięć, i gdy wszystkie matrony o surowych profilach, białych lub przyprószonych siwizną włosach, w długich sukniach z innej epoki, z których rozróżniało się tylko posępne barwy, zasiadały kręgiem wokół dogasającego kominka, w świetle lampy przyćmionej zieloną zasłoną, z rzadka tylko wypowiadając słowa majestatyczne i surowe, mały Mariusz patrzył na nie wylęknionymi oczyma, sądząc, iż widzi nie kobiety, lecz patriarchów i magów, nie rzeczywiste istoty, lecz widma.

Oprócz tych widm snuło się kilku księży, stałych bywalców tego staroświeckiego salonu, i paru szlachciców: markiz de Sassenay, sekretarz księżnej de Berry, wicehrabia de Valory, publikujący pod pseudonimem "Karol Antoni" swoje ody zbudowane na jednym rymie; księżę de Beauffremont, człowiek dość jeszcze młody, który miał siwiejące skronie i ładną, dowcipną żonę, siejącą przerażenie wśród tych mroków swoimi głęboko wydekoltowanymi toaletami z purpurowego aksamitu obszytymi złotym sutaszem; markiz de Coriolis d'Espinouse, który najlepiej we Francji umiał "dozować uprzejmość"; hrabia d'Amendre, pocziwiec z dobrodusznym podbródkiem, i kawaler de Port-de-Guy, filar biblioteki Luwru, zwanej gabinetem królewskim. Pan de Port-de-Guy, łysy i nie tyle stary, ile raczej postarzały, opowiadał, że w roku 1793, gdy miał szesnaście lat, został jako buntownik zesłany na galery i skuty razem z osiemdziesięcioletnim biskupem de Mirepoix, również buntownikiem, tylko że księdzem uchylającym się od zaprzysiężenia, podczas gdy on uchylał

się od służby wojskowej. Działo się to w Tulonie. Co noc musieli zbierać na rusztowaniu głowy i ciała ludzi zgilotynowanych za dnia; dźwigali na grzbietach ociekające krwią kadłuby i ich czerwone kaftany galerników pokryte były poniżej karku skorupą z krwi, zaschniętą rano, a mokrą w nocy. Wiele takich tragicznych historii opowiadano w salonie pani de T.; tak bardzo przeklinano tam Marata, że aż przyklaskiwano Trestaillonowi. Paru deputowanych ultrareakcyjnych grywało tu w wista: pan Thibord du Chalard, pan Lemarchant de Gomicourt i sławny kpiarz z prawicy, pan Cornet-Dincourt. Sędzia de Ferette, w krótkich spodenkach na chudych nogach, zachodził tutaj czasem, udając się do pana de Talleyrand. Niegdyś był towarzyszem uciech księcia d'Artois i - w przeciwieństwie do Arystotelesa, czołgającego się przed Kampaspą\* - zmusił pannę Guimard do chodzenia na czworakach i w ten sposób pokazał potomności, jak sędzia pomścił filozofa.

Księża zaś byli to: ksiądz Halma, ten sam, który mawiał do swego współpracownika w gazecie "Piorun", pana Larose'a: "Ha, któż nie przekroczył pięćdziesiątki? Chyba paru jakichś żółtodziobów!", ksiądz Letourneur, kaznodzieja królewski, ksiądz Frayssinous, wówczas jeszcze ani hrabia, ani biskup, ani minister, ani par, ubrany w starą sutannę, przy której brakowało guzików, oraz ksiądz Kerevenant, proboszcz kościoła Saint-Germain-des-Prés; poza tym ówczesny nuncjusz papieski, monsignor Macchi, arcybiskup Nisibis, późniejszy kardynał, odznaczający się długim, zafrasowanym nosem, i inny jeszcze monsignor, którego tytułowano *abbate Palmieri*, prałat domowy, jeden z siedmiu protonotariuszy przy konsystorzu stolicy apostolskiej, kanonik tytularny bazyliki liberyjskiej, adwokat świętych *postulatore di sancti* w procesach kanonizacyjnych, co znaczy mniej więcej tyleż co referendarz stanu w departamencie raju; wreszcie dwaj kardynałowie, ksiądz de la Luzerne i ksiądz de Clermont-Tonnerre. Kardynał de la Luzerne był pisarzem i w kilka lat później miał dostąpić wielkiego zaszczytu: zamieszczał swoje artykuły w piśmie "Konserwatysta" obok artykułów Chateaubrianda. Ksiądz de Clermont-Tonnerre był arcybiskupem Tuluzy i często przyjeżdżał na odpoczynek do Paryża, do swego bratanka markiza de Tonnerre, ministra marynarki i wojny. Kardynał de Clermont-Tonnerre, wesoły, niski staruszek, błyskał czerwonymi pończochami spod podkasanej sutanny. Odznaczał się tym, że nienawidził "Encyklopedii" i namiętnie grał w bilard; przechodnie, którzy w owym czasie znaleźli się w letni wieczór na ulicy Madame, gdzie mieścił się wtedy pałac Clermont-Tonnerre, stawali słuchając stuku kuł bilardowych i piskliwego głosu kardynała, który wykrzykiwał do swego

---

\* Kampaspa albo Pankasta - faworyta Aleksandra Macedońskiego.

konklawisty, ekscelencji Cottret, biskupa *in partibus*\* Karystii: “Zapisz no, księżu! robię karambol!” Kardynała wprowadził do salonu pani de T. jego najserdeczniejszy przyjaciel, ksiądz de Roquelaure, dawny biskup Senlis, jeden z czterdziestu. Ksiądz de Roquelaure odznaczał się wysokim wzrostem i gorliwością w uczęszczaniu na posiedzenia Akademii; co czwartek poprzez oszklone drzwi sali, sąsiadującej z biblioteką, gdzie w owym czasie odbywały się narady Akademii Francuskiej, ciekawi mogli podziwiać dawnego biskupa Senlis, który świeżo upudrowany, w fioletowych pończochach stał zwykle tyłem do drzwi, widocznie dlatego, żeby lepiej było widać jego pelerynkę. Wszyscy ci duchowni, mimo że w większości wypadków zarówno dworacy, jak kapłani, przydawali powagi salonowi pani de T., którego wielkopański charakter podkreślało pięciu parów Francji: markiz de Vibray, markiz de Talara, markiz d'Herbouville, wicehrabia Dambray i książę de Valentinois. Ów książę de Valentinois, choć był księciem Monaco, a więc cudzoziemskim księciem panującym, miał tak wysokie pojęcie o Francji i o godności para, że na wszystko patrzył pod tym kątem widzenia. On to właśnie mówił: “Kardynałowie to parowie francuscy w Rzymie; lordowie to parowie francuscy w Anglii!” Wreszcie, ponieważ w naszym stuleciu rewolucja musi być wszędzie, w tym salonie, jak już wspomnieliśmy, rej wodził mieszczanin. Królował w nim pan Gillenormand.

Salon pani de T. był kwintesencją paryskiego białego towarzystwa. Trzymano z dala od siebie wszelkie sławy, nawet rojalistyczne. Sława zawiera w sobie coś z anarchii. Gdyby tam pojawił się Chateaubriand, raziłby tak samo jak ojciec Duchene. Wszakże, dzięki tolerancji, kilku republikanów dostało się do tego ortodoksyjnego świata. Hrabia Beugnot odbywał tu pokutę.

Dziś arystokratyczne salony nie przypominają już tamtych salonów. Dzisiejsze przedmieście Saint-Germain jest pretensjonalne. Dzisiejsi rojaliści to demagodzy, powiedzmy to na ich chwałę.

Ponieważ u pani de T. zbierało się najznakomitsze towarzystwo, panował tam ton wytworny i wyniosły, z wyrafinowaną uprzejmością na zewnątrz. Zwyczajnie miały wszelkie odcienie niewymuszonego wykwintu, co było treścią *ancien regime*'u, pogrzebanego, ale żywego. Niektóre z tych zwyczajów, zwłaszcza wyrażenia, wydawały się dziwaczne. Powierzchnowy znawca mógłby wziąć za parafianśszczyznę to, co było staroświeckie. Jedną z pań tytułowano: “Panią generałową”. Używano nawet zwrotu “Pani pułkownikowa”. Czarująca pani de Léon - zapewne przez pamięć księżnej de Longueville i księżnej de

---

\* Tytularny.

Chevreuse - wolała to miano od swojego książęcego tytułu. Markiza de Crequy także nazywała się “panią pułkownikową”.

To właśnie ten mały wielki świat wpadł na wyszukany pomysł, żeby w ścisłym gronie w Tuilerych mówić do króla po prostu “król” w trzeciej osobie, a nie “najjaśniejszy panie”, gdyż zwrot “najjaśniejszy panie” został “skalany przez uzurpatora”.

Wydawano tam sąd o ludziach i wydarzeniach, szydzono ze swojej epoki, co pozwalało nie rozumieć jej. Pomagano sobie nawzajem w zdumieniu. Dzielono się ze sobą zasobem wiedzy. Matuzalem pouczał Epimenidesa. Ślepiec udzielał informacji głuchemu. Uważano, że od Koblencji\* lata przestały płynąć. I podobnie jak Ludwik XVIII był - z łaski Boga - w dwudziestym piątym roku swego panowania, tak i emigranci trwali w dwudziestej piątej wiosnie życia.

Panowała tu wszędzie harmonia; nie żyło się, a wegetowało; słowo było zaledwie tchnieniem: gazeta, w zgodzie z nastrojem salonu, wydawała się papirusem. Była tam młodzież, ale jakby trochę obumarła. W przedpokoju wytarte, stare liberie. Tym ludziom, którzy tak całkowicie należeli do przeszłości, usługiwała służba tego samego pokroju. Wszystko to wyglądało jak coś, co się dawno przeżyło i uparcie nie chce dać się pogrzebać. Konserwatysta, konserwatywny, konserwatywnie: oto mniej więcej cały ich słownik. Być *in odore* dobrego tonu, było to najważniejsze zagadnienie. Istotnie, opinie tych czcigodnych osób woniały paczulą, pojęcia zaś naftaliną. Był to świat zmumifikowany. Panowie zabalsamowani, lokaje wypchani.

Pewna zacna, stara markiza, zrujnowana emigrantka, choć miała tylko jedną służącą, nadal mówiła: “Moja służba...”

Co robili w salonie pani de T. stali jego bywalcy? Byli “ultra”.

Być “ultra”, choć może dziś nie znikło to, co słowo to wyraża, zatraciło ono już swój sens. Wytłumaczmy je.

Być “ultra”, znaczy przekraczać granice. Atakować berło w imię tronu, infułę w imię ołtarza; poniewierać rzecz, którą się niesie na własnym grzbiecie; to wierzyć w zaprzęgu; to mieć za złe stosowi, że za słabo podpiera heretyków; to wyrzucać bóstwu, że ma za mało boskości; znieważać z nadmiaru szacunku; twierdzić, że papież ma za mało papizmu, król za mało królewskości, noc za dużo światła; w imię bieli nie zadowalać się alabastrem, śniegiem, łąbędziem, lilią; być stronnikiem pewnych spraw tak dalece, że stawać się ich przeciwnikiem; być tak bardzo za, że aż być przeciw.

---

\* Koblencja - twierdza w Nadrenii, ośrodek rojalistycznej emigracji francuskiej i siedziba armii kontrewolucyjnej podczas Rewolucji Francuskiej.

Duch "ultra" charakterystyczny jest dla pierwszego okresu Restauracji.

Nic w historii nie przypomina owego kwadransa, który zaczyna się w roku 1814, a kończy koło 1820 z dojściem do władzy pana Villéle, doświadczonego człowieka prawicy. Tych sześć lat to niezwykła chwila: hałaśliwa i smutna, roześmiana i ponura, rozjaśniona jakby blaskiem jutrzeńki, a równocześnie cała spowita mrokiem potężnych katastrof, który zasnuwał jeszcze horyzont i powoli zapadał w przeszłość. W tym świetle i w tym mroku istniał cały światek nowy i dawny, błazeński i smutny, młodzieńczy i starczy, który przecierał sobie oczy; nic tak nie przypomina przebudzenia jak powrót; grupa ludzi, która na Francję spoglądała z kpina i na którą Francja spoglądała z ironią; hrabiowie - pocziwe, stare puchacze - zalegający tłumnie ulice; powracające widma przeszłości, *ci-devant*<sup>\*</sup>, ludzie w oszołomieniu patrzący na wszystko, zacni, dzielni szlachcice uśmiechnięci przez łzy, że znaleźli się znów we Francji; zachwyceni, że oglądają swoją ojczyznę, i zropaczeni, że nie odnaleźli monarchii; szlachta z wypraw krzyżowych, plwająca na szlachtę cesarstwa, to znaczy na szlachtę miecza; historyczne rody, które zatraciły poczucie historii, synowie towarzyszy Karola Wielkiego gardzący towarzyszami Napoleona. Miecze - wspomnieliśmy już o tym - znieważały się wzajemnie; miecz spod Fontenoy był śmiechu godnym, zardzewiałym żelastwem; miecz spod Marengo - tylko wstrętnym, budzącym obrzydzenie pałaszem. "Niegdyś" nie uznawało "Dnia Wczorajszego". Zatracono poczucie tego, co wielkie, i tego, co śmieszne. Znalazł się ktoś, kto nazwał Napoleona - Skapenem. Tego świata już nie ma. Nic - podkreślamy to - nic z niego dziś nie zostało. Kiedy przypadkowo wydobywamy zeń jakąś postać i staramy się wskrzesić go w myśli - wydaje się dziwaczny jak świat przed potopem. Bo też i w istocie pochłonął go potop. Zniosły go dwie rewolucje. Myśli - jakież to potężne fale! Jak szybko zalewają to, co mają zniszczyć i pogrzebać, jak łatwo żłobią straszliwe głębiny!

Takie było oblicze salonów w owych czasach odległych i naiwnych, kiedy to pan Martainville<sup>\*</sup> więcej miał dowcipu niż Wolter.

Salony te miały własną literaturę i własną politykę. Wierzyły w Fiévée'go<sup>\*</sup>; Agiera<sup>\*</sup> uważały za wyrocznie. Komentowały pana Colnet, dziennikarza-bukinistę z bulwaru Malaquais. Napoleon był tam w całym tego słowa znaczeniu potworem z Korsyki. Późniejsze

---

\* *Ci-devant* (dosł.: "uprzędno") - nazwa nadawana podczas Rewolucji Francuskiej arystokratom.

\* Alphonse-Louis-Dieudonne de Martainville (1776-1830) - aktor i pisarz francuski, zażarty rojalista, założyciel pisma "Le Drapeau Blanc".

\* Joseph Fiévée (1767-1839) - dziennikarz, powieściopisarz i dramaturg francuski, rojalista; salonowy autorytet polityczny.

\* Agier - deputowany do Zgromadzenia Narodowego w roku 1824; miał wielkie wpływy w parlamencie, w r. 1828 był jednym z wiceprzewodniczących Izby.



wprowadzenie do historii pana markiza de Buonaparte, generała-porucznika wojsk królewskich, to ustępstwo na rzecz ducha epoki.

Salony owe niedługo były czyste. Począwszy od roku 1818, zjawiało się tam kilku doktrynerów - niepokojący odcień. Zachowywali się tak, jak gdyby się tłumaczyli, że są rojalistami. Tam gdzie ultraroyalści byli bardzo dumni, doktrynerzy byli nieco zażenowani. Mieli rozum, potrafili milczeć; ich dogmaty polityczne były, jak należy, usztywnione pychą; musiało im się udać. Nadużywali, z pożytkiem zresztą, białych krawatów i surdutów zapinanych pod szyję. Błędem czy też nieszczęściem partii doktrynerów było stworzenie starej młodzieży. Przybierali pozę mędrców. Marzyli o tym, żeby na zasadzie nieograniczonego absolutyzmu zaszcześcić umiarkowaną władzę. Przecistawiali - czasem z niezwykłą inteligencją - liberalizm zachowawczy liberalizmowi niszczycielskiemu. "Łaski dla rojalizmu! - mawiali. - Oddał niejedną przysługę. Przywrócił tradycję, obrzędy religijne, szacunek; jest wierny, dzielny, rycerski, pełen miłości i poświęcenia. Chociaż niezbyt chętnie - połączył nowe wielkości narodu z odwieczną wielkością monarchii. Błądzi, nie mając zrozumienia dla rewolucji, cesarstwa, sławy, wolności, nowych idei, nowych pokoleń, nowych czasów. Ale czyż my nie popełniamy czasem wobec niego tych samych błędów, jakie on popełnia wobec nas? Rewolucja, której jesteśmy spadkobiercami, powinna wszystko zrozumieć. Napadanie na rojalizm jest zaprzeczeniem liberalizmu. Jakaż to pomyłka! Jakież to zaślepienie! Rewolucyjna Francja odmawia szacunku Francji historycznej, to znaczy swojej rodzicielce, to znaczy - sobie samej. Po 5 września traktuje się szlachtę monarchii tak, jak po 8 lipca traktowano szlachtę cesarstwa. Tamci byli niesprawiedliwi dla orła, my jesteśmy niesprawiedliwi dla lilii. Czyż zawsze musimy coś prześladować? Na co zda się odzierać z blasku koronę Ludwika XIV, zdrapywać tarczę herbową Henryka IV! Kpimy z pana de Vaublanc, który zmazywał litery N z mostu Jeny. A cóż on robił? To, co my robimy. Bouvines tak samo należą do nas jak Marengo. Lilie są tak samo naszą własnością jak litery N. To nasze dziedzictwo. Po cóż je pomniejszać? Nie wolno zapierać się ojczyzny ani dawnej, ani dzisiejszej. Dlaczego nie przyjąć całej historii? Dlaczego nie kochać całej Francji?"

W taki to sposób doktrynerzy krytykowali i bronili rojalizmu, niezadowolonego, że go krytykują, i wściekłego, że go bronią.

Przekonania "ultra" są typowe dla pierwszego okresu rojalizmu; kongregacja charakteryzuje drugi. Miejsce zapału zajęła zręczność. Na tym zakończymy ten szkic.

W toku tego opowiadania autor napotkał po drodze tę ciekawą chwilę dziejów współczesnych; musiał rzucić na nią przelotne spojrzenie i nakreślić parę osobliwych rysów

tej społeczności, dziś już zupełnie nie znanej. Lecz uczynił to pobieżnie i bez cienia cierpkiej czy szyderczej myśli. Wiąza go z tą przeszłością wspomnienia tkliwe i pełne czci, dotyczą bowiem jego matki. Zresztą ten mały świat miał swoją małą wielkość. Może wywoływać uśmiech, ale niepodobna nim pogardzać ani go nienawidzić. Była to Francja przeszłości.

Jak wszystkie dzieci, Mariusz Pontmercy otrzymał jakieś wykształcenie. Kiedy wyszedł z rąk ciotki Gillenormand, dziadek powierzył go poważnemu pedagogowi, który był okazem nieskomplikowanej inteligencji klasyków. Młoda, budząca się dusza przeszła z rąk świętoszki w ręce pedanta. Mariusz chodził przez kilka lat do kolegium, później wstąpił na wydział prawny. Był rojalistą fanatycznym i surowym. Dziadka, który raził go swym cynizmem i humorem, niezbyt kochał, na temat ojca milczał posepnie.

Był to zresztą chłopiec zapalczywy i chłodny, szlachetny, wspaniałomyślny, dumny, religijny, egzaltowany; szlachetny aż do nieugiętości, czysty aż do dzikości.

## IV

### Koniec zbója

Kiedy Mariusz ukończył szkoły, pan Gillenormand wycofał się z życia towarzyskiego. Starzec pożegnał przedmieście Saint-Germain i salon pani de T. i osiadł w swoim domu przy ulicy Panien Kalwaryjskich w dzielnicy Bagno. Oprócz dozorczy usługiwała mu pokojówka Nikoleta, następczyni Magnon, i ów Bask zasapany i astmatyczny, o którym już wspominaliśmy uprzednio.

W roku 1827 Mariusz skończył właśnie lat siedemnaście. Kiedy pewnego wieczoru wrócił do domu, zobaczył dziadka stojącego z jakimś listem w ręku.

- Mariuszu - rzekł pan Gillenormand - jutro pojedziesz do Vernon.

- Po co? - zapytał Mariusz.

- Żeby zobaczyć się z ojcem.

Mariusza przeszedł dreszcz. Przypuszczał wszystko z wyjątkiem tego, że mógłby kiedyś zobaczyć się z ojcem. Była to rozłąka, która wykluczała wszelkie zbliżenie. Nic nie mogło być dla niego bardziej niespodziewane, bardziej zadziwiające i - powiedzmy od razu - bardziej nieprzyjemne. Już nawet nie przykrość - ale po prostu pańszczyzna.

Mariusz miał nie tylko polityczne powody niechęci, ale był także przekonany, że ojciec jego, ów rębajło - jak go nazywał pan Gillenormand w chwilach dobrego humoru - nie kochał go wcale. To było oczywiste, skoro go porzucił i zostawił na łasce innych. Nie czując się kochanym, Mariusz też nie kochał. "To przecież całkiem proste" - mówił sobie.

Był tak zdumiony, że nawet o nic nie zapytał pana Gillenormand. Dziadek odezwał się znowu:

- Podobno jest chory. Wzywa cię. - I po chwili milczenia dodał: - Jedź jutro z rana. Zdaje mi się, że z placu Fontaines wyjeżdża jakaś poczta o szóstej rano i jest na miejscu wieczorem. Pojedź nią. Pisz, że sprawa jest pilna.

Po czym zmiął list i wsunął go do kieszeni. Mariusz mógł wyjechać tego samego wieczora i być następnego dnia rano u ojca. W owym czasie dyliżans z ulicy Bouloi wyjeżdżał wieczorem do Rouen i przejeżdżał przez Vernon. Ale ani panu Gillenormand, ani Mariuszowi nie przyszło do głowy zasięgnąć wiadomości w tym względzie.

Mariusz przybył do Vernon nazajutrz o zmroku. Zaczynano już zapalać świece. Pierwszego napotkanego przechodnia zapytał o dom pana Pontmercy. Był bowiem tego samego zdania co Restauracja i również nie przyznawał ojcu ani tytułu barona, ani stopnia pułkownika.

Wskazano mu domek. Zadzwoił; otworzyła mu jakaś kobieta z małą lampką w ręce.

- Czy zastałem pana Pontmercy? - zapytał Mariusz.

Kobieta nie poruszyła się.

- Czy to tutaj? - powtórzył Mariusz.

Kobieta skinęła potakująco głową.

- Czy mogę z nim mówić?

Kobieta zrobiła przeczący znak.

- Ależ ja jestem jego synem - powiedział Mariusz. - Czeka na mnie.

- Już nie czeka - rzekła kobieta.

Wówczas spostrzegł, że kobieta płacze.

Wskazała palcem na drzwi do pokoju. Wszedł.

W pokoju tym, oświetlonym łożową świecą, postawioną na kominku, było trzech ludzi: jeden z nich stał, jeden klęczał, a jeden, w koszuli, leżał rozciągnięty na podłodze. Tym, który leżał na podłodze, był pułkownik.

Dwaj inni byli to lekarz i ksiądz, który się modlił.

Przed trzema dniami pułkownik dostał zapalenia mózgu. W początkach choroby, mając złe przeczucie, napisał do pana Gillenormand, prosząc o przyjazd syna. Stan się pogorszył. Tego wieczoru, kiedy Mariusz przybył do Vernon, pułkownik miał atak maligny; wstał z łóżka mimo oporu służącej, wołając: "Mój syn nie przyjeżdża! Idę mu na spotkanie!" Wyszedł z pokoju i w przedsiionku upadł na kamienną podłogę. Skonał.

Wezwano lekarza i księdza. Lekarz przybył za późno, ksiądz przybył za późno. Syn również przybył za późno.

Przy wątłym blasku świecy na bladym policzku leżącego pułkownika widać było wielką łzę, która spłynęła z martwego oka. Oko zagasło, lecz łza nie obeschła. Tę łzę wycisnęło spóźnienie syna.

Mariusz patrzył na tego człowieka, którego widział po raz pierwszy i po raz ostatni, na tę godną i męską twarz, na otwarte oczy, które nie widziały, na siwe włosy, krzepkie ciało, na którym tu i ówdzie widniały brunatne pręgi - ślady po cięciach szabli, i niby gwiazdy czerwone - dziury od kul. Patrzył na olbrzymią bliznę, nadającą bohaterski wyraz twarzy, na-

znaczonej przez Boga dobrocią. Pomyślał, że ten człowiek był jego ojcem, że ten człowiek umarł, i nic się w nim nie poruszyło.

Smutek, którego doznawał, był smutkiem, jaki odczułby wobec każdego zmarłego.

Żałoba, bolesna żałoba, panowała w tym pokoju. W kącie lamentowała służąca, ksiądz modlił się i słysząc było, że szłocha. Lekarz ocierał oczy; nawet trup płakał.

Ten lekarz, ten ksiądz i ta kobieta patrzyli poprzez swój żal bez słowa na Mariusza: był tu obcy. Mariusz, bardzo mało wzruszony, poczuł wstyd i zażenowanie, że tak się zachowuje; trzymał w ręku kapelusz; upuścił go na ziemię, by pomyślano, iż ból odjął mu siły.

Jednocześnie doznawał jakby wyrzutów sumienia i z pogardą pomyślał o swoim postępku. Czy to jednak była jego wina? Nie kochał ojca, trudno!

Pułkownik nic po sobie nie zostawił. Sprzedaż ruchomości pokryła zaledwie koszty pogrzebu. Służąca znalazła skrawek papieru, który oddała Mariuszowi. Na nim było napisane ręką pułkownika:

*Dla mojego syna:*

*Cesarz mianował mnie baronem na polu bitwy pod Waterloo. Ponieważ Restauracja odmawia mi prawa do tytułu, który opłaciłem własną krwią, syn mój przejmie ten tytuł i będzie go używał. Wierzę, że okaże się tego godny.*

Z drugiej strony pułkownik dopisał:

*W tej samej bitwie pod Waterloo pewien sierżant uratował mi życie. Człowiek ten nazywa się Thénardier. W ostatnich czasach miał, zdaje się, oberżę w jakimś miasteczku niedaleko Paryża - w Chelles czy Montfermeil. Jeżeli mój syn spotka go kiedykolwiek, niech zrobi dla niego wszystko, co będzie w jego mocy.*

Mariusz wziął kartkę i schował ją nie przez pietyzm dla ojca, ale powodowany nieokreślonym poszanowaniem, jakie śmierć nakazuje zawsze sercu człowieka.

Po pułkowniku nie zostało nic. Pan Gillenormand kazał sprzedać tandeciarzowi jego szpadę i mundur. Sąsiedzi zniszczyli ogród i rozkradli cenne kwiaty. Inne rośliny zdziczały lub zmarniały.

Mariusz pozostał tylko dwie doby w Vernon. Po pogrzebie wrócił do Paryża i zajął się swoimi studiami, nie myśląc więcej o ojcu, jakby ten nigdy nie istniał. W dwa dni pułkownik został pochowany, w trzy dni - zapomniany.

Mariusz nosił krepę na kapeluszu. To wszystko.

## O tym, jak dzięki chodzeniu do kościoła można zostać rewolucjonistą

Mariusz zachował pobożne nawyki lat dzieciennych. Pewnej niedzieli poszedł na mszę do Św. Sulpicjusza, do tej samej kaplicy Matki Boskiej, gdzie prowadziła go ciotka, gdy był małym chłopcem. Tego dnia, bardziej zamyślony i roztargniony niż zazwyczaj, stanął za filarem i nie zwracając na to uwagi, ukląkł na klęczniku, obitym utrechtckim aksamitem, którego oparcie zdobił napis: "P. Mabeuf, skarbnik parafii". Msza ledwo się rozpoczęła, gdy zjawił się jakiś staruszek i rzekł do Mariusza:

- To moje miejsce, proszę pana!

Mariusz usunął się skwapliwie i staruszek zajął swój klęcznik. Po skończonej mszy Mariusz stał nadal w zamyśleniu o kilka kroków dalej; staruszek znów podszedł do niego i powiedział:

- Proszę mi wybaczyć, że niepokoiłem pana przed chwilą i że jeszcze go niepokoję; uznał pan pewno moje postępowanie za niegrzeczne, muszę się wytłumaczyć.

- To zbyt cenne, proszę pana - odparł Mariusz.

- A jednak - podjął staruszek - nie chcę, żeby pan miał o mnie złe mniemanie. Widzi pan, szczególnie lubię to miejsce. Wydaje mi się, że msza tutaj wysłuchana jest więcej warta. Zaraz panu opowiem dlaczego. Przez całe lata regularnie co dwa albo trzy miesiące spotykałem tu pewnego nieszczęśliwego, zacnego ojca, który nie miał innej okazji ani innego sposobu, żeby zobaczyć swoje dziecko. Uniemożliwiały mu to stosunki rodzinne. Przychodził tu w porze, kiedy - jak wiedział - przyprowadzano synka na mszę. Malec nawet się nie domyślał, że jego ojciec był tuż. Może, biedaczek, nie wiedział wcale, że ma ojca! Ojciec stał ukryty za tym filarem, żeby go nie dostrzeżono. Patrzył na swoje dziecko i płakał. Ten biedny człowiek uwielbiał swego syna! Widziałem to. To miejsce stało się dla mnie jakby uświęcone i przyzwyczaiałem się tutaj słuchać mszy. Wolę je od kolatorskiej ławki, w której mam prawo zasiadać jako skarbnik parafii. Znałem nawet trochę tego nieszczęśliwego człowieka. Miał teścia, bogatą ciotkę, jakichś krewnych - nie wiem dokładnie - którzy grozili, że wydziedziczą malca, jeśli on, ojciec, będzie go widywał. Poświęcił siebie, byle syn był kiedyś bogaty i szczęśliwy. Rozłączono go z dzieckiem z powodu poglądów politycznych. Uznaję, oczywiście, poglądy polityczne, ale niektórzy ludzie posuwają się za daleko. Mój Boże,

dlatego, że ktoś się bił pod Waterloo, niekoniecznie musi być potworem; to nie powód, żeby rozłączać ojca z synem! To był pułkownik wojsk napoleońskich. Zdaje się, że już nie żyje. Mieszkał w Vernon, gdzie mój brat jest proboszczem, i nazywał się jakoś Pontmarie czy Montpercy... Piękna nosił bliznę, dalibóg!

- Pontmercy? - zapytał Mariusz, blednąc.

- O, właśnie! Pontmercy! Czy pan go znał może?

- To był mój ojciec, proszę pana.

Stary skarbnik złożył ręce i zawołał:

- Ach! To pan jest owym dzieckiem! No tak, to się zgadza, teraz wyrosłeś już na mężczyznę. O mój biedny chłopcze, możesz sobie powiedzieć, że miałeś ojca, który cię bardzo kochał!

Mariusz ujął staruszka pod ramię i odprowadził go aż do jego domu. Nazajutrz powiedział do pana Gillenormand:

- Urządzamy z przyjaciółmi polowanie. Czy mogę wyjechać na trzy dni?

- Nawet na cztery! - odparł dziadek. - Jedź! Baw się!

I mrużąc oko szepnął do córki:

- Jakaś miłostka!



## VI

### **Do czego może doprowadzić spotkanie ze skarbnikiem parafii**

Dowiemy się nieco później, dokąd pojechał Mariusz.

Trzy dni Mariusz był nieobecny, po czym wrócił do Paryża, udał się wprost do biblioteki Wydziału Prawa i poprosił o komplet "Monitora". Przeczytał "Monitora", przeczytał wszystkie historie republiki i cesarstwa; "Wspomnienia z Wyspy Św. Heleny", wszystkie pamiętniki, dzienniki, biuletyny i proklamacje; pochłonał wszystko. Kiedy w biuletynach Wielkiej Armii po raz pierwszy napotkał imię ojca, przez cały tydzień chodził w gorączce. Odwiedził generałów, pod którymi służył Jerzy Pontmercy, między innymi hrabiego H. Skarbnik Mabeuf, do którego zachodził, opowiedział mu o życiu pułkownika w Vernon, o jego odsunięciu się od świata, jego kwiatkach i osamotnieniu. Mariusz poznał dokładnie tego niezwykłego, wzniosłego, łagodnego człowieka - lwa i jagnię w jednej osobie - swego ojca.

Zajęty tymi studiami, które pochłaniały cały jego czas i wszystkie myśli, prawie nie widywał Gillenormandów. Zjawiał się w godzinach posiłków; kiedy go potem szukano, nie było go. Ciotka zrzędziła. Dziadek Gillenormand uśmiechał się: "Hm, hm, to pora na dziewczynki!" Niekiedy starzec dodawał: "Do diabła! Myślałem, że to romansik, ale zdaje się, że to namiętność!"

Była to istotnie namiętność.

Mariusz zaczął uwielbiać ojca.

Równocześnie niezwykła przemiana dokonywała się w jego poglądach. Przemiana ta miała wiele następujących po sobie kolejno faz. Ponieważ jest to historia wielu umysłów w naszych czasach, nie od rzeczy będzie śledzić te fazy krok za krokiem i zaznaczyć je tutaj wszystkie.

Ta historia, na którą dopiero teraz spojrzął, przeraziła go.

Najpierw przyszło olśnienie.

Republika, cesarstwo - dotychczas były to słowa potworne. Republika - gilotyna w półmroku; cesarstwo - szabla wśród nocy. Teraz przyjrzał się im i z niesłychanym zdumieniem, połączonym z lękiem i radością, spostrzegł, że tam, gdzie spodziewał się zobaczyć jedynie chaos ciemności, lśnią gwiazdy: Mirabeau, Vergniaud, Saint-Just, Kamil

Desmoulins, Robespierre, Danton, i wschodzi słońce: Napoleon. Nie wiedział, co ma myśleć. Cofał się oślepiiony blaskiem. Powoli, kiedy oszołomienie minęło, przywykł do tego promieniowania, rozważył czyny bez zawrotu głowy, zbadał postacie bez uczucia zgrozy; rewolucja i cesarstwo stanęły w promiennej perspektywie przed jego pełną wizji źrenicą; te dwie grupy wydarzeń i ludzi streściły się dla niego w dwóch potężnych faktach: republika - w suwerenności prawa obywatelskiego, przywróconego masom, cesarstwo - w suwerenności myśli francuskiej narzuconej Europie; ujrzał jak z rewolucji wyłania się wielka postać ludu, a z cesarstwa wielka postać Francji. Orzekł w swoim sumieniu, że wszystko to było słuszne.

Nie uważamy za konieczne mówić o tym, co w olśnieniu pomijał, wydając pierwszy zbyt syntetyczny sąd. Konstatujemy tu jedynie drogę rozwojową pewnego umysłu. Postęp nie zawsze odbywa się w jednym etapie. Oświadczywszy to zarówno w odniesieniu do tego, cośmy już powiedzieli, jak i do tego, co później powiemy - idziemy dalej.

Wtedy to Mariusz spostrzegł, że do tej chwili tak samo nie rozumiał swojego ojca, jak nie rozumiał swojego kraju. Nie znał ani jednego, ani drugiego i dobrowolnie nosił jakby noc na oczach. Teraz już przejrzał, podziwiał pierwszego, a zachwycał się drugim.

Pełen żalu i wyrzutów sumienia, myślał z rozpaczą, że wszystko, co odczuwa, może teraz wyznać jedynie mogile. Ach, gdyby jego ojciec nie był umarł, gdyby go miał jeszcze, gdyby Bóg w swoim miłosierdziu i dobroci dozwolił, żeby ten ojciec był jeszcze między żyjącymi, jakżeby pobiegł, jakżeby rzucił się ku niemu i zawołał: "Ojcze, oto jestem! to ja! Jedno w nas serce bije!" Obsypałby pocałunkami jego siwą głowę, łzami zrosiłby jego włosy, wpatrywałby się w jego bliznę, w swoich dłoniach tulił jego ręce, czcił jego mundur, całował jego nogi! Ach, czemuż ten ojciec umarł tak wcześnie, nie doczekawszy się starości, naprawienia krzywdy, miłości syna? Mariusz czuł w sercu ciągły szloch, który nieustannie powtarzał mu: "Niestety!" Równocześnie stawał się bardziej dojrzały, bardziej poważny, umacniał się w swojej wierze i poglądach. Co chwila światła prawdy uzupełniały braki jego umysłu. Dokonywał się w nim jakby wzrost wewnętrzny. Czuł jakieś naturalne wzniesienie się, które zawdzięczał dwóm rzeczom, dotychczas nie znanym mu: ojcu i ojczyźnie.

Jak za pomocą klucza, wszystko się otwierało; tłumaczył sobie to, czego niegdyś nienawidził, rozumiał to, co dawniej budziło w nim wstręt; jasno spostrzegał teraz opatrnościowy, boski i ludzki sens wielkich spraw, którymi nauczono go gardzić, i wielkich ludzi, których nauczono go przeklinać. Kiedy myślał o poglądach, które wyznawał zaledwie wczoraj, a które przecie wydawały mu się już tak odległe, oburzał się i uśmiechał.

Od rehabilitacji ojca naturalnym biegiem rzeczy przeszedł do rehabilitacji Napoleona.

Wyznajmy jednak, że nie obyło się to bez trudności.

Od dzieciństwa wpajano weń w stosunku do Bonapartego poglądy stronnictwa z roku 1814. Wszystkie zaś przesady Restauracji, wszystkie jej interesy, wszystkie jej instynkty zmierzały do zniekształcenia postaci Napoleona. Restauracja nienawidziła go silniej jeszcze niż Robespierre'a. Dość zręcznie wykorzystwała wyczerpanie narodu i nienawiść matek. Bonaparte stał się jakimś niemal mitycznym potworem i aby odmalować go w wyobraźni ludu, która - jak wspomnieliśmy przed chwilą - podobna jest do wyobraźni dziecka, stronnictwo z 1814 roku nakładało mu kolejno wszelkie przerażające maski, poczynając od tego, co straszne, lecz mimo to potężne, a kończąc na tym, co straszne i błazeńskie, od Tyberiusza - aż do stracha na wróble.

Tak więc, mówiąc o Bonapartem, można było szlochać czy parskać śmiechem, byle tylko dominujący ton stanowiła nienawiść. Mariusz nigdy inaczej nie myślał o "tym człowieku", jak nazywano Napoleona. Przekonania te połączyły się z uporem, właściwym jego naturze. Tkwił w nim zawzięty człowieczek, który nienawidził Napoleona.

W miarę jak rozczytywał się w historii i badał ją w dokumentach i materiałach źródłowych, zaczęła się z wolna rozsuwać zasłona kryjąca postać Napoleona przed jego wzrokiem. Wyczuł coś olbrzymiego i zaczął podejrzewać, że miał dotychczas błędny sąd o Bonapartem, podobnie jak o wszystkich innych sprawach; co dzień widział wyraźniej; i powoli, krok za krokiem, z początku niechętnie, potem w upojeniu, jakby przyciągany jakimś nieodpartym urokiem, przemierzał stopnie entuzjazmu, zrazu ciemne, później oświetlone niepewnym blaskiem, wreszcie rozjaśnione wspaniale.

Pewnej nocy siedział sam w swoim pokoiku na poddaszu. Świeca płonęła; z łokciami wspartymi na stole Mariusz czytał przy otwartym oknie. Przeróżne rojenia napływały doń z przestworzy i przenikały do myśli. Noc! Jakież to widok potężny! Słysząc jakieś głuche odgłosy, dochodzące z nieznannej dali, widać płonącego jak żagiew Jowisza, który jest tysiąc dwieście razy większy od naszej ziemi; błękit jest czarny, lśnią gwiazdy, cóż za ogrom!

Czytał biuletyny Wielkiej Armii, te homeryckie strofy spisane na polach bitwy; czasem napotykał w nich imię ojca, a zawsze cesarza; jawiła mu się wielkość cesarstwa; czuł, że jakiś przyływ podnosi się w nim, wzbiera; chwilami zdawało mu się, że ojciec przesuwając się koło niego jak tchnienie i szepcze mu coś do ucha; działy się z nim rzeczy niepojęte: słyszał - zda się - warkot bębnow, huk armat, granie trąbek, miarowy krok batalionów, głuchy daleki galop konnicy; od czasu do czasu wznosił wzrok ku niebu i patrzył na lśniące w przepastnych głębinach potężne konstelacje gwiazdne, potem kierował oczy na książkę i tam, jak przez mgłę, majaczyły mu inne potęgi. W sercu czuł ucisk. Drżał z uniesienia, dyszał. Nagle, sam nie wiedząc, co się w nim dzieje i czemu jest posłuszny, zerwał się, wyciągnął za

okno oba ramiona, wpatrzył się w ciemność, w ciszę, w mroczną nieskończoność, wieczysty bezmiar i zawołał: "Niech żyje cesarz!"

Od tej chwili wszystko zostało powiedziane. Rozwiął się gdzieś potwór z Korsyki, uzurpator, tyran, zwyrodnialec, który był kochankiem własnych sióstr, histrion biorący lekcje u Talmy, truciciel z Jafry, tygrys, Buonaparte, a miejsce jego w umyśle Mariusza zajął nieokreślony, wspaniały blask, w którym na niedosiężnych wyżynach jaśniała biała zjawa z marmuru - Cezar. Dla jego ojca cesarz był tylko podziwianym, umiłowanym wodzem, dla którego gotów był oddać życie; dla Mariusza stał się czymś więcej. Stał się wyznaczonym przez los budowniczym z plemienia Francuzów, które po plemieniu Rzymian zapanowało nad światem; stał się cudownym architektem ruin, kontynuatorem Karola Wielkiego, Ludwika XI, Henryka IV, Richelieu'ego, Ludwika XIV i Komitetu Ocalenia Publicznego, nie wolnym - jako człowiek - od przywar i błędów, a nawet i zbrodni, lecz wspaniałym w swoich błędach, świetnym w przywarach, potężnym w zbrodni. Stał się człowiekiem wyznaczonym przez los, który zmusił wszystkie inne narody do powiedzenia: "Oto wielki naród!" Więcej jeszcze: stał się wcieleniem samej Francji, podbijającym Europę szablą, którą trzymał w dłoni, a cały świat jasnością, która zeń promieniowała. Mariusz widział w Bonapartem olśniewające widmo, które będzie zawsze stało na granicy i strzegło przyszłości. Despotę, ale i dyktatora, despotę wywodzącego się z republiki i streszczającego w sobie całą rewolucję. Napoleon stał się dlań człowiekiem-ludem, podobnie jak Chrystus jest człowiekiem-Bogiem.

Widzimy, że tak jak wszystkich, którzy przyjęli nową religię, upajało go to nawrócenie, na ślepo przyjmował wszystko i posuwał się za daleko. Taką miał naturę; gdy raz znalazł się na pochyłości, nie mógł się już zatrzymać. Porwał go fanatyczny zachwyty dla szabli, który łączył się w jego umyśle z zapalem dla idei. Nie dostrzegał, że wraz z geniuszem, w chaotycznym pomieszaniu, uwielbiał przemoc, to znaczy, że umieszczał w dwóch przedziałach swojego kultu z jednej strony to, co jest boskie, z drugiej to, co jest brutalne. Pod wieloma względami zaczął się znowu mylić. Godził się na wszystko. Dążąc do prawdy, można zejść na manowce. Ożywiała go jakaś gwałtowna, dobra wiara, która przyjmowała wszystko w całości. Na nowej drodze na którą wkroczył, pomijał okoliczności łagodzące, czy to osądzając błędy dawnego ustroju, czy to oceniając chwałę Napoleona.

Niemniej jednak był to wielki krok naprzód. Tam gdzie dawniej widział upadek monarchii, obecnie widział wyniesienie Francji. Zmienił orientację: to, co było zachodem, stało się wschodem. Odwrócił się w inną stronę.

Rodzina nie domyślała się wcale, że w Mariuszu dokonywały się te gwałtowne przemiany.

Kiedy w tajemnym trudzie zrzucił już zupełnie z siebie dawną burbońską i ultramontańską skórę, kiedy zdarł z siebie arystokratę, jakobitę i rojalistę, kiedy został wyznawcą rewolucji, głębokim demokratą, nieledwie republikaninem - poszedł wówczas do rytownika na quai des Orfevres i zamówił setkę biletów wizytowych z napisem: "Baron Mariusz Pontmercy".

Było to tylko logiczne następstwo przemiany, jaka się w nim dokonała, w której wszystko skupiało się dokoła osoby ojca. A że nie miał znajomych i u żadnego odzwiernego nie mógł zostawić swojego biletu, schował je więc do kieszeni.

Inne naturalne następstwo: w miarę jak zbliżał się do ojca, do jego pamięci i do rzeczy, o które pułkownik walczył przez dwadzieścia pięć lat, oddalał się od dziadka. Powiedzieliśmy już, że usposobienie pana Gillenormand nigdy nie odpowiadało Mariuszowi. Istniały już między nimi liczne rozdzwieki, jakie powstają między poważnym młodzieńcem a płochym starcem. Wesołość Geronta \* razi i drażni melancholię Wertera. Dopóki dziadka i wnuka łączyły te same przekonania polityczne i te same idee, Mariusz i pan Gillenormand spotykali się tam jak na moście. Kiedy most ten runął, otwarła się przepaść. Nade wszystko zaś Mariusz czuł w sobie niewypowiedziane odruchy buntu na myśl o tym, że to właśnie pan Gillenormand dla jakichś nedorzecznych powodów bezlitośnie wydarł go pułkownikowi, ojca pozbawiając dziecka, a dziecko pozbawiając ojca.

I z miłości do ojca Mariusz zaczął czuć nieledwie odrazę do dziadka.

Niczym jednak - mówiliśmy już o tym - nie zdradzał się na zewnątrz. Zachowywał się tylko coraz chłodniej; małomówny przy posiłkach, stał się w domu rzadkim gościem. Kiedy ciotka go za to łąjała, odpowiadał jej uprzejmie, wymawiając się studiami: wykładami, egzaminami, odczytami itp. Dziadek niewzruszenie trwał przy swojej diagnozie: "Zakochany! Już ja się na tym znam!"

Co pewien czas Mariusz wyjeżdżał z domu.

- I dokąd on tak jeździ? - pytała ciotka.

Podczas jednej z tych wypraw - zawsze bardzo krótkich - pojechał do Montfermeil, aby wypełnić zalecenie zostawione przez ojca, i poszukiwał byłego sierżanta spod Waterloo, oberżysty Thénardiera. Thénardier zbankrutował, oberżę zamknięto i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Z powodu tych poszukiwań Mariusz spędził cztery dni poza domem.

- Nie ma dwóch zdań - powiedział dziadek. - Źle się prowadzi.

Dziadek i ciotka mieli wrażenie, że Mariusz nosi na piersi pod koszulą jakiś przedmiot, zawieszony na czarnej wstążce.

## VII

### Jakaś spódniczka

Mówiliśmy już o oficerze lansjerów. Był to stryjeczny wnuk pana Gillenormand, wiodący życie garnizonowe z dala od rodziny i domowego ogniska. Pan porucznik Teodul Gillenormand spełniał wszystkie wymagane warunki, aby uchodzić za tak zwanego przystojnego oficera. Miał “talię jak panna”, podkreślony w górę wąsik i zwycięski sposób pobrzękiwania szablą. Do Paryża przyjeżdżał bardzo rzadko, tak rzadko, że Mariusz nigdy go nie widział. Obaj kuzyni znali się tylko ze słyszenia. Teodul - zdaje się, żeśmy już o tym wspominali - był ulubieńcem ciotki Gillenormand, która go wołała od Mariusza, ponieważ go nie widywała. Gdy się kogoś nie widuje, można mu przypisywać wszelkie cnoty.

Pewnego ranka starsza panna Gillenormand wróciła do siebie tak wzburzona, jak tylko pozwalało jej na to wrodzone opanowanie. Mariusz znowu poprosił dziadka o pozwolenie na krótką wycieczkę, dodając, że ma zamiar wyjechać tego samego wieczora.

“Jedź” - odrzekł dziadek i podnosząc brwi do góry, dodał na stronie: “Znowu nocna eskapada!”

Panna Gillenormand udała się do swego pokoju bardzo zaintrygowana i na schodach wyrwał jej się z ust wykrzyknik: “A, tego już za wiele”, i znak zapytania: “Ale dokądże on jedzie?” Przeczuywała jakąś przygodę miłosną, mniej lub więcej zakazaną, jakąś kobietę w półmroku, jakąś schadzkę, jakąś tajemnicę i nie byłaby od tego, żeby wetknąć tam swoje okulary. Tajemnica ma podobny posmak jak odkrycie jakiegoś nowego skandalu; nabożne dusze gustują w takich rzeczach. W zakamarkach bigoterii kryje się ciekawość dla gorszących spraw.

Ogarnęła ją nieokreślona chęć, żeby dowiedzieć się o jakiejś historii miłosnej.

Aby zagłuszyć tę ciekawość, która ją nurtowała ponad zwykłą miarę, poszukała ucieczki w swoich talentach: zaczęła więc włóczyć wyszywać wzór, charakterystyczny dla Cesarstwa i Restauracji, z powtarzającym się często motywem koła od kabrioletu. Smutny haft, kwaśna hafciarka. Od kilku godzin tkwiła na krześle, kiedy nagle drzwi się otwały. Panna Gillenormand uniosła nos: porucznik Teodul stał przed nią, salutując po wojskowemu.

---

\* Géronte - postać ze starych komedii francuskich, starzec skąpy i łatwowierny.

Wydała okrzyk radości. Cóż z tego, że była stara i nabożna, cóż z tego, że była skromnisią, że była ciotką - zawsze to przyjemnie, kiedy do pokoju wejdzie porucznik lansjerów.

- Ty tutaj, Teodulu! - zawołała.

- Przejazdem, ciociu!

- Ucałujże mnie!

- Już to robię - odrzekł Teodul.

I ucałował ją. Ciotka Gillenormand podeszła do sekretarzyka i otworzyła go.

- Zostaniesz u nas chociaż z tydzień?

- Dziś wieczorem wyjeżdżam, proszę cioci.

- Niemożliwe!

- Jak dwa a dwa cztery!

- Mój Teodulku, zostań, proszę!

- Serce się zgadza, służba nie pozwala. Prosta sprawa. Zmieniają nam garnizon; staliśmy w Melun, przenosimy się do Gaillon. Z dawnego garnizonu do nowego przejeżdża się przez Paryż. Powiedziałem sobie zatem: odwiedzę ciocię.

- Weź to za fatygę.

Wsunęła mu do ręki dziesięć luidorów.

- Kochana ciocia chciała powiedzieć: za przyjemność!

Teodul pocałował ją drugi raz, a ona doznała rozkosznego uczucia, kiedy szamerunek munduru drasnął ją nieco w szyję.

- Jedziesz konno razem z pułkiem? - zapytała.

- Nie, ciociu. Zależało mi na tym, żeby ciocię zobaczyć. Mam specjalne pozwolenie. Ordynans prowadzi mojego konia, a ja jadę dylizansem. *À propos!* Muszę ciocię o coś spytać.

- O co?

- Czy mój kuzyn Mariusz Pontmercy też udaje się w podróż?

- A skądże ty wiesz o tym? - zapytała ciotka, nagle zaciekawiona do żywego.

- Po przyjeździe poszedłem zamówić miejsce w dylizansie.

- No i?

- Jakiś podróżny przede mną zamówił już sobie miejsce na górze. Widziałem na liście nazwisko.

- Jakie nazwisko?

- Mariusz Pontmercy.

- O ten ladaco! - zawołała ciotka. - Twój kuzyn nie jest takim statecznym chłopcem jak ty. Pomyśleć tylko, że całą noc spędzi w dylizansie!

- Tak samo jak ja.
- Tak! Ale ty z obowiązku, a on - dla rozpusty!
- O, do licha! - zawołał Teodul.

W tym momencie starszej panie Gillenormand przytrafiło się coś niezwykłego: wpadła na pomysł. Gdyby była mężczyzną, uderzyłaby się ręką w czoło. Zapytała Teodula:

- Czy wiesz, że twój kuzyn cię nie zna?
- Tak. Ja go widziałem, ale on nigdy nie raczył mnie zauważyć.
- Będziecie więc jechać razem?
- On na górze, a ja w środku.
- Dokąd jedzie ten dyliżans?
- Do Andelys.
- To Mariusz jedzie do Andelys?
- Chyba że tak jak ja zatrzyma się gdzieś po drodze. Ja wysiadam w Vernon, żeby złapać połączenie z Gaillon. Nie mam pojęcia, dokąd jedzie Mariusz.

- Mariusz! Paskudne imię! Co to był za pomysł, żeby go nazwać Mariuszem! Ty przynajmniej masz ładne imię Teodul.

- Wolałbym mieć na imię Alfred - rzekł oficer.
- Słuchaj, Teodulku.
- Słucham, ciociu.
- Uważaj na to, co ci powiem.
- Uważam, ciociu.
- Słuchasz mnie?
- Tak jest!
- A więc Mariusz stale znika z domu.
- Ho, ho!
- Podróżuje.
- Ach, ach!
- Nie wraca na noc!
- O, o!
- Chcielibyśmy wiedzieć, co się pod tym kryje.

Teodul odparł z posągowym spokojem:

- Jakaś spódniczka.

I z tłumionym uśmiechem, zdradzającym niezachwianą pewność, dodał:

- Dziewczynka!



- To oczywiste! - zawołała ciotka, której zdawało się, że słyszy pana Gillenormand. Słowo: "dziewczynka" wymówione z taką samą intonacją przez dziadka i przez wnuka, umocniło jej przekonanie. Ciągnęła:

- Zrób nam przyjemność. Miej na oku Mariusza. On cię nie zna, więc przyjdzie ci to z łatwością. Skoro tu w grę wchodzi jakaś dziewczyna, postaraj się tę dziewczynę zobaczyć. Opiszesz nam potem całą awanturkę. Dziadek bardzo się ubawi.

Teodulowi nie w smak było tego rodzaju śledzenie, ale dziesięć luidorów mocno go ujęło i spodziewał się, że będą miały ciąg dalszy. Przyobiecał, że wypełni polecenie, i rzekł:

- Jak sobie ciocia życzy, proszę cioci. A do siebie szepnął: "No, tom został teraz damą do towarzystwa!"

Panna Gillenormand ucałowała go.

- Ty, Teodulku, nigdy nie dopuściłbyś się takich wybryków! Jesteś posłuszny dyscyplinie, jesteś niewolnikiem służby, jesteś człowiekiem skrupulatnym i obowiązkowym i nigdy byś nie porzucił rodziny, żeby gonić za jakąś tam kreaturą.

Lansjer zrobił zadowoloną minę, niczym Cartouche pochwalony za uczciwość.

Tego samego wieczora Mariusz wsiał do dylizansu nie domyślając się wcale, że ma opiekuna. Opiekun zaś, jak tylko ulokował się w dylizansie, zasnął snem sprawiedliwego. Argus chrapał przez calutką noc.

O świcie konduktor dylizansu zawołał:

- Vernon! Postój w Vernon! Podróźni do Vernon - wysiadać! I porucznik Teodul obudził się.

- Aha - mruknął, na wpół śpiąc jeszcze - to tutaj wysiadam.

W miarę jak po obudzeniu wracała mu pamięć, przypomniał sobie ciotkę, dziesięć luidorów i sprawozdanie, które zobowiązał się złożyć z uczynków i postępów Mariusza. To go rozśmieszyło,

"A może już go nie ma - pomyślał zapinając kurtkę polowego munduru. - Mógł jechać do Poissy, mógł jechać do Triel; jeśli nie wysiadł w Meulan, to mógł być wsiąść w Mantes, o ile tego nie zrobił w Rolleboise; mógł też dojechać aż do Pacy i tam przesiąść się - albo w lewo na Evreux, albo w prawo na Laroche-Guyon. I gońże go, moja ciociu! I co ja teraz napiszę, do diabła, tej poczciwej starowinie?" W tej chwili w szybie dylizansu mignęły mu nogi w czarnych spodniach, nogi podróżnego schodzącego z imperialu.

"A może to Mariusz?" - rzekł porucznik.

To był Mariusz.

Obok pojazdu dziewczyna wiejska, wmieszana w ciżbę koni i pocztylionów, zachwalała podróżnym swoje kwiaty krzycząc:

- Kupujcie kwiaty dla swoich dam, panowie!

Mariusz podszedł do niej i kupił najpiękniejszą wiązanekę z koszyka.

“Oho, teraz to zaczyna mnie interesować! - powiedział Teodul, wyskakując z dyliżansu. - Komu, do licha, ofiaruje te kwiaty? Taki piękny bukiet to chyba dla jakiejś diablo ślicznej kobiety. Muszę ją zobaczyć!”

I teraz już nie z cudzego polecenia, lecz z własnej ciekawości, jak psy, co polują na własny rachunek, ruszył krok w krok za Mariuszem.

Mariusz nie zwracał na Teodula najmniejszej uwagi.

Z dyliżansu wysiadły wytworne kobiety - nawet okiem nie rzucił na nie. Zdawało się, że nic nie widzi dokoła.

“Ten jest zakochany!” - pomyślał Teodul.

Mariusz skierował się w stronę kościoła.

“Cudownie! - orzekł w duchu Teodul. - Kościół! To rozumiem! Najmilsze są schadzki z lekka okraszone nabożeństwem. Nic tak nie smakuje jak czułe spojrzenie pod okiem Pana Boga”.

Doszedłszy do kościoła, Mariusz nie wszedł do środka, ale okrążył absydę i zniknął za węglem jednej z przypór.

- Schadzka na dworze! - rzekł Teodul. - Zobaczmyż tę dziewczynkę.

I na palcach zaczął się skradać w kierunku węgła, za którym zniknął Mariusz.

Przybywszy tam, stanął zdumiony.

Mariusz z twarzą ukrytą w dłoniach, klęczał na murawie nad grobem, na który rozsypał swój bukiet. U szczytu grobu, tam gdzie rysowało się wzniesienie, stał krzyż z czarnego drzewa, na krzyżu widniało nazwisko wypisane białymi literami: “Pułkownik baron Pontmercy”. Słychać było łkanie Mariusza.

Dziewczynką była mogiła.

## VIII

### Marmur przeciw granitowi

Tu właśnie przyjechał Mariusz, kiedy po raz pierwszy opuścił Paryż. Tu wracał za każdym razem, kiedy pan Gillenormand mówił: "Nocna eskapada!" Nieoczekiwane zetknięcie z mogiłą zupełnie zbiło z tropu porucznika Teodula; miał przykre i osobliwe uczucie, którego nie potrafił zanalizować, na które składało się poszanowanie dla grobu i szacunek dla rangi pułkownika. Wycofał się, zostawiając Mariusza samego na cmentarzu, a to wycofanie się wynikało z dyscypliny wojskowej. Śmierć jawiła mu się w ozdobie sutych epoletów i omal nie stanął przed nią na baczność. Nie wiedząc, co napisać do ciotki, postanowił nie pisać wcale. I pewno nic by nie wynikło z tego, że Teodul odkrył przedmiot miłości Mariusza, gdyby tajemniczym trafem, tak częstym w zrzędzeniach losu, scena z Vernon nie znalazła natychmiastowego prawie oddźwięku w Paryżu.

Mariusz wrócił z Vernon trzeciego dnia o świcie, zajechał do domu dziadka i zmęczony dwiema nocami spędzonymi w dylizansie, poczuł potrzebę odświeżenia się godzinką pływania; wbiegł więc spieszenie do swojego pokoju, zrzucił tylko podróżny surdut i czarny sznureczek, który nosił na szyi, i pośpieszył do kąpieli.

Pan Gillenormand wstawszy wcześniej jak wszyscy starcy, którym dopisuje zdrowie, usłyszał, że Mariusz wrócił i chcąc go uściskać, wypytać przy tym o to i owo i dowiedzieć się, skąd przybywa, zaczął wchodzić po schodach na poddasze tak szybko, jak mu na to pozwalały stare nogi.

Ale młodzieniec mniej potrzebował czasu na zbiegnięcie niż osiemdziesięcioletni starzec na wejście, toteż gdy dziadek Gillenormand wszedł do mansardy, Mariusza już nie zastał.

Łóżko było zasłane, a na nim ufnie spoczywał surdut i czarny sznureczek.

- Jeszcze lepiej! - rzekł pan Gillenormand.

I w chwilę później wkroczył do salonu, gdzie siedziała starsza panna Gillenormand, haftując swoje koła od kabrioletu.

Wejście było triumfalne.

Pan Gillenormand trzymał w jednej ręce surdut, w drugiej czarną wstążkę i krzyczał:

- Zwycięstwo! Teraz zbadamy tajemnicę! Dotrzemy do najgłębszych tajników! Obejrzymy sobie rozpustne miłostki naszego mruka! Mamy cały romansik. Znalazłem portret!

Istotnie na sznureczku wisiało puzderko z czarnego szagrynu, przypominające medalion.

Starzec wziął je do ręki i chwilę przyglądał mu się, nie otwierając, z miną pełną pożądania, zachwytu i złości, jak wygłodniały biedak, który widzi tuż koło nosa wyśmienity obiad nie dla niego przeznaczony.

- Bo tam jest portret, oczywiście! Już ja się na tym znam. Nosi się to czule na sercu. Jacy oni głupi! Na pewno jakaś wstrętna dziewczucha wiejska, na którą nie można patrzeć bez dreszczu obrzydzenia. Dzisiejsza młodzież ma taki zły gust!

- Zobaczymy, ojczy! - odezwała się stara panna.

Puzderko otwierało się za naciśnięciem sprężynki. W środku znaleźli tylko jakiś starannie złożony kawałek papieru.

- Od lubej do lubego - zawołał pan Gillenormand wybuchając śmiechem. - Wiem co to takiego! Liścik miłosny!

- Ach, przeczytajmy go! - powiedziała ciotka.

I włożyła okulary. Rozwinęli papier i przeczytali co następuje:

*Dla mojego syna:*

*Cesarz mianował mnie baronem na polu bitwy pod Waterloo. Ponieważ Restauracja odmawia mi prawa do tytułu, który opłaciłem własną krwią, syn mój przejmie ten tytuł i będzie go używał. Wierzę, że okaże się tego godny.*

Nie da się wypowiedzieć uczucia, jakie ogarnęło ojca i córkę. Poczuli się zmrozeni, jakby owionęło ich technienie trupiej głowy. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Tylko pan Gillenormand szepnął cicho, jakby sam do siebie:

- To pismo rębajły.

Ciotka obejrzała kartkę, obróciła ją na wszystkie strony i włożyła z powrotem do puzderka.

W tej chwili z kieszeni surduta wypadł niewielki, podłużny pakiecik, owinięty w niebieski papier. Panna Gillenormand podniosła go i rozwinęła. Była to setka biletów wizytowych Mariusza. Podała je panu Gillenormand, który przeczytał: "Baron Mariusz Pontmercy".

Starzec pociągnął za dzwonek. Weszła Nikoleta. Pan Gillenormand wziął sznurek, puzderko, surdut, cisnął to wszystko na podłogę, na środek salonu i rzekł:

- Odnieś te rupiecie!

Dobra godzina upłynęła w najgłębszej ciszy. Starzec i stara panna siedzieli tyłem do siebie i każde z nich myślało zapewne o tym samym. Po upływie godziny ciotka Gillenormand odezwała się:

- Ładna historia!

W parę chwil później zjawił się Mariusz. Wrócił do domu. Zanim przekroczył próg salonu, zobaczył, że dziadek trzyma w ręce jego bilet wizytowy. Na widok wnuka starzec zawołał z miną wyniosłą i drwiącą, która miała w sobie coś miażdżącego:

- Patrzcie państwo! Patrzcie państwo! Ho! Ho! Jesteś teraz baronem. Winszuję! Co to wszystko znaczy?

Mariusz zaczerwienił się lekko i rzekł:

- To znaczy, że jestem synem swojego ojca.

Pan Gillenormand przestał się śmiać i rzekł ostro:

- Twoim ojcem jestem ja.

- Mój ojciec - mówił dalej Mariusz ze spuszczonej oczyma i surowym wyrazem twarzy - był człowiekiem skromnym i bohaterskim, który chlubnie służył republice i Francji, który był wielki w tym największym epizodzie historii, na jaki zdobyła się ludzkość; ćwierć wieku przeżył z bronią w ręku, we dnie pod gradem kul i kartaczy, nocą - w śniegu, błocie i deszczu, zdobył dwa sztandary, otrzymał dwadzieścia ran i umarł w zapomnieniu i opuszczeniu, a tym jedynie zawinił, że nazbyt kochał dwóch niewdzięczników: swój kraj i mnie.

Tego już było panu Gillenormand za wiele! Na dźwięk słowa: "republika", wstał, a raczej zerwał się na równe nogi. Za każdym wyrazem, wypowiedzianym przez Mariusza, stary rojalista mienił się na twarzy, jak rozżarzona głośnia, na którą dmucha miech kowalski. Z zasepionego zrobił się czerwony, z czerwonego purpurowy, z purpurowego szkarłatny.

- Mariuszu! - krzyknął. - Niegodziwy chłopcze! Nie wiem, kim był twój ojciec! Nie chcę tego wiedzieć! Nic nie wiem! O niczym nie wiem! Wiem tylko, że wszyscy ci ludzie byli nędznikami! To byli hołusze, mordercy, czerwone czapki, złodzieje! Powiadam, wszyscy! Powiadam, wszyscy. Nie znam nikogo! Powiadam, wszyscy! Słyszysz, Mariuszu?! Jesteś takim samym baronem jak mój pantofel, uważasz! To byli wszystko bandyci, którzy służyli Robespierre'owi! Rabusie, którzy służyli Bu-o-na-partemu, zbóje, zdrajcy, którzy zdradzili! Zdradzili! Zdradzili prawowitego króla! Tchorze, którzy uciekli przed Prusakami i

Anglikami pod Waterloo! Oto co wiem! Czy twój ojciec był między nimi, nie wiem! Bardzo mi przykro! Tym gorzej! Sługa uniżony!

Teraz Mariusz był głównią, a pan Gillenormand miechem kowalskim. Młodzieniec drżał na całym ciele, nie wiedział, co począć; głowa mu pałała. Był jak ksiądz, który widzi, że hostie rozrzucano na wiatr, jak fakir, który widzi, że przechodzień plwa na jego bóstwo. Nie mógł pozwolić, aby bezkarnie mówiono przy nim takie rzeczy! Ale co robić? Oto jego ojciec został zelżony i podeptany w jego obecności, ale przez kogo? Przez jego dziadka. Jakże pomścić jednego, nie znieważając drugiego? Niepodobieństwem było obrazić dziadka i niepodobieństwem było również nie pomścić ojca. Z jednej strony święty grób, z drugiej - siwe włosy. Chwilę stał, chwiejąc się odurzony; w głowie mu się mąciło; potem podniósł oczy, utkwił je w dziadku i zawołał grzmiącym głosem:

- Precz z Burbonami! Precz z tym opasłym wieprzem, Ludwikiem XVIII!

Ludwik XVIII nie żył od czterech lat, ale to było Mariuszowi obojętne.

Starzec z purpurowego stał się nagle bielszy od swoich włosów. Obrócił się w stronę popiersia księcia de Berry stojącego na kominku i skłonił mu się głęboko z jakimś niezwykłym dostojęństwem. Po czym wolno i w milczeniu dwa razy przemierzył pokój od kominka do okna i od okna do kominka. Posadzka trzeszczała, jakby to szedł kamienny posąg. Przechodząc po raz drugi, nachylił się ku córce, która patrzyła na to starcie z ogłupiałą miną starej owcy, i rzekł ze spokojnym prawie uśmiechem:

- Pan baron, taki jak ten pan, i zwykły mieszczanin, taki jak ja, nie mogą żyć pod jednym dachem.

I nagle wyprostował się, pobladły, drżący, groźny, a czoło jakby rozsadzała mu straszliwa burza gniewu, wyciągnął ramię w kierunku Mariusza i krzyknął:

- Precz!

Mariusz opuścił dom.

Nazajutrz pan Gillenormand rzekł do córki:

- Co pół roku waćpanna będzie wysyłać sześćdziesiąt pistoli temu krwiopijcy i nie wspomni mi o nim nigdy.

Mając w sobie niewyładowany olbrzymi zasób wściekłości i nie wiedząc co z nim robić, przez przeszło trzy miesiące zwracał się w ten sposób do córki.

Mariusz zaś wyszedł również oburzony. Pewna okoliczność, o której należy wspomnieć, pogłębiła jeszcze jego rozjątrzenie.

Zawsze zbieg małych fatalnych wypadków komplikuje tragedie rodzinne i podsyca rozżalenie, choć w istocie wina pozostaje ta sama. Nikoleta, odnosząc pospiesznie na rozkaz

dziadka "rupiecie" Mariusza do pokoju, przez nieuwagę zgubiła gdzieś po drodze, zapewne na ciemnych schodach poddasza, medalion z czarnego szangrynu wraz z kartką skreśloną przez pułkownika. Ani medalionu, ani kartki nie udało się odnaleźć. Mariusz był przekonany, że to "pan Gillenormand" - od owego dnia inaczej nie nazywał dziadka - wrzucił do ognia ojcowski testament. Znał na pamięć parę słów skreślonych przez pułkownika, wobec czego nic nie zostało stracone. Ale kartka, pismo, ta najświętsza relikwia - w tym było całe jego serce. Co z tym uczyniono?

Mariusz odszedł, nie mówiąc, dokąd idzie, i sam nie wiedząc, dokąd idzie; miał w kieszeni trzydzieści franków, zegarek i trochę rzeczy w torbie podróżnej. Wsiadł do dorożki, umówił się od godziny i na chybił trafił kazał się wieźć do Dzielnicy Łacińskiej.

Jakie będą dalsze losy Mariusza?

**Księga czwarta**

**Przyjaciele Abecadła**



## I

### **Pewna grupa, która omal nie przeszła do historii**

Przez tę epokę, na pozór bezduszną, przebiegało jakieś nieuchwytnie, rewolucyjne drżenie. W powietrzu czuć było powiewy powracające z głębin 1789 i 1792 roku. Młodzież zaczynała się opierać, jeśli wolno nam użyć tego określenia. W ludziach dokonywała się przemiana, prawie nieświadoma, którą powodował po prostu bieg czasu. Wskazówka, która posuwa się na tarczy zegara, posuwa się również w duszach ludzkich. Każdy robił krok naprzód, jaki należało zrobić: rój aliści stawali się liberałami, liberałowie stawali się demokratami.

Był to jakby wzbierający przyptyw, który musiał opierać się tysiącnym falom odpływu; odpływy mają to do siebie, że stwarzają zamęt. Stąd - osobliwe połączenie pojęć: uwielbiano jednocześnie Napoleona i wolność. Piszemy tu historię; takie były miraży owych czasów.

Przekonania przechodzą różne fazy. Rojalizm wolteriański, dziwaczna odmiana, miał niemniej osobliwy odpowiednik - bonapartyistyczny liberalizm.

Inne ugrupowania umysłów były poważniejsze; tam zgłębiano zasadę; tam dociekano prawa. Pasjonowano się absolutem i przewidywano nieskończoność realizacji; absolut przez swoją niewzruszoność kieruje umysł w błękity i każe mu bujać w bezkresie. Nic zaś tak nie rodzi marzenia, jak dogmat. Nic tak nie zapładnia przyszłości, jak marzenie. Dzisiaj utopia, jutro ciało i krew rzeczywistości.

Przekonania postępowe miały podwójne dno. Coś, co rozpoczynało się potajemnie, zagrażało "ustalonemu porządkowi", który był podejrzany i skryty. Znak to w najwyższym stopniu rewolucyjny. Zamysły władzy natykają się w podziemiu na zamysły ludu. Na ukartowane zamachy stanu odpowiedzią jest dojrzewanie insurekcji.

Nie istniały jeszcze wówczas we Francji rozgałęzione organizacje podziemne, jak Tugendbund\* niemiecki czy włoski karbonaryzm; ale tu i ówdzie zarysowały się jakieś tajemnicze drażenia. Kugurda\* powstała w Aix; w Paryżu, oprócz innych stowarzyszeń tego rodzaju, istniało Towarzystwo Przyjaciół Abecadła.

---

\* Tugendbund (Związek Cnoty) - tajne stowarzyszenie założone w r. 1808 w Prusach zmierzające do wyzwolenia Niemiec spod władzy Napoleona.

\* La Cougourde - tajne stowarzyszenie republikańskie, działające na południu Francji w okresie Restauracji.

Kim byli Przyjaciele Abecadła? Stowarzyszeniem mającym pozornie na celu nauczanie dzieci, w istocie zaś podźwignięcie człowieka.

Członkowie stowarzyszenia podawali się za przyjaciół ABC - Abaisé - znaczy uciśniony. Uciśnionym był lud. Chciano go podźwignąć. Błędem byłoby śmiać się z tego kalamburu. Kalambury odgrywają czasem ważną rolę w polityce: dowód - kalambur: *Castratus ad castra*, który uczynił Narsesa głównodowodzącym\* armii; czy *Barbari et Barberini*\*, czy *Fueros y Fuegos*\*, czy wreszcie: “*Tu es Petrus et super hans petram...*” itd.

Przyjaciele Abecadła tworzyli nieliczną grupę: było to tajne stowarzyszenie w załączku, powiedzielibyśmy prawie koteria, gdyby koterie wydawały bohaterów. Mieli w Paryżu dwa miejsca spotkań: jedno niedaleko Hal, w szynku zwanym “Koryntem”, o którym będzie później mowa, drugie w pobliżu Panteonu, w kawiarence na placu św. Michała. Kawiarnia ta, dziś już zburzona, zwała się “Musain”. Pierwsze z tych miejsc dogodniejsze było dla robotników, drugie - dla studiującej młodzieży.

Zazwyczaj tajne narady Przyjaciół Abecadła odbywały się w tylnej salce kawiarni “Musain”. Salka ta, odsunięta od kawiarni, z którą łączył ją bardzo długi korytarz, miała dwa okna i wyjście poprzez ukryte schodki na uliczkę Gres. Pito w niej, palono, bawiono się, śmiano, i głośno rozprawiano o wszystkim, a po cichu o innych sprawach. Na ścianie wisiała stara mapa Francji z czasów republiki; wystarczająca wskazówka, żeby wzbudzić podejrzenie agenta policji.

Większość Przyjaciół Abecadła stanowili studenci oraz paru zaprzyjaźnionych z nimi robotników. Oto najważniejsze nazwiska. Należą one w pewnej mierze do historii: Enjolras, Comberferre, Jan Prouvaire, Feuilly, Courfeyrac, Bahorel, Lesgle albo Laigle, Joly i Grantaire.

Przyjaźń łącząca tych młodzieńców tworzyła z nich niejako jedną rodzinę. Wszyscy z wyjątkiem Laigle'a pochodzili z południa Francji.

Była to nieprzeciętna gromadka. Pochłoneła ją niewidzialna otchłań, która jest poza nami. W tym punkcie dramatu, do którego doszliśmy, nie od rzeczy będzie rzucić snop światła na te młode głowy, nim znikną one z oczu czytelnika w mroku tragicznych wydarzeń.

Enjolras, którego wymieniliśmy na pierwszym miejscu - czytelnik dowie się niebawem dlaczego - był bogatym jedynakiem.

---

\* Wódz bizantyjski Narses (472-568) był w młodości eunuchem na dworze cesarza Justyniana I.

\* *Barbari et Barberini* - aluzja do epigramatu *Quod non fecerunt Barbari, fecere Barberini* (czego nie zrobili barbarzyńcy, zrobili Barberini); Barberini, rodzina włoska, przywłaszczyli sobie w XVII w. wiele pomników starożytności, by ozdobić nimi pałac w Rzymie.

\* Konstytucja i ognisko.

Był to czarujący młodzieniec, który potrafił stawać się straszny. Był anielsko piękny, niby dziki i srogi Antinous. Widząc zadumany blask jego spojrzenia, można by powiedzieć, że w jakimś poprzednim wcieleniu przeżył apokalipsę rewolucji. Miał jej tradycję w sobie, jakby był jej świadkiem. Znał wszystkie drobne szczegóły tej wielkiej sprawy. Natura arcykapłana i wojownika, niezwykła u młodego chłopca. Wierzył i walczył; doraźnie - żołnierz demokracji; z punktu widzenia ponadczasowego - kapłan ideału. Miał głęboko osadzone źrenice, nieco zaczerwienione powieki, dolną wargę wydatną i łatwo układającą się w grymas pogardy i wysokie czoło. Wysokie czoło w twarzy jest jak rozległe niebo na widnokręgu. Podobnie jak niektórzy młodzieńcy z początku naszego stulecia i z końca zeszłego, co wcześniej stali się sławni, i Enjolras (choć bladł czasami) miał w sobie jakiś nadmiar młodości, świeżej jak u dziewczyny. Już mężczyzna, wyglądał jeszcze jak chłopiec; miał dwadzieścia dwa lata, a można mu było dać siedemnaście. Poważny, zdawał się nie wiedzieć, że istnieje na ziemi twór, zwany kobietą. Miał jedną namiętność - prawo, jedną myśl - obalenie przeszkody. Na Awentyńskim Wzgórzu byłby Grakchem; w Konwencie Saint-Justem. Zaledwie dostrzegał róże, nie widział wiosny, nie słyszał śpiewu ptaków. Podobnie jak Aristogitona nie poruszyłaby go obnażona pierś Evadne\*. Podobnie jak Harmodiusz\* uważał, że kwiaty istnieją tylko po to, żeby w nich ukryć miecz. Był surowy w uciechach. Przed wszystkim, co nie było republiką, skromnie spuszczał oczy. Był to nieugięty kochanek Wolności. Jego gorzkie, natchnione słowa wibrowały jak hymn. Nieoczekiwanie rozpościerał skrzydła. Biada miłostce, która odważyła się zerknąć w jego stronę! Gdyby jakaś gryzетка z placu Cambrai czy z ulicy Saint-Jean-de-Beauvais, widząc tę twarz uczniaka, tę postać pazia, te długie złote rzęsy, błękitne oczy, rozwichrzone włosy, różowe policzki, świeże wargi i cudowne zęby, skusiła się na te uroki jutrzienki i chciała wypróbować swoje wdzięki na Enjol-rasie, dziwne, a groźne spojrzenie ukazałoby jej z nagłą przepaść i ostrzegło, że nie należy mylić zalotnego Cherubina Beaumarcha-is'ego z potężnym cherubem Ezechiela.

Enjolras reprezentował logikę rewolucji. Combeferre reprezentował jej filozofię. Między logiką rewolucji a jej filozofią istnieje ta różnica, że logika dopuszcza możliwość wojny, filozofia zaś może prowadzić tylko do pokoju. Combeferre uzupełniał i prostował Enjolrasa. Nie sięgał tak wysoko, ale miał rozleglejsze spojrzenie. Chciał, żeby wpajano w

---

\* Evadne - postać legendarna, piękna Greczynka, która wzgardziła miłością Apollina dla jednego z siedmiu wodzów walczących przeciw Tebom. Po spaleniu ciała ukochanego, który zginął w walce, Evadne rzuciła się w płomień.

umysły szerokie zasady powszechnych idei. Mówił: rewolucja, ale i: cywilizacja. I wokół strzelistego szczytu odsłaniał szeroki widnokrąg nieba. Dlatego właśnie wszystkie poglądy Combeferre'a były dostępne i możliwe do wprowadzenia w życie. Łatwiej oddychało się atmosferą rewolucji u boku Combeferre'a niż Enjolrasa. Enjolras wyrażał jej prawo boskie. Combeferre - prawo naturalne. Pierwszy z nich wywodził się z Robespierre'a, drugi był bliższy Condorceta. Combeferre bardziej niż Enjolras żył życiem przeciętnego człowieka. Gdyby obu tym młodzieńcom dane było wejść do historii, pierwszy zwałby się "Sprawiedliwy", drugi "Mądry". Enjolras był bardziej męski, Combeferre bardziej ludzki. *Homo* i *Vir*. Tak, na tym właśnie polegała różnica między nimi. Combeferre był łagodny, tak jak Enjolras był surowy, przez wrodzoną czystość. Lubił słowo "obywatel", lecz wolał słowo "człowiek". Chętnie mówiłby: *Hombre*, jak Hiszpanie. Czytał wszystko, chodził do teatru, uczęszczał na odczyty, studiował u Arago polaryzację światła, pasjonował się wykładami Geoffroy Saint-Hilaire, poświęconymi podwójnemu działaniu zewnętrznej i wewnętrznej tętnicy, z których jedna zasila twarz, druga zaś mózg; wiedział o wszystkich nowościach, szedł krok w krok z postępem wiedzy, porównywał Saint-Simona z Fourierem, odczytywał hieroglify, rozbijał znalezione kamyczki i rozprawiał o geologii, rysował z pamięci motyla jedwabnika, wytykał błędy językowe w Słowniku Akademii, studiował Puysegura i De-leuze'a, nie wydawał sądu twierdzącego o niczym - nawet o istnieniu cudów; niczemu nie przeczył - nawet istnieniu duchów; przeglądał komplety "Monitora"; rozmyślał. Twierdził, że przyszłość jest w ręku nauczyciela ludowego; pochłaniały go problemy wychowania. Pragnął, żeby społeczeństwo pracowało bez wytchnienia nad podniesieniem poziomu umysłowego i moralnego, nad rozpowszechnianiem wiedzy, nad rozprzestrzenianiem myśli i rozwojem umysłu młodzieży. Bał się, żeby nędzne metody nauczania, ubóstwo w poglądach literackich, ograniczających się do znajomości paru wieków, tzw. "klasycznych", tyrański dogmatyzm urzędowych pedantów, przesady scholastyczne i rutyna nie uczyniły z naszych szkół sztucznych wylęgarni. Był erudyta, purystą, ścisłym, wszechstronnym umysłem, szperaczem i zarazem marzycielem zdolnym nawet bujać w obłokach, jak mawiali koledzy. Wierzył we wszystkie mrzonki, w kolej żelazną, w usunięcie bólu przy operacjach chirurgicznych, w utrwalenie obrazu w *camera obscura*, w telegraf elektryczny, w sterowanie balonem. I nie lękał się zbytnio cytadel, którymi ze wszystkich stron obudowały rodzaj ludzki zabobony, despotyzm i przesady. Należał do tych osób, które mniemają, że dzięki nauce zmieni się układ

---

\* Aristogiton i Harmodiusz - dwaj młodzi Ateńczycy, którzy podczas święta Panatenejów, mszcząc uwiedzenie siostry Harmodiusza, zabili Hipparcha, jednego z synów Pizystrata rządzących miastem. Sztylety ich były ukryte w gałązkach mirtu.

sił. Enjolras był wodzem. Combeferre był przewodnikiem. Z pierwszym chciałbyś walczyć, z drugim - iść naprzód. Nie znaczy to, by Combeferre był niezdolny do walki; nie uchylał się od zmierzenia się oko w oko z przeszłością i potrafił zaatakować ją gwałtownie, ale wołał przez wpajanie pewników i głoszenie praw pozytywnych kierować powoli rodzaj ludzki na drogę zgodną z jego przeznaczeniem; wybierając między dwiema jasnościami, skłaniał się raczej ku rozświeceniu niż ku pożodze. Zapewne, pożar również może rozniecić zorzę, czemuż jednak nie zaczekać na wschód słońca? Wulkan rzuca światło, lecz jeszcze większe światło rzuca jutrzienka. Combeferre przedkładał może olśniewającą biel piękna nad płomienny blask wzniosłości. Jasność, przysłonięta dymem, postęp, okupiony gwałtem, połowicznie tylko zadowalały ten tkliwy i poważny umysł. Wtrącenie całego narodu w prawdę, a więc w to, czym był rok 1793, przerażało go; wstrętniejszy był mu jednak zastój, czuł w nim zgniliznę i śmierć; słowem, wołał kipieli od wyziewów stojącej wody, strumień od kloaki i wodospad Niagary od jeziora Montfaucon. Ogólnie biorąc, nie chciał ani zastoju, ani pośpiechu. Podczas gdy jego burzliwi przyjaciele, po rycersku rozmiłowani w absoluście, uwielbiali i przyzywali wspaniałe wypadki rewolucyjne, Combeferre skłonny był raczej przystać, aby działał sam postęp, pocziwy postęp, może chłodny, lecz czysty; metodyczny, lecz nienaganny; powolny, lecz niezawodny. Combeferre gotów byłby paść na kolana i złożyć ręce, żeby przyszłość nadeszła w całej swej czystości, żeby nic nie zakłóciło wielkiej ewolucji moralnej ludów, "Dobro musi być niewinne" - powtarzał nieustannie. Istotnie, jeśli wielkość rewolucji polega na tym, aby bez zmrużenia oczu patrzeć w oślepiający blask ideału i lecieć doń, mimo gromów, niosąc w szponach krew i pożogę, to piękno postępu musi być bez zmazy; i między Waszyngtonem, który uosabia postęp, a Dantonem, w którego wciela się rewolucja, jest taka różnica jak między aniołem o skrzydłach łabędzia i aniołem o skrzydłach orła.

Jan Prouvaire był człowiekiem jeszcze nieco łagodniejszym od Combeferre'a. Chwilowa fantazja, wypływająca z potężnego i głębokiego nurtu, z którego zrodziły się tak potrzebne badania średniowiecza, sprawiła, że przezwwał się Jehanem. Jan Prouvaire był kochliwy, pielęgnował kwiatek w doniczce, grał na flecie, układał wiersze, kochał lud, litował się nad kobietą, wylewał łzy nad dzieckiem, jednaką ufność pokładał w przyszłości i w Bogu i potępiał rewolucję za to, że ścięła głowę królewską - głowę Andrzeja Chenier. Jego słaby zazwyczaj głos nabierał czasem męskiej siły. Wykształcenie jego graniczyło z erudycją: był prawie skończonym orientalistą. Nade wszystko jednak - był dobry; i rzecz całkiem prosta dla tego, kto wie, jak dobroć blisko graniczy z wielkością: w poezji przedkładał potęgę. Znał włoski, łacinę, grecki i hebrajski; korzystał z tego, żeby czytać tylko czterech poetów: Danta,

Juvenala, Aischylosa i Izajasza. W literaturze francuskiej wołał Corneille'a od Racine'a, a Agryppę d'Aubigne od Corneille'a. Chętnie wałęsał się po polach zarośniętych dzikim owsem i bławatkami, a zdarzeniom życia poświęcał niewiele więcej uwagi niż obłokom. Umysł jego zajmował dwie postawy: jedną wobec ludzi, drugą wobec Boga: badał lub kontemlował. Przez cały dzień zgłębiał zagadnienia społeczne: płace, kapitał, kredyt, małżeństwo, religię, wolność myśli, wolność uczucia, wychowanie, system kar, nędzę, stowarzyszenia, własność, wytwarzanie i rozdział dóbr, ziemską zagadkę, która cieniem kładzie się na mrowisko ludzkie; wieczorem wpatrywał się w te olbrzymie istnienia - gwiazdy. Podobnie jak Enjolras był zamożnym jedynakiem. Mówił cicho, pochylał głowę, spuszczał oczy, uśmiechał się z zakłopotaniem, był źle ubrany, niezręczny, ogromnie nieśmiały i czerwienił się z byle powodu. A przy tym wszystkim - nieustraszony.

Feuilly nie miał ojca ani matki, był rzemieślnikiem, wyrabiał wachlarze; pracując ciężko, zarabiał trzy franki dziennie i pochłaniała go jedyna myśl: wyzwolić świat. Zajmowała go jeszcze jedna sprawa: kształcenie się, co nazywał również wyzwoleniem siebie. Sam nauczył się czytać i pisać; wszystko, co wiedział, zdobył własną pracą. Feuilly miał szlachetne serce. Obejmował uściskiem bezmiar. Ten sierota usynowił narody. Ponieważ brakło mu matki, rozmyślał o ojczyźnie. Nie chciał, żeby na ziemi był choć jeden człowiek pozbawiony ojczyzny. Z głęboką intuicją prostego człowieka hodował w sobie to, co dziś nazywamy "ideą narodowości". Nauczył się historii umyślnie po to, żeby nie oburzać się bezpodstawnie. W tym młodym kółku utopistów, zajętych głównie losem Francji, Feuilly reprezentował zagranicę. Specjalnością jego była Grecja, Polska, Węgry, Rumunia i Włochy. Bez ustanku powtarzał te nazwy przy każdej okazji i bez okazji, z uporem paragrafu prawnego. Turcja na Krecie i w Tesalii, Rosja w Warszawie, Austria w Wenecji; te gwałty budziły w nim gniew. Nade wszystko zaś oburzał go straszny akt przemocy z 1772 roku. Nic nie pobudza tak wymowy jak słuszne oburzenie. Feuilly był wymowny tą wymową. Ciągłe mówił o tej haniebnej dacie, o 1772 roku, o szlachetnym, walecznym narodzie, powalonym zdradziecko, o tej potrójnej zbrodni, o tym potwornym podstępie, co stał się prototypem i wzorem wszystkich przerażających rozbiorów, które od tego czasu dotknęły wiele szlachetnych narodów, wymazując, by tak rzec, metryki ich urodzenia.

Wszystkie społeczne zamachy stanu naszych czasów wywodzą się z rozbioru Polski. Rozbiór Polski - to teoremat, z którego wszystkie współczesne zbrodnie polityczne wynikają jak wnioski. Od wieku już prawie każdy despota, każdy zdrajca powołuje się, zatwierdza,

kontrasygnuje i parafuje *“ne varietur”*\* rozbiór Polski. Kiedy się przegląda dokumenty dzisiejszych zdrad, ta zdrada wysuwa się na pierwsze miejsce. Kongres wiedeński przyjrzał się tej zbrodni, nim dokonał swojej. Rok 1772 to ujadanie sfory, rok 1815 - to podział łupów. Taki był zazwyczaj temat rozmów Feuilly. Ten ubogi robotnik ustanowił się opiekunem sprawiedliwości, która w zamian uczyniła go wielkim. W prawie bowiem zawarta jest wieczność. Warszawa nie może być tatarska, podobnie jak Wenecja nie może być germańska. Królowie daremnie tracą na to swój czas i honor. Prędzej czy później zatopiona ojczyzna wypływa na powierzchnię i wyłania się z głębin. Grecja znowu jest Grecją; Włochy znowu są Włochami. Protest prawa przeciw przemocy trwa wiecznie. Kradzież narodu nie ulega przedawnieniu. Te oszustwa na wielką skalę nie mają widoków powodzenia. Naród - to nie chusteczka do nosa; nie można na nim dowolnie zmieniać monogramów.

Courfeyrac miał ojca, który nazywał się panem de Courfeyrac. Mieszczaństwo z okresu Restauracji miało między innymi to błędne pojęcie o szlachcie i arystokracji, że wierzyło w dwie literki *“de”* umieszczane przed nazwiskiem. Słótko to, jak wiadomo, nie ma najmniejszego znaczenia. Ale mieszczenie z okresu *“Minerwy”* mieli tak wysokie mniemanie o owym słótku *“de”*, że każdy czuł się w obowiązku zrezygnować z niego. Pan de Chauvelin kazał się zwać panem Chauvelin, pan de Caumartin - panem Caumartin, pan de Constant de Rebecque - Beniaminem Constant, a pan de Lafayette - panem Lafayette. Courfeyrac nie chciał pozostać w tyle i nazwał się po prostu Courfeyrac.

Tu moglibyśmy poprzestać na tym, cośmy powiedzieli, a resztę zamknąć w słowach: *“Courfeyrac - patrz: Tholomyés”*.

Istotnie, Courfeyrac miał w sobie tę werwę młodości, którą można by nazwać wiośnianą świeżością umysłu. Później znika ona, jak znika figlarność małego kotka, i z całego wdzięku pozostaje u dwunogów mieszcuch, a u czworonogów - kocur.

Całe pokolenia przechodzące przez szkołę, kolejny *“pobór”* młodzieży, przekazują sobie ten rodzaj umysłowości prawie bez zmian i podają go z ręki do ręki - *quasi cursores*\*, dlatego też, jak już zaznaczyliśmy, ten, kto usłyszałby w roku 1820 Courfeyraca, mógłby sądzić, że słucha w roku 1817 Tholomyésa. Tylko że Courfeyrac był porządnym chłopcem. Mimo pozornego podobieństwa zewnętrznych cech umysłowości, między nim a Tholomyésem była wielka różnica. Inny człowiek krył się w pierwszym z nich, inny w drugim: w Tholomyésie mieszkał prokurator, w Courfeyracu - błędny rycerz.

---

\* Nie wolno zmieniać.

\* Jak biegacze.

Enjolras był wodzem, Combeferre - przewodnikiem, Courfeyrac punktem centralnym. Inni dawali więcej światła, on dawał więcej ciepła; faktem jest, że miał wszelkie cechy centralnego punktu: krągłość i promieniowanie.

Bahorel uczestniczył w krwawych zamieszkach, które wybuchły z okazji pogrzebu studenta nazwiskiem Lallemand w czerwcu 1822 roku.

Bahorel lubił dobrą zabawę i złe towarzystwo; był odważny, lekkomyślny, rozrzutny aż do wspaniałomyślności, gadatliwy aż do granic krasomówstwa, śmiały aż do bezczelności. Z tym wszystkim najzaciejsza w świecie dusza. Nosił jaskrawe kamizelki i czerwone przekonania; zabijaka na wielką skalę, to znaczy, że nade wszystko lubił zwadę, nad zwadę przenosił rozruchy, a nad rozruchy - rewolucję. Zawsze gotów wybić szybę, zerwać bruk, a potem obalić rząd, żeby zobaczyć, co z tego wymknie; jednaście lat był studentem. Wąchał prawo, ale go nie studiował. "Być adwokatem! Przenigdy!" - oto, co przyjął za dewizę, a za herb - stolik nocny, spod którego wystawał biret sędziowski. Ilekroć przechodził obok wydziału prawnego - co mu się rzadko zdarzało - zapinał szczelnie surdut - paltotów jeszcze nie było - i przedsięwziął wszelkie środki ostrożności. O głównym wejściu do swojej uczelni mawiał: "Co za piękny starzec", a o swoim dziekanie, panu Delvincourt: "Co to za gmach!" W wykładach widział temat do piosenek, w profesorach modele do karykatury. Nic nie robiąc, przepuszczał dość pokaźną pensję, coś około trzech tysięcy franków. Miał rodziców na wsi i potrafił im wpoić szacunek dla syna.

Mówił o nich: "To nie mieszczuchy, to chłopci, i dlatego mają rozum".

Bahorel, człowiek kapryśny, chodził do różnych kawiarni: inni mieli przyzwyczajenia, on ich nie miał. Wałęsał się. Błądzić - to cecha ludzka; wałęsać się - to cecha paryska. W gruncie rzeczy był to umysł dociekliwy i głębszy, niżby się zdawało.

Był łącznikiem między Przyjaciółmi Abecadła a innymi, jeszcze nie uformowanymi grupami, które później miały się wyraźniej zarysować.

To zgromadzenie młodych miało jednego łysego w swoim gronie.

Markiz d'Avaray, którego Ludwik XVIII obdarzył tytułem książęcym za to, że w dniu ucieczki za granicę dopomógł mu wsiąść do wynajętego kabrioletu - opowiadał, że w roku 1814, gdy król powracając do Francji, wylądował w Calais, jakiś człowiek przedłożył mu petycję. "O co chodzi?" - zapytał król. - "Chciałbym zostać naczelnikiem poczty, najjaśniejszy panie!" - "Nazwisko pana?" - "L'Aigle\*".

Król zmarszczył brwi, rzucił okiem na podpis i zobaczył nazwisko, napisane "Lesgle". Ta ortografia, nie zdradzająca bonapartyzmu, ujęła króla tak, że się rozpogodził.



“Najjaśniejszy panie - mówił człowiek z petycją - mojego przodka, który był chłopakiem od pilnowania sfory, przezywano Lesgueules<sup>\*</sup>. Z tego przezwiska powstało moje nazwisko. Nazywam się Lesgueules, co skrócono na Lesgle, a przekręcono na l'Aigle”. Na to król uśmiechnął się na dobre, później - umyślnie czy też nieumyślnie - mianował go naczelnikiem poczty w Meaux.

Ten jedyny łysy był synem owego Lesgle'a czy Legle'a i podpisywał się Legie (z Meaux). Koledzy, skracając, zwali go Bossuetem<sup>\*</sup>.

Bossuet był wesołym chłopcem, którego prześladował pech. Odznaczał się tym, że nic mu się nie wiodło. Za to śmiał się ze wszystkiego. Mając dwadzieścia pięć lat był łysy. Ojciec jego dorobił się domku i kawałka roli, ale syn nie znalazł nic pilniejszego do roboty, jak stracić w jakiejś chybionej spekulacji i domek, i rolę. Nie zostało mu ani grosza. Posiadał spory zasób wiedzy i inteligencji, ale zawsze chybiał celu. Nic mu się nie udawało, wszystko go zawodziło; to, co wznosił, waliło mu się na głowę. Jeśli rąbał drzewo, kaleczył się w palec. Jeśli miał kochankę, bardzo prędko spostrzegał, że ma również przyjaciela. Co rusz, wpadał w jakieś tarapaty, stąd jego wesołość. Mawiał: “Mieszkam pod dachem z dachówek lecących na łeb”. Nie dziwiąc się niczemu, bo każde niemiłe zdarzenie przewidywał z góry, pogodnie znosił przeciwności, a złośliwe figle losu przyjmował z uśmiechem, jak ktoś, kto zna się na żartach. Był biedny, ale kapitał humoru miał niewyczerpany. Często nie miał ani grosza, ale uśmiech - zawsze. Gdy spotkało go niepowodzenie, witał wylewnie tego starego znajomego; katastrofy życiowe klepał po brzuchu, ze Złym Losem był w tak zażyłych stosunkach, że nazywał go po imieniu: “Jak się masz, Stary Pechu!” - mówił.

Prześladowania losu wyrobiły w nim pomysłowość. Na wszystko znał sposób. Nie miał ani grosza, a jednak - kiedy mu przyszła ochota - potrafił “rzucić pieniądze garściami”. Pewnej nocy przejadł aż “sto franków” z jakąś lafiryndą, co dało mu okazję podczas orgii do takiego pamiętnego powiedzenia: “Stufrankowa dziewczyno, ściągnij no mi buty!”

Bossuet zmierzał wolniutko ku karierze adwokackiej: studiował prawo na wzór Bahorela. Bossuet rzadko kiedy miał mieszkanie; czasem nie miał wcale. Mieszkał to u jednego kolegi, to u drugiego, najczęściej u Joly. Joly studiował medycynę. Był o dwa lata młodszy od Bossueta.

Joly był to młody chory z urojenia. Z medycyny skorzystał tyle, że był raczej pacjentem niż lekarzem. Mając dwadzieścia trzy lata, uważał się ze chorowitego i całymi

---

\* Orzeł.

\* Pyski.

\* l'Aigle de Meaux (orzeł z Meaux) - przezwisko Bossueta.

dniami oglądał sobie język w lusterku. Twierdził, że człowiek magnetyzuje się podobnie jak igła, i ustawiał w swoim pokoju łóżko głową na południe, a nogami na północ, aby w nocy wielki prąd magnetyczny obiegający ziemię nie zakłócał mu krążenia krwi. W czasie burzy badał sobie puls. Zresztą był najweselszy z całego grona. Wszystkie te sprzeczności: młodość, maniactwa, chorowitość, wesołość, godziły się jakoś ze sobą, tworząc w sumie miłego i ekscentrycznego chłopca, którego koledzy, hojnie szafujący dźwięcznymi spółgłoskami, nazywali Jolllly. “Możesz latać na swoich czterech ‘l’ jak na skrzydłach” - mówił mu Jan Prouvaire.

Joly miał zwyczaj dotykać gałką laski czubka nosa, co jest oznaką przenikliwego umysłu.

Wszyscy ci młodzieńcy, tak różni usposobieniem, o których właściwie należy mówić tylko poważnie, wyznawali wspólną religię: postęp.

Wszyscy byli rodzonymi synami Rewolucji Francuskiej. Każdy, nawet najbardziej płochy, poważniał, wymawiając “rok 1789”. Ich ojcowie w sensie fizycznym byli jeszcze lub byli niegdyś konstytucjonalistami, rojalistami, doktrynerami; to nie miało znaczenia; młodych nie obchodził zgoła ten mętlik, który poprzedzał ich urodzenie; w ich żyłach płynęła czysta krew zasad i bez odcieni pośrednich wyznawali nieprzedajność prawa i bezwzględność obowiązku.

Stowarzyszeni i wtajemniczeni usiłowali w podziemnej pracy wykuć ideał.

Wśród tych gorących serc i wierzących umysłów był jeden sceptyk. Jakże się tam znalazł? Prawem kontrastu. Sceptyk ten nazywał się Grantaire i podpisywał się zazwyczaj tajemniczo: “R”. Grantaire był człowiekiem, który nade wszystko wystrzegał się wiary w cokolwiek. Należał zresztą do studentów, którzy najwięcej skorzystali ze swych studiów w Paryżu; wiedział, że najlepsza kawa jest w kawiarni “Lemblin”, a najlepszy bilard w kawiarni “Wolter”; wiedział, że w “Ermitażu” na bulwarze Maine są smaczne ciastka i urodziwe dziewczęta, że kurczęta z rusztu dostanie się u matki Saguet, potrawę z ryby w winnym sosie koło roгатki Cunette, a koło roгатki Combat pewne doskonałe białe wino. Wiedział, gdzie czego szukać; poza tym znał kilka tańców, “salonowca” i bardzo sprawnie fechtował się na kije. Przede wszystkim lubił wypić. Był nieopisanie szpetny. Irma Boissy, najładniejsza w owych czasach kamaszniczka, wstrząśnięta jego brzydota, zawyrokowała: “Grantaire jest niemożliwy!”, ale to nie zachwiało jego dobrego mniemania o sobie; w każdą kobietę wlepił powłóczyście i tkliwe spojrzenie, z miną, która mówiła: “Ba! gdybym tylko zechciał!”, i starał się wmówić kolegom, że dziewczęta za nim szaleją.

Słowa takie jak prawo ludu, prawo człowieka, umowa społeczna, Rewolucja Francuska, republika, demokracja, ludzkość, cywilizacja, religia, postęp - dla Grantaire'a nie miały właściwie żadnego znaczenia. Uśmiechał się, słysząc je. Sceptycyzm, ta śniedź inteligencji, nie zostawił mu jednej zdrowej myśli w głowie. Żył ironią. Miał ulubiony aksjomat: "Jedna jest tylko rzecz pewna na świecie: pełna szklanka". Wykpiwał każde poświęcenie w każdym stronnictwie, tak samo szydził z brata jak z ojca, tak samo z Robespierre'a młodszego\* jak z Loizerolles'a\*. "Dużo im z tego przyszło, że nie żyją!" - wołał. O krzyżu mówił: "No, ta szubieniczka zdobyła powodzenie!" Hulaka, gracz, rozpustnik, często pijany, drażnił tych młodych marzycieli, nieustannie nucąc: "Gustuję w dziewczętach i gustuję w winie!", na melodię "Niech żyje Henryk IV".

Ale i ten sceptyk miał swój przedmiot uwielbienia. Przedmiotem tym nie była ani idea, ani dogmat, ani sztuka, ani nauka, lecz człowiek - Enjolras. Grantaire podziwiał, kochał i czcił Enjolrasa. Z kim spośród grona wierzących umysłów związał się ten anarchista-niedowiarek? Z wierzącym najbezwzględniej. Czym Enjolras go podbił? Swoimi przekonaniami? Nie! Swoim charakterem. Zjawisko często spotykane. Niedowiarek, który łącznie do wierzącego, to objaw równie prosty jak dopełnianie się barw. Pociąga nas to, czego nam brak. Nikt tak nie kocha światła jak ślepiec. Karlica uwielbia roślego dobosza. Ropucha zawsze wlepia oczy w niebo: po co? Żeby oglądać szybujące ptaki. Grantaire, w którym pełzało zwątpienie, lubił patrzeć na wzloty wiary u Enjolrasa. Enjolras był mu potrzebny. Nie zdając sobie jasno z tego sprawy i nie próbując tego sobie wytłumaczyć, był pod urokiem tej natury czystej, zdrowej, mocnej, prawej, nieugiętej i niepokalanej. Instynktownie podziwiał swoje przeciwieństwo. Jego myśli, miękkie, chwiejne, rozpierzchłe, chore i bezkształtne czepiały się Enjolrasa jak pionu. Jego kręgosłup moralny wspierał się na tej nieugiętości. U boku Enjolrasa Grantaire znów stawał się człowiekiem. Sam zresztą składał się z dwóch elementów pozornie nie do pogodzenia. Był ironiczny i serdeczny. Jego obojętność była życzliwa. Jego umysł mógł się obyć bez wiary, ale serce nie mogło się obyć bez przyjaźni. Głęboka sprzeczność: uczucie bowiem to przekonanie. Taką miał naturę. Istnieją ludzie, którzy wydają się od urodzenia przeznaczeni, żeby być "podszewką", stroną lewą, dopełnieniem. Są to: Polluks, Patrokles, Nisus, Eudamidas, Efestion i Pechmeja. Żyją tylko oparci o kogoś; imię ich zawsze jest na drugim miejscu i zawsze poprzedza je spójnik "i"; nie mają

---

\* Augustin de Robespierre (1763-1794) - młodszy brat Maksymiliana Robespierre'a, członek Konwentu. Kiedy Maksymilian Robespierre został skazany na śmierć, Augustin oświadczył, że chce umrzeć razem z bratem; życzeniu jego stało się zadość.

\* Jean-Simon Loizerolles (1732-1794) - omyłkowo skazany na śmierć zamiast własnego syna; nie prostował błędu i zginął na gilotynie.

własnego istnienia; są odbiciem cudzego losu. Do takich ludzi należał Grantaire; był uzupełnieniem Enjolrasa.

Można by zaryzykować twierdzenie, że podobne powiązania zachodzą już między literami alfabetu. W kolejności litery O i P są nierozłącznie ze sobą związane. Można mówić dowolnie: O i P lub Orestes i Pylades.

Tak więc Grantaire, prawdziwy satelita Enjolrasa, zadomowił się w tym kółku młodzieńców, żył wśród nich i tylko tam czuł się szczęśliwy; nie odstępował ich na krok. Z radością patrzył poprzez opary wina na poruszające się ich sylwetki. Tolerowano go dla jego wesołego usposobienia.

Żarliwy i wstrzemięźliwy Enjolras gardził tym wiecznie pijanym sceptykiem. Obdarzał go szczyptą wyniosłego politowania. Grantaire był Pyladem, lecz Pyladem nieuznanym. Zawsze ofukiwany przez Enjolrasa, szorstko odpychany i odtrącany - powracał wciąż, mówiąc o nim: - "Jakież to piękny posąg z marmuru!"

## II

### **Mowa pogrzebowa wygłoszona przez Bossueta ku czci Blondeau**

Pewnego popołudnia, które, jak się okaże, miało związek z opowiedzianymi poprzednio wypadkami, Laigle z Meaux stał wygodnie oparty o drzwi kawiarni "Musain". Wyglądał jak kariatyda na wakacjach: dźwigał tylko własne marzenia. Patrzył na plac Św. Michała. Stać, opierając się o coś plecami, to jakby leżeć stojąc; pozycja miła marzycielom. Laigle z Meaux myślał bez przykrości o drobnej przygodzie, która zdarzyła mu się onegdaj na uniwersytecie i pokrzyżowała plany na przyszłość, dość zresztą mgliste.

Zaduma nie przeszkadza dorożce przejeżdżać ulicą ani zadumanemu spostrzec tę dorożkę. Laigle z Meaux, którego wzrok błąkał się w jakiejś wędrówce bez celu, poprzez ten lunatyczny półsen dostrzegł dwukołowy pojazd, który wolno jechał przez plac, jakby nie wiedząc dokąd. Co tu robiła ta dorożka i czemu jechała stępa? Laigle zaczął się jej przyglądać. W dorożce, obok woźnicy, siedział jakiś młodzieniec, a przed młodzieńcem leżała dość duża torba podróżna. Na torbie widniała kartka przyszyta do materiału, z wypisanym wielkimi, czarnymi literami nazwiskiem: "Mariusz Pontmercy". Na widok tego nazwiska Laigle zmienił pozycję. Wyprostował się i zawołał na młodzieńca z kabrioletu:

- Panie Pontmercy!

Na to wezwanie dorożka zatrzymała się.

Młodzieniec, który również zdawał się być głęboko zamyślony, podniósł wzrok.

- O co chodzi? - zapytał.

- Czy pan jest Mariuszem Pontmercy?

- Ponad wszelką wątpliwość.

- Właśnie pana szukałem - rzekł Laigle z Meaux.

- Jak to być może? - zapytał Mariusz, gdyż on to był właśnie; przed chwilą opuścił dom swego dziadka, a oto teraz zaczepiał go jakiś człowiek, którego widział po raz pierwszy w życiu. - Nie znam pana.

- Ja również nie znam pana - odrzekł Laigle.

Mariuszowi przyszło na myśl, że ma do czynienia z jakimś figlarzem, z próbą mistyfikacji ulicznej, a w tej chwili nie był bynajmniej usposobiony do żartów. Zmarszczył brwi. Laigle z Meaux z niewzruszonym spokojem ciągnął dalej:

- Pan nie był onegdaj na wykładzie?

- To możliwe.

- To nawet pewne.

- Pan jest studentem? - zapytał Mariusz.

- Tak, proszę pana. Jak i pan. Przedwczoraj przypadkiem trafiłem na wykład. Wie pan, czasem strzeli coś człowiekowi do głowy! Profesor właśnie sprawdzał listę. Wiadomo panu zapewne, jacy oni są wtedy pocieszni! Trzy nieobecności - skreślenie z listy. Sześćdziesiąt franków wpisowego wyrzuconych w błoto.

Obudziło to ciekawość Mariusza. Laigle ciągnął dalej:

- Listę odczytywał Blondeau. Zna go pan przecież: ma cienki, złośliwy nos i z lubością wywąchuje nieobecnych. Zaczął podstępnie od listy P. Słuchałem jednym uchem, bo mi nic nie groziło od tej litery. Szło wcale nieźle: ani jednego skreślenia. Cały świat stawił się na wykład. Blondeau był smutny. A ja mówiłem sobie: "Blondeau, kochanie, dziś nie uda ci się upolować ani jednego!" Aż tu nagle Blondeau wywołuje: "Mariusz Pontmercy". Nikt nie odpowiada. Pełen nadziei, Blondeau powtarza głośniej: "Mariusz Pontmercy!" I już chwytą za pióro. Ale ja mam dobre serce, mój panie. Więc szybko powiedziałem sobie w duchu tak: "Oho! Uwaga! Gotów wykreślić porządnego chłopaka. A ten chłopak to człowiek żywy - bo nieakuratny. To nie kujon ani studiujący student, ani nudny żółtodziób obkuty w naukach ścisłych, literaturze, teologii, pełen wszelkiej scjencji, ani tępy pedant zapięty na wszystkie cztery guziki, a każdy guzik to jeden fakultet. To jakiś szlachetny leń, co się wałęsa, spędza czas na łonie natury, lubi gryzетки, uganiania się za dziewczętami i może teraz jest u mojej kochanki. Ratujmy go! Śmierć staremu Blondeau!" W tej chwili Blondeau umaczał w atramencie swoje czarne od skreśleń pióro, powiódł po sali wyblakłym okiem i po raz trzeci powtórzył: "Mariusz Pontmercy!" Odpowiedziałem: "Obecny!" I dla tej przyczyny pan nie został skreślony.

- Ach, proszę pana!... - przerwał Mariusz.

- A za to ja zostałem skreślony - zakończył Laigle z Meaux.

- Nie rozumiem - rzekł Mariusz. Laigle ciągnął dalej:

- Bardzo proste. Usadawiłem się blisko katedry, aby odpowiedzieć, i blisko drzwi, aby móc się wymknąć. Profesor przyglądał mi się ze szczególną uwagą. Nagle Blondeau, który widać obdarzony jest tym szelmowskim nosem, o którym mówi Boileau, przeskakuje na literę L. L to moja litera. Pochodzę z Meaux i nazywam się Lesgle.

- L'aigle - orzeł - to piękne nazwisko - przerwał Mariusz.

- A więc nasz Blondeau dochodzi do tego pięknego nazwiska, proszę pana, i woła "Laigle!" Odpowiadam: "Obecny". A wtedy Blondeau popatrzył na mnie z tygrysią słodyczą, uśmiechnął się i powiedział: "Jeśli pan jesteś Pontmercy, tedy nie jesteś pan orłem". Zdanie ubliżające nieco pańskiej osobie, ale tylko dla mnie fatalne w skutkach. To powiedziawszy wykreśla mnie.

Mariusz wykrzyknął:

- Ach, proszę pana, jestem w rozpacz...

- Przede wszystkim - przerwał Laigle - chciałbym zabalsamować imię pana Blondeau w paru czułych, pochwalnych słowach. Przypuśćmy, że umarł. Nie trzeba by prawie nic zmieniać, taki jest chudy, blady, sztywny, oziębły i zalatuje trupem. Mówię tedy: *Erudimini, qui judicatis terram*\*. Tutaj spoczywa Blondeau, Blondeau Nochal, Blondeau *Nasica*, wół roboczy, *bos disciplinae*, pies służbistości, archanioł apelów, który był prostolinijny, kanciasty, skrupulatny, sztywny, uczciwy i wstrętny. Bóg go skreślił, tak jak on mnie skreślił.

- Jest mi niezmiernie przykro... - zaczął znowu Mariusz.

- Niech ci to posłuży za nauczkę, młodzieńcze - powiedział Laigle z Meaux. - Na przyszłość bądź akuraty.

- Doprawdy, stokrotnie pana przepraszam.

- I nie narażaj bliźniego twego na skreślenie z listy!

- Jestem ogromnie zmartwiony...

Laigle parsknął śmiechem:

- A ja - zachwycony! Niewiele brakowało, a zostałbym adwokatem. To skreślenie ocaliło mnie. Wyrzekam się sukcesów w palestrze. Nie będę bronił wdów ani oskarżał sierot. Żegnaj, tego! Żegnaj, aplikanturo! Otóż i jestem wreszcie skreślony! Panu to zawdzięczam, panie Pontmercy! Chciałbym złożyć panu uroczystą wizytę dziękczynną. Gdzie pan mieszka?

- W tym kabriolecie - odparł Mariusz.

- Znak zamożności - odparł z flegmą Laigle. - Winszuję, winszuję! Płaci pan dziewięć tysięcy franków komornego rocznie.

W tej chwili z kawiarni wyszedł Courfeyrac.

Mariusz uśmiechnął się smutnie:

- Płacę takie komorne od dwóch godzin i marzę, żeby z tym skończyć; ale po prostu nie mam gdzie się podziać.

- Niech pan zamieszka u mnie - rzekł Courfeyrac.

---

\* Uczcie się, którzy sędzicie ziemię.

- Mnie przysługiwałoby prawo pierwszeństwa - zauważył Laigle. - Ale brak mi mieszkania.

- Cicho bądź, Bossuet - odparł Courfeyrac.

- Bossuet? - zapytał Mariusz. - Wydawało mi się, że pan nazywa się Laigle.

- Z Meaux - odparł Laigle. - W przenośni: Bossuet.

Courfeyrac wskoczył do kabrioletu.

- Do hotelu "Porte-Saint-Jacques" - rzucił woźnicy. I tego samego wieczoru Mariusz zamieszkał w hotelu "Porte-Saint-Jacques", tuż obok Courfeyraca.



### III

#### Mariusz się dziwi

Po kilku dniach Mariusz zaprzyjaźnił się z Courfeyrakiem. Młodość to pora łatwych związków i szybkiego zblizniania się ran. Mariusz oddychał swobodnie w towarzystwie Courfeyraca, rzecz dla niego dość nowa. Courfeyrac nie zadawał mu żadnych pytań. Nawet mu to przez myśl nie przeszło. W tym wieku twarze mówią od razu wszystko. Słowa są zbędne. O niejednym młodzieńcu rzec by można, że ma gadatliwą twarz. Jedno spojrzenie - i znajomość zawarta.

Jednakże pewnego ranka Courfeyrac zapytał z nagła Mariusza:

- Ale, ale, czy ty masz jakieś przekonania polityczne?
- No, wiesz! - odparł Mariusz prawie oburzony takim pytaniem.
- Jakie?
- Jestem demokratą-bonapartystą.
- Ochronna barwa szarej myszy! - rzekł Courfeyrac.

Następnego dnia zabrał Mariusza do kawiarni "Musain". Po czym szepnął mu do ucha z uśmiechem: "Muszę cię wprowadzić w rewolucję". I zaprowadził go do sali Przyjaciół Abecadła. Przedstawił go kolegom, mówiąc półgłosem to zwykłe słowo, którego Mariusz nie zrozumiał: "Uczeń".

Mariusz wpadł w gniazdo inteligentnych os. Zresztą, choć poważny i milczący, nie był najmniej lotny ani też gorzej uzbrojony.

Samotny do tej pory, zarówno z upodobania, jak i z przyzwyczajenia, skłonny raczej do rozmowy ze sobą, czuł się nieco oszołomiony wśród tego roju młodzieży. Różnorodność wrażeń pociągała go i męczyła zarazem. W zgiełkowej ruchliwości swobodnie kształtujących się umysłów jemu także wirowały myśli. Nieraz w tym zamęcie odbiegały od niego w takie dale, że z trudem je odnajdywał. Słuchał, jak rozprawiano wokoło o filozofii, literaturze, sztuce, historii czy religii w sposób dlań zupełnie nieoczekiwany; dostrzegał odmienny aspekt wielu rzeczy, a nie umiając spojrzeć z odpowiedniej perspektywy, nie był pewien, czy nie widzi chaosu. Porzucając poglądy dziadka dla poglądów ojca, sądził, że ustabilizował się duchowo na zawsze; teraz z niepokojem, nie śmiać się nawet przyznać przed sobą, podejrzewał, że tak nie jest. Patrzył na wszystko znów pod innym kątem. Jakieś drganie

zakołysało horyzontami jego umysłu. Dziwny zamęt wewnętrzny. Przyprawiło go to niemal o ból.

Wydawać by się mogło, że dla tych młodzieńców “nie było nic świętego”. Mariusz słyszał, jak o każdej rzeczy mówiono w dziwny sposób, co niemile raziło jego nieśmiały jeszcze umysł.

Ot, zobaczyli afisz teatralny, ozdobiony tytułem tragedii z dawnego, tak zwanego klasycznego repertuaru.

- Precz z tragedią, bożyszczem mieszcuchów! - wołał Bahorel. Na co Mariusz słyszał taką odpowiedź Combeferre'a:

- Nie masz racji, mój drogi! Mieszcuch ceni tragedię i na tym punkcie trzeba mieszcucha zostawić w spokoju. Tragedia pseudoklasyczna ma rację bytu i nie podzielam zdania tych, co w imię Aischylosa odmawiają jej tego prawa. Natura też ma swoje nieudane twory; w dziełach Stwórcy też znajdziesz gotowe parodie; dziób - nie dziób, skrzydła - nie skrzydła, łapy - nie łapy, płetwy - nie płetwy, głos boleściwy, a śmieszny - i masz kaczkę! A skoro drób istnieje obok ptaków, nie widzę powodu, dlaczego by tragedia klasyczna nie mogła istnieć obok tragedii antycznej.

Lub też innym razem traf chciał, że Mariusz przechodził z Enjolrasem i Courfeyraciem ulicą Jana Jakuba Rousseau.

Courfeyrac chwycił go za ramię:

- Oto ulica Platriere, uważasz, dziś nazwana ulicą Jana Jakuba Rousseau, bo sześćdziesiąt lat temu mieszkało na niej pewne osobliwe stadło: Jan Jakub i Teresa. Od czasu do czasu rodziły się tu małe istotki. Teresa wydawała je na świat, a Jan Jakub oddawał do przytułku.

Tu Enjolras skarcił ostro Courfeyraca:

- Wara od Jana Jakuba! Podziwiam tego człowieka. Wyparł się własnych dzieci - to prawda, ale usynowił lud!

Nikt z grona tej młodzieży nie wymawiał słowa “Cesarz”. Tylko Jan Prouvaire mówił czasami “Napoleon”; inni zaś mówili “Bonaparte”. Enjolras wymawiał nawet “Buonaparte”.

Mariusz czuł niejasne zdumienie. *Initium sapientiae.*

## IV

### W bocznej salce kawiarni “Musain”

Jedna z takich dyskusji w gronie młodzieży, przy których Mariusz było obecny i w których czasem brał udział, stała się dla niego prawdziwym wstrząsem. Działo się to w bocznej salce kawiarni “Musain”. Wszyscy prawie Przyjaciele Abecadła zebrali się tam tego wieczoru. Paliła się uroczyście lampa.

Gadano o tym i owym, bez pasji, ale głośno. Z wyjątkiem Enjolrasa i Mariusza, którzy milczeli, każdy perorował trochę na wiatr. Koleżeńskie pogawędki często są takim właśnie spokojnym gwarem. Była to raczej chaotyczna igraszka słowna niż rozmowa. Rzucano sobie słowa, chwytało je w locie. Rozprawiano po wszystkich kątach.

Żadna kobieta nie miała tu wstępu, z wyjątkiem pomywaczki Ludwisi, która od czasu do czasu przebiegała przez salkę, idąc z pomywalni do “laboratorium”.

Grantaire, zupełnie pijany, rozsiadł się w jednym kącie i zagłuszał wszystkich wokoło. Perorował i bredził na całe gardło.

- Mam pragnienie - krzyczał. - Posłuchajcie, śmiertelnicy. Marzę o tym, aby beczka heidelberska\* dostała ataku apopleksji i żebym był jedną z dwunastu pijawek, które jej zaaplikują. Chętnie bym się napił. Chcę zapomnieć o życiu. Życie to ohydny wynalazek, który wylągł się w nie wiedzieć czyjej głowie. Trwa chwilę i jest licha warte. Człowiek zabija się, żeby żyć. Życie to dekoracja bez drzwi. A szczęście to stara rama pomalowana z jednej tylko strony. Eklezjasta powiada: “Wszystko próżność”. Zgadzam się z tym jegomościem, który może nigdy nie istniał. Zero, nie chcąc świecić nagością, przybrało się w próżność. O próżności, która stroisz wszystko w wielkie słowa! Kuchnia zwie się laboratorium, metr tańca - profesorem, linoskoczek - gimnastykiem, wygrażający kułakiem - pięściarzem, pigularz - chemikiem, cyrulik - artystą, byle murarz - architektem, dżokej - sportsmenem, a stonoga - owadem skrzydłonogim. Próżność ma lewą i prawą stronę: prawa jest głupia - to Murzyn ze swoimi świecidełkami, lewa jest niedorzeczna - to filozof ze swymi łachmanami. Płaczę nad jednym, śmieję się z drugiego. Tak zwane honory i godności, a nawet honor i godność to najczęściej blichtr. Władcy igrają sobie z dumą człowieka: Kaligula mianował konsulem

---

\* Beczka w piwnicy elektora w Heidelbergu, która mogła pomieścić podobno dwieście osiemdziesiąt trzy tysiące litrów wina.

konia, Karol II pasował na rycerza kawałek krzyżówki wołowej. Drapujże się teraz w godność między konsulem Incitatusem\* a baronem Roastbeefem. Duchowa zaś wartość ludzi też niewiele więcej jest godna szacunku. Posłuchajcie tylko panegiryku, jaki wygłasza sąsiad o sąsiadzie. Biel jest nielitościwa dla bieli. Gdyby lilia mogła mówić, ładnie by obsmarowała gołąbkę. To, co bigotka mówi o dewotce, jest zjadliwsze od żmii czy grzechotnika. Szkoda, że jestem nieuk, przytoczyłbym wam masę innych przykładów, ale nic nie wiem. W każdym razie dowcipu nigdy mi nie brakło. Kiedy jeszcze byłem uczniem Grosa, zamiast tracić czas na smarowanie obrazków podkradałem jabłka; każdy pacykarz-niecznota to kawał huncwota. Tyle o mnie; a wy nie jesteście więcej warci. Gwiżdżę na waszą doskonałość, na wasze cnoty i zalety. Każda zaleta staje się wadą: oszczędność trąci skąpstwem, hojność sąsiaduje z marnotrawstwem, a bitność ociera się o butę. Człowiek bardzo pobożny jest zawsze trochę świętoszkiem. Tyle jest grzechów w cnotcie, co dziur w płaszczu Diogenesa. Kogo podziwiacie - zabójcę czy zabitego? Brutusa czy Cezara? Zwykle każdy opowiada się po stronie zabójcy. Niech żyje Brutus! Bo zabił. Taka jest bowiem cnota. Cnota? Niech i tak będzie - ale także szaleństwo! Dziwaczne skazy mają ci wielcy ludzie. Ten sam Brutus, który zabił Cezara, kochał się w posążku małego chłopca. Posąg był dziełem rzeźbiarza greckiego Strongyliona. Jego dłuta jest również posązek amazonki, zwanej Euknemos, czyli Pięknonoga, który Neron woził wszędzie ze sobą. Ten Strongylion pozostawił po sobie tylko te dwa dzieła, które pogodziły ze sobą Brutusa i Nerona. Brutus kochał się w jednym, a Neron w drugim. Historia się powtarza. Jeden wiek jest plagiatem drugiego. Bitwa pod Marengo wzoruje się na bitwie pod Pydną, a Tolbiac Klodwiga i Austerlitz Napoleona podobne są do siebie jak dwie krople krwi. Lekce sobie ważę zwycięstwo. Pokonać kogoś - to głupstwo! Przekonać kogoś - to dopiero prawdziwa chwała. Spróbujcie wreszcie czegoś dowieść. Zadowalacie się powodzeniem - co za mierność! I zdobywaniem - co za nędza! Niestety, wszędzie marność i nikczemność! Wszystko goni za powodzeniem, nawet gramatyka: *Si volet usus*\* - powiada Horacy. I dlatego gardzę rodzajem ludzkim. Przejdziemy może teraz od ogółu do szczegółu? Chcecie, żebym zaczął podziwiać narody? Ale jaki naród, proszę? Czy Grecję? Ateńczycy, ci Paryżanie starożytności, zabili Fokiona, jak my Coligny'ego, a tyranom schlebiali do tego stopnia, że na przykład Anakeforas mówił o Pizystracie, że "jego uryna przywabia pszczoły". Przez pół wieku najwybitniejszym mężem Grecji był gramatyk Filetas, człowiek tak mały i tak wątłej budowy, że musiał obciążać sobie buty ołowiem, żeby go wiatr nie uniósł. Na głównym placu w Koryncie stał posąg dłuta Silaniona, opisany przez Pliniusza;

---

\* Koń, którego cesarz Kaligula mianował konsulem.

\* Jeśli tak każe zwyczaj.

posąg ten przedstawiał Epistatesa. Co zdziałał Epistates? Wynalazł sztukę podstawiania nogi. W tym jest cała Grecja i cała sława. Przejdźmy do innych ludów. Czy mam podziwiać Anglię? Czy mam podziwiać Francję? Dlaczego? Że ma Paryż? Powiedziałem wam już moje zdanie o Atenach. Więc Anglię? Dlaczego? Że ma Londyn? Nienawidzę Kartaginy. A poza tym, Londyn, metropolia zbytku, jest stolicą nędzy. W jednej tylko parafii Charing-Cross stu ludzi umiera rocznie z głodu. Oto Albion. Dodam jeszcze, że - na domiar złego - widziałem jakąś Angielkę tańczącą w wianku z róż i w niebieskich okularach. W nosie mam Anglię! Jeśli nie podziwiani Johna Bulla, może mam podziwiać brata Jonathana? Niezbyt mi przypada do gustu ten brat niewolników. Odrzućcie: *Time is money* - co pozostanie z Anglii? Odrzućcie: *Cotton is king* - co pozostanie z Ameryki? Niemcy - to limfa; Włochy - to żółć. Czy mam się entuzjasmować Rosją? Wolter się nią zachwycił, to prawda; ale Wolter zachwycił się również Chinami. Przyznaję, że Rosja ma swoje piękne strony, między innymi twarde despotyzm, ale współczuję despotom. Są słabego zdrowia. Aleksy ścięty, Piotr zasztyletowany, Paweł uduszony, inny Paweł zmiądzony obcasami, paru Iwanów zarżniętych, kilku Mikołajów i Wasylów otrutych, wszystko to dowodzi, że pałac cesarzy rosyjskich jest miejscem wyjątkowo niezdrowym. Wszystkie narody cywilizowane każą myślicielowi podziwiać jeden szczegół: wojnę. A wojna, wojna cywilizowana, wyczerpuje i jednoczy wszelkie postacie bandytyzmu od rozbojów w wąwozach góry Jaxa począwszy, na napadach Komanczów, plądrujących Texas, skończywszy. Ba, powiecie mi, jednak Europa, to nie to co Azja. Przyznaję, że Azja to istna farsa, ale nie widzę powodu, dlaczego wyśmiewacie się z dalajlami, wy, ludy zachodu, kiedyście sami wprowadzili do waszych obyczajów i do waszej mody wszelkie plugastwa, związane z dostojnymi osobami władców, poczynając od brudnej koszuli królowej Izabeli, a skończywszy na stolcu delfina. Pocałujcie mnie w nos, moi wy przedstawiciele ludzkości. W Brukseli wypija się najwięcej piwa, w Sztokholmie najwięcej wódki, w Madrycie najwięcej czekolady, w Amsterdamie najwięcej jałowcówki, w Londynie najwięcej wina, w Konstantynopolu najwięcej kawy, a w Paryżu najwięcej absyntu; oto wszystkie użyteczne wiadomości. Jednym słowem, górą Paryż! W Paryżu nawet gałganiarze są sybarytami. Diogenesowi byłoby wszystko jedno, być gałganiarzem na placu Maubert czy filozofem w Pireusie. Dowiedzcie się jeszcze tego: szynki gałganiarzy nazywają się "gul-gul". Najsłynniejsze z nich są: "Pod Rondlem" i "Rzeźnia". A więc biorę was na świadków, o karczmy, zajazdy, szynki, knajpy, austerie, oberże, traktiernie, tancbudy, spelunki, "gul-gul" gałganiarzy i karawanseraje kalifów: cenię rozkosze życia. Jadam u Richarda za czterdzieści su na twarz i trzeba mi perskich kobierców, żeby się na nich tarzać z nagą Kleopatram. Gdzie jest Kleopatra? A, to ty, Ludwisiu. Dzień dobry.

Tak siedząc w kącie salki kawiarni "Musain", pijany w sztok Grantaire sypał słowami i zaczepiał przechodzącą pomywaczkę.

Bossuet wyciągnął ku niemu rękę, usiłując zatamować ten potok wymowy, ale Grantaire ciągnął w najlepsze dalej:

- Łapy przy sobie, Orle z Meaux. Twój gest Hipokratesa, odrzucającego Artakserksesowy kramik ze starzyzną\*, nie robi na mnie żadnego wrażenia. Zwalniam cię z trudu uspokajania mnie. A zresztą jestem smutny. Cóż wam powiedzieć? Człowiek jest zły, człowiek jest ułomny; motyl to twór udany, a człowiek - twór chybiony. Nie udało się Panu Bogu to bydłę. Tłum jest kolekcją szpetoty; pierwszy lepszy człowiek jest nikczemnikiem. A kobieta, do czarta, też niewiele warta. Tak, cierpię na *spleen*, połączony a melancholią, zaprawiony nostalgią i hipochondrią i złościę się, wściekam, ziewam, nudzę się i konam z nudów! Do diabła z Bogiem!

- Spokój już, Grantaire! - powtórzył Bossuet, który roztrząsał jakąś kwestię prawną z niewidzialnym interlokutorem i niemal po uszy utkwivszy w jakimś zdaniu wygłaszanym w prawniczym żargonie, tak je mniej więcej zakończył:

- ... ja zaś, choć jestem nietęgim prawnikiem i co najwyżej prokuratorem z natchnienia, obstawiam przy tym, że zgodnie z normandzkim prawem zwyczajowym, rokrocznie na św. Michał winna była być złożona na rzecz pana opłata wyrównawcza, o ile prawo nie stanowiło inaczej, do której to płatności zobowiązani byli wszyscy - zbiorowo i indywidualnie - tak spadkobiercy, którzy objęli spadek, jak i ci, którzy zostali wykluczeni ze spadkobrania, i to dotyczy wszystkich dzierżaw emfiteutycznych i kontraktowych, gruntów alodialnych, umów dominialnych, hipotecznych i hipotecznych...

- Patetyczny szloch nimf płaczkliwych - zanucił Grantaire.

Przy stoliku obok Grantaire'a było prawie zupełnie cicho; kartka papieru, kałamarz i pióro w sąsiedztwie dwóch szklaneczek wskazywały na to, iż powstawał tu jakiś wodewil. Szeptem radzono nad tą sprawą wielkiej wagi i obie mozolące się głowy stykały się prawie ze sobą.

- Zaczniemy od nazwisk. Jak się ma nazwiska, to i temat się znajdzie.

- Słusznie. Dyktuj. Ja będę pisał.

- Pan Dorimon?

- Rentier?

- Oczywiście.

---

\* Hipokrates odmówił Artakserksesowi, królowi Persji, pomocy w zwalczaniu epidemii i odrzucił wspaniałe dary króla.

- Jego córka - Celestyna.

- ...tyna... Co dalej?

- Pułkownik Sainval.

- Sainval - to oklepane. Proponuję Valsain.

Obok początkujących wodewilistów inna grupka, korzystając również z ogólnej wrzawy, aby mówić szeptem, omawiała pojedynek. "Stary", lat trzydziestu, udzielał rad "młodemu", lat osiemnastu, i wyjaśniał mu, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia:

- Do diabła, strzeż się go. To tęga szabla, walczy czysto, ostry w ataku, ma niezawodne flinty, giętki przegub, szybki refleks, błyskawiczne odbicie, celne parowanie i precyzyjną ripostę, a w dodatku, do licha, jest mańkutem.

W przeciwległym kącie Joly i Bahorel grali w domino i rozmawiali o miłości.

- Szczęściarz z ciebie - mówił Joly. - Twoja kochanka zawsze się śmieje.

- Źle robi - odpowiadał Bahorel. - Kochanka nie powinna się śmiać. Zachęca do zdrady. Jak widzisz, że jest wesoła, nie masz wyrzutów sumienia, natomiast widząc ją smutną, masz skrupuły.

- Niewdzięcznik! Roześmiana kobieta to taki miły widok. I nigdy nie kłóćcie się ze sobą.

- To wynika z układu, któryśmy zawarli. Zawijając nasze małe "święte przymierze", wyznaczyliśmy sobie granice, których nigdy nie przekraczamy. Stąd - spokój między nami.

- Spokój to syte szczęście.

- A co słyhać z twoją kłótnią z panną... wiesz, kogo mam na myśli.

- Dąsa się na mnie z okrutną wytrwałością.

- Jesteś przecież naprawdę wzruszająco chudym kochankiem.

- Niestety.

- Na twoim miejscu puściłbym ją kantem.

- Łatwo to mówić.

- I łatwo zrobić. Na imię jej Musichetta, prawda?

- Tak. Mój drogi, to wspaniała dziewczyna, małe rączki, małe nóżki, szykowna, biała, pulchniutka, a oczy ma jak kabalarka. Szaleję za nią.

- A więc, mój drogi, musisz się jej spodobać: bądź elegancki, nadskakujący. Sprawże sobie u Stauba piękne spodnie z przedniego sukna. Zyskasz na tym.

- Ile? - wrzasnął Grantaire.

W trzecim kącie rozpętała się dyskusja o poezji. Mitologia pogańska walczyła o lepsze z mitologią chrześcijańską. Chodziło o Olimp, w którego obronie stawał Jan Prouvaire, dla

samego choćby romantyzmu. Jan Prouvaire był nieśmiały tylko wtedy, gdy był spokojny. Gdy go coś podnieciło, wybuchał; entuzjazm jego zabarwiał się specyficznym humorem, Prouvaire stawał się wówczas wesoły i liryczny.

- Nie lżyjmy bogów - mówił. - Może bogowie jeszcze nie odeszli. Jowisz wcale nie wygląda na umarłego. Powiadacie, że bogowie to złudzenie. No, a przecież nawet w przyrodzie - takiej, jaka jest dzisiaj - po zniknięciu tych złudzeń odnajdujemy wszystkie dawne, wielkie mity pogańskie. Góra o profilu warownej twierdzy - jak na przykład Vignemale - będzie dla mnie zawsze koroną Cybeli. Któż mi udowodni, że bożek Pan nie wygrywa nocą na pustych wierzbach, przebierając palcami po dziuplach jak po dziurach fletu. Nie mogę się również oprzeć wrażeniu, że istnieje jakiś związek między Io a kaskadą "Szczającej krowy".

W czwartym kącie rozprawiano o polityce. Napadano ostro na przyznaną konstytucję. Combeferre bronił jej miękko, Courfeyrac energicznie na nią nacierał. Na stole leżał nieszczęsny egzemplarz sławetnej karty konstytucyjnej Toqueta. Courfeyrac pochwycił go i wymachiwał nim, wtórując swoim wywodom szelestem papieru:

- Po pierwsze: nie chcę królów. Nie chcę ich, choćby dla samych względów ekonomicznych; król - to pasożyt. Nie można mieć króla *gratis*. Posłuchajcie tylko, ile kosztują królowie. Po śmierci Franciszka I dług państwowy Francji wynosił trzydzieści tysięcy franków; po śmierci Ludwika XIV dług ten urósł do dwóch miliardów sześciuset milionów - w stosunku dwudziestu ośmiu franków za markę - co w roku 1760 równało się, zdaniem Desmaretsa, czterem i pół miliardom, a dzisiaj równałoby się dwunastu. Po drugie - niech mi daruje Combeferre - nadawanie karty konstytucyjnej to kiepski fortel cywilizacji; ratować przejściowość, torować drogę, łagodzić wstrząsy, prowadzić niepostrzeżenie narody od monarchii do demokracji, stosując fikcje konstytucyjne - to bardzo paskudne racje. Nie! Nie! Nie oświecajmy nigdy ludu pozornym światłem! Zasady bledną i więdną w waszym konstytucyjnym lochu. Precz z upodleniem! Precz z kompromisem! Precz z prawami narzuconymi ludowi przez króla! We wszystkich tych nadaniach jest artykuł 14<sup>\*</sup>. Obok ręki, która daje, są pazury, które odbierają. Odrzucam kategorycznie waszą kartę. Karta konstytucji to maska: kryje się pod nią kłamstwo. Naród, który się godzi na konstytucję, abdykuje. Jedynie nie uszczuplone niczym prawo jest prawem. Nie! Precz z konstytucją!

Działo się to zimą; dwa polana trzaskały na kominku. Pokusa była wielka i Courfeyrac jej się nie oparł. Zmiał w rękę niefortunną kartę i cisnął ją w ogień. Papier zajął się

---

\* Na mocy tego artykułu król miał prawo mianować wszystkich urzędników w państwie.



plomieniem. Combeferre, patrząc filozoficznie, jak ogień trawił arcydzieło Ludwika XVIII, zadowolili się słowami:

- Karta przemieniła się w płomień.

Sarkazmy, koncepty, kiepskie żarty, cecha francuska zwana werwą, cecha angielska zwana humorem, w guście dobrym i złym, argumenty dobre i złe, wszystkie szalone fajerwerki dialogu wznosząc się i krzyżując ze wszystkich stron sali tworzyły ponad głowami jakby grad wesołych pocisków.

## Rozszerzenie horyzontów

Podziwu godne są starcia młodych umysłów: nie można nigdy przewidzieć iskry ani odgadnąć błyskawicy. Co tryśnie za chwilę? Nigdy nie wiadomo. Ze wzruszenia rodzi się wybuch śmiechu. W momencie błazeństwa wkracza nagle powaga. Pierwsze lepsze słówko staje się impulsem. Wszystkimi rządzi fantazja. Byle żart otwiera drogę do rzeczy nieoczekiwanych. Te pogawędki obfitują w niespodziewane zwroty, które zmieniają nagle perspektywę. Przypadek kieruje takimi rozmowami.

Surowa myśl, dziwacznym sposobem zrodzona z czczego dźwięku słów, wybiła się nagle ponad chaotyczną gadaninę, w której beładnie szermowali językami Grantaire, Bahorel, Prouvaire, Bossuet, Combeferre i Courfeyrac.

Jak takie zdanie pojawia się w rozmowie? Dlaczego ściąga na siebie od razu uwagę tych, którzy je słyszą? Mówiliśmy już, tego nikt nie wie. Wśród ogólnego gwaru Bossuet zakończył nagle jakieś przemówienie do Combeferre'a tą datą: "18 czerwca 1816 roku: Waterloo".

Na dźwięk słowa: "Waterloo", Mariusz siedzący z łokciami na stole, nad szklanką wody, oderwał rękę od brody i powiódł uważnym spojrzeniem po otoczeniu.

- Do diaska! - zawołał Courfeyrac. ("Do diabła" wychodziło podówczas z użycia.) - Ta cyfra 18 jest dziwna i zastanawia mnie. To fatalna liczba Bonapartego. Postawcie przed nią Ludwika, a za nią Brumaire'a, a będziecie mieli całe przeznaczenie tego człowieka, z tą pełną wymowy osobliwością, że koniec następuje na piąty początkowi.

Enjolras, który nie odzywał się do tej pory, przerwał milczenie i zwrócił się do Courfeyraca w te słowa:

- Chcesz powiedzieć, że ekspiacja następuje na piąty zbrodni.

Słowo *zbrodnia* przebrało miarę tego, co mógł znieść Mariusz, bardzo już poruszony nagłym przypomnieniem Waterloo.

Wstał, podszedł wolnym krokiem do wiszącej na ścianie mapy Francji, gdzie na dole, w osobnej sekcji, widniał rysunek wyspy; wskazał ją palcem i rzekł:

- Korsyka. Mała wyspa, która uczyniła Francję bardzo wielką.

Powiało lodowatym podmuchem. Rozmowy ucichły. Każdy czuł, że teraz coś się stanie.

Bahorel, odcinając się Bossuetowi, miał właśnie przybrać posagową pozę, którą bardzo lubił. Zrezygnował z niej, aby słuchać.

Enjolras, którego niebieskie oczy nie spoczywały na nikim, jakby utkwione w próżnię, odpowiedział nie patrząc na Mariusza:

- Francja nie potrzebuje żadnej Korsyki, żeby być wielką. Francja jest wielka, bo jest Francją. *Quia nominor leo* \*.

Mariusz nie miał najmniejszej chęci się wycofać; zwrócił się do Enjolrasa i głos jego wybuchnął, nabrzmiały wzruszeniem, dobywającym się z najgłębszych pokładów jego istoty:

- Niech mnie Bóg broni, żebym pomniejszał Francję! Ale nie pomniejszamy jej bynajmniej, włączając w nią Napoleona. O tak! Porozmawiajmy! Niedawno wszedłem do waszego grona, ale muszę przyznać, że mnie zadziwiacie. Gdzie jesteście? Kim jesteście? Kim wy jesteście? Kim ja jestem? Wyjaśnijmy nasze poglądy na cesarza. Słyszę, że mówicie Buonaparte, akcentując "u" tak jak rojaliści. Uprzedzam was, że mój dziadek mówi jeszcze lepiej, bo Buonaparté. Sądziłem, że jesteście młodzi. Dokąd kierujecie wasz entuzjazm? Co z nim robicie? Kogo uwielbiacie, skoro nie uwielbiacie cesarza? I czego wam jeszcze więcej trzeba? Jakich chcielibyście wielkich ludzi, jeśli odrzucacie tego wielkiego człowieka? On miał w sobie wszystko. Był pełnią człowieczeństwa. Miał w mózgu wszelkie ludzkie zdolności podniesione do trzeciej potęgi. Układał kodeksy jak Justynian, dyktował jak Cezar, w rozmowie stąpił błyskawice Pascala z piorunami Tacyty, tworzył historię i pisał ją, jego biuletyny to Iliady, cyfry Newtona łączył z metaforą Mahometa, pozostawił za sobą na wschodzie słowa potężne jak piramidy; w Tylży uczył cesarzy dostojności, w Akademii Nauk dyskutował z Laplace'em, w Radzie Państwa stawiał czoło Merlinowi, wlewał duszę w geometrię jednych, a w kruczki prawne drugich; z prokuratorami był legistą, z astronomami czytał w gwiazdach, jak Cromwell, który gasił co drugą świecę, sam chodził do Tempie i targował się o frędzle do firanki; wszystko widział, wszystko wiedział; nie przeszkadzało mu to śmiać się dobrodusznie nad kolebką swojego dziecka; i nagle, przerażona Europa słuchała, armie ruszały, ciągnęły baterie artylerii, pontony pokrywały rzeki, chmara kawalerii galopowała w huraganowym pędzie, krzyki, granie trąbek, drżenie tronów, granice królestw chwieją się na mapach, słysząc szczeł nadludzkiego miecza, dobywanego z pochwy - i oto on - ten archanioł wojny - wyrasta nad horyzontem z płomieniem w dłoni i blaskiem w źrenicy, rozwijając z hukiem gromu swoje dwa skrzydła: Wielką Armię i Starą Gwardię.

Wszyscy milczeli, a Enjolras spuścił głowę. Milczenie zawsze trochę wygląda na zgodę lub też na przypieranie do muru. Mariusz, nie odetchnąwszy prawie, mówił dalej z wzrastającym uniesieniem:

- Bądźmy sprawiedliwi, przyjaciele! Być cesarstwem takiego cesarza co to za wspaniały los dla narodu, kiedy tym narodem jest Francja i dodaje swój geniusz do geniuszu tego człowieka. Pojawić się i zapanować, iść naprzód i triumfować, mieć za miejsce postojów wszystkie stolice, brać swych grenadierów i osadzać ich na trony, wyrokować o upadku dynastii, przeobrażać Europę w tempie marsza idącej do ataku kolumny, dać odczuć wszystkim, że grożąc - kładzie się dłoń na głowicy miecza, który jest mieczem Boga, iść za wodzem, który jest w jednej osobie Hannibalem, Cezarem i Karolem Wielkim, być narodem męża, który każdego świtu oznajmia wam o zwycięskiej bitwie, budzić się przy huku dział stojących u Inwalidów, ciskać w świetlistą otchłań cudowne słowa, które po wsze czasy będą gorzeć płomieniem: Marengo, Arcole, Austerlitz, Jena, Wagram! Co chwila rozpalać na zenicie wieków nowe konstelacje zwycięstw! Cesarstwo francuskie uczynić odpowiednikiem cesarstwa rzymskiego, być wielkim narodem i wydać z siebie Wielką Armię, na cały świat rozesłać swoje legie, jak góra rozsyła na wsze strony swoje orły, zwyciężać, panować, rozgromiać, być w Europie narodem niejako ozłoconym sławą, rozbrzmiewać poprzez historię świata fanfarami tytanów! Podwójnie zdobyć świat, mieczem i olśnieniem - to jest wspaniałe. Cóż może być większego?

- Być wolnym! - rzekł Combeferre.

Teraz Mariusz spuścił głowę. Te proste, chłodne słowa jak stalowa klinga przeszły jego epicki wylew. Poczul, jak wylew ten zamiera. Kiedy podniósł wzrok, Combeferre'a już nie było. Zadowolony prawdopodobnie, że taką znalazł odpowiedź na apoteozę, wyszedł i wszyscy, z wyjątkiem Enjolrasa, poszli za nim. Sala opustoszała. Enjolras, zostawszy sam na sam z Mariuszem, przyglądał mu się z powagą. Lecz Mariusz, zebrawszy nieco myśli, nie uważał się wcale za pokonanego; wrzały w nim jeszcze resztki wzburzenia, które niewątpliwie znalazłyby ujście w sylogizmach, skierowanych przeciw Enjolrasowi, gdy nagle rozległ się śpiew; ktoś schodząc po schodach, śpiewał. Był to Combeferre i oto, co śpiewał:

*Gdyby mi Cezar dawał sam*

*Sławę i berło, i trony,*

*Lecz rzekł mi, że wyrzec się mam*

*Miłości matki rodzonej,*

---

\* Ponieważ nazywam się lwem.

*Tak rzekłbym do Cezara:*

*“Nic mi po twoich darach,*

*Ja wolę matkę mą, o, hej!*

*Ja wolę matkę mą!*

Wzruszenie i żarliwość, które brzmiały w śpiewie Combeferre'a, nadawały piosence jakąś przedziwną wielkość. Mariusz, zamyślony, z wzrokiem utkwionym w suficie, powtórzył bezwiednie: “moją matkę?...”

W tej chwili poczuł na ramieniu dłoń Enjolrasa:

- Obywatelu - rzekł Enjolras - moja matka to republika.

## VI

### Res angusta\*

Ten wieczór głęboko wstrząsnął Mariuszem i smutkiem omroczył mu duszę. Doznawał uczucia, jakiego może doznaje ziemia, kiedy ją krają żelazem, aby złożyć w niej ziarno zboża; na razie odczuwa tylko ból rany, dreszcz poczęcia i radość owocowania przychodzą później. Mariusz był posepny. Tak niedawno zdobył wiarę; miałaby ją już odrzucić? Wmawiał w siebie, że tego nie uczyni. Oświadczył sobie, że nie ulegnie zwątpieniu, a przecież mimo woli zaczynał wątpić.

Być między dwoma religiami, z których jednej jeszcze się nie wyrzekł, a drugiej jeszcze nie przyjął - to stan nie do zniesienia; taki mrok jest miły tylko duszom-nietoperzom; Mariusz miał źrenicę otwartą i trzeba mu było prawdziwego światła. Półmrok zwątpienia sprawiał mu ból. I choć gorąco pragnął utrzymać się i pozostać przy swoich przekonaniach, jakaś niezwalczona siła zmuszała go, aby posuwał się dalej, badał, myślał i szedł naprzód. Dokąd go to zaprowadzi? Bał się, że zrobiwszy tyle drogi, która go zbliżyła do ojca, teraz wszedł na drogę, która go od niego oddali. Takie nachodziły go refleksje, powiększając jeszcze jego niepokój. Wokół niego wyrastało urwisko. Nie zgadzał się ani z dziadkiem, ani z przyjaciółmi: dla jednego był zbyt zuchwały, dla drugich - zbyt zacofany; uznał siebie za odsuniętego podwójnie, zarówno przez starość, jak i przez młodość. Przestał chodzić do kawiarni "Musain".

W tej wewnętrznej rozterce nie myślał wcale o pewnych poważnych stronach życia. Rzeczywistość nie pozwala zapomnieć o sobie. Niespodziewanie odczuł jej kuksańca.

Pewnego ranka właściciel hotelu wszedł do pokoju Mariusza i powiedział:

- Pan Courfeyrac poręczył za pana.

- Tak.

- Ale ja chciałbym pieniędzy.

- Proszę poprosić pana Courfeyraca, żeby przyszedł pomówić ze mną - odparł Mariusz.

---

\* Ciężka sytuacja.

Gdy Courfeyrac przyszedł, gospodarz zostawił ich samych. Mariusz opowiedział koledze - dotychczas nie przyszło mu na myśl, aby mówić o tym - że jest właściwie sam na świecie i nie ma rodziny.

- Więc co z tobą będzie? - zapytał Courfeyrac.

- Nie wiem - odrzekł Mariusz.

- Co teraz zrobisz?

- Nie wiem.

- Masz pieniądze?

- Piętnaście franków.

- Chcesz, żebym ci pożyczył?

- Za nic w świecie!

- Masz jakieś ubrania?

- To tutaj.

- Jakieś klejnoty?

- Zegarek.

- Srebrny?

- Złoty. Oto on.

- Znam handlarza, który kupi od ciebie surdut i spodnie.

- Dobrze.

- Ale zostanie ci tylko jedna para spodni, jedna kamizelka, jeden kapelusz, jeden frak i zakiet.

- No i buty.

- Jak to! Nie będziesz chodzić bosy? Co za zbytki!

- To mi wystarczy.

- Znam zegarmistrza, który kupi od ciebie zegarek.

- Dobrze.

- Nie, niedobrze. Co będziesz robił później?

- Wszystko, co trzeba. W granicach uczciwości, oczywiście.

- Znasz angielski?

- Nie.

- A niemiecki?

- Nie.

- Szkoda.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jeden z moich przyjaciół, księgarz, układa coś w rodzaju encyklopedii; mógłbyś do niej tłumaczyć artykuły angielskie lub niemieckie. Kiepsko płatne, ale wyżyć z tego można.

- Nauczę się po angielsku i po niemiecku.

- A tymczasem?

- A tymczasem będę zjadać ubranie i zegarek.

Sprowadzili handlarza starzyzną. Kupił używaną odzież za dwadzieścia franków. Poszli do zegarmistrza. Kupił zegarek za czterdzieści pięć franków.

- Nie najgorzej! - rzekł Mariusz do Courfeyraca, wracając do hotelu. - Razem z piętnastoma frankami mam w sumie osiemdziesiąt franków.

- A rachunek hotelowy? - zauważył Courfeyrac.

- Masz sobie! Zupełnie zapomniałem! - powiedział Mariusz.

- Do diabła! - rzekł Courfeyrac. - Przejesz pięć franków ucząc się angielskiego i drugie pięć franków ucząc się niemieckiego. Będziesz więc musiał albo bardzo szybko połykać język, albo bardzo wolno połykać pięciofrankówkę.

Tymczasem ciotka Gillenormand, w gruncie rzeczy niezła osoba w ciężkich sytuacjach, zdołała wreszcie odszukać mieszkanie Mariusza. Pewnego poranku, wróciwszy z uniwersytetu, Mariusz znalazł na stole list od ciotki i w zalakowanym pudełeczku "sześćdziesiąt pistoli", to znaczy sześćset franków w złocie.

Mariusz odesłał ciotce te trzydzieści ludwików, wraz z pełnym szacunku listem, w którym oświadczał, że ma środki do życia i że mu na wszystko wystarcza. Miał wówczas jeszcze trzy franki.

Ciotka nie wspomniała dziadkowi o odmowie bojąc się rozjątrzyć go do reszty. Zresztą czyż nie powiedział sam: "Niech nikt się nie waży wspominać o tym krwiopijcy!"

Mariusz wyprowadził się z hotelu "Porte-Saint-Jacques", nie chcąc się w nim zadłużać.



## **Księga piąta**

# **Dobra strona nieszczęścia**

## I

### Mariusz w biedzie

Życie stało się surowe dla Mariusza. Przejeść ubranie i zegarek to jeszcze nie było nic. Zakosztował również smaku tej nie dającej się wypowiedzieć rzeczy, zwanej biedą. Rzecz to straszna, na którą się składają dni bez chleba, noce bez snu, wieczory bez świecy, kominek bez ognia, tygodnie bez pracy, przyszłość bez nadziei, ubranie przetarte na łokciu, stary kapelusz, z którego śmieją się dziewczęta, drzwi, które się zastaje wieczorem zamknięte, bo nie opłaciło się komornego, arogancja dozorczy i restauratora, drwiny sąsiadów, upokorzenia, zdławione poczucie godności, przyjmowanie byle jakiej pracy, niesmak, gorycz, przygnębienie. Mariusz nauczył się, jak się połyka to wszystko i jak często nie ma nic poza tym do przełknięcia. W tym okresie życia, kiedy człowiekowi trzeba dumy, bo trzeba mu miłości, czuł się przedmiotem drwin, bo był źle ubrany, czuł się śmieszny, bo był biedny. W wieku, kiedy młodość rozpiera serce królewską dumą, nieraz spuszczał oczy na swoje dziurawe buty i poznał krzywdzące piętno nędzy i jej bolesny rumieniec. Cudowna i straszliwa próba, która słabych upadła, a mocnych uszlachetnia. Tygiel, w który los wtrąca człowieka, ilekroć chce stworzyć łotra lub półboga.

Albowiem wśród tych drobnych utarczek dokonuje się niemało bohaterskich czynów: istnieje uparte, nie znane nikomu męstwo, które broni, niewidzialne, każdej piędzi przed fatalnym zalewem konieczności życiowych i podłości; szlachetne i tajemne triumfy, których nie ogląda żaden człowiek, nie opłaca żadna sława, nie wita żadna zwycięska fanfara. Życie, nieszczęście, samotność, opuszczenie, bieda - to pola bitew, które mają swoich bohaterów; bohaterów nieznanych, większych nieraz od bohaterów głośnych na cały świat.

W ten sposób wyrastają niezwykle i silne charaktery; nędza - niemal zawsze zła macocha - bywa czasami matką; z ubóstwa rodzi się moc ducha i umysłu; nędza jest karmicielką dumy; nieszczęście jest dobrym pokarmem dla wielkich dusz.

W życiu Mariusza był okres, kiedy sam zamiatał schody, za jednego su kupował u sklepikarki kawałek sera z Brie, czekał na zmierzch, żeby wejść do piekarza i kupić bochenek chleba, który zanosił chyłkiem na swoje poddasze, jakby go ukradł. Czasem można było widzieć, jak do pobliskiego sklepu rzeźnika poprzez gromadę potracających i wśmiewających go kucharek, wślizgiwał się niezgrabnie młody człowiek z książkami pod

pachą, nieśmiały i zarazem wrzący gniewem; wchodząc zdejmował kapelusz z czoła zroszonego kroplistym potem; kłaniał się nisko zdumionej rzeźniczce, kłaniał się czeladnikowi, prosił o kotlet barani, płacił sześć lub siedem su, zawijał go w papier, kładł między książki i wychodził. Był to Mariusz. Tym kotлетem, który sam sobie smażył, żył przez trzy dni.

Pierwszego dnia zjadał mięso, drugiego dnia zjadał tłuszcz, trzeciego dnia ogryzał kość.

Ciotka Gillenormand kilkakrotnie ponawiała próby i przysyłała mu sześćdziesiąt pistoli. Mariusz niezmiennie odsyłał je, oświadczając, że nic mu nie potrzeba.

Nosił jeszcze żałobę po ojcu, kiedy przeżył opowiedziany przez nas wstrząs, i dochowywał nadal wierności czarnemu ubraniu. Cóż, kiedy ubranie nie chciało jemu dochować wierności. Nadszedł dzień, w którym okazało się, że nie ma się w co ubrać. Tylko spodnie były jeszcze możliwe do noszenia. Co robić? W zamian za parę przysług wyświadczonych przez Mariusza, Courfeyrac ofiarował mu stary tużurek. Jakiś stróż przenicował go za trzydzieści su i Mariusz miał już nowe ubranie. Ale tużurek był, niestety, zielony. Odtąd Mariusz wychodził z domu jedynie o zmierzchu. W ten sposób znów miał czarne ubranie; chcąc mieć żałobny strój, okrywał się nocą.

Przez ten czas zdołał uzyskać dyplom adwokata. Jako swój adres podawał pokój Courfeyraca, który był dość przyzwoity i gdzie pewna ilość książek prawniczych, pomnożona i uzupełniona zniszczonymi tomikami romansów, mogła udawać bibliotekę, wymaganą przez przepisy. Tam też kazał kierować korespondencję.

Zostawszy adwokatem, zawiadomił o tym dziadka listem chłodnym, ale pełnym uległości i szacunku. Pan Gillenormand z drzeniem otworzył ten list, przeczytał go, rozdarł na czworo i wrzucił do kosza. W parę dni później panna Gillenormand usłyszała, że ojciec coś głośno mówi do siebie w pustym pokoju. Zdarzało mu się to zawsze w chwilach wielkiego podniecenia. Nastawiła ucha; starzec mówił; “Gdybyś nie był skończonym durniem, wiedziałbyś, że nie można być jednocześnie baronem i adwokatem”.

## II

### Mariusz w niedostatku

Z nędzą jest tak jak ze wszystkim. W końcu staje się znośna. Przybiera pewną postać i jakoś się układa. Człowiek wegetuje, to znaczy rozwija się w sposób słaby, niepełny, wystarczający jednak, aby żyć. Oto w jaki sposób ułożyła się egzystencja Mariusza Pontmercy.

Wyszedł już z najcięższych opresji; perspektywy zaczęły się przed nim trochę otwierać. Dzięki pracowitości, dzielności, wytrwałości i sile woli doszedł do tego, że mógł z pracy wyciągnąć koło siedmuset franków rocznie. Nauczył się niemieckiego i angielskiego. Przez Courfeyraca, który zaznajomił go ze swoim przyjacielem księgarzem, Mariusz pełnił w literaturze księgarskiej funkcje skromne, lecz użyteczne. Układał prospekty, tłumaczył artykuły z dzienników, robił przypisy do wydawnictw, kompilował biografie itd. Czysty dochód roczny, przeciętnie biorąc, siedemset franków. Z tego żył. Nie najgorzej. Jak? Zaraz opowiemy.

Wynajmował w ruderze Gorbeau, za trzydzieści franków rocznie, izdebkę bez kominka, zwaną gabinetem, w której stały tylko najniezbędniejsze sprzęty. Meble te należały do niego. Płacił trzy franki miesięcznie starej "główniej lokatorce", która zamiatała jego izbę i co rano przynosiła trochę gorącej wody, jedno świeże jajko i chleba za jednego su. Chleb i jajko stanowiły jego śniadanie. Koszt takiego śniadania wahał się od czterech do sześciu su, zależnie od tego, czy jajka były tanie, czy drogie. O szóstej wieczorem szedł na ulicę Św. Jakuba, na obiad do Rousseau, naprzeciw Baseta, który miał sklep ze sztychami na rogu Mauthurins. Zupy nie jadł. Brał porcję mięsa za sześć su, pół porcji jarzyny za trzy su i deser za trzy su. Za trzy su miał chleb bez ograniczeń. Zamiast wina - pił wodę. Płacąc w kasie, za którą tronowała pani Rousseau, wówczas już gruba, ale jeszcze świeża, dawał chłopakowi usługującemu jednego su, a pani Rousseau obdarzała go uśmiechem. Po czym odchodził. I tak za szesnaście su miał uśmiech i obiad.

Restauracja Rousseau, gdzie opróżniano tak mało butelek wina, a tyle karafek wody, była raczej miejscem uspokajającym niż pocrzepiającym. Dziś już nie istnieje. Właściciel miał piękne przezwisko: nazywano go "Rousseau-Wodnik".

Tak więc śniadanie - za cztery su, obiad - za szesnaście su, jedzenie kosztowało go dziennie dwadzieścia su, co wynosiło rocznie trzysta sześćdziesiąt pięć franków. Dodajcie do tego trzydzieści franków komornego, trzydzieści sześć franków płaconych starej i jeszcze coś niecoś na drobne wydatki; za czterysta pięćdziesiąt franków Mariusz miał jedzenie, mieszkanie i usługę. Na ubranie wydawał sto franków, na bieliznę pięćdziesiąt, na pranie pięćdziesiąt. Wszystko razem nie przekraczało sześciuset pięćdziesięciu franków. Pozostawało mu pięćdziesiąt franków. Był bogaty. W potrzebie mógł pożyczyć przyjacielowi dziesięć franków; raz Courfeyrac pożyczył od niego aż sześćdziesiąt franków. Kwestię opał za Mariusz, nie mając kominka, "uprościł".

Mariusz miał zawsze dwa garnitury: jeden stary na co dzień i drugi nowy od święta. Oba były czarne. Miał tylko trzy koszule - jedną na sobie, drugą w komodzie, trzecią u praczki. Dokupywał je w miarę, jak się zażywały. Zwykle były podarte, co zmuszało go do zapinania surduta pod samą szyję.

Upłynęły lata, nim Mariusz doszedł do tego kwitnącego dobrobytu. Ciężkie lata; lata, które przebywał z trudem, inne, przez które piął się mozolnie. Nie załamał się ani razu; wszystkiego doświadczył, jeśli chodzi o niedostatek; robił wszystko, z wyjątkiem długów. Oddawał sobie tę sprawiedliwość, że nigdy nie był nikomu winien ani grosza. Dług - jego zdaniem - to początek niewoli. Twierdził nawet że, wierzyciel gorszy jest od zwierzchnika; zwierzchnik bowiem rozporządza tylko naszą osobą, a wierzyciel ma w swoim ręku naszą godność i może ją spoliczkować. Wolał nie jeść niż się zapożyczyć. Głodował przez wiele dni czując, że wszelkie krańcowości stykają się i że jeśli człowiek się nie pilnuje, poniżenie majątkowe może doprowadzić do poniżenia duchowego, zazdrośnie strzegł swojej dumy. Niejeden zwrot czy postępek, które w innych okolicznościach uznałby za uprzejmy, brał za podłość i stawał okoniem. Niczego nie ryzykował, nie chcąc się wycofywać. Miał na twarzy jakiś surowy rumieniec. Był nieśmiały aż do szorstkości.

W tych ciężkich próbach czuł, że ukryta w nim tajemna siła krzepi go, a nieraz nawet prowadzi. Dusza pomaga ciału, a czasem unosi je wzwyż. Jedyny to ptak, który podtrzymuje swoją klatkę.

W sercu Mariusza, obok imienia ojca, było wyryte jeszcze inne imię, imię Thénardiera. Mariusz, z natury poważny i skłonny do entuzjazmu, otoczył jakby aureolą tego człowieka - któremu, jak sądził, zawdzięczał życie ojca - tego nieustraszonego sierżanta, który pod gradem kul i kartaczy ocalił pułkownika pod Waterloo. Wspomnienie tego człowieka łączył zawsze ze wspomnieniem ojca i otaczał je wspólną czcią. Był to rodzaj dwustopniowego kultu: główny ołtarz dla pułkownika, boczny dla Thénardiera. Wiadomość o

nędzy, w którą Thénardier popadł i która go pochłonęła, podwajała jeszcze w Mariuszu tkliwe uczucia wdzięczności. Dowiedział się w Montfermeil o ruinie i bankructwie nieszczęsnego oberżysty. Czynił niestychane wysiłki, aby odszukać jego ślady i dotrzeć do niego w tej ciemnej otchłani nędzy, w której zniknął Thénardier. Przemierzył całą okolicę; był w Chelles, w Bondy, w Gournay, w Nogent, w Lagny. Nie ustawał w swej zawziętości przez trzy lata, wydając na poszukiwania te trochę pieniędzy, które zaoszczędził. Nikt nie mógł mu udzielić żadnych informacji o Thénardierze; przypuszczano, że wyjechał z kraju. Wierzyście szukali go także, z mniejszą miłością niż Mariusz, ale z równą zawziętością, lecz nie udało im się go pochwytać. Mariusz wyrzucał sobie i niemal potępiał się za bezowocność tych poszukiwań. Był to jedyny dług, który mu zostawił pułkownik, i spłacenie go Mariusz uważał za punkt honoru. „Jakże to! - myślał. - Więc Thénardier umiał wśród dymu i kartaczy odszukać mego ojca dogorywającego na poboju i wynieść go na własnych rękach, choć mu przecie nic nie zawdzięczał, a ja - który mu zawdzięczam tyle - miałbym nie odnaleźć go w ciemnościach, w których teraz kona?! Miałbym go, teraz ja z kolei, nie wyrwać śmierci i nie przywrócić życia?! Och, ja go odnajdę!” I naprawdę, żeby znaleźć Thénardiera, Mariusz chętnie dałby sobie uciąć rękę, ażeby wydobyć go z nędzy, oddałby ostatnią kroplę krwi. Zobaczyć Thénardiera, oddać jakąś przysługę Thénardierowi, powiedzieć mu: „Pan mnie nie zna, ale ja pana znam! Oto jestem. Proszę mną rozporządzać!” - takie było najśłodsze i najpiękniejsze marzenie Mariusza.

### III

#### Mariusz dojrzewa

W owym czasie Mariusz miał dwadzieścia lat. Od rozstania z dziadkiem upłynęło trzy lata. Stosunki między nimi nie uległy zmianie; nie szukali pojednania ani nie usiłowali się spotykać. Po cóż zresztą mieliby się spotykać? Żeby znów doszło do starcia? Który z nich byłby górą? Bo jeśli Mariusz był naczyniem ze spiżu; to stary Gillenormand był garnkiem z żelaza.

Wyznajmy, że Mariusz źle znał serce swego dziadka. Wyobraził sobie, że pan Gillenormand nigdy go nie kochał, że ten prędko, twardy i wesoły jegomość, który kłął, krzyczał, piorunował i wygrażał laską, obdarzał go w najlepszym razie płytkim, a zarazem surowym uczuciem komediowego Geronta. Mariusz się mylił. Zdarzają się ojcowie, którzy nie kochają swoich dzieci; ale nie ma dziadka, który by nie uwielbiał swojego wnuka. W gruncie rzeczy, mówiliśmy już o tym, pan Gillenormand ubóstwiał Mariusza. Ubóstwiał go na swój sposób, przy akompaniamencie połajanek, a nawet i szturchańców; ale gdy chłopiec odszedł, poczuł czarną pustkę w sercu. Zakazał nawet słowem o nim wspominać i bolał w duszy, że tak dokładnie wypełniano jego polecenie. Z początku miał nadzieję, że ten bonapartysta, ten jakobin, ten terrorysta, ten "septembrzysta" powróci. Ale mijały tygodnie, mijały miesiące, mijały lata; ku rozpaczycy pana Gillenormand "krwiopijca" nie wracał. "Nie mogłem przecież postąpić inaczej. Musiałem go wypędzić z domu" - mówił w duchu, a potem zapytywał się: "Gdybym po raz drugi znalazł się w takiej sytuacji, czy tak samo bym postąpił?" Duma natychmiast odpowiadała: "Tak", ale stara głowa, którą kiwał w milczeniu, smutno odpowiadała: "Nie".

Miewał chwile przygnębienia. Brak mu było Mariusza. Starcom potrzeba miłości tak jak słońca. Miłość jest ciepłem. Chociaż miał tak twardą naturę, nieobecność Mariusza coś w nim odmieniła. Za nic na świecie nie wyciągnąłby pierwszy ręki do tego małego nicponia, ale cierpiał. Nie pytał nigdy o niego, ale wciąż o nim myślał. Mieszkał coraz bardziej osamotniony w dzielnicy Bagno. Był jeszcze wesoły i porywczy, jak za dawnych czasów, ale wesołość jego miewała w sobie coś konwulsyjnego, coś napiętego, jakby krył się pod nią ból i gniew; po wybuchach gniewu starzec zapadał w łagodne i posępne przygnębienie. Czasem mówił: "Alebym mu wyciął siarczysty policzek, gdyby wrócił".

Co do ciotki, to za mało myślała, żeby być zdolną do głębokich uczuć. Mariusz stał się dla niej jakąś ciemną, zamazaną postacią; w końcu poświęcała mu znacznie mniej uwagi niż kotu czy papudze, które prawdopodobnie posiadała.

Skrytą boleść pana Gillenormand powiększał fakt, że tłumił ją w sobie, nic nie okazując na zewnątrz. Jego zmartwienie podobne było do nowo wynalezionych wielkich pieców, które spalają swój dym. Zdarzało się czasem, że jakiś niezręczny natręt mówił o Mariuszu i pytał: “Co porabia pański wnuk? Co się z nim dzieje?” Stary *bourgeois* wzdychał, jeśli był zbyt smutny, lub strzepywał nonszalancko pyłek z rękawa jeśli chciał udać wesołość, i odpowiadał: “Pan baron Pontmercy jest adwokacina w jakiejś dziurze”.

A gdy starzec ubolewał nad tym, co się stało, Mariusz był z siebie zadowolony. Podobnie jak każdy człowiek dobrego serca, w nieszczęściu wyzbył się goryczy. O panu Gillenormand myślał teraz życzliwie i spokojnie, lecz nadal trwał w postanowieniu, żeby nigdy nie przyjmować nic od tego człowieka, który *był niedobry dla jego ojca*. Taką złagodzoną postać przybrały obecnie jego dawne, gniewne uniesienia. Poza tym cieszyło go, że cierpiał i jeszcze cierpi. To za ojca. Ciężkie życie dogadzało mu i odpowiadało. Z jakąś radością mówił sobie, że “to przecie nic!”; że to pokuta; że bez tego za swą niegodziwą obojętność względem ojca, i to jakiego ojca, zostałby niechybnie ukarany później w inny sposób; że nie godziłoby się, żeby ojcu przypadły w udziale wszystkie cierpienia, a jemu nic; czymże były zresztą jego trudy i niedostatek w porównaniu z bohaterskim żywotem pułkownika? I że wreszcie, nie załamać się w obliczu nędzy, tak jak pułkownik nie ugiął się w obliczu nieprzyjaciela, to był jedyny sposób, jaki mógł go zbliżyć i upodobnić do ojca; i to z pewnością znaczyły słowa pułkownika: “Mój syn okaże się tego godny”. Słowa, które Mariusz nadal nosił, nie na piersi wprawdzie, bo pismo pułkownika zaginęło, lecz w sercu.

Kiedy dziadek go wypędził, był jeszcze dzieckiem; teraz był mężczyzną. Czuł to. Podkreślmy jeszcze raz z naciskiem, że bieda wpłynęła nań dodatnio. Bieda, jeśli nie wypaczy młodości, działa na nią wspaniale, bo kieruje całą siłą woli ku wysiłkowi, a całą duszę ku szczytnym pragnieniom. Bieda szybko obnaża materialną stronę życia i wykazuje jej ohydę; stąd niewysłowione wzloty ku życiu idealnemu. Młodzieniec bogaty ma sto różnych rozrywek świetnych i trywialnych zarazem: wyścigi, polowania, psy, tytoń; karty, smaczne jedzenie i resztę, które rozwijają niskie strony duszy kosztem subtelnych uczuć wyższego rzędu. Młodzieniec ubogi z trudem zdobywa kawałek chleba; jeść musi; ale poza jedzeniem - zostają mu tylko marzenia. Chodzi na widowiska, które Bóg daje *gratis*; ogląda niebo, przestrzeń, gwiazdy, kwiaty, dzieci; ogląda ludzkość, wśród której cierpi, i światy w którym świeci jasnym promieniem. Tak się wpatruje w ludzkość, że dostrzega duszę; tak się wpatruje



w świat, że dostrzega Boga. Marzy i czuje, że jest wielki; marzy dalej i czuje, że budzi się w nim tklivość. Od egoizmu człowieka, który cierpi, przechodzi do współczucia człowieka, który myśli. Rozkwita w nim cudowne uczucie: zapomnienie o sobie, a litość dla wszystkich. I wreszcie, myśląc o niezliczonych radościach, którymi natura szcudrze obdziela otwarte dusze, a których odmawia duszom zamkniętym, żałuje bogaczy pieniądza, on - bogacz rozumu. W miarę jak jasność przenika mu do umysłu, wszelka nienawiść ulatuje mu z serca. Czyż zresztą jest naprawdę nieszczęśliwy? Nie. Nędza młodzieńca nigdy nie jest nędzna. Stary cesarz będzie zawsze zazdrościł choćby najbiedniejszemu młodemu chłopcu jego zdrowia, siły, sprężystego kroku, błyszczących oczu, świeżej krwi, co ciepłym strumieniem krąży w żyłach, czarnych włosów, jędrnych policzków, białych zębów i czerwonych warg. Ubogi młodzieniec co dzień od rana zabiera się do pracy na kawałek chleba, a gdy ręce zdobywają chleb, krzyż tężeje nieugiętą dumą, a umysł myślami. Po pracy wraca do niewysłowionych uniesień, rozmyślań i radości. Tylko stopami dotyka strapień, przeszkód, kamieni, cierni, czasem i błota, a głową tonie w światłości. Jest mocny, pogodny, łagodny, skupiony i poważny; umie poprzestać na małym, życzliwy jest dla wszystkiego i błogosławi Boga, że mu dał dwa bogactwa, których brak wielu bogaczom: pracę, dzięki której jest wolny, i myśl, dzięki której jest szlachetny.

Takie przemiany zaszły w duszy Mariusza. Prawdę mówiąc, może nadmiernie skłaniał się ku kontemplacji. Od chwili gdy zaczął zarabiać mniej więcej systematycznie na życie, poprzestał na tym, uważając, że dobrze jest być ubogim. Ograniczył pracę na rzecz myśli. To znaczy spędzał nieraz całe dnie na rozmyślaniach, pogrążony i zatopiony, jak wizjoner, w niemych rozkoszach ekstazy i promieniowania wewnętrznego. Zadanie życia tak sobie przedstawił: jak najmniej poświęcać się pracy fizycznej, aby móc możliwie jak najwięcej poświęcić się pracy ducha; innymi słowy, przeznaczyć kilka godzin na potrzeby życia realnego, a resztę rzucać w nieskończoność. Nie spostrzegał, sądząc, iż mu nic nie brakuje, że tak pojęta kontemplacja staje się pewną odmianą lenistwa; że zadowolił się zaspokojeniem pierwszych potrzeb i że odpoczywa zbyt wcześnie.

Oczywista, że dla tej natury energicznej i szlachetnej był to tylko stan przejściowy, że przy pierwszym zetknięciu się z nieuniknionymi komplikacjami życia Mariusz by się ocknął.

Na razie, choć został adwokatem, wbrew przypuszczeniom dziadka, nie prowadził żadnych spraw ani dużych, ani nawet drobnych. Dumania odciągały go od adwokatury. Obcować z rzecznikami stron, biegać do sądu, uganiać się za sprawami - co za nuda! I po co to? Nie widział powodu, żeby zmieniać zajęcie. Ta nędzna, skromna księgarnia dawała mu

zarobek pewny, pracę mało uciążliwą, która - jak wyjaśniliśmy przed chwilą - wystarczała mu w zupełności.

Jeden z księgarzy, dla których pracował, pan Magimel, o ile się nie mylę, zaproponował, że zaangażuje go do siebie, da mu przyzwoite mieszkanie, stałą pracę i tysiąc pięćset franków rocznie. Przyzwoite mieszkanie. Tysiąc pięćset franków rocznie. No tak. Ale zrezygnować ze swobody! Stać się najemnikiem! Jakimś subiektem-literatem! Zdaniem Mariusza, gdyby przyjął te warunki, polepszyłby, lecz i pogorszył swoje położenie: zyskałby na dobrobycie, a stracił na godności; nieszczęście pełne i piękne zamieniłby na brzydkie i głupie kłopoty; jak ślepiec, który by przejrzał, ale tylko na jedno oko. Odmówił.

Mariusz żył samotnie. Ostatecznie nie wszedł do grona, któremu przewodził Enjolras, częściowo dlatego że lubił zawsze być na zewnątrz wszystkiego, częściowo z nadmiernej nieśmiałości. Utrzymały się między nimi miłe, koleżeńskie stosunki; w potrzebie wspomagali się wzajemnie we wszelki możliwy sposób - ale nic ponadto. Miał dwóch przyjaciół; młodego - Courfeyraca i starego - pana Mabeuf. Wolał raczej starego. Jemu przede wszystkim zawdzięczał swój przewrót duchowy; dzięki niemu poznał i pokochał ojca: "Zdjął mi bielmo z oczu" - mówił.

Istotnie, skarbnik odegrał w jego życiu decydującą rolę.

Niemniej jednak pan Mabeuf był w tym wypadku tylko biernym narzędziem Opatrzności. Oświecił Mariusza bezwiednie i przypadkowo, podobnie jak oświeca wniesiona przez kogoś świeczka; był świeczką, a nie tym, który ją wznosił.

Jeśli zaś chodzi o wewnętrzny przełom w przekonaniach politycznych Mariusza, pan Mabeuf nie był wcale zdolny zrozumieć go, ani tego nie pragnął, ani na to nie wpływał.

Ponieważ spotkamy się jeszcze z panem Mabeuf, nie od rzeczy będzie powiedzieć o nim parę słów.

## IV

### Pan Mabeuf

Tego dnia, kiedy pan Mabeuf powiedział Mariuszowi: “Uznaję, oczywiście, poglądy polityczne”, wyraził w tym zdaniu całą swoją mentalność. Wszystkie poglądy polityczne były mu jednakowo obojętne i uznawał wszystkie bez różnicy, byle go tylko pozostawiły w spokoju. Postępował podobnie jak Grecy, którzy mówili o furiach “piękne, dobre i wdzięczne”, czyli eumenidy. Przekonania polityczne zastępowała panu Mabeuf namiętna miłość do roślin, nade wszystko zaś do książek. Miał, podobnie jak wszyscy, swoją końcówkę na “ista”, bez której w owym czasie nikt nie mógł się obyć, ale nie był ani rojalistą, ani bonapartystą, ani konstytucjonalistą, ani orleanistą, ani anarchistą, lecz bukinistą.

Nie rozumiał, czemu ludzie wypełniają sobie życie nienawiścią z powodu takich błahostek jak konstytucja, demokracja, legitymizm, monarchia, republika itd., kiedy jest na tym świecie tyle rodzajów mchów, ziół i krzewów i takie stosy ksiąg *in folio*, a nawet *in octavo*, które mogą oglądać. Wystrzegał się bardzo, aby nie być bezużytecznym; posiadanie książek nie przeszkadzało mu czytać; znajomość botaniki nie przeszkadzała mu być ogrodnikiem. Gdy poznał Pontmercy'ego, pomiędzy pułkownikiem a nim nawiązała się sympatia, gdyż to, co pułkownik robił dla kwiatów, on robił dla owoców. Pan Mabeuf zdołał wyhodować z własnego szczepu gruszki, równie wyborne w smaku jak gruszki Saint-Germain; podobno jedna z jego krzyżówek wydała słynną dzisiaj mirabelę październikową, nie mniej wonną od mirabeli letniej. Chodził na mszę raczej z łagodności charakteru niż z pobożności, a także i dlatego, że lubiąc twarze ludzi, a nienawidząc zgiełku, jaki czynią, tylko w kościele znajdował milczący tłum. Rozumiejąc, że trzeba być czymś w społeczeństwie, wybrał zajęcie skarbnika parafii. Wreszcie, nie zdołał nigdy pokochać żadnej kobiety tak, jak kochał cebulkę tulipana, ani żadnego mężczyzny tak, jak kochał elzewiry\*. Ktoś; zagadnął go raz, gdy już dobrze przekroczył sześćdziesiątkę: “Czemu pan się nie ożenił?” - “Zapomniałem!” - odpowiedział. Jeżeli zdarzało mu się niekiedy - komu to się nie zdarza - powiedzieć: “Ach, gdybym był bogaty...” - mówił to podziwiając jakąś starą księgę, a nie, jak dziadek Gillenormand, zerkając na urodziwe dziewczę. Mieszkał sam wraz ze starą

---

\* Książki małaformatowe, wprowadzone na rynek przez Elzevierów, rodzinę niderlandzkich księgarzy.

gospodynią. Cierpiał na chiragrę i kiedy spał, jego starcze, zeszywniałe od reumatyzmu palce wpierały się w fałdy prześcieradła. Napisał: i ogłosił drukiem pracę “Flora z okolic Caunteretz”, ilustrowaną kolorowymi tablicami. To dość cenione dzieło, którego płyty miedziorytowe znajdowały się u niego, rozprzedawał sam. Parę razy dziennie nabywcy przychodzący po “Florę z okolic Caunteretz” dzwonili do jego mieszkania przy ulicy Mézierès. Miał z tego przeszło dwa tysiące franków rocznie i to stanowiło całą jego fortunę. Chociaż niezamożny, dzięki cierpliwości i oszczędności potrafił z czasem zebrać cenną kolekcję rzadkich egzemplarzy wszelkiego rodzaju. Wychodził zawsze z książką pod pachą, a często wracał z dwiema. Jediną ozdobą czterech pokoi na parterze, które wraz z małym ogródkiem stanowiły jego mieszkanie, były zielniki oprawione w ramki i grawiury starych mistrzów. Widok szabli czy strzelby mroził go. Nigdy w życiu nie zbliżył się do działa, nawet u Inwalidów. Miał niezgorszy żołądek, brata księdza, siwiuteńkie włosy, usta bez zębów i duszę bez zółci; trząśł się cały, mówił pikardyjskim akcentem, śmiał się jak dziecko, łatwo się przestraszał i przypominał starą owcę. Z tym wszystkim - poza starym księgarzem z bramy Św. Jakuba, nazwiskiem Royol - nie łączyła go przyjaźń ani zażyłość z żadną żywą istotą. Marzył, żeby we Francji zaaklimatyzować indygo.

Służąca jego była również specyficznym okazem niewinności. Biedna, poczciwa starowina była dziewicą, “Sultan”, jej kot, który mógłby wymiauczyć “Miserere” Allegriego w Kaplicy Sykstyńskiej, wypełnił jej serce i zaspokajał całkowicie głód miłości. Żadne z jej marzeń nie sięgało aż do mężczyzny. Nigdy nie mogła wyjść uczuciem poza swojego kota. Podobnie jak on miała wasy. Chlubą jej były czepki, zawsze białe. W niedzielę, po mszy, spędzała czas na liczeniu bielizny w kuferku i rozkładaniu na łóżku materiałów kupionych na suknie, których sobie nigdy nie szyła. Umiała czytać. Pan Mabeuf przezwał ją matką Plutarch.

Pan Mabeuf polubił Mariusza, gdyż Mariusz, młody i łagodny, rozgrzewał jego starość, nie płosząc jego nieśmiałości. Młodość połączona z łagodnością działa na starców tak jak słoneczny dzień bez wiatru. Kiedy Mariusz nasycił się chwałą wojenną, prochem armatnim, marszami oraz kontrmarszami i wszystkimi wspaniałymi bitwami, w których jego ojciec zadawał i otrzymywał tak potężne cięcia, szedł do pana Mabeuf i pan Mabeuf opowiadał mu o bohaterze z punktu widzenia kwiatów.

Około roku 1830 brat pana Mabeuf, proboszcz, umarł i prawie nagle - jak za nadejściem nocy - zamroczył się dlań cały widnokrąg. Bankructwo notariusza pozbawiło go sumy dziesięciu tysięcy franków, wszystkiego, co posiadał wraz z majątkiem po bracie. Rewolucja lipcowa wywołała kryzys w księgarstwie. Taka rzecz jak “Flora” odczuwa pierwsze skutki przesilenia gospodarczego, “Flora z okolic Caunteretz” nie szła. Upływały

tygodnie, a nabywcy nie zjawiali się. Czasem pan Mabeuf wzdygał się na odgłos dzwonka. “To człowiek z wodą, proszę pana” - mówiła ze smutkiem matka Plutarch. Krótco mówiąc, pewnego dnia pan Mabeuf opuścił ulicę Mezieres, zrzekł się funkcji skarbnika parafii, zrezygnował ze Św. Sulpicjusza, sprzedał część nie książek, lecz sztychów, na których mu najmniej zależało, i przeprowadził się do niewielkiego domku przy bulwarze Montparnasse, gdzie zresztą mieszkał tylko przez jeden kwartał, a to z dwóch powodów: po pierwsze, parter i ogród kosztowały trzysta franków, a nie mógł płacić za czynsz więcej niż dwieście franków; po wtóre, mieszkając w sąsiedztwie strzelnicy Fatou, przez calutki dzień słyszał pistoletowe strzały, co było dlań nie do zniesienia.

Wziął swoją “Florę”, płyty miedziorytowe, zielniki, teki, książki i zamieszkał koło Salpetriere, w wiosce Austerlitz, gdzie znalazł jakąś chatynkę; miał tam za pięćdziesiąt talarów rocznie trzy pokoje, ogród otoczony żywopłotem i studnię. Skorzystał z przeprowadzki, żeby sprzedać prawie wszystkie meble. Tego dnia, kiedy wprowadził się do nowego mieszkania, był bardzo wesoły, sam wbijał gwoździe do zawieszenia grawiur i zielników, przez resztę dnia kopał w ogrodzie, a wieczorem, widząc, że matka Plutarch ma zasępioną minę i jest zamyślona, poklepał ją po ramieniu i powiedział z uśmiechem: “Przecież mamy jeszcze indygo!”

Tylko dwóch gości - księgarza z bramy Św. Jakuba i Mariusza - przyjmował w swej chałupce w Austerlitz; prawdę mówiąc, ta huczna nazwa była mu raczej niemiła.

Zresztą, jak wspominaliśmy przed chwilą, do umysłów zatopionych w mądrości lub w szaleństwie czy też, jak to się nieraz zdarza, w jednym i drugim jednocześnie - sprawy codziennego życia przenikają bardzo powoli. Własny los jest im obojętny. Z tego zamknięcia się w sobie wynika bierność, która - gdyby była wyrozumowaną - przypominałaby filozofię.

Człowiek gaśnie, upada, nawet ginie, nie zdając sobie z tego niemal sprawy. W końcu, co prawda, następuje zawsze przebudzenie - lecz zbyt późno. Na razie zaś człowiek wydaje się nieczuły na grę, która się toczy między jego dolą a niedolą; obojętnie patrzy na rozgrywkę, choć sam jest stawką.

Tak więc, wśród mroków, które go zewsząd ogarniały, gdy wszystkie jego nadzieje rozwiewały się jedna po drugiej, pan Mabeuf zachował pogodę, może trochę dziecinną, ale niczym nie zmaconą. Jego przyzwyczajenia umysłowe miały w sobie coś z mechanizmu zegara; umysł jego, pobudzony jakimś złudzeniem, szedł długo w tym kierunku, nawet gdy złudzenie już prysło, jak zegar nie zatrzymuje się od razu z chwilą zgubienia doń klucza.

Pan Mabeuf miał swoje niewinne rozrywki. Rozrywki te były niezbyt kosztowne i nieprzewidziane: dostarczał mu ich najbliższy przypadek. Pewnego dnia matka Plutarch

czytała w kącie pokoju jakąś powieść. Czytała na głos, uważając, że w ten sposób lepiej zrozumie. Głośno czytać - to jakby potwierdzać sobie samemu to, co się czyta. Niektórzy ludzie czytają bardzo głośno z taką miną, jakby słowem honoru ręczyli za to, co czytają.

Z taką właśnie energią matka Plutarch czytała swoją powieść. Pan Mabeuf słyszał ją, nie słuchając.

Była w tej powieści mowa o oficerze dragonów i jego lubej. Matka Plutarch doszła do zdania:

*...wskoczył do powozu i pod budą ją cmok...*

Tu przerwała, aby przetrzeć okulary.

“Budda i smok - powtórzył półgłosem pan Mabeuf. - Tak, to prawda; był taki smok, co ze swej jaskini ział ogniem z paszczy i palił niebo. Wiele już gwiazd spłonęło z powodu tego potwora, który miał, na dodatek, tygrysie pazury. Budda poszedł do jaskini i zdołał nawrócić potwora. Dobrą książkę czytasz, matko Plutarch. To najpiękniejsza legenda”.

Po czym pan Mabeuf zatonął w rozkosznych marzeniach.

## V

### Ubóstwo, dobry sąsiad nędzy

Mariusz czuł sympatię do tego dobrodusznego starca, który widział, jak powoli wkłada się do niego niedostatek, i zaczynał się już temu trochę dziwić, choć jeszcze się nie smucił. Mariusz widywał się z Courfeyrakiem i starał się zobaczyć z panem Mabeuf; bardzo rzadko jednak, najwyżej raz lub dwa razy na miesiąc.

Rozrywką Mariusza były długie, samotne przechadzki po zewnętrznych bulwarach, po Polu Marsowym lub po najmniej uczęszczanych alejach Ogrodu Luksemburskiego. Czasami przez pół dnia przyglądał się jakiemuś ogródkowi warzywnemu, grzędom sałaty, kurom na śmietniku czy koniowi obracającemu koło kieratu. Przechodnie patrzyli na niego ze zdziwieniem, niektórym ubiór jego wydawał się podejrzany, a wygląd złowrogi. A był to tylko ubogi młodzieniec, zatopiony w nieokreślonych marzeniach.

Właśnie podczas jednej z takich przechadzek odkrył ruderę Gorbeau i, skuszony jej położeniem na odludziu i niskim komornym, zamieszkał tam. W ruderze Gorbeau znano go tylko jako "pana Mariusza".

Para dawnych generałów i dawnych towarzyszy ojca, poznawszy Mariusza, zapraszała go do siebie. Mariusz nie odmawiał. Dawało mu to sposobność rozmowy o ojcu. Odwiedzał czasami hrabiego Pajol, generała Bellavesne i generała Fririon, który mieszkał u Inwalidów. Muzykowano tam i tańczono. W takie wieczory Mariusz wkładał nowe ubranie. Ale chodził na te bale i wieczorki tylko wówczas, kiedy na dworze był trzaskający mróz, ponieważ nie miał pieniędzy na wynajęcie powozu, a uważał, że może się tam pokazać tylko w butach błyszczących jak lustro.

Mówił czasem bez goryczy; "Tacy już są ludzie. W salonie możesz być zabłocony cały, z wyjątkiem butów. Przyjmując cię tam, wymagają jednej rzeczy, która musi być bez zarzutu. Sumienie? Nie! Buty".

Wszystkie namiętności - prócz namiętności serca - rozplývają się w marzeniu. Gorączka polityczna Mariusza także w nim wygasła. Dopomogła także do tego rewolucja 1830 roku, która go zadowoliła i uspokoiła. Pozostał taki, jakim był, wyjąwszy wybuchy gniewu. Miał ciągle te same przekonania, tyle tylko, że złagodzone. Właściwie mówiąc, nie miał przekonań: miał sympatie. Do jakiego stronnictwa należał? Do stronnictwa ludzkości. W

ludzkości - wybrał Francję; w narodzie wybrał lud; w ludzie - wybrał kobietę. Ją szczególnie ogarniał swoją litością. Przedkładał teraz myśl nad czyn, poetę nad bohatera i bardziej podziwiał taką księgę jak księga Hioba niż takie wydarzenie jak bitwa pod Marengo. Kiedy po dniu spędzonym na rozmyślaniach wracał wieczorem bulwarami i poprzez gałęzie drzew widział przestwór bez dna, światła bez nazwy, otchłań, ciemność, tajemnicę - wszystko, co tylko ludzkie, wydawało mu się bardzo małe.

Sądził i może tak było istotnie - że dotarł do prawdy życia i filozofii ludzkiej, i teraz spoglądał już tylko w niebo - jedyną rzecz, którą prawda może widzieć z głębin, w których jest ukryta. Nie przeszkadzało mu to snuć wielu planów, mniej czy więcej realnych projektów i zamierzeń na przyszłość. Gdyby ktoś mógł wejrzeć w duszę Mariusza w stanie tego rozmarzenia, byłby olśniony jej czystością. Istotnie, gdyby naszym cielesnym oczom dane było zajrzeć w sumienie człowieka, słuszniej można by go było ocenić na podstawie jego marzeń niż myśli. W myśli jest świadoma wola, nie ma jej w marzeniu. Marzenie, które jest spontaniczne, przybiera i zachowuje kształt naszego umysłu, nawet w tym, co gigantyczne i idealne; nic tak szczerze i tak bezpośrednio nie wypływa z samej głębi naszej duszy jak nieprzemysłane, zbyt wysoko sięgające pragnienia, zmierzające ku świetnościom losu. W tych pragnieniach znacznie lepiej można odnaleźć prawdziwy charakter każdego człowieka niż w usystematyzowanych, wyrozumowanych i uporządkowanych myślach. Nasze rojenia są naszym najwierniejszym obrazem. Każdy marzy, jak go na to stać, o tym, co nieznanne i nieziszczalne. Mniej więcej w połowie 1831 roku starowina, usługująca Mariuszowi, opowiedziała mu, że wyrzucają z domu jego sąsiadów, biedną rodzinę Jondrette'ów. Mariusz, który całe dnie spędzał poza domem, zaledwie wiedział, że ma sąsiadów.

- Dlaczego ich wyrzucają? - zapytał.

- Nie płacą komornego. Winni są już za pół roku.

- To znaczy ile?

- Dwadzieścia franków - odrzekła stara.

Mariusz miał w szufladzie trzydzieści franków.

- Oto dwadzieścia pięć franków - rzekł do starej. - Zapłaćcie za tych biedaków, dajcie im pięć franków i nie mówcie, że to ode mnie.



## VI

### Zastępca

Przypadek zrządził, że pułk porucznika Teodula został przeniesiony do Paryża. Ta okoliczność sprawiła, że ciocia Gillenormand po raz drugi “wpadła na pomysł”. Pierwszy raz umyśliła, żeby Teodul pilnował Mariusza; teraz uknuła spisek, żeby na miejsce Mariusza wprowadzić Teodula.

Na wszelki wypadek, gdyby dziadek poczuł cichą tęsknotę za młodą twarzą w domu - ruiny lubią niekiedy blask jutrzeńki - należało wynaleźć innego Mariusza. “Tak - pomyślała - to będzie takie *erratum*, jakie widuję w książkach: zamiast: Mariusz, czytaj: Teodul”.

Stryjeczny wnuk to niemal to samo co rodzony wnuk. Z braku adwokata bierze się porucznika.

Pewnego ranka, gdy pan Gillenormand coś tam czytał, może “La Quotidienne”, weszła córka i odezwała się najśłodszy głośem, gdyż chodziło o jej ulubieńca:

- Dziś rano Teodul przyjdzie złożyć ojcu swoje uszanowanie.

- Jaki znów Teodul?

- Stryjeczny wnuk ojca.

- Aha! - odrzekł dziadek.

Po czym zabrał się znów do czytania, nie myśląc zgoła o stryjecznym wnuku, który był tylko jakimś tam Teodulem, i w końcu wpadł w bardzo zły humor, co mu się prawie zawsze zdarzało, kiedy czytał gazetę. “Świstek”, który trzymał w ręku, rojalistyczny zresztą - co się samo przez się rozumie - zawiadamiał w tonie zupełnie obojętnym, o mającym nastąpić nazajutrz drobnym wydarzeniu, należącym do powszednich wydarzeń w życiu ówczesnego Paryża. Studenci wydziałów prawa i medycyny mieli się zebrać w południe na placu przy Panteonie, aby obradować. Chodziło o aktualne zagadnienie, o artylerię gwardii narodowej oraz o zatarg pomiędzy ministrem wojny a “milicją obywatelską” w sprawie dział ustawionych na dziedzińcu Luwru. Studenci mieli “obradować” na ten temat. To wystarczyło, aby wyprowadzić pana Gillenormand z równowagi.

Pomyślał, że Mariusz, który jest studentem, przyjdzie pewno wraz z innymi “obradować” jutro w południe przy Panteonie.

Snuł właśnie te bolesne myśli, kiedy porucznik Teodul, ubrany po cywilnemu, co było zręcznym posunięciem, został dyskretnie wprowadzony do pokoju przez pannę Gillenormand. Lansjer tak sobie kombinował: stary piernik nie umieścił całego majątku w rencie dożywotniej. Od czasu do czasu warto przebrać się za cywila.

Panna Gillenormand rzekła głośno do ojca:

- Oto Teodul, stryjeczny wnuk ojca.

Szeptem zaś do porucznika:

- Potakuj mu we wszystkim.

Po czym wyszła z pokoju.

Porucznik, który czuł się trochę nieswojo w tak czcigodnym towarzystwie, bąknął nieśmiało:

- Dzień,dobry, drogi dziaduniu - i złożył skomplikowany ukłon, który zaczął machinalnie jako ukłon wojskowy, aby skończyć na ukłonie cywilnym.

- A, to ty! Dobrze, siadaj - odrzekł dziadek.

To rzekłszy najzupełniej zapomniał o lansjerze.

Teodul usiadł, a pan Gillenormand wstał.

Wstał i z rękami w kieszeniach zaczął przemierzać pokój, mówiąc do siebie na głos i starczymi, drżącymi z irytacji palcami szarpiąc dwa zegarki, które miał w obu kieszonkach kamizelki.

- Banda smarkaczy! Zebrań im się zachciało przy Panteonie. O, na cnotki mojej pieśzczołki! Smyki ledwo z pieluch wyrosłe!

Mleko im pod nosem jeszcze nie obeschło! I to ma jutro w południe obradować! Dokąd nas to zaprowadzi? Dokąd? - pytam. Do przepaści - to jasne! Ha, oto do czego nas doprowadzili panowie "*de scamisados*"\* Artyleria obywatelska! Obradować nad artylerią obywatelską! Gardłować na ulicy nad pukawkami Gwardii Narodowej! I w jakimże towarzystwie tam się znajdują? Patrzajcie, do czego prowadzi jakobnizm! Idę o zakład, idę o najgrubszy zakład, że będą tam same wyrzutki społeczeństwa i zbiry wypuszczone z więzienia. Republikanie i galernicy! Ha! Pasują do siebie jak koło do woza. Carnot mówił: "Dokąd mam iść, ty zdrajco!" A Fouche mu na to: "A gdzie chcesz, durniu!" No, proszę! Macie swoich republikanów!

- Racja! - rzekł Teodul.

Pan Gillenormand odwrócił nieco głowę, spojrzął na Teodula i ciągnął dalej:

---

\* Oberwańcy.

- I pomyśleć, że ten gagatek miał czelność zostać jakimś *carbonaro*. Po coś opuścił mój dom? Żeby zostać republikaninem?! Phy! Przede wszystkim lud wcale nie chce twojej republiki, nie chce, bo ma olej w głowie, i wie, że królowie zawsze byli i zawsze będą; wie, że lud - koniec końców - jest tylko ludem, toteż kpi sobie z twojej republiki, kpi - słyszysz, głupcze jeden?! Cóż za zwyrodniałe zachcianki! Po gębach prac tych młokosów, tacy są głupi; rozkochują się w ojcu Duchêne, przewracają czule oczy do gilotyny, śpiewają serenady i brzdąkają na gitarze pod balkonem 93 roku! Wszyscy tacy sami! Wszyscy bez wyjątku! Wystarczy odetchnąć powietrzem ulicy, żeby stracić rozum! Dziewiętnasty wiek to trucizna! Pierwszy lepszy młokos zapuszcza sobie bródkę w szpic, bierze na serio swoje błazeństwa i puszcza kantem rodzinę, jakby nigdy nic! Bo to po republikańsku! Bo to romantyczne! Romantyczność? A co to ma znaczyć? Powiedźcie mi łaskawie, co to ma znaczyć? Wielkie głupstwo, ot, co! Rok temu latali na „Hernaniego”. Na „Hernaniego”! Proszę! Proszę! A to przecie same antytezy, obrzydlistwo, na dobitkę napisane nie po francusku. A potem mamy działa na dziedzińcu Luwru. Łajdackie czasy!

- Święta racja, dziaduniu! - rzekł Teodul.

Pan Gillenormand ciągnął dalej:

- Armaty na dziedzińcu muzeum? A to po co? Co one tam mają do roboty? Czy chcecie strzelać do Apolla Belwederskiego? Co mają wspólnego kartacze z Wenus Medycejską? Och, ta dzisiejsza młodzież! Banda nicponi! Ten ich Beniamin Constant - co za miernota! A jak nie łotry, to niedołęgi! Robią wszystko, co mogą, żeby się oszpecić; źle się ubierają, boją się kobiet, kręcą się koło spódniczki z miną, jakby zebrali o łaskę. Dziewczyny śmieją się im w nos! Na honor, powiedziałby kto, że te ciamajdy wstydzą się miłości. Wyglądają szkaradnie, a do tego jeszcze są głupi: powtarzają kalambury Tiercelina i Potiera, noszą fraki jak wory, kamizelki fernali, koszule z ordynarnego płótna, spodnie z ordynarnego sukna, buty z ordynarnej skóry, a, dalibóg, „ich szczebiot wart jest ich upierzenia”. Ich żargonem można by podzelać buty. I te głupie dzieciuchy mają przekonania polityczne! Powinien wyjść bezwzględny zakaz posiadania przekonań politycznych! Fabrykują jakieś systemy, przerabiają społeczeństwo, obalają monarchię, depczą prawa, przewracają wszystko do góry nogami, rozgramiają całą Europę, budują nowy świat i są w siódmym niebie, jeśli uda im się zerknąć ukradkiem na łydkę praczki wążającej do wózka. Ach, Mariuszu! Ach, gałganie! Zachciało ci się gardłować na rynku, dyskutować, rozprawiać, „przedsiębrać stosowne środki”! Bo oni to tak nazywają! Stosowne środki! O bogowie! Bałagan staje się coraz mniej niebezpieczny, ale za to coraz bardziej idiotyczny! Widziałem chaos, a teraz oglądam galimatias! Smarkateria obraduje nad Gwardią Narodową, to się nie zdarza nawet u

czerwonoskórych! Nagie dzikusy z maczugą w łapie i z łbem ustrojonym jak wolant u rakiety są bardziej cywilizowane niż te uczniaki! Bałwany! Pajace! Udaje to mądrych i rządzi się jak szara gęś! Obraduje! Rozumuje! Koniec świata! Najwyraźniej - to koniec tej nędznej skorupy ziemskiej. Brakowało jej tylko śmiertelnej czkawki - no i Francja ma czkawkę. Rozprawiajcie sobie, błazny! Póty się to nie skończy, póki będą czytywać gazety pod arkadami Odeonu. Płacą za to jednego su, płacą za to swoim rozsądkiem, inteligencją, sercem, duszą i rozumem. Wychodzą stamtąd i puszczają kantem rodzinę. Te gazety to prawdziwa zaraza. Wszystkie! Nawet "Biały Sztandar"! W gruncie rzeczy Martainville też był jakobinem. Sprawiedliwe nieba! Och, będziesz mógł się pochwalić, żeś do rozpacz doprowadził starego dziadka!

- Oczywiście! - rzekł Teodul.

I korzystając, że pan Gillenormand przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć tchu, porucznik dodał sentencjonalnie:

- Powinna istnieć tylko jedna gazeta: "Monitor", i tylko jedna książka: "Rocznik Wojskowy". Nic więcej!

Pan Gillenormand mówił dalej:

- Zupełnie jak ten ich Sieyès. Królóbójca, który dochrapał się w końcu senatorstwa: oni zawsze na tym kończą! Najpierw strzepią sobie język "obywatelami", żeby wreszcie tytułować się panem hrabią. Pan hrabia! Hrabia, co psy obrabia! Mordercy wrześnie! Filozof Sieyès! Muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że tyle mnie obchodziły filozofie tych filozofów, co okulary komedianta z Tivoli. Widziałem raz na bulwarze Malaquais senatorów w aksamitnych fioletowych płaszczach hartowanych w złote pszczoły i w kapeluszach *à la* Henryk IV! Ohydny widok! Można by powiedzieć: małpy ze świty króla tygrysa. Obywatele, oświadczam wam, że wasz postęp - to szaleństwo, że wasza ludzkość - to mrzonka, że wasza rewolucja - to zbrodnia, że wasza republika - to potwór, że wasza młoda, dziewicza Francja - to dziewczka z lupanaru! I gotów jestem to powtórzyć każdemu z was, choćbyście byli publicystami, ekonomistami, legistami, choćbyście byli jeszcze lepszymi znawcami wolności, równości i braterstwa niż nóż gilotyny. To wam oświadczam, moi drodzy!

- A to dopiero święta prawda, dalibóg! - zawołał porucznik. Pan Gillenormand przerwał w połowie zaczęty gest, odwrócił się, wbił ostry wzrok w porucznika Teodula i powiedział mu:

- Dureń jesteś, mój panie!

**Księga szósta**

**Spotkanie dwóch gwiazd**

## I

### O tym, jak z przezwiska powstaje nazwisko

W owej epoce Mariusz był pięknym młodzieńcem średniego wzrostu; miał bujne włosy, wysokie i rozumne czoło, namiętne, śmiało wycięte nozdrza, spojrzenie szczerze i czyste, a w całej twarzy jakiś trudny do określenia wyraz dumy, zamyślenia i niewinności. Jego profil łagodny, choć nie pozbawiony męskości, miał w sobie tę germańską miękkość, która -poprzez Alzację i Lotaryngię - przeniknęła do krwi francuskiej; ten brak ostrości rysów wyodrębnił niegdyś w sposób wyraźny Sykambrów spośród Rzymian, a po dziś dzień odróżnia twarz o typie lwim od twarzy o typie orlim. Mariusz był w tym okresie życia, kiedy umysł myślącego człowieka jest równie głęboko dojrzały jak i dziecięco naiwny. Miał wszelkie dane po temu, aby w decydującej sytuacji zachować się jak młokos; przy jeszcze silniejszym bodźcu - mógł sięgnąć wyżyn wzniosłości; Maniery miał opanowane, chłodne, uprzejme i powściągliwe. Uśmiech łagodził zbytnią surowość jego twarzy, usta bowiem miał prześliczne, wargi karminowe i najbielsze w świecie zęby. Czystość czoła i zmysłowość uśmiechu kontrastowały czasem ze sobą w szczególny sposób. Oczy miał niewielkie, lecz spojrzenie mocne.

W okresie najgorszej nędzy nieraz widział, że dziewczęta oglądały się za nim; z rozpaczą w duszy uciekał wtedy albo omijał je z daleka. Wydawało mu się, że patrzą na jego zniszczone ubranie i śmieją się z niego; tymczasem dziewczęta patrzyły na jego wdzięczną postać i śniły o nim po nocach.

To nieporozumienie bez słów między nim a spotykanymi ślicznotkami stało się powodem jego dzikości. Nie miał żadnej wybranki dla tej prostej przyczyny, że unikał wszystkich dziewcząt. I tak żył bezbarwnie, "po głupiemu" - według Courfeyraca.

Courfeyrac mówił mu także: "Daj sobie spokój z czcigodnością, Mariuszu (mówili sobie po imieniu; młode przyjaźnie łatwo przechodzą na tę formę). Coś ci poradzę, mój drogi: nie tkwij ciągle w książkach, a zerkaj częściej na dziewczuszki. Ach, Mariuszu, te szelmutki mają swoje dobre strony. Póty będziesz ich unikał, póty będziesz piekł raki, aż zgłupiejesz z kretesem".

Innym razem, spotkawszy go, wołał:

- Witam księdza dobrodzieja!

Po paru takich dowcipach Courfeyraca, Mariusz przez tydzień jeszcze staranniej unikał kobiet, zarówno młodych, jak i starych, a przede wszystkim unikał przyjaciela.

Istniały wszakże na wielkim, nieogarnionym świecie dwie kobiety, przed którymi Mariusz nie uciekał i na które nie zwracał najmniejszej uwagi. Prawdę mówiąc, zdziwiłby się bardzo, gdyby mu ktoś powiedział, że to też są kobiety. Jedną z nich była stara, brodata baba, która zamiatała mu pokój i o której Courfeyrac mówił: „Mariusz nie nosi brody, bo go w tym wyręcza jego służąca”. Drugą - pewna mała dziewczynka, którą często spotykał i na którą nigdy nie patrzył.

Już z górą przed rokiem Mariusz zauważył w jednej z mało uczęszczanych alei Ogrodu Luksemburskiego, biegnącej wzdłuż muru Pepiniery, jakiegoś mężczyznę i młodzieńką dziewczynę, prawie zawsze siedzących obok siebie na tej samej ławce, w najbardziej odludnym zakątku w pobliżu ulicy Zachodniej. Za każdym razem, kiedy traf, lubiący się mieszać do przechadzek ludzi, których wzrok skierowany jest ku własnym myślom, sprowadzał Mariusza do tej alei, a zdarzało się to prawie co dzień, spotykał on tam tych dwoje. Mężczyzna mógł mieć lat sześćdziesiąt, wydawał się smutny i poważny; cała jego powierzchowność tchnęła siłą i znużeniem, co cechuje wojskowych w stanie spoczynku. Gdyby nosił order, Mariusz powiedziałby sobie: „To jakiś oficer na emeryturze”. Wyglądał na człowieka zacnego, ale nieprzystępnego i wzrok jego nigdy nie spotykał się z niczym spojrzeniem. Nosił granatowe spodnie, takież surdut i kapelusz z szerokim rondem, wszystko to zawsze jakby świeżo sprawione, chustkę czarną i koszulę kwakierską - to znaczy śnieżnej białości, ale z grubego płótna. Jakaś gryzетка przechodząc raz koło niego, powiedziała: „Jakież to czyściutki wdowiec”. Włosy miał zupełnie siwe.

Kiedy towarzysząca mu dziewczynka przyszła z nim po raz pierwszy i usiadła na ławce, którą odtąd jakby objęli w posiadanie, była ona podlotkiem trzynasto- lub czternastoletnim, tak chudym, że aż brzydkim, niezręcznym i niepokaźnym; tylko oczy jej nieźle się zapowiadały: spoglądały jednak zawsze z jakąś nieprzyjemną pewnością siebie. Ubrana była za poważnie, a zarazem za dziecinnie, w sposób typowy dla wychowanek klasztoru: nosiła niezdarnie skrojoną sukienkę z grubego, czarnego merynosu. Wyglądali na ojca i córkę.

Mariusz obserwował przez parę dni tego starszego jegomościa, który nie był jeszcze starcem, i tego podlotka, który nie był jeszcze młodą dziewczyną, po czym przestał zwracać na nich uwagę. Oni zaś - jak się wydawało - nawet go nie zauważyli. Rozmawiali z sobą spokojnie i obojętnie. Dziewczynce nie zamykały się usta, szczebiotała wesoło; starszy pan

mówił niewiele, lecz chwilami wpatrywał się w nią wzrokiem pełnym niewysłowionej miłości ojcowskiej.

Mariusz przyzwyczał się bezwiednie do przechadzek po tej właśnie alei. Nieodmiennie spotykał tam tych dwoje.

Oto w jaki sposób się to działo:

Mariusz nadchodził zwykle z przeciwległego końca alei. Przemierzał całą jej długość, mijał ich ławkę, wracał do miejsca, skąd przyszedł, i znowu zawracał. Przechadzał się tak tam i z powrotem kilka razy, a przechadzkę tę odbywał prawie codziennie, lecz nigdy się nie zdarzyło, żeby wymienili ukłony. Ów jegomość z dziewczynką, chociaż zdawali się unikać wszelkich spojrzeń - a może właśnie dlatego, zwrócili na siebie uwagę kilku studentów spacerujących niekiedy aleją Pepiniery. Zdarzało się to pracowitym studentom po wykładach, innym po partyjce bilardu. Courfeyrac, należący do tych ostatnich, przyglądał się nieznajomym jakiś czas, lecz doszedłszy do przekonania, że dziewczyna jest brzydka, usunął się szybko i raz na zawsze. Uciekł jak Part<sup>\*</sup>, rzuciwszy im przezwisko. Uderzony głównie kolorem sukni dziewczynki i włosów starego jegomościa nazwał córkę: "panną Czarną", a ojca "panem Białym", ponieważ zaś nikt nie wiedział, jak się naprawdę nazywają, przyłgnęły do nich te przezwiska. Studenci mówili: "O, pan Biały siedzi na swojej ławce!" I Mariusz wraz z innymi przywykł nazywać nieznajomego panem Białym.

Uczynimy to samo i będziemy go nazywać panem Białym dla ułatwienia sobie opowiadania.

Mariusz widywał ich więc niemal codziennie o tej samej porze przez cały pierwszy rok. Stary jegomość podobał mu się, ale dziewczynka nie budziła w nim sympatii.

---

\* Aluzja do taktyki wojennej Partów, którzy pozorowali ucieczkę, by niespodziewanie przejść do ataku.



## II

### “Lux facta est”\*

Następnego roku, właśnie w tym miejscu naszej opowieści, do którego czytelnik teraz dotarł, Mariusz, sam nie wiedząc dlaczego, zerwał jakoś ze zwyczajem przechadzek po Ogro-dzie Luksemburskim i przez blisko pół roku nie pokazywał się w swojej alei. Wreszcie wrócił tam pewnego dnia. Był pogodny letni poranek i Mariusz czuł się radosny, jak to bywa przy pięknej pogodzie. Zdawało mu się, że ma w sercu wszystkie śpiewy ptasząt, które go dolatywały, i wszystkie skrawki błękitnego nieba, które widział poprzez liście drzew.

Poszedł prosto do swojej alei, a kiedy stanął u jej końca, spostrzegł, zawsze na tej samej ławce, znajomą parę. I oto, kiedy się przybliżył, zobaczył wprawdzie tego samego mężczyznę, lecz wydało mu się, że nie jest to ta sama dziewczyna. Młoda osoba, którą w tej chwili miał przed oczami, była smukłą, piękną istotą, o kształtach uroczej kobiety, znajdującej się właśnie w owej chwili życia, kiedy kształty te łączą się jeszcze z najnie-winniejszym wdziękiem dziecka; ulotna to i czysta chwila, którą mogą oddać tylko te dwa słowa: piętnaście lat. A więc cudowne, kasztanowate włosy, rozjaśnione złotymi smugami, czoło jak z marmuru, policzki jak płatek róży, pastelowy rumieniec, białość przepojona wzruszeniem, prześliczne usta, ożywione blaskiem uśmiechu i muzyką głosu, głowa, jaką Rafael dałby Madonnie, osadzona na szyi, jaką Jan Goujon dałby Wenerze. I - żeby nic nie brakowało tej czarującej twarzy - nos niepiękny, ale uroczy; ani prosty, ani orli, ani włoski, ani grecki - nosek paryski; to znaczy nosek dowcipny, figlarny, nieregularny, a czysty w rysunku, który do rozpaczki doprowadza malarzy i zachwyca poetów.

Przechodząc obok niej, Mariusz nie mógł zobaczyć jej oczu, były bowiem stale spuszczone. Ujrzał tylko długie, ciemne rzęsy, pełne cienia i wstydlivosti.

Nie przeszkadzało to pięknemu dziewczęciu uśmiechać się do słów siwowłosego starca i trudno byłoby o piękniejszy widok niż ten świeży uśmiech przy spuszczonych powiekach.

W pierwszej chwili Mariusz pomyślał, że to inna córka tego samego jegomościa, zapewne siostra poprzedniej. Ale gdy niezmiennie przyzwyczajenie przechadzki przywiodło go po raz drugi w poblizę ich ławki i gdy przyjrzał się uważnie dziewczynie, poznał, że to ta

---

\* “Stało się światło”.

sama. W przeciągu pół roku podłotek zmienił się w młodą pannę - to wszystko. Bardzo często spotykane zjawisko. Nadchodzi chwila, w której dziewczyna rozkwita w mgnieniu oka i nagle staje się różą. Wczoraj zostawiłeś dziecko, dziś znajdujesz niepokojącą kobietę.

Dziewczyna nie tylko wyrosła, ale i wysubtelniała. Niektórym drzewom wystarczy trzech dni kwietniowych, żeby okryć się kwieciami; jej - wystarczyło pół roku, żeby przystroić się piękną. Nadszedł dla niej kwiecień.

Spotyka się czasem ludzi, którzy, choć biedni i niepozorni, nagle jakby budzą się do życia, z niedostatku przechodzą do przepychu, pozwalają sobie na wszelkie zbytki i stają się nagle świetni, rozrzutni i wspaniali. Dorwali się do pieniędzy. Wczoraj właśnie była wypłata. Dziewczyna otrzymała swoją wypłatę.

Nie była to już pensjonarka o czerwonych rękach, w pluszowym kapelusiku, merynosowej sukience i grubych, szkolnych bucikach; wraz z rozkwitem piękności nabrała gustu; była teraz wytworną panną, ubraną z elegancją kosztowną, lecz prostą i nieprzesadną. Miała czarną, adamaszkową suknię, okrycie z tego samego materiału i biały, krepowy kapelusz. Biała rękawiczka ukazywała delikatność dłoni, która bawiła się rzeźbioną z kości słoniowej rączką parasolki; jedwabny pantofelek obcisnął małą nóżkę. Przechodząc koło niej, czułeś jakąś świeżą, mocną woń, która unosiła się z fałd jej sukni.

Stary pan nic się nie zmienił.

Kiedy Mariusz po raz drugi przeszedł koło niej, dziewczyna podniosła powieki. Miała w oczach cudowny, głęboki błękit, lecz w tym przyćmionym lazurze było jeszcze tylko spojrzenie dziecka. Popatrzyła na Mariusza obojętnie, jak patrzyłaby na malca, biegającego pod sykomorami, czy na marmurową wazę, której cień padał na ławkę; Mariusz spacerował dalej, myśląc o czym innym.

Przeszedł jeszcze kilka razy koło ławki, na której siedziała dziewczyna, i nawet nie rzucił na nią okiem.

W następne dni przychodził jak zwykle do Ogrodu Luksemburskiego; jak zwykle spotykał "ojca i córkę", ale nie zwracał już na nich uwagi. Nie więcej myślał o tej dziewczynie teraz, gdy stała się piękna, niż myślał wówczas, gdy była brzydka. Przechodził zawsze bardzo blisko ławki, na której siedziała, dlatego że miał taki zwyczaj.

### III

#### Obrazek wiosenny

Pewnego dnia powietrze było ciepłe, Ogród Luksemburski tonął w słońcu i w cieniu drzew, niebo było czyste, jakby aniołowie obmyli je w porannej rosie, w gęstwinie kasztanów ćwierkały wróble. Mariusz całą duszą chłonał piękno natury, nie myślał o niczym; żył i oddychał; przeszedł koło znajomej ławki, dziewczyna podniosła na niego wzrok i oczy ich się spotkały.

Co było tym razem w spojrzeniu dziewczyny? Mariusz nie umiałby na to odpowiedzieć. Nie było nic i było wszystko. Dziwna jakaś błyskawica.

Ona spuściła oczy, a on poszedł dalej.

To, co ujrzał przed chwilą, nie było już niewinnym i prostym spojrzeniem dziecka, była to tajemnicza głębia, która się na chwilę otwarła, a potem nagle zamknęła.

Nadchodzi dzień takiego spojrzenia dla każdej młodej dziewczyny. Biada temu, kto znajduje się wówczas w pobliżu.

Pierwsze spojrzenie duszy, która sama siebie jeszcze nie zna, jest jak jutrzienka na niebie. To przebudzenie czegoś, co promienne i nieznanne. Nic nie zdoła oddać niebezpiecznego czaru tego nieoczekiwanego błysku, który bladym światłem rozjaśnia urocze ciemności i w którym stapia się cała niewinność chwili obecnej z całą namiętnością przyszłości. To jakaś nieokreślona tkliwość, która się zdradza przypadkiem i czeka... To sidła, które niewinność bezwiednie zastawia i w które łowi serca, bez swojej wiedzy ani woli. Dziewiczość, która spogląda oczami kobiety.

Rzadko się zdarza, aby tam, gdzie padnie ten wzrok, nie zrodziło się głębokie marzenie. Cała czystość i cały żar skupiają się w tym promieniu niebiańskim i fatalnym zarazem, który znacznie pewniej od zalotnych spojrzeń świadomej kokietki sprawia swoją czarodziejską mocą, że w głębi serca rozkwita ciemny kwiat pełen woni i jadu, zwany miłością.

Wieczorem, wróciwszy do swej nędznej izdebki, Mariusz rzucił okiem na swój strój i po raz pierwszy spostrzegł, że jak ostatni oberwaniec i niewychowany głupiec spacerował po Ogrodzie Luksemburskim w swym ubraniu "na co dzień", to jest w kapeluszu złamanym przy

samej taśmie, w grubych, fornalskich butach, w czarnych spodniach wytartych na kolanach i w czarnym surducie wyświeconym na łokciach.

## IV

### Początek ciężkiej choroby

Nazajutrz o zwykłej godzinie Mariusz wyjął z szafy nowy surdut, nowe spodnie, nowy kapelusz i nowe buty; przystroił się w ten rynsztunek, włożył rękawiczki, niebawem zbytek, i poszedł do Ogrodu Luksemburskiego. Po drodze spotkał Courfeyraca i udał, że go nie widzi. Courfeyrac, wróciwszy do domu, oznajmił przyjaciołom: "Spotkałem przed chwilą nowy kapelusz i nowe ubranie Mariusza i Mariusza w środku. Na pewno szedł na egzamin. Miał bardzo głupią minę". Przybywszy do Ogrodu, Mariusz obszedł dokoła sadzawkę, popatrzył na łabędzie, a potem przez długą chwilę stał w kontemplacji przed posągiem, który miał głowę poczerniałą od pleśni i któremu brakowało jednego biodra. Koło sadzawki stał jakiś mieszczuch, czterdziestoletni i brzuchaty, który trzymając za rękę pięcioletniego chłopczyka, mówił do niego: "Unikaj krańcowości! Pamiętaj, synu, żebyś się zawsze trzymał równie daleko od despotyzmu jak od anarchii". Mariusz wysłuchał słów mieszczucha. Po czym jeszcze raz obszedł sadzawkę dokoła. Wreszcie skierował się ku "swojej" alei wolno i jakby niechętnie. Rzekłbyś, że coś go tam ciągnęło i zarazem zatrzymywało na miejscu. Nie zdawał sobie z tego sprawy wcale i sądził, że zachowuje się tak jak co dzień.

Wchodząc w aleję, spostrzegł na przeciwległym krańcu, na "ich ławce", pana Białego i dziewczynę. Zapiął surdut po samą szyję, obciągnął go starannie, aby wygładzić wszystkie fałdki, z pewnym upodobaniem spojrzął na połyskujące sukno swoich spodni i ruszył na ławkę. Szedł jak do ataku, krok jego zdradzał niewątpliwą chęć podboju. Toteż mówię: "ruszył na ławkę", tak jakbym powiedział: "Hannibal ruszył na Rzym".

Zresztą wszystkie jego ruchy były machinalne i nie oderwał ani na chwilę myśli od codziennych zajęć i pracy umysłowej. Myślał właśnie nad tym, że "Podręcznik maturalny" był idiotyczną książką i że musieli go układać skończeni głupcy, skoro wśród arcydzieł ducha ludzkiego analizują tam aż trzy tragedie Racine'a, a tylko jedną komedię Moliera. W uchu mu dzwoniło przeraźliwie. Zbliżając się do ławki, obciągał ubranie i utkwiał oczy w dziewczynie. Zdawało mu się, że cały zakątek alei promieniuje bijącym od niej błękitem, delikatnym blaskiem.

Im bardziej się zbliżał, tym bardziej zwalniał kroku. Daleko było jeszcze do końca alei, kiedy w pewnej odległości od ławki zatrzymał się - i sam nie wiedząc, jak to się stało -

zawrócił. Wcale nawet nie powiedział sobie, że nie dojdzie do końca alei. Toteż dziewczyna ledwo go mogła dostrzec z daleka i zobaczyć, jak ładnie wygląda w nowym ubraniu. Jednakże trzymał się bardzo prosto, żeby się dobrze prezentować, gdyby ktoś przypadkiem przyglądał mu się z tyłu.

Doszedł do przeciwległego końca alei, zawrócił i tym razem podszedł już nieco bliżej ławki. Nawet aż tak blisko, że dzieliły go od niej tylko trzy drzewa. Ale tam uczył, że niepodobieństwem jest pójść dalej, i zawahał się. Zdawało mu się, że twarz dziewczyny skłoniła się w jego stronę. Zdobył się jednak na gwałtowny, męski wysiłek, pokonał wahanie i poszedł dalej. W parę sekund później mijał ławkę, prosto, i odważnie, czerwony aż po uszy, z ręką w zanadrzu niby mąż stanu, nie śmiać rzucić okiem w prawo ani w lewo. Kiedy tak przechodził jak pod obstrzałem, czuł, że mu serce wali jak oszalałe. Ona była ubrana tak samo jak wczoraj w adamszkową suknię i krepowy kapelusz. Usłyszał jakiś pewien niewysłowionego czaru głos, który musiał być "jej głosem". Rozmawiała spokojnie. Była bardzo ładna. Czuł to, choć nie próbował spojrzeć na nią. "Chyba nie odmówiłaby mi swego szacunku i poważania - myślał - gdyby wiedziała, że to ja jestem prawdziwym autorem rozprawy o «Marcosie Obregonie de la Ronda», którą pan Franciszek de Neufchateau podał jako własną we wstępie do swojego wydania «Idziego Blasa»".

Minął ławkę, doszedł do bliskiego już końca alei, zawrócił i znów przeszedł koło pięknej dziewczyny. Tym razem był bardzo blady. Zresztą doznawał bardzo nieprzyjemnego uczucia. Oddalił się od ławki i od dziewczyny, a gdy wyobraził sobie, że patrzy na niego z tyłu, nogi zaczęły mu się plątać.

Nie próbował więc zbliżyć się do ławki, zatrzymał się mniej więcej w połowie alei i tam, co mu się przedtem nigdy nie zdarzyło, usiadł na ławce, zerkając z ukosa - i w najgłębszych zakamarkach umysłu zaczął snuć przypuszczenia, że to chyba niemożliwe, aby osoba, której biały kapelusz i czarną sukienkę tak szczerze podziwiał, okazała się zupełnie obojętna na połyskujące sukno jego spodni i nowy surdut.

Po kwadransie wstał, jakby zamierzał znowu pójść w kierunku ławki, otoczonej aureolą. Jednak stał bez ruchu. Po raz pierwszy od piętnastu miesięcy przysła mu do głowy myśl, że ten pan, który tu codziennie siadywał z córką, bez wątplenia zwrócił na niego uwagę i że jego uparte spacerowanie po tej alei mogły mu się wydawać nieco dziwne.

Po raz pierwszy także uczył jakiś brak szacunku w nadawaniu nieznanemu - nawet w skrytości ducha - przezwiska pana Białego.

Stał tak przez kilka chwil z opuszczoną głową, rysując coś na piasku laseczką, którą trzymał w ręku.

Po czym odwrócił się nagle od pana Białego i jego córki i wrócił do domu.

Tego dnia zapomniał o obiedzie. Spostrzegł to o ósmej wieczorem, a że było już za późno, aby pójść na ulicę Św. Jakuba, więc powiedział tylko: “Hm”, i zjadł kawałek chleba.

Nim poszedł spać, wyczyścił szczotką ubranie i złożył je starannie.

## **Jejmość Burczymucha przeżywa wstrząsające wydarzenia**

Nazajutrz jejmość Burczymucha - tym mianem Courfeyrac ochrzcił starą stróżkę, główną lokatorkę-gospodynię rudery Gorbeau, która, jak wiemy, nazywała się naprawdę pani Burgon, lecz ten postrzeleniec Courfeyrac niczego i nikogo w świecie nie umiał uszanować, a więc jejmość Burczymucha osłupiała widząc, że pan Mariusz znów wychodzi w nowym ubraniu.

Poszedł do Ogrodu Luksemburskiego, ale nie posunął się poza swoją ławkę w połowie alei. Usiadł na niej jak wczoraj i choć patrzył z daleka, widział wyraźnie czarną sukienkę i biały kapelusz, a zwłaszcza błękitny blask. Nie ruszył się z ławki i wrócił do domu dopiero wtedy, gdy już zamykano bramy. Nie dostrzegł, kiedy pan Biały z córką opuścili Ogród. Wywnioskował z tego, że musieli wyjść bramą od ulicy Zachodniej. Później, po paru tygodniach, kiedy się nad tym zastanawiał, nie mógł sobie żadną miarą przypomnieć, gdzie tego dnia jadł obiad.

Nazajutrz, to znaczy trzeciego dnia, w jejmość Burczymuchę jakby znowu piorun strzelił: Mariusz wyszedł w nowym ubraniu. "Trzy dni z rzędu" - wykrzyknęła w duchu.

Próbowała go śledzić, ale Mariusz szedł szybko wielkimi krokami: był to pościg hipopotama za kozicą. Straciła go z oczu po dwóch minutach i wróciła zasapana, ledwo dysząc w ataku astmatycznej duszności i wściekła. "I co to za sens - mruzczała ze złością wkładać codziennie świąteczne ubranie i zmuszać człowieka, żeby biegał jak głupi!"

Mariusz poszedł do Ogrodu Luksemburskiego. Dziewczyna z panem Białym już tam byli. Mariusz, udając, że czyta książkę, zbliżył się do nich najbardziej, jak mógł, ale i tak dzieliła ich jeszcze dość duża odległość, potem zawrócił, usiadł na swojej ławce i przesiedział cztery godziny, patrząc na skaczące po ścieżce wróble, które - jak mu się wydawało - naigrawały się z niego.

Tak upłynęły dwa tygodnie. Mariusz chodził do Ogrodu już nie dla przechadzki, ale aby wysiadywać stale na tym samym miejscu, sam nie wiedząc dlaczego. Doszedłszy do swego miejsca, tkwił tam bez ruchu. Co rano wkładał nowe ubranie po to, żeby się w nim pokazać dziewczynie, i nazajutrz znów postępował tak samo.



Ona była istotnie cudownie piękna. Jeżeli można by zrobić jakąś uwagę, która miałaby w sobie cień krytyki, to chyba tę, że kontrast smutnego spojrzenia i radosnego uśmiechu nadawał jej wyraz jakiegoś spłoszenia i wtedy ta słodka twarzyczka stawała się dziwna, nie przestając być urocza.

## VI

### Wzięty do niewoli

Pod koniec drugiego tygodnia Mariusz siedział jak zwykle na swojej ławce i trzymał w ręku otwartą książkę, nie przewróciwszy od dwóch godzin ani jednej kartki. Nagłe drgnął. Na końcu alei coś się działo. Pan Biały z córką właśnie wstali z ławki, córka ujęła ojca pod ramię i wolnym krokiem zaczęli iść w kierunku tego miejsca alei, gdzie siedział Mariusz. Mariusz zamknął książkę, potem otworzył ją, potem usiłował czytać. Drżał cały. Aureola zbliżała się do niego. “O Boże! - myślał. - Nie zdążę nawet przybrać stosownej postawy”.

Tymczasem siwy pan i młoda dziewczyna zbliżali się coraz bardziej. Mariusz miał wrażenie, że trwa to całe wieki, a równocześnie jedną, krótką chwilę. “Po co oni tu idą - zapytywał się w duchu. - Jak to, więc ona tędy przejdzie? Dotknie swoją stopą piasku tej alei, o dwa kroki ode mnie!”

Był wstrząśnięty, chciałby wyglądać pięknie, chciałby mieć order. Coraz bliżej słyszał rytmiczny, spokojny odgłos ich kroków. Wyobraził sobie, że pan Biały obrzuca go gniewnym spojrzeniem. “Czy ten pan przemówi do mnie?” - myślał. Spuścił głowę; gdy ją uniósł, byli już koło niego. Dziewczyna minęła Mariusza, a mijając spojrzała na niego. Spojrzała na niego uważnie, z jakimś słodkim zamyśleniem i Mariusza przeszedł dreszcz. Wydawało mu się, że w jej oczach czyta wyrzut, iż tak dawno nie przychodził do niej, i że mówiła: “To ja przychodzę do ciebie”.

Olśniły go te przepastne, świetliste źrenice. Czuł płomień pod czaszką. Ona do niego przyszła! Cóż za radość! I jak spojrzała na niego! Wydała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek. Piękna piękną kobiecą, a zarazem anielską, piękna pełnią piękności, którą opiewałby Petrarca, a Dante wielbił na kolanach. Zdawało mu się, że tonie w błękicie nieba. A równocześnie nękało go okrutne strapienie, gdyż miał zakurzone buty.

Był święcie przekonany, że ona spojrzała też i na jego buty.

Ścigał ją wzrokiem, aż znikła w alei. Potem zaczął biegać po ogrodzie jak szalony. Zdaje się, że chwilami śmiał się i mówił coś do siebie. Miał tak rozmarzoną minę, że każda z nianiek w ogrodzie była pewna, iż jest w niej zakochany.

Wyszedł z ogrodu z nadzieją, że odszuka ją na ulicy. Pod arkadami Odeonu spotkał Courfeyraca i powiedział: “Chodź ze mną na obiad!” Poszli do restauracji Rousseau, gdzie

wydali sześć franków. Mariusz jadł jak wilk. Dał kelnerowi sześć su napiwku. Przy deserze powiedział do Courfeyraca: “Czytałeś dzienniki? Audry de Puyraveau wygłosił wspaniałą mowę”.

Był nieprzytomnie zakochany.

Po obiedzie rzekł do Courfeyraca: “Funduję ci teatr”. Poszli do Porte-Saint-Martin obejrzeć Fryderyka w “Auberge des Adrets”. Mariusz bawił się wyśmienicie.

Jednocześnie wzmogła się jego wstydlivość. Wychodząc z teatru, nie chciał nawet spojrzeć na podwiązkę jakiejś modniarki przeskakującej przez rynsztok, a kiedy Courfeyrac powiedział: “Chętnie bym umieścił tę kobietkę w swojej kolekcji” - poczuł niemal wstręt.

Nazajutrz Courfeyrac zaprosił go na śniadanie do “Café Voltaire”. Mariusz poszedł i jadł jeszcze więcej niż wczoraj. Był bardzo zamyślony i ogromnie wesoły. Można by powiedzieć, że korzystał z każdej okazji, aby śmiać się z całego serca. Czule uściskał jakiegoś prowincjusza, którego mu przedstawiono. Koło ich stolika zebrało się grono studentów; rozprawiano o bzdurach, opłacanych przez rząd, które wygłasza się teraz z katedr na Sorbonie, po czym rozmowa przeszła na usterki i braki w słownikach i prozodiach Quicherata. Mariusz przerwał debatę wołając:

- A jednak to miło mieć Krzyż Legii!

- A to śmieszna historia! - szepnął Courfeyrac do Jana Prouvaire.

- Nie - odparł tamten. - To poważna historia!

Istotnie, była to poważna historia. Mariusz przeżywał właśnie tę wstrząsającą i czarowną chwilę, która jest początkiem wielkich miłości.

Wszystko to sprawiło jedno spojrzenie.

Kiedy założony jest dynamit i płomień jest tuż - prosta to sprawa. Spojrzenie to iskra.

Stało się. Mariusz kochał kobietę. Los jego wkraczał w nieznanne.

Spojrzenie kobiety przypomina pewne mechanizmy niegroźne na pozór, a w istocie straszliwe. Co dzień beztrąsko i bezkarnie przechodzisz mimo nie wiedząc, co cię czeka. Niekiedy nawet zapominasz o ich istnieniu. Przechodzisz, wracasz, marzysz, rozmawiasz, śmiejesz się. Nagle czujesz, że wpadłeś w potrzask. Już po wszystkim. Mechanizm chwycił cię w swoje tryby, spojrzenie cię złowiło. Złowiło cię nie wiedzieć jak ani kiedy, uczepliło się jakiejś twojej zabłąkanej myśli, skorzystało z chwili twego roztargnienia. Jesteś zgubiony, przepadłeś z kretelem. Splot tajemniczych sił bierze cię w posiadanie. Na próżno się szamoczesz. Żadna siła ludzka ci nie pomoże. Będą cię chwytaty kolejne tryby, będziesz wpadał z udreki w udrekę, z męczarni w męczarnię, ty sam, twój umysł, twój los, twoja przyszłość, twoja dusza; i zależnie od tego, czy znajdziesz się we władzy istoty złej czy szlachetnego

serca, wydobędziesz się z tego przerażającego mechanizmu albo skalany hańbą, albo przeobrażony wielkim uczuciem.

## VII

### Przygody litery U, wystawionej na domysły

Osamotnienie, oderwanie od wszystkiego, duma, niezależność, miłość przyrody, brak codziennych, konkretnych zajęć, życie zamknięte w sobie, tajemne walki wstydlivosti, przychylność i zachwyt wobec całego stworzenia, wszystko to razem przygotowało Mariusza do tego opętania, które nazywa się namiętnością. Kult ojca z wolna stał się dla niego religią i jak każda religia usunął się w głąb duszy. Trzeba mu było czegoś na pierwszym planie. Nadeszła miłość.

Przez cały długi miesiąc Mariusz co dzień chodził do Ogrodu Luksemburskiego. Kiedy zbliżała się zwykła godzina, nic nie było w stanie go zatrzymać. "Ma teraz służbę"-mówił Courfeyrac. Mariusz żył w zachwyceniu. Miał pewność, że dziewczyna spogląda na niego.

Rozzuchwalił się wreszcie i podchodził bliżej do "ich" ławki. Jednakże nie przechodził koło niej, ulegając właściwemu zakochanym uczuciu nieśmiałości i przezorności zarazem. Uważał, że lepiej nie zwracać na siebie uwagi "ojca". Z przebiegłością, godną Makiawela, stawał za drzewami lub cokołami posągów, tak żeby dziewczyna widziała go możliwie najdokładniej, a starszy pan możliwie najmniej. Niekiedy długie godziny trwał nieruchomo, w cieniu jakiegoś Leonidasa czy Spartakusa, trzymając w ręku książkę, znad której wzrok jego nieśmiało wzniesiony wędrował ku pięknej dziewczynie, ona zaś z lekkim półuśmiechem zwracała ku niemu swój wdzięczny profil. Rozmawiając najspokojniej i najnaturalniej w świecie z siwowłosym panem, kierowała ku Mariuszowi wzrok pełen dziewczyczych, a namiętnych snów. Starodawny i odwieczny wybieg, który Ewa znała już w pierwszym dniu stworzenia i który każda kobieta zna od pierwszej chwili życia! Usta rozmawiają z jednym, oczy rozmawiają z drugim.

Należy jednak sądzić, że pan Biały zaczął się wreszcie czegoś domyślać, często bowiem, kiedy nadszedł Mariusz, wstawał i zaczynał się przechadzać. Porzucił swoje dotychczasowe miejsce i przeniósł się na ławkę w przeciwległym końcu alei, koło Gladiatora, jak gdyby chciał się przekonać, czy Mariusz pójdzie tam za nimi. Mariusz nie zrozumiał go i popełnił ten błąd. "Ojciec" zaczął przychodzić do ogrodu mniej punktualnie i nie co dzień

przyprawdzał "córkę". Czasem przychodził sam, a wtedy Mariusz natychmiast zniknął z ogrodu. Drugi błąd.

Mariusz nie zwracał najmniejszej uwagi na te objawy. Ze stanu lęklivości naturalnym i nieuniknionym biegiem rzeczy przeszedł w zaślepienie. Jego miłość rosła. Śnił o niej po całych nocach. Zdarzyło mu się też szczęście niespodziewane - oliwa dolana do ognia, podwojenie bielma na oczach. Pewnego wieczora, o zmroku, na ławce, którą "pan Biały z córką" przed chwilą opuścił, znalazł chustkę. Była to zwykła chustka bez haftu, ale biała, cienka i przesycona - jak mu się zdawało - niebiańskimi zapachami. Pochwycił ją z uniesieniem. Chustka ta była naznaczona literami: U. F. Mariusz nic nie wiedział o pięknej dziewczynie, nie znał jej nazwiska, nie wiedział, gdzie mieszka. Te dwie litery były pierwszą rzeczą, pochodzącą od niej, którą dostał w ręce, najmiłsze litery, które posłużyły mu natychmiast do budowania gmachu domysłów. "U" było niewątpliwie pierwszą literą imienia. "Urszula - pomyślał - co za prześliczne imię!" Ucałował chusteczkę, wdychał jej woń, w dzień nosił ją na sercu, a wieczorem, kładąc się do snu, przytulał ją do ust.

"Czuję w niej całą jej duszę" - mówił sobie.

Chustka była własnością starego pana i po prostu wypadła mu z kieszeni.

W ciągu następnych dni, Mariusz, chodząc po ogrodzie, bez przerwy całował chustkę lub tulił ją do serca. Piękna dziewczyna nic z tego nie rozumiała i dawała mu to do poznania ledwo dostrzegalnymi znakami.

"O niewinności!" - myślał Mariusz.

## VIII

### Nawet inwalidzi mogą być szczęśliwi

Ponieważ wymówiliśmy słowo “niewinność” i nie pominiemy nic w naszym opowiadaniu, musimy wspomnieć, że raz - mimo uniesienia i zachwytu – “jego Urszula” sprawiła Mariuszowi wielką przykrość. Było to owego dnia, kiedy namówiła pana Białego, aby wstali z ławki i przechadzali się po alei. Świeży, wiosenny wiatr poruszał wierzchołkami platanów. Ojciec z córką, idąc pod rękę, minęli właśnie ławkę Mariusza, Mariusz zerwał się z ławki i ścigał ich wzrokiem, jak przystało w takim stanie duchowego upojenia.

Nagle mocniejszy powiew wiatru, bardziej figlarny niż inne i niewątpliwie wysłannik wiosny, zerwał się z gęstwiny krzewów, wypadł w aleję, owionął dziewczynę dokoła uroczym, tanecznym wirem, godnym nimf Wergiliusza i faunów Teokryta, i uniósł jej suknię - świętszą niż szata Izydy - prawie do wysokości podwiązki. Ukazała się prześlicznie zarysowana noga. Mariusz zobaczył ją. Był zrozpaczony i wściekły.

Dziewczyna gwałtownie obciągnęła suknię niebiańsko gniewnym ruchem, jego jednak przejęło oburzenie. Nikogo, poza nim, nie było w alei - to prawda. Ale ktoś mógł być! A gdyby był tam ktoś! To się w głowie nie mieści. Zrobiła tak straszną rzecz! Niestety! Biedne dziewczę nic nie zrobiło, jedynym winowajcą był wiatr. Ale Mariusz, w którym podświadomie burzył się Bartolo kryjący się w Cherubinie, postanowił mieć do niej urazę i zazdrosny był o własny cień. Tak to właśnie budzi się w sercu ludzkim i bierze je w swe władanie - choćby i bezprawnie - gorzka i dziwaczna zazdrość cielesna. Zresztą - nawet pomijając zazdrość - widok tej ślicznej nogi wcale nie był mu miły; biała pończoszka pierwszej lepszej kobiety sprawiłaby mu większą przyjemność.

Kiedy “jego Urszula”, doszedłszy do końca alei, zawróciła i po raz wtóry przeszła z panem Białym obok ławki Mariusza, ten rzucił jej spojrzenie okrutne i zagniewane. Dziewczyna zachnęła się nieco i uniosła lekko powieki, co oznaczało pytanie: “Cóż się stało?”

To była ich pierwsza sprzeczka.

Zaledwie Mariusz skończył jej robić tę scenę, wyrażoną tylko spojrzeniem, a ktoś zjawił się w alei. Był to inwalida, zgarbiony, pomarszczony i siwy, w mundurze z czasów Ludwika XV. Na piersi miał owalną naszywkę z czarnego sukna z rysunkiem skrzyżowanych

szpad - żołnierski Krzyż Św. Ludwika, a z innych odznak rękaw bez ręki, srebrną szczękę i drewnianą nogę. Mariuszowi wydało się, że jegomość ten jest szczególnie z czegoś zadowolony. Wydało mu się nawet, że stary cynik, kuśtykając obok niego, mrugnął w jego stronę jakoś bardzo poufale i wesoło, jak gdyby dziwnym przypadkiem istniało między nimi jakieś porozumienie i jak gdyby im obu naraz przytrafiła się jakaś dobra gratka. Z czego tak się cieszył ten poszczerbiony syn Marsa? Czy istniał jakiś związek między tą drewnianą nogą a tamtą nóżką? Mariuszem owładnęła złość zazdrości. "A może on tu był?! - mówił sobie. - A może on widział?" I chętnie zamordowałby starego inwalidę\*.

Czas tępi każde ostrze. Gniew Mariusza na "Urszulę", choć tak słuszny i uzasadniony, przeminął także. Wreszcie przebaczył, ale z wielkim trudem - dąsał się całe trzy dni.

Tymczasem mimo wszystko, a może właśnie z powodu tego wszystkiego, namiętność jego rosła wciąż i stawała się szaleństwem.

---

\* Rozdział ten zawiera reminiscencję z życia autora. W liście do narzeczonej Adeli Fouchet z 4 marca 1822 r. młody Wiktor Hugo zarzucał swojej przeszłej żonie, że bojąc się zabłócić spódniczkę, podnosi ją nieco za wysoko.



## IX

### Zaćmienie

Czytelnik widział, jak Mariusz odkrył, a raczej zdawało mu się, że odkrył, iż *Ona* ma na imię Urszula.

W miłości apetyt wzrasta wraz z uczuciem. Wiedzieć, że na imię jej Urszula, to już bardzo dużo, ale i bardzo mało. W ciągu kilku tygodni Mariusz przetrwał to szczęście. Teraz pragnął drugiego. Pragnął dowiedzieć się, gdzie mieszka.

Popełnił pierwszy błąd dając się wciągnąć w zasadzkę ławki koło Gladiatora. Drugi, wychodząc z ogrodu, ilekroć pan Biały zjawił się sam. Teraz popełnił błąd trzeci. Ogromny. Zaczął śledzić "Urszulę".

Mieszkała w najmniej ruchliwej części ulicy Zachodniej, w trzypiętrowym, nowym domu, o skromnym wyglądzie.

Od tej chwili do szczęścia oglądania jej w ogrodzie Mariusz dołączył jeszcze drugie szczęście - szedł za nią aż do jej domu.

Głód jego wzrastał. Wiedział już, jak się nazywa, a w każdym razie znał jej imię, imię prześliczne, prawdziwie kobiece, wiedział też, gdzie mieszka; zapragnął dowiedzieć się, kim jest.

Pewnego wieczoru, odprowadziwszy ich aż do domu i widząc, że zniknęli w bramie, poszedł ich śladem i odważnie zagadnął odźwiernego:

- Czy ten pan, co tu wszedł przed chwilą, mieszka na pierwszym piętrze?

- Nie - odrzekł odźwierny. - Na trzecim.

Był to nowy krok naprzód. Powodzenie ośmieliło Mariusza.

- Od frontu? - zapytał.

- A jakże! - rzekł odźwierny. - Dom ma mieszkania tylko od ulicy.

- A czym się trudni ten pan? - rzekł znowu Mariusz.

- To rentier. Bardzo zacy pan; wiele dobrego robi dla biednych, choć sam nie jest bogaty.

- A jak się nazywa? - zapytał Mariusz.

Odźwierny spojrzał na niego i rzekł:

- Ej, a czy pan czasem nie jest szpiclem?

Mariusz odszedł jak niepyszny, ale był zachwycony. Posuwał się coraz dalej.

“Doskonale! - mówił sobie. - Wiem, że na imię jej Urszula, że jest córką rentiera, że mieszka przy ulicy Zachodniej na trzecim piętrze”.

Nazajutrz pan Biały zjawił się z córką w ogrodzie na bardzo krótko; wyszli stamtąd jeszcze za dnia. Mariusz - zgodnie z powziętym już zwyczajem - podążył za nimi na ulicę Zachodnią. Doszedłszy do bramy, pan Biały przepuścił córkę przodem, a sam zatrzymał się i nim przestąpił próg, uważnie spojrzął na Mariusza.

Następnego dnia nie przyszli do ogrodu, Mariusz czekał na próżno cały dzień.

Z nadejściem zmroku poszedł na ulicę Zachodnią i zobaczył światło w oknach trzeciego piętra. Spacerował pod tymi oknami, póki światło nie zgasło.

Nazajutrz znowu nikogo w ogrodzie. Mariusz czekał przez cały dzień, a potem znów poszedł pełnić nocną wartę pod oknami. Trwało to do dziesiątej wieczór. Na obiad jadł byle co. Gorączka żywi chorego, miłość - zakochanego.

W ten sposób upłynął tydzień. Pan Biały i córka nie pokazywali się już w ogrodzie. Mariusz snuł smutne przypuszczenia; w dzień nie śmiał pilnować bramy. Poprzestał więc na chodzeniu tam wieczorem i wpatrywaniu się w czerwone światło okien.

Czasami widywał przesuające się w nich cienie i wtedy serce tłukło mu się w piersi.

Ósmego dnia, kiedy przyszedł pod okna, nie było w nich światła. “O! - powiedział sobie. - Jeszcze nie zapalili lampy? A przecież to już wieczór. Czyżby gdzieś wyszli?” Czekał. Czekał do dziesiątej; czekał do północy; czekał do pierwszej nad ranem. Nic. Ani światła nie zapalono w żadnym z okien na trzecim piętrze, ani też nikt nie wrócił do domu. Odszedł bardzo zasepiony.

Nazajutrz - gdyż teraz żył tylko jutrem i można by powiedzieć, że dzień dzisiejszy nie istniał dla niego wcale - nazajutrz znów nie spotkał nikogo w ogrodzie; spodziewał się tego. O zmroku poszedł pod jej dom. W oknach żadnego światła; żaluzje zapuszczone - całe trzecie piętro było ciemne.

Mariusz zastukał do bramy, wszedł i zapytał odźwiernego:

- Czy pan z trzeciego piętra jest w domu?

- Wyprowadził się - odrzekł odźwierny.

Mariusz zachwiał się na nogach i zapytał słabym głosem:

- Kiedy?

- Wczoraj.

- A gdzie teraz mieszka?

- Nie wiem.

- Więc nie zostawił nowego adresu?

- Nie!

Tu odźwierny popatrzył na Mariusza i poznał go.

- A, to znowu pan! - rzekł - Aha, więc pan naprawdę chce tu coś wywąchać?

**Księga siódma**

**Ślepy kur**

# I

## Podziemne chodniki

Pod każdą społecznością ludzką kryje się coś, co w teatrze nazywa się “najniższym pokładem”. Grunt społeczny drążą wszędzie i dobro, i zło. Te prace podziemne nawarstwiają się wzajemnie. Znajdziesz tam galerie niższe i wyższe. W mrocznym podziemiu, które czasem zawala się pod ciężarem cywilizacji i po którym depczemy obojętnie i beztrosko, są doły i wyżyny. W ostatnim stuleciu Encyklopedia była taką podziemną galerią, znajdującą się prawie na powierzchni. Mrok, ta posępna kolebka pierwotnego chrystianizmu, potrzebował tylko pierwszej sposobności, żeby wybuchnąć pod stopami Cezarów i zalać rodzaj ludzki potokami światła. W tym świętym mroku bowiem tai się światło. Wulkany pełne są cienia, który może lada chwila rozbłysnąć płomieniem. Każda lawa z początku jest nocą. Katakumby, gdzie odprawiana była pierwsza msza, to nie tylko piwnice Rzymu, to podziemie świata.

Pod budowlą społeczną - tym połączeniem cudów architektury ze starą rudą - istnieją wszelkiego rodzaju wydrążenia. Jest tam podkop religijny, podkop filozoficzny, podkop polityczny, podkop ekonomiczny i podkop rewolucyjny. Ten wali oskardem idei, tamten - cyfry, ów - gniewu.

Z jednej katakumby do drugiej słychać wzajemne nawoływania. Utopie krążą pod ziemią tymi kanałami. Rozgałęziają się we wszystkich kierunkach. Czasem spotykają się i bratają ze sobą. Jan Jakub użycza swego kilofa Diogenesowi, który użycza mu swojej latarni. Niekiedy zaś utopie walczą ze sobą: Kalwin bierze się za łeb z Socynem. Ale nic nie może powstrzymać parcia tych sił do celu ani przerwać rozległej, równoczesnej działalności, która w ciemnościach krąży, wznosi się, opada i znów wznosi. I tak powoli - dół odmienia górę, wewnątrz odmienia warstwę zewnętrzną - olbrzymie, niezbadane mrowisko. Społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy z tych drażeń, które nie naruszają jego powierzchni, a ryją w jego wnętrzościach. Ile podziemnych pięter, tyle odmiennych prac, tyle różnych wykopalin. A co wyłania się dzięki tym głębokim złobieniom? Przyszłość.

Im głębiej w dół, tym większa tajemniczość otacza pracowników. Do pewnego poziomu, który filozof społeczny umie rozpoznać, praca jest użyteczna, poniżej tego poziomu bywa wątpliwa i mieszanej natury, jeszcze niżej staje się straszliwa. Na pewnej określonej

głębokości do podkopów tych nie dociera duch cywilizacji, człowiek nie może już oddychać w tej atmosferze; tu mogą się zrodzić potwory.

Dziwna jest ta wiodąca w dół drabina: każdemu jej szczeblowi odpowiada piętro, gdzie może ugruntować się filozofia i gdzie napotkać można jednego z jej pracowników, czasem boskich, a czasami potwornych. Pod Janem Husem jest Luter; pod Lutrem - Kartezjusz; pod Kartezjuszem - Wolter; pod Wolterem - Condorcet; pod Condorcetem - Robespierre; pod Robespierre'em - Marat; pod Maratem - Babeuf. I tak dalej, i tak dalej. Jeszcze niżej, na granicy dzielącej nierozpoznawalne i niewidoczne, widzisz innych, mrocznych ludzi, którzy może jeszcze nie istnieją. Ludzie wczorajsi - to widma, ludzie jutra - to larwy. Oko ducha zaledwie może ich rozróżnić. Ta praca przyszłości w zarodku - oto jedna z wizji filozofów.

Świat w stanie załóżka w ostatnim kręgu otchłani to obraz zaiste niezwykły!

W bocznych podkopach znajdujesz również Saint-Simona, Owena i Fouriera.

I choć niewidoczny boski łańcuch łączy wszystkich podziemnych pionierów, którzy - nic o tym nie wiedząc - niesłusznie uważają się za osamotnionych, prace ich są bardzo różnorodne i światłość jednych kontrastuje z płomienną łuną bijącą od innych. Jedni są rajscy, drudzy tragiczni. Wszelako, bez względu na przeciwieństwa, wszystkich tych pracowników - od najwznioślejszego do najbardziej mrocznego, od najmędrszego do największego szaleńca - łączy jedno podobieństwo: bezinteresowność. Marat, podobnie jak Jezus, zapomina o sobie. Wszyscy oni pomijają swoją osobę, usuwają się w cień, wcale o sobie nie myślą. Nie widzą siebie: widzą coś innego. Patrzą w jednym kierunku i spojrzeniem tym szukają absolutu. Pierwszy z nich ma w oczach całe niebiosa; ostatni - choćby był ciemną zagadką - nosi przecież jeszcze pod powieką blady odblask nieskończoności. Czujcie każdego - cokolwiek by czynił - jeśli ma ten znak: źrenicę-gwiazdę.

Źrenica-cień jest innym znakiem.

Od niej rozpoczyna się zło. Gdy spotkasz człowieka, który nie ma spojrzenia, zastanów się i zadrzyj. Ład społeczny ma też swoich czarnych górników.

Istnieje kres, gdzie pogłębienie staje się pogrzebaniem, kres, gdzie światło gaśnie.

Pod wszystkimi tymi podkopami, o których wspominaliśmy przed chwilą, pod wszystkimi tymi korytarzami, pod całym olbrzymim systemem podziemnych rozgałęzień postępu i utopii, głębiej w ziemi, poniżej Marata, poniżej Babeufa, niżej, niepomierne niżej, bez żadnego połączenia z wyższymi piętrami - jest podkop ostatni. Miejsce straszliwe. To miejsce właśnie mieliśmy na myśli, mówiąc o "najniższym pokładzie". To pieczara ciemności. To jaskinia ślepców. *Inferi*.

Miejsce to styka się z otchłanią.

## II

### Dno

Tu znika bezinteresowność. Tu kształtuje się szatan; każdy dla siebie. Ślepe "ja" wyje, szuka po omacku, ryje. Ugolino społeczny mieszka w tej jaskini.

Złowrogie postacie, które snują się po tej norze, ni to zwierzęta, ni to upiory, nie interesują się powszechnym postępem, nie znają ani tego pojęcia, ani słowa, dbają tylko o jedno: nasycić się. Są niemal pozbawione świadomości i jest w nich jakiś przerażający brak rozeznania. Mają dwie matki, raczej dwie macochy: ciemnotę i nędzę; mają jedną przewodniczkę - potrzebę; jedyną formę zadowolenia - pragnienie. Są zwierzęco żarłoczne, to znaczy okrutne; nie okrucieństwem tyrana, lecz tygrysa. Od cierpienia te larwy przechodzą do zbrodni; nieuchronne połączenie, wynik nieunikniony, a szaleńczy, logika ciemności. To, co pełza na najniższym poziomie społecznym, to już nie stłumione wołanie o absolut, to tylko protest materii. Człowiek przemienia się tam w potwora. Głód, pragnienie są jego punktem wyjścia; stać się szatanem - to jego cel. Z tej czeluści wywodzi się Lacenaire.

Rozpatrywaliśmy przed chwilą w księdze czwartej - na wyższym poziomie owej kopalni - potężny podkop polityczny, rewolucyjny i filozoficzny. Stwierdziliśmy, że wszystko tam jest szlachetne, czyste, godne i uczciwe. I tu, oczywiście, możliwe są pomyłki, i pomyłki takie zdarzają się, ale błąd jest tam godny szacunku, tyle w nim się kryje heroizmu. Całość prac dokonywanych w tym podkopie ma jedno imię: Postęp.

Nadeszła chwila, aby rzucić okiem w inne głębiny, głębiny ohydy.

Pod społeczeństwem istnieje i istnieć będzie - podkreślmy to z naciskiem - aż po dzień rozproszenia ciemnoty, olbrzymia jaskinia zła.

Jama ta mieści się pod wszystkimi innymi podkopami i jest ich nieprzejezdnym wrogiem. Nienawidzi wszystkiego bez wyjątku. Ta jaskinia nie zna filozofów; sztylet jej nigdy nie zaostrzył pióra. Jej czarność nie ma nic wspólnego ze szczytną czernią atramentu. Nigdy palce tej nocy, które kurczą się pod trującym duchotą sklepieniem, nie dotknęły kart książki, nie rozłożyły dziennika. Dla Cartouche'a Babeuf jest wyzyskiwaczem; dla Schinderhannesa\* Marat jest arystokratą. Ta jaskinia chciałaby zniszczyć wszystko.

---

\* Jean Buckler zwany Schinderhannes (zm. 1803) - herszt bandy złodziei; zginął na szafocie.



Wszystko. Również i wyższe podkopy, których śmiertelnie nienawidzi. To potworne mrowisko podkopuje nie tylko obecny porządek społeczny, podkopuje także filozofię i naukę, podkopuje prawo, podkopuje myśl ludzką, podkopuje cywilizację, podkopuje rewolucję, podkopuje postęp. A nazywa się po prostu: złodziejstwem, nierządem, morderstwem i rozbojem. Jest mrokiem i pragnie chaosu. Sklepienie tej jaskini zbudowane jest z ciemnoty.

Wszystkie inne, znajdujące się na wyższych poziomach, mają jeden cel: zniszczyć ją. Do tego zmierza filozofia i postęp wszystkimi sposobami równocześnie, tak drogą polepszenia rzeczywistego bytu, jak i drogą poszukiwania absolutnej prawdy. Zniszczcie jaskinię Ciemnoty, a pozbędziecie się kreta - Zbrodni.

Streśćmy w kilku słowach część tego, co powiedzieliśmy. Jedyna groźba społeczna to Mrok.

Cała ludzkość jest jednaka. Wszyscy ludzie są ulepiani z tej samej gliny. Nie ma żadnej różnicy w przeznaczeniu - przynajmniej na tym świecie: taki sam mrok na początku, takie samo ciało za życia, taki sam proch po śmierci. Ale ciemnota domieszana do tej gliny, z której ulepiony jest człowiek, zabarwia ją czarnością. I ta nieuleczalna czerń, przenikając do duszy ludzkiej, staje się w niej Złem.

### III

#### Zbrodnicza czwórka

Kwartet bandytów: Claquesous, Gueulemer, Babet i Montparnasse, rządził w latach 1830 do 1835 podziemiem Paryża.

Gueulemer był zdeklasowanym Herkulesem. Za norę obrał sobie kanał ściekowy ulicy Arche-Marion. Miał sześć stóp wzrostu, pierś z marmuru, muskuły ze spiżu, oddech jak miech kowalski, tors olbrzymia, a czaszkę ptaka. Rzekłbyś, Herkules Farnezyjski, ubrany w bawełniane spodnie i welwetową kurtkę. Gueulemer, zbudowany tak posągowo, mógłby poskramiać dzikie bestie, lecz uznał, że prościej jest stać się jedną z nich. Niskie czoło, szerokie skronie, zmarszczki przy oczach mimo nie przekroczonej jeszcze czterdziestki, włosy szorstkie i krótkie, szpecina zarostu na policzkach i brodzie - już widać, co to za człowiek. Jego mięśnie domagały się pracy, jego głupota jej nie chciała. Była to olbrzymia, gnuśna siła. Z lenistwa stał się mordercą. Mówiono, że był Kreolem. Nie wykluczone, że będąc w 1815 roku tragarzem w Awinionie maczał palce w sprawie marszałka Brune\*. Po odbyciu tej pierwszej praktyki został bandytą.

Przejrzystość Babeta kontrastowała ze zwalistym cielskiem Gueulemera. Babet był chudy i uczony. Był przezroczysty, ale nieprzenikniony. Światło przeświecało przez jego kości, lecz nic nie przeglądało przez jego źrenice. Podawał się za chemika. Był kłownem u Bobeche'a, a pajacem u Bobino\*. Występował nawet w wodewilu w salce Saint-Mihiel. Był to człowiek wyrachowany, mówca zawołany, który umiejętnie podkreślał swoje gesty i uśmiechy. Proceder jego polegał na sprzedawaniu na ulicach gipsowych popiersi i podobizn "głowy państwa". Ponadto wrywał zęby. Niegdyś pokazywał na jarmarkach dziwnej natury i miał budę z trąbą i takim afiszem: "Babet, artysta-dentysta, członek wielu akademii, robi doświadczenia fizyczne na metalach i metaloidach, wrywa zęby, podejmuje się nawet usuwania pieńków, którym nie dali rady jego koledzy. Cena: jeden ząb - półtora franka, dwa zęby - dwa franki, trzy zęby - dwa i pół franka. Korzystajcie z okazji!" (To "korzystajcie z okazji" - znaczyło: dajcie sobie wyrwać jak najwięcej zębów!) Był też niegdyś żonaty i miał dzieci. Nie wiedział, co się z nimi stało; zgubił je gdzieś po drodze, tak jak się gubi chustkę

---

\* Guillaume Brune (1763-1815) - marszałek Francji zamordowany w Awinionie podczas Białego Terroru.

\* Teatr Bobino - teatr jarmarczny, w r. 1828 otrzymał licencję na wystawianie wodewilów i komedii.

do nosa. Babet czytywał gazety, co było nader rzadkim wyjątkiem w tym świecie ciemności. Pewnego dnia, kiedy jeszcze żył z rodziną w wędrownym wozie, wyczytał w "Messenger", że jakaś kobieta powiła żywe dziecko z głową cielęcą, i zawołał: "To prawdziwy majątek! No, moja baba, nigdy nie miałyby dość rozumu, żeby urodzić mi takiego dzieciaka!"

Nieco później porzucił wszystko, żeby "wziąć w obroty Paryż". To jego własne określenie.

Kim był Claquesous? Nocą. Żeby się pokazać, czekał, aż niebo pomaże się czernią. Wieczorem wyłaził z jakiejś nory, do której wracał przed świtem. Gdzie była ta nora? Tego nikt nie wiedział. Nawet wśród zupełnych ciemności, nawet do własnych kolegów nie mówił inaczej jak obrócony tyłem. Czy nazywał się Claquesous? Nie. Mówił o sobie: "Nazywam się Nic-a-nic". Jeśli wnoszono świecę, wkładał maskę. Był brzuchomówcą. Babet mówił o nim: "Claquesous to nokturn na dwa głosy". Claquesous był niepojęty, błędny, straszny. Nie było pewne, czy ma nazwisko, bo Claquesous było tylko przezwiskiem; nie było pewne, czy ma jakiś głos, bo częściej mówił brzuchem niż ustami; nie było pewne, czy ma jakąś twarz, bo widziano tylko jego maskę. Znikał, jakby się rozwiewał; zjawiał się, jakby wyrastał spod ziemi.

Ponurą postacią był Montparnasse. Jeszcze dziecko - lat niespełna dwadzieścia, ładna twarz, usta jak wiśnie, piękne czarne włosy, blask wiosny w oczach; miał wszelkie złe skłonności i pociąg do wszelkich zbrodni. Zakosztowane zło budziło w nim pragnienie rzeczy jeszcze gorszych. Był to ulicznik, który stał się włóczęgą, włóczęgą, który stał się zbirem. Był miły, zniewieściał, pełen wdzięku, silny, miękki, okrutny. Zawijał z lewej strony rondo kapelusza, by wysunąć na czoło pukiel włosów, zgodnie z modą panującą w 1829 roku. Żył z rozboju. Nosił marynarki zniszczone, ale doskonale skrojone. Montparnasse - to był rysunek z żurnala mód, cierpiący nędzę i popełniający morderstwa. Przyczyną wszystkich zbrodni tego młodzieniaszka była żądza elegancji. Pierwsza gryzетка, która mu powiedziała: "Jesteś śliczny!" - rzuciła mu plamę ciemności na serce i tego Abła przemieniła w Kaina. Uważając się za pięknego, zapragnął być wytwornym; otóż najpierwsza wytworność - to beczynność; beczynność biedaka - to zbrodnia. Niewielu włóczęgów wzbudzało tak postrach jak Montparnasse. W osiemnastym roku życia niejednego już trupa miał za sobą. W cieniu tego nędznika leżał niejeden przechodzień z wyciągniętymi rękami i z twarzą w kałuży krwi. Utrefiony, wypomadowany, ściśnięty w pasie, z biodrami kobiety i piersią pruskiego oficera, otoczony szmerem zachwyty bulwarowych dziewcząt, z misternie zawiązaną chustką, kastetem w kieszeni i kwiatkiem w butonierce - taki był ten upiorny elegancik.

## IV

### **Skład bandy**

Tych czterech bandytów tworzyło coś w rodzaju Proteusza, który prześlizgiwał się przez kordony policji i usiłował wymknąć się niedyskretnym spojrzeniom Vidocqa “pod rozmaitymi postaciami drzewa, płomyka i źródła”, użyczając sobie wzajemnie swoich imion i forteli, ukrywając się we własnym cieniu, służąc sobie za kryjówki i schronienie, zrzucając swoje cechy osobiste tak, jak się zrzuca fałszywy nos na maskaradzie, czasem sprowadzając się tylko do jednego człowieka, to znów tak się pomnażając, że sam Coco-Lacour brał ich za całą gromadę.

Ci czterej ludzie nie byli bynajmniej czterema ludźmi: to był rodzaj tajemniczego złodzieja o czterech głowach pracującego na wielką skalę w Paryżu: był to potworny polip zła, zamieszkujący podziemie społeczeństwa.

Dzięki rozgałęzionym stosunkom i sieci swych znajomości Babet, Gueulemer, Claquesous i Montparnasse prowadzili główne przedsiębiorstwo zasadzek w departamencie Sekwany. Dokonywali na przechodniach zamachów stanu nizin. Wynalazcy pomysłów tego rodzaju, ludzie o nocnej wyobraźni, zwracali się do nich w sprawie wykonania. Dostarczano kanwy czterem łajdakom, a oni podejmowali się inscenizacji. Opracowywali scenariusz. Mogli zawsze dostarczyć odpowiednio liczny i stosowny personel do wszelkich napadów wymagających siły pięści, a dostatecznie zyskownych. Skoro zbrodnia jakaś poszukiwała pomocy, wynajmowali jej współników. Dysponowali trupą aktorów ciemności do odgrywania tych jaskiniowych tragedii.

Spotykali się zwykle o zmierzchu, który bywał porą ich przebudzenia, w rozległych pustkowiach koło Salpetriere. Tam się naradzali. Układali plan działania na dwanaście czarnych godzin, które mieli przed sobą.

“Ślepy kur” - tak nazywano w podziemnym świecie stowarzyszenie tych czterech ludzi. W starym, dziwacznym języku ludu, który z każdym dniem zanika, “ślepy kur” oznacza świt, podobnie jak “krzyk puchacza” oznacza zmrok. Nazwa ta pochodziła zapewne od pory, w której kończyli swą pracę, o świecie bowiem pierzchają widziadła i rozchodzą się bandyci. Ci czterej ludzie znani byli pod tą rubryką. Kiedyś przewodniczący sądu przysięgłych wypytywał w więzieniu Lacenaire'a o jakieś przestępstwo, którego zbrodniarz się wypierał.”Któż

więc je popełnił?” - zapytał przewodniczący. Na to Lacenaire dał odpowiedź zagadkową dla sędziego, lecz jasną dla policji: “Może «ślepy kur»”.

Nieraz można zorientować się w sztuce z samego spisu występujących w niej osób; podobnie można ocenić charakter bandy z listy bandytów. A oto zachowane jeszcze w pamięci pewnych osób nazwiska, jakich używali główni członkowie “ślepego kura”:

*Panchaud, zwany Wiosennym lub Urwipółciem.*

*Brujon (istniała cała dynastia Brujonów; powiemy o niej jeszcze parę słów).*

*Boulatruelle, znany już nam dróżnik.*

*Wdowa.*

*Finistere.*

*Homer Hogu, Murzyn.*

*Wtorek- Wieczorek.*

*Depesza.*

*Fauntleroy zwany Kwiaciarką.*

*Słoneczko, dawny galernik.*

*Zawalidroga, zwany panem Dupont.*

*Lesplande-du-Sud.*

*Poussagrive.*

*Karmaniola.*

*Kruideniery, zwany Bizarro.*

*Koronkarz.*

*Kręciolek.*

*Półszeląg, zwany też Dwa Miliardy.*

*Itd., itd.*

Pomijamy wielu innych, i to nie najgorszych. Te imiona mają oblicze: określają nie tylko ludzi, lecz także gatunek człowieka. Każde z nich odpowiada jakiejś odmianie tych pokracznych grzybów, co rosną na samym dnie cywilizacji.

Tych ludzi, niechętnie ukazujących swoje twarze, nie spotyka się wśród przechodniów na ulicy. W dzień, zmęczeni straszną, nocną robotą, spali bądź to w piecach wapiennych, bądź to w opuszczonych kamieniołomach na Montmartre czy Montrouge, a czasem w kanałach ściekowych. Kryli się w swoich norach.

Co się stało z tymi ludźmi? Istnieją zawsze. Zawsze istnieli. O nich to mówi Horacy: *Ambubaiarum collegia, pharmacopola, mendici, mimae*\*, i póki ustrój społeczny będzie taki, jaki jest, oni także będą tacy, jacy są. Pod mrocznym sklepieniem swej jaskini odradzają się wciąż z mętów społecznych. Powracają - jak upiory - zawsze tacy sami, tyle tylko, że noszą inne imiona i inne ciało.

Choć zniszczy się jednostki, klan pozostaje. Posiadają zawsze te same zdolności. Czystość rasy utrzymuje się od średniowiecznego żebraka aż po dzisiejszego włóczęgę. Odgadują sakiewki w kieszeniach, wywąchują zegarki w kamizelkach. Złoto i srebro mają dla nich zapach. Zdarzają się prostoduszni poczciwcy, którzy - rzecz by można - wyglądem swoim zapraszają do kradzieży. Ci ludzie cierpliwie chodzą krok w krok za tymi poczciwcami. Na widok cudzoziemca czy przybysza z prowincji przebiega ich dreszcz, jak pająka, który ujrzy swoją ofiarę.

Ludzie ci, jeśli zdarzy się ich napotkać lub spostrzec z daleka koło północy na pustym bulwarze, budzą przerażenie. Zda się, że to nie ludzie, lecz postacie z żywej mgły; rzekłbyś, że zwykle zrośnięci z ciemnością, niczym się od niej nie różnią, nie mają innej duszy jak mrok i że tylko na chwilę oderwali się od nocy, aby przeżyć parę minut jakimś życiem potworów.

Czegóż trzeba, żeby rozwiały się te straszdyła? Światła. Potoków światła. Żaden nietoperz nie ostoi się wobec brzasku dnia. Oświecajcie społeczeństwo od dołu.

---

\* "Tłum dworaków, szarlatanów, żebraków, mimów". Horacy, "Satyry", I, 2).

**Księga ósma**

**Niegodziwy biedak**

## I

### **Szukając dziewczyny w kapeluszu, Mariusz spotyka człowieka w czapce**

Minęło lato, potem jesień, nadeszła zima. Ani pan Biały, ani dziewczyna nie pojawili się w ogrodzie Luksemburskim. Mariusz myślał tylko o jednym: zobaczyć znów tę uroczą, słodką twarzyczkę. Szukał jej wciąż, szukał jej wszędzie i nie znajdował. Nie był to już dawny Mariusz, pełen zapału marzyciel, człowiek zdecydowany, żarliwy i stanowczy, śmiałek wyzywający los, wyobraźnia wznosząca coraz nowe gmachy przyszłości, młody umysł pełen planów, zamierzeń, dumy, pomysłów i woli - był to bezpański pies. Wpadł w czarną melancholię. Wszystko się skończyło. Praca budziła w nim wstręt, przechadzki go nużyły, samotność nudziła; niezmierna przyroda, kiedyś tak pełna kształtów, światła, głosów, rad, perspektyw, horyzontów i nauk, teraz była dlań pustką. Zdawało mu się, że wszystko znikło.

Myślał nadal, bo nie mógł nie myśleć, lecz nie lubował się już swoimi myślami. Na wszystkie ich ciche, a nieustanne podszepty odpowiadał w otaczającym go mroku: "Po co?"

Robił sobie tysiączne wymówki: "Czemu chodziłem za nią? Sam jej widok dość mnie uszczęśliwiał! Spoglądała na mnie, czyż to już nie było bardzo, bardzo wiele? Zdawała się mnie lubić. Czyż to już nie było wszystko? Czegóż jeszcze chciałem? Trudno żądać więcej. Jakże byłem głupi! To moja wina!" itd., itd. Courfeyrac, któremu z niczym się nie zwierzył, bo taka już była jego natura, lecz który domyślał się po trosze wszystkiego, bo taka znów była jego natura, z początku wieszował mu, że tak się zakochał, zresztą dziwiąc się temu niezmiernie, następnie, widząc, jaka melancholia ogarnęła Mariusza, powiedział mu wreszcie: "Widzę, żeś po prostu dureń, Wiesz co, chodź na zabawę «Pod Strzechę»".

Pewnego razu, ufając pięknemu, wrześnieowemu słońcu, Mariusz pozwolił się Courfeyrakowi zaprowadzić na zabawę do Sceaux, spodziewając się - co za marzenie ściętej głowy - że może ją tam odnajdzie. Bossuet i Grantaire poszli z nimi. Oczywiście Mariusz nie znalazł tam tej, której szukał. "A jednak to tutaj znajduje się wszystkie «zgubione» kobiety" - mruknął na stronie Grantaire. Mariusz zostawił przyjaciół na zabawie i wrócił do domu piechotą, sam, zmęczony, rozgorączkowany, z zamglonym, smutnym wzrokiem, utkwionym w ciemności nocy, oszołomiony kurzem i turkotem wesoło przejeżdżających pojazdów,



pełnych rozśpiewanych ludzi, które mijały go, wracając z zabawy; zniechęcony wdychał dla ochłody pałającej głowy cierpki zapach drzew orzechowych, rosnących przy drodze.

Znowu zaczął żyć jak przedtem, coraz bardziej samotny, zagubiony, przygnębiony, pochłonięty duchową udręką, miotając się w swym cierpieniu jak wilk w potrzasku, wypatrując wszędzie nieobecnej, ogłupiały z miłości.

Innym razem zdarzyło mu się spotkanie, które wywarło na nim osobliwe wrażenie. W jednej z ciasnych uliczek, przylegających do bulwaru Inwalidów, minął jakiegoś człowieka w ubraniu rzemieślnika i w czapce z dużym daszkiem, spod którego wymykały się pasma zupełnie białych włosów. Mariusza uderzyło piękno tych białych włosów, przyjrzał się temu człowiekowi, który szedł wolnym krokiem, jakby pogrążony w bolesnych rozmyślaniach. Dziwna rzecz, wydało mu się, że poznaje pana Białego: te same włosy, ten sam profil - o ile można go było dojrzeć pod czapką - ta sama postawa, tylko bardziej przygnębiona. Ale czemu to odzienie rzemieślnika? Co to miało znaczyć? Czemu przypisać to przebranie? Mariusz był bardzo zdziwiony. Kiedy się opamiętał, natychmiast chciał iść w ślad za tym człowiekiem: a nuż natrafi wreszcie na trop, którego szuka? W każdym razie należało obejrzeć go z bliska i wyjaśnić zagadkę. Ale wpadł na ten pomysł za późno, nieznajomy zniknął. Skręcił w którąś z bocznych uliczek i Mariusz nie mógł go odnaleźć. Spotkanie to dręczyło go przez kilka dni, potem o nim zapomniał. Zresztą powiedział sobie: "Było to chyba tylko podobieństwo".

## II

### Zguba znaleziona

Mariusz mieszkał nadal w ruderze Gorbeau. Nie zwracał uwagi na swoich sąsiadów.

Co prawda w tym czasie nie było tam innych mieszkańców prócz niego i owych Jondrette'ów, za których kiedyś zapłacił komorne. Nigdy zresztą nie zamienił słowa ani z ojcem, ani z matką, ani z córkami. Inni lokatorzy wyprowadzili się albo poumierali, albo zostali eksmitowani, bo nie płacili komornego.

Pewnego dnia owej zimy wyjrzało po południu słońce, ale był to drugi luty, prastare święto Matki Boskiej Gromniczej, którego zdradliwe słońce, zapowiadające sześć tygodni mrozu, natchnęło Mateusza Laensberga tymi dwoma wierszami, słusznie uznanymi za klasyczne:

*Czy to świeci, czy połyska,  
Niedźwiedź śpi wśród legowiska.*

Mariusz właśnie wyszedł ze swojego legowiska. Zapadał wieczór. Nadeszła pora obiadu. Trzeba było bowiem powrócić do zwyczaju jadania obiadów, niestety! O, jakże niedoskonałe są idealne namiętności!

Wyszedł za próg swojego pokoju, który w tej chwili właśnie zamiatała jejmość Burczymucha, wygłaszając ten godny zapamiętania monolog:

- Co teraz jest tanie? Wszystko jest drogie! Tylko praca ludzka tania! Oj tak, tak! Praca ludzka nic nie kosztuje.

Mariusz wolnym krokiem szedł bulwarem ku rogatce, kierując się w stronę ulicy Św. Jakuba. Szedł zamyślony, ze spuszczoną głową.

Nagle poczuł, że ktoś go potrącił wśród mgły. Odwróciwszy się, zobaczył dwie dziewczyny w łachmanach; jedna była wysoka i szczupła, a druga nieco niższa, obie szybko szły wystraszone i zadyszane, jakby przed kimś uciekały. Idąc naprzeciw niego, nie dostrzegły go i mijając, potrąciły. Mariusz mógł rozróżnić w zmroku ich wybladłe twarze, rozczochrane włosy, ohydne brudne czepki, spódnice w strzępach i bose nogi. Biegając, rozmawiały ze sobą. Większa mówiła bardzo cicho:

- Salcesony przysły, o mało mnie nie capnęli!

Druga odpowiedziała:

- Ja widziałam ich. Ale też wiałam, ile siły w nogach!

Poprzez niejasność tego złowrogiego szwargotu Mariusz domyślił się, że policja albo żandarmi omal nie ujęli tych dwu dziewczyn, które zdołały się wymknąć.

Dziewczęta weszły pomiędzy drzewa bulwaru za Mariuszem, przez kilka chwil majaczyły wśród nich niewyraźną, białą plamą, wreszcie znikły.

Mariusz przystanął na chwilę.

Już chciał ruszyć dalej, kiedy spostrzegł pod nogami na ziemi jakąś szarawą, małą paczkę. Schylił się i podniósł ją. Było to coś w rodzaju koperty, która zdawała się zawierać jakieś papiery.

Tak, to zapewne te nieszczęsne stworzenia ją upuściły - powiedział sobie.

Zawrócił, wołał, ale już ich nie było; pomyślał, że odeszły już daleko, wsunął paczkę do kieszeni i poszedł na obiad.

Po drodze zobaczył na ulicy Mouffetard dziecinną trumienkę, ustawioną na trzech stołkach i okrytą czarnym całunem: jedna jedyna świeczka paliła się przy niej. Widok ten przywiódł mu na myśl dziewczyny napotkane w ciemnościach.

“Nieszczęsne matki - pomyślał - bolesna to rzecz patrzeć na śmierć swojego dziecka; lecz boleśniej jeszcze jest patrzeć, że dziecko prowadzi złe życie”.

Niebawem jednak pierzchły te cienie, które odciągnęły jego myśl od stałej zgrzyzoty, i Mariusz pogрузzył się w swoim zwykłym smutku. Zaczął znowu rozmyślać o sześciu miesiącach miłości i szczęścia, przeżytych pod gołym niebem i w promiennym słońcu, wśród pięknych drzew Ogrodu Luksemburskiego.

- Jakże smutne stało się moje życie - mówił do siebie. - Wciąż widzę młode dziewczęta. Tylko dawniej to były anioły, a dzisiaj to są upiory.

### III

#### Człowiek o czterech twarzach

Rozbierając się wieczorem, natrafił w kieszeni na paczkę, którą znalazł na bulwarze. Zapomniał o niej. Pomyślał, że może dobrze byłoby ją otworzyć, że zapewne znajdzie tam adres dziewcząt - jeśli rzeczywiście do nich należała - a w każdym razie wskazówki, które pozwolą mu zwrócić ją temu, kto ją zgubił. Otworzył kopertę.

Nie była zapieczętowana i zawierała cztery listy, również nie zapieczętowane.

Na każdym z listów był wypisany adres. Wszystkie cztery cuchnęły podłym tytoniem. Pierwszy list nosił adres *Do Jaśnie Wielmożny Pani Margrabiny de Grucheray, na placu wprost Izby Deputowanych, nr...*

Mariusz pomyślał sobie, że znajdzie tam pewno wskazówki, których szukał, i że skoro list nie jest zamknięty, można go przeczytać nie popełniając niedyskrecji. List był następującej treści:

*Jaśnie Wielmożna Pani Margrabino,*

*Cnota miłosierdzia i pobożności jest tą, która najmocniej wiąże razem społeczeństwo. Porusz, Pani, swe krześcijańskie uczucia i spójrz litościwym okiem na mnie, nieszczęśliwego Hiszpana, ofiarę uczciwości i przywiązania do świętej sprawy prawowitego Krula, którą opłacił swoją krwią i dla której poświęcił całą fortunę, także dziś znalazł się w najstraszniejszej nędzy. Nie wątpię, że Jaśnie Wielmożna Pani, jako szlachetna osoba, udzieli mi pomocy dla zachowania ciężkiego życia wojakowi, pełnemu ran, z wielką edukacją i chonorem, i z gury liczę na ludzkie uczucia, którymi Jaśnie Wielmożna Pani jest orzywiona, jako też na współczucie, które masz dla tak nieszczęśliwego narodu. Ich prośba nie będzie nadaremna, a ich wdzięczność zachowa w miłej pamięci Jej urocze wspomnienie.*

*Łonczę uczucia pełne głębokiego uszanowania i mam chonor kryślić się unizonym słogą.*

*Don Alvarez,*

*hiszpański kapitan kabalerii, rojalista zbiegły do Francji, który znajduje się w podróży do swojej ojczyzny i ma brak pieniędzy na dalszą drogę.*

Przy podpisie nie było żadnego adresu. Mariusz spodziewał się go znaleźć w drugim liście, noszącym adres: *Do Jaśnie Wielmożny Pani Chrabiny de Montvernet, przy ulicy Casette nr. 9.*

Oto, co wyczytał w tym liście:

*Wielmożna Pani Chrabino,*

*Pisze do Ciebie nieszczęśliwa matka, co ma sześć dzieci, najmniejsze osiem miesięcy. Ja jestem chora po ostatnim połogu, mąż zucił mnie, już bendzie temu pięć miesięcy bez żadnych funduszków na świecie w najokropniejszy nendzy.*

*W nadziei co do Pani Chrabiny, kreślę się z poważaniem*

*Balizardowa*

Mariusz przeszedł do trzeciego listu, który, podobnie jak poprzednie, był prośbą; brzmiał tak:

*Wielmożny Pan Pabourgeot, wyborca, właściciel składu czapek, ulica Św. Dionizego, róg Żelaznej.*

*Ośmielam się przestać Wielmożnemu Panu ten list z prośbą o udzielenie mi drogocennej łaski swych względów i zainteresowanie się literatem, który dopiero co wystął swój dramat do Komedii Francuskiej. Żecz jest historyczna i toczy się w Owernii za cysarstwa. Styl, jak mniemam, jest naturalny, lakoniczny i wogule chyba dobry. W czterech miejscach są piosenki. Chumor, powaga i niespodzianki mieszają się z rozmaitością charakterów, a nastrój romantyczny rozpościera się letko po całej intrydze, która rozwija się tajemniczo, napotyka na wiele zdumiewających katastrof i rozwionzuje się w kilku efektownych scenach.*

*Głównym moim celem jest zadowolenie postempowej potrzeby człowieka naszych czasów, czyli mody, tej kapryśnej i dziwnej horągiewki, która zmienia kierunek za każdym prawie powiewem wiatru.*

*Boję się jednak, że mimo wymienionych zalet, zazdrość ludzka - ten, można powiedzieć, egoizm uprzywilejowanych autorów - uzyska moje wygryzienie z teatru, znam bowiem gorycze, którymi tam poją nieznanych autorów.*

*Szanowny Panie Pabourgeot, zasłużona pańska reputacja uświadomionego protektora literatów ośmiela mnie: posyłam panu moją curkę, która wyłószczy Panu naszą ucionźliwą sytuację, której braknie chleba i ognia w tej srogiej porze zimowej. Jeżeli powiem, że*

*upraszam Wielmożnego Pana, byś raczył przyjąć chołd, który pałam żądzą złożyć panu w moim dramacie i we wszystkich, które w przyszłości ułożę, to jest tylko dowód, jak dalece pragnę schronienia się pod pański puklesz i ozdobienia moich pism pańskim nazwiskiem. Jeśli raczysz mnie Pan zaszczycić najdrobniejszą choćby ochwiarą, zaraz wezmę się do pisania poematu wierszem, żeby Panu splateć mój characz wdzięczności. Ten poemat, który postaram się ułożyć najzgrabniej, jak można, zostanie Wielmożnemu Panu przesłany przed wydrukowaniem na czele dramatu i przed wydeklamowaniem na scenicznych deskach.*

*Wielmożnemu panu i Szanowny Małżonce najuniżeńsze chołdy składa*

*Genflot - literat*

*P. S. Wystarczy i czterdzieści su.*

*Proszę mi wybaczyć, że przysyłam curkę, a nie stawiam się we własnej osobie, ale smutne przyczyny, związane z garderobą, nie pozwalają mi, niestety, opuszczać domu.*

Mariusz otworzył wreszcie czwarty list. Był na nim następujący adres: *Do dobroczyńcy ubogich z kościoła Św. Jakuba zAlto Passo.*

*Zawierał tych parę słów. j*

*Dobroczyńco ubogich!*

*Jeśli raczysz Pan towarzyszyć mojej curce w nasze niskie progi, ujrzysz nędną klęskę i pokażę ci moje świadectwa.*

*Na widok tego pisania litościwa Twoja dusza przeszyta zostanie uczóciem życzliwej tkliwości, gdysz prawdziwi filozofowie zawsze głęboko czóją.*

*Przyznaj, litościwa osobo, że trzeba cierpieć najokrutniejszy niedostatek i że to bardzo bolesne dla otrzymania jakiejbądź ulgi poświadczyć go przez władzę, jakby nie wolno było człowiekowi cierpieć w skrytości i konać z głodu, czekając, nim go kto wspomorze.*

*Los jest bardzo okrutny dla jednych, a dla innych zbyt rozżótny i łaskawy.*

*Oczekuję Pańskiej wizyty albo też ochwiary, jeśli ją raczysz uronić, i proszę, przyjm Pan pełne szacónku uczócia, z którymi mam zaszczyt pozostawać, o, wspaniałomyślny człowieku, Twym najpokorniejszym słógą*

*P. Fabantou, artysta dramatyczny.*

Po przeczytaniu tych czterech listów Mariusz niewiele więcej wiedział niż przedtem.

Po pierwsze, żadna z podpisanych osób nie podawała swojego adresu. Po wtóre, choć listy zdawały się pochodzić od czterech rozmaitych indywiduów, don Alvareza, Balizardowej,

poety Genflot i artysty dramatycznego Fabantou, miały tę szczególną właściwość, że wszystkie cztery napisane były tym samym pismem.

Stąd nasuwał się wniosek, że pochodziły od tej samej osoby.

Poza tym - co jeszcze bardziej utwierdzało w tym przypuszczeniu - wszystkie cztery pisane były na jednakowym papierze, ordynarnym i pozólkłym; wszystkie jednakowo pachniały tytoniem, i choć usiłowano widocznie urozmaicić - o ile możliwości - styl, przecież błędy ortograficzne powtarzały się w nich z niezmaconym spokojem i literat Genflot popełniał ich nie mniej od hiszpańskiego kapitana.

Nie warto było wysilać się na odgadywanie tej nieważnej tajemnicy. Gdyby listy nie zostały znalezione przypadkiem, cała sprawa wyglądałaby na jakąś mistyfikację. Mariusz był zbyt smutny, żeby dobrze przyjąć jakiegokolwiek igraszki trafu i dać się wciągnąć w figle, którymi chciał go zabawić bruk uliczny. Zdawało mu się, że gra w "ślepa babkę" z czterema listami, które kpią sobie z niego.

Nic też nie wskazywało na to, że listy stanowiły własność dziewcząt napotkanych na bulwarze. Ostatecznie były to szpargały bez żadnego znaczenia.

Mariusz włożył je z powrotem do koperty, cisnął w kąt i położył się spać.

Koło siódmej rano, kiedy wstał, zjadł śniadanie i zabierał się właśnie do roboty, ktoś zapukał lekko do drzwi.

Ponieważ nic nie posiadał, nigdy nie wyjmował klucza z zamku, najwyżej wówczas chyba - i to bardzo rzadko - gdy miał jakąś pilną robotę. Poza tym nawet wychodząc na miasto, zostawiał klucz w drzwiach. "Okradną pana!" - mawiała jejmość Burczymucha. "Cóż mogą mi ukraść?" - odpowiadał Mariusz. A jednak pewnego pięknego dnia skradziono mu parę starych butów, ku wielkiemu triumfowi jejmość Burczymuchy.

Zapukano po raz wtóry, równie lekko jak za pierwszym razem.

- Proszę - powiedział Mariusz.

Drzwi się otworzyły.

- Czego pani sobie życzy, pani Burgon? - zapytał Mariusz, nie odrywając oczu od książek i rękopisów rozłożonych na stole. Głos, który nie był głosem pani Burgon, odpowiedział:

- Przepraszam pana...

Był to głos głuchy, zużyty, zduszony, zdarty, przepity, głos starego pijaka, ochryply od wódki i araku.

Mariusz odwrócił się żywo i zobaczył młodą dziewczynę.

## IV

### Róża w nędzy

W uchylonych drzwiach stała młodziutka dziewczyna. Okienko, przez które wpadało światło do izdebki, znajdowało się na wprost drzwi i rzucało blady odbłask na tę postać. Było to stworzenie mizerne, wątłe, wychudzone; tylko koszula i spódnica osłaniały jej drżącą i zziębniętą nagość. Zamiast paska kawałek sznurka, włosy również sznurkiem związane. Spod koszuli wystawały kościste ramiona. Cerę miała bladą, limfatyczną, ziemiste obojczyki, czerwone ręce, usta na wpół otwarte i zapadnięte, bez kilku zębów, oczy przygasłe, bezczelne i o nikczemnym wyrazie, kształty niedorozwiniętej dziewczyny, spojrzenie starej rozpustnicy, lat pięćdziesiąt i piętnaście zarazem; była to jedna z tych istot, co łączą słabość z ohydą i wywołują dreszcz grozy albo łzy współczucia.

Mariusz wstał i z pewnym zdumieniem przypatrywał się temu stworzeniu, podobnemu do cieni, które przesuwiają się w snach.

Najbardziej żałosne było to, że dziewczyna ta nie wydawała się stworzona na brzydulę. Jako dziecko musiała nawet być ładna. Wdzięk młodości walczył u niej jeszcze z ohydą, przedwczesną starością, zrodzoną z rozpusty i nędzy. Resztki piękności dogorywały na tej szesnastoletniej twarzy jak blade słońce gasnące w zimowy poranek za zwałami ciężkich chmur. Twarz dziewczyny nie była obca Mariuszowi. Miał wrażenie, że gdzieś ją już widział.

- Czego sobie panienka życzy? - zapytał.

Młoda dziewczyna odrzekła głosem pijanego galernika:

- Mam list dla pana, panie Mariuszu.

Nazywała Mariusza po imieniu; nie ulegało więc wątpliwości, że do niego miała interes; ale kim była? I skąd znała jego imię?

Nie czekając na zaproszenie, weszła do pokoju. Weszła śmiało i z jakąś ściskającą za serce bezczelnością rozejrzała się po całej izbie i nie zasłanym jeszcze łóżku. Była bosa. Przez wielkie dziury w spódnicy przeświecały długie nogi i chude kolana. Dygotała z zimna.

Rzeczywiście trzymała w ręku list, który podała Mariuszowi.

Otwierając go, Mariusz zauważył, że olbrzymi opłatek, którym go zapieczętowano, był jeszcze wilgotny. Pismo nie mogło pochodzić z bardzo daleka. Przeczytał:



*Miły młodzieńcze i sąsiedzie!*

*Dowiedziałem się o pańskiej uprzejmości, żeś Pan zapłacił za mnie komorne, bendzie temu pół roku. Bóg ci zapłacić, młody człowieku! Moja starsza curka powie panu, żeśmy są już od dwóch dni bez kawałka chleba, wszyscy czworo, a do tego moja małżonka ciengiem jest chora. Jeśli pszczócia moje mnie nie zawiodą, to myślę, że słusznie pokładam nadzieję w pańskim szlachetnym sercu, które wzruszy się tym pismem i nakaze Panu pragnienie okazania mnie swej łaskawości przez udzielenie choćby lekkiego wspomorzenia.*

*Pozostaje z głębokim poważaniem, które się słusznie należy dobroczyńcom ludzkości*

*Jondrette*

*P. S. Moja curka zaczeka na pańskie rozkazy, drogi Panie Mariuszu.*

Pośród niejasnej przygody, która od wczorajszego wieczora zaprzętała myśli Mariusza, list ten był świeczką wniesioną do piwnicy: wszystko się nagle rozjaśniło.

List pochodził z tego samego źródła co i tamte cztery. To samo pismo, ten sam styl, ta sama ortografia, ten sam papier, ten sam zapach tytoniu.

Było więc pięć listów, pięć opowieści, pięć różnych nazwisk, pięć podpisów, ale tylko jeden nadawca. Hiszpański kapitan don Alvarez, nieszczęsna matka Balizard, poeta dramatyczny Genflot, stary aktor Fabantou, wszyscy czworo nazywali się Jondrette, o ile Jondrette rzeczywiście nazywał się Jondrette.

Choć Mariusz od dawna już mieszkał w tej ruderze, lecz - jak już mówiliśmy - nie miał prawie sposobności nie tylko widywać, ale spostrzegać swych nielicznych sąsiadów. Myślą błądził gdzie indziej, a gdzie jest myśl, tam jest spojrzenie. Nieraz zapewne spotykał Jondrette'ów w korytarzu czy na schodach, ale byli dlań tylko sylwetkami bez twarzy; tak małą na nich zwracał uwagę, że potrafiwszy wczoraj wieczorem na bulwarze córki Jondrette'a - gdyż to były niewątpliwie one - nie poznał ich wcale i dopiero teraz widok dziewczyny, która weszła do jego pokoju, z trudnością zdołał obudzić w nim, poprzez litość i wstręt, mgliste wspomnienie, iż kiedyś już ją widział.

Teraz wszystko stało się jasne: zrozumiał, że jego sąsiad Jondrette, w swej niedoli, zawodowo trudnił się wyzyskiwaniem litości dobroczynnych osób, zdobywał adresy i pisywał pod zmyślonymi nazwiskami listy do ludzi, których uważał za bogatych i miłosiernych; i listy te roznosiły jego córki na własne ryzyko, ten ojciec bowiem doszedł do tego, że narażał na

niebezpieczeństwo swoje córki. Rozgrywał partię z losem i stawiał na kartę własne dzieci. Wnosząc z ich wczorajszej ucieczki, zadyszania, strachu i kilku słów, wypowiedzianych w gwarze złodziejskiej, Mariusz domyślił się, że biedaczki uprawiają inne jeszcze podejrzane procedury i że wszystko to w samym sercu dzisiejszej społeczności ludzkiej zrodziło dwie nieszczęsne istoty: ani dzieci, ani dziewczęta, ani kobiety, lecz stwory plugawe i niewinne zarazem spłodzone przez nędzę.

Smutne stworzenia bez imienia, bez wieku, bez płci, niezdolne już ani do złego, ani do dobrego, które wychodząc z dzieciństwa nie mają już nic na tym świecie: ani wolności, ani cnoty, ani poczucia odpowiedzialności. Dusze, które wczoraj się rozwinęły, a dziś zwiędły, podobne do kwiatów rzuconych na bruk uliczny, które powoli więdną w błocie, zanim ich jakieś koło nie zmiażdży.

Podczas gdy Mariusz przyglądał się jej zdumionym i żalonym wzrokiem, dziewczyna kręciła się po mansardzie z zuchwałością widma. Miotła się, nie przejmując się wcale swą nagością, chwilami rozchełstana i podarta koszula obsuwała się jej prawie do pasa. Przesuwała krzesła, rozrzucała przybory toaletowe, leżące na komodzie, obmacywała ubranie Mariusza i myszkowała po wszystkich kątach.

- O, słowo daję - mówiła - pan ma lusterko!

I nuciła sobie, jakby była sama, jakieś urywki z wodewilów, figlarne zwrotki, którym jej głos ochrypliły i gardłowy przydawał ponurego brzmienia. Ale przez tę arogancję przebijała jakaś nienaturalność, niepokój i upokorzenie. Bezczelność wypływa z uczucia wstydu.

Trudno o smutniejszy widok niż to jej miotanie się i jakby fruwanie po pokoju, te ruchy ptaka, który został oślepiiony światłem lub ma złamane skrzydła. Odnosiło się wrażenie, że w innych warunkach, przy innym wychowaniu i innej doli, wesołe i swobodne zachowanie tej dziewczyny mogłoby mieć najśłodszy urok. Wśród zwierząt nigdy istota stworzona na gołąbkę nie przemienia się w krogulca: to się zdarza tylko wśród ludzi.

Mariusz zamyślił się i pozwalał jej robić, co chciała. Zbliżyła się do stołu.

- Ho, ho! - rzekła. - Książki!

Coś błysnęło w jej szklistym oku. Ciągnęła dalej, a głos jej zdradzał radość, że może się czymś pochwalić - uczucie nieobce żadnej ludzkiej istocie.

- Ja też umiem czytać!

Porwała szybko książkę, która leżała otwarta na stole, i przeczytała dość płynnie:

*General Baudouin otrzymał rozkaz, by na czele pięciu batalionów swej brygady zdobyć zamek Hougomont, który leży pośrodku równiny Waterloo....*

Przerwała:

- Aha, Waterloo... Wiem. Tam była kiedyś bitwa. Mój ojciec tam był, bo mój tata służył przy wojsku. Myśmy wszyscy tacy bonapartyści, że aż strach! Tam się nasi bili z Anglikami.

Położyła książkę, chwyciła pióro i zawołała:

- Umiem też pisać!

Umoczyła pióro w kałamarzu i zwróciła się do Mariusza:

- Chce pan zobaczyć? Proszę, napiszę coś! I zanim zdążył odpowiedzieć, napisała na kartce czystego papieru, leżącego na stole: "Salcesony idą". Po czym rzuciła pióro i rzekła:

- Nie robię błędów, niech pan zobaczy! Uczyłyśmy się kiedyś, moja siostra i ja. Nie zawsze byłyśmy tym, co dzisiaj. Nie byłyśmy stworzone na to, żeby...

Tu przerwała, utkwiała przygastę spojrzenie w Mariuszu, parsknęła śmiechem i rzekła tonem, w którym brzmiał bezmiar smutku, zdławiony bezmiarem cynizmu:

- Et!

I zanuciła na wesołą nutkę takie oto słowa:

*Daj mi jeść, tatulu,*

*Bo głodno;*

*Okryj mnie, matulu,*

*Bo chłodno.*

*A marznij sobie,*

*Córeczko,*

*A płaczcie sobie,*

*Syneczku.*

Ledwo skończyła tę zwrotkę, zawołała:

- Czy chodzi pan kiedy do teatru, panie Mariuszu? Bo ja chodzę. Mam młodszego brata, który przyjaźni się z aktorami i daje mi bilety. Ale bardzo nie lubię chodzić na galerię. Ciasno tam, nieprzyjemnie. Napcha się czasem prostaków, a niektórzy to śmierdzą!

Spojrzała na Mariusza i twarz jej się dziwnie zmieniła:

- Czy pan wie, panie Mariuszu, że śliczny chłopak z pana? - rzekła.

Jednocześnie przyszła im obojgu do głowy ta sama myśl, która u niej wywołała uśmiech, a u niego rumieniec.

Podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

- Pan na mnie nie zwraca uwagi, ale ja pana znam, panie Mariuszu. Spotykam pana na

schodach i widzę też nieraz, jak pan chodzi do takiego jednego pana, co się nazywa Mabeuf i mieszka koło wioski Austerlitz. Czasem spaceruję sobie w tamtych stronach. Bardzo panu ładnie z tymi rozczochranymi włosami.

Głos jej starał się być bardzo miły, lecz stał się tylko bardzo cichy. Niektóre słowa gubiły się gdzieś po drodze między gardłem a ustami, jak na klawiaturze, gdzie nie wszystkie klawisze odpowiadają.

Mariusz cofnął się nieznacznie.

- Mam tu jakąś paczkę, która, zdaje się, należy do panienki - rzekł z właściwą sobie chłodną powagą. - Proszę, oto ona. I podał jej kopertę z czterema listami.

Dziewczyna klasnęła w dłonie i zawołała:

- Aleśmy się jej naszukały!

Pochwyciła szybko paczkę i rozdarła kopertę, mówiąc:

- O, jak Bożię kocham! Aleśmy się z siostrą naszukały! I pan to znalazł? Na bulwarze, prawda? To musiało być na bulwarze! Widać upadła wtedy, kiedyśmy biegły. To sprawka tej głupiej smarkuli! Wracamy do domu, a tu nie ma paczki! A że nie chciałyśmy dostać lania, bo to nam wcale, ale to wcale do szczęścia niepotrzebne, tośmy zmyśliły, że listy oddaliśmy i że wszędzie nam pokazali figę. A tu raptem masz z powrotem te nieszczęsne listy! Ale skąd pan wie, że to moje. Aha, poznał pan po piśmie! To na pana wpadłyśmy wczoraj wieczorem? Powiedziałam do siostry: "Czy to jakiś pan?" A ona mi powiada: "Chyba jakiś pan!" Mówiąc to, rozwinęła prośbę, zaadresowaną do "dobroczyńcy ubogich z kościoła Świętego Jakuba z Alto Passo".

- Aha! - rzekła. - To prośba do tego starego, co łązi na mszę. Właśnie w sam raz pora. Zanioseń mu. Może nam da co na śniadanie!

Po czym zaczęła się znów śmiać i dodała:

- A wie pan, co to będzie, jeśli dziś zjemy śniadanie? To będzie nasze onegdajsze śniadanie, onegdajszy obiad, wczorajsze śniadanie i wczorajszy obiad, wszystko razem w kupie dziś rano. Tak, do diabła, a jak to się komu nie podoba, to niech zdycha jak pies!

Słowa te przypomniały Mariuszowi, po co ta biedaczka przyszła do niego.

Sięgnął do kieszeni kamizelki, lecz nic w niej nie znalazł.

Dziewczyna mówiła dalej, tak jakby zapomniała o obecności Mariusza:

- Czasem wychodzę wieczorem, czasem nie wracam do domu. Poprzedniej zimy, nim wprowadziliśmy się tutaj, mieszkaliśmy pod mostem. Zbijaliśmy się w kupę, żeby nie zamrznąć. Moja młodsza siostra płakała. Jaka woda jest smutna! Kiedy chciałam się utopić, to mówiłam sobie: "Nie! Za zimna woda!" Chodzę, gdzie mi się podoba, nocuję czasem w

rowach. Wie pan, że w nocy, kiedy idę bulwarem, to mi się zdaje, że drzewa są jak widły, widzę domy całkiem czarne i wysokie jak wieże katedry, wyobrażam sobie, że białe płoty to rzeka, i mówię: "O, tam jest woda!" Gwiazdy błyszczą jak lampiony, wydaje się, że kopca i że wiatr je gasi; a mnie chwyta taki strach, jakbym czuła oddech koński na szyi, i chociaż to noc, słyszę, jak gra katarynka i jak huczą warsztaty w przędzalni i bo ja wiem co jeszcze! Wydaje mi się, że mnie obrzucają kamieniami, nie wiem, dokąd uciekać, a wszystko się tak kręci, tak kręci. Jak człowiek jest głodny, to bardzo jest śmieszne.

I spojrzała na Mariusza błędnym wzrokiem.

Przetrzęsłszy i przeszukawszy wszystkie kieszenie Mariusz zdołał zebrać pięć franków i szesnaście su. Był to w tej chwili cały jego majątek. "Na dzisiejszy obiad wystarczy - pomyślał. - A jutro, zobaczymy!" Odłożył szesnaście su, a pięć franków dał dziewczynie.

Chwyła pieniądze.

- Dobra! - zawołała. - Słońce świeci! I jakby to słońce miało zdolność roztopienia w jej mózgu lawiny złodziejskiej gwary, wołała dalej:

- Fajna piątka! Jak złoto! Królik! I to w tej dziurze! A to klawo! Byczy chłop z pana! Moje najniższe! A to będzie wyżerka pierwszej klasy! Ćpać i chlać, aż będzie uszami wyłaziło! Napchać kałdun na fest! A co, może sobie żałować?

Naciągnęła koszulę na ramiona, skłoniła się nisko Mariuszowi, przyjaźnie skinęła mu dłonią i skierowała się ku drzwiom, mówiąc:

- Do widzenia panu! A swoją drogą pójdę jeszcze do tego starego!

Przechodząc koło komody, spostrzegła skórkę od chleba, która pleśniała w kurzu, rzuciła się na nią i zaczęła gryźć, mrucząc:

- Dobre, choć twarde! Można sobie zęby połamać! I wyszła.

## V

### Judasz Opatrzności

Pięć lat już przeżył Mariusz w ubóstwie, w niedostatku, a nawet w biedzie, lecz dopiero teraz spostrzegł, że nie zaznał prawdziwej nędzy. Prawdziwą nędzę ujrzał przed chwilą; był to ten upiór, który mu się przesunął przed oczami. Kto widział tylko nędzę mężczyzny, ten nic nie widział - musi zobaczyć nędzę kobiety. Kto widział tylko nędzę kobiety, ten nic nie widział - musi zobaczyć nędzę dziecka.

Gdy mężczyzna doprowadzony jest do ostateczności, traci od razu grunt pod nogami. Biada bezbronnym stworzeniom z jego otoczenia! Wszystko wymyka mu się z rąk od razu: praca, zarobki, chleb, opał, odwaga, dobra wola. Ma się wrażenie, że gaśnie światło dnia, a równocześnie gaśnie jasność moralna w jego duszy; w tych ciemnościach napotyka bezbrówność kobiety i dziecka i brutalnie wpycha je w hańbę.

Wówczas wszelka ohyda staje się możliwa. Za kruchym murem, którym otoczona jest rozpacz, czai się występki lub zbrodnia.

Zdrowie, młodość, cześć, święta a płochliwa wstydlivość nie tkniętego ciała, serce, dziewictwo, skromność, ten naskórek duszy - urabiane są złowieszczo przez wysiłki, które na ślepo szukają środków do życia, a znajdują hańbę i godzą się z nią. Ojcowie, matki i dzieci, bracia i siostry, mężczyźni, kobiety, dziewczęta łączą się ze sobą i scalają, niby formacje geologiczne, bez względu na płeć, pokrewieństwo, wiek, upodlenie i niewinność. Przytuleni ciasno jedno do drugiego, gnieźdzą się razem - jak w norze - we wspólnej niedoli. Spoglądają po sobie z rozpaczą. O nieszczęśni! Jakże są bladzi! Jak zziębnięci! Jakby mieszkali na jakiejś planecie znacznie bardziej oddalonej od słońca niż nasza ziemia.

Młoda dziewczyna była dla Mariusza jakby wysłanniczką ciemności. Objawiła mu całą ohydę nocy.

Mariusz nieledwie wyrzucał sobie, iż tak go pochłoneły marzenia i miłość, że do tej chwili nawet okiem nie rzucił na swych sąsiadów. Zapłacił za nich komorne, lecz był to tylko odruch. Każdy postąpiłby tak samo; a przecież on, Mariusz, powinien był zrobić coś więcej. Wszak tylko ściana dzieliła go od tych opuszczonych istot, które żyły po omacku wśród nocy, wyrzucone poza nawias żyjących, wszak przechodził koło nich, był niejako ostatnim ogniwem rodzaju ludzkiego, którego dotykali: słyszał obok siebie ich oddech, a raczej

rżenie, i nie zwracał na to uwagi! Co dzień, w każdej chwili, słyszał poprzez ścianę, jak ruszają się, chodzą, przechodzą, mówią - lecz nie słuchał. W ich słowach rozlegały się jęki, i tych nawet nie dosłyszał. Myślą błądził gdzie indziej, pogrążony w snach, w nieziszczalnym szczęściu, w nieuchwytej miłości, w szaleństwach; tymczasem zaś te ludzkie istoty, jego bracia w Chrystusie, jego bracia w ludzie, konali tu obok niego, i to konali niepotrzebnie. Stanowił nawet cząstkę ich nieszczęścia i jeszcze je powiększał. Gdyby bowiem sąsiadem ich był inny człowiek, mniej kapryśny, a bardziej spostrzegawczy, przeciętny i litościwy, bez wątpienia zauważyłby ich nędzę, dosłyszał ich wołanie o pomoc i od dawna już może wziąłby ich pod opiekę i poratował w biedzie. Wyglądali co prawda na zdeprawowanych, zepsutych, upodlonych, a nawet odrażających, rzadko się jednak zdarza, by ktoś, upadłszy nisko, nie spodlił się, a przy tym istnieje pewien kres, gdzie już nie można odróżnić ludzi nieszczęśliwych i ludzi niegodziwych, nieunikniony wspólny kres obejmujący ich jednym słowem: nędznicy. Czyja to wina? Czyż zresztą miłosierdzie nie powinno być tym większe, im głębszy jest upadek?

Czyniąc sobie te wymówki - gdyż Mariusz jak wszystkie prawdziwie zacne serca stawał się w takich wypadkach swoim nauczycielem i karmił się może ostrzej, niż na to zasługiwał - wpatrywał się w ścianę, która go dzieliła od Jondrette'ów, jakby mógł przebić tę zaporę pełnym litości wzrokiem i ogrzać tych nieszczęśliwych ludzi. Ścianę stanowiła cienka warstwa tynku, położona na łąty i belki, co pozwalało - jak już wspominaliśmy - dokładnie rozróżniać głosy, a nawet i słowa. Trzeba było być takim marzycielem jak Mariusz, żeby do tej pory jeszcze tego nie spostrzec. Ściana nie była wyklejona tapetą ani od strony pokoiku Mariusza, ani od strony Jondrette'ów; jej niechlujna konstrukcja widoczna była jak na dłoni. Mariusz wpatrywał się w ścianę, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę; czasem zaduma również rozważa, bada i obserwuje tak jak trzeźwa myśl. Nagle wstał. Na górze, prawie pod sufitem, spostrzegł trójkątny otwór między trzema belkami. Wapno, które wypełniało tę dziurę wypadło i można było stojąc na komodzie, zajrzeć do izby Jondrette'ów. Współczucie łączy się, i powinno się łączyć, ze swoistą ciekawością. Ten otwór stanowił coś w rodzaju okienka, zwanego judaszem. Wolno z ukrycia podpatrywać nieszczęście po to, aby mu ulżyć. "Zobaczymy, co to za ludzie - pomyślał Mariusz - i co się u nich dzieje".

Wdrapał się na komodę, przyłożył oko do szpary i spojrział.

## VI

### Zwierzę ludzkie w swoim legowisku

Miasta, podobnie jak lasy, mają swoje ostępy, w których kryje się to, co najzłośliwsze i najniebezpieczniejsze. Tylko że to, co się tak ukrywa w miastach, jest okrutne, plugawe i małe - czyli szpetne; to zaś, co ukrywa się w kniejach, jest okrutne, dzikie i wielkie - czyli piękne. Jeśli wybierać między norami, lepsze są nory zwierząt niż ludzi. Jaskinie więcej są warte niż meliny.

To, co Mariusz miał przed oczyma, było norą ludzką. Mariusz był biedny i mieszkał ubogo, ale podobnie jak szlachetne było jego ubóstwo, tak i jego poddasze było schludne. Izba, do której zajrzał w tej chwili, była ohydna, brudna, smrodliwa, cuchnąca, ciemna, plugawa. Umeblowanie: wyplatane krzesło, kulawy stół, kilka starych skorup, a w dwóch kątach - dwa barłogi, niemożliwe do opisania; światło: mansardowe okienko o czterech szybkach, zasnutę pajęczyną. Przez okienko to wpadało tyle tylko światła, by z ludzkiej twarzy zrobić twarz widma. Ściany wyglądały jak pokryte trądem - odrapane, pokiereszowane, niczym twarz zniekształcona przez jakąś straszną chorobę. Ociekały lepką wilgocią. Widać na nich było plugawe rysunki, nieudolnie nagryzmołone węglem.

Izdebka Mariusza miała przynajmniej zniszczoną, kamienną posadzkę; ta nora nie miała ani posadzki, ani podłogi z desek; chodziło się po prostu po glinianej polepie, czarnej od naniesionego błota. Na tym nierównym gruncie, niejako inkrustowanym brudem, nie tkniętym przez miotłę, zgromadziły się tu i ówdzie konstelacje starych pończoch, chodaków i najobrzydliwszych łachmanów; poza tym izba ta miała kominek, toteż wynajmowano ją za czterdzieści franków rocznie. Czego nie było w tym kominku! Fajerka, garnek, połamane deski, rozwieszzone na gwoździach szmaty, klatka, kupa popiołu i nawet trochę ognia: tliły się w nim smętnie dwa polana.

Izba ta wydawała się jeszcze ohydniejsza z powodu swojej obszerności. Pełno tam było występów, wnęk, załamań, ciemnych otworów, podstryszków, przygórków, które tworzyły swego rodzaju zatoki i przyładki. Stąd mnóstwo ohydnych, niezbadanych zakamarków, które wydawały się stworzone na siedlisko pajaków wielkich jak pięść, stonóg szerokich jak stopa, a może nawet i jakichś potwornych, ludzkich stworów.

Jeden barłóg mieścił się koło drzwi, drugi koło okna. Oba jednym końcem przytykały



do komina i znajdowały się na wprost Mariusza.

W jednym z kątów, obok otworu, przez który zaglądał Mariusz, w ramie z czarnego drzewa wisiała kolorowa rycina z wielkim napisem pod spodem: "Sen". Wyobrażała ona uśpioną kobietę, dziecko śpiące na jej kolanach i orła unoszącego się wśród chmur z koroną w dziobie; kobieta odsuwała ręką koronę znad głowy dziecka, nie budząc się zresztą wcale; w głębi widniała w aureoli postać Napoleona wspartego na jaskrawo niebieskiej kolumnie z żółtym kapitelem, ozdobionej takim napisem:

*Maringo*

*Austerlits*

*Jena*

*Wagramme*

*Elot*

Pod obrazem ukośnie wsparty o ścianę stał jakiś drewniany, prostokątny blat. Wyglądało to na obraz odwrócony tyłem, na jakieś płótno oprawione w ramy i zasmarowane prawdopodobnie po drugiej stronie, czy na lustro zdjęte ze ściany i czekające w zapomnieniu, aż je znów powieszą.

Przy stole, na którym Mariusz dostrzegł pióro, kałamarz i papier, siedział sześćdziesięcioletni może mężczyzna: był mały, chudy, blady, miał dziki wzrok oraz przebiegły, okrutny i niespokojny wyraz twarzy: jakiś ohydny szubrawiec.

Gdyby Lavaterowi\* danym było zobaczyć tę twarz, określiliby ją jako połączenie sępa i prokuratora; drapieznik i krętacz zohydzali się nawzajem i uzupełniali na tym obliczu: krętacz czynił drapieznika plugawym, a drapieznik czynił krętacza - strasznym.

Człowiek ten miał długą, szpakowatą brodę. Ubrany był w kobiecą koszulę, która odsłaniała jego włochatą pierś i nagie ramiona najeżone siwawym włosom. Spod koszuli wyzierały zabłocone spodnie i buty, z których wylaziły palce.

Palił fajkę. W tej norze nie było już chleba, ale na tytoń jeszcze starczało.

Pisał - zapewne jakiś list w rodzaju tych, które Mariusz niedawno czytał.

Na rogu stołu leżała jakaś stara, podarta książka w czerwonej oprawie; format jej, będący dawnym *in quarto* wydawnictw dla czytelnicy, wskazywał, że to romans. Na okładce widniał wydrukowany wielkimi literami tytuł: "Bóg - król - honor i damy serca" przez Ducray-Duminil, 1814 r.

Nie przerywając pisania, mężczyzna gadał głośno; Mariusz słyszał jego słowa:

---

\* Jean-Gaspard Lavater (1741-1801) - poeta francuski; zarzucił poezję dla teologii, interesował się okultyzmem; wielbiciel Mesmera i Cagliostro, fizjonomista.

- Nie ma równości nawet po śmierci! No, na przykład taki cmentarz jak Père-Lachaise! Jaśnie państwo, bogacze, leżą na górze przy wybrukowanej, akacjami obsadzonej alei. Mogą zajechać tam końmi. A biedaków, chudopachołków, nędzarzy chowają na dole, gdzie jest błoto po kolana, w wilgotnych rowach, żeby prędzej zgnili. Nie można odwiedzać ich grobów, bo człowiek zapada się w błocku!

Tu przerwał, walnął pięścią w stół i dodał zgrzytając zębami:

- Och, ja bym im pokazał!

Tęga kobieta, która równie dobrze mogła mieć czterdzieści jak i sto lat, przykucnęła na gołych piętach przy kominie.

Ona również odziana była tylko w koszulę i trykotową halkę połatana kawałkami starego sukna. Fartuch z grubego płótna zakrywał halkę do połowy. Choć przykucnęła i skuliła się, widać było, że jest bardzo wysoka. Przy mężu wyglądała na olbrzymkę. Miała okropne, siwiejące, jasnорude włosy, które od czasu do czasu czochrała wielkimi, zatłuszczonymi rękami o spłaszczonych paznokciach.

Obok niej leżała na ziemi otwarta książka tego samego formatu co książka na stole: zapewne inny tom tej samej powieści.

Na jednym z barłogów Mariusz zobaczył chudą, bladą i prawie nagą dziewczynkę; siedziała ze zwieszonymi nogami i wydawało się, że nie słyszy, nie widzi, nie żyje.

Była to zapewne młodsza siostra tej, która go niedawno odwiedziła. Wyglądała na jedenaście lub dwanaście lat, lecz przypatrzwszy się jej z uwagą, można było poznać, że ma co najmniej piętnaście. To ona wczoraj wieczorem mówiła na bulwarze: "Ale też wiałam, ile sił w nogach!"

Należała do tych chorowitych dzieci, które długi czas są opóźnione w rozwoju, a potem nagle śmigają w górę. To nędza płodzi takie smutne rośliny ludzkie. Stworzenia bez dzieciństwa, bez młodości, które mając piętnaście lat, wyglądają na dwanaście, a mając szesnaście - wyglądają na dwadzieścia. Dziś są małymi dziewczynkami, jutro kobietami. Rzekłbyś, że przeskakują przez pewne okresy życia, żeby prędzej dotrzeć do końca.

W obecnej chwili stworzenie to wyglądało na dziecko.

Nic w tym mieszkaniu nie wskazywało, by ktokolwiek tu pracował: nie było ani krosien, ani kołowrotka, ani żadnego innego narzędzia. Tylko w kącie - kupa żelastwa o podejrzanym wyglądzie. Panowała tu tępa gnuśność, która idzie w ślad za rozpaczą, a poprzedza agonię.

Mariusz przyglądał się czas jakiś temu grobowemu wnętrzu, straszliwszemu niż wnętrze mogiły, gdyż czuć tu było szamotanie się ludzkiej duszy i drganie życia.

Nory, piwnice, lochy - samo dno gmachu społecznego - w którym pełzają nędzarze, nie jest jeszcze grobem, jest przedsionkiem grobu. Ale śmierć, czając się w pobliżu, jakby gromadziła w tym przedsionku swe najdotkliwsze udreki, na podobieństwo owych bogaczy, którzy największe wspaniałości roztaczają u wejścia do swych pałaców.

Mężczyzna zamilkł, kobieta nie odzywała się, dziewczynka zdawała się nawet nie oddychać. Słychać było skrzyp pióra po papierze.

Nie przestając pisać mężczyzna burknął:

- Łajdactwo! Łajdactwo! wszystko jest łajdactwem! Ta odmiana sentencji Salomona wyrwała westchnienie z piersi kobiety.

- Uspokój się, robaczku! - rzekła. - Jeszcze sobie, kochanie, zaszkodziś! I tak za wiele twojej łaski, że piszesz do tych gałganów, moje serce!

W nędzy, jak w zimnie, ciała tulą się do siebie, ale serca się oddalają. Prawdopodobnie ta kobieta kiedyś kochała męża całą siłą uczucia, na jakie ją było stać; lecz wśród codziennych, wzajemnych utarczek, wywołanych okrutną nędzą, ciężącą nad całą rodziną, miłość ta zapewne wygasła. Całe jej uczucie do męża spopielilo się. I tylko - jak to często bywa - przetrwały pieszczotliwe nazwy.

Mówiła doń: "kochanie, moje serce, robaczku", ale mówiła tylko ustami; serce milczało.

Mężczyzna zabrał się znów do pisania.

## VII

### Strategia i taktyka

Mariusz ze ściśniętym sercem chciał zejść ze swojego punktu obserwacyjnego, gdy jakiś nowy hałas zwrócił jego uwagę i zatrzymał go jeszcze.

Drzwi izby otworzyły się gwałtownie. Na progu stanęła starsza córka.

Obuta była w grube, męskie trzewiki, pochłapane błotem, które obryzgało jej czerwone nogi aż po kostki, i okryta starą, podartą mantylą, której Mariusz przedtem na niej nie widział, gdyż wchodząc do niego zrzuciła ją zapewne pod drzwiami, by wzbudzić większą litość, a po wyjściu znów narzuciła na siebie. Weszła, zatrzasnęła za sobą drzwi, zatrzymała się, by odetchnąć, bo była bardzo zadyszana, i zawołała z triumfem i radością:

- Idzie!

Ojciec spojrzał na nią, kobieta zwróciła ku niej głowę, tylko młodsza siostra nie poruszyła się.

- Kto? - zapytał ojciec.

- Pan!

- Filantrop?

- Tak!

- Z kościoła Św. Jakuba?

- Tak.

- Ten stary?

- Tak.

- I przyjdzie?

- Idzie za mną.

- Jesteś tego pewna?

- Jestem pewna.

- Naprawdę idzie?

- Jedzie dorożką.

- Dorożką! To Rotszyld!

Ojciec wstał.

- Dlaczego jesteś taka pewna? Jeśli jedzie dorożką, to jakim cudem mogłaś zdążyć przed nim? A dałaś mu przynajmniej adres, jak się należy? Powiedziałaś, że to ostatnie drzwi

w głębi korytarza na prawo? Byle się tylko nie pomylił! Więc znalazłaś go w kościele? Przeczytał mój list? Co ci powiedział?

- Ta, ta, ta! - odrzekła dziewczyna. - Nie śpiesz się tak, staruszk! Więc to było tak: weszłam do kościoła, stary siedział tam gdzie zwykle, ukłoniłam się i oddałam mu list. Przeczytał go i zapytał: "Gdzie mieszkacie, moje dziecko?" Powiedział mi: "Zaprowadzę pana". A on mi na to: "Nie, proszę mi dać wasz adres; moja córka ma sprawunki do załatwienia. Wezmę dorożkę i będę u was równocześnie z panienką". Dałam mu adres. Kiedy mu powiedziałam, w którym domu mieszkamy, jakby się trochę zdziwił i zawahał na chwilę, a potem powiedział: "Wszystko jedno, przyjdę do was". Jak się msza skończyła, widziałam, że wychodził z córką z kościoła i że wsiedli do dorożki. Powiedziałam mu wyraźnie: "Ostatnie drzwi w głębi korytarza na prawo".

- A skąd wiesz, że przyjdzie?

- Widziałam dorożkę, wjechała już w ulicę Małego Bankiera. Dlatego tak pędziłam!

- Skąd wiesz, że to ta sama dorożka?

- Oj, rety! Bo zapamiętałam numer!

- Jaki to numer?

- 440!

- No, dobra! Sprytna z ciebie dziewczucha!

Dziewczyna zuchwale popatrzyła na ojca i pokazując mu swoje buty, powiedziała:

- Sprytna czy niesprytna, jedno ci zapowiadam, że już dłużej tych butów nosić nie będę! Naprzód dla zdrowia, a potem dla czystości. Nic mnie tak nie złości jak te przeciekające podeszwy. Nic, tylko "chlup - chlup - chlup" za każdym krokiem. Wolę chodzić bos!o!

- Masz rację - odpowiedział ojciec łagodnym tonem, który kontrastował z opryskliwością córki. - Ale inaczej nie wpuściliby cię do kościoła. Biedni muszą tam mieć buty na nogach. Nie można chodzić do Pana Boga na bosaka! - dodał z goryczą. Po czym powrócił do tematu, który go zaprzętał: - Jesteś pewna, że przyjdzie?

- Jest o dwa kroki za mną - odpowiedziała.

Mężczyzna zerwał się. Twarz jego jakby się rozjaśniła.

- Słyszysz, żono? - zawołał. - Idzie filantrop! Zagaś ogień!

Zdumiona kobieta nie ruszyła się z miejsca. Mąż ze zwinnością kuglarza porwał wyszczerbiony garnek, który stał na kominie, i chlusnął wodą na tłące się polana. Po czym zwrócił się do starszej córki:

- A ty zrób dziurę w krześle!

Córka nie zrozumiała.

Chwycił krzesło i jednym kopnięciem przedziurawił słomiane siedzenie. Noga przeszła na wylot. Wyciągając ją z dziury, spytał córkę:

- Zimno na dworze?

- Bardzo zimno. Śnieg pada.

Ojciec zwrócił się do młodszej córki, która siedziała na barłogu pod oknem, i krzyknął grzmiącym głosem:

- Jazda mi z łóżka, wałkoniu! Czy nigdy palcem o palec nie ruszysz? Stłucz szybę!

Mała zeskoczyła z barłogu, drżąc cała.

- Stłucz szybę! - powtórzył.

Dziecko stało bez ruchu.

- Słyszysz? - powtórzył ojciec. - Powiadam ci, stłucz szybę!

Przeżrana dziewczyna posłusznie wspięła się na palce i uderzyła pięścią w szybę. Szkło pękło i rozprysło się z brzękiem.

- Dobra! - rzekł ojciec.

Był skupiony i szorstki. Szybko przebiegał wzrokiem wszystkie zakamarki izby.

Wyglądał jak wódz robiący ostatnie przygotowania przed bitwą, która ma rozpocząć się za chwilę.

Matka, która nie odezwała się jeszcze ani słowem podniosła się i zapytała głosem powolnym i głuchym, którego dźwięki wydawały się jakby ścięte mrozem:

- Co ty zamyślasz, kochanku?

- Kładź się do łóżka - odrzekł mąż.

Ton nie dopuszczał dyskusji. Żona usłuchała i ciężko zwała się na jeden z barłogów.

Tymczasem w którymś z kątów rozległo się łkanie.

- A co tam znowu? - wrzasnął ojciec.

Młodsza córka, nie wychodząc z ciemnego kąta, w który się zaszyła, pokazała zakrwawioną pięść. Skaleczyła się, wybijając szybę. Usiadła przy pościeli matki i płakała cichutko.

Teraz matka zerwała się i krzyknęła:

- Widzisz, coś narobił swoimi głupstwami? Wybiła szybę i skaleczyła się w rękę.

- Tym lepiej odrzekł ojciec. - To było przewidziane.

- Jak to, tym lepiej? - zapytała matka, ale ojciec krzyknął:

- Spokój! Znoszę wolność prasy!

Po czym rozdarł kobiecą koszulę, którą miał na sobie, oderwał kawałek płótna i owinał nim co żywo zakrwawioną rękę dziewczyny.

Zrobiwszy to z zadowoleniem popatrzył na rozdartą koszulę:

- I koszula także! - rzekł. - Wszystko bardzo dobrze wygląda.

Lodowaty wiatr gwizdał przez wybitą szybę i hulał po pokoju. Mgła przenikała z dworu i snuła się niby lekkie kłębki waty, skubane niewidocznymi palcami. Przez stłuczone okno widać było lecące płatki śniegu. Mróz, zapowiedziany poprzedniego dnia przez słońce na Gromniczną, nadszedł rzeczywiście.

Ojciec powiódł spojrzeniem dokoła, jakby chciał się upewnić, czy przypadkiem o czymś nie zapomniał. Wziął starą szufłę i narzucił popiołu na polana tak, żeby ich nie było widać.

Po czym wyprostował się i oparł o kominek.

- No - rzekł - teraz jesteśmy gotowi na przyjęcie filantropa.

## VIII

### Promień w norze

Starsza córka podeszła do ojca i położyła rękę na jego ręce.

- Zobacz, jak mi zimno - powiedziała.

- Ba! - odparł ojciec. - Mnie jeszcze zimniej.

Matka krzyknęła gwałtownie:

- Ty zawsze masz wszystko lepsze od innych! Nawet dolegliwości!

- Cicho tam! - odrzekł mężczyzna.

I spojrzął na nią w taki sposób, że umilkła.

Przez chwilę w izbie panowała cisza. Starsza córka niedbale wykruszała błoto ze swego okrycia, młodsza nie przestawała szlochać. Matka ujęła jej głowę w obie dłonie i zasypała ją pocałunkami, szepcząc:

- Cicho, mój skarbie, to nic; to się zagoi; nie płacz już, bo ojciec się będzie gniewał.

- Nie! - zawołał ojciec. - Przeciwnie, płacz, płacz, ile wlezie, to robi dobre wrażenie.

Po czym zwrócił się do starszej:

- No widzisz, nie przychodzi! Może wcale nie przyjdzie? Zagasilem ogień, przedziurawiłem krzesło, podarłem koszulę, stłukłem szybę - i wszystko na nic?

- I skaleczyłeś dziecko - mruknęła matka.

- Wiecie co - ciągnął ojciec - zimno w tej diabelskiej norze jak w psiarni. A jeśli ten stary nie przyjdzie? To tak jest! Każe na siebie czekać, powiada: "A co tam! Niech sobie czekają! Oni są od tego!" O, jak ja ich nienawidzę! Z jaką rozkoszą, radością, zapalem i satysfakcją wydusiłbym tych bogaczy! Wszystkich bogaczy! I tych niby to litościwych ludzi! Udają świętoszków, latają do kościoła, mają konszachty z klechami, gadu-gadu z każdym katabasem i myślą sobie, że są lepsi od nas! A potem przychodzą, żeby nas upokorzyć, i przynoszą nam - jak to oni mówią - "przyodziewek". Stare łachy, niewarte trzech groszy! I chleb! A ja wcale tego nie chcę, łajdaki jedne! Ja chcę pieniędzy! Ale nie! Pieniądzy to oni nie dają. "Przepijecie - powiadają - boście wszyscy pijaki i wałkonie!" A oni co? Może są lepsi? Co robią? Co robili? Kradli! Na pewno kradli, bo inaczej by się nie wzbogacili! O! Dobrze by było rąbnąć całym społeczeństwem o ziemię jak zastawionym stołem: potłukłoby się wszystko? Możliwe! Ale przynajmniej jedna korzyść, nikt by nic nie miał! I co ten twój



litościwy bałwan sobie myśli? Nie przyjdzie czy co? Może to bydlę zapomniało adresu? Założę się, że ten stary dureń...

W tej chwili rozległo się ciche pukanie, mężczyzna skwapliwie rzucił się do drzwi i otworzył je, wykrzykując wśród głębokich ukłonów i uśmiechów uwielbienia:

- Racz wejść, łaskawy panie, czcigodny mój dobroczyńco, i ty, urocza, młoda damo!

Na progu izby ukazał się człowiek w dojrzałym wieku i młoda dziewczyna.

Mariusz trwał na swym stanowisku. Żadne ludzkie słowo nie opisze tego, czego doświadczył w tej chwili.

To była *Ona*.

Kto kochał, ten zna cały promienny sens zawarty w trzech literach słowa "Ona".

Była to istotnie ona. Mariusz zaledwie ją widział poprzez świetlistą mgłę, która z nagłą przysłoniła mu oczy. Była to ta sama wdzięczna istota, tak długo nie widziana gwiazda, która mu przyświecała przez sześć miesięcy; to były te same oczy, to samo czoło, te same usta, ta sama piękna twarz, która znikła jak sen i odchodząc taką ciemność zostawiła po sobie. Zjawa znikła i oto objawiła się znowu. Objawiła się w tej nędznej izbie, w tej wstrętnej norze, wśród tych mroków, wśród tego plugastwa.

Mariusz drżał nieprzytomnie. Czy to ona? Bicie serca mąciło mu wzrok. Czuł, że zaraz zaleje się łzami. Jak to? Więc widzi ją znowu po tak długim szukaniu. Zdawało mu się, że zgubił własną duszę i że ją odnajduje w tej chwili. Była taka jak zwykle, tylko nieco bledsza; delikatna twarzyczka wyłaniała się spod fiołkowego aksamitnego kapelusza, kibić okrywała czarna aksamitowa salopka podbita futrem. Spod długiej sukni wysuwała się drobna nóżka, obuta w jedwabny pantofelek.

Jak zawsze towarzyszył jej pan Biały.

Wszedłszy do izby postąpiła parę kroków i położyła na stole sporą paczkę.

Starsza córka Jondrette'ów stanęła za drzwiami i mierzyła ponurym spojrzeniem aksamitny kapelusz, jedwabną salopkę i wdzięczną, tchnącą szczęściem twarzyczkę.

## IX

### Jondrette prawie szłocha

Izba Jondrette'ów była tak ciemna, że każdy, kto przychodził z dworu, miał wrażenie, iż znalazł się w piwnicy. Nowo przybyli weszli niepewnie, ledwo rozróżniając przedmioty, sami tymczasem dokładnie oglądani i lustrowani przez mieszkańców, których wzrok był przyzwyczajony do tego półmroku.

Pan Biały zbliżył się i rzekł do Jondrette'a ze swym łagodnym a smutnym spojrzeniem:

- Znajdzie pan w tej paczce nowe ubranie, pończochy i wełniane koce.

- Nasz anielski dobroczyńca zasypuje nas darami! - odrzekł Jondrette, kłaniając się do ziemi.

I podczas gdy nowo przybyli rozglądali się po żalonym wnętrzu, nachylając się do ucha starszej córki powiedział szybko szeptem:

- A co, nie mówiłem? Łachy! A gotówki ani grosza! Wszyscy tacy sami! Ale, ale! Jak był podpisany list do tego starego bałwana?

- Fabantou - odrzekła córka.

- Artysta dramatyczny, już wiem!

W porę zapytał, gdyż w tej samej chwili pan Biały zwrócił się do niego z miną człowieka, który chce sobie przypomnieć nazwisko:

- Widzę, że znajduje się pan w nadzwyczaj przykrym położeniu, panie...

- Fabantou - żywo odpowiedział Jondrette.

- Panie Fabantou! Tak, przypominam sobie.

- Artysta dramatyczny, szanowny panie, artysta, który niegdyś miał powodzenie!

Tu Jondrette uznał widać, że nadeszła stosowna chwila, by oszołomić "filantropa". Zawołał tedy głosem, przypominającym jednocześnie przechwałki jarmarcznego kuglarza i pokorę żebraka siedzącego przy gościńcu:

- Uczeń Talmy, łaskawy panie! Tak! Jestem uczniem Talmy! Fortuna niegdyś uśmiechała się do mnie; teraz, niestety, nadeszły dni niedoli! Spójrz, mój czcigodny dobroczyńco, nie ma chleba, nie ma ognia! Moje biedne dziecińcy marzną! Moje jedyne krzesło dziurawe! Szybka stłuczona, i to w taką pogodę! Moja małżonka w łóżku, cierpiąca!

- Biedna kobieta! - rzekł pan Biały.

- Moje dziecię zranione! - dorzucił Jondrette.

Dziewczynka, pochłonięta wizytą obcych ludzi, wpatrywała się w “panienkę” i przestała szlochać.

- Płaczże! Rycz! - szepnął jej Jondrette i uszczypnął ją w skaleczoną rękę. Uczynił to wszystko ze zręcznością prawdziwego kuglarza.

Mała zaczęła głośno jęczeć.

Uroczą dziewczyną, którą Mariusz w sercu nazywał “swoją Urszulą”, podeszła do niej spieszenie.

- Moje biedactwo! - rzekła.

- Proszę spojrzeć, piękna panienko! - ciągnął Jondrette. Cała ręka we krwi! To wypadek przy maszynie. Pracuje, by zarobić sześć su na dzień. Może trzeba jej będzie uciąć rękę!

- Czy być może? - zaniepokoił się pan Biały.

Dziewczynka, biorąc na serio słowa ojca, rozszlochała się na dobre.

- Niestety, mój czcigodny dobroczyńco! Wszystko się może zdarzyć! - odrzekł ojciec.

Od pewnego czasu Jondrette przypatrywał się “filantropowi” w jakiś szczególny sposób. Mówiąc do niego, zdawał się obserwować go z uwagą, jakby zbierał rozproszone wspomnienia. Nagle, korzystając z tego, że nowo przybyli z zainteresowaniem wypytywali małą o skaleczoną rękę, zbliżył się do żony, która ze zgnębioną i ogłupiałą miną leżała w łóżku, i szepnął jej szybko i bardzo cicho:

- Przyjrzyj no się temu staremu!

Po czym, zwróciwszy się do pana Białego, znowu ciągnął dalej swoje lamenty.

- Proszę spojrzeć, łaskawy panie! Całe moje odzienie - to ta koszula żony, i do tego podarta! A przecież jest zima! Nie mogę wyjść na dwór, bo nie mam w czym! Gdybym miał choć jakie takie ubranie, poszedłbym do panny Mars, która mnie zna i bardzo nawet lubi. Chyba wciąż jeszcze mieszka przy ulicy Tour-des-Dames? Grywaliśmy kiedyś razem na scenach prowincjonalnych. Tak, proszę pana! Dzieliłem jej wawrzyny! O, Celimena niezawodnie przysłaby mi z pomocą! Elmira z całego serca udzieliłaby wsparcia Belizariuszowi. Ale nic z tego! W domu ani grosza! Żona chora - a tu ani grosza! Moja małżonka cierpi na duszności. Wiek, łaskawy panie, a i nerwy robią swoje, oczywiście. Trzeba by ją ratować, trzeba by ratować córkę! Ale lekarz? Apteka? Czym tu płacić, kiedy w domu nie ma złamanego grosza! Na kolana padłbym i przed szelągami! Oto jak nisko upadła teraz sztuka! Czy możecie to zrozumieć, zachwycająca młoda damo, i ty, czcigodny nasz

opiekunie, czy możecie to zrozumieć wy, którzy żyjecie dobrocią i blaskiem swych cnót rozjaśnacie tę świątynię, gdzie moja biedna córeczka przychodząc się modlić, spotyka was codziennie... Bo ja po bożemu wychowuję moje córki, łaskawy panie! Nie pozwoliłem im wstąpić do teatru! No! Niechby tylko spróbowały, smarkate! Ze mną nie ma żartów. Ciągłe im trąbię, że cnota, że honor, że moralność... Niech same powiedzą! Muszą się dobrze prowadzić. Mają ojca! To nie są zbłąkane dziewczyny, które z początku nie mają rodziny, a potem swatają się ze wszystkimi. Panna Niczyja staje się panią "Każdy może mnie mieć". Nie, do pioruna! To się nie może zdarzyć w rodzinie Fabantou! Chcę im dać cnotliwe wychowanie, żeby mi były poczciwe i układne, żeby mi w Boga wierzyły, do diabła! A więc, łaskawy panie, szanowny panie, czy pan wie, co nas czeka jutro? Jutro jest 4 lutego, to dzień fatalny, ostateczny termin zapłaty komornego, który mi wyznaczył gospodarz, jeśli dziś wieczorem nie zapłacę, jutro moja starsza córka i ja, i moja małżonka z gorączką, i moje dziecię z raną na ręce, wszyscy czworo będziemy stąd wypędzeni, wyrzuceni na bruk, na ulicę, bez dachu nad głową, na deszcz, na śnieg! Tak, łaskawy panie! Jestem winien za cztery kwartały, za calutki rok! To znaczy aż sześćdziesiąt franków!

Jondrette kłamał. Wszystkie cztery kwartalne raty wyniosłyby czterdzieści franków, a nie mógł być dłużny za cztery, skoro przed pół rokiem Mariusz zapłacił za niego dwie.

Pan Biały wyjął z kieszeni pięć franków i położył je na stole. Jondrette zdążył mruknąć starszej córce do ucha:

- Łajdak! Co mi po jego pięciu frankach? Nie wróci mi się nawet za krzesło ani za szybę! Rób tu sobie koszty, człowieku.

Tymczasem pan Biały zdjął obszerny, brązowy płaszcz, który nosił na swym granatowym tużurku, i przewiesił przez poręcz krzesła.

- Panie Fabantou - rzekł - mam przy sobie tylko pięć franków, ale odprowadzę córkę do domu i wrócę tu wieczorem; wieczorem musi pan zapłacić komorne, prawda?

Twarz Jondrette'a rozjaśniła się, przybierając dziwny wyraz; odpowiedział skwapliwie:

- Tak jest, czcigodny panie! O ósmej powinienem się stawić u gospodarza.

- Przyjdę o szóstej i przyniosę panu sześćdziesiąt franków.

- O mój dobroczyńco! - zawołał z uniesieniem Jondrette i dodał po cichu:

- Przypatrz mu się, żono, a dobrze!

Pan Biały ujął pod rękę piękną dziewczynę i kierując się do drzwi, rzekł:

- Zatem, do widzenia wieczorem, moi drodzy.

- O szóstej? - zapytał Jondrette.

- Tak, punktualnie o szóstej.

W tej chwili okrycie, zostawione na krześle, zwróciło uwagę starszej córki Jondrette'ów.

- Proszę pana - rzekła - pan zapomniał płaszcza!

Jondrette cisnął na córkę piorunujące spojrzenie i groźnie wzruszył ramionami.

Pan Biały odwrócił się i rzekł z uśmiechem:

- Nie zapomniałem. Ja go zostawiam.

- O szlachetny opiekunie! O najczcigodniejszy nasz dobroczyńco! Doprawdy, łzy mi wycisnąłeś z oczu! Pozwól mi łaskawie, żebym cię odprowadził do dorożki.

- Jeśli pan chce wyjść, proszę włożyć płaszc - odrzekł pan Biały. - Jest naprawdę bardzo zimno.

Jondrette'owi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy: skwapliwie nałożył na siebie ciemny płaszc.

Wyszli wszyscy troje. Jondrette szedł przodem, prowadząc swych gości.

## X

### Taksa dorożek: dwa franki za godzinę

Mariusz nie stracił nic z całej tej sceny, ale w gruncie rzeczy nic z niej nie widział. Nie odrywał oczu od dziewczyny, a sercem niejako pochwycił i otulił ją całą, odkąd ukazała się na progu izby. Przez cały czas, dopóki tam była, żył owym życiem zachwycenia, które powstrzymuje wszelkie postrzeganie zmysłów, a wszystkie władze duszy ogniskuje w jedno miejsce. Wpatrywał się nie w dziewczynę, lecz w światłość w atłasowym płaszczyku i aksamitnym kapeluszu. Gdyby gwiazda, Syriuszem zwana, weszła do izby, nie byłby bardziej olśniony.

Kiedy dziewczyna rozwijała paczkę, rozkładała odzież i koce, wypytywała z dobrocią chorą matkę i litowała się nad skaleczonym dzieckiem, śledził każdy jej ruch i starał się usłyszeć każde jej słowo. Znał już jej oczy, czoło, urodę, kibić, ruchy, ale nie znał dźwięku jej głosu. Zdawało mu się, że kiedyś w Ogrodzie Luksemburskim usłyszał kilka słów, powiedzianych przez nią, ale nie był tego pewien. Oddałby dziesięć lat życia za to, żeby ją usłyszeć, żeby unieść w duszę odrobinę tej muzyki. Lecz wszystko gubiło się w jęśliwych deklamacjach i grzmiących wybuchach Jondrette'a. Zaprawiło to zachwyt Mariusza nieklamany gniewem. Pochłaniał dziewczynę oczami. Nie mogło mu się w głowie pomieścić, że ma naprawdę przed sobą tę niebiańską istotę, pośród tych wszystkich plugawych stworzeń, w tej obrzydliwej norze. Zdawało mu się, że widzi kolibra pomiędzy ropuchami.

Gdy wyszła, owładnęła nim jedna myśl: biec za nią, uczepić się jej śladu, nie puścić jej, póki się nie dowie, gdzie mieszka, nie stracić jej znowu, skoro odzyskał ją w tak cudowny sposób. Zeskoczył z komody i chwycił za kapelusz. Położył już rękę na klamce i miał wychodzić, kiedy zatrzymała go nagła refleksja. Korytarz był długi, schody strome, a Jondrette gadatliwy; pan Biały nie zdążył jeszcze zapewne wsiąść do dorożki; gdyby tak odwrócił się w korytarzu, na schodach czy w bramie i spostrzegł Mariusza, zaniepokoiłby się oczywiście i znalazłby sposób, żeby znów mu się wymknąć, i wszystko byłoby znów skończone. Co robić? Czekać? Ale przez ten czas dorożka może odjechać. Mariusz nie mógł się zdecydować. Wreszcie zaryzykował i wyszedł z pokoju.

W korytarzu nie było nikogo. Wybiegł na schody. Na schodach też nie było nikogo.

Zbiegł co tchu i wypadłszy na bulwar spostrzegł, że dorożka mija właśnie narożnik ulicy Małego Bankiera i skręca w stronę miasta.

Mariusz puścił się biegiem w tym kierunku. Z rogu bulwaru znowu zobaczył dorożkę, jadącą szybko ulicą Mouffetard. Była już bardzo daleko; nie sposób ją dopędzić? Co robić? Biec za nią? Niepodobna. Zresztą, z dorożki dostrzeżono by niechybnie człowieka biegnącego ile sił w nogach za pojazdem i ojciec łatwo by go poznał. W tej chwili właśnie - co za niezwykły i cudowny przypadek - Mariusz dostrzegł pusty kabriolet, przejeżdżający bulwarem. Nic innego nie pozostało mu do zrobienia, jak wskoczyć do niego i gonić dorożkę. Był to sposób pewny, skuteczny i bezpieczny.

Mariusz zatrzymał woźnicę skinieniem ręki i zawołał:

- Biorę kabriolet na godzinę!

Mariusz był bez krawata, miał na sobie codzienny, stary surdut, któremu brak było guzików, i koszulę podartą w jednym miejscu przy zakładce gorsu.

Woźnica zatrzymał się, przymrużył oko i wyciągnął do Mariusza lewą rękę, znacząco przebierając palcami.

- O co chodzi? - zapytał Mariusz.

- Pieniądze z góry! - odrzekł woźnica. Mariusz przypomniał sobie, że ma przy sobie tylko szesnaście su.

- Ile? - zapytał.

- Czterdziestkę!

- Zapłacę w domu.

Woźnica za całą odpowiedź zagwizdał melodię piosenki "La Palisse" i zaciał konia.

Mariusz patrzył błędnym wzrokiem na oddalający się kabriolet. Dla tych dwudziestu czterech su, których mu zabrakło, tracił swoją radość, swoje szczęście, swoją miłość! Znowu zapadał w ciemność. Przejrzał na chwilę i znów tracił wzrok. Pomyślał z goryczą i - powiedzmy szczerze - z wielkim żalem, o pięciu frankach, które dał dzisiejszego ranka tamtej nieszczęsnej dziewczynie. Gdyby je miał w tej chwili, byłby ocalony, wróciłby do życia, wydostałby się z ciemnej otchłani, z samotności, melancholii i opuszczenia, splótłby czarną nić swego przeznaczenia z tą cudną, złotą nicią, która mignęła mu przed oczyma i znów się zerwała. Wrócił do swej rudery zrozpaczony.

Mógł był pocieszyć się tym, że pan Biały przyjdzie tu ponownie wieczorem, i obiecać sobie, że tym razem lepiej się weźmie do rzeczy, żeby go nie stracić z oczu. Ale w swoim zachwyceniu zaledwie słyszał, o czym mówiono.

Kiedy już miał wejść na schody, zobaczył po drugiej stronie bulwaru, tuż przy

opuszczonym gołym murze, ciągnącym się wzdłuż ulicy Bariery Gobelinów, Jondrette' a, otulonego w płaszcz "filantropa". Rozmawiał z jakimś podejrzanym osobnikiem należącym do ludzi określanych mianem "podmiejskich rzezimieszków", ludzi o zagadkowym obliczu, niepokojącej mowie, którzy wyglądają zawsze, jakby coś knuli, i sypiają zazwyczaj przez cały dzień, co każe przypuszczać, że pracują w nocy.

Ci dwaj mężczyźni, pochłonięci rozmową wśród gęstej śnieżycy, tworzyli parę, na którą zwróciłby od razu uwagę każdy policjant. Mariusz ledwo ich zauważył.

Jednakże, mimo swoich bolesnych rozmyślań, uprzytomnił sobie, że podmiejski włóczęga, z którym rozmawiał Jondrette, był podobny do niejakiego Panchauda, zwanego także Wiosennym albo Urwipołciem, uchodzącego w tej dzielnicy za dość niebezpiecznego nocnego rzezimieszka, którego kiedyś pokazał mu Courfeyrac. Z jego imieniem spotkaliśmy się już w poprzedniej księdze. Tenże Panchaud, zwany też Wiosennym albo Urwipołciem, zasłynął później w kilku procesach kryminalnych i stał się powszechnie znanym łajdakiem. Wtedy był tylko po prostu skończonym łajdakiem. Dziś w kołach bandytów i rzezimieszków przeszedł do tradycji. Pod koniec ostatniej monarchii był wzorem dla różnych łotrów. Wieczorem, o zmroku, w porze, gdy więźniowie gromadzą się i szepczą sobie po cichu, o nim to gadano w więzieniu La Force, w "Lwiej Jamie". W tymże więzieniu, w miejscu, gdzie pod strażnicą przechodzi ściek kloaczny, który w roku 1843 w biały dzień posłużył trzydziestu więźniom za drogę do niewiarygodnej ucieczki, można było nad płytą latryn odczytać nazwisko "Panchaud", zuchwale wyryte jego własną ręką na murze strażnicy podczas jednej z prób ucieczki. W 1832 roku policja miała już wprawdzie Panchauda na oku, lecz jeszcze nie rozpoczął on na dobre swej kariery.



## XI

### Nędza chce pomóc cierpieniu

Mariusz powoli wchodził po schodach rudery. Kiedy miał wejść do swej izdebki, zobaczył w korytarzu starszą córkę Jondrette'ów, która szła za nim. Widok dziewczyny był mu nienawistny; przecież to jej dał swoje ostatnie pięć franków; za późno już było je odbierać: kabriolet odjechał, dorożka musiała już być daleko, a zresztą dziewczyna nie zechciałaby oddać pieniędzy. Nie miało sensu pytać ją o adres pana Białego, widać go nie znała, skoro list, podpisany nazwiskiem Fabantou, skierowany był do "dobroczyńcy ubogich z kościoła Św. Jakuba z Alto Passo". Mariusz wszedł do pokoju i chciał zamknąć drzwi za sobą. Lecz drzwi się nie zamknęły. Odwrócił się i zobaczył, że jakaś ręka je przytrzymuje.

- O co chodzi? - zapytał. - Kto tam?

Była to starsza córka Jondrette'ów.

- To znowu pani? - zapytał prawie szorstko. - Czego pani chce?

Dziewczyna wydawała się zamyślona i nie odpowiadała. Nie miała już tej śmiałości co rano. Nie weszła, tylko stała w mrocznym korytarzu, gdzie Mariusz widział ją przez uchylone drzwi.

- No cóż? Proszę odpowiedzieć, czego pani chce ode mnie? - zapytał ponownie.

Podniosła na niego przygasły wzrok, w którym zdawało się migotać jakieś światełko, i rzekła:

- Pan jest smutny, panie Mariuszu. Co panu jest?

- Mnie? - zapytał Mariusz.

- Tak, panu.

- Nic mi nie jest.

- A jednak tak.

- Nie.

- A ja panu mówię, że tak.

- Proszę mi dać spokój!

Mariusz znowu pchnął drzwi, ale dziewczyna nadal je przytrzymywała.

- Niech pan posłucha - rzekła - panie Mariuszu! Choć pan nie jest bogaty, był pan dobry dziś rano. Niech pan będzie dobry i teraz. Dzięki panu miałam co jeść, proszę mi teraz

powiedzieć, co panu dolega. Bo przecież to widać, że pan ma jakieś zmartwienie. Ja nie chcę, żeby pan miał zmartwienie. Co na to poradzić? Może mogłabym się panu na co przydać. Proszę się mną posłużyć. Nie chcę znać pana sekretów, nie potrzebuje mi pan nic mówić, ale ja też mogę się przydać. Kiedy pomagam ojcu, to mogę i panu pomóc. Jak trzeba zanieść gdzieś jakiś list, chodzić po domach, przepytywać od drzwi do drzwi, znaleźć czyjś adres, śledzić kogoś - to ja jestem do tego jedyna! No, to może mi pan szczerze powiedzieć, co panu jest, a ja pogadam, z kim trzeba. Czasem wystarczy tylko pogadać, a rzecz się wyjaśni i wszystko się ułoży! Proszę pomyśleć - może się jednak panu na coś przydam.

Mariuszowi zaświtała pewna myśl. Tonący i brzytwy się chwytła. Zbliżył się do dziewczyny:

- Słuchaj... - zaczął.

Przerwała mu z błyskiem radości w oczach:

- O tak! Niech mi pan mówi po imieniu! Proszę!

- Dobrze - ciągnął - to ty przyprowadziłaś tu tego starszego pana z córką?

- Ja.

- Znasz ich adres?

- Nie.

- Znajdź mi go.

Ponure oczy dziewczyny rozbłysły radością i znowu zgasły.

- Aa, to o to panu chodzi? - zapytała.

- Tak.

- Czy zna ich pan?

- Nie.

- To znaczy - rzekła żywo - że jej pan nie zna, ale chce ją pan poznać?

Ta zmiana "ich" na "ją" miała jakąś gorzką wymowę.

- Więc cóż? Możesz to zrobić? - zapytał Mariusz.

- Zdobyć dla pana adres tej pięknej panny?

I znów w słowach "piękna panna" zabrzmiał jakiś ton niemiły dla Mariusza. Rzekł tedy:

- Właśnie! Adres ojca i córki. Ich adres - rozumiesz?

Wbiła w niego oczy.

- A co za to dostanę?

- Wszystko, co zechcesz!

- Co zechcę?

- Tak.

- Będzie pan miał ten adres.

Spuściła głowę, a potem nagłym ruchem szarpnęła drzwi, które się zatrzasnęły.

Mariusz pozostał sam.

Opadł na krzesło, wsparł głowę i łokcie o łóżko i zatonął w myślach, które na próżno usiłował uporządkować i które go przyprawiały o zawrót głowy. Wszystkie zdarzenia od rana: pojawienie się anioła, jego zniknięcie, obietnica tego nędznego stworzenia, promyk nadziei w bezmiarze rozpacz, wszystko to bezładnie tłoczyło mu się w mózgu.

Wtem coś go gwałtownie wyrwało z zadumy.

Usłyszał głośny i ostry głos Jondrette'a skandujący słowa, które zaciekały go w najbardziej nieoczekiwany sposób:

- A ja ci powiadam, że jestem pewien i że go poznałem!

O kim mówił Jondrette? Kogóż to poznał? Czy pana Białego, ojca "jego Urszuli"? Jak to? Czyżby go Jondrette mógł znać? Czyżby Mariusz miał w ten nagły i nieoczekiwany sposób otrzymać wszystkie wyjaśnienia, bez których własne życie było dlań ciemną nocą? Miał się nareszcie dowiedzieć, kogo kocha? Kim jest ta dziewczyna? Kim jest jej ojciec? Czyżby gęsty mrok, który ich dotąd okrywał, miał się za chwilę rozjaśnić? Czyżby się miała rozerwać zasłona? O nieba!

Nie wszedł, lecz jednym susem wskoczył na komodę i znów zajął miejsce przy małym otworze w ścianie.

Oglądał znowu nędzną izbę Jondrette'ów.

## XII

### Na co zużyto pięć franków pana Białego

Nic się tam nie zmieniło, tyle tylko, że matka i córki sięgnęły już widać do otrzymanej paczki, bo miały na sobie pończochy i wełniane kaftany. Dwa nowe koce rozłożono na łóżkach. Jondrette widocznie wrócił przed chwilą, bo był jeszcze zasapany. Córki siedziały na ziemi przy kominie, starsza robiła opatrunek młodszej. Matka z wyrazem zdziwienia na twarzy leżała bezwładnie na barłogu, przytykającym do komina. Jondrette wielkimi krokami przemierzał izbę. Miał niesamowite oczy.

Kobieta, która wydawała się zatrzwożona i onieśmielona wobec męża, odważyła się zapytać:

- Jak to? Naprawdę? Jesteś tego pewien?

- Ba, najpewniejszy! Osiem lat minęło! Ale ja go poznaję! O tak, poznaję! Od razu poznałem! A tobie się to nie rzuciło w oczy?

- Nie!

- A przecież mówiłem ci: "uważaj!" Ten sam wzrost, ta sama twarz, nawet i niewiele postarzała, niektórzy ludzie wcale się nie starzeją! Nie wiem, jak to robią! Ten sam głos! Lepiej ubrany, i to wszystko! Ach, ty stary, tajemniczy diable! Mam cię! Poczekaj!

Zatrzymał się i powiedział do córek:

- Wynosić mi się stąd! Już! A to śmieszne, że tobie się to nie rzuciło w oczy!

Córki wstały posłusznie. Matka jęknęła:

- Jakże to? Z tą skaleczoną ręką?

- Świeże powietrze dobrze jej zrobi - odpowiedział Jondrette. - Jazda!

Widocznym było, że z tym człowiekiem nie ma dyskusji. Dziewczęta wyszły.

W chwili kiedy znalazły się na progu, ojciec chwycił starszą za ramię i powiedział do niej szczególnym tonem:

- Wróćcie tu punkt o piątej. Obie. Będziecie mi potrzebne.

Mariusz natężył uwagę.

Zostawszy sam z żoną, Jondrette zaczął znów chodzić po izbie. Przeszedł się parę razy w milczeniu. Potem przez kilka minut wpychał w spodnie i obciągał kobiecą koszulę, którą miał na sobie. Nagle odwrócił się do żony, skrzyżował ręce na piersiach i krzyknął:

- Chcesz, żebym ci jeszcze coś powiedział? Ta panna...

- Co ta panna... - podchwyciła kobieta.

Mariusz nie mógł już wątpić: mówili o niej! Słuchał drżąc z niepokoju. Cały zamienił się w słuch.

Ale Jondrette nachylił się i szepnął coś żonie do ucha. Po czym wyprostował się i zakończył głośno:

- To ona!

- Ta?!... - zapytała żona.

- Ta - odparł mąż.

Żadne określenie nie odda tego, co brzmiało w słowie "Ta?!..." wymówione przez tę kobietę. Było to zdziwienie, wściekłość, nienawiść, złość, które połączyły się i zlały w jedną potworną intonację. Wystarczyło kilka słów, zapewne jakiegoś imienia, które mąż szepnął jej do ucha, by ta tęga, ospała baba obudziła się i z odrażającej stała się straszliwą.

- Niemożliwe! - wrzasnęła. - Jak sobie pomyślę, że moje córki chodzą bosą i nie mają co włożyć na grzbiet! A ta paraduje w atlasowym płaszczu na futrze, w aksamitnym kapeluszu, w pantoflach! Wszystko ma! Ze dwieście franków to warto albo i więcej! Pomyślałby kto, że prawdziwa pani! Ale nie, chyba ci się coś przywidziało. Zresztą tamta była szkaradna, a ta jest wcale niczego. Naprawdę, wcale niczego! To nie może być ona.

- A ja ci powiadam, że to ona. Zobaczysz!

Na to stanowcze twierdzenie baba podniosła swoją rozlaną, czerwoną twarz i spojrzała w sufit z jakimś ohydny grymasem. W tej chwili wydała się Mariuszowi jeszcze groźniejsza od męża. Była to maciora o spojrzeniu tygrysicy.

- Co? - wrzasnęła. - Ta przeklęta pannica, ta lala, co z litością patrzyła na moje córki, miałyby być tamtą szmaciarą? O, własnymi obcasami flaki bym jej z brzucha wypruła!

Zeskoczyła z łóżka i stała przez chwilę, rozczochrana, z rozdętymi nozdrzami, rozwartą gębą i odrzuconymi w tył, zaciśniętymi pięściami. Po czym znów zwała się na barłóg. Mężczyzna przemierzał tymczasem izbę tam i z powrotem, nie zwracając uwagi na swoją samice.

Po paru chwilach milczenia podszedł do żony, stanął przed nią, skrzyżował ręce jak przed chwilą i rzekł:

- Chcesz, żebym ci jeszcze coś powiedział?

- Co takiego? - zapytała.

Odpowiedział cicho i lakonicznie:

- Będę miał forszę!

Żona popatrzyła na niego wzrokiem, który zdawał się mówić: “Czy mu się w głowie pomieszało?”

On zaś ciągnął:

- Co, u pioruna! Dość już mam tej parafii “zdychaj z głodu, jeśli masz co włożyć do komina” albo “zdychaj z zimna, jeśli masz co do gęby włożyć”. Dość mam nędzy. Dość już się nabiedowałem za siebie i za innych. Nie żartuję, to już nie jest śmieszne; dość tej zabawy! Dobry Boże! Dość żarcików, psiakrew! Chcę jeść, ile wlezie, chcę pić, ile wlezie! Żreć! Spać! Leżeć do góry brzuchem! Niech raz będzie moja kolej! Nim zdechnę, chcę się zabawić trochę w bogacza.

Przeszedł się znów po izbie i dodał:

- Jak inni.

- Co to wszystko znaczy? - zapytała żona.

Potrząsnął głową, przymrużył oko i podniósł głos jak kuglarz jarmarczny, kiedy zaczyna występ:

- Co to wszystko znaczy? Posłuchaj!

- Pst! - nie tak głośno - mruknęła baba. - Bo to może sprawy, które nie każdy powinien słyszeć.

- Kto może usłyszeć? Sąsiad? Widziałem niedawno, jak wychodził z domu. Zresztą ten głupiec nic nie słyszy! Powiadam ci zresztą, zem widział, jak wychodził.

Jondrette instynktownie zniżył głos, za mało jednak, tak że słowa jego docierały do Mariusza. Inna sprzyjająca okoliczność - świeży śnieg, który głużył turkot wozów na bulwarze - pozwoliła mu wysłuchać dokładnie całej rozmowy.

Oto, co Mariusz usłyszał:

- Posłuchaj! Mamy go, tego krezusa. Już go prawie trzymamy w garści! Gotowe! Wszystko ułożone! Gadałem z ludźmi. Przyjdzie tu, kanalia, o szóstej i przyniesie swoje sześćdziesiąt franków. Uważałaś, jak mu pięknie nabajtlowałem: i sześćdziesiąt franków, i gospodarz, i termin, i komorne? Mądrze - co? Przyjdzie więc o szóstej. O tej porze sąsiad idzie na obiad, a stara Burgon poszła na posługi do miasta. W całym domu nie ma nikogo. Sąsiad nie wraca nigdy przed jedenastą. Zresztą dziewczęta będą dawały oko. Ty nam pomożesz. Zobaczysz, jak mu ślicznie wyprzątniemy kieszenie!

- A jak nie da sobie wyprzątnąć?

Jondrette złowieszczo machnął ręką i rzekł:

- To jego sprzątniemy!

I wybuchnął śmiechem.

Mariusz po raz pierwszy zobaczył jego śmiech. Był to śmiech cichy i zimny, który przejmował dreszczem.

Jondrette otworzył szafę w ścianie koło kominka i wyciągnął starą czapkę, którą wyczyścił rękawem i wsadził na głowę.

- Wychodzę - powiedział. - Muszę jeszcze pogadać z ludźmi, i to nie byle jakimi! Zobaczysz, że wszystko pójdzie jak z płatka. Wrócę, jak będę mógł najwcześniej. To nie lada gratka. Pilnuj domu.

Wsadziwszy obie pięści do kieszeni spodni, przystanął na chwilę w zamyśleniu, po czym zawołał:

- A swoją drogą, to całe szczęście, że on mnie nie poznał! Bo jakby mnie poznał, to by już tu nie przyszedł! Wymknąłby się nam z rąk. Broda mnie uratowała. Moja romantyczna bródka! Moja śliczna, romantyczna bródka!

I znów się roześmiał.

Podszedł do okna. Śnieg wciąż sypał wielkimi płatami, tworząc białe smugi na szarym niebie.

- A to psia pogoda! - rzekł i zapiąwszy płaszcz dodał: - Ten płaszcz jest na mnie za duży, ale co tam! I tak stary łajdak diabelnie dobrze zrobił, że mi go zostawił. Inaczej nie mógłbym wyjść z domu i wszystko wzięłoby w łeb! Ha! Od czego to czasem zależą ważne sprawy!

Wcisnął czapkę na oczy i wyszedł.

Ledwo miał czas zrobić parę kroków, a drzwi się znów otworzyły i ukazał się w nich jego przebiegły i drapieżny profil.

- Zapomniałem - rzekł. - Zapalisz w piecyku.

I cisnął żonie pięciofrankową monetę, zostawioną przez "filantropa".

- W piecyku? - zapytała żona.

- Tak.

- Ile kupić węgla?

- Ze dwie miary.

- To znaczy półtora franka. Za resztę kupię coś na obiad.

- Nie, do licha!

- Dlaczego?

- Ani mi się waży wydawać reszty!

- Dlaczego?

- Bo ja też muszę coś kupić!

- Ale co?
- Coś.
- Ile ci będzie trzeba?
- Jest tu gdzie blisko jaki sklep żelazny?
- Na ulicy Mouffetard.
- Aha, na rogu! Wiem!
- Ale powiedz mi, ile ci będzie potrzeba na to, co masz kupić?
- Jakie dwa i pół albo trzy franki.
- Niewiele zostanie na obiad!
- Dzisiaj nie chodzi o jedzenie! Chodzi o ważniejsze rzeczy!
- Dobrze już, dobrze, mój klejnocie.

Na te słowa żony Jondrette zamknął drzwi i tym razem Mariusz usłyszał, że przeszedł przez korytarz i szybko zbiegł po schodach.

Na wieży Św. Medarda wybiła pierwsza.



### XIII

#### **“Solus cum solo, in loco remoto, non cogitabuntur orare Pater noster”\***

Mimo marzycielskiego usposobienia Mariusz był jednak z natury - jak to już mówiliśmy - człowiekiem dzielnym i energicznym. Nawyk do samotnych rozmyślań, rozwijając życzliwość i współczucie, zmniejszył w nim może zdolność do wybuchów gniewu, lecz nie naruszył w niczym zdolności do słusznego oburzenia; Mariusz łączył pobłażliwość bramina z surowością sędziego; litował się nad ropuchą, lecz rozdeptywał żmiję. A oto teraz miał przed oczyma kłębowisko żmij; zajrzał do gniazda poczwar.

- Trzeba zdeptać tych nędzników - rzekł.

Nie wyjaśniła się żadna z zagadek, których rozwiązania pragnął gorąco; przeciwnie, wszystko się może jeszcze bardziej zaciemniło. O pięknym dziewczęciu z Ogrodu Luksemburskiego i o człowieku, którego nazywał panem Białym, dowiedział się tylko tyle, że Jondrette ich znał. Z mglistych słów, które zostały wypowiedziane, wyłowił jasno tylko jedną rzecz: przygotowywano zasadzkę, zasadzkę niewiadomą, lecz straszną; obojgu groziło wielkie niebezpieczeństwo, jej - może, ojcu - na pewno; trzeba było ich ratować, trzeba było zapobiec nikczemnym knowaniom Jondrette'a i rozerwać sieci tych pajaków.

Przez chwilę obserwował Jondrette'ową. Wyciągnęła z kąta stary piecyk i grzebała między żelastwem.

Zszedł z komody, jak mógł najostrożniej, uważając, żeby się nie zdradzić najłżejszym szmerem.

Przerażony tym, co się tu przygotowywało, i przejęty wstrętem do Jondrette'ów czuł przecież pewną radość na myśl, że może danym mu będzie oddać wielką przysługę tej, którą kochał.

Ale co robić? Czy ostrzec zagrożone osoby? Gdzie ich szukać? Nie znał ich adresu. Na chwilę ukazały się jego oczom i znów utonęły w niezmiernych głębiach Paryża. Czekać na pana Białego przed domem wieczorem o szóstej i kiedy będzie szedł, ostrzec go o zasadzce? Ale Jondrette i jego wspólnicy mogą spostrzec, że Mariusz stoi na czatach; miejsce

---

\* “Sam na sam w ciemnym miejscu nie pomyślą o odmówieniu «Ojcie nasz»”.

jest odludne, będą silniejsi od niego i znajdą sposób, żeby go schwycić lub pozbyć się, a wówczas ten, którego pragnął ocalić, będzie zgubiony. Przed chwilą wybiła pierwsza; zasadzkę przygotowano na szóstą. Mariusz miał przed sobą pięć godzin. Jedno mógł tylko zrobić.

Włożył przyzwoite ubranie, zawiązał chustkę na szyi, wziął kapelusz i wyszedł, nie czyniąc więcej hałasu, niż gdyby stąpał boso po mchu.

Zresztą baba grzebała wciąż między żelastwem.

Wyszedłszy z domu, skręcił w ulicę Małego Bankiera.

Znajdował się mniej więcej w połowie ulicy, koło niskiego murku, przez który gdzieś łatwo można przeskoczyć, a który otacza jakiś pusty plac. Szedł powoli, zatopiony w myślach, śnieg głużył jego kroki; nagle usłyszał głosy rozmawiające gdzieś bardzo blisko. Obejrzał się - ulica była bezludna, nikogo nie widać, działo się to w biały dzień, a jednak wyraźnie słyszał czyjeś głosy. Przyszło mu na myśl, by zajrzeć za murek, koło którego szedł. Zobaczył tam rzeczywiście dwóch ludzi. Siedzieli na śniegu, oparli o mur, i rozmawiali po cichu.

Nie znał ich. Jeden, brodaty, ubrany był w bluzę, drugi, długowłosy, w jakieś łachmany. Brodaty miał na głowie grecką czapkę, drugi był z gołą głową; włosy miał ośnieżone.

Wysunąwszy głowę ponad mur, Mariusz mógł słyszeć ich rozmowę.

Długowłosy, trącając łokciem towarzysza, powiedział:

- Przy pomocy "ślepego kura" to się uda, ani chybi.

- Tak powiadasz? - odrzekł brodaty.

Długowłosy odpowiedział:

- Każdy dostanie do rączki po pół tysiączka. A jakby na ten przypadek coś się wydarzyło - to pięć, sześć lat, najwyżej dziesięć.

Drugi odpowiedział z pewnym wahaniem, drapiąc się pod czapką w głowę:

- Ano, to jedno widzi mi się pewne. Na to rady nie ma.

- Powiadam ci, że to mурowany interes - odparł długowłosy. - Drynda dziadka "Jak-go-tam" będzie w pogotowiu.

Po czym zaczęli mówić o jakimś melodramacie, który widzieli poprzedniego dnia w teatrze "Gaîté".

Mariusz poszedł dalej.

Wydawało mu się, że niejasne słowa tych ludzi, w tak dziwny sposób ukrytych za murem i przykucniętych na śniegu, miały może jakiś związek z ohydnyimi zamiarami

Jondrette'a. To o tym "interesie" mówiono zapewne.

Skierował się w stronę przedmieścia Saint-Marceau i w pierwszym sklepiku spytał, gdzie jest komisariat policji.

Wskazano ulicę Pontoise numer 14.

Udał się tam.

Przechodząc koło piekarza, kupił chleba za dwa su, przewidując, że nie będzie miał czasu na obiad.

Idąc oddawał w duchu sprawiedliwość zrządzeniom Opatrzności. Myślał o tym, że gdyby nie dał dziś rano ostatnich pięciu franków córce Jondrette'ów, puściłby się w pogoń za dorożką pana Białego, niczego by się nie dowiedział, nic by nie stanęło wówczas na przeszkodzie zasadzce Jondrette'ów i pan Biały byłby zgubiony, a zapewne wraz z nim i jego córka.

## XIV

### **Funkcjonariusz policji daje dwa kuksańce adwokatowi**

Mariusz odszukał numer 14 przy ulicy Pontoise, wszedł na pierwsze piętro i zapytał o komisarza policji. - Pana komisarza nie ma - odpowiedział mu jakiś woźny - ale jest pan inspektor, który go zastępuje. Chce się pan z nim widzieć? Czy to pilna sprawa?

- Tak - odrzekł Mariusz.

Woźny wprowadził go do gabinetu komisarza. Stał tam za kratą wysoki mężczyzna, oparty o żelazny piecyk, i obiema rękami unosił poły szerokiego surduta o trzech pelerynkach. Twarz miał kwadratową, wargi wąskie i zaciśnięte, bujne, szpakowate faworyty groźnie nastroszone i wzrok, który wywracał kieszenie. Można by powiedzieć, że wzrok ten nie tyle przeszywał, co rewidował.

Człowiek ten miał wygląd niewiele mniej srogi i groźny niż Jondrette. Spotkanie z brytanem bywa czasem równie niepokojące jak spotkanie z wilkiem.

- O co chodzi? - zapytał Mariusza, nie mówiąc mu nawet: "panie".

- Czy pan komisarz policji?

- Komisarza nie ma. Zastępuję go.

- Idzie tu o rzecz bardzo poufną.

- Więc proszę mówić.

- I bardzo pilną.

- Więc proszę mówić prędko.

Człowiek ten, spokojny i szorstki, przerażał, a zarazem uspokajał. Budził i lęk, i zaufanie. Mariusz opowiedział mu całe zdarzenie: że pewna osoba, którą znał tylko z widzenia, ma tego wieczora zostać wciągnięta w pułapkę, że on, Mariusz Pontmercy, adwokat, mieszkając w sąsiedztwie gniazda opryszków, podsłuchał przez ścianę ich zмовę; że łotr, który obmyślił zasadzkę, to niejaki Jondrette, że będzie miał współników, prawdopodobnie podmiejskich rzezimieszków, między innymi pewnego Panchauda, zwanego też Wiosennym albo Urwipółciem, że córki Jondrette'ów mają stać na straży, że nie ma sposobu, by uprzedzić zagrożonego człowieka, zważywszy, że nie zna nawet jego nazwiska; i wreszcie, że wszystko to ma się odbyć o godzinie szóstej wieczorem, w najbardziej odludnym miejscu bulwaru Szpitalnego, w domu pod numerem 50-52.

Usłyszawszy ten numer, inspektor podniósł głowę i rzekł chłodno:

- W izbie położonej w głębi korytarza, czy tak?

- Tak, właśnie tam - odrzekł Mariusz i dodał: - To pan zna ten dom?

Inspektor milczał przez chwilę, po czym odrzekł, grzejąc sobie nogę u drzwiczek pieca.

- Zdaje się.

I ciągnął dalej przez zęby, mówiąc raczej w swój halsztuk niż do Mariusza:

- Z pewnością macza w tym palce "ślepy kur".

Słowa te uderzyły Mariusza.

- "Ślepy kur" - rzekł. - Istotnie, słyszałem tę nazwę. I opowiedział inspektorowi rozmowę brodacza z długowłosym na śniegu za murem ulicy Małego Bankiera.

Inspektor mruknął:

- Długowłosego to pewnie Brujon, a brodacz to Półszeląg, zwany też "dwa Miliardy".

Znowu opuścił powieki i zastanawiał się przez chwilę:

- Co do dziadka "Jak-go-tam", też zaczynam się domyślać. Masz sobie! Spaliłem sobie surdut! Zawsze zanadto napalałem w tych przeklętych piecach! Numer 50-52. Dawna posiadłość Gorbeau. - Tu spojrział na Mariusza.

- Pan widział tylko długowłosego i brodacza ?

- I Panchauda.

- A nie kręcił się tam młody, diabelnie elegancki firecyk?

- Nie.

- Ani wielki, tęgi drab, podobny do słonia z Ogrodu Zoologicznego?

- Nie.

- Ani kuty frant, który wygląda na kuglarza?

- Nie.

- Co do czwartego, to nikt go nie widział, nawet jego zausznicy, wspólnicy i pomocnicy. Nic dziwnego, że i pan go nie widział.

- Nie. Ale kimże są te wszystkie typy? - zapytał Mariusz.

Inspektor odpowiedział:

- A zresztą, to nie ich pora.

Umilkł. Po chwili odezwał się znowu:

- Numer 50-52. Znam tę chałupę. Nie sposób schować się tam wewnątrz, bo się aktorzy spostrzegą i gotowi odłożyć swój wodewil na kiedy indziej. Są tacy skromni, wstydzą się publiczności! Nie! Nie! Trzeba to urządzić inaczej. Chcę posłuchać ich śpiewu i zagrać im

do tańca!

Skończywszy ten monolog, zwrócił się do Mariusza i zapytał, patrząc mu prosto w oczy:

- Czy nie będzie się pan bał?

- Czego? - zapytał Mariusz.

- Tych ludzi.

- Nie więcej niż pana - odrzekł opryskliwie Mariusz, który zaczynał zdawać sobie sprawę, że ten szpicel traktuje go z niezbyt wielkim szacunkiem.

Inspektor spojrział na niego jeszcze uważniej i ciągnął dalej z pewną uroczystą powagą:

- Mówi pan jak człowiek odważny i jak człowiek uczciwy. Odwaga nie lęka się zbrodni, a uczciwość nie lęka się władzy.

- Dobrze, ale co pan ma zamiar zrobić? - przerwał mu Mariusz.

Inspektor ograniczył się do tych słów:

- Każdy lokator tego domu ma klucz od drzwi wejściowych, by móc się w nocy dostać do swego mieszkania. Pan też pewnie ma taki klucz?

- Mam - rzekł Mariusz.

- Przy sobie?

- Tak.

- Proszę mi go dać - rzekł inspektor.

Mariusz wyjął klucz z kieszeni kamizelki, wręczył go inspektorowi i powiedział:

- Radziłbym przyjść we wzmocnionym składzie.

Inspektor rzucił Mariuszowi spojrzenie, jakim Wolter obdarzyłby członka prowincjonalnej akademii, który by mu się chciał przysłużyć rymem; jednym ruchem wsadził swoje obie olbrzymie łapy do dwóch olbrzymich kieszeni surduta i wyciągnął z nich dwa małe, stalowe pistolety, zwane "kuksańcami". Podał je Mariuszowi i rzekł krótko a zwięźle:

- Proszę to wziąć, wrócić do siebie i ukryć się w swoim pokoju. Niech myślą, że pan wyszedł. Pistolety są nabite. Każdy dwiema kulkami. Proszę obserwować wszystko przez dziurę w ścianie, o której pan wspomniał. Ptaszki przyjdą, niech się nie krepują na razie. Kiedy pan osądzi, że już zaszedł dość daleko i trzeba ich powstrzymać - strzelać. Nie za wcześnie! Reszta - to już moja sprawa. Strzelać w powietrze, w sufit, gdzie bądź. Byle nie za wcześnie! Niech pan czeka na początek zbrodni. Pan jest adwokatem, więc wie pan, co to znaczy.

Mariusz wziął pistolety i wsunął w boczną kieszeń surduta.

- Wypychają kieszeń, widać je! - rzekł Inspektor. - Wsadź je pan do kieszeni spodni.

Mariusz schował pistolety do kieszeni spodni.

- A teraz - ciągnął inspektor - żaden z nas nie ma ani chwili do stracenia. Która godzina? Wpół do trzeciej. Umówili się na siódmą?

- Na szóstą - odparł Mariusz.

- Czasu jest dość - rzekł inspektor - ale nie za wiele. Proszę pamiętać, co panu mówiłem. Wszystko. Paf! Jeden strzał z pistoletu.

- Może pan być spokojny - odpowiedział Mariusz.

Kiedy trzymał już dłoń na klamce, zabierając się do wyjścia, inspektor zawołał jeszcze:

- Jeszcze jedno! Gdyby pan mnie potrzebował wcześniej, to przyjdź pan tu lub przyślij kogo. Proszę pytać o inspektora Javerta.

## XV

### Jondrette załatwia swój sprawunek

W parę minut potem, koło godziny trzeciej, Courfeyrac w towarzystwie Bossueta przechodził przypadkiem ulicą Mouffetard. Śnieżycyca wzmogła się, sypało coraz gęściej. W Bossuet mówił właśnie do Courfeyraca: - Patrząc na te płatki śniegu, masz wrażenie, że w niebie jest pomór na białe motyle. - Nagle Bossuet spostrzegł Mariusza, który szedł ulicą w kierunku roгатki z jakimś szczególnym wyrazem twarzy.

- Patrzaj! - zawołał. - Mariusz!

- Zauważyłem go - odrzekł Courfeyrac - ale dajmy mu spokój.

- Dlaczego?

- Bo jest zajęty.

- Czym?

- Czyż nie widzisz, jaką ma minę?

- Jaką?

- Ma minę kogoś, kto za kimś idzie.

- To prawda - rzekł Bossuet.

- Popatrz tylko, co za spojrzenie! - powiedział znowu Courfeyrac.

- Ale za kim, u diabła, tak goni?

- Za jakąś spódniczką, za kapelusikiem z kwiatuškami. Jest zakochany!

- Ale - zauważył Bossuet - na całej ulicy nie widzę ani spódniczki, ani kapelusika z kwiatuškami, słowem, ani śladu kobiety!

Courfeyrac spojrział i zawołał:

- Idzie za mężczyzną!

Istotnie, jakiś mężczyzna w czapce, z siwą brodą, którą widać było, choć był obrócony do nich tyłem, szedł na jakieś dwadzieścia kroków przed Mariuszem. Ubrany był w nowiutki płaszcz, zbyt obszerny na niego i w nieprawdopodobnie wystrzępione spodnie, całe poczerńiałe od błota.

Bossuet parsknął śmiechem:

- A to co za figura?

- To? - odrzekł Courfeyrac. - To poeta. Poeci dość chętnie noszą spodnie handlarzy



królików, a płaszcze parów Francji.

- Zobaczymy, dokąd to idzie Mariusz i ten drugi - rzekł Bossuet. - Chodźmy za nimi, dobrze?

- Bossuet! - zawołał Courfeyrac. - Orle z Meaux! Jesteś szkaradnym bydlęciem! Gonić mężczyznę, który goni mężczyznę?

Zawrócili w przeciwnym kierunku.

Mariusz rzeczywiście zauważył na ulicy Mouffetard Jondrette i zaczął go śledzić.

Jondrette szedł przed nim, nie domyślając się, że czyjś wzrok trzyma go na uwieczu. Skręcił z ulicy Mouffetard i Mariusz zobaczył, że wchodzi do jakiejś okropnej budy przy ulicy Miłej, gdzie zatrzymał się mniej więcej piętnaście minut, po czym znów wrócił na ulicę Mouffetard. Wszedł do sklepu z żelastwem, który znajdował się wówczas na rogu ulicy Pierre-Lombard, i po chwili Mariusz zobaczył, że wychodzi ze sklepiku trzymając w ręku wielkie dłuto z rękojeścią z jasnego drzewa, które schował w zanadrze. Doszedłszy do ulicy Petit-Gentilly, skręcił w lewo i szybko wbiegł na ulicę Małego Bankiera. Zmierzchało; śnieg, który ustał na chwilę, zaczął znów sypać. Mariusz zaczął się za rogiem ulicy Małego Bankiera, pustej jak zwykle, i nie poszedł dalej za Jondrette'em. Dobrze zrobił, gdyż doszedłszy do niskiego murku, gdzie Mariusz podsłuchał rozmowę brodacza z długowłosym, Jondrette obejrzał się, upewnił, że nikt go nie śledzi i nie widzi, po czym przeskoczył przez mur i znikł.

Pustkowie, które rozpościerało się za tym murem stykało się z podwórzem należącym do człowieka bardzo podejrzanego, który niegdyś trudnił się wynajmowaniem powozów, i choć dawno zbankrutował, miał jeszcze w szopie parę starych bryk.

Mariusz pomyślał sobie, że roztropnie będzie wrócić do domu, korzystając z nieobecności Jondrette'a. Zresztą robiło się już późno. Jejmość Burgon, wychodząc co wieczór do miasta na posługi po domach, miała zwyczaj zamykać na klucz drzwi wejściowe, które zawsze były zamknięte o zmroku; a że Mariusz oddał swój klucz inspektorowi, należało się spieszyć. Zapadł zmierzch; zbliżała się już noc. Na całym widnokręgu i w niezmiernych przestworzach błyszczał jeden tylko punkt oświetlony słońcem: księżyc.

Wschodził czerwony za niską kopułą gmachu Salpetriere. Mariusz wielkimi susami dopadł domu pod numerem 50-52. Drzwi wejściowe były jeszcze otwarte. Na palcach wszedł po schodach i prześliznął się korytarzem wzdłuż ściany aż do swojego pokoju. Jak pamiętamy, po obu stronach tego korytarza mieściły się nędzne izdebki, w tej chwili puste i do wynajęcia. Jejmość Burgon zostawiała zwykle drzwi do nich pootwierane. Mijając jedne z tych drzwi, Mariusz odniósł wrażenie, że w nie zamieszkannej izbie widzi cztery nieruchome

męskie głowy bielejące w resztkach dziennego światła, które wpadało przez okienko. Nie przyglądał im się dłużej, nie chcąc, żeby go zobaczono. Zdołał wejść do pokoju cicho i niepostrzeżenie. W sam czas! W chwilę potem usłyszał, że jejmość Burgon wychodzi, zamykając na klucz drzwi wejściowe.

## XVI

### **W którym usłyszymy piosenkę na angielską nutę, modną w 1832 roku**

Mariusz usiadł na łóżku. Mogło być koło wpół do szóstej. Już tylko pół godziny dzieliło go od tego, co miało nastąpić. Słyszał bicie swego pulsu, jak słyszy się w ciemności cykanie zegara. Myślał o podwójnym pochodzie, który się odbywał w tej chwili w mroku. O nadciągającej z jednej strony zbrodni, z drugiej - sprawiedliwości. Nie bał się, ale nie mógł myśleć bez pewnego drżenia o tym, co miało niebawem nastąpić. Jak każdemu, na kogo spadnie zniecka niezwykle wydarzenie, cały ten dzień wydawał mu się snem i aby się upewnić, że nie jest w mocy sennej zmory, musiał dotykać chłodnej stali pistoletów, które miał w kieszeniach.

Śnieżyca ustała: coraz jaśniejszy księżyc wyłaniał się z tumanów mgły; poświata miesięczna, zlewając się z białym odbłaskiem świeżo spadłego śniegu, napełniała wnętrze izdebki łagodnym mrokiem.

W izbie Jondrette'ów świeciło się. Otwór w ścianie lśnił czerwonym blaskiem, który wydawał się Mariuszowi krwawy. Światło to oczywiście nie mogło pochodzić od świecy. W izbie Jondrette'ów nie słyhać było zresztą żadnego szmeru: nikt się nie ruszał, nikt się nie odzywał, nikt nie oddychał; panowała tam cisza tak lodowata i głęboka, że gdyby nie to światło, można było myśleć, że się jest w pobliżu grobu.

Mariusz ostrożnie zdjął buty i wsunął je pod łóżko. Upłynęło kilka minut. Nagle usłyszał skrzyp drzwi wejściowych; ktoś ciężkim, spiesznym krokiem wszedł na schody i przebiegł korytarz; klamka od drzwi do izby odskoczyła z hałasem. To Jondrette wrócił do domu. Natychmiast rozległo się kilka głosów. Cała rodzina była zgromadzona w izbie, ale w nieobecności pana i władcy siedziała cicho jak wilczęta w nieobecności wilka.

- To ja - rzekł Jondrette.

- Dobry wieczór, tatusiu! - zaskrzeczały córki.

- No i co? - zapytała matka.

- Wszystko idzie jak z płatka - odpowiedział Jondrette. - Tylko mi cholernie nogi zmarzły! A, widzę, żeś się ubrała. To dobrze, powinnaś wzbudzać zaufanie.

- Jestem gotowa do wyjścia.

- A nie zapomnisz nic, com ci mówił? Zrobisz wszystko jak należy?

- Bądź spokojny!

- Bo widzisz... - rzekł Jondrette i nie dokończył zdania.

Mariusz usłyszał, że kładzie coś ciężkiego na stole, zapewne dłuto, które kupił.

- No i co? - mówił dalej Jondrette. - A czyście coś jadły?

- Aha! - odpowiedziała stara - miałam trzy duże kartofle i sól. Skorzystałam z ognia, żeby je upiec.

- Dobra! - odparł Jondrette. - Jutro zaprowadzę was na obiad. Będzie kaczka i różne dodatki. Podjecie sobie jak sam Karol X. Wszystko idzie jak po maśle!

I dodał zniżając głos:

- Pułapka zastawiona, koty czekają. Jeszcze bardziej zniżył głos i rzekł:

- Włóż to do ognia.

Mariusz usłyszał szuranie w węglu obcęgi czy też innym żelaznym narzędziem.

Jondrette mówił dalej:

- Czy naoliwiłaś zawiasy u drzwi, żeby nie skrzypiały?

- A jakże - odpowiedziała żona.

- Która godzina?

- Niedługo będzie szósta. Dopiero co biło pół u Św. Medarda.

- O, do diabła! - rzekł Jondrette. - Trzeba już wyprawić dziewczęta na czaty. Chodźcie no tutaj i posłuchajcie!

Słysząc było przez chwilę jakieś szepty. Po czym znów Jondrette odezwał się głośno:

- Stara wyszła?

- Tak - odparła matka.

- A sąsiada na pewno nie ma w domu?

- Nie było go przez cały dzień, a wiesz przecież, że teraz to pora jego obiadu.

- Jesteś pewna?

- Pewna.

- Co tam! - rzekł Jondrette. - Nie zawadzi sprawdzić, czy go przypadkiem nie ma.

Weź no, córko, świecę i zajrzyj do niego.

Mariusz zsunął się na podłogę i na czworakach, cichutko wczołgał się pod łóżko.

Ledwo tam przycupnął, jak zobaczył przez szpary w drzwiach światło.

- Tata! - zawołał głos. - Nie ma go!

Poznał głos starszej córki Jondrette'ów.

- Byłaś w pokoju? - zapytał ojciec.

- Nie - odpowiedziała - ale klucz jest w zamku, to znaczy, że wyszedł.

Ojciec zawołał znowu:

- Wejdz no jednak i zobacz.

Drzwi otworzyły się i Mariusz zobaczył na progu starszą dziewczynę ze świecą w ręku. Wyglądała tak jak rano, była tylko jeszcze bardziej przerażająca w tym oświetleniu.

Skierowała się prosto do łóżka: Mariusz przeżył moment niewymownej trwogi, ale nad łóżkiem wisiało na ścianie lustro i do niego to właśnie zmierzała dziewczyna. Wspięła się na palce i zaczęła się przeglądać. Z sąsiedniej izby dochodził szcęk poruszanego żelastwa. Dziewczyna przyglądała dłonią włosy i mizdrzyła się przed lustrem, nucąc swoim zdartym, ponurym głosem:

*Ach, miłość nasza trwała tydzień cały*

*Lecz szczęścia kres był niedaleki!*

*Cóż znaczy kilka dni dla serc, co się spotkały*

*I pokochały na wieki!*

*I pokochały na wieki!*

Mariusz drżał. Zdawało mu się, że dziewczyna nie może nie słyszeć jego oddechu.

Ona zaś podeszła do okna i wyjrzała na dwór mówiąc głośno tym właściwym sobie na wpół przytomnym tonem:

- Jaki ten Paryż jest brzydki w białej koszuli!

Wróciła do lustra i zaczęła znów stroić miny, przyglądając się sobie to wprost, to z profilu.

- No co! - krzyknął ojciec. - Co tam robisz tak długo?

- Szukałam pod łóżkiem i pod meblami - odpowiedziała nie przestając poprawiać włosów. - Nie ma nikogo.

- Wracaj zaraz, idiotko jedna! - wrzasnął ojciec. - Nie ma czasu!

- Idę, już idę! - odrzekła dziewczyna. - Na nic nie ma czasu w tej ich przeklętej chałupie!

I zanuciła:

*Idziesz na wojnę, opuszczasz mnie,*

*Smutek mój pójdzie za tobą w ślad...*

Jeszcze raz rzuciła okiem w lustro i wyszła zamykając za sobą drzwi.

Po chwili Mariusz usłyszał w korytarzu tupot bosych nóg obu dziewczyn i głos Jondrette'a, który wołał za nimi:

- A uważajcie dobrze! Jedna od strony rogatki, druga od rogu ulicy Małego Bankiera. Nie spuszczać mi z oka ani na chwilę drzwi domu, jak tylko coś zobaczycie, przylecieć tu zaraz na jednej nodze! Macie klucz od domu.

Starsza córka mruknęła:

- Stróżować na bosaka w śniegu, widział to kto!

- Jutro dostaniesz jedwabne chrabąszczowe pantofelki - rzekł ojciec.

Zeszły ze schodów i w parę sekund później stuk zamykanych drzwi wyjściowych oznajmił, że wyszły.

W całym domu został już tylko Mariusz i Jondrette'owie; a zapewne również i owe tajemnicze istoty, które Mariusz zauważył w półmroku za drzwiami nie zamieszkannej izdebki.

## XVII

### Na co zużyto pięć franków Mariusza

Mariusz uznał, że nadeszła chwila, by zająć znów swój punkt obserwacyjny. W mgnieniu oka, ze zwinnością, właściwą swemu wiekowi, znalazł się przy otworze w ścianie. Zajrzał.

Wnętrze izby Jondrette'ów przedstawiało osobliwy widok: Mariusz teraz dopiero mógł sobie wytłumaczyć dziwne światło, które poprzednio zauważył. W zaśniedziałym lichtarzu paliła się świeca, lecz właściwie nie ona oświetlała izbę. Całe poddasze było zalane czerwonym blaskiem, bijącym ze sporego, żelaznego piecyka ustawionego przy kominku i pełnego rozżarzonych węgli. Był to piecyk, który Jondrette'owa przygotowała z rana. Węgiel płonął, piecyk rozpalony był do czerwoności; migały w nim niebieskie płomyki, ukazując kształt dłuta kupionego przez Jondrette'a na ulicy Pierre-Lombard. Dłuto wetknięte w żar rozgrzało się również do czerwoności. W kącie, koło drzwi, przygotowane chyba na jakiś z góry przewidziany użytek, leżały dwa stosy: jeden jakby stos żelastwa, a drugi - sznurów. Wszystko to człowiekowi, który by nie wiedział, co się tam szykuje, mogło się wydać zarówno złowieszcze, jak i całkiem zwykłe. Izba, oświetlona w ten sposób, przypominała raczej kuźnię niż bramę piekieł, lecz Jondrette w tym świetle podobny był raczej do czarta niż do kowala. Tak wielki żar bił z piecyka, że stojąca na stole świeca topniała od tej strony i spalała się krzywo. Na kominku stała stara, miedziana, ślepa latarnia, godna Diogenesa przemienionego w Cartouche'a.

Dym z piecyka, ustawionego w palenisku obok dogasających polan, ulatywał przez rurę od komina, tak że nie czuć było swędu.

Księżyc, zaglądając przez cztery szybki, rzucał białą poświatę na izbę gorejącą czerwienią i dla poetycznej duszy Mariusza, który nawet w momentach działania nie przestawał być marzycielem, wyglądało to niby myśl niebios, wpleciona w szpetne, ziemskie majaki.

Powiew świeżego powietrza, wpadając przez stłuczoną szybę, rozpraszał zapach rozpalonego węgla, maskując w ten sposób istnienie piecyka.

Czytelnik, który pamięta poprzedni opis rudery Gorbeau, wie, iż nora Jondrette'ów była miejscem znakomicie wybranym do popełniania aktu przemocy, idealną osłoną dla

zbrodni. Była to najbardziej ukryta izba najbardziej odosobnionego domu, leżącego przy najbardziej odludnym bulwarze Paryża. Gdyby pojęcie zasadzki nie istniało na świecie, tu by je wynaleziono.

Izbę oddzielała od bulwaru grubość całego domu i mnóstwo nie zamieszkałych klitek, a jedyne jej okno wychodziło na rozległe pustkowie otoczone murami i parkanami.

Jondrette zapalił fajkę, usiadł na przedziurawionym krześle i pykał. Żona coś do niego mówiła po cichu.

Gdyby Mariusz był Courfeyrakiem, to znaczy jednym z tych ludzi, którzy śmieją się w każdej okoliczności życia, wybuchnąłby śmiechem na widok tej baby. Miała na głowie czarny kapelusz z piórami, podobny trochę do kapeluszy heroldów z koronacji Karola X, poza tym wielki tartanowy szal narzucony na trykotową halkę i męskie buciory, którymi jej córka pogardziła rano. Ten to właśnie strój wywołał okrzyk Jondrette'a: "Widzę, żeś się ubrała. To dobrze, powinnaś wzbudzać zaufanie".

Jondrette nie zdjął nowego i za obszernego okrycia, ofiarowanego mu przez pana Białego, ubiór jego nadal uderzał rażącym kontrastem między porządnym płaszczem i obszarpanymi spodniami, co, zdaniem Courfeyraca, stanowiło ideał poety.

Nagle Jondrette odezwał się głośno:

- Aha! Coś przyszło mi do głowy. W taką pogodę przyjedzie pewnie dorożką. Zapal latarnię i zejdź z nią na dół. Postoisz za drzwiami od ulicy. Jak usłyszysz, że dorożka zajechała, otworzysz mu zaraz, on wejdzie, poświecisz mu na schodach i w korytarzu, a kiedy wejdzie tutaj, zbiegniesz co tchu, zapłacisz dorożkarza i odprawisz go.

- A pieniądze? - zapytała żona.

Jondrette sięgnął do kieszeni i dał jej pięć franków.

- A to co takiego? - zawołała.

Jondrette odpowiedział z godnością:

- To? Forsa, którą sąsiad dał dziś rano.

I dodał:

- Wiesz, przydałyby się tu dwa krzesła.

- Po co?

- Żeby było na czym usiąść.

Mariuszowi dreszcz przebiegł po krzyżu, gdy usłyszał, że Jondrette'owa odpowiada spokojnie:

- No to przyniosę je od sąsiada. Szybkim ruchem otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Stało się to tak nagle, że Mariusz nie miał czasu zejść z komody i schować się pod



łóżko.

- Weź świecę - zawołał Jondrette.

- Nie trzeba - odpowiedziała. - Mam nieść dwa krzesła, tylko by mi zawadzała; księżyc świeci.

Mariusz usłyszał, jak ciężka ręka matki Jondrette szuka po omacku klucza w zamku. Drzwi się otworzyły. Stał nieruchomo, przygożdżony i zmartwiały z przerażenia.

Stara weszła.

Przez mansardowe okienko wpadało światło księżyca, jasną smugą przecinając na dwoje mrok izdebki. Jedna połać mroku zasłaniała całkowicie ścianę, o którą oparł się Mariusz, tak że był on niewidoczny. Jondrette'owa rozejrzała się, nie dostrzegła Mariusza, wzięła dwa krzesła, jedyne, jakie miał, i wyszła zatrzaskując głośno drzwi za sobą.

Wróciła do swojej izby.

- No, masz dwa krzesła.

- A ty bierz latarnię - rzekł mąż - i leć na dół.

Usłuchała spiesźnie, Jondrette został sam.

Ustawił krzesła po obu stronach stołu, poruszył dłuto tkwiące w piecyku, postawił przed kominkiem stary parawan, zasłaniając piecyk, po czym poszedł do kąta, gdzie leżał stos sznurów, i schylił się, żeby coś obejrzeć. Mariusz poznał wówczas, że to, co wziął za bezkształtny zwój postronków, było starannie splecioną sznurową drabiną z drewnianymi szczeblami i dwoma hakami do zaczepienia. Ani tej drabiny, ani też paru potężnych narzędzi, wyglądających na prawdziwe maczugi żelazne, które leżały wśród stosu żelastwa za drzwiami, nie było rano w izbie Jondrette'ów; widać zostały przyniesione dopiero po południu, podczas nieobecności Mariusza. "To narzędzia ślusarskie" - pomyślał Mariusz.

Gdyby Mariusz miał większe wykształcenie w tej dziedzinie, rozpoznałby w tym, co wziął za narzędzia ślusarskie, przyrządy do wyłamywania zamków i otwierania drzwi oraz do rozcinania lub piłowania, słowem, dwa gatunki złowrogich narzędzi, zwanych przez złodziei "generałami" i "rozpruwaczami".

Kominek i stół z dwoma krzesłami znajdowały się na wprost Mariusza. Po zasłonięciu piecyka izbę oświetlała już tylko świeca; najmniejsza skorupa na stole czy na kominie rzucała długi cień. Wyszczerbiony dzban na wodę zaciemniał połowę ściany. W izbie panował jakiś niesamowity, złowieszczy spokój. Czuło się tu oczekiwanie na coś strasznego.

Jondrette usiadł znowu na swoim miejscu; był tak pochłonięty myślami, że nie zauważył nawet, jak zgasała mu fajka. Światło świecy uwydatniało okrutne i przebiegłe rysy jego twarzy. Niekiedy marszczył brwi, to znów czynił gwałtowny gest prawą ręką, jak gdyby

odpowiadał na jakieś ostatnie rady, które mu podsuwał ponury monolog wewnętrzny. Podczas jednej z tych tajemniczych odpowiedzi, które dawał sam sobie, wysunął nagle szufladę stołu, wyjął z niej długi nóż kuchenny i wypróbował jego ostrze na paznokciu. Po czym włożył z powrotem nóż do szuflady i zasunął ją.

Jednocześnie Mariusz wyjął z prawej kieszeni pistolet i odwiódł kurek. Pistolet wydał przy tym lekki, suchy trzask. Jondrette drgnął i uniósł się z krzesła.

- Kto tam? - zawołał.

Mariusz wstrzymał oddech. Jondrette nasłuchiwał przez chwilę, potem roześmiał się i rzekł:

- Dureń ze mnie! To przepierzenie trzeszczy.

Mariusz ścisnął w dłoni pistolet.

## XVIII

### Dwa krzesła Mariusza stoją naprzeciw siebie

Nagle szyby zadrżały od dalekiego i melancholijnego dźwięku dzwonu. Zegar na wieży Św. Medarda bił szóstą. Jondrette kiwnięciem głowy liczył każde uderzenie zegara.

Po wybiciu ostatniego palcami objaśnił świecę. Potem zaczął chodzić po izbie, nasłuchiwał w korytarzu, znów chodził i znów nasłuchiwał.

- Byleby tylko przyszedł! - burknął pod nosem. Po chwili usiadł na krześle.

Ledwie zdążył usiąść, gdy drzwi się otworzyły. Otworzyła je, nie wchodząc zresztą do izby, Jondrette'owa, ze szkaradnym grymasem ugrzecznienia na twarzy, oświetlonej od dołu przez latarnię.

- Proszę, niech pan wejdzie - rzekła.

- Proszę, szlachetny dobroczyńco, proszę! - powtórzył Jondrette, spieszenie zrywając się z krzesła.

Ukazał się pan Biały.

Miał pogodny wyraz twarzy, co czyniło go szczególnie czcigodnym. Położył na stole cztery luidory.

- Oto na komorne i pierwsze potrzeby, panie Fabantou - rzekł. - Później jeszcze zobaczymy.

- Niechaj panu Pan Bóg zapłaci, szlachetny dobroczyńco! - odrzekł Jondrette, a zbliżywszy się szybko do żony dodał: - Odpraw dorożkę!

Wysunęła się z izby, podczas gdy mąż giął się w ukłonach i podsuwał krzesło panu Białemu. Po chwili wróciła i szepnęła mu do ucha:

- Zrobione!

Śnieg, który od rana padał bez ustanku, zasypał tak grubo ulicę, że nie było słychać ani przyjazdu dorożki, ani jej odjazdu.

Tymczasem pan Biały usiadł.

Jondrette zajął drugie krzesło naprzeciw pana Białego.

A teraz, aby lepiej zrozumieć scenę, która rozegra się za chwilę, niech czytelnik wyobrazi sobie mroźną noc, pustkowie wokół Sâlpetrière zasypane śniegiem i bielejące w poświacie księżycy niby jakiś olbrzymi całun, mdłe światła latarni ulicznych, rozjaśniające

gdzieniegdzie czerwonym blaskiem posępne bulwary i długie rzędy czarnych więzów, ani jednego przechodnia na jakie ćwierć mili dokoła, ruderę Gorbeau w najwyższym diapazynie ciszy, grozy i nocy; a w tej ruderze, pośród tej pustki, pośród tych ciemności obszerną izbę Jondrette'ów, oświetloną jedną jedyną świeczką, w tej izbie dwóch mężczyzn siedzących za stołem: spokojnego pana Białego i złowieszczo uśmiechniętego Jondrette'a, w kącie jego żonę, matkę-wilczycę, i za przepierzeniem Mariusza, który niewidoczny, w pogotowiu, nie tracąc ani jednego słowa, ani jednego ruchu, wyteżając wzrok, czeka z pistoletem w zaciśniętej dłoni.

Mariusz był jedynie podniecony grozą sytuacji, lecz nie czuł lęku. Ścisnął głownie pistoletu i to go uspokajało. "Powstrzymam tego nędznika, kiedy zechcę!" - myślał.

Czuł, że policjanci zaczęli się gdzieś niedaleko, że czekają tylko na umówiony znak, gotowi do działania.

Miał także nadzieję, że to gwałtowne spotkanie Jondrette z panem Białym rzuci jakieś światło na te wszystkie sprawy, o których tak bardzo pragnął się czegoś dowiedzieć.

## **XIX**

### **Wystrzegać się ciemnych kątów**

Usiadłszy na krześle, pan Biały spojrzał od razu na barłogi, które były puste.

- Jakże się miewa ranna dziewczynka? - zapytał.

- Źle - odrzekł Jondrette ze smutnym i pełnym wdzięczności uśmiechem - bardzo źle, łaskawy panie. Starsza siostra zaprowadziła ją na opatrunek do szpitala Bourbe. Zobaczysz je pan obie, zaraz wrócą.

- Ale pani Fabantou wydaje się nieco zdrowsza - podjął znowu pan Biały rzuciwszy okiem na dziwaczny strój Jondrette'owej, która stała między nim a drzwiami, jakby zawczasu strzegąc wyjścia, i przyglądała mu się, przybrawszy groźną, niemal wojowniczą postawę.

- Jest umierająca! - odparł Jondrette. - Ale, uważa pan, to taka dzielna kobieta! Wóń roboczy, nie kobieta!

Jondrette'owa, wzruszona tym komplementem, zawołała, mizdrząc się jak potwór, którego pogłaskano:

- Zawsze łaskaw dla mnie, panie Jondrette!

- Jondrette? - zapytał pan Biały. - Zdawało mi się, że pan się nazywa Fabantou?

- Fabantou zwany Jondrette - odrzekł żywo małżonek. - Przewisko sceniczne!

I strofując żonę wzruszeniem ramion, którego pan Biały nie zauważył, mówił dalej tonem przesadnym i pieścizotliwym:

- Ach, ta biedaczka i ja tworzyliśmy zawsze wzorowe stadło! Cóż by nam zostało, gdybyśmy nie mieli choć tego? Jesteśmy tak nieszczęśliwi, szanowny panie! Człowiek ma ręce do pracy, ale nie ma pracy! Człowiek ma chęć do roboty, ale nie ma roboty! Nie wiem, jak rząd układa to wszystko, ale, na honor, łaskawy panie, choć nie jestem wcale jakobinem ani żadnym sankiulotem naszych czasów i nie życzę mu nic złego - ale gdybym ja był na miejscu ministrów, to, do kroćset, wszystko by szło inaczej. Proszę, przykład: chciałem wyuczyć moje córki robienia pudełek. Pan mi powie: "Jak to? Rzemiosła?" A tak, rzemiosła, zwykłego rzemiosła! Byle żyć! Co za upadek, czcigodny dobroczyńco! Co za poniżenie, kiedy się było tym, czym myśmy byli! Niestety! Nic nam nie pozostało z lepszych czasów! Nic - tylko jeden przedmiot, obraz, do którego jestem mocno przywiązany, ale którego gotów byłbym się pozbyć, bo trzeba żyć. *Item*, trzeba żyć.

Podczas tej na pozór bezładnej gadaniny, która zresztą bynajmniej nie odbierała twarzy Jondrette'a wyrazu skupienia i chytrości, Mariusz podniósł wzrok i ujrzał w głębi pokoju kogoś, kogo dotąd nie widział. Przed chwilą wszedł jakiś człowiek, tak cicho, że nawet nie było słychać skrzypnięcia drzwi. Miał na sobie kamizelkę z fioletowego trykotu, starą, zniszczoną, podartą, poplamioną i świecącą dziurami na wszystkich szwach, szerokie spodnie z bawełnianego welwetu i grube skarpetki na nogach, był bez koszuli, z gołą szyją, gołymi ramionami pokrytymi tatuażem, i z twarzą pomazaną na czarno. Usiadł w milczeniu na najbliższym barłogu, skrzyżowawszy ręce, a ponieważ znajdował się za Jondrette'ową, ledwo go było widać. Ów rodzaj magnetycznego przecucia, które ostrzega nasz wzrok, sprawił, że pan Biały odwrócił się prawie jednocześnie z Mariuszem. Nie mógł powstrzymać odruchu zdziwienia, który nie uszedł uwagi Jondrette'a.

- A widzę, że się pan przygląda swemu płaszczowi! - zawołał, zapinając się z zadowoloną miną. - Leży jak ułał, doprawdy, leży jak ułał!

- Co to za człowiek? - zapytał pan Biały.

- Ten? - rzekł Jondrette. - To sąsiad! Niech pan na niego nie zważa.

Sąsiad miał dość osobliwą powierzchowność. Ale na przedmieściu Saint-Marceau jest wiele fabryk wyrobów chemicznych: robotnicy tych fabryk miewają uczernione twarze. Cała osoba pana Białego tchnęła szczerą i nieustraszoną ufnością. Podjął na nowo:

- Przepraszam, o czym mi pan mówił, panie Fabantou?

- Mówiłem, szanowny i kochany opiekunie - ciągnął Jondrette, oparłszy się łokciami

na stole i wpatrując się w pana Białego wzrokiem uporczywym i czułym, dość podobnym do spojrzenia węża boa - mówiłem panu, że mam obraz na sprzedaż.

Lekki szmer dał się słyszeć u drzwi. Wszedł drugi człowiek i też usiadł na barłogu za Jondrette'ową. Miał, podobnie jak pierwszy, gołe ramiona i maskę z atramentu czy sadzy na twarzy. Chociaż dosłownie wśliznął się do pokoju, pan Biały zauważył go.

- Niech pan na nich nie zwraca uwagi - rzekł Jondrette. - To domowi. Mówiłem więc, że pozostał mi obraz, cenny obraz... O, niech pan spojrz!

Wstał, podszedł do ściany, o którą oparta była wspomniana już przez nas rama, odwrócił ją i postawił w tym samym miejscu pod ścianą. Było to istotnie coś w rodzaju obrazu; blask świecy pozwalał od biedy to rozeznąć. Mariusz nie mógł rozróżnić szczegółów, bo Jondrette zasłaniał malowidło, dostrzegł tylko płótno zasmarowane nieudolnie i jakąś niby to główną postać, wymalowaną z krzykliwą jaskrawością jarmarcznych bohomazów i scen zdobiących parawany.

- A co to takiego? - zapytał pan Biały.

Jondrette wykrzyknął:

- To dzieło mistrzowskiego pędzla, kochany dobroczyńco, niezwykle cenne dzieło! Kocham je jak moje obie córki, przywodzi mi na myśl tyle wspomnień! Ale słowo się rzekło i nie cofam go, jestem tak nieszczęśliwy, że byłbym gotów sprzedać ten obraz.

Czy to przypadkiem, czy też pod wpływem niepokoju, który go zaczynał nurtować, pan Biały, niby to oglądając obraz, skierował znowu wzrok w głąb izby. Było tam już czterech ludzi, trzech siedziało na barłogu, jeden stał oparty o framugę drzwi, wszyscy znieruchomieli, mieli nagie ramiona i twarze umazane na czarno. Jeden z siedzących na łóżku oparł się o ścianę, zamknął oczy i zdawał się drzemać. Był stary, jego siwe włosy przy uczernionej twarzy sprawiały okropne wrażenie. Dwaj inni wydawali się młodzi. Jeden z nich miał brodę, drugi długie włosy. Żaden nie miał butów; ci, którzy nie mieli skarpetek, byli boso.

Jondrette spostrzegł, że wzrok pana Białego wracał wciąż ku tym postaciom.

- To przyjaciele, sąsiedzi - rzekł. - Umorusani, bo pracują przy węglu. Są zdunami. Nie zważaj na nich, łaskawy mój dobroczyńco, i kup mój obraz. Miej litość nad nędzą. Sprzedam tanio. Na ile go pan ocenia?

- Ależ - rzekł pan Biały, patrząc Jondrette'owi prosto w oczy, jak ktoś, kto zaczyna mieć się na baczności. - To jakiś szyld znad karczmy, wart ze trzy franki.

Jondrette odpowiedział ze słodyczą:

- Czy pan ma przy sobie pugilares? Zadowolę się trzema tysiącami franków.

Pan Biały wstał, oparł się o ścianę i szybko przebiegł wzrokiem po izbie. Miał Jondrette'a po lewej stronie okna, Jondrette'ową i czterech mężczyzn po prawej, od drzwi. Czterej mężczyźni nie ruszali się, zdawało się, że go nie widzą nawet. Jondrette ciągnął głosem tak płaczącym, ze spojrzeniem tak błędnym, tonem tak żalnym, że pan Biały mógł przypuszczać, iż człowiek, którego ma przed sobą, po prostu oszalał z nędzy:

- Jeśli pan nie kupi ode mnie tego obrazu, kochany dobroczyńco - mówił Jondrette - to nie mam środków do życia i pozostaje mi tylko jedno: rzucić się do rzeki. Jak sobie pomyślę, że chciałem wyuczyć córki roboty ozdobnych pudełek, pudełek na świąteczne podarunki... Ale cóż, trzeba do tego stołu z deską z tyłu, żeby szkła nie pospadały na ziemię, trzeba specjalnego piecyka, trzeba garnka z trzema przegródkami, żeby w nim rozrobić klej rozmaitej gęstości, inny do drzewa, a inny do materiałów i papieru; trzeba nożyka do krajania tektury, formy do pasowania pudełek, młotka do przybijania metalowych ozdób, pędzli i diabli jeszcze wiedzą czego! A to wszystko po to, żeby zarobić cztery su dziennie, pracując przez czternaście godzin na dobę! Każde pudełko przechodzi trzynaście razy przez ręce robotnicy! A zwilżać papier, a nie poplamiać, a uważać, żeby klej nie ostygł, niech to wszystko diabli! Za cztery su dziennie, powiadam! Jak z tego wyżyć?

Mówiąc to wszystko, Jondrette nie patrzył na pana Białego, który mu się uważnie przyglądał. Wzrok pana Białego wlepiony był w Jondrette'a, a wzrok Jondrette'a wlepiony był w drzwi.

Mariusz z gorączkową uwagą patrzył to na jednego, to na drugiego.

Pan Biały wyglądał, jakby zadawał sobie pytanie: czy to wariat?

Jondrette powtórzył parę razy, na różne tony, błagalnie - żebrzącym głosem:

- Pozostaje mi jedno - rzucić się do rzeki! Jużem kiedyś zszedł z trzech stopni przy moście Austerlitzkim.

Nagle, przyciemniając źrenice rozświetlony mu ohydny ogniem, mały człowieczek wyprostował się i stał się straszny; postąpił krok ku panu Białemu i krzyknął grzmiącym głosem:

- Ale nie o to idzie. Poznaje mnie pan?

## XX

### Zasadzka

Drzwi do izby otworzyły się gwałtownie i ukazało się w nich trzech mężczyzn w niebieskich płóciennych bluzach i maskach z czarnego papieru. Pierwszy był chudy i miał w ręku długą, okutą żelazem pałkę; drugi był olbrzymem i trzymał przez środek trzonka, ostrzem na dół, wielki rzeźnicki topór. Trzeci, barczysty, nie tak chudy jak pierwszy i nie tak atletyczny jak drugi, dzierżył w garści potężny klucz, skradziony z jakiejś bramy więziennej.

Jondrette pewno tylko czekał na ich przyjście. Zawiązała się szybka rozmowa między nim a mężczyzną z pałką, owym chudzielcem.

- Wszystko gotowe? - zapytał Jondrette.

- Gotowe - odrzekł chudy.

- A gdzie jest Montparnasse?

- Pierwszy amant gada z twoją córką.

- Z którą?

- Ze starszą.

- Dorożka czeka?

- Tak.

- Bryczka zaprzężona?

- Zaprzężona.

- W dwa dobre konie?

- Doskonale!

- Czekaj tam, gdzie kazałem?

- Tak.

- Dobra! - rzekł Jondrette.

Pan Biały był bardzo blady. Rozglądał się po izbie jak człowiek, który rozumie, gdzie trafił; głowa jego, zwracając się kolejno ku wszystkim głowom, które go otaczały, obracała się z uważną, zdziwioną powolnością, lecz w postawie jego nie było nic podobnego do strachu. Zrobił sobie ze stołu zaimprovizowany szaniec; człowiek ten, który przed chwilą wyglądał tylko na poczciwego, starszego pana, przemienił się nagle w atletę i nieoczekiwanie groźnym ruchem położył swą potężną pięść na poręczy krzesła.



Starzec ten, zdecydowany i dzielny wobec tak wielkiego niebezpieczeństwa, wydawał się jedną z tych natur, które z łatwością i prostotą łączą odwagę i dobroć. Ojciec ukochanej kobiety nie jest dla nas nigdy obcy; Mariusz był dumny z nieznanego.

Trzej mężczyźni o obnażonych ramionach, o których Jondrette powiedział "to zduny", wyciągnęli ze stosu żelastwa jeden - wielkie nożyce, drugi - obcęgi, trzeci - młot i bez słowa zatarasowali drzwi. Stary nie ruszył się z łóżka, tylko otworzył oczy. Jondrette'owa usiadła obok niego.

Mariusz pomyślał, że lada chwila będzie musiał interweniować, i podniósł prawą rękę ku sufitowi, w kierunku korytarza, gotów do strzału.

Zakończywszy rozmowę z człowiekiem z pałąką, Jondrette zwrócił się znowu do pana Białego i powtórzył pytanie wtórując sobie cichym, stłumionym, straszliwym chichotem:

- A więc pan mnie nie poznaje?

Pan Biały spojrział mu prosto w twarz i odparł:

- Nie!

Wtedy Jondrette podszedł do stołu. Pochylił się nad świecą, skrzyżował ramiona, przybliżył swą okrutną, kanciastą szczękę ku spokojnej twarzy pana Białego i choć przysunął się najbliżej, jak mógł, tamten ani drgnął; w tej postawie dzikiego zwierza, szczerzącego kły, Jondrette wrzasnął:

- Nie nazywam się Fabantou, nie nazywam się Jondrette, nazywam się Thénardier! Jestem karczmarzem z Montfermeil! Słyszysz pan? Thénardier! Teraz mnie pan poznaje?

Ledwo dostrzegamy rumieniec przepląnął po czole pana Białego, który z właściwym sobie spokojem odpowiedział cichym, zrównoważonym głosem:

- Nie więcej niż przedtem.

Mariusz nie dosłyszał tej odpowiedzi. Ten, kto ujrzałby go w tej chwili, wśród tych ciemności, zobaczyłby, że osłupiał jak rażony gromem. Kiedy Jondrette wypowiedział słowa: "Nazywam się Thénardier", Mariusz zadrżał na całym ciele i oparł się o ścianę, jak gdyby poczuł chłód ostrza szpady przeszywającej mu serce. Po czym jego prawa ręka, gotowa w każdej chwili dać umówiony sygnał, opadła powoli, a kiedy Jondrette powtórzył: "Słyszysz pan! Thénardier!", omdlałe palce Mariusza omal nie wypuściły pistoletu. Jondrette, ujawniając, kim jest, nie wywołał żadnego wzruszenia w panu Białym, lecz wstrząsnął głęboko Mariuszem. To nazwisko "Thénardier", którego pan Biały zdawał się nie znać wcale, było dobrze znane Mariuszowi! Przypomnijmy sobie, czym było dla niego! Nazwisko to, zapisane w testamencie ojca, nosił niegdyś na sercu. Teraz nosił je w myśli, nosił je w głębi pamięci, w tym świętym zleceniu: pewien człowiek, nazwiskiem Thénardier, uratował mi

życie. Jeśli syn mój spotka go kiedykolwiek, niech zrobi dlań wszystko, co będzie w jego mocy”. To nazwisko, jak pamiętamy, było jednym z najświętszych wspomnień jego duszy; otaczał je czią, łącząc zawsze z nazwiskiem swego ojca. Jakże to? Więc to był ów Thénardier, ów karczmarz z Montfermeil, którego od tak dawna na próżno szukał? Odnalazł go wreszcie, ale jak? Ten wybawca jego ojca był bandytą! Ten człowiek, któremu Mariusz tak żarliwie pragnął się poświęcić, był potworem! Ten wybawiciel pułkownika Pontmercy zamierzał właśnie w tej chwili dokonać gwałtu, którego istoty Mariusz wprawdzie jeszcze dokładnie nie znał, lecz który zakrawał na morderstwo; i to kogo chciał zamordować? Boże wielki! Co za fatalny splot wypadków! Jaka gorzka ironia losu! Z głębi mogiły ojciec nakazywał mu zrobić dla Thénardiera wszystko, co będzie w jego mocy. Od czterech lat Mariusz nie przestawał myśleć o tym, by spłacić dług ojca; i właśnie w chwili gdy miał wydać w ręce sprawiedliwości zbrodniarza popełniającego zbrodnię, przeznaczenie zawołało: “To Thénardier!” Nareszcie mógł zapłacić temu człowiekowi, który uratował życie ojca pod gradem kul na bohaterskim polu Waterloo; i to zapłacić czym? Stryczkiem! Obiecywał sobie tylekroć, że jeśli odnajdzie kiedykolwiek Thénardiera, upadnie mu do nóg. I oto odnalazł go, istotnie, ale by go wydać w ręce kata. Ojciec przykazywał mu: “Wspomóż Thénardiera”; a on odpowiadał na ten święty, umiłowany głos - gubiąc Thénardiera. Cóż to za widok dla ojca, w grobie: człowiek, który go z narażeniem własnego życia wyrwał niegdyś śmierci, zostanie ścięty na placu Św. Jakuba, i to za sprawą syna, za sprawą Mariusza, któremu w spadku przekazał był tego człowieka! Cóż to za drwina - po to nosić tak długo na piersi ostatnią wolę ojca, spisana jego ręką, by postąpić wbrew jej nakazom?! Ale z drugiej strony, być świadkiem tej zasadzki i nie przeciwdziałać jej? Jakże to? Poświęcić ofiarę, a oszczędzić mordercę? Czyż wobec takiego nikczemnika obowiązuje jakakolwiek wdzięczność? Wszystkie myśli, którymi Mariusz żył od czterech lat, zostały jakby przesyte na wskroś tym nieoczekiwanym ciosem. Drżał. Wszystko zależało od niego. Trzymał w ręku los tych istot, które, nieświadome tego, miały się przed jego oczyma. Jeśli wystrzeli z pistoletu, pan Biały ocaleje, a Thénardier będzie zgubiony; jeśli nie wystrzeli, pan Biały będzie stracony, Thénardier - kto wie? - wyjdzie cało. Czy zgubi jednego, czy pozwoli zginąć drugiemu, i tak zawsze będzie miał wyrzuty sumienia. Co robić? Co wybrać? Sprzeniewierzyć się nakazowi pamięci, sprzeniewierzyć się najgłębszym zobowiązaniom, powziętym wobec samego siebie, sprzeniewierzyć się najświętszemu obowiązkowi, zleconemu wyraźnie w ostatniej woli ojca - czy pozwolić na popełnienie zbrodni? Zdawało mu się, że słyszy z jednej strony błagania swojej “Urszuli”, by ratował jej ojca, a z drugiej głos pułkownika, polecający mu los Thénardiera. Czuł, że ogarnia go szaleństwo. Kolana ugięły się pod nim, a scena, na którą patrzył, rozgrywała się z taką

gwałtownością, że nie miał nawet czasu, by ją dobrze rozważyć. Był to istny wir, przez chwilę zdawało mu się, że panuje nad nim, ale oto wir ten pochwycił i jego. Był bliski omdlenia.

Tymczasem Thénardier (nie będziemy go już odtąd nazywali inaczej) przechadzał się tam i z powrotem przed stołem w jakimś obłądnym, triumfalnym podnieceniu.

Schwycił całą garścią świecę i postawił ją na kominku tak gwałtownie, że omal nie zgasła, a łój opryskał ścianę. Po czym odwrócił do pana Białego straszliwą twarz i bluznął:

- A co! Mam cię, ptaszku! Wpadłeś na całego! Nie ujdzie ci to na sucho!

I znowu zaczął chodzić, wybuchnąwszy z niepohamowaną gwałtownością.

- A! - wołał - odnalazłem cię nareszcie, mości filantropie! Obdarty milionerze! Ofiarodawco lalek, ty stary bęcwale! Aa! pan mnie nie poznaje! Nie! To może nie ty byłeś u mnie w Montfermeil, w mojej karczmie, osiem lat temu, w wieczór wigilijny w 1823 roku? To nie ty uprowadziłeś ode mnie dziecko Fantyny, Skowronka? To nie ty miałeś wtedy na sobie żółty surdut, co? A w rękę tobołek z przyodziewkiem, tak samo, jak tutaj dziś rano?! Patrzaj no, żono, on chyba ma manię roznoszenia po domach tobołków z wełnianymi pończochami! Widzicie go, miłosierny staruch! Czy masz sklep z pończochami, mości milionerze, i rozdajesz biednym swój asortyment, świątobliwy człeku? Co za błazen! A więc nie poznajesz mnie? Ale za to ja cię poznaję! Poznałem cię od razu, jakieś tu wetknął swą mordę! No, teraz zobaczysz, że nie zawsze tak ładnie i składnie można wejść do czyjegoś domu pod pozorem, że to tylko oberża, wejść w nędznym ubiorze, z miną biedaka, która aż prosi o jałmużnę, oszukiwać ludzi udając hojnego, odbierać im zarobek i odgrażać im się w lesie. A potem, kiedy się ich już zniszczyło do szczytu, obdarzać ich zbyt wielką salopą i dwoma nędznymi, szpitalnymi kocami! Myślisz, że to wyrównało nasze rachunki, stary obwiesiu, złodzieju dzieci?!

Umilkł i zdawał się przez chwilę rozmawiać sam ze sobą. Rzekłbyś, że jego wściekłość, jak Rodan, przepadła w jakiejś podziemnej czeluści. A potem, jakby kończąc głośno to, co sobie powiedział po cichu, stuknął pięścią w stół i wrzasnął:

- Ach, ta jego dobrotliwa mina!

Po czym dalej urągał panu Białemu:

- Do diaska! Zakpiłeś sobie kiedyś ze mnie. Jesteś sprawcą wszystkich moich nieszczęść! Za tysiąc pięćset franków dostałeś dziewczynę, która była u mnie, a której rodzice byli z pewnością bogaci. Przyniosła mi już sporo pieniędzy, a mogłem żyć z niej do końca moich dni! Dziewczynę, która by mi zwróciła wszystko, com stracił w tej przeklętej garkuchni, gdzie forsa płynęła jak woda i gdzie przejadłem, jak ostatni kiep, cały dobytek.

Bodaj wszystko wino, które kiedykolwiek u mnie wypito, zamieniło się w truciznę dla tych, co je wypili! Ale pal sześć! Powiedz no, musiałeś zdrowo natrzasać się ze mnie, kiedyś sobie poszedł ze Skowronkiem? Ale miałeś w lesie swoją pałkę! Byłeś silniejszy. Wet za wet! Dzisiaj moje na wierzchu! Wpadłeś, kruszyno! Wpadłeś! Ho, ho, boki zrywać ze śmiechu! Doprawdy, boki zrywać! Ale dałeś się wziąć na fundusz! Naopowiadałem mu, że jestem aktorem, że się nazywam Fabantou, że grywałem kiedyś z panną Mars, że gospodarz żąda zapłaty jutro, to znaczy 4 lutego, a on ani się spostrzegł, że przecież czynsz się płaci 8 stycznia, a nie 4 lutego. Taki dureń! I przynosi mi głupie cztery dwudziestki! Łajdak! Nie raczył nawet dać całych stu franków. A jak się dał nabrać na moje koszałki-opałki! Ubawiłem się setnie! Mówiłem sobie: "Czekaj, ty barania głowo! Mam cię! Rano liżę ci łapy! Wieczorem wyrwę ci serce z piersi!"

Thénardier umilkł. Był zadyszany. Jego wąskie, zapadnięte piersi pracowały jak kowalskie miechy. W oczach płonęła nikczemna radość istoty słabej, okrutnej i podłej, która nareszcie może powalić tego, kogo się lękała, i znieważać tego, komu schlebiała, radość karła, który postawił nogę na głowie Goliata, radość szakala, który zaczyna rozszarpywać chorego byka, na tyle martwego, żeby już się nie mógł bronić, na tyle żywego, żeby jeszcze mógł cierpieć.

Pan Biały nie przerywał mu, ale gdy on sam przerwał, rzekł:

- Nie rozumiem, co pan mówi. Pan się myli. Jestem człowiekiem biednym, a nie żadnym milionerem. Nie znam pana. Pan mnie bierze za kogo innego.

- Aa! - ryknął Thénardier. - Bujanie gości! Upierasz się przy tych bzdurach! Bredzisz, gagatku! A, nie przypominasz sobie? Nie widzisz, kim jestem?!

- Przepraszam bardzo - odpowiedział pan Biały uprzejmym tonem, który w podobnej chwili zabrzmiał dziwnie i mocno - widzę, że pan jest bandytą!

Któż nie zauważył, że istoty podłe łatwo się obrażają, że potwory bywają drażliwe. Na dźwięk słowa: "bandyta", Thénardierowa zerwała się z barłogu, a Thénardier chwycił krzesło, jakby chciał je złamać w rękach.

- Nie ruszaj się! - krzyknął do żony. I zwracając się do pana Białego zawołał:

- Bandyta? Tak, wiem, że tak nas nazywacie, panowie bogacze! Ano cóż, zbankrutowałem, to prawda, ukrywam się, nie mam chleba, nie mam złamanego grosza -jestem bandytą! Od trzech dni nic nie miałem w ustach - jestem bandytą! Tak! A wy, wy sobie grzejecie nogi, macie trzewiki od Sakowskiego, nosicie watowane salopy, niczym arcybiskupi; mieszkacie na pierwszym piętrze w eleganckich domach, z portierem w bramie, zajadacie trufle, zajadacie szparagi - po czterdzieści franków pęczek w styczniu! - zielony

groszek, obżeracie się, a jak chcecie wiedzieć, czy jest zimno na dworze, to sprawdzacie w gazecie, ile też stopni pokazuje termometr inżyniera Chevalier. A my? My sami jesteśmy termometrem! My nie potrzebujemy chodzić na bulwar do wieży zegarowej patrzeć, ile jest stopni, bo nam krew krzepnie w żyłach i mróz dochodzi aż do serca. I mówimy sobie: "Nie ma Boga w niebie!" A wy przychodzicie do nor - tak, do naszych nor! Nazywać nas bandytami! Ale my was zjemy! Ale, biedactwa moje, my was pożremy! Wiedz jedno, mości milionerze: byłem człowiekiem jako tako urządzonym, miałem patent, byłem wyborcą, jestem obywatelem, ja, a pan, mój panie, może wcale nim nie jest!

Tu Thénardier postąpił krok ku ludziom stojącym przy drzwiach i dodał rozdygotanym głosem:

- I pomyśleć, że taki śmie do mnie mówić jak do kopyciarza.

Po czym zwrócił się znów do pana Białego, krzycząc w przyływie wzmożonej wściekłości:

- I wiedz jeszcze jedno, mości filantropie! Nie jestem człowiekiem podejrzanym, nie jestem człowiekiem, którego nazwiska nikt nie zna; który łązi po domach i wykrada dzieci! Jestem dawnym żołnierzem francuskim, miałem dostać order! Byłem pod Waterloo, w bitwie uratowałem życie jednemu generałowi, co się nazywał hrabia jakoś tam. Powiedział mi swoje nazwisko: ale, miał już, cholera, tak słaby głos, że nie dosłyszałem. Usłyszałem tylko: *merci*. Wolałbym usłyszeć jego nazwisko niż podziękowanie. To by mi pomogło potem go odnaleźć. A ten obraz, który tu widzisz, malowany przez Davida w Brukseli, wiesz, kogo przedstawia? Mnie! David chciał uwiecznić ten bohaterski czyn. To ja dźwigam tego generała na grzbiecie i wynoszę go spod gradu kul. Tak to było! A ten generał nawet mi nic dobrego nigdy nie zrobił i tyle samo był wart co i wszyscy inni! A ocalałem go z narażeniem własnego życia i mam na to kupę świadectw! Jestem żołnierzem spod Waterloo, do kroćset tysięcy diabłów! A teraz, kiedy łaskawie powiedziałem ci o tym, kończmy naszą rozmówkę. Potrzeba mi pieniędzy, potrzeba mi dużo pieniędzy, potrzeba mi bardzo dużo pieniędzy albo cię zamorduję, do stu piorunów!

Mariusz opanował nieco wzburzenie i słuchał. Ostatnie wątpliwości rozwiąły się. Był to istotnie ów Thénardier z testamentu. Mariusz zadrżał na zarzut niewdzięczności zrobiony jego ojcu, którego on sam niemal nie potwierdził tak tragicznie. Niezdecydowanie jego wzrosło. Ponadto w słowach Thénardiera, w jego tonie, w ruchach, w spojrzeniu, które krzeszało ogień z każdego słowa, w całym tym wybuchu podłej natury odsłaniającym wszystko, w tym splocie przechwałek i nikczemności, pychy i małości, wściekłości i głupoty, w tym bezwstydzie złego człowieka, upojonego rozkoszą przemocy, w tym bezczelnym

obnażeniu szpetoty duszy, w tym płomiennym wybuchu cierpień i nienawiści - było coś ohydneho jak zło i przejmującego jak prawda.

Czytelnik już zgadł, że owo dzieło mistrza, ów obraz Davida, którego nabycie Thénardier proponował panu Białemu, był po prostu szyldem jego własnej karczmy, namalowanym, jak pamiętamy, przez niego samego, ostatnim szczątkiem ocalałym z jego bankructwa w Montfermeil.

Ponieważ Thénardier usunął mu się z pola widzenia, Mariusz mógł nareszcie przyjrzeć się obrazowi i w tym nieudolnym malowidle rozpoznał rzeczywiście bitwę, tło z dymu i człowieka niosącego na plecach drugiego człowieka. Byli to Thénardier i Pontmercy, sierżant-wybawca i wybawiony pułkownik. Mariusz był jak odurzony; obraz ten zdawał się wskrzeszać jego ojca: nie był to już szyld karczmy z Montfermeil, lecz zmartwychwstanie; mogiła się otworzyła i wstało z niej widmo. Mariusz słyszał, jak mu tętna biją w skroniach. W uszach grały mu działa spod Waterloo, ojciec, krwią zbroczony, namalowany niewyraźnie na tym ponurym obrazie, przerażał go: zdawało mu się, że ta bezkształtna postać spogląda na niego przenikliwie.

Thénardier, który oddychał już spokojniej, wlepił w pana Białego nabiegłe krwią źrenice i rzekł cicho, a dobitnie:

- Co masz do powiedzenia, nim ci zagramy do tańca?

Pan Biały milczał. Wśród tej ciszy jakiś ochrypty głos odezwał się z korytarza ze złowrogą drwiną:

- Względem rąbania drzewa to już jestem gotów!

To cieszył się człowiek z toporem. Równocześnie przez drzwi zajrzała olbrzymia twarz, ziemista i porośla szczecina, ukazując w ohydym uśmiechu nie zęby, lecz kły.

Była to twarz człowieka z toporem.

- Czemu, zdjąłeś maskę? - krzyknął nań z wściekłością Thénardier.

- Żeby się śmiać! - odpowiedział tamten.

Od dawnego czasu pan Biały zdawał się śledzić uważnie każdy ruch Thénardiera, który, zaślepiony i oślepiiony własną wściekłością, chodził tam i z powrotem po swej norze, z pewnością siebie, jaką dawało mu przeświadczenie, że drzwi są strzeżone, że trzyma zbrojną ręką bezbronno człowieka i że jest ich dziewięciu na jednego (licząc Thénardierową tylko za jednego mężczyznę). Besztając ostro człowieka z toporem odwrócił się plecami do pana Białego.

Pan Biały wykorzystał ten moment, odepchnął nogą krzesło, a pięścią stół i z niewiarygodną zwinnością, nim Thénardier zdołał się odwrócić, jednym susem znalazł się przy oknie.

Otworzyć je, skoczyć na nie, przerzucić nogę za parapet było dziełem jednej chwili. Połowa ciała znalazła się już na zewnątrz, gdy sześć mocnych rąk uchwyciło go i gwałtownie wciągnęło z powrotem do izby. To trzech “zdunów” rzuciło się na niego. Jednocześnie Thénardierowa złapała go za włosy.

Na zgiełk, który przy tym powstał, nadbiegli z korytarza inni bandyci. Stary, który siedział na łóżku i wydawał się pijany, zlął z barłogu i zataczając się zbliżył się także, z młotem do rozbijania kamieni w rękę.

Jeden ze “zdunów”, którego uczernioną twarz oświetlała świeca i w którym - mimo tego uczernienia - Mariusz rozpoznał Panchauda, zwanego też Wiosennym albo Urwipołciem, podniósł nad głową pana Białego rodzaj żelaznej pałki, mającej po obu końcach kule z ołowiu.

Mariusz nie mógł dłużej patrzeć na to spokojnie. “Daruj mi, ojcze” - pomyślał. I palcem poszukał cyngla pistoletu. Już miał paść strzał, gdy nagle rozległ się głos Thénardiera:

- Nie robić mu nic złego!

Rozpaczliwy wysiłek ofiary zamiast bardziej rozwścieczyć Thénardiera, uspokoił go. Było w nim bowiem dwóch ludzi: człowiek dziki i człowiek zręczny. Do tej pory, w upojeniu triumfu wobec ofiary, powalonej i nie dającej znaku życia, przemawiał człowiek dziki; kiedy ofiara zaczęła się bronić i usiłowała walczyć, obudził się w nim człowiek zręczny i wziął górę nad dzikusiem.

- Nie robić mu nic złego! - powtórzył, nie domyślając się, że tym rozkazem powstrzymał przede wszystkim gotowy do strzału pistolet i obezwładnił Mariusza; znikła bowiem konieczność natychmiastowej interwencji i wobec tej nowej sytuacji Mariusz uznał, że może jeszcze poczekać. Kto wie? Może zajdzie jeszcze jakaś pomyślna okoliczność, która uwolni go od okrutnego wyboru między wydaniem na zgubę ojca Urszuli a zgubieniem wybawcy pułkownika.

Rozpoczęła się herkulesowa walka. Jednym uderzeniem pięści w samą pierś pan Biały powalił starego na podłogę, dwoma ciosami na odlew położył dwóch innych napastników i przygniótł każdego kolaniem; przyduszeni nędznicy rżęzili jak pod ciężarem młyńskiego kamienia. Lecz czterej pozostali bandyci chwycili straszliwego starca za obie ręce i za kark i trzymali go, siedzącego okrakiem na powalonych “zdunach”. W ten sposób, pokonawszy jednych, pokonany przez drugich, gniotąc tych, których miał pod sobą, dławiony przez tych,

co siedzieli na nim, szamocząc się daremnie z przemocą, która się na niego zwała, pan Biały ginął pod skłębioną gromadą opryszków, jak odyniec pod skowyczącą sforą ogarów.

Zdołali go wreszcie powalić na łóżko stojące w pobliżu okna i tam opanować. Thénardierowa nie puściła z rąk jego włosów.

- Nie wtrącaj się do tego - rzekł jej Thénardier. - Podrzesz sobie szal. - Ustuchała, jak wilczyca słucha wilka, z niechętnym pomrukiem.

- A wy - dodał Thénardier - przetrząsnijcie mu kieszenie.

Zdawało się, że pan Biały zaniechał oporu. Przeszukano mu kieszenie. Miał w nich tylko skórzaną sakiewkę zawierającą sześć franków i chustkę do nosa.

Thénardier wsunął sobie chustkę do kieszeni.

- Co? Nie ma pugilaresu? - zapytał.

- Ani zegarka - odpowiedział jeden ze "zdunów".

- Ano tak - mruknął głosem brzuchomówcy człowiek w masce trzymający ogromny klucz. - To tęgi gracz.

Thénardier poszedł do kąta koło drzwi, wziął pęk postronków i rzucił go im.

- Przywiążcie go do nogi łóżka! - rzekł. I spostrzegając starego, który leżał bez ruchu na podłodze, powalony ciosem zadany mu przez pana Białego, zapytał:

- Czy Boulatruelle zabity?

- Nie - odparł Urwipołec. - Pijany.

- Odsuńcie go w ką! - rzekł Thénardier.

Dwóch "zdunów" nogami popchnęło pijaka w stronę kupy żelastwa.

- Babet, na co ich tyłu przyprowadziłeś? - zapytał szeptem Thénardier człowieka z pałką. - To zupełnie niepotrzebne!

- Cóż chcesz - odrzekł tamten - wszyscy się napraszali. Ogórki. Nie ma widoku na żadną robotę.

Barłóg, na który powalono pana Białego, przypominał szpitalną pryczę, wspartą na czterech z grubsza ociosanych, drewnianych podpórkach. Pan Biały nie bronił się. Bandyci skrepowali go na stojąco i przywiązali mocno do nogi łóżka, w miejscu najdalszym od okna i najbliższym komina.

Gdy ostatni węzeł został zaciągnięty, Thénardier przysunął sobie krzesło i siadł prawie naprzeciw pana Białego. Odmienił się całkowicie; w ciągu paru chwil wyraz jego twarzy przeszedł od szaleńczej wściekłości do łagodnej i chytrej słodyczy. Mariusz ledwo mógł rozpoznać w tym układnym uśmiechu biuralisty bestialskie usta, które przed chwilą pieniały



się złością; z osłupieniem obserwował tę fantastyczną i niepokojącą przemianę i doświadczał uczuć człowieka, który patrzyłby na tygrysa zmieniającego się w adwokata.

- Proszę pana... - zaczął Thénardier.

I oddalając ruchem ręki zbójów, którzy przytrzymywali jeszcze pana Białego, rzekł:

- Odsuńcie no się trochę i dajcie mi porozmawiać z panem.

Wszyscy cofnęli się ku drzwiom, a on ciągnął:

- Źle pan zrobił próbując wyskoczyć przez okno. Mógł pan sobie złamać nogę. Teraz, jeśli pan pozwoli, porozmawiamy spokojnie. Naprzód muszę się z panem podzielić pewnym spostrzeżeniem, jakie zrobiłem: pan jeszcze nie krzyknął ani razu.

Thénardier miał rację: tak było istotnie, choć Mariusz w swoim wzburzeniu nie zwrócił na ten szczegół uwagi. Pan Biały wymówił zaledwie parę słów, nie podnosząc wcale głosu, i nawet w czasie walki przy oknie z sześcioma zbójami zachował najgłębsze i najosobliwsze milczenie. Thénardier mówił dalej:

- Gdyby pan pokrzyczał sobie trochę: “Ratunku! Ratunku!”, nie uważałbym tego za niewłaściwe. Mój ty Boże! “Na pomoc! Bandyci!”, tak się przecie zwykle woła w takich razach i jeśli o mnie chodzi, nie wziąłbym tego panu za złe. To rozumiałe, że człowiek narobi trochę hałasu, kiedy się znajdzie w towarzystwie osób, które nie wzbudzają w nim zbyt dużego zaufania. I gdyby pan tak postąpił, nikt by panu nie przeszkodził; nawet nie zakneblowalibyśmy panu ust. Zaraz panu powiem dlaczego. Otóż dlatego, że z tej izby nie przedostaje się na zewnątrz żaden hałas. Innych zalet nasza izba nie ma, ale tę jedną posiada. To istny loch. Mogłaby tu bomba wybuchnąć, a na najbliższym odwachu słychać by było tyle co chrapanie pijaka. Tutaj wystrzał z armaty zmieniłby się w “bum!”, a grzmot w “paf!” Wygodne mieszkanie. No, ale pan nie narobił krzyku, to i lepiej, moje uznanie! Ale powiem panu zaraz, jaki z tego wyciągam wniosek: kiedy się krzyczy, drogi panie, to kto przychodzi? Policja. A tuż za policją? Sprawiedliwość. Otóż, pan nie krzyczał: więc widocznie, tak samo jak my, nie życzy pan sobie przybycia policji ani sprawiedliwości. Od dawna już się domyślam, że pan ma jakiś interes w tym, żeby coś ukryć. Nam też na tym zależy, możemy więc dojść do porozumienia.

Mówiąc to Thénardier nie spuszczał wzroku z pana Białego i zdawał się przewiercać ostrzem swych źrenic najtajniejsze myśli swego więźnia. Zresztą mowa jego, nacechowana jakimś utajonym i umiarkowanym zuchwalstwem, była uprzejma, a nawet wyszukana; w tym nędzniku, który jeszcze przed chwilą był zwykłym bandytą, czuło się teraz “człowieka, który się kierował na księdza”.

Trzeba przyznać, że milczenie, jakie zachowywał więzień, ta ostrożność, posunięta aż do lekceważenia troski o własne życie, to powściągnięcie pierwszego, naturalnego odruchu, jakim jest wołanie o pomoc, wszystko to od czasu uwagi wypowiedzianej przez Thénardiera dręczyło i niemile dziwiło Mariusza.

Uzasadnione spostrzeżenie Thénardiera pogłębiało jeszcze w oczach Mariusza tajemniczy mrok, jaki otaczał tę dziwną, poważną postać, której Courfeyrac rzucił przydomek “pana Białego”. Ale kimkolwiek był ten człowiek, skrzepowany sznurami, otoczony przez oprawców, do połowy pogrążony, rzecz można, w przepaści, w której z każdą chwilą zagłębiał się coraz bardziej, pozostał on niewzruszony, zarówno wobec wściekłości Thénardiera, jak i jego układnej słodyczy. I Mariusz nie mógł nie podziwiać w podobnej chwili tej twarzy, pełnej dostojnego smutku.

Była to najwyraźniej dusza, do której bojaźń nie ma dostępu i która nie zna uczucia paniki. Był to jeden z tych ludzi, którzy panują nad sobą w beznadziejnych sytuacjach, mimo całej rozpaczliwości swego położenia, mimo nieuniknionej katastrofy; nie było w tym wszystkim nic z konwulsyjnej agonii topielca, który otwiera pod wodą przerażone oczy.

Thénardier podniósł się bez ostentacji, podszedł do komina, odsunął parawan, oparł go o sąsiednie łóżko i odsłonił w ten sposób pełen żaru piecyk, w którym więzień mógł zobaczyć rozpalone do białości obce migocące tu i ówdzie szkarłatnymi gwiazdkami.

Po czym znów usiadł naprzeciw pana Białego.

- Wracam do naszej sprawy - rzekł. - Możemy dojść do porozumienia. Załatwmy to po przyjacielsku. Źle zrobiłem, żem się uniósł przed chwilą, sam nie wiem, co mi strzeliło do głowy, zagalopowałem się i nagadałem głupstw. Na przykład dlatego, że pan jest milionerem powiedziałem, że żądam pieniędzy, dużo pieniędzy, mnóstwa pieniędzy! To by nie miało sensu. Mój ty Boże, co z tego, że pan jest bogaty; pan też ma wydatki, któż ich nie ma?! Nie chcę pana zrujnować, nie jestem ostatecznie zdziercą! Nie należę do ludzi, którzy mając przewagę wykorzystują ją w głupi sposób. Niech tam! Niech stracę i też poniosę ofiarę. Trzeba mi tylko dwustu tysięcy franków.

Pan Biały nie wyrzekł ani słowa. Thénardier ciągnął:

- Sam pan widzi, że ja do zgody jak ryba do wody. Nie znam pańskiego stanu majątkowego, ale wiem, że pan nie jest dusigroszem; człowiek tak miłosierny jak pan może dać dwieście tysięcy franków ojcu rodziny, który znalazł się w potrzebie. Pan też na pewno jest rozsądnym człowiekiem i nie sądzi chyba, że zadałem sobie tyle trudu i urządziłem tak wszystko na dzisiejszy wieczór - a zdaniem wszystkich tu obecnych panów, to jest dobra robota! - tylko po to, aby poprosić pana o mały datek na szklaneczkę wina i kawałek mięsa!

Taka robota warta jest dwustu tysięcy franków. A jak już ta bagatelka wyfrunie z pańskiej kieszeni, to ręczę słowem, że sprawa załatwiona i włos panu z głowy nie spadnie. Pan mi na to powie: “Ależ ja nie mam przy sobie dwustu tysięcy!” Och, ja nie jestem aż tak wymagający! Wcale ich nie żądam natychmiast. Proszę tylko o jedno: niechaj pan zrobi mi tę grzeczność i napisze to, co mu podyktuję!

Tu urwał, po czym dodał z naciskiem, uśmiechając się w stronę żelaznego piecyka:

- Uprzedzam, iż nie uwierzę w to, że pan nie umie pisać!

Tego uśmiechu mógłby Thénardierowi pozazdrościć sam wielki inkwizytor.

Thénardier przysunął stół aż do pana Białego, wyjął kałamarz, pióro i arkusz papieru z szuflady, którą zostawił wysuniętą. Lśniło w niej długie ostrze noża. Położył arkusz papieru przed panem Białym.

- Proszę pisać.

Więzień przemówił nareszcie:

- Jakże mam pisać? Jestem związany.

- Prawda! Przepraszam! - rzekł Thénardier. - Ma pan słuszość!

I zwrócił się do Urwipołcia:

- Odwiąż panu prawą rękę.

Panchaud, zwany Wiosennym, zwany też Urwipołciem, wykonał rozkaz Thénardiera. Kiedy więzień miał już prawą rękę wolną, Thénardier umoczył pióro w atramencie i podał mu:

- Zwracam pańską uwagę - rzekł - że jest pan w naszej mocy, że jest pan zdany całkowicie na naszą łaskę i niełaskę, że żadna siła ludzka pana stąd nie wyrwie i że byłoby nam doprawdy bardzo niemiło, gdybyśmy byli zmuszeni uciec się do przykrych ostateczności. Nie znam ani pańskiego nazwiska, ani adresu; ale uprzedzam, że pan pozostanie tu skrepowany aż do powrotu osoby, która zanieśnie napisany przez pana list. A teraz proszę pisać.

- Co mam pisać? - zapytał więzień.

- Podyktuję panu.

Pan Biały ujął pióro. Thénardier zaczął dyktować: “Moja córko...”

Więzień drgnął i podniósł wzrok na Thénardiera.

- Niech pan napisze: “Kochana córko!” - rzekł Thénardier. Pan Biały usłuchał.

Thénardier dyktował dalej: “Przybądź natychmiast”.

Przerwał.

- Pan do niej mówi “ty”, prawda?

- Do kogo? - zapytał pan Biały.

- Do kogóż, u licha! - odparł Thénardier. - Do tej małej, do Skowronka!

Pan Biały odpowiedział bez najmniejszego na pozór wzruszenia:

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Niech pan pisze dalej - rzekł Thénardier i zaczął znowu dyktować: “Przybądź natychmiast. Potrzebuję cię niezwłocznie. Osoba, która ci odda ten list, przyprowadzi cię do mnie. Czekam. Przyjdź bez obawy”.

Pan Biały napisał wszystko. Thénardier rzekł nagle:

- Lepiej niech pan skreśli: “przyjdź bez obawy”. To mogłoby nasunąć podejrzenie, że sprawa nie jest tak całkiem w porządku i można się czegoś obawiać.

Pan Biały przekreślił te trzy słowa.

- A teraz - mówił dalej Thénardier - proszę się podpisać. Jak pan się nazywa?

Więzień odłożył pióro i zapytał:

- Do kogo ten list?

- Pan wie doskonale! - odrzekł Thénardier. - Do małej. Przecież już to powiedziałem.

Widoczne było, że Thénardier wyraźnie stara się nie wymieniać imienia dziewczyny, o której była mowa. Nazywał ją “Skowronkiem”, nazywał ją “małą”, ale ani razu nie wymówił jej imienia. Była to przezorność sprytnego człowieka, który nie odsłania swej tajemnicy wobec współników. Powiedzieć imię, byłoby to oddać w ich ręce cały “interes” i udzielić im więcej wiadomości, niż trzeba.

Rzekł znowu:

- Proszę się podpisać. Jak się pan nazywa?

- Urban Fabre - odrzekł więzień.

Thénardier kocim ruchem sięgnął ręką do swej kieszeni i wyciągnął chustkę zabraną panu Białemu. Poszukał monogramu i przybliżył go do świecy:

- U.F. Zgadza się, Urban Fabre. Ano, to niech pan podpisze: “U.F.”

Więzień podpisał.

- Ponieważ do złożenia listu potrzebne są dwie ręce, proszę mi go dać, złożę go.

Zrobiwszy to Thénardier ciągnął dalej:

- A teraz adres: “Panna Fabre, ulica...” Wiem, że pan mieszka niedaleko, gdzieś w okolicy kościoła Św. Jakuba, bo tam chodzą codziennie na mszę; ale nie wiem, na jakiej ulicy. Widzę, że pan rozumie swoje położenie! Jak pan nie skłamał mówiąc swe nazwisko, tak nie skłamię pan, podając swój adres. Niech pan zaadresuje własnoręcznie.

Więzień namyślał się chwilę, potem wziął pióro i napisał: "Panna Fabre, mieszkanie pana Urbana Fabre, ulica Św. Dominika z Piekła 17".

Thénardier pochwycił list z jakimś gorączkowym pośpiechem.

- Żono! - krzyknął.

Thénardierowa podbiegła.

- Bierz list, wiesz, co masz robić. Dorożka czeka na dole. Jedź co tchu i wracaj *idem*. \*

Zwracając się do człowieka z toporem rzekł:

- Ty już zdjąłeś maskę, więc pojedziesz z gospodynią. Na tylnym siedzeniu. Wiesz, gdzie zostawiłeś bryczkę?

- Wiem! - odpowiedział człowiek.

I postawiwszy topór w kącie, wyszedł z Thénardierową. Kiedy już byli w korytarzu, Thénardier wysunął głowę przez uchylone drzwi i zawołał za nimi:

- Uważaj, nie zgub listu, pamiętaj, że masz przy sobie dwieście tysięcy franków!

Ochryply głos Thénardierowej odpowiedział:

- Nie bój się, schowałam go za pazuchę. Nie upłynęła minuta, a usłyszano trzaśnięcia z bicza, które wnet ucichły w oddali.

- Dobra! - mruknął Thénardier. - Ruszyli z kopyta! Tak ostro jadąc, gospodyni będzie z powrotem za trzy kwadransy.

Przystawił krzesło do komina i usiadł na nim, skrzyżowawszy ramiona, przysuwając zabłocone buty do piecyka.

- Zimno mi w nogi - rzekł.

W izbie, prócz Thénardiera i więźnia, zostało tylko pięciu bandytów. Zamaskowane lub posmarowane czymś czarnym twarze tych ludzi, co czyniło z nich - stosownie do wyboru przerażonego oka - węglarzy, Murzynów lub szatanów, były otępiałe i ponure; zbrodnię wykonywali najwidoczniej jak powszednią robotę, spokojnie, bez gniewu, bez litości, jakby ze znużeniem. Stłoczyli się w jednym kącie jak bydło i milczeli. Thénardier grzał sobie nogi. Więzień znów zapadł w swoje milczenie. Posępny spokój zapanował po dzikiej wrzawie, która jeszcze przed chwilą napełniała izbę.

Świeca, na której narósł szeroki grzyb, ledwo oświetlała obszerną norę, żar przygasał, a potworne głowy rzucały bezkształtne cienie na ścianę i powałę. Poza spokojnym oddechem starego pijaka, który spał w najlepsze, nie słychać było żadnego szmeru.

Mariusz czekał, pełen trwogi, którą wszystko wzmagało. Zagadka była w tej chwili bardziej nieprzenikniona niż kiedykolwiek.

Cóż to za “mała”, którą Thénardier nazywał też “Skowronkiem”? Czyżby to była “jego Urszula”? Więzień zdawał się nie reagować na słowo “Skowronek” i odpowiedział Thénardierowi najnaturalniej w świecie: “Nie wiem, o czym pan mówi”. Z drugiej strony wyjaśnione zostały litery “U.F.” - znaczyły one Urban Fabre, a więc “Urszula” nie nazywała się już Urszula. Tę jedyną rzecz Mariusz widział jasno. Jakieś potworne uroczenie przykuło go do miejsca, w którym stał obserwując z góry rozgrywającą się scenę. Stał, niezdolny prawie, aby myśleć lub poruszyć się, jakby obezwładniony widokiem tych okropności widzianych z bliska. Czekał i spodziewał się, że może coś się stanie, choć sam nie wiedział, czego się właściwie spodziewa, nie mogąc zebrać myśli, nie umiając powziąć żadnej decyzji. “W każdym razie - mówił sobie - wkrótce okaże się, czy to ona jest “Skowronkiem”, bo Thénardierowa ma ją tu przyprowadzić. A wtedy, jeśli będzie trzeba, oddam życie i krew, byle ją ocalić. Nic mnie powstrzymać nie zdoła!”

Tak upłynęło z pół godziny. Thénardier zdawał się zatopiony w jakichś nieprzeniknionych myślach. Więzień trwał bez ruchu. Wydawało się jednak Mariuszowi, że od pewnego czasu słyszy koło niego lekki, stłumiony szmer.

Nagle Thénardier zwrócił się do więźnia:

- Panie Fabre, niech tam! Powiem panu wszystko od razu.

Te kilka słów zdawało się zapowiadać jakieś wyjaśnienie. Mariusz nadstawił ucha. Thénardier mówił dalej:

- Moja małżonka wróci tu za chwilę, niech pan będzie cierpliwy. Myślę, że Skowronek jest rzeczywiście pańską córką, i uważam za rzecz całkiem naturalną, żeby pan ją miał przy sobie. Ale niech no pan posłucha. Moja żona przyjedzie do niej z pańskim listem. Kazałem żonie, żeby się ubrała przyzwoicie - jak pan to widział - żeby panienka bez trudności chciała jej towarzyszyć. Wsiądą obie do dorożki, z moim kolegą na tylnym siedzeniu. W pewnym miejscu za rogatkami czeka bryczuszka zaprzężona w parę doskonałych koni. Tam zawiozą pańską córeczkę. Wsiądzie z dorożki. Mój koleżka wsiądzie z nią do bryczuszki, a moja żona wróci tu i powie nam: “Załatwione!” Panience nic się nie stanie złego, bryczuszka zawiezie ją gdzieś, gdzie sobie spokojnie posiedzi, a jak tylko dostanę od pana forszę, to panienkę się panu zwróci. A jeżeli pan każe mnie aresztować, to mój koleżka pogłaszcze Skowronka. To wszystko.

Więzień nie odpowiedział ani słowem. Po przerwie Thénardier ciągnął dalej:

---

\* Tak samo.

- Jak pan widzi, to prosta sprawa. Nic złego się nie stanie, jeśli pan sam nie zechce, aby się coś złego stało. Opowiadam panu wszystko, bez ogródek, żeby pan wiedział, czego się trzymać.

Znów umilkł na chwilę. Więzień nie przerwał swego milczenia, więc Thénardier mówił dalej:

- Jak tylko moja małżonka powróci i powie mi, że Skowronek jest już w dorożce, puścimy pana i będzie pan mógł wrócić na noc do domu. Widzi pan, że nie mamy żadnych złych zamiarów.

Straszliwe obrazy przesuwają się przez wyobraźnię Mariusza. Jak to? Więc porwana dziewczyna nie zostanie tu przywieziona? Jeden z tych potworów ma ją uprowadzić w ciemnościach... Dokąd? A jeśli to Ona? Tak, to na pewno Ona! Mariusz czuł, że mu serce przestaje bić. Co robić? Wystrzelić z pistoletu?

Oddać tych nędzników w ręce sprawiedliwości. Ale wtedy straszny człowiek z toporem i tak wymknąłby się wraz z porwaną dziewczyną, a Mariusz myślał o słowach Thénardiera i zaczynał pojmować ich krwawe znaczenie: "Jeśli pan każe mnie aresztować, mój koleżka pogłaszcze Skowronka".

Teraz powstrzymywało go nie tylko poszanowanie ostatniej woli pułkownika, lecz także miłość i lęk o tę, którą kochał.

Ta okropna sytuacja, która trwała już przeszło godzinę, zmieniała się co chwila. Mariusz znalazł jeszcze siłę, by rozpatrzeć po kolei wszystkie najboleśniejsze przypuszczenia, szukając nadziei i nigdzie jej nie znajdując. Zamęt jego myśli osobliwie kontrastował z grobową ciszą jaskini.

Wśród tego milczenia usłyszano trzaśnięcie drzwi wejściowych, które otwarły się, a potem zamknęły.

Więzień poruszył się w swych więzach.

- Gospodyni wraca - rzekł Thénardier.

Ledwo wymówił te słowa, kiedy rzeczywiście do izby wpadła Thénardierowa, czerwona, zasapana, zadyszana, z płonącymi oczyma i wrzasnęła uderzając się olbrzymimi łapami po udach:

- Fałszywy adres!

Bandyta, którego zabrała ze sobą, ukazał się za nią i wziął swój topór.

- Fałszywy adres? - powtórzył Thénardier.

Kobieta mówiła:

- Nikogo! Żaden pan Urban Fabre nie mieszka pod numerem 17 na ulicy Św. Dominika. Nikt tam o nim nie słyszał! Zatrzymała się, bo jej zabrakło tchu, i mówiła dalej:

- Ten stary wystrychnął cię na dudka, mości Thénardier! Teraz sam widzisz, że jesteś za dobry! Ja tam na twoim miejscu ciachnęłabym mu na początek gębę na czworo, a jak by się stawiał, to bym żywcem go ugotowała! Musiałby powiedzieć, gdzie jest dziewczyna i gdzie jest forsa! Tak, ja bym to zrobiła! Święta racja, że mężczyźni są głupszy od kobiet. Ani żywego ducha pod numerem 17! Cały dom to tylko wielka brama. Żaden pan Fabre nie mieszka na ulicy Św. Dominika. Leć tu, człowieku, na złamanie karku, płac dorożkarzowi - i figa! Gadałam ze stróżem i ze stróżką, ładną, tęgą kobietą. Nawet o takim nie słyszeli.

Mariusz odetchnął. Ona, Urszula czy Skowronek, ta, którą nie wiedział, jakim zwać imieniem, była ocalona.

Podczas gdy rozwścieczona Thénardierowa urągała, Thénardier usiadł na stole; przez jakiś czas pozostawał tak, nie mówiąc ani słowa, bujając prawą nogą w powietrzu i wpatrując się w piecyk z wyrazem ponurej zadumy. Wreszcie odezwał się do więźnia, powoli, ze szczególnym okrucieństwem w głosie:

- Fałszywy adres? I czegoś ty się spodziewał?

- Że zyskam na czasie! - krzyknął więzień grzmiącym głosem.

I równocześnie zrzucił swe więzy: były przecięte. Był już tylko przywiązany do łóżka za jedną nogę.

Zanim siedmiu mężczyzn zdążyło się opamiętać i rzucić na niego, schylił się ku kominkowi, sięgnął ręką do piecyka, potem wyprostował się i nagle Thénardier, Thénardierowa i bandyci, którzy odskoczyli z przerażenia w głąb izby, zobaczyli w osłupieniu, że, prawie wolny i stojący przed nimi w groźnej postawie, podnosi w górę rozpalone do czerwoności, iskrzące się złowieszczym blaskiem dłuto.

Wszczęte później, na skutek zasadzki w ruderze Gorbeau, śledztwo sądowe wykazało, że podczas rewizji żandarmi znaleźli w izbie monetę pięciocentymową, przeciętą i obrobioną w pewien szczególny sposób; groszak ten był jednym z arcydzieł rzemiosła, które cierpliwość galerników rodzi w ciemnościach i dla ciemności, owych arcydzieł, stanowiących narzędzia ucieczki. Te wstrętne i subtelne wytwory zdumiewającej sztuki są w jubilerstwie tym, czym przenośnie gwary złodziejskiej w poezji. Wielu jest takich Benvenuto Cellinich na galeriach, podobnie jak wielu Villonów w literaturze. Nieszczęśnik, który marzy o wolności, potrafi niekiedy bez żadnych narzędzi, za pomocą kozika czy starego noża przepiłować groszak na dwie cienkie blaszki, wyłobić je od wewnątrz, nie naruszając odcisków stempla, naciąć gwint na wewnętrznym obrębie pieniądza, tak aby obie blaszki do siebie na nowo przylegały.



Dają się one wtedy dowolnie zakręcać i odkręcać, tworząc pudełeczko. W tym pudełeczku można schować sprężynę od zegarka, a ta sprężyna, umiejętnie użyta, przecina grube kajdany i żelazne kraty. Wydaje się, że nieszczęśliwy galernik posiada tylko jednego su: złudzenie, on posiada wolność! Taki to właśnie miedziak, rozkręcony na dwie połówki, znalazła w czasie późniejszych dochodzeń policja w izbie Thénardierów, pod łóżkiem koło okna. Znaleziono tam również maleńką piłeczkę z niebieskiej stali, która mogła się zmieścić wewnątrz miedziaka. Pan Biały miał go prawdopodobnie przy sobie, kiedy bandyci zaczęli przeszukiwać mu kieszenie, i zdołał jakoś ukryć w dłoni, a później, mając prawą rękę wolną, rozsrubował go i użył piłki do przecięcia więzów, co tłumaczyłoby ów lekki szmer i nieznaczne ruchy więźnia, które dostrzegł Mariusz. Nie mogąc się schylić, aby się nie zdradzić, nie przeciął więzów lewej nogi.

Po pierwszym momencie zaskoczenia bandyci odzyskiwali przytomność.

- Nie bój się - rzekł Urwipoleć do Thénardiera. - Uwięzany jest jeszcze za jedną nogę i nie ucieknie! Ręczę ci za to! Sam mu wiązałem tego kulasa!

Tymczasem więzień podniósł głos:

- Jesteście nędznikami, ale życie moje niewarte jest obrony. Jeśli jednak wyobrażacie sobie, że moglibyście zmusić mnie, żebym napisał to, czego nie chcę napisać, żebym powiedział to, czego nie chcę powiedzieć, to...

Odwinął rękaw na lewej ręce i zakończył:

- Patrzcie!

Wyciągnął ramię i przytknął do nagiego ciała rozżarzone dłuto, które trzymał w prawej ręce za drewniany trzonek.

Rozległo się syczenie przypalonej skóry, po izbie rozszedł się swąd, właściwy miejscom tortur. Mariusz zachwiał się nieprzytomny ze zgrozy, nawet bandyci zadrżeli, a twarz dziwnego starca prawie nie drgnęła i podczas gdy rozpalone żelazo zagłębiało się w dymiącej ranie, on, niewzruszony i tchnący boskim niemal dostojnością, utkwiał w Thénardierze piękne spojrzenie, pozbawione nienawiści, w którym cierpienie rozplywało się w pogodnej powadze.

U natur wzniosłych i szlachetnych zmagania ciała i zmysłów, wydanych na pastwę fizycznego bólu, ukazują duszę i opromieniają nią czoło, podobnie jak bunty żołdactwa zmuszają wodza do ukazania się.

- Nędznicy! - rzekł. - Możecie się mnie nie lękać, tak jak ja was się nie lękam!

I wyrwawszy żelazo z rany, cisnął je przez otwarte okno; straszliwe, gorejące narzędzie znikło wirując w ciemnościach nocy i spadło gdzieś daleko, aby zgasnąć w śniegu.

Więzień powiedział jeszcze:

- A teraz róbcie ze mną, co chcecie. Był bezbronny.

- Łapcie go! - rzekł Thénardier.

Dwóch bandytów przytrzymało więźnia za ramiona, a człowiek w masce mówiący głosem bruchomówcy stanął przed nim, gotów przy najmniejszym ruchu roztrzaskać mu czaszkę uderzeniem klucza.

Równocześnie Mariusz usłyszał tuż pod sobą, za przepierzeniem, ale tak blisko, że nie mógł dostrzec, kto mówi, taką rozmowę prowadzoną szeptem:

- Zostaje tylko jedno...

- Sprzątnąć go!

To małżeństwo tak naradzało się pod sobą. Thénardier podszedł wolnym krokiem do stołu, wysunął szufladę i wziął z niej nóż.

Mariusz ścisnął w dłoni kolbę pistoletu. Miotła nim nieludzka rozterka. Od godziny już dwa głosy walczyły w jego sumieniu: jeden nakazywał poszanowanie ostatniej woli ojca, drugi wołał o ratunek dla więźnia. Te dwa głosy bez przerwy wiodły ze sobą bój, który go wyczerpywał śmiertelnie. Aż do tej chwili miał jeszcze cień nadziei, że znajdzie jakiś sposób pogodzenia obu obowiązków, ale nie pojawiło się żadne rozwiązanie. Tymczasem niebezpieczeństwo nagliło, minął ostatni okres oczekiwania: Thénardier, o kilka kroków od więźnia, rozmyślał z nożem w ręku.

Mariusz nieprzytomny, powiódł wzrokiem dokoła w ostatnim, instynktownym odruchu rozpacz. Nagle drgnął.

U jego stóp, na stole, jasny promień księżycy w pełni oświetlał i zdawał się wskazywać mu kartkę papieru. Na tej kartce przeczytał parę słów, którego dzisiejszego ranka wypisała wielkimi literami starsza córka Thénardierów: "Salcesony idą!"

Myśl, jak nagły błysk światła, przemknęła Mariuszowi przez głowę: oto sposób, oto rozwiązanie straszliwie dręczącego dylematu, który go nurtował: jak oszczędzić zabójcę i ocalić ofiarę. Ukląkł na komodzie, wyciągnął rękę, chwycił kartkę, oderwał delikatnie bryłkę wapna ze ściany, obwinął ją w kartkę i wrzucił przez szczelinę w przepierzeniu na środek izby.

Czas był najwyższy! Thénardier pokonał swe ostatnie obawy czy ostatnie skrupuły i szedł ku więźniowi.

- Coś spadło! - zawołała Thénardierowa.

- Co takiego? - zapytał mąż.

Baba podbiegła i podniósłszy kawałek wapna, owinięty w papier, podała go mężowi.

- Którędy to wleciało? - zapytał Thénardier.

- A którą miałoby wlecieć, do licha! - odrzekła żona. - Przez okno!

- Widziałem, jak leciało! - rzekł Urwipoleć.

Thénardier szybko rozwinął papier i przysunął go do świecy.

- Pismo Eponiny! O, do diabła!

Skinął na żonę, która żywo podeszła, i pokazał jej słowa napisane na kartce. Po czym dodał głuchym głosem:

- Jazda! Dawać drabinę! Zostawmy szperkę w pułapce i bierzmy nogi za pas!

- Jak to? Nie poderżniemy mu gardła? - zapytała Thénardierowa.

- Nie ma czasu!

- Którędy wiejemy? - odezwał się Urwipoleć.

- Oknem - odrzekł Thénardier. - Ponina rzuciła ten kamień przez okno, to znaczy, że z tej strony dom nie jest obstawiony.

Zamaskowany brzuchomówca położył na ziemi swój olbrzymi klucz, podniósł w górę oba ramiona i trzykrotnie, szybko otworzył i zacisnął dłonie, nie mówiąc przy tym ani słowa. Był to jakby sygnał alarmu dla załogi okrętu. Bandyci, trzymający więźnia, puścili go; w mgnieniu oka drabinka sznurowa została przerzucona przez okno i silnie przymocowana do futryny dwoma żelaznymi uchwytami.

Więzień nie zwracał uwagi na to, co się działo dokoła. Zdawał się marzyć czy modlić. Ledwo drabina została umocowana, Thénardier krzyknął:

- Chodź, kobieto!

I rzucił się do okna. Ale gdy już przerzucał nogę przez parapet, Urwipoleć chwycił go brutalnie za kołnierz.

- O nie, stary francie! Ty wyjdiesz ostatni!

- Ostatni! - zawyli bandyci.

- Nie bądźcie dziećmi! - rzekł Thénardier. - Tracimy czas, a te psy już nam depczą po piętach!

- No to ciągnijmy losy, kto pierwszy - odezwał się jeden z bandytów.

Thénardier wybuchnął:

- Czyście zbzikowali? Czyście poszaleli? A to kupa idiotów! Tracić czas, losować! Co! Jak wolicie, na węzłki, na słomki czy na zapalki? Czy wypisać nazwiska i wrzucić do czapki?...

- A może wolicie do mojego kapelusza? - zawołał jakiś głos od progu.

Wszyscy się odwrócili. Był to Javert.

Trzymał w ręku kapelusz i nadstawiał go z uśmiechem.

## XXI

### Należałoby zawsze zaczynać od aresztowania ofiary

Javert z nadejściem nocy rozstawił swoich ludzi, a sam ukrył się za drzewami ulicy przy rogatce Gobelinów na wprost rudery Gorbeau, po drugiej stronie bulwaru. Na początek “otworzył swój mieszek”, aby do niego złowić dziewczyny pilnujące dostępu do spelunki. Udało mu się jednak “przyskrzynić” tylko Anzelmę. Eponiny nie było na stanowisku, znikła jak kamfora i nie mógł jej złapać. Potem Javert zaczął się znowu, nasłuchując umówionego sygnału. Przyjazdy i odjazdy dorożki bardzo go zaniepokoiły. Wreszcie zniecierpliwił się i pewien, że tam znajduje się “gniazdo” i że mu “się poszczęści”, gdyż poznał wśród wchodzących paru bandytów, zdecydował się wejść, nie czekając na strzał.

Pamiętamy, że miał klucz Mariusza.

Zjawił się w samą porę.

Przerażeni bandyci chwycili za broń, którą w momencie ucieczki porozrzucali po całej izbie. W mgnieniu oka tych siedmiu ludzi o przerażającym wyglądzie stanęło w obronnej postawie, jeden ze swoim toporem, drugi z kluczem, trzeci z pałąką, reszta z obcęgi, dłutami, młotami, Thénardier miał nóż w garści. Thénardierowa schwyciła olbrzymi kamień brukowy, który leżał w kącie pod oknem i służył jej córkom za stołek.

Javert włożył kapelusz na głowę i postąpił dwa kroki w głąb izby z rękami skrzyżowanymi na piersi, z laską pod pachą i szpadą w pochwie.

- Wolnego - rzekł. - Nie wyjdziecie oknem, wyjdziecie drzwiami. Tak będzie zdrowiej. Was jest siedmiu, nas piętnastu. Po co mamy brać się za łby, jak chłopcy z Owernii. Bądźmy grzeczni.

Urwipoleć wyciągnął pistolet, który miał schowany pod bluzą, i wciskając go w rękę Thénardierowi, szepnął mu do ucha:

- To Javert! Nie odważę się do niego strzelić. A ty? Odważysz się?

- No chyba! - odparł Thénardier.

- To strzelaj!

Thénardier wziął pistolet i wycelował w Javerta. Javert, stojący o trzy kroki, spojrzął mu ostro w oczy i ograniczył się do słów:

- Ejże, nie strzelaj! Nie wypali ci!

Thénardier pociągnął za cyngiel. Pistolet nie wypalił.

- A nie mówiłem? - rzekł Javert.

Urwipoleć rzucił mu swoją pałkę pod nogi.

- Jesteś cesarzem szatanów! - zawołał. - Poddaję się.

- A wy? - zapytał Javert resztę bandytów.

Odpowiedzieli:

- My też!

Javert odezwał się spokojnie:

- Tak, to ślicznie! Wiedziałem, że będziecie grzeczni.

- Proszę tylko o jedno - powiedział Urwipoleć. - Żeby mi pozwolono mieć tytoń przez ten czas, jak będę siedział w ciupie.

- Zgoda! - rzekł Javert.

Odwrócił się i zawołał:

- Teraz wejdźcie!

Gromada żandarmów z szablami w ręku i policjantów uzbrojonych w kastety i pałki wpadła do izby na wezwanie Javerta. Skrępowano bandytów. W izbie oświetlonej zaledwie jedną łojówką, zrobiło się ciemno od tego tłoku.

- Obrączki wszystkim! - zawołał Javert.

- Zbliźcie się tylko tutaj! - zawołał głos, który nie był głosem mężczyzny, ale którego też nikt nie mógłby nazwać głosem kobiety.

Thénardierowa wycofała się w kąt koło okna i stamtąd to właśnie wydała ten dziki ryk. Żandarmi i policjanci cofnęli się. Baba odrzuciła szal, lecz miała jeszcze na głowie kapelusz, mąż jej przykucnął za nią, przysłonięty cały zrzuconym szalem, a ona zastawiła go sobą, unosząc oburącz w górę kamień brukowy i kolebiąc się niby olbrzymka miotająca skały.

- Z drogi! - zawołała.

Wszyscy cofnęli się w stronę korytarza. Na środku izby utworzyła się szeroka, pusta przestrzeń. Thénardierowa cisnęła pogardliwe spojrzenie bandytom, którzy pozwolili się skrępować, i mruknęła gardłowym, ochrypłym głosem:

- Tchórze!

Javert uśmiechnął się i wkroczył na pusty środek izby, który Thénardierowa pożerała oczyma.

- Nie zbliżaj się! - zawołała. - Precz albo ci łeb roztrzaskam.

- A to herod-baba! - rzekł Javert. - Jesteś wąsata jak chłop, mamusiu, ale ja mam pazury jak baba!

I podszedł jeszcze bliżej.

Rozzochrana, straszliwa Thénardierowa stanęła w rozkroku, przegięła się w tył i cisnęła z wściekłością kamień w głowę Javerta. Javert schylił się. Kamień przeleciał ponad nim, uderzył w przeciwległą ścianę, wyszczerbił wielką dziurę w tynku i odbijając się od ściany do ściany przetoczył się po całej izbie, na szczęście pustej, aż upadł bezsilnie u nóg Javerta.

W tej samej chwili Javert podszedł do Thénardierów. Jedną wielką dłonią uchwycił żonę za ramię, drugą męża za łeb.

- Obrączki! - krzyknął.

Policjanci wpadli gromadą do izby i w parę chwil rozkaz Javerta został wykonany. Thénardierowa, zupełnie złamana, spojrzała na swoje skrępowane ręce, później na skrępowane ręce męża, osunęła się na ziemię i zawołała z płaczem:

- Moje córki!

- Siedzą w bezpiecznym miejscu! - rzekł Javert.

Tymczasem policjanci, znalazłszy pijaka śpiącego za drzwiami, zaczęli nim potrząsać. Obudził się i wybełkotał:

- A co, Jondrette, już po wszystkim?

- Aha! - odpowiedział Javert.

Sześciu związanych bandytów, stojących na środku izby, zachowało jeszcze swój upiorny wygląd: trzech mieli twarze uczernione, trzech byli w maskach.

- Nie zdejmujcie masek! - powiedział Javert. I, dokonując ich przeglądu spojrzeniem godnym Fryderyka II na paradzie w Poczdamie, rzekł do trzech "zdunów":

- Jak się masz, Urwipołciu? Jak się masz, Brujon? Jak się masz, Dwa Miliardy?

Po czym odwracając się do trzech zamaskowanych, rzekł do człowieka z toporem:

- Jak się masz, Gueulemer?

A do człowieka z pałką:

- Jak się masz, Babet?

A do brzuchomówcy:

- Uszanowanie, Claquesous.

W tej chwili spostrzegł więźnia bandytów, który od wejścia policji nie odezwał się ani słowem i stał z pochyloną głową.

- Rozwiązać tego pana! - rzekł Javert. - I niech nikt stąd nie wychodzi.

Powiedziawszy to rozsiadł się władczo za stołem, na którym stała jeszcze świeca i przybory do pisania, wyjął z kieszeni ostemplowany papier i zaczął spisywać protokół. Gdy napisał pierwsze zdanie stereotypowej formuły wstępnej, podniósł głowę.

- Proszę tu naprzód tego pana - rzekł - którego ci panowie skrupowali.- Policjanci rozejrzeli się dokoła.

- No co? - spytał Javert. - Gdzież on jest? Więzień bandytów, pan Biały, pan Urban Fabre, ojciec Urszuli czy Skowronka, znikł.

Drzwi były strzeżone, ale okna nikt nie pilnował. Podczas gdy Javert pisał, odwiązany pan Biały skorzystał z zamieszania, wrzawy, tłoku i ciemności, i w momencie gdy nikt na niego nie zwracał uwagi, wyskoczył przez okno. Jeden z policjantów podbiegł do okna i wyjrzał. Nie było już widać nikogo, ale drabinka sznurowa jeszcze drżała.

- A niech to wszyscy diabli - mruknął Javert przez zęby. - Ten ptaszek musiał być najlepszy!



## XXII

### Malec, który krzyczał w trzecim tomie\*

Nazajutrz po wypadkach, które zaszły w domu przy bulwarze Szpitalnym, jakiś chłopiec, idąc prawdopodobnie od strony mostu Austerlitzkiego, zdążył prawą, boczną aleją w kierunku rogatki Fontainebleau. Noc już panowała głęboka. Malec był blady, chudy, obdarty, miał płócienne porcięta, mimo że był luty, i wyśpiewywał na całe gardło.

Na rogu ulicy Małego Bankiera jakaś starucha zgięta w pół grzebała w kupie śmieci przy blasku latarni. Malec potracił ją przechodząc i odskoczył z okrzykiem:

- Patrzajcie, ludzie! A ja myślałem, że to ogromny, ogromny pies.

Wymówił po raz drugi słowo “ogromny” z szyderczym naciskiem. Intonację tę najlepiej oddałyby duże litery: “ogromny, OGROMNY pies”.

Stara wyprostowała się, wściekła.

- Ty diabelski pomioście! - warknęła. - Gdybym nie była schylona, wiedziałabym, gdzie cię poczęstować kopniakiem!

Chłopiec już odbiegł dalej.

- Zyg! zyg! - zawołał. - Widzę, że mi się tak bardzo nie pomylił!

Stara, trzęsąc się z oburzenia, wyprostowała się i czerwone światło latarni oświetliło wyraźnie jej siną, pobrużdżoną twarz o zapadniętych policzkach, pociętą siecią tysiąca zmarszczek biegnących od oczu do kącików ust. Cała postać ginęła w cieniu, z którego wyłaniała się tylko głowa. Rzekłbyś, maska zgrzybiałości, wykrojona przez światło z mroków nocy. Chłopiec przyjrzał się jej z uwagą.

- Typ twojej urody, o pani! - rzekł - zgoła mi nie odpowiada!

I ruszył w dalszą drogę, wyśpiewując przerwana piosenkę:

*Król Szczutek, idąc raz*

*Strzelać wrony bez pudła,*

*Na wysokie szczudła wlaź!*

---

\* Pierwsze wydanie “Nędzników” ukazało się w dziesięciu tomach. Tom trzeci był zatem obecnym tomem pierwszym części drugiej pt. “Kozeta”. Malec, który krzyczał, wymieniony jest w rozdziale pt. “Sprawa wody w Montfermeil”. Jest to syn Thénardierów Gavroche.

Zaśpiewał trzy wiersze i przerwał. Stanął właśnie przed numerem 50-52 i zastawszy drzwi zamknięte zaczął w nie kopać ile sił. Te donośne i zawadiackie kopnięcia świadczyły raczej o tym, że nosił męskie buciory, niż o tym, że miał nogi dziecka. A tymczasem ta sama starucha, którą spotkał na ulicy Małego Bankiera, nadbiegła w ślad za nim, wrzeszcząc i wymachując rękami.

- Co się dzieje? Co się dzieje? Drzwi wyłamują? Dom rozwalają czy co, u Boga Ojca?

Kopanie nie ustawało. Starucha darła się na całe gardło.

- To to tak dzisiaj obchodzą się z budynkami!

Nagle stanęła jak wryta. Poznała chłopaka.

- Co? Znowu ten diabeł?!

- A, toż to nasza stara! - rzekł chłopiec. - Uszanowanie jejmości! Przyszedłem odwiedzić rodzicieli.

- Nie ma nikogo, ty durniu! - odpowiedziała stara z nieopisanym grymasem, w którym wyraz nienawiści potęgował się jeszcze dzięki zgrzybiałości i szpetocie oblicza. Niestety, ta niezwykła improwizacja mimiczna zagubiła się w ciemności.

- O! - rzekł chłopiec. - A gdzie to jest mój ojciec?

- W więzieniu La Force.

- Patrzcie państwo! A moja matka?

- U Świętego Łazarza.

- No! No! A siostry?

- U Magdalenek.

Chłopak podrapał się za uchem, spojrział na jejmość Burczymuchę i powiedział:

- Aha!

Po czym wykręcił się na pięcie i po chwili stara, stojąc wciąż na progu, usłyszała, jak śpiewał dźwięcznym, dziecinnym głosem, znikając w cieniu starych więzów, drżących na wietrze zimowym:

*Nasz król Szczutek, idąc raz*

*Strzelać wrony bez pudła,*

*Na wysokie szczudła wlaź,*

*Nie darował nawet psu!*

*Kto tylko wpadł między szczudła,*

*Musiał mu płacić dwa su.*

**Część czwarta**

**Idylla ulicy Plumet  
i epopeja ulicy Św. Dionizego**

**Księga pierwsza**

**Parę kart historii**

# I

## Dobrze skrojone

Rok 1831 i rok 1832 - dwa lata, które łączą się bezpośrednio z rewolucją lipcową, są jednym z najbardziej osobliwych i znamiennych momentów historii. Pośród lat poprzedzających je i następujących po nich - 1831 i 1832 są jak dwie góry. Mają w sobie rewolucyjną wielkość. Widać tam przepaści. Masy społeczne, same fundamenty cywilizacji, zwarty blok nawarstwiających się i mocno powiązanych interesów, wielowiekowe zręby starej formacji francuskiej - ciągle pojawiają się tu i nikną wśród burzliwych chmur systemów, namiętności i teorii. Owo pojawianie się i znikanie nazwano oporem i ruchem. Czasami błyska poprzez nie prawda - to światło ludzkiej duszy.

Ta godna uwagi epoka jest już dostatecznie zamknięta i dostatecznie od nas odległa, abyśmy mogli dziś uchwycić jej główne zarysy.

Spróbujemy.

Okres Restauracji był jedną z owych faz przejściowych, trudnych do scharakteryzowania, w których jest i znużenie, i szum, i pomruki, i senność, i wrzawa, a które oznaczają po prostu osiągnięcie pewnego etapu przez wielki naród. Dziwne te epoki wprowadzają w błąd polityków, którzy chcą je wykorzystać. Z początku naród żąda jedynie odpoczynku. Pragnie tylko jednego: pokoju, ma tylko jedną ambicję: być małym. Czyli, innymi słowy, pragnie pozostać w spokoju. Dość już, na Boga, widziało społeczeństwo wielkich wydarzeń, wielkich wypadków, wielkich czynów, dość już widziało wielkich ludzi; ma ich powyżej uszu. Chętnie oddałoby Cezara za Prusjasza, a Napoleona za króla Yvetot. "Jaki to był z niego zacny, poczciwy król!" Maszerowano od świtu i oto po długim, znojmym dniu nadszedł wieczór. Pierwszy etap przebyto z Mirabeau, drugi z Robespierre'em, trzeci z Bonapartem. Każdy już pada ze zmęczenia. Każdy już wzdycha do łóżka.

Czego szukają, czego domagają się, o co proszą i błagają znużone poświęcenia, postarzałe bohaterstwa, zaspokojone ambicje, zdobyte fortuny? Schronienia. Mają je. Osiągnęły pokój, wytchnienie, odpoczynek: są zadowolone. Jednakże równocześnie pewne fakty wyłaniają się, dają się poznać i kołaczą do drzwi. Te fakty, zrodzone z rewolucji i wojen, istnieją, żyją, mają prawo do zajęcia swego miejsca w społeczeństwie i miejsce to

zajmują; najczęściej fakty są kwatermistrzami, przygotowującymi dopiero kwatery dla zasad i doktryn.

I cóż widzą filozofowie polityki?

Oto wtedy, gdy znużeni ludzie domagają się odpoczynku, dokonane fakty domagają się gwarancji. Gwarancje są dla faktów dokonanych tym, czym dla ludzi jest odpoczynek.

Tego żądała od Stuartów Anglia po panowaniu Protektora<sup>\*</sup>, tego żądała od Burbonów Francja po upadku Cesarstwa.

Te gwarancje są koniecznością epoki. Trzeba je przyznać. Władcy “udzielają ich”, ale w rzeczywistości udziela ich siła samego biegu rzeczy. Tej głębokiej prawdy, którą dobrze jest wiedzieć, nie podejrzewali Stuartowie w 1660 roku i nie dostrzegali jej Burbonowie nawet w roku 1814.

Rodzina królewska, która po upadku Napoleona wróciła do Francji, wierzyła ze zgubną naiwnością, że to ona obdarzyła społeczeństwo i że może dar swój odebrać; wierzyła, że dynastia burbońska posiada prawo boskie, a Francja nie posiada nic zgoła, że prawo polityczne, udzielone w karcie konstytucyjnej Ludwika XVIII, jest tylko gałęzią prawa boskiego, którą dom Burbonów oderwał i łaskawie ofiarował ludowi na tak długo, póki królowi nie przyjdzie ochota odebrać jej z powrotem. Jednakże, z samej przykrości, jaką ten dar im sprawiał, Burbonowie powinni byli zrozumieć, że nie od nich pochodzi.

Dynastia burbońska w XIX wieku była swarliwa: krzywiła się na wszystko, co było rozkwitem narodu. Używając trywialnego określenia, czyli określenia ludowego i trafnego, miała kwaśną minę. I lud to widział.

Dlatego, że Cesarstwo zostało usunięte przed ich oczyma, niby dekoracja teatralna, Burbonowie sądzili, że są silni. Nie dostrzegli, że i oni zostali wysunięci w ten sam sposób. Nie zrozumieli, że są również w mocy tej samej ręki, która usunęła Napoleona.

Sądzili, że są głęboko zakorzenieni, ponieważ byli przeszłością. Mylili się; byli częścią przeszłości, ale całą przeszłością była Francja. Korzenie społeczności francuskiej tkwiły nie w Burbonach, lecz w narodzie. Te ukryte i żywotne korzenie nie tworzyły bynajmniej praw jednej rodziny, lecz dzieje całego narodu. Znajdowały się wszędzie, tylko nie pod tronem.

Dynastia Burbonów była dla Francji wspaniałym i krwawym węzłem jej historii, ale nie była już ani głównym czynnikiem jej przeznaczenia, ani niezbędną podstawą jej polityki. Francja mogła się obejść bez Burbonów; obywała się bez nich przez dwadzieścia dwa lata.

---

<sup>\*</sup> Protektor - Oliver Cromwell (1599-1658), przywódca rewolucji angielskiej XVII w.

Ciągłość została przerwana; Burbonowie nie domyślali się tego. Bo i jakże mogliby się tego domyślać oni, którzy wyobrażali sobie, że Ludwik XVII panował 9 Termidora, a Ludwik XVIII w dniu bitwy pod Marengo? Nigdy jeszcze, od zarania dziejów, władcy nie byli tak ślepi wobec faktów i wobec części władzy boskiej, którą fakty zawierają i wyrażają. Nigdy przyziemne uroszczenia, zwane prawem królów, nie stały w takiej sprzeczności z prawem najwyższym.

Oto błąd zasadniczy, który doprowadził rodzinę Burbonów do naruszenia gwarancji “udzielonych” w 1814 roku i zwanych przez nią ustępstwami. Rzecz smutna! To, co ona nazywała ustępstwami, było naszymi zdobyczami; to, co nazywała naszym wykroczeniem, było naszym prawem.

Mniemając, iż nadeszła jej godzina, Restauracja, pewna, że rozgromiła Bonapartego i zakorzeniła się mocno w kraju, czyli przekonana o swojej sile i trwałości - powzięła nagle decyzję i zaryzykowała uderzenie. Pewnego poranka stanęła przed Francją i podniesionym głosem odmówiła praw zbiorowych i praw indywidualnych: narodowi - suwerenności, obywatelowi - wolności. Innymi słowy, zaprzeczyła narodowi praw do tego, co stanowi istotę narodu, a obywatelowi do tego, co stanowi istotę obywatela.

Oto jest istotna treść słynnych aktów, zwanych ordonansami lipcowymi\*.

Restauracja upadła.

I upadła słusznie. Jednakże, przynajmniej to, nie była ona bezwzględnie wroga wszystkim przejawom postępu. Stała z boku, a przy niej dokonywały się rzeczy wielkie.

W okresie Restauracji naród przyzwyczył się do dyskusowania w spokoju, czego brakło Republice, i do wielkości w czasie pokoju, czego brakło Cesarstwu. Wolna i silna Francja była zachęcającym przykładem dla innych krajów Europy. Za Robespierre'a doszła do głosu rewolucja; za Napoleona doszły do głosu armaty; za Ludwika XVIII i Karola X przyszła kolej na głos rozumu. Wiatr ucichł, pochodnia zapłonęła na nowo. Na pogodnych szczytach zadrgało czyste światło ducha. Widok to wspaniały, użyteczny i uroczy. Przez piętnaście lat, wśród niezmaconego spokoju, widziało się na forum publicznym pracę wielkich idei, tak odwiecznych dla myślicieli, tak nowych dla mężów stanu: równość wobec prawa, wolność sumienia, wolność słowa, wolność prasy, dostęp do wszystkich urzędów dla wszystkich uzdolnień. Trwało to do 1830 roku. Burbonowie byli narzędziem cywilizacji, które złamało się w rękach Opatrzności.

---

\* Ordonanse lipcowe - dekret królewski wydany 25 lipca 1830 r., rozwiązujący Zgromadzenie Narodowe i zmieniający konstytucję. Ordonanse lipcowe stały się bezpośrednim powodem rewolucji lipcowej i upadku króla Karola X.

Upadek Burbonów był pełen wielkości; nie z ich strony wszakże, lecz ze strony narodu. Oni opuścili tron z powagą, ale bez autorytetu, ich zstąpienie w ciemność nie było majestatycznym odejściem, które w historii pozostawia po sobie pewne wzruszenie; nie był to ani widmowy spokój Karola I, ani orli krzyk Napoleona. Odeszli, to wszystko. Złożyli koronę i nie zachowali aureoli. Mieli godność, ale nie mieli dostojeństwa. W pewnej mierze uchybili majestatowi swego nieszczęścia. Karol X, każąc podczas podróży do Cherbourga obciosać okrągły stół na kwadratowy, bardziej chyba troszczył się o zachowanie etykiety, niż o walącą się monarchię. To pomniejszenie zasmuciło ludzi oddanych, którzy kochali ich osoby, i ludzi poważnych, którzy szanowali ich ród. A lud zachował się wspaniale. Naród, zaatakowany zbrojnie pewnego ranka przez swego rodzaju królewskie powstanie, czuł w sobie tyle siły, że nie okazał cienia gniewu. Obronił się, opanował, przywrócił rzeczy na właściwe miejsca, to znaczy rząd oparł na prawie, a Burbonów zesłał na wygnanie i, niestety, zatrzymał się. Wyprowadził starego króla Karola X spod baldachimu, który chronił niegdyś Ludwika XIV, i postawił go ostrożnie na ziemi. Osoby królewskie potraktował ze smutkiem i z pieczołowitością. Nie jeden człowiek, nie paru ludzi, lecz Francja, cała Francja, Francja zwycięska i upojona swym zwycięstwem, zdawała się pamiętać i stosowała na oczach całego świata to głębokie zdanie Wilhelma du Vair, wypowiedziane po dniu walki na barykadach: “Łacno jest tym, co zwykli korzystać z łask możliwych ludzi i jak ptaszę z gałązki na gałązkę przeskakiwać ze stanu upadku do stanu kwitnącej fortuny - łacno jest tym okazywać zuchwalstwo wobec władcy, dotkniętego przeciwnością losu. Wszelako mnie zawsze będzie leżał na sercu los moich królów, szczególnie zaś, gdy popadną w niedolę”.\

Odejściu Burbonów towarzyszył szacunek, ale nie żal. Powiedzieliśmy już, że nie dorośli do swego nieszczęścia. Znikli z widnokregu.

Rewolucja lipcowa natychmiast zyskała sobie w całym świecie przyjaciół i wrogów. Zależnie od swojej natury, jedni pospieszyli do niej z entuzjazmem i radością, inni odwrócili się. Sowy tej jutrzeńki - władcy Europy - w pierwszej chwili zamknęli oczy dotknięci i zdumieni, a otworzyli je, by grozić. Zrozumiałe przerażenie, wytłumaczony gniew. Ta dziwna rewolucja była zaledwie wstrząsem; nie uczyniła nawet tego zaszczytu pokonanej monarchii, by ją traktować jak wroga; nie dopuściła do rozlewu królewskiej krwi. W oczach rządów despotycznych, w których interesie leży zawsze, by wolność sama się zożydziła, rewolucja lipcowa zawiniła tym, że była potężna, pozostając łagodna.

Zresztą nie próbowano przeciw niej żadnych zamachów ani machinacji. Ludzie najbardziej niezadowoleni, gniewni i zatrwożeni chylili przed nią czoło. Niezależnie od



naszych samolubnych chęci i naszych uraz, wydarzenia, w których czuje się współdziałanie kogoś, czyj wysiłek sięga wyżej niż siła człowieka, budzą jakiś tajemniczy szacunek.

Rewolucja lipcowa to triumf prawa obalającego fakt. Rzecz to wspaniała.

Prawo obalające fakt. Stąd wynika blask rewolucji 1830 roku, stąd również wynika jej łagodność. Triumfujące prawo nie potrzebuje posługiwać się gwałtem.

Prawo - to słuszność i prawda.

Właściwością prawa jest wiekuiste piękno i nieskalana czystość. Fakt zaś, nawet na pozór najkonieczniejszy i najzyczliwiej przyjęty przez współczesnych, jeśli istnieje tylko jako fakt i zawiera w sobie zbyt mało prawa albo nie zawiera go wcale, jest nieuchronnie skazany na to, by z czasem się wypaczyć, stać się nieludzkim, może nawet potwornym. Jeśli kto chce się przekonać od razu, do jakiej szpetoty może dojść fakt widziany z odległości wieków, niech spojrzy na Makiawela. Makiawel nie jest ani geniuszem zła, ani szatanem, ani podłym, niegodnym pisarzem. Makiawel jest po prostu faktem. I to faktem nie tylko włoskim, ale faktem europejskim, faktem szesnastego wieku. Wydaje się ohydny i jest taki, ale w świetle pojęć moralnych wieku dziewiętnastego.

Walka prawa i faktu trwa od początków istnienia społeczeństw. Zakończenie tego pojedynku, wcielenie czystej idei w rzeczywistość człowieczą, wzajemne oddziaływanie pokojowe prawa na fakt i faktu na prawo - oto praca i zadanie mędrców.

## II

### Żle zszyte

Ale inna jest praca mędrców, a inna praca ludzi zręcznych.

Rewolucja 1830 roku prędko się zatrzymała.

Gdy rewolucja osiada na mieliźnie, ludzie zręczni rozbierają okręt na kawałki.

Za naszych czasów ludzie zręczni sami nadali sobie miano mężów stanu; przyjęło się to do tego stopnia, że określenie “mąż stanu” stało się niemal wyrażeniem gwarowym. A nie należy zapominać, że tam, gdzie jest tylko zręczność, musi być nieuchronnie miernota. Mówiąc: “ludzie zręczni”, mówi się: “ludzie mierni”.

Podobnie jak mówiąc: “mężowie stanu”, mówi się niekiedy: “zdrajcy”.

Jeśli więc mamy dać wiarę ludziom zręcznym, takie rewolucje jak rewolucja lipcowa to przecięte żyły; trzeba je co rychlej podwiązać. Prawo, głoszone śmiało, wywołuje wstrząsy. Przeto gdy prawo zostało wreszcie umocnione, trzeba wzmocnić państwo. Po zapewnieniu wolności trzeba pomyśleć o władzy.

Do tej pory ludzie mądrzy idą jeszcze zgodnie z ludźmi zręcznymi, ale zaczynają im nie dowierzać. Władza - zgoda. Ale, po pierwsze: co to jest władza? Po drugie: skąd pochodzi?

Ludzie zręczni, tak jakby nie słyszeli szeptanych zastrzeżeń, manewrują nadal.

Według tych polityków, którzy w niezwykle pomysłowy sposób umieją wygodnie dla siebie fikcje ubierać w maskę konieczności, po rewolucji pierwszą potrzebą narodu, gdy naród ten stanowi część kontynentu monarchicznego, jest wyszukanie sobie dynastii. W ten sposób - powiadają - naród może mieć po rewolucji zapewniony pokój, to znaczy czas konieczny do opatrzenia ran i odbudowania domu. Dynastia zaśłania rusztowania i szpitale.

Nie zawsze jednak łatwo jest wynaleźć sobie dynastię.

Na upartego można zrobić króla z pierwszego geniusza lub nawet z pierwszego szczęściarza, który się nadarzy. W pierwszym wypadku macie Napoleona, w drugim Iturbide'a.

Lecz by stworzyć dynastię, nie wystarczy pierwsza lepsza rodzina. Niezbędna jest w tym wypadku pewna starożytność rodu, a zmarszczek stuleci nie można zaimprovizować.

Jeśli przyjmiemy punkt widzenia mężów stanu - ze wszelkimi zastrzeżeniami oczywiście - jakież właściwości powinien mieć król, który wyłonił się z rewolucji? Może on być - i dobrze, jeśli jest - rewolucjonistą, to znaczy dobrze, jeśli brał w rewolucji udział osobisty, przyłożył do niej rękę, skompromitował się w niej lub wsławił, otarł się o jej topór lub walczył szpadą.

Jakie właściwości ma posiadać dynastia? Powinna być narodowa, czyli pośrednio rewolucyjna, nie dzięki spełnionym czynom, lecz dzięki przyjętym ideom. Powinna składać się z przeszłości i być historyczna, składać się z przyszłości i być popularna.

To tłumaczy, dlaczego pierwsze rewolucje poprzestawały na znalezieniu człowieka, na przykład Cromwella czy Napoleona; a dlaczego następne chciały koniecznie znaleźć dynastię – dom Brunszwicki czy dom Orleański.

Domy królewskie podobne są do owych figowców indyjskich, których każda gałąź, schylając się aż do ziemi, zapuszcza w niej korzenie i sama staje się drzewem. Każda gałąź może się stać dynastią. Pod jednym warunkiem, że schyli się aż do ludu.

Taka jest teoria ludzi zręcznych.

Oto największa sztuka: wydobyć ze zwycięstwa lekki ton katastrofy, aby ci, którym ono służy, bali się go zarazem; zaprawić lękiem krok postawiony naprzód; przedłużyć w łuk linię stanowiącą przejście, tak by zwolniony został postęp; przyćmić blask jutrzeńki, stępić i przytłumić wybuchy entuzjazmu, ociosać ostre kanty i obciąć pazury, przygłuszyć wata zwycięskie fanfary, opatulić prawa, owinać flanelą i czym prędzej ułożyć do łóżka lud - tego olbrzyma, nałożyć dietę jego zbyt bujnemu zdrowiu, traktować tego Herkulesa jak rekonwalescenta, rozmięcić wielkie wydarzenie na drobne wybiegi, umysłem spragnionym ideału dać ten nektar, ale rozcieńczony ziółkami, zabezpieczyć się przed zbyt pełnym sukcesem, nałożyć na rewolucję abażur.

Rok 1830 zastosował tę teorię, wypróbowaną już w Anglii w roku 1668.

Rewolucja 1830 roku zatrzymała się w połowie drogi. Połowiczny postęp: niby-prawo. Ale logika nie uznaje pojęcia "mniej więcej", podobnie jak słońce nie uznaje świecy.

Kto zatrzymuje rewolucje w połowie drogi? Burżuazja.

Dlaczego?

Dlatego, że burżuazja to interes, który się udał. Wczoraj było pragnienie, dziś jest zaspokojenie, jutro będzie sytość.

Zjawisko z roku 1814 po upadku Napoleona powtórzyło się w roku 1830 po upadku Karola X.

Chciano - niesłusznie - zrobić z burżuazji klasę. Burżuazja to po prostu zaspokojony odłam narodu. Burżuj to człowiek, który ma teraz czas usiąść. Krzesło nie jest kastą.

Ale chcąc zbyt wcześnie usiąść, można powstrzymać sam pochód rodzaju ludzkiego. To było częstym błędem burżuazji.

Nie wystarczy popełnić błąd, aby utworzyć klasę społeczną. Egoizm nie jest jedną z kategorii ładu społecznego.

A zresztą należy być sprawiedliwym nawet w stosunku do egoizmu; stan, do którego dążyła po wstrząsach 1830 roku część narodu, zwana burżuazja, nie był bezwładem, na który składa się obojętność, lenistwo i który zawiera w sobie odrobinę wstydu; nie było to też uśpienie, a więc chwilowe zapomnienie dostępne dla marzenia; był to postój.

Słowo “postój” mieści w sobie sens podwójny, prawie sprzeczny: to oddział w marszu, czyli ruch; i zatrzymanie się - czyli spoczynek.

Postój to odzyskiwanie sił; to odpoczynek czujny, z bronią w rękę; to fakt dokonany, który rozstawia strażę i ma się na baczności. Postój zakłada bitwę wczorajszą i bitwę jutrzejszą.

To łącznik między rokiem 1830 a rokiem 1848.

To, co określiliśmy tu słowem “bitwa”, można także określić słowem “postęp”.

Potrzebny był więc, zarówno burżuazji, jak i mężom stanu, człowiek, który by stał się wyrazicielem słowa “postój”. Jakiś “Chociaż Dłatego”. Indywidualność złożona, oznaczająca i rewolucję, i stałość, innymi słowy, utrwalaająca teraźniejszość przez oczywiste pogodzenie przeszłości i przyszłości.

Znalazł się taki człowiek. Nazywał się Ludwik Filip Orleański. “221” zrobiło Ludwika Filipa królem\*. Lafayette podjął się koronacji. Nazywał go “najlepszą z republik”. Ratusz paryski zastąpił katedrę w Reims.

Owo zastąpienie całego tronu półtronem było “dziełem 1830 roku”.

Gdy ludzie zręczni dokończyli swego dzieła, wystąpiła na jaw olbrzymia wada tego rozwiązania. Wszystko to zostało zrobione z pominięciem prawa absolutnego. Prawo absolutne zawołało: “Protestuję!”, po czym - rzecz groźna - usunęło się w cień.

---

\* Mowa o członkach tego Zgromadzenia Narodowego, które powołało Ludwika Filipa na tron; liczyło ono wówczas tylko 202 członków, gdyż po rozwiązaniu Izby w marcu 1830 r. z 221 kandydujących deputowanych wybrano tylko 202.

### III

#### Ludwik Filip

Rewolucje mają groźne ramię i szczęśliwą rękę: mocno uderzają, a dobrze wybierają. Nawet niepełnym, nawet skarłałym i zwyrodniałym, nawet sprowadzonym do rządu rewolucji drugiego rzędu, jak rewolucja 1830, pozostaje im zawsze dość opatrnościowej jasności sądu, by nie skończyć źle. Zmierzch ich nie jest nigdy abdykacją.

Nie chwalmy się jednak zbyt głośno! Rewolucje również błędzą, znamy bardzo poważne ich pomyłki.

Powróćmy do roku 1830. Zboczywszy z drogi - rok 1830 miał szczęście. W ustroju, który nazywał się porządkiem po zahamowanej rewolucji, król więcej był wart od monarchii. Ludwik Filip był człowiekiem wyjątkowym.

Syn ojca, dla którego historia znajdzie zapewne okoliczności łagodzące, był jednak równie godny szacunku, jak ojciec godny był potępienia, miał wszelkie zalety osobiste i niektóre cnoty publiczne; dbał o swoje zdrowie, majątek, osobę i interesy; znał wartość jednej minuty, lecz nie zawsze wartość całego roku; powściągliwy, pogodny, spokojny i cierpliwy, dobroduszny człowiek i łaskawy monarcha; sypiał zawsze z żoną i miał w pałacu lokajów, których zadaniem było pokazywać mieszczanom małżeńskie łożo; ta ostentacja legalnego pożycia była użyteczna po głośnych nieprawych związkach starszej linii Burbonów; mówił wszystkimi językami europejskimi i, co rzadsze, językiem właściwym każdej sprawie; będąc doskonałym przedstawicielem "klasy średniej", przerastał ją jednak i pod każdym względem nad nią górował; ceniąc swoje pochodzenie, był tak mądry, że cenił przede wszystkim swoją wartość wewnętrzną, a co do swego rodu, wyraźnie rozgraniczając, uważał się za Or-leańczyka, a nie za Burbona; gdy był tylko "jego wysokością", zachowywał się jak udzielny książę, gdy stał się "jego królewską mością", zachowywał się jak zwykły mieszczanin. Był rozwlekły w wystąpieniach publicznych, a zwięzły w życiu prywatnym; podobno skąpy, choć na to brak dowodów; w gruncie rzeczy człowiek oszczędny, lecz łatwo rozrzutny, gdy szło o dogodzenie fantazji lub wypełnienie powinności; wykształcony, lecz mało wrażliwy na literaturę; szlachcic, ale nie rycerz; prosty, spokojny i silny, uwielbiany przez rodzinę i domowników, czarujący w rozmowie. Był mężem stanu pozbawionym złudzeń, wewnątrz chłodnym, pochłoniętym zawsze bezpośrednim interesem, działającym na

krótką metę, niezdolnym zarówno do żywienia urazy, jak i wdzięczności. Bez skrupułów wykorzystywał wyższość przeciw miernocie i przy pomocy większości parlamentarnej umiejętnie obalał racje owej tajemniczej jednomyślności, która głucho warczy pod tronami; wylewny, czasem nieostrożny w swej wylewności, lecz zawsze niezwykle zręczny w tej nieostrożności. Płodny w wybiegi, oblicza, maski - straszył Europę Francją, a Francję Europą. Kochał swój kraj niezaprzeczenie, lecz ponad niego przedkładał swoją rodzinę. Wyżej cenił przewagę niż autorytet, a autorytet niż godność; skłonność o tyle zgubna, że sprowadzając wszystko do powodzenia, dopuszcza w postępowaniu podstęp i nie wyklucza podłości, lecz o tyle korzystna, że politykę chroni od gwałtownych wstrząsów, państwo od rozłamów, a społeczeństwo od katastrof. Był drobiazgowy, poprawny, czujny, uważny, przenikliwy i niezmordowany. Czasem sam sobie przeczył; w Ankonie zuchwał wobec Austrii, w Hiszpanii uparty wobec Anglii, bombardował Antwerpię i płacił Pritchardowi; z przekonaniem śpiewał "Marsyliankę". Nie znał przygnębienia, znużenia, ideałów i poczucia piękna, nierozważnej wspaniałomyślności, utopii, chimer, gniewu, próżności i strachu, posiadał odwagę osobistą w każdej jej postaci, był generałem pod Valmy, a prostym żołnierzem pod Jemmapes. Ośmiokrotnie zagrożony przez królobójców - i zawsze uśmiechnięty; dzielny jak grenadier, odważny jak myśliciel, niespokojny tylko wobec możliwości wstrząsu europejskiego i niezdolny do wielkich przedsięwzięć politycznych. Zawsze gotów by postawić na kartę życie, nigdy - dzieło. Wpływał raczej, niż nakazywał, tak aby go raczej słuchano jako człowieka rozumnego, a nie jako króla. Miał zmysł spostrzegawczości, lecz nie odgadywania. Mało uwagi zwracał na umysł, ale znał się na ludziach, to znaczy, że nim wydał sąd o kimkolwiek, musiał go zobaczyć. Miał bystry i przenikliwy zdrowy rozsądek, praktyczną mądrość, łatwą wymowę i niezwykłą pamięć; czerpał nieustannie z tej pamięci, jedynej właściwości, która upodabniała go do Cezara, Aleksandra i Napoleona; znał fakty, szczegóły, daty i nazwiska; nie wiedział nic o dążeniach, namiętnościach, zdolnościach tłumu, o wewnętrznych tęsknotach, o ukrytych, tajemnych porywach dusz, słowem, o tym wszystkim, co można by nazwać niewidzialnymi nurtami sumień; przyjęty przez warstwę wierzchnią, ale niepojednany z tym, co jest głębą Francji, dawał sobie radę dzięki przebiegłości. Za wiele rządził, a za mało panował; sam był swym własnym premierem. Celował w stwarzaniu z drobiazgów rzeczywistości przeszkód dla ogromu idei. Prawdziwe twórcze zdolności w kierowaniu rozwojem cywilizacji, ładem i organizacją łączył z jakimś zmysłem formalizmu i kruczków prawnych; założyciel i prokurator dynastii, miał w sobie coś z Karola Wielkiego i coś z adwokata. Słowem, postać niezwykła i ciekawa, władca, który potrafił stworzyć władzę mimo niepokoju Francji, i

potęgę mimo zawiści Europy, Ludwik Filip będzie zaliczony w poczet wybitnych ludzi swego wieku, a byłby zaliczony do najznakomitszych władców w historii, gdyby choć trochę kochał sławę, a poczucie wielkości posiadał w tym samym stopniu jak poczucie tego, co użyteczne.

Ludwik Filip był za młodu piękny, a na starość pozostał czarujący; nie zawsze mile przyjmowany przez naród, lecz zawsze przez tłumy. Podobał się; posiadał ten dar - urok osobisty. Brak mu było majestatu; nie nosił korony, chociaż był królem, nie miał siwych włosów, chociaż był starcem. Maniery miał staroświeckie, obyczaje nowoczesne, połączenie szlachectwa z mieszczaństwem, które pasowało do 1830 roku. Ludwik Filip to epoka przejściowa na tronie. Zachował dawną wymowę i dawną pisownię, lecz posługiwał się nimi, by wyrażać nowe poglądy; kochał Polskę i Węgry, ale pisał "les polonais", a wymawiał "les hongrais". Nosił mundur gwardii narodowej, jak Karol X, i wstęgą Legii Honorowej, jak Napoleon.

Rzadko chodził do kościoła, wcale nie polował, w Operze nie był nigdy. Nie zaprzedał się ani zakrystianom, ani psiarczykom, ani baletniczkom, co przyczyniało się do jego mieszczańskiej popularności. Nie utrzymywał dworu. Wychodził z domu z parasolem pod pachą i przez długi czas ten parasol stanowił część jego aureoli. Był po trosze murarzem, po trosze ogrodnikiem i po trosze lekarzem; raz puścił krew pocztylionowi, który spadł z konia. Ludwik Filip nie rozstawał się z lancetem, tak jak Henryk III z pugińcem. Rójaliści szydzili z tego śmiesznego króla, pierwszego, który rozlewał krew po to, żeby uzdrawiać.

W zarzutach stawianych Ludwikowi Filipowi przez historię należy poczynić pewne rozgraniczenia: jedne z nich obciążają bowiem monarchię, inne rządy, jeszcze inne osobę króla; są to trzy odrębne rachunki, dające różne wyniki. Zniesienie praw demokratycznych, odsunięcie zagadnienia postępu na drugi plan, tłumienie przemocą manifestacji publicznych, zbrojne zwalczanie powstania, krwawe dławienie rozruchów, ulica Transnonain\*, sądy wojenne, zastąpienie rzeczywistego oblicza narodu - obliczem legalnym, rząd dzielący się zyskami z trzystu tysiącami uprzywilejowanych obywateli - obciążają rachunek monarchii. Odrzucenie Belgii, zbyt brutalny podbój Algieru, opanowanego podobnie jak Indie przez Anglię, z przewagą barbarzyństwa nad cywilizacją, złamanie słowa danego Abd-el-Kadero-wi, Blaye, przekupienie Deutza, opłacanie Pritcharda obciążają rachunek rządów. Polityka bardziej rodzinna niż narodowa obciąża rachunek króla.

Jak widzimy, po dokonaniu tego rozgraniczenia obciążenie króla się zmniejsza.

---

\* Ulica Transnonain w Paryżu stała się miejscem krwawych represji podczas rozruchów 4 kwietnia 1834 r.

Ludwik Filip był skromny w imieniu Francji: oto jego wielki błąd.

Skąd pochodzi ten błąd?

Zaraz powiemy.

Ludwik Filip to król, który był zanadto ojcem. Inkubacja rodziny, z której ma wyrosnąć dynastia, lęka się wszystkiego i nie chce być niepokojona, stąd przesadna ostrożność, nieznośna dla narodu, który ma w swych tradycjach obywatelskich dzień 14 lipca, a w swych tradycjach wojskowych - Austerlitz.

Zresztą, abstrahując od obowiązków publicznych, które powinny być spełniane w pierwszym rządzie, rodzina Ludwika Filipa zasługiwała na to głębokie uczucie, jakim ją obdarzał. To grono rodzinne było godne uwielbienia. Tutaj cnoty rywalizowały z talentami. Jedna z córek Ludwika Filipa, Maria Orleańska, zapisała imię swego rodu wśród artystów, tak jak Karol Orleański zapisał je wśród poetów. Jej dziełem, dziełem jej duszy - jest marmurowy posąg, który nazwała Joanna d'Arc. O dwóch synach Ludwika Filipa wyrwała się Metternichowi demagogiczna pochwała: "Takich młodzieńców spotyka się rzadko, takich książąt - nie spotyka się wcale".

Taka jest - bez niedomówień i przesady - prawda o Ludwiku Filipie.

Być księciem Egalité, nosić w sobie sprzeczność Restauracji i rewolucji; mieć niepokojące cechy rewolucjonisty, które u człowieka rządzącego wzbudzają ufność - to był szczęśliwy los Ludwika Filipa w 1830 roku. Nigdy jeszcze nie widziano tak całkowitego dostosowania się człowieka do wydarzenia; wydarzenie zespoliło się z człowiekiem - i tak dokonało się wcielenie. Ludwik Filip - to rok 1830, który przybrał ludzką postać. Ponadto miał on jeszcze jeden ważny tytuł do tronu - wygnanie. Był niegdyś banitą, ubogim tułaczem. Żył z własnej pracy. W Szwajcarii ten spadkobierca największej fortuny książęcej we Francji - sprzedał starego konia, by mieć co do ust włożyć. W Reichenau dawał lekcje matematyki, a siostra jego Adelajda trudniła się haftem i szyciem. Takie wspomnienia o osobie królewskiej wprowadzały burżuazję w zachwyt. Ludwik Filip własnoręcznie zniszczył ostatnią klatkę żelazną w Mont-Saint-Michel, zbudowaną przez Ludwika XI, a używaną przez Ludwika XV. Był towarzyszem Dumuorieza, druhem Lafayette'a; należał do klubu jakobinów; Mirabeau klepał go po ramieniu, Danton mówił doń: "młodzieńcze!". Mając dwadzieścia cztery lata, w 93 roku, jako pan de Chartres, z głębi ciemnej łoży w sali Konwentu asystował przy procesie Ludwika XVI, tak trafnie nazwanego "biednym tyranem". Patrzył na ślepe jasnowidztwo rewolucji, która - łamiąc monarchię w osobie króla i króla razem z monarchią - nie dostrzegała prawie człowieka w straszliwym niszczeniu idei, patrzył na groźną burzę rozpraw trybunału, na gniew ludu, stawiający pytania, na Kapeta nie znajdującego odpowiedzi; patrzył



na przerażające chwianie się zdumionej głowy królewskiej pod tym posepnym tchnieniem, na względną niewinność wszystkich uczestników tych katastrofalnych wydarzeń - zarówno skazujących, jak i skazańca. Ludwik Filip patrzył na to wszystko, oglądał te zawrotne sceny. Widział, jak wieki stają przed kratkami trybunału Konwentu; widział, jak za plecami Ludwika XVI, nieszczęsnego przechodnia odpowiedzialnego za wszystko, wyłania się z ciemności straszliwy oskarżony - monarchia. I pozostał mu w duszy trwożny szacunek dla potężnej sprawiedliwości ludu, niemal równie bezosobowej jak sprawiedliwość boża.

Rewolucja pozostawiła w nim niezwykle głęboki ślad. Pamięć jego była jakby żywym odbiciem tych wielkich lat, minuta po minucie. Pewnego dnia, wobec świadka jak najbardziej zasługującego na wiarę, sprostował z pamięci całą literę "A" listy alfabetycznej członków Konstytuanty.

Ludwik Filip był królem rządzącym w pełnym świetle. Za jego czasów panowała wolność prasy, wolność przemówień, wolność sumienia i słowa. Ustawy wrześniowe\* nie są szczelne. Wiedząc, jak światło podważa przywileje, Ludwik Filip wystawił jednak swój tron na działanie światła. Ta lojalność będzie mu policzona w historii.

Jak każda postać historyczna, która zesłała ze sceny, Ludwik Filip został dziś oddany pod sąd sumienia ludzkości. Proces jego toczy się dopiero w pierwszej instancji.

Nie wybiła jeszcze dlań godzina, w której historia przemówi głosem dostojnym i wolnym; nie nadeszła jeszcze chwila, by o tym królu wydać sąd nieodwołalny. Nawet surowy i słynny historyk, Ludwik Blanc, sam niedawno złagodził swój pierwszy werdykt. Ludwik Filip został wybrany przez te dwie niepełne rzeczy, zwane "221" i 1830, to znaczy przez półparlament i półrewolucję, i w każdym wypadku, z nadrzędnego punktu widzenia, na jakim powinna stać filozofia, moglibyśmy sądzić go tutaj, jak to już można było sądzić poprzednio, tylko z pewnymi zastrzeżeniami, poczynionymi w imię najwyższej zasady demokracji; w oczach tej zasady bezprawiem jest wszystko poza dwoma prawami: przede wszystkim prawem człowieka, następnie prawem narodu; ale - poczyniwszy te zastrzeżenia - możemy już teraz powiedzieć, że ogólnie rzecz biorąc i osądzając go z jakiegokolwiek bądź stanowiska, Ludwik Filip jako człowiek, z punktu widzenia dobroci ludzkiej, pozostanie - że posłużymy się tu staroświeckim, historycznym stylem - jednym z najzaciejszych monarchów, jacy kiedykolwiek zasiadali na tronie.

Co przemawia przeciw Ludwikowi Filipowi? Właśnie ten tron. Odejmiemy Ludwikowi Filipowi koronę, a zostanie człowiek. Dobry człowiek. Czasem nawet godny

---

\* Ustawy uchwalone we wrześniu 1835 r. ograniczające wolność prasy.

uwielbienia dla swojej dobroci. Często wśród najcięższych trosk, po dniu pełnym walk z dyplomacją całej Europy, wracał wieczorem do swych apartamentów i cóż tam robił upadający ze zmęczenia, senny? Brał plik dokumentów i spędzał całą noc na badaniu akt jakiegoś procesu karnego, uważając, że ważną rzeczą jest stawić czoło Europie, ale jeszcze ważniejszą ocalić człowieka z rąk kata; sprzeciwiał się uparcie swemu ministrowi sprawiedliwości; piędź po piędzi walczył o zmniejszenie zasięgu gilotyny z prokuratorami królewskimi, tymi - jak mówił - "gadulami prawa". Czasami stosy akt zalegały jego stół, wszystkie badał; udrękę sprawiała mu myśl, że można pozostawić swojemu losowi te nieszczęsne skazane głowy. Pewnego razu rzekł do owego świadka, na którego już powoływaliśmy się przed chwilą: "Tej nocy wywalczyłem siedmiu". W pierwszych latach jego panowania kara śmierci została jak gdyby zniesiona, a wzniesienie na nowo szafotu było gwałtem zadany królowi. Wraz ze starszą linią Burbonów zniknął plac Gréve - burżuazyjny plac Gréve został stworzony pod nazwą rogatki Św. Jakuba. "Ludzie praktyczni" odczuli potrzebę wprowadzenia quasi-legalnej gilotyny; było to jednym ze zwycięstw Kazimierza Perier, który reprezentował ciasne poglądy burżuazji, nad Ludwikiem Filipem, który reprezentował jej poglądy liberalne. Ludwik Filip poczynił odręcznie uwagi na traktacie Beccarii. Po maszynie piekielnej Fieschiego\* zawołał: "Jaka szkoda, że nie zostałem ranny! Mógłbym skorzystać z prawa łaski". Innym razem, robiąc aluzję do oporu swych ministrów, tak napisał w sprawie pewnego przestępcy politycznego\*, jednej z najszlachetniejszych postaci naszej epoki: "Ułaskawiłem go, pozostaje mi tylko uzyskać to ułaskawienie".

Ludwik Filip był łagodny jak Ludwik IX i dobry jak Henryk IV.

Dla nas zaś w historii, gdzie dobroć jest rzadkim klejnotem, człowiek dobry ma chyba pierwszeństwo przed człowiekiem wielkim.

Toteż gdy jedni oceniają Ludwika Filipa surowo, a inni być może nielitościwie, rzecz to całkiem naturalna, że człowiek, który sam jest już tylko cieniem, a który znał tego króla, będzie o nim świadczył wobec historii. Jakikolwiek byłoby owo świadectwo, jest ono ponad wszelką wątpliwość i przede wszystkim bezinteresowne. Epitafium napisane przez zmarłego jest szczere; cień może pocieszać drugi cień; przebywanie w tych samych ciemnościach daje prawo do pochwał; nie trzeba się chyba obawiać, że ktoś powie o dwóch grobach na obcej ziemi: "Ten oto grób pochlebiał tamtemu".

---

\* Fieschi (1790-1835) - Korsykanin, który w lipcu 1835 roku dokonał nieudanego zamachu na Ludwika Filipa; został stracony wraz ze swoimi współnikami.

\* Mowa o Armandzie Barbes (1809-1870), przywódcy (obok Blanquiego) tajnego Stowarzyszenia Pór Roku.

## IV

### Rysy na fundamentach

Dramat, który tu opowiadamy, zagłębi się niebawem w tragiczne chmury, okrywające początki panowania Ludwika Filipa, należy więc strzec się dwuznaczności i dlatego koniecznym jest, aby ta książka wypowiedziała swe zdanie o królu.

Ludwik Filip objął władzę królewską bez uciekania się do przemocy, bez działania bezpośredniego, wyniesiony przez wir rewolucyjny, oczywiście bardzo różniący się od rzeczywistego celu rewolucji, w którym jednak on - książę orleański - nie przejawiał żadnej inicjatywy osobistej. Urodził się księciem i sądził, że wybrano go królem. Nie nadał sobie sam tego mandatu; nie wziął go; ofiarowano mu go i on go przyjął, przekonany - niesłusznie, ale szczerze - że to powołanie na tron jest zgodne z prawem, a przyjęcie tego tronu - zgodne z obowiązkiem. Objął tedy władzę w dobrej wierze. Otóż, mówimy to z całym przekonaniem, skoro Ludwik Filip objął tron w dobrej wierze, a rewolucja zwalczała go w dobrej wierze - to ogrom zgrozy, zrodzonej z walk społecznych, nie obciąża tu ani króla, ani demokracji. Zmagania doktryn podobne są do zmagania żywiołów. Ocean broni wody, huragan broni powietrza; król broni monarchii, demokracja broni ludu; wartość względna, którą wyraża monarchia, opiera się wartości bezwzględnej - republice. W tej walce społeczeństwo broczy krwią, ale to, co dziś jest jego nieszczęściem, jutro stanie się jego zbawieniem. I w żadnym wypadku nie wolno potępiać tych, którzy walczą; jedna ze stron musi być w błędzie, to pewne. Prawo nie stoi - jak kolos Rodyjski - na dwóch brzegach jednocześnie: jedną nogą w republice, drugą w monarchii; jest niepodzielne i stoi całe po jednej stronie. Ale ci, którzy się mylą, mylą się szczerze. Ślepiec tak samo nie jest winowajcą, jak Wandejczyk - zbójcem. Losowi zatem trzeba przypisać te groźne starcia. W owych nawałnicach, bez względu na ich naturę, nie ma odpowiedzialności ludzkiej.

Kończmy te rozważania.

Rząd z 1830 roku miał od początku trudne życie. Wczoraj zrodzony - dziś musiał już walczyć.

Zaledwie objął władzę, już czuł zewsząd niejasny napór na owo dzieło lipcowe, tak niedawno wzniesione i tak jeszcze kruche.

Opór narodził się nazajutrz, a może nawet zrodził się w przeddzień.

Wrogość wzrastała z miesiąca na miesiąc i z ukrytej stała się jawna.

Rewolucja lipcowa nie najlepiej przyjęta poza granicami Francji przez monarchów -jak już mówiliśmy - w samej Francji była rozmaicie oceniana.

Bóg w wydarzeniach objawia ludziom swą wolę; niejasny to tekst, pisany w tajemniczej mowie. Ludzie tłumaczą go natychmiast; tłumaczenia pospieszne, niedokładne, pełne błędów, przeoczeń i niezrozumienia. Niewiele umysłów pojmuje mowę bożą. Najdociekliwsze, najspokojniejsze i najgłębsze odczytują ją powoli, a kiedy przychodzą z przetłumaczonym już tekstem, okazuje się, że praca ta dawno została zrobiona: już dwadzieścia tłumaczeń krąży na forum publicznym. Z każdego tłumaczenia rodzi się stronnictwo, z każdego niezrozumienia rodzi się frakcja i każde stronnictwo mniema, że ono właśnie posiada jedynie prawdziwy tekst, i każda frakcja mniema, że ona właśnie posiada prawdę.

Często sama władza jest frakcją.

W każdej rewolucji są tacy, którzy płyną przeciw prądowi; są to stare stronnictwa.

Zdaniem tych stronnictw, opierających się na prawie dziedziczenia z łaski Boga, skoro rewolucje wywodzą się z prawa buntu, człowiek ma prawo do buntu także przeciwko nim. To fałsz. W rewolucjach bowiem buntuje się nie lud, ale król. Rewolucja jest właśnie przeciwstawieniem buntu. Każda rewolucja, będąc normalnym skutkiem, jest legalna sama przez się. Czasem fałszywi rewolucjoniści przynoszą ujmę tej legalności, ale trwa ona, nawet skalana, i żyje, nawet zboczona krwią. Rewolucje rodzą się nie z przypadku, ale z konieczności. To powrót od stanu sztuczności do stanu rzeczywistości. Rewolucja istnieje, ponieważ istnieć powinna.

Niemniej jednak stare stronnictwa legitymistyczne nacierały na rewolucję z roku 1830 z całą gwałtownością, jaka wynika z fałszywego rozumowania. Błędy - to świetne pociski. Trafiały umiejętnie w jej słabe strony: w jej bezbronność, w jej brak logiki; atakowały w tej rewolucji - monarchię. Po co ten król, rewolucjo?! - wołały. Frakcje to ślepcy, którzy celnie strzelają.

To samo wołali republikanie. Ale w ich ustach ten okrzyk był logiczny. Co u legitymistów było ślepotą, u demokratów było dalekowzrocznością. Rok 1830 to bankructwo kosztem ludu. Oburzona demokracja to właśnie mu zarzucała.

Atakowany przez przeszłość, atakowany przez przyszłość, ustrój lipcowy bronił się, jak mógł. Był chwilką osaczoną przez wieki monarchii z jednej strony, a prawo wieczne z drugiej.

Ponadto, na zewnątrz, nie będąc już rewolucją, a stając się monarchią, musiał Dotrzymać kroku Europie. I - co ostatecznie wikało sytuację - musiał utrzymać pokój. Zgoda, utrzymywana na przekór wszystkiemu, częstokroć jest bardziej uciążliwa niż wojna. Z tego głuchego konfliktu, stale trzymanego w karchach, lecz zawsze pomrukującego, zrodził się pokój zbrojny, ten rujnujący wybieg cywilizacji, która sama sobie nie ufa. Monarchia lipcowa, mimo tego pokoju, stawała dęba w zaprzęgu gabinetów europejskich. Metternich chętnie by jej nałożył wędzidło. We Francji popychana przez postęp, w Europie popychała opieszale monarchie. Ciągnięta sama - ciągnęła innych.

Tymczasem wewnątrz kraju pauperyzm, proletariat, płace, szkolnictwo, system kar, prostytutka, los kobiety, bogactwo, nędza, produkcja, spożycie, podział dóbr, wymiana, pieniądz, kredyt, prawo kapitału, prawo pracy - wszystkie te zagadnienia piętrzyły się nad społeczeństwem: straszliwe brzemie.

Poza stronnictwami politycznymi w ścisłym tego słowa znaczeniu zarysowywał się inny ruch. Fermentowi demokracji odpowiadał ferment filozofii. Elita była tak samo wzburzona jak tłum; w inny sposób, ale w równej mierze.

Myśliciele rozważali, a tymczasem ziemia, czyli lud, wstrząsana prądami rewolucyjnymi, chwiała się pod ich stopami w jakichś epileptycznych drgawkach. Marzyciele ci, jedni samotni, inni łącząc się w rodziny, niemal wspólnoty, roztrząsali zagadnienia społeczne spokojnie, ale wnikliwie; ci niewzruszeni górnicy drążyli niezmordowanie swe galerie w łonie wulkanu, obojętni na głuche wstrząsy i obraz płonących czeluści.

Ich spokój był jednym z najpiękniejszych widoków tych burzliwych czasów.

Ludzie owi, pozostawiwszy partiom politycznym zagadnienie prawne, sami zajmowali się zagadnieniem szczęścia.

Dobrobyt człowieka - oto, co chcieli wydobyć ze społeczeństwa.

Zagadnienia materialne, zagadnienia rolnictwa, przemysłu, handlu - podnosili niemal do godności religii. W cywilizacji, która w niewielkiej mierze jest dziełem Boga, a w ogromnej - człowieka, interesy łączą się, zazębiają i scalają tak, że formują prawdziwą, zbitą skałę - pod działaniem prawa dynamiki, cierpliwie badanego przez ekonomistów, tych geologów polityki.

Ludzie owi, którzy skupiali się pod różnymi nazwami, ale których można by określić jednym mianem: socjalistów, starali się wydrążyć ową skałę i wydobyć z niej żywe źródło szczęśliwości ludzkiej.

Prace ich obejmowały wszystko, począwszy od zagadnienia szafotu, kończąc na zagadnieniu wojen. Do praw człowieka, głoszonych przez Rewolucję Francuską, dodali prawa kobiety i prawa dziecka.

Nikt się nie zdziwi, że dla różnych powodów nie będziemy tu zgłębiać teoretycznie zagadnień stawianych przez socjalizm. Ograniczymy się jedynie do wymienienia ich.

Pomijając kosmogoniczne wizje, mrzonki i mistycyzm, wszystkie problemy, które postawili sobie socjaliści, dają się ująć w dwa problemy zasadnicze:

Pierwszy:

Wytwarzanie dóbr.

Drugi:

Podział dóbr.

Pierwszy problem mieści w sobie zagadnienie pracy.

Drugi - zagadnienie płacy.

W pierwszym problemie chodzi o wykorzystanie sił. W drugim - o podział zysków.

Z właściwego wykorzystania sił wynika potęga ogółu.

Z właściwego podziału zysków wynika szczęście jednostki.

Przez właściwy podział zysków należy rozumieć podział sprawiedliwy, nie zaś podział równy. Pierwszą równością jest sprawiedliwość.

Z połączenia tych dwóch czynników: potęgi ogółu na zewnątrz i szczęścia jednostki na wewnątrz - wynika dobrobyt społeczeństwa.

Dobrobyt społeczny oznacza szczęście człowieka, wolność obywatela, potęgę narodu.

Pierwszy z tych problemów rozwiązała Anglia. Znakomicie umie wytwarzać dobra, ale rozdziela je źle. To jednostronne rozwiązanie prowadzi ją nieuchronnie do dwóch skrajności: potwornego bogactwa i potwornej nędzy. Wszystkie zyski dla garstki ludzi; niedostatek - dla reszty, to znaczy dla ludu. Przywileje, wyjątki, monopole, feudalizm rodzą się z samej pracy. Sytuacja fałszywa i niebezpieczna, która opiera potęgę publiczną na nędzy prywatnej i buduje wielkość państwa na cierpieniach jednostki. Wielkość źle utworzona, w której łączą się wszystkie czynniki materialne, a nie mieści się żaden czynnik moralny.

Komunizm i prawo agrarne sądzą, iż rozwiązały drugi problem. Mylą się. Ich system podziału dóbr zabija produkcję. Równy podział niweczy współzawodnictwo. A w konsekwencji - pracę. To jakby podział dokonywany przez rzeźnika, który zabija to, co ma podzielić. Nie można zatem pozostać przy tym rzekomym rozwiązaniu. Zabić bogactwo nie znaczy podzielić je.

Aby rozwiązać właściwie oba te problemy, trzeba rozwiązać je wspólnie. Oba rozwiązania pragną być zespolone i tworzyć jedno.

Rozwiążcie pierwszy z nich - a staniecie się Wenecją czy Anglią. Będziecie mieli sztuczną potęgę jak Wenecja lub potęgę materialną jak Anglia. Staniecie się złym bogaczem. Zginiecie gwałtowną śmiercią, jak zginęła Wenecja, lub zbankrutujecie, jak zbankrutuje Anglia. A świat pozwoli wam zginąć czy zbankrutować, gdyż świat pozwala na śmierć i bankructwo wszystkiego, co jest tylko egoizmem i nie stanowi dla rodzaju ludzkiego cnoty lub idei.

Rzecz jasna, że mówiąc: "Wenecja" czy "Anglia" nie mamy na myśli narodów, ale ustrój społeczny; oligarchie narzucone narodom, a nie same narody. Dla narodów żywimy zawsze szacunek i sympatię. Wenecja jako naród odżyje. Anglia jako arystokracja upadnie; lecz naród angielski jest nieśmiertelny. Powiedziawszy to, idziemy dalej.

Rozwiążcie oba te problemy, zachęcajcie bogatych, a ochraniajcie biednych, znieście nędzę, połóżcie kres niesprawiedliwemu wyzyskowi słabych przez silnych, przykróćcie cugli haniebnej zazdrości tego, kto jest w drodze, względem tego, kto już dopiął celu, z matematyczną dokładnością i braterskim uczuciem dostosujcie płacę do pracy, dodajcie bezpłatne i obowiązkowe nauczanie do rozwoju dziecka i z wiedzy uczynicie podstawę wieku dojrzałego, rozwijajcie umysły dając pracę rękom, bądźcie zarazem potężnym narodem i rodziną ludzi szczęśliwych, zdemokratyzujcie własność nie przez zniesienie jej, ale przez upowszechnienie, tak by każdy bez wyjątku obywatel był właścicielem, co jest rzeczą łatwiejszą, niż się wydaje; jednym słowem: umiejcie tworzyć bogactwo i dzielić je, a osiągniecie zarazem wielkość materialną i wielkość moralną i będziecie godni nazywać się Francją.

Oto - pomijając kilka odłamów, które zbłądziły - co głosił socjalizm; oto czego szukał w faktach i co zaszczepiał w umysłach.

Wspaniałe usiłowania! Święte dążenia!

Te doktryny, teorie i opory, nieoczekiwana dla męża stanu konieczność liczenia się z filozofami, dostrzegania niejasnych jeszcze oczywistości, nieodzowna potrzeba stworzenia nowej polityki, zgodnej ze starym światem, a niezbyt sprzecznej z ideałem rewolucyjnym, sytuacja, w której dla obrony Polignaca należało użyć Lafayette'a, odgadywanie postępu przebłyskującego wśród rozruchów, Izby i ulica, utrzymywanie równowagi wokół siebie przez wygrywanie współzawodnictwa, własna jego wiara w rewolucję, może jakaś nieokreślona bliżej, ewentualna rezygnacja, zrodzona z niesprecyzowanego uznawania prawa ostatecznego i najwyższego pragnienia pozostania w zgodzie ze swym pochodzeniem,

solidarność rodzinna, niekłamany szacunek dla ludu i własna uczciwość pochłaniały Ludwika Filipa boleśnie i chwilami, mimo jego siły i odwagi, przytłaczały go brzemieniem obowiązków królewskich.

Czuł, że grunt mu się rozpada pod stopami, nie było to jednak rozpadanie się w pył, Francja bowiem bardziej niż kiedykolwiek była wówczas Francją.

Czarne zwały chmur zalegały horyzont. Dziwny cień nadciągał coraz bliżej i ogarniał powoli ludzi, rzeczy, pojęcia, cień rzucany przez oburzenie i panujący system. Wszystko, co zostało pośpiesznie zdławione, odżywało i burzyło się. Nieraz sumienie uczciwego człowieka dusiło się, tyle było niepokoju w tym powietrzu, gdzie sofizmaty spletały się z prawdami. Umysły drżały wśród niepokoju społeczeństwa jak liście drzew przed nadejściem burzy. Napięcie elektryczne było tak wielkie, że czasem pierwszy lepszy nieznany człowiek zabłysnął światłem. Po czym znów zapadał półmrok. Chwilami głębokie i głuche pomruki dowodziły, jaką potęgę piorunów kryje w sobie chmura.

Od rewolucji lipcowej upłynęło zaledwie dwadzieścia miesięcy, a rozpoczynający się rok 1832 jawił się w groźbie nieuniknionego niebezpieczeństwa. Lud w rozpacz, robotnicy bez chleba; ostatniego księcia Kondeusza pochłonęły ciemności. Bruksela przepędziła dynastię Nassau, jak Paryż Burbonów; Belgia, skłaniająca się ku francuskiemu władcy, została oddana władcy angielskiemu; nienawiść Rosjan do cara Mikołaja; za nami dwa szatany południa: w Hiszpanii - Ferdynand, Miguel - w Portugalii; ziemia drży we Włoszech, Metternich kładzie rękę na Bolonii, Francja uderza na Austrię w Ankonie; z północy dobiega jakiś złowieszczy stuk młota po raz wtóry przybijającego wieko na trumnie Polski; w całej Europie gniewne spojrzenia śledzą Francję; Anglia, wątpliwy sojusznik, gotowa popchnąć to, co się chyli do upadku, i rzucić się na to, co upadnie; parowie Francji chronią się za autorytet Beccarii, by wydrzeć prawu cztery głowy, lilie burbońskie zostają zdrapane z królewskiej karocy, z katedry Marii Panny zrzucony krzyż, Lafayette pomniejszony, Laffitte zrujnowany, Benjamin Constant umiera w nędzy, Kazimierz Perier umiera u schyłku swej władzy; choroba polityczna i choroba społeczna pojawiają się w obu stolicach królestwa, w stolicy myśli i w stolicy pracy; w Paryżu wojna obywateli, w Lyonie wojna robotnicza; w obu miastach to samo zarzewie; na czole ludu lśni purpurą odblask wulkanu; południe sfanatyzowane, zachód poruszony, w Wandei - księżna de Berry, spiski, sprzysiężenia, powstania i cholera posępnym zgiełkiem wypadków potęgowały posępną nawałnicę idei.



## **Fakty, z których historia się rodzi i o których nic nie wie**

Pod koniec kwietnia sytuacja zaostrzyła się. Wzburzenie przeszło we wrzenie. Od roku 1830 począwszy tu i ówdzie zdarzały się drobne, lokalne zamieszki, które, choć szybko dławione, odradzały się na nowo - znak wielkiego, podziemnego pożaru. Dojrzewało coś strasznego. Ukazywały się niewyraźne jeszcze i słabo oświetlone zarysy możliwej rewolucji. Cała Francja spoglądała na Paryż; Paryż spoglądał na przedmieście Św. Antoniego.

A przedmieście Św. Antoniego, rozpalone skrycie, wchodziło w stan wrzenia.

Szynki przy ulicy Charonne były poważne i burzliwe - choć połączenie tych dwóch określeń w odniesieniu do szynku wydaje się szczególne.

Po prostu i otwarcie krytykowano tam rząd. Dyskutowano publicznie: “Czy się bić, czy pozostać w spokoju?” W salkach za sklepami odbierano od robotników przysięgi, “że na pierwszy alarm wyjdą na ulicę i będą się bili, nie zważając na siłę liczebną wroga”. Po przyjęciu zobowiązania człowiek siedzący w kącie szynku wołał wielkim głosem: “Przysięgałeś! Czy rozumiesz?” Czasami wchodziło na pierwsze piętro, zamykano się w pokoju i miały tam miejsce sceny nieledwie masońskie. Kazano przysięgać nowo wtajemniczonemu: “aby mu oddać przysługę tak jak ojcom rodziny”. Taka była formuła.

W niskich salkach czytano broszury “wywrotowe”. “Poniewierano rząd” - podaje tajny raport z owych czasów.

Słyszało się tam takie zdania: “Nie znam nazwisk naszych przywódców. Dowiemy się o dniu wybuchu dopiero na dwie godziny przedtem”. Jeden robotnik mówił: “Jest nas trzystu; niech się każdy z nas złoży po dziesięć su, a będziemy mieli sto pięćdziesiąt franków na przygotowanie kul i prochu”. Inny mówił: “Nie potrzeba mi sześciu miesięcy ani nawet dwóch. Nim miną dwa tygodnie, będziemy już równie silni jak rząd. W dwadzieścia pięć tysięcy ludzi można stawić czoło”. Jeszcze inny mówił: “Nie kładę się spać, bo robię w nocy naboże”. Od czasu do czasu przychodzili ludzie “wyglądający dostatnio” i “pięknie ubrani”, którzy robili zamieszanie, z minami “przywódców” rozdawali uściski rąk “najważniejszym” i odchodzili. Nigdy nie bawili dłużej niż dziesięć minut. Wymieniano półgłosem znaczące zdania: “Spisek już dojrzał, wszystko gotowe”. Według wyrażenia jednego z uczestników “szepotali tam o tym wszyscy”. Podniecenie i zapal były tak wielkie, że pewnego dnia jakiś

robotnik zawołał w przepelnionym szynku: “Nie mamy broni!”, a jego towarzysz odpowiedział mu: “Ale żołnierze ją mają!” - nieświadomie parodiując odezwę Bonapartego do Armii Włoskiej. “O sprawach bardziej poufnych nie udzielano tam sobie wiadomości” - dodaje raport. Trudno zrozumieć, co jeszcze mogli ukrywać, powiedziawszy już to, co powiedzieli.

Niekiedy zebrania powtarzały się regularnie. Na niektórych bywało najwyżej osiem lub dziesięć osób, i to zawsze tych samych. Na inne znów wchodził, kto chciał, i na sali był taki tłok, że obecni musieli stać. Jednych przywodził tam entuzjazm i zapał; inni “wstępowali po drodze do pracy”. Podobnie jak w czasach rewolucji, były w owych szynkach kobiety-patriotki, które witały pocałunkiem nowo przybyłych.

Zdarzały się inne jeszcze wymowne fakty.

Ktoś wchodził do szynku, pił i wychodził mówiąc: “To, co jestem ci winien, szynkarzu, zapłaci rewolucja”.

U pewnego szynkarza, na wprost ulicy Charonne, wybierano przywódców rewolucyjnych. Kartki z nazwiskami wrzucano do czapek.

Robotnicy zbierali się u pewnego nauczyciela fechtunku, który uczył szermierki przy ulicy Cotte. Miał tam istny skład broni, złożony z drewnianych pałaszy, lasek, kijów i floretów. Pewnego dnia zdjęto bezpieczniki z floretów. Jeden robotnik powiedział: “Jest nas dwudziestu pięciu, ale na mnie nikt nie liczy, bo uważa się mnie za maszynę”. Tą maszyną okazał się później Quénisset\*.

Wszystkie roztrząsane tam sprawy nabierały powoli jakiegoś dziwnego rozgłosu. Jedna kobieta zamiatając sień mówiła do drugiej: “Od dawna pracują na całego przy wyrobie kul”. Na środku ulicy odczytywano odezwy, skierowane do departamentalnych gwardii narodowych. Jedna z takich odezwy podpisana była: *Burtot, handlarz win*.

Pewnego razu pod drzwiami szynku na placu Lenoir jakiś człowiek z okrągłą bródką i włoskim akcentem wszedł na kamienny słupek i odczytał głośno dziwne pismo, które zdawało się pochodzić od jakichś okultystycznych mocy. Wkoło niego zebrały się grupy oklaskujących go ludzi. Ustępy, które najbardziej poruszały tłum, zostały zapamiętane i spisane.

“...Nasze idee spętano! Nasze odezwy są niszczone, nasi ludzie, którzy je rozlepiają, śledzeni i wtrąceni do więzienia...” - “Niedawny kryzys w przemyśle bawełnianym zjednał nam wielu umiarkowanych”. - “...Przyszłość ludu rodzi się w naszych nieznanym szeregach”.

---

\* Quénisset (1814-1850) - tracz, członek tajnego stowarzyszenia Równości Pracy.

- "...Postawmy pytanie: akcja czy reakcja? rewolucja czy kontrrewolucja? Nasza epoka bowiem nie wierzy już w obojętność ani w bezruch. Z ludem czy przeciwko ludowi - oto zagadnienie. Innego nie ma". - "...W dniu kiedy przestaniemy wam odpowiadać, zgniećcie nas, ale aż do tego dnia wspierajcie nas w marszu naprzód!". Wszystko to mówiono w jasny dzień.

Inne, jeszcze bardziej zuchwałe wystąpienia wydawały się ludowi podejrzane przez samą swą zuchwałość. 4 kwietnia 1832 roku jakiś przechodzień wszedł na słupek stojący na rogu ulicy Św. Małgorzaty i zawołał: "Jestem babuwistą!" Ale pod Babeufem lud zwietrzył tu Gisqueta\*. Przechodzień ów mówił między innymi: "Precz z własnością! Opozycja lewicy jest tchórzliwa i zdradziecka. Jak chce mieć słuszość - głosi rewolucję. Jest demokratyczna, bo nie chce być pobita, a rojalistyczna, bo nie chce się bić. Republikanie to ni pies, ni wydra. Strzeżcie się republikanów, obywatele robotnicy!" "Cicho bądź, obywatelu szpiclu!" - krzyknął jakiś robotnik.

Okrzyk ten położył kres przemówieniu.

Zdarzały się tajemnicze wypadki.

O schyłku dnia pewien robotnik spotkał niedaleko kanału "elegancko ubranego pana", który rzekł:

- Dokąd idziesz, obywatelu?

- Panie - odparł robotnik - nie mam zaszczytu znać pana.

- Ale ja znam cię dobrze. Nie bój się. Jestem członkiem komitetu. Podejrzewają cię, że nie jesteś zupełnie pewny. Wiedz, że gdybyś cokolwiek wygadał, mamy cię na oku.

Po czym uściskał robotnikowi rękę i oddalił się, mówiąc:

- Zobaczymy się wkrótce.

Podszuchująca wszędzie policja zbierała nie tylko w szynkach, ale i na ulicy bardzo dziwne rozmowy:

- Zapisz się jak najprędzej - mówił pewien tkacz do stolarza.

- Dlaczego?

- Bo niedługo będziemy grzać.

Dwaj przechodnie w łachmanach wymieniali między sobą te godne uwagi zdania, pełne wyraźnych akcentów żakerii\*.

- Kto nami rządzi?

---

\* Joseph-Henri Gisquet (1792-1866) - prefekt policji.

\* Żakeria - bunt chłopski we Francji (od imienia Jacques, którym nazywano powszechnie chłopów) i w ogóle bunt ubogich przeciwko klasom posiadającym.

- Pan Filip.

- Nie, burżuazja.

Myliłby się ten, kto by sądził, że używamy słowa “żakeria” w ujemnym znaczeniu. Zbuntowani chłopci byli biedni. Otóż ci, którzy są głodni, mają za sobą sprawiedliwość.

Innym razem usłyszano, jak jeden przechodzień mówił do drugiego:

- Mamy doskonały plan ataku.

Z poufnej rozmowy czterech mężczyzn, którzy przysiedli w rowie przy rondzie koło rogatki Trône, podchwyciono tylko tyle:

- Zrobi się, co się da, aby on nie spacerował już po Paryżu.

Jaki *on*? Złowieszcza niejasność!

“Główni przywódcy”, jak mówiono na przedmieściu, trzymali się na uboczu. Podobno zbierali się na narady w szynku koło kościoła Św. Eustachego. Niejaki Aug. - prezes Towarzystwa Pomocy dla Krawców, przy ulicy Zakręt, uchodził za głównego łącznika między przywódcami a przedmieściem Św. Antoniego. Mimo to przywódców otaczał zawsze gęsty mrok i żaden stwierdzony fakt nie mógł osłabić szczególnej dumy tej odpowiedzi, danej później przez jednego z oskarżonych przed sądem Izby Parów:

- Kto był waszym przywódcą?

- Żadnego przywódcy nie znałem i żadnego nie uznawałem.

Były to na razie tylko słowa, przejrzyste, ale bliżej nieokreślone; czasem słowa rzucane na wiatr, zasłyszane gdzieś plotki i pogłoski. Pojawiały się inne oznaki.

Na ulicy Reuilly pewien cieśla, zatrudniony przy stawianiu parkanu wokół placu budowy, znalazł na tymże placu skrawek podartego listu, na którym można było jeszcze odczytać następujące słowa:

*...Komitet winien przedsięwziąć odpowiednie środki, by nie dopuścić w sekcjach do wpisywania się członków do różnych stowarzyszeń...*

A w postscriptum:

*Dowiedzieliśmy się, że na ulicy Faubourg-Poissonniere nr 5 b w podwórzu pewien rusznikarz ma strzelby w ilości pięciu czy sześciu tysięcy. Sekcja zupełnie nie posiada broni.*

Fakt, że o parę kroków dalej znalazł inny papier, również podarty, lecz jeszcze bardziej wymowny, sprawił, że cieśla bardzo się tym przejął i pokazał go sąsiadom. Odtwarzamy tu jego wygląd ze względu na wagę historyczną tych dziwnych dokumentów:

<b>K</b>	<b>C</b>	<b>D</b>	<b>W</b>	<p><b>N</b>auczyć się tej listy na pamięć i  <b>p</b>otem ją <b>p</b>odrzeć. <b>L</b>udzie  <b>p</b>rzyjęci zrobią to samo z  <b>ch</b>wilą, <b>g</b>dy <b>p</b>rzekażecie im  <b>r</b>ozkazy.</p> <p><b>Z</b> braterskim <b>p</b>ozdrowie-niem</p> <p style="text-align: right;"><b>L.</b></p> <p><b>u</b> <b>o</b>g <b>a</b>1 <b>f</b>e</p>
----------	----------	----------	----------	---

Osoby, które wtajemniczono w sprawę znalezionej listy, później dopiero poznały ukryty sens czterech wielkich liter: kwinturioni, centurioni, dekurioni, wywiadowcy - i sens liter u og a<sup>1</sup> fe, które były datą i znały: 15 kwiecień 1832. Pod każdą z wielkich liter wpisane były nazwiska, opatrzone bardzo charakterystycznymi uwagami. A więc:

*K. Bannerel - 8 strzelb, 83 naboje. Człowiek pewny.*

*C. Boubiere - 1 pistolet, 40 nabo.*

*D. Rollet - 1 floret, 1 pistolet, 1 funt prochu.*

*W. Teissier - 1 szabla, 1 ładownica. Obowiązkowy.*

*Terreur - 8 strzelb. Dzielny.*

*It.*

Wreszcie cieśla ów znalazł - ciągle na tym samym placu - trzeci papier, na którym była spisana ołówkiem, lecz bardzo czytelnie, jakaś zagadkowa lista:

*Jedność. Blanchard. Arbre-sec. 6.*

*Barra. Soize. Salle-au-Comte.*

*Kościuszkowski. Rzeźnik Aubry?*

*J.-J. R.*

*Kajus Grakchus.*

*Prawo Kontroli Władz. Dufond. Four.*

*Upadek Żyrodystów. Derbac. Maubuee.*

*Waszyngton. Pinson. 1 pist. 86 nab.*

*Marsylianka.*

*Władza ludu. Michel. Quincampoix. Szabla.*

*Hoche.*

*Marceau. Platon. Arbre-sec.*

*Warszawa. Tilly, roznosiciel "Populaire'a".*

Uczciwy mieszczanin, w którego ręce dostała się ta lista, wiedział, co ona znaczy. Było to podobno pełne wyszczególnienie sekcji Stowarzyszenia Praw Człowieka w czwartym obwodzie Paryża, wraz z nazwiskami i adresami szefów sekcji. Dziś, gdy wszystkie te wydarzenia, pozostałe w ukryciu, przeszły już do historii, można o nich pisać. Trzeba dodać, że założenie Stowarzyszenia Praw Człowieka było chyba późniejsze od daty, w której znaleziono ten papier. Może był to dopiero pierwszy szkic.

Tymczasem, po słowach i plotkach, po dowodach na piśmie, zaczęły się pojawiać konkretne fakty.

U pewnego handlarza starzyzną przy ulicy Popincourt podczas rewizji znaleziono w szufladzie komody siedem arkuszy szarego papieru jednakowo złożonych wzdłuż i we czworo: arkusze te przykrywały dwadzieścia sześć kwadratów z tegoż samego szarego papieru, zwiniętych w kształt naboju, i kartkę, na której odczytano:

*Saletry .....12 uncji*

*Siarki..... 2 uncje*

*Węgla .....2 1/2 uncji*

*Wody .....2 uncje*

Protokół zajęcia stwierdzał, że szuflada przesiąknięta była silną wonią prochu.

Pewien murarz, wracając po ukończonej dniówce, zostawił na ławce przy moście Austerlitzkim małą paczkę. Paczkę tę odniesiono na odwach. Otworzono ją tam i znaleziono dwa drukowane dialogi podpisane: *Lahautiere*, piosenkę zatytułowaną: "Łączcie się, robotnicy!", i blaszane pudełko pełne naboju.

Inny robotnik kazał pijącemu z nim towarzyszowi zobaczyć, jak bardzo jest zgrzany; tamten wymacał pod koszulą - pistolet.

W rowie przy bulwarze, między cmentarzem Père Lachaise a rogatką Trône, w zupełnie odludnym miejscu, dzieci odkryły w czasie zabawy pod stosem wiórów i obierzyn worek, gdzie była forma do odlewania kul, drewniany stempel do naboju, drewniana miseczka z ziarnkami śrutu i kociołek z lanego żelaza, którego wewnątrz wykazywało wyraźne ślady stopionego ołowiu.

Policjanci, wtargnąwszy niespodzianie o piątej rano do niejakiego Pardona, który został później sekcyjnym sekcji Barykada Merry i zginął w powstaniu kwietniowym 1834 roku, zastali go stojącego koło łóżka i trzymającego w ręku naboje, które właśnie robił.

W porze, gdy robotnicy mają przerwę w pracy, między rogatką Charenton a rogatką Picpus, na dróżce biegnącej między dwoma murami koło pewnej karczmy, przed której drzwiami były rozstawione kręgle - spotkało się dwóch ludzi. Jeden z nich wyciągnął spod bluzy pistolet i podał drugiemu. Zauważył przy tym, że w zetknięciu ze spoconym ciałem proch zwilgotniał. Podsypał więc nieco prochu do tego, co już był na panewce. Po czym rozeszli się.

Niejaki Gallais, zabity później na ulicy Beaubourg w zamieszkach kwietniowych, chwalił się, że ma w domu siedemset naboji i dwadzieścia cztery skałki do strzelb.

Któregoś dnia rząd otrzymał ostrzeżenie, że na przedmieściu rozdano właśnie broń i dwieście tysięcy naboji. W następnym tygodniu rozdano trzydzieści tysięcy naboji. Rzecz ciekawa, policja nie zdołała znaleźć ani jednego. Pewien przejęty list zawierał te słowa:

*Niedaleki jest dzień, kiedy w przeciągu czterech godzin osiemdziesiąt tysięcy patriotów stanie pod bronią.*

Ferment ten był jawny, można by nawet powiedzieć spokojny. Szykujące się powstanie z zimną krwią przygotowywało swą nawałnicę na oczach rządu. Temu przesileniu, podziemnemu jeszcze, lecz już dostrzegalnemu, nie brakło żadnej osobliwości. Mieszczanie rozmawiali spokojnie z robotnikami o tym, co się przygotowywało. Pytano: "Co słyhać z rozruchami?" - takim tonem, jakby się pytano: "Jak się miewa pańska żona?"

Handlarz mebli z ulicy Moreau dowiadywał się: "No i cóż? Kiedy uderzacie?"

Inny sklepikarz mówił:

"Uderzycie niebawem. Wiem o tym. Przed miesiącem było was piętnaście tysięcy, a teraz macie dwadzieścia pięć tysięcy ludzi". Ofiarowywał swoją strzelbę, a jakiś jego sąsiad mały pistolet, za który chciał siedem franków.

Gorączka rewolucyjna rosła. Żaden punkt Paryża ani Francji nie był od niej wolny. Tętna pulsowały wszędzie. Jak błony, które powstają z pewnych stanów zapalnych i tworzą się na ciele ludzkim, tak sieć tajnych związków zaczęła ogarniać cały kraj. Ze Stowarzyszenia Przyjaciół Ludu, jawnego i tajnego jednocześnie, powstało Stowarzyszenie Praw Człowieka, które tak datowało jeden ze swych rozkazów dziennych: *Pluviôse, roku 40 ery*

*republikańskiej*; miało ono przeżyć nawet wyroki sądów przysięgłych orzekające jego rozwiązanie i nie wahało się nadawać swym sekcjom tak wymownych nazw, jak:

*Piki.*

*Dzwon na trwogę.*

*Alarm.*

*Czapka frygijska.*

*21 Stycznia.*

*Żebracy.*

*Włóczęgi.*

*Naprzód.*

*Robespierre.*

*Poziom.*

*Ça ira* \*.

Ze Stowarzyszenia Praw Człowieka wyłoniło się Stowarzyszenie Czynu. Byli to niecierpliwcy, którzy odłączyli się i biegli przodem. Inne stowarzyszenia starały się werbować swoich członków w szeregach wielkich organizacji macierzystych. Sekcyjni narzekali, że są rozrywani. Tak powstał Związek Galijski i Miejski Komitet Organizacyjny. Tak powstały: Stowarzyszenie Obrony Wolności Prasy, Wolności Osobistej, Oświaty Ludu i Stowarzyszenie Zwalczenia Podatków Pośrednich. Poza tym Stowarzyszenie Równouprawnienia Robotników, dzielące się na trzy odłamy: Egalitarystów, Komunistów i Reformistów. Ponadto Armia Bastylli, rodzaj kohorty zorganizowanej na wzór wojskowy: czterech ludzi pod dowództwem kaprała; dziesięciu pod dowództwem sierżanta; dwudziestu pod dowództwem podporucznika; czterdziestu pod dowództwem porucznika; najwyżej tylko pięciu ludzi znało się między sobą. Był to twór, w którym łączyła się przezorność z odwagą i który zdawał się nosić znamię ducha Wenecji. Stojący na czele komitet centralny miał dwa ramiona: Stowarzyszenie Czynu i Armię Bastylli. Pośród tych republikańskich związków działała też organizacja legitymistyczna Rycerzy Wierności. Zdemaskowano ją i odsunięto.

Stowarzyszenia paryskie miały swoje odgałęzienia w innych większych miastach: Lyon, Nantes, Lilie i Marsylia miały swe Stowarzyszenia Praw Człowieka, Karbonariuszów, Związek Ludzi Wolnych. W Aix istniała organizacja rewolucyjna zwana Kugurda. Już raz wymieniliśmy tę nazwę.

W Paryżu na przedmieściu Saint-Marceau szumiało tak samo jak na przedmieściu Św. Antoniego, a uczelnie były poruszone nie mniej od przedmieść. Kawiarnia przy ulicy Św.



Hiacynta i szynk "Pod Siedmioma Bilardami" przy ulicy Mathurins-Saint-Jacques służyły za miejsce spotkań dla studentów. Stowarzyszenie Przyjaciół Abecadła, związane z Towarzystwem Wzajemnej Pomocy z Angers i z Kugurdą z Aix, zbierało się, jak już widzieliśmy, w kawiarni "Musain". Ci sami młodzieńcy spotykali się także – jak już wspomnieliśmy - w pobliżu ulicy Zakręt, w pewnym szynku-jadłodajni, zwanym "Koryntem". Zebrania te były tajne. Inne były najzupełniej jawne, a ocenić ich śmiałość można na podstawie tego fragmentu protokołu przesłuchania w jednym z późniejszych procesów:

- Gdzie odbywało się zebranie?

- Na ulicy Pokoju.

- U kogo?

- Na ulicy.

- Jakie sekcje brały w nim udział?

- Jedna.

- Jaka?

- Sekcja Manuela.

- Kto był jej szefem?

- Ja.

- Pan jest zbyt młody, by mógł wziąć na swoje barki decyzję walki z rządem. Skąd pan otrzymywał instrukcje?

- Z komitetu centralnego.

Jak dowiodły później rozruchy w Belfort, w Luneville i w Epinal, wojsko było nie mniej podminowane jak lud. Liczono na pułk pięćdziesiąty drugi, na piąty, na ósmy, na trzydziesty siódmy i na dwudziesty lekkiej jazdy. W Burgundii i w miastach południowej Francji sadzono "drzewa wolności", to znaczy stawiano maszty uwieńczone czerwoną czapką.

Taka była sytuacja.

Jak już wspominaliśmy, sytuacja ta dawała się odczuć na przedmieściu Św. Antoniego mocniej i wyraźniej niż w jakimkolwiek innym zbiorowisku ludności. Był to jej newralgiczny punkt.

To stare przedmieście, ludne jak mrowisko, pracowite, dzielne i gniewne jak ul, drżało z oczekiwania i z pragnienia wstrząsu. Wszystko się tam burzyło nie przerywając pracy. Nic nie jest w stanie dać wyobrażenia o jego żywym i posępnym wyglądzie. Są na tym

---

\* Nazwa sekcji pochodzi od pieśni rewolucyjnej, która powstała podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

przedmieściu wstrząsające niedole, ukryte na poddaszach; są też inteligencje płomienne i niepospolite. A bezdenna rozpacz i najwyższa inteligencja tworzą szczególnie niebezpieczne połączenie krańcowości.

Przedmieście Św. Antoniego miało inne jeszcze powody do wrzenia, na nim to bowiem odbijają się kryzysy handlowe, bankructwa, strajki, bezrobocie, idące w parze z wielkimi przełomami politycznymi. Nędza jest przyczyną i skutkiem rewolucji. Cios, zadawany przez nią, godzi w nią samą. Ta ludność, pełna cnót, dumna, trawiona ukrytym ogniem, zawsze gotowa chwycić za broń, łatwa do wybuchu, gniewna, głęboka, podminowana, zdawała się już tylko czekać na zapalenie lontu. Ilekroć jakieś iskry, gnane wichrem wypadków, unoszą się nad horyzontem, nie można odpędzić myśli o przedmieściu Św. Antoniego i o złowrogim przypadku, który u bram Paryża umieścił ten dynamitowy ładunek cierpień i idei.

Szynki na przedmieściu Św. Antoniego, których zarysy pojawiały się już parę razy w tym szkicu, przeszły do historii. W niespokojnych czasach ludzie bardziej upajają się w nich słowem niż winem. Jakiś duch proroczy, jakiś nurt przyszłości krąży tam, rozpierając serca i umacniając dusze. Szynki na przedmieściu Św. Antoniego można porównać do tawern na Wzgórzu Awentyńskim, wzniesionych nad pieczarą Sybilli i nawiedzanych przez płynące z głębin święte tchnienia, do owych tawern, w których stoły były niemal trójnogami i gdzie się piło to, co Enniusz zwie winem sybilijskim.

Przedmieście Św. Antoniego to rezerwuar ludu. Po rewolucyjnym wstrząsie z jego szczelin wypływa suwerenność ludu. Ta suwerenność może czynić zło, myli się jak każda inna, lecz nawet sprowadzona na bezdroża zachowuje wielkość. Można o niej powiedzieć jak o ślepym cyklopie: *Ingens*\*.

W roku 1793, zależnie od tego, czy idea wisząca w powietrzu była dobra czy zła, zależnie od tego, czy był to dzień fanatyzmu czy entuzjazmu, z przedmieścia Św. Antoniego wyruszały dzikie legie lub heroiczne bandy.

Dzikiem. Wytłumaczmy, jak rozumiemy to słowo. Czegóż chcieli ci rozszreńczeni ludzie, którzy w początkowych dniach chaosu rewolucyjnego rzucali się na stary, wstrząśnięty Paryż - obdarci, ryczący, groźni, z uniesioną pałką i nastawioną piką? Chcieli skończyć z uciskiem, z tyranią, z mieczem, chcieli pracy dla mężczyzn, szkoły dla dziecka, pozycji społecznej dla kobiety; chcieli wolności, równości, braterstwa, chleba dla wszystkich, idei dla wszystkich, przemiany świata w raj, chcieli Postępu. I domagali się tej świętej, dobrej, łagodnej sprawy -

---

\* Potężny.

Postępu - doprowadzeni do ostateczności, nie panujący nad sobą, straszni, półnaczy, z maczugą w garści i rykiem na ustach. Byli to dzicy ludzie; tak, ale dzicy w imię cywilizacji.

Z furią głosili prawo. Chcieli - choćby zawieruchą i grozą - wpędzić rodzaj ludzki do raj. Wydawali się barbarzyńcami, a byli wybawicielami. Z maską nocy na twarzy domagali się światła.

Obok tych ludzi dzikich i - przyznajemy to - strasznych, ale dzikich i strasznych w imię dobra, istnieją inni ludzie, uśmiechnięci, błyszczący od haftów i złota, przystrojeni we wstążki i ordery, w jedwabnych pończochach, śnieżnobiałych pióropuszech, żółtych rękawiczkach, lakierowanych trzewikach, którzy, siedząc obok marmurowego kominka, przy stole pokrytym aksamitem, nalegają łagodnie na utrzymanie i zachowanie przeszłości, średniowiecza, prawa boskiego, fanatyzmu, ciemnoty, niewolnictwa, kary śmierci, wojny i chwałą układnym, cichym głosem szablę, stos i szafot. My, gdybyśmy musieli wybierać między barbarzyńcami cywilizacji a cywilizacją barbarzyństwa - wybralibyśmy barbarzyńców.

Ale, niebu niech będą dzięki, możliwy jest inny wybór. Nie ma konieczności rzucania się na oślep w przepaść, czy to naprzód, czy w tył. Ani despotyzmu, ani terroryzmu. Chcemy postępu po łagodnym zboczu.

Bóg się o to troszczy. I to właśnie łagodzenie stromych zboczy jest całą polityką Boga.

## VI

### Enjolras i jego sztab

W tym samym mniej więcej czasie Enjolras, mając na uwadze możliwość bliskich rozruchów, zrobił rodzaj tajemniczego przeglądu sił.

Wszyscy stawili się na tajne zebranie w kawiarni "Musain". Enjolras, przeplatając swe słowa paroma nieco zagadkowymi, lecz znamiennymi metaforami, powiedział:

- Należy zdać sobie sprawę, jaka jest sytuacja i na kogo możemy liczyć. Kto chce mieć bojowników, musi ich stworzyć. Musi mieć czym uderzyć. To nie może zaszkodzić. Przechodnie mają zawsze większe szansę dostać się na rogi wtedy, gdy na drodze są byki, niż wtedy, gdy ich nie ma. Policzmy więc stado. Ilu nas jest? Nie wolno tej pracy odkładać do jutra. Rewolucjonistom zawsze powinno się spieszyć; postęp nie ma czasu do stracenia. Nie ufajmy temu, co może nadejść nieoczekiwanie. Nie dajmy się zaskoczyć. Trzeba przejrzeć wszystkie szwy, któreśmy zszyli, i sprawdzić, czy dobrze trzymają. Ta sprawa musi być dziś zbadana do dna. Courfeyrac, ty zobaczysz się ze studentami politechniki. Dziś środa - mają więc dzień wolny. Ty, Feuilly, zobaczysz się z ludźmi z Glaciere, dobrze? Combeferre obiecał mi, że pójdzie do Picpus. Tam wre wspaniale. Bahorel odwiedzi Estrapade. Prouvaire, masoni tracą animusz, dostarczysz nam wiadomość z łoży przy ulicy Grenelle-Saint-Honore. Joly pójdzie do kliniki Dupuytrena i zbada puls akademii medycznej. Bossuet przespaceruje się po sądzie i pogada z aplikantami. Ja biorę na siebie Kugurdę.

- I wszystko załatwione! - rzekł Courfeyrac.

- Nie.

- Cóż pozostało jeszcze do zrobienia?

- Rzecz bardzo ważna.

- Co takiego? - zapytał Combeferre.

- Rogatka Maine - odrzekł Enjolras.

Na chwilę zagłębił się w myślach, po czym podjął na nowo.

- Na rogatek Maine są kamieniarze, malarze, uczniowie z pracowni rzeźbiarskich. Gromadka pełna entuzjazmu, ale i łatwo ostygająca w zapale. Nie wiem, co się z nimi dzieje od pewnego czasu. Myślą o czym innym. Duch w nich przygasa. Cały czas spędzają na grze w domino. Trzeba rozmówić się z nimi krótko, ale stanowczo - to pilne! Zbierają się u

Richefeu; zawsze ich tam można spotkać między dwunastą a pierwszą. Trzeba by rozdmuchać ogień w tym popiele. Liczyłem w tym w wypadku na tego roztrzepańca Mariusza, który w gruncie rzeczy jest dobrym chłopcem, ale on już tu nie przychodzi. Potrzebny byłby mi ktoś, żeby go posłać na roгатkę Maine. Ale nie mam już nikogo.

- A ja - odezwał się Grantaire. - Jestem tutaj.

- Ty?

- Ja.

- Ty miałbyś nauczać republikanów? Ty miałbyś - w imię zasad - rozgrzewać wystygłe serca?

- A czemu nie?

- Czyż ty możesz na coś się przydać?

- W każdym razie mam do tego pewne aspiracje.

- Przecież ty w nic nie wierzysz.

- Wierzę w ciebie.

- Grantaire, chcesz mi oddać przysługę?

- Każdą. Czyścić ci buty.

- No, to nie wtrącaj się do naszych spraw. Masz swój absynt, niech ci szumi.

- Jesteś niewdzięcznikiem, Enjolras.

- Ty miałbyś być tym, kto pójdzie na roгатkę Maine? Ty byś to potrafił?

- Potrafię pójść ulicą Gres, przejść przez plac Św. Michała, skrócić w ulicę Monsieur-le-Prince, wejść w ulicę Vaugirard, minąć karmelitów, skrócić w ulicę Assas, dojść do ulicy Cherche-Midi, zostawić za sobą gmach Rady Wojennej, przemierzyć ulicę Vieilles-Tuileries, przeciąć bulwar, iść w stronę Maine, przejść roгатkę i wejść do Richefeu. I ja to potrafię. I moje buty to potrafią.

- Czy znasz choć trochę tych kolegów od Richefeu?

- Trochę. Tyle, że jestem z nimi po imieniu.

- Cóż im powiesz?

- Będę im mówił o Robespierre, dalibóg! O Dantonie, o zasadach.

- Ty!

- Ja. Nikt mnie nie docenia. Kiedy się do tego biorę, jestem straszliwy. Czytałem Prudhomme'a, znam "Umowę społeczną", umiem na pamięć konstytucję roku drugiego. *Sfera wolności obywatela kończy się tam, gdzie się zaczyna sfera wolności drugiego obywatela.* Czy ty mnie masz za bydlę? Przechowuję w szufladzie starą asygnatę. Prawa Człowieka,

suwerenność ludu, do kroćset! Nawet poniekąd jestem hebertystą\*. Mogę głądzić wzniosie przez bite sześć godzin z zegarkiem w ręku.

- Bądź poważny - rzekł Enjolras.

- Jestem groźny - odrzekł Grantaire.

Enjolras zastanowił się chwilę i zrobił gest człowieka, który powziął decyzję.

- Grantaire - rzekł poważnie - zgadzam się na tę prośbę. Pójdiesz na rogatkę Maine.

Grantaire zajmował umeblowany pokój tuż obok kawiarni "Musain". Wyszedł i wrócił po pięciu minutach. Poszedł do siebie włożyć kamizelkę *à la Robespierre*.

- Czerwona - rzekł wchodząc i wlepił wzrok w Enjolrasa.

Po czym energicznym ruchem dłoni przycisnął do piersi oba szkarłatne wyłogi kamizelki.

Podszedłszy do Enjolrasa szepnął mu na ucho:

- Bądź spokojny.

Zdecydowanym ruchem nacisnął kapelusz i wyszedł.

Po upływie kwadransa boczna salka kawiarni "Musain" opustoszała. Wszyscy Przyjaciele Abecadła rozeszli się do pracy, każdy w swoją stronę. Enjolras, który sobie zostawił Kugurdę, wyszedł ostatni.

Członkowie Kugurdy z Aix, bawiący w Paryżu, zbierali się wtedy na polach Issy w jednym z opuszczonych kamieniołomów tak licznych w tej okolicy Paryża.

Idąc na miejsce spotkania, Enjolras robił w myśli przegląd sytuacji. Jasne było, że dzieją się rzeczy wielkiej wagi. Kiedy fakty, te pierwsze objawy pewnego rodzaju choroby społecznej, jeszcze ukrytej, zaczynają występować, najmniejsza komplikacja zatrzymuje je i gmatwa. Zjawisko, z którego wynikają upadki i odrodzenia. Poprzez mroki przyszłości Enjolras dostrzegał świetlistość powstania. Kto wie? Może ta chwila jest już niedaleka. Lud odzyskujący prawa, cóż to za piękny widok. Rewolucja majestatycznie biorąca znów Francję w swe władanie i mówiąca światu: "Jutro dalszy ciąg!" Enjolras był zadowolony. Ogień rozszerzał się. W tej właśnie chwili przyjaciele jego niby garść prochu rozsypani byli po całym Paryżu. Z filozoficznej i wnikliwej elokwencji Combeferre'a, z kosmopolitycznego entuzjazmu Feuilly, z werwy Coufeyraca, śmiechu Bahorela, ze smutku Jana Prouvaire, z wiedzy Joly'ego i z sarkazmów Bossueta Enjolras tworzył w myśli rodzaj elektrycznego iskrzenia, zapalającego się jednocześnie po trosze wszędzie. Wszyscy przy pracy. Z pewnością rezultat będzie na miarę wysiłków. Wszystko układało się pomyślnie. To mu

---

\* Hebertysta - wyznawca teorii Heberta (1757-1794), zwolennika metod bezwzględnych w walkach politycznych.

przywiódło na myśl Grantaire'a. "O! - rzekł do siebie - niewiele muszę zboczyć z drogi do rogatki Maine. Gdyby tak wpaść do Richefeu! Popatrzmy trochę, co robi Grantaire i ile już zdziałał".

Na dzwonnicy Vaugirard biła pierwsza, gdy Enjolras doszedł do palarni Richefeu. Pchnął drzwi, wszedł, skrzyżował ręce, puścił drzwi, które zamykając się uderzyły go w plecy. Rozejrzał się po sali pełnej stolików, ludzi i dymu.

Jakiś głos rozbrzmiewał donośnie wśród tych oparów; inny głos żywo mu przerywał. Był to dialog Grantaire'a i jego przeciwnika.

Siedział przy marmurowym stoliku, usianym otrębami i założonym kostkami domina, naprzeciw jakiejś innej postaci, i walił pięścią w marmur; a oto, co usłyszał Enjolras:

- Sześć i sześć!

- Cztery.

- Świnia! Nie mam.

- Toś trup! Dwa.

- Sześć.

- Trzy.

- As.

- Teraz moja stawka.

- Cztery punkty.

- Z trudem.

- Teraz twoja kolej.

- Zrobiłem olbrzymi błąd.

- Dobrze ci idzie!

- Piętnaście.

- Więcej siedem.

- A więc mam dwadzieścia dwa (z rozmarzeniem w głosie), dwadzieścia dwa!

- Nie spodziewałeś się, że położę dwie szóstki. Gdybym tak zrobił na początku, zmieniłoby to całą grę.

- Znowu dwa.

- As.

- As, no to pięć!

- Nie mam. Tyś stawiał, zdaje się?

- Tak.

- Mydło.

- Ten ma szczęście! Ach, ale ty masz szczęście. (Długa chwila namysłu.) Dwa.
- As.
- Ani piątki, ani asa. To niewygodne dla ciebie.
- Domino.
- A, psiakrew!



**Księga druga**

**Eponina**

## Skowronkowe pole

Mariusz był świadkiem nieoczekiwanego zakończenia zasadzki, na której ślad sam naprowadził Javerta; zaledwie jednak Javert opuścił rudere, uwożąc ze sobą więźniów w trzech dorożkach, Mariusz również wymknął się z domu. Była dopiero dziewiąta. Poszedł do Courfeyraca. Courfeyrac nie był już stałym mieszkańcem Dzielnicy Łacińskiej: osiadł przy ulicy Szklarskiej “z powodów politycznych”; dzielnicę tę upodobały sobie ówczesne powstania. Mariusz rzekł do Courfeyraca:

- Przyszedłem do ciebie na noc.

Courfeyrac wyciągnął ze swego łóżka materac (miał dwa), rozłożył go na ziemi i rzekł:

- Proszę.

Nazajutrz o siódmej rano Mariusz wrócił do rudery, zapłacił komorne i to, co był winien starej Bougon, załadował na ręczny wózek swoje książki, łóżko, stół, komodę oraz dwa krzesła i odjechał, nie zostawiając adresu. Tak więc, kiedy Javert nadszedł tego jeszcze ranka, by wypytać go o wypadki poprzedniego wieczora, zastał tylko jejmość Burczymuchę, która odpowiedziała: “Wyprowadził się!”

Jejmość Burczymucha była przekonana, że Mariusz miał coś wspólnego z ujętymi wieczorem opryszkami. “Kto by to pomyślał! - wykrzykiwała u stróżek w sąsiedztwie. - Takie to młode! A wyglądało jak panienka!”

Mariusz wyprowadził się tak szybko dla dwóch powodów. Po pierwsze, nabrał wstrętu do tego domu, w którym z tak bliska, z całą ohydą i okropnością szczegółów ujrzał szpetotę społeczną, szkaradniejszą jeszcze może od złego bogacza: złego nędzarza. Po wtóre, nie chciał występować w procesie, do którego wedle wszelkiego prawdopodobieństwa musiało dojść, ani świadczyć na niekorzyść Thénardiera.

Javert pomyślał, że młodzieniec, którego nazwiska nawet nie pamiętał, zląkł się i uciekł, a może w ogóle nie wrócił do domu na moment zasadzki; mimo to starał się go odnaleźć, ale bezskutecznie.

Upłynął miesiąc, potem drugi. Mariusz mieszkał wciąż u Courfeyraca. Dowiedziawszy się od pewnego aplikanta adwokackiego, bywalca poczekalni Pałacu

Sprawiedliwości, że Thénardier siedzi w areszcie, co poniedziałek składał dla niego pięć franków w kancelarii więzienia La Force.

Ponieważ zaś wyczerpał swe oszczędności, pożyczał te pięć franków od Courfeyraca. Pierwszy raz w życiu pożyczał pieniądze. Ta regularna przesyłka pięciu franków stanowiła podwójną zagadkę - dla Courfeyraca, który je dawał, i dla Thénardiera, który je otrzymywał. "Do kogo one idą?" - myślał Courfeyrac; "Od kogo one pochodzą?" - zastanawiał się Thénardier.

Mariusz był zresztą zdruzgotany. Wszystko znowu zapadło się jak w przepaść. Nic nie widział przed sobą; życie jego znów otoczyła tajemnica, w której błądził po omacku. Na chwilę w tej ciemności ujrzał z bliska ukochaną dziewczynę, starca wyglądającego na jej ojca, obie te nieznane istoty, które były jego jedynym zainteresowaniem, jedyną nadzieją na świecie; a kiedy zdawało mu się, że już je chwytą, jakiś podmuch uniósł te cienie. Ani jedna isierka pewności i prawdy nie wytrysnęła ze strasznego starcia. Daremne były wszelkie domysły. Nie znał już nawet jej imienia, choć niegdyś sądził, że je zna. Na pewno nie "Urszula". A Skowronek to przezwisko. I co miał myśleć o starcu? Czy istotnie ukrywał się przed policją? Przypomniawszy sobie siwowłosego robotnika, którego spotkał w okolicy Inwalidów. Możliwym stawało się teraz przypuszczenie, że ów robotnik i pan Biały byli tą samą osobą. A więc przebierał się? Ten człowiek był bohaterski, a zarazem podejrzany. Dlaczego nie wzywał pomocy? Dlaczego uciekł? Był czy nie był ojcem dziewczyny? Czy wreszcie był naprawdę owym człowiekiem, którego Thénardier zdawał się poznawać? Czy Thénardier mógł się pomylić? Tyle zagadek nie do rozwiązania. Wszystko to, co prawda, nie pomniejszało anielskiego czaru dziewczęcia z Ogrodu Luksemburskiego. Smutek przejmujący; Mariusz miał w sercu wielką miłość, a na oczach - noc. Coś go popychało, coś go przyciągało, a on nie mógł się ruszyć. Wszystko się rozwiało - oprócz miłości. A miłość sama zatraciła swój instynkt i nagłe objawienia. Zazwyczaj ten płomień, który nas spala, oświeca nas również i rzuca jakieś użyteczne światło na wydarzenia świata zewnętrznego. Ale Mariusz nie słyszał już nawet cichych rad miłości. Nigdy nie mówił sobie: "A może by pójść tam? A może by zrobić to?" Ta, której nie mógł już zwać Urszulą, była gdzieś przecie, to oczywiste; lecz nic nie mówiło Mariuszowi, gdzie należy jej szukać. Całe jego życie streszczało się teraz w słowach: zupełna niepewność w nieprzeniknionym mroku. Zobaczyc ją! Zobaczyc! Wciąż jeszcze marzył o tym, lecz już się tego nie spodziewał.

Na domiar złego wróciła nędza. Czuł jej lodowate tchnienie koło siebie, za sobą. Rozterki duchowe sprawiły, że od dawna już zarzucił pracę, a nie ma nic

niebezpieczniejszego od przerwanej pracy; tak traci się przyzwyczajenie. Przyzwyczajenie, które łatwo porzucić, trudno odzyskać.

Nieco marzycielstwa jest rzeczą równie dobrą jak narkotyk w małej dawce. Koi silne nieraz rozgorączkowanie pracującego umysłu i rodzi w duszy miękką, świeżą mgłę, która łagodzi surowe zarysy czystej myśli, wypełnia gdzieniegdzie braki i niedociągnięcia, wiąże całości i ściera zbyt ostre kontury idei. Ale nadmiar marzycielstwa zalewa i topi. Biada człowiekowi pracującemu umysłem, który myśl porzuci dla marzenia. Sądzi, że łatwo wydobędzie się z tego nawyku, i powiada sobie, że ostatecznie to jedno i to samo. Złudzenie.

Myśl jest pracą umysłu, marzenie jest jego rozkoszą. Kto myśl zastępuje marzeniem, ten nie odróżnia pożywienia od trucizny.

Jak pamiętamy, od tego właśnie zaczął Mariusz. Nadeszła miłość i do reszty wtrąciła go w świat rojeń bez celu i dna. Wychodzi się z domu po to tylko, aby marzyć. Leniwa to praca twórcza. Otchłań zgiełkliwa i gnuśna. A w miarę, jak zmniejsza się praca, rosą potrzeby. Takie jest prawo. Człowiek marzycielski jest z natury rzeczy rozrzutny i słaby; umysł, który folguje sobie, nie potrafi trzymać życia w garści. Ten sposób życia ma dobre i złe strony, jeśli bowiem słabość jest zgubna, wspaniałomyślność jest zdrowa i dobra. Ale człowiek biedny, hojny i uczciwy jest zgubiony, jeśli nie pracuje. Zasoby zmniejszają się, potrzeby mnożą. Niebezpieczna to pochyłość, na której znajdują się zarówno istoty najbardziej szlachetne i dzielne, jak słabe i podłe, a która wiedzie do dwóch przepaści: samobójstwa albo zbrodni.

Póty człowiek chodzi na przechadzki tonąc w marzeniach, aż pewnego dnia wyjdzie, by się rzucić do rzeki.

Zbytek marzycielstwa stwarza takich ludzi jak Escousse i Lebras\*.

Mariusz staczał się powoli po tej pochyłości, z oczyma utkwionymi w tę, której już nie widział. Ostatnie słowa mogą się wydać dziwne, a jednak są prawdziwe. Wspomnienie istoty nieobecnej zapala się w ciemnościach serca; im bardziej jest nie do odnalezienia, tym mocniej promienieje; zrozpaczona, mroczna dusza widzi to światło na swym nieboskłonie, tę gwiazdę duchowej nocy. Jedyłą myślą Mariusza była Ona. Nie marzył o niczym innym; niejasno zdawał sobie sprawę, że jego stare ubranie stawało się niemożliwe do noszenia, że nowe ubranie stawało się starym ubranem, że koszule były zniszczone, że kapelusz był zniszczony, że buty były zniszczone, słowem, że życie jego było zniszczone i mówił sobie: "Ach, gdybym mógł choć raz ujrzeć ją przed śmiercią!"

---

\* Victor de Lasère zwany Escousse (1813-1832) - pisarz dramatyczny; wobec fiaska sztuki "Raymond", napisanej z przyjacielem Augustem Lebras, skłonił go do wspólnego samobójstwa.

Pozostała mu tylko jedna słodka myśl, myśl, że Ona go kochała; powiedziało mu to jej spojrzenie; nie znała wprawdzie jego imienia, ale znała jego duszę i może tam, gdzie teraz przebywa - w jakimś nieznanym miejscu - kocha go jeszcze. Kto wie? Może myśli o nim jak on o niej? Czasem w owych niewytłumaczonych chwilach, które przeżywa każde kochające serce, mając jedynie powody do smutku, a jednak czując ciche drżenie radości, mówił sobie: "To jej myśli do mnie przyszły!" Potem dodawał: "Może moje myśli też do niej dochodzą?"

To złudzenie, nad którym chwilę później sam kiwał głową, potrafiło wszakże rozniecić w jego duszy promienie, które czasem podobne były do nadziei. Niekiedy - zwłaszcza o tej wieczornej godzinie, która najgłębszym smutkiem przejmuje marzycieli - kreślił w zeszytach, specjalnie na ten cel przeznaczonym, słowa najczystszych, bezosobistych, najbardziej idealnych uczuć, jakimi miłość przepelniała mu głowę. Nazywał to "listami do Niej".

Nie trzeba sądzić, że mącił mu się rozum. Przeciwnie. Choć zatracił zdolność do pracy i wytrwałego dążenia do określonego celu, nigdy nie miał równie jasnego spojrzenia i trafnego sądu. Widział w świetle spokojnym i realnym, choć dość osobliwym, wszystko, co przesuwało mu się przed oczyma, nawet najzupełniej obojętnych ludzi czy zdarzenia, wszystko oceniał właściwie z jakimś szlachetnym przygnębieniem i pogodną obojętnością. Sądy jego prawie całkowicie wyzbyte złudzeń szybowwały wysoko.

W takim stanie umysłu nic nie uchodziło jego uwagi, nic nie wprowadzało go w błąd, w każdej chwili zgłębiał istotną treść życia, ludzkości i przeznaczenia. Szczęśliwy nawet w cierpieniu ten, kogo Bóg obdarzył duszą godną miłości i nieszczęścia. Kto nie widział spraw tego świata i serca ludzkiego w tym podwójnym świetle - nie zna prawdy i nie wie nic.

Wzniosły jest stan duszy, która kocha i cierpi.

Dni następowały po sobie, nie przynosząc nic nowego. Mariusz miał tylko wrażenie, że ciemna przestrzeń, która mu pozostaje do przebycia, kurczy się z każdą chwilą. Zdawało mu się, że już widzi wyraźnie krawędź bezdennej przepaści. "Jak to - mówił sobie - więc Jej przedtem nie zobaczę?"

Kto pójdzie w górę ulicą Św. Jakuba, minie roгатkę, przejdzie niewielki kawałek starym bulwarem wewnętrznym po lewej stronie i dojdzie do ulicy Santé, a następnie do ulicy Glacière, ten nie dochodząc do rzeczułki Gobelins napotka coś w rodzaju pola, jedyne miejsce w długim i jednostajnym pierścieniu bulwarów paryskich, gdzie Ruysdaël miałby ochotę zatrzymać się.

Jest w tym zakątku coś, z czego płynie jakiś niewysłowny czar; zielona łączka z rozpiętymi we wszystkich kierunkach sznurami, na których wiatr suszy jakieś szmaty, stara

farma ogrodnicza z czasów Ludwika XIII, z wysokim dachem o dziwacznie rozmieszczonych mansardach, walące się płoty, tafle wody między topolami, kobiety, śmiechy, głosy; w dali na widnokręgu Panteon, drzewo przy Instytucie Głuchoniemych i Valde-Grâce, budynek czarny, przysadzisty, fantastyczny, śmieszny i wspaniały, a w głębi surowe, prostokątne wieże katedry Marii Panny.

Ponieważ jest to miejsce warte widzenia, nikt tam nie przychodzi. Najwyżej parę razy na godzinę przejedzie jakiś wóz.

Zdarzyło się raz, że podczas samotnej przechadzki Mariusz zawędrował na tę łączkę, w pobliże tej wody. Tego dnia ktoś szedł bulwarem - niezwykle wydarzenie! Mariusz, uderzony półdzikim urokiem tego miejsca, zapytał przechodnia:

- Jak się nazywa ten zakątek?

Przechodzień odpowiedział:

- Skowronkowe Pole. - I dodał: - To tutaj Ulbach zabił pastuszkę z Ivry.

Ale po słowie "Skowronkowe" Mariusz nic już więcej nie słyszał. Bywa, że jedno słowo wystarczy, by rozmarzenie przeszło w stan stężenia. Wszystkie myśli skupiają się nagle wokół jednej idei i nie są zdolne do przyjmowania innych wrażeń Skowronek to było imię, które w głębinach melancholii Mariusza zajęło miejsce Urszuli. "Ach! - powiedział w owym zdumieniu towarzyszącym tajemniczemu monologowi wewnętrznemu - to jej pole! Tutaj dowiem się, gdzie mieszka".

Skojarzenie było niedorzeczne, lecz nieodparte.

I zaczął codziennie przychodzić na Skowronkowe Pole.

## II

### Zalążki zbrodni rodzące się w wylegarni więziennej

Triumf Javerta w rudery Gorbeau wydawał się zupełny, ale taki nie był.

Przede wszystkim - i to martwiło go najbardziej - nie uwięził więźnia. Ofiara, która ucieka, jest bardziej podejrzana od mordercy: ów osobnik, tak cenny łup dla bandytów, byłby prawdopodobnie niemniej pożądaną zdobyczą dla władzy.

Poza tym wymknął się też Javertowi Montparnasse.

Należało czekać innej sposobności, by złowić tego “diabelskiego fircyka”. Montparnasse bowiem, spotkawszy Eponinę na warcie pod drzewami bulwaru, zabrał ją stamtąd, gdyż wolał zabawiać się z córką w Némorina niż z ojcem w Schinderchannesa. I dobrze na tym wyszedł. Był wolny. Co do Eponiny, to Javertowi udało się wprowadzić ją “przyłapać”, ale nędzna to była pociecha. Eponina dostała się do Magdalenek, gdzie już siedziała Anzelma.

Wreszcie, w drodze z rudery Gorbeau do więzienia La Force, znikł jeden z ważniejszych aresztowanych - Claquesous. Nikt nie wiedział, jak to się stało, policjanci i żandarmi “nic z tego nie rozumieli”; ulotnił się, wysliznął z kajdanek, wysunął się jakąś szparką - bo dorożka była porozbijana - i uciekł. Umiano powiedzieć tylko tyle, że gdy dojechali do więzienia - Claquesous nie było. Kryły się w tym czary lub policja. Czy roztopił się w ciemnościach, jak płatek śniegu w wodzie? Czy pozostawał w tajnym porozumieniu z agentami? Czy był podwójną zagadką: bezprawia i ładu? Czy brał jednocześnie udział w naruszaniu i w obronie porządku społecznego? Czy ten sfinks miał przednie łapy w zbrodni, a tylne we władzy? Javert nie dopuszczał takich kombinacji i odrzuciłby gniewnie podobny kompromis; ale poza nim brali udział w wyprawie inni inspektorzy, którzy - choć jego podwładni - byli może bardziej wtajemniczeni w arkana prefektury. Claquesous zaś był tak wybitnym zbrodniarzem, że mógł być znakomitym agentem. Pozostawanie w tak ścisłym, czarnoksiężskim nieomal, porozumieniu z nocą jest rzeczą równie przydatną dla rozboju, jak i dla policji. Zdarzają się takie “obosieczne” łotrzyki. Jakkolwiek rzeczy się miały, zguba się nie odnalazła. Javert wydawał się bardziej tym rozgniewany niż zdziwiony.

Co do Mariusza, “tego mazgaja-adwokata, który prawdopodobnie stchórzył”, a którego nazwiska nie pamiętał, Javert mało się o niego troszczył. Zresztą adwokata zawsze można jakoś odszukać. Czy aby naprawdę był adwokatem?

Rozpoczęło się śledztwo.

Sędzia śledczy uznał za stosowne nie umieszczać jednego z członków bandy “ślepego kura” w osobnej celi, licząc na to, że się z czymś wygada. Tym więźniem był Brujon, długowłosy opryszek z ulicy Małego Bankiera. Pozwolono mu chodzić po podwórzu Karola Wielkiego, a dozorczy mieli go na oku.

Nazwisko Brujon należy do historii więzienia La Force. Na ohydnych podwórzach Nowego Gmachu, zwanym przez zarząd więzienia podwórzem Św. Bernarda, a przez więźniów - Lwią Jamą, na odrapanym i brudnym murze, z lewej strony sięgającym wysokości dachów, koło starej zardzewiałej furty wiodącej do dawnej kaplicy książęcego pałacu La Force, przemienionej na sypialnie dla zbrojów, można było zobaczyć jeszcze dwanaście lat temu rodzaj baszty, nieudolnie wyrytej gwoździem w kamieniu, a pod tym podpis:

### *Brujon 1811*

Ów Brujon z 1811 roku był ojcem Brujona z roku 1832. Opryszek ten, którego widzieliśmy tylko przelotnie podczas zasadzki w ruderze Gorbeau, był młodym, zręcznym i kutym na cztery nogi chwatem z miną płacznego niedołęgi. Ta właśnie mina sprawiła, że sędzia śledczy nie zamknął go, sądząc, że więcej będzie z niego korzyści na podwórzu Karola Wielkiego niż w osobnej celi.

Złodzieje nie przerywają swej pracy, gdy się znajdują w ręku sprawiedliwości. Taka drobnostka nie stanowi dla nich przeszkody. Można odsiadywać w więzieniu karę za zbrodnię i rozpoczynać nową zbrodnię. Są to artyści, którzy posłali obraz na wystawę, a równocześnie pracują w swej pracowni nad nowym dziełem.

Brujon wydawał się w więzieniu zupełnie ogłupiały. Widziano, jak wystawał nieraz całymi godzinami na podwórzu Karola Wielkiego przed okienkiem kantyny i z miną idioty patrzył na brudny cennik, który zaczynał się pozycją: “Czosnek - 62 centymy”, a kończył: “Cygaro - 5 centymów”. Albo też cały czas trząsał się, szczekał zębami, mówił, że ma gorączkę, i pytał, czy któreś z dwudziestu ośmiu łóżek na izbie chorych jest wolne.

Nagle w drugiej połowie lutego 1832 okazało się, że ten niedołęga Brujon, nie w swoim imieniu, ale w imieniu trzech kolegów, dał posługaczom więziennym trzy różne



zlecenia, za które zapłacił całe pięćdziesiąt su. Była to suma tak zawrotna, że zwróciła uwagę wachmistrza.

Zasięgnięto wiadomości, i po sprawdzeniu cennika zleceń, umieszczonego w rozmównicy dla więźniów, stwierdzono, że sumą pięćdziesięciu su zadysponowano w następujący sposób: trzy zlecenia; jedno w dzielnicy Panteonu - 10 su; drugie w dzielnicy Val-de Grâce - 15 su; trzecie przy rogatce Grenelle - 25 su. To ostatnie było najdroższe w cenniku. Otóż właśnie w pobliżu Panteonu, w okolicy Val-de Grâce i przy rogatce Grenelle mieszkało trzech bardzo niebezpiecznych podmiejskich rzezimieszków: Kruideniers, zwany Bizarro, Słoneczko, dawny galernik, i Zawalidroga, na których wypadek ten zwrócił uwagę policji. Domyślano się, że mieli jakieś związki z bandą "ślepego kura", której przymknęto hersztów: Babeta i Gueulemera. Przypuszczano też, że w przesyłkach Brujona, kierowanych nie do domu, według adresu, lecz doręczonych ludziom czekającym na ulicy, muszą kryć się jakieś konszachty, wskazówki w sprawie nowej zbrodni; były inne jeszcze poszlaki: zatrzymano trzech rzezimieszków i - jak się zdawało - trafiono na ślad jakichś knowań Brujona.

W tydzień mniej więcej po przedsięwzięciu tych środków, pewnej nocy, kiedy dozorca nocny, pilnujący sypialni na dole w Nowym Gmachu, wrzucał swój kasztan do skrzynki - sposobu tego używano, aby upewnić się, że dozorczy wypełniają ściśle służbę; co godzina jeden kasztan powinien był wpadać do skrzynki przybitej przy drzwiach każdej sypialni - zatem dozorca ów zobaczył przez judasza, że Brujon siedzi na łóżku i pisze coś przy świetle lampki. Dozorca wszedł, Brujona wsadzono na miesiąc do osobnej celi, ale tego, co pisał, nie udało się odnaleźć. I policja nie dowiedziała się nic więcej.

Jedno jest tylko pewne, że nazajutrz z podwórza Karola Wielkiego do Lwiej Jamy, ponad pięciopiętrowym gmachem, który je przedzielał, został przerzucony "posłaniec".

Więźniowie nazywają "posłańcem" gałkę chleba, przemyślnie ulepioną, którą posyła się do *Irlandii*, to znaczy ponad dachy więzienia z jednego podwórza na drugie. Źródłosłów: z jednej ziemi na drugą, przez Anglię - do Irlandii. Gałka pada na podwórze. Ten, kto ją podnosi, otwiera i znajduje w niej karteczkę, zaadresowaną do jednego z więźniów. Jeśli gałkę znajdzie więzień, oddaje karteczkę adresatowi; jeśli dozorca więzienny lub jeden z więźniów tajnie zaprzędany, których w więzieniach nazywają "baranami", a na galerach "lisami", kartka zostaje zanieśiona do kancelarii i oddana policji.

Tym razem "posłaniec" doszedł do rak właściwych, chociaż ten, do kogo był adresowany, siedział wówczas w "separatce". Adresatem był sam Babet, jeden z czterech hersztów bandy "ślepego kura".

“Posłaniec” zawierał zwinięty papier, na którym napisane było tych parę słów:

*Babet. Jest robota na ulicy Plumet. Kraty przy ogrodzie.*

To właśnie napisał Brujon owej nocy.

Pomimo wścibskich “szperaczy” i “szperaczek”, Babet znalazł sposób, by przesłać karteczkę z więzienia La Force do więzienia Salpetriere, gdzie siedziała jedna z jego “przyjaciółek”. Dziewczyna z kolei przesała kartkę swojej znajomej imieniem Magnon, która, mimo że policja miała ją na oku, przebywała jeszcze na wolności. Owa Magnon, z której imieniem czytelnik już się spotkał, miała z rodziną Thénardierów stosunki, które później opiszemy dokładniej, i odwiedzając Eponinę, mogła służyć za łączniczkę między Salpetriere a Magdalenkami.

Właśnie w owym czasie, z braku dowodów przeciw córkom Thénardiera w śledztwie wszczętym w jego sprawie, Eponina i Anzelma zostały zwolnione.

Kiedy Eponina wyszła, Magnon, która czekała na nią przed bramą Magdalenek, oddała jej kartkę Brujona do Babet i poleciła “wyjaśnić sprawę”.

Eponina poszła na ulicę Plumet, odnalazła kraty i ogród, wypatrywała, szpiegowała i po paru dniach zaniósła Magnon, mieszkającej przy ulicy Clocheperce, sucharek, który ta z kolei oddała kochance Babet w Salpetriere. Sucharek oznacza w ciemnej symbolice więziennej: “Tam nie ma roboty”.

Kiedy więc po upływie niespełna tygodnia Babet i Brujon spotkali się na podwórzu, jeden idąc na śledztwo, drugi wracając ze śledztwa:

- No i co? - zapytał Brujon - ulica P?

- Sucharek - odpowiedział Babet.

Tak został poroniony ten zarodek zbrodni spłodzonej w więzieniu przez Brujona.

Poronienie to pociągnęło jednak za sobą następstwa, nie mające nic wspólnego z zamiarami Brujona. Jakże - zobaczymy wkrótce.

Nieraz, myśląc, że zadzierzgamy jakąś nić, nawiązujemy inną.

### III

#### Zjawa nawiedza ojca Mabeuf

Mariusz nie bywał już u nikogo, czasami tylko zdarzało mu się spotkać ojca Mabeuf.

Podczas gdy Mariusz powoli zstępował po stopniach, które można by nazwać schodami do piwnicy, wiodącymi do owych miejsc bez promyka światła, gdzie nad głową słychać kroki ludzi szczęśliwych, pan Mabeuf także schodził coraz niżej. “Flory z okolic Caunteretz” nikt już nie kupował. Doświadczenia z indygiem nie powiodły się w małym ogródku w dzielnicy Austerlitz, który miał złą wystawę słoneczną. Pan Mabeuf mógł tam hodować tylko kilka rzadkich roślin, lubiących wilgoć i cień. Jednakże nie zniechęcał się. Dostał w Ogrodzie Botanicznym skrawek ziemi w miejscu słonecznym i tam “na koszt własny” przeprowadzał doświadczenia z indygiem. W tym celu zastawił w lombardzie miedziorytowe płyty “Flory”. Ograniczył śniadanie do dwóch jajek, jedno z nich oddawał starej służącej, której od piętnastu miesięcy nie płacił pensji. I często śniadanie stanowiło jego jedyny posiłek. Nie śmiał się już dziecięcym śmiechem, stał się osowiały i nie przyjmował gości. Mariusz dobrze robił, że go nie odwiedzał. Czasem, gdy pan Mabeuf szedł do Ogrodu Botanicznego, starzec i młodzieniec mijali się na bulwarze Szpitalnym, lecz nie rozmawiali ze sobą, pozdrawiając się tylko smutnym skinieniem głowy. Bolesne to, że nadchodzi chwila, w której nędza rozdziela ludzi. Niegdyś byli przyjaciółmi, dziś stali się przechodniami.

Księgarz Royol umarł. Pan Mabeuf miał już tylko swoje książki, swój ogród i swoje indygo. Taką postać miały dlań teraz szczęście, przyjemność i nadzieja. To mu wystarczało, by żyć. Powiadał sobie: “Kiedy wyhoduję swój niebieski barwnik, będę bogaty; wykupię miedzioryty z lombardu, rozreklamuję “Florę”, niczym szarlatan, dam szumne ogłoszenia do gazet i kupię sobie - wiem dobrze gdzie - egzemplarz «Sztuki żeglarskiej» Piotra z Medyny, w wydaniu z 1559 roku z drzeworytami”. Na razie pracował całymi dniami na swym zagonku z indygiem, wieczorem wracał do domu, podlewał ogródek i czytał. W owym czasie zbliżał się już do osiemdziesiątki.

Pewnego wieczora nawiedziła go osobliwa zjawa.

Wrócił do domu jeszcze za dnia. Matka Plutarch, która podupała na siłach, była chora i leżała w łóżku. Na obiad obgryzł kość, na której było trochę mięsa, przekąsił

kawałkiem chleba znalezionym na stole w kuchni i usiadł w ogrodzie na przewróconym kamiennym słupku, zastępującym mu ławkę.

Niedaleko ławki stał rodzaj wielkiej, bardzo zniszczonej skrzyni, jakie się spotyka w dawnych sadach, zbitej z bierwion i desek, z klatką na króliki na dole i półkami na owoce na górze. W klatkach nie było królików, ale na półkach zostało jeszcze parę jabłek, resztki zapasów zimowych.

Pan Mabeuf włożył okulary i zaczął przeglądać i czytać dwie książki, które ogromnie mu się podobały, a nawet, rzecz poważniejsza w jego wieku, bardzo go pochłaniały. Wrodzona nieśmiałość czyniła go w pewnej mierze przesądnym. Jedną z książek była słynna rozprawa prezydenta Delancre "O zmienności demonów", drugą dzieło *in quarto*, Mutora de la Rubaudière "O diabłach z Vauvert i strzygach z Bievre". Książka ta interesowała pana Mabeuf tym więcej, że ogródek jego położony był w miejscu nawiedzonym niegdyś przez strzygi. Zmierzch zaczął rozjaśniać niebo, a zaciemniać ziemię. Nie przerywając czytania, pan Mabeuf spoglądał ponad kartkami książki na swoje rośliny, szczególnie zaś na wspaniały rododendron, który był jedną z jego radości. Po czterech dniach suszy, wiatru i słońca łodygi roślin gięły się bezsilnie, chyliły się kielichy kwiatów, liście opadały; wszystko domagało się wody; zwłaszcza rododendron był w żalonym stanie. Dla ojca Mabeuf kwiaty miały duszę. Starzec przepracował cały dzień nad zagonkiem indyga i upadał ze znużenia; mimo to wstał, odłożył książkę na ławkę i zgarbiony, chwiejnym krokiem podszedł do studni; ale gdy ujął łańcuch, nie miał nawet dość siły, by go odczepić. Odwrócił się i podniósł pełne udreki spojrzenie ku niebu, które wypełniało się gwiazdami.

Wieczór miał w sobie ową pogodę, która przytłacza cierpienia ludzkie jakąś nieubłaganą i wieczną radością. Noc zapowiadała się równie sucha jak dzień.

"Wszędzie gwiazdy! - pomyślał starzec - ani jednej chmurki, ani jednej kropli wody!"

I głowa, podniesiona na chwilę, opadła mu na piersi.

Podniósł ją znowu i spojrzał jeszcze raz w niebo, szepcząc:

- Och, jedną łzę rosy, odrobinę litości!

Raz jeszcze pociągnął za łańcuch od studni, lecz daremnie.

W tej chwili usłyszał głos, który powiedział:

- Ojciec Mabeuf, chce pan, żebym podlała ogród?

Jednocześnie coś zaszeleściło w żywopłocie, jak gdyby przemykało się tam jakieś dzikie zwierzę, i starzec zobaczył wychodzącą z zarośli wysoką i chudą postać dziewczęcą, która stanęła przed nim i spojrzała nań śmiało. Wyglądała raczej na widmo wylęgłe z wieczornego zmierzchu niż na istotę ludzką.

Nim ojciec Mabeuf, który, jak już mówiliśmy, łatwo się przerażał, zdołał wyjąkać słówko, istota ta, z dziwną gwałtownością poruszająca się w mroku, odczepiła łańcuch, zanurzyła wiadro, wyciągnęła je i napełniła konewkę. I pocziwiec zobaczył, że ta bosonoga i obdarta zjawa przebiega wzdłuż grządek kwiatów, rozlewając wokół życie. Szmer wody padającej na liście napełniał zachwytem duszę ojca Mabeuf. Wydawało mu się, że teraz rododendron jest szczęśliwy.

Opróżniwszy jedno wiadro, dziewczyna wyciągnęła drugie, potem trzecie. Podlała cały ogród.

Krążąc tak po ścieżkach, wśród których jej sylwetka wydawała się całkiem czarna, i poruszając podartą chustką na swoich długich kościstych ramionach, podobna była do nietoperza.

Gdy skończyła robotę, ojciec Mabeuf zbliżył się ze łzami w oczach i położył rękę na jej czole.

- Bóg ci pobłogosławi - rzekł. - Jesteś aniołem, bo troszczysz się o kwiaty.

- Nie - odpowiedziała. - Jestem diabłem, ale wszystko mi jedno!

Nie czekając na odpowiedź i nie słysząc jej, starzec zawołał:

- Jaka szkoda, że jestem tak nieszczęśliwy i biedny i nie mogę nic dla ciebie zrobić!

- Owszem, może pan - odpowiedziała.

- Cóż takiego?

- Powiedzieć mi, gdzie mieszka pan Mariusz!

Starzec nie zrozumiał.

- Jaki pan Mariusz?

Podniósł szklisty wzrok i zdawał się szukać czegoś, co zniknęło.

- Młody panicz, co tu kiedyś przychodził.

Pan Mabeuf tymczasem szukał w pamięci.

- Ach, tak! - zawołał. - Już wiem, o kogo chodzi! Poczekaj! Pan Mariusz... baron Mariusz Pontmercy, tak! Mieszka... a raczej już nie mieszka... Dalibóg, nie wiem!

Mówiąc to, nachylił się, by poprawić gałązkę rododendronu, i ciągnął dalej:

- Prawda, teraz sobie przypominam. Bardzo często przechodzi bulwarem idąc w stronę Glaciere. Ulica Croulebarbe. Skowronkowe Pole. Pójdź tam. Łatwo go spotkać.

Gdy pan Mabeuf podniósł głowę, nie było już nikogo.

Dziewczyna znikła.

Ogarnął go strach.

“Doprawdy! - pomyślał. - Gdyby ogród nie był podlany, pomyślałbym, że to duch”.

W godzinę później, gdy już leżał w łóżku, znów sobie o tym przypomniał, i zasypiając, w tej dziwnej chwili, w której myśl - podobnie, jak ów ptak z bajki, co przemienia się w rybę, aby przepłynąć w morze - przybiera postać marzenia, aby przetrwać czas snu, rzekł sobie półprzytomnie:

- W istocie, przypomina to bardzo opowiadanie Rubaudiere'a o strzygach. A może to była strzyga?

## IV

### Zjawa ukazuje się Mariuszowi

Pewnego poranka, w parę dni po wizycie “ducha” u ojca Mabeuf, a był to poniedziałek, dzień pożyczania pięciofrankówki od Courfeyraca dla Thénardiera - Mariusz wsunął pieniądze do kieszeni przed zanieśieniem ich do kancelarii więzienia i poszedł “przejsć się nieco” w nadziei, że po powrocie będzie mu łatwiej pracować. Zresztą stale się powtarzała ta sama historia. Ledwo wstał z łóżka, zasiadał od razu nad książką i arkuszem papieru, aby sklecić naprędce jakieś tłumaczenie: pracował wtedy nad przekładem na język francuski sławnego sporu dwóch Niemców: Gansa i Savigny'ego: brał Savigny'ego, brał Gansa, czytał cztery wiersze, starał się napisać choć jeden; nie mógł; jakaś gwiazda stawała pomiędzy papierem a jego oczami, zrywał się z krzesła mówiąc: “Pójdę się przejść! To mnie usposobi do pracy!”

I szedł na Skowronkowe Pole.

Tam o wiele wyraźniej widział gwiazdę, a o wiele słabiej Savigny'ego i Gansa.

Wracał, usiłował znowu zabrać się do pracy i nigdy mu się to nie udawało. Nie sposób mu było związać którąś z porozrywanych nici umysłu; wówczas mówił sobie: “Jutro nie wyjdę. Przeszkadza mi to w pracy”. I wychodził co dzień.

Mieszkał raczej na Skowronkowym Polu niż u Courfeyraca. Prawdziwy jego adres brzmiał: “Bulwar Sante, pod siódmym drzewem za ulicą Croulebarbe”.

Tego poranka opuścił swoje siódme drzewo i usiadł na murku nad brzegiem rzeczki Gobelins. Wesole słońce prześwietlało świeże, jaśniejące blaskiem liście.

Marzył o Niej. A marzenie, zamieniając się w wyrzut sumienia, zwracało się przeciw niemu; rozmyślał boleśnie o swym lenistwie, tym paraliżu ducha, który go ogarniał, i o tej nocy, która z każdą chwilą stawała się gęstsza wokół niego, tak że nie widział już słońca.

Jednakże poprzez smutne snucie niejasnych myśli, które nie tworzyły nawet monologu, tak bowiem osłabła w nim zdolność do jakiegokolwiek działania, że nie miał nawet siły, aby chcieć się martwić, poprzez tę melancholijną zadumę przenikały doń wrażenia ze świata zewnętrznego. Za sobą i przed sobą, z obu brzegów rzeczki słyszał kijanki praczek z Gobelins, bijące bieliznę, a nad głową świergot ptaków śpiewających w wiązach. Z jednej

strony odgłosy wolności, szczęśliwej beztroski, skrzydlatej swobody; z drugiej - odgłosy pracy. Rozmarzył się nad tym, a nawet zamyślił głęboko.

Nagle z przygnębienia i zachwytu wyrwał go głos, który mówił:

- No! Jest tutaj!

Podniósł oczy i poznał nieszczęśliwą dziewczynę, która przysła niegdyś do niego, starszą córkę Thénardierów, Eponinę. Wiedział teraz, jak ma na imię. Dziwna rzecz, wynędzniała i wyładniała, dwie rzeczy, do których zdawała się być niezdolna. Dokonała podwójnego postępu - ku światłu i ku nędzy. Była bosa i obdarta jak owego dnia, gdy tak śmiało wtargnęła do jego pokoju, tylko że łachmany jej były o dwa miesiące starsze, bardziej dziurawe i jeszcze brudniejsze. Był to ten sam ochrypły głos, to sarno ciemne czoło o skórze spękanej od słońca, to samo zuchwałe, błędne i niepewne spojrzenie. Poza tym, rzecz nowa, twarz jej miała ten wyraz wystraszony i żałosny, który pobyt w więzieniu przydaje nędzy.

Żdźbła słomy i siana tkwiły w jej włosach, nie dlatego, że jak Ofelia szalała zaraziwszy się szaleństwem Hamleta, lecz dlatego, że spędziła noc na jakimś stajennym strychu.

A jednak z tym wszystkim była piękna. Jakaż ty jesteś gwiazdą, o młodości!

Zatrzymała się przed Mariuszem z odrobiną rozradowania na wybladłej twarzy i czymś, co przypominało cień uśmiechu.

Stała tak parę chwil i jakby nie mogła przemówić.

- No, więc spotkałam pana! - rzekła wreszcie. - Ojciec Mabeuf miał rację, to na tym bulwarze. Żeby pan wiedział, com się pana naszukała! Siedziałam w ciupie, wie pan? Dwa tygodnie. Wypuścili mnie, bo nie mieli dowodów, a przy tym jestem niepełnoletnia. Brakowało mi dwóch miesięcy. Ale się pana naszukałam! Całe sześć tygodni! To pan już teraz tam nie mieszka?

- Nie - rzekł Mariusz.

- Rozumiem. Z powodu tamtej historii. Takie awantury to nic przyjemnego. Więc się pan wyprowadził. Ale dlaczego pan nosi ten stary kapelusz? Taki panicz jak pan powinien się ubierać elegancko. A czy pan wie, że ojciec Mabeuf mówi o panu: "baron Mariusz" - i nie wiem już, co dalej. E, ale pan chyba nie jest baronem? Baronowie to takie stare dziady, co łązą po Ogrodzie Luksemburskim, koło pałacu, wygrzewają się na słońcu i czytają "La Quotidienne" za jednego su. Nosiłam raz list do takiego barona. Miał chyba ze sto lat. Niech pan powie, gdzie pan teraz mieszka?

Mariusz nie odpowiedział.

- O! - mówiła dalej - pan ma dziurę w koszuli. Muszę ją zacerować.



I ciągnęła głosem coraz smutniejszym:

- Nie bardzo się pan cieszy na mój widok.

Mariusz milczał; Eponina też zamilkła na chwilę, po czym zawołała:

- Gdybym chciała, to bym tak zrobiła, że pan musiałby się ucieszyć.

- Co? - zapytał Mariusz. - Co pani chce przez to powiedzieć?

- Ach, dawniej mówił mi pan "ty" - odrzekła.

- No więc, co chcesz przez to powiedzieć?

Zagryzła usta; zdawała się wahać i walczyć ze sobą. Wreszcie jakby powzięła decyzję.

- Trudno, mniejsza o to! Pan jest smutny, a ja chcę, żeby pan był wesoly. Tylko proszę mi obiecać, że się pan będzie śmiał. Chcę, żeby pan się śmiał i powiedział: "A dobrze! doskonale!" Biedny panie Mariuszu! A pamięta pan? Obiecał pan dać mi wszystko, co zechcę?...

- Tak, ale powiedz wreszcie!

Zajrzała mu głęboko w oczy i powiedziała:

- Mam adres!

Mariusz zbladł. Cała krew spłynęła mu do serca.

- Jaki adres?

- Adres, o który pan mnie prosił. - I dodała, jakby z wysiłkiem: - Adres... przecież pan wie?

- Tak! - wyjąkał Mariusz.

- Tej panienki!

Wypowiedziawszy to słowo westchnęła głęboko. Mariusz zeskoczył z murka, na którym siedział, i jak szalony chwycił ją za rękę.

- Och, zaprowadź mnie! Mów! Żądaj, czego tylko chcesz! Gdzie to?

- Niech pan idzie ze mną - odrzekła. - Nie wiem, jak się nazywa ta ulica ani który to numer. To w zupełnie innej stronie, ale dobrze znam ten dom, zaprowadzę pana.

Usunęła rękę i dodała tonem, który by przeszył serce każdego baczenie obserwującego ją człowieka, ale na który Mariusz, upojony szczęściem, nie zwrócił najmniejszej uwagi:

- O, jaki pan uradowany!

Nagle Mariusz zachmurzył się. Chwycił Eponinę za ramię.

- Przysięgnij mi! Zaklnij się...

- Zakląć się? - rzekła. - Co to znaczy? Chce pan, żebym klęła czy co?

I roześmiała się.

- Twój ojciec! Przyrzeknij mi, Eponino, przysięgnij, że nie powiesz ojcu tego adresu!

Odwróciła się do niego zdziwiona:

- Eponino! A skąd pan wie, że mi na imię Eponina?

- Przrzeknij mi to, o co cię proszę.

Ale ona zdawała się nie słyszeć.

- Jak to miło, że mnie pan nazywa Eponiną.

Mariusz chwycił ją za oba ramiona.

- Odpowiadaj, na Boga! Uważaj, co mówię, przysięgnij mi, że nie powiesz ojcu tego adresu!

- Ojcu? - rzekła. - Aha, tak, mojemu ojcu. Może pan być spokojny. Siedzi. A zresztą, dużo mnie ojciec obchodzi!

- Ale mi nie przrzekasz! - zawołał Mariusz.

- Niech pan mnie puści - rzekła parszkając śmiechem. - Jak pan mną trzęsie! Dobrze! Dobrze! Przrzekam panu, przysięgam. Co mi to szkodzi? Nie powiem tego adresu mojemu ojcu. No już? O to panu chodziło?

- Ani nikomu? - zapytał Mariusz.

- Ani nikomu.

- A teraz - rzekł Mariusz - zaprowadź mnie.

- W tej chwili?

- W tej chwili.

- Chodźmy! O, jak on się cieszy! - rzekła.

Po paru krokach przystanęła.

- Za blisko pan za mną idzie, panie Mariuszu. Ja pójdę naprzód, a pan niech idzie z daleka, żeby nie wyglądało, że pan idzie ze mną. Nie trzeba, żeby ludzie widzieli, że taki przyzwoity panicz, jak pan, idzie z taką kobietą, jak ja.

Żaden język nie zdoła wyrazić wszystkiego, co się mieściło w słowie "kobieta" wymówionym takim tonem przez to dziecko.

Uszła ze dwanaście kroków i zatrzymała się znowu. Mariusz znalazł się przy niej. Nie odwracając głowy w jego stronę zapytała:

- A czy pan pamięta, że mi coś obiecał?

Mariusz włożył rękę do kieszeni. Miał całego majątku pięć franków przeznaczonych dla Thénardiera. Wziął je i wsunął Eponinie do ręki.

Otworzyła palce i upuściła pieniądź na ziemię. Spojrzała ponuro na Mariusza i powiedziała:

- Nie chcę od pana pieniędzy.

**Księga trzecia**

**Dom przy ulicy Plumet**

## I

### Tajemniczy dom

Mniej więcej w połowie ubiegłego stulecia pewien prezydent parlamentu paryskiego, który miał kochankę i krył się z tym - w owym czasie bowiem wielcy panowie popisywali się swymi kochankami, a mieszczanie je ukrywali - kazał zbudować "domek" na przedmieściu Saint-Germain, w odludnej ulicy Blomet, zwanej dziś ulicą Plumet, niedaleko miejsca zwanego wówczas "Walką Zwierząt".

Był to jednopiętrowy pałacyk; dwa pokoje na parterze, dwa na piętrze, na dole kuchnia, na górze buduar, pod dachem - strych, dookoła ogród, odgradzony od ulicy wysoką kratą. Ogród miał blisko morgę. Tyle tylko mogli zobaczyć przechodnie; ale za pałacykiem było wąskie podwórko, a w głębi podwórka niski domek o dwóch izbach nad piwnicą, zbudowany na wszelki wypadek, gdyby trzeba było ukrywać tam dziecko i mamkę. Domek łączył się ukrytymi i zaopatrzonymi w sekretny zamek drzwiami, z długim, wąskim, krętym korytarzem, wybrukowanym i bez dachu, biegnącym między dwoma wysokimi murami; korytarz ten, mistrzowsko zamaskowany, jakby zagubiony między ogrodzeniami sąsiednich posesji, wił się zygzakiem wzdłuż linii ich granic wiodąc do drugich, równie ukrytych drzwi, odległych o pół ćwierci mili od pałacyku i wychodzących na inną już prawie dzielnicę, bo na nie zamieszkały kraniec ulicy Babilońskiej. Tędy to wchodził pan prezydent i gdyby nawet ci, którzy go szpiegowali, wysłedzili, że składa co dzień jakieś tajemnicze wizyty, nie mogliby się domyślić, że idąc na ulicę Babilońską, idzie na ulicę Blomet. Zręcznie kupując place, pomysłowy prezydent mógł zbudować tajemnicze przejście u siebie, na własnej ziemi, a wobec tego bez kontroli. Później odsprzedawał po kawałku na ogrody i pola grunty przylegające do korytarza, a właściciele tych kawałków ziemi z obu stron byli pewni, że mają przed sobą mur graniczny, i nie podejrzewali nawet istnienia korytarza, który niby wstęga wił się węzowo pomiędzy ich grzędami kwiatów i ich sadami. Tylko ptaki oglądały tę osobliwość. Prawdopodobnie sikorki i szczygły zeszłego stulecia niemało plotkowały na temat osoby pana prezydenta.

Pałacyk, zbudowany z kamienia w stylu Mansarda, a wyłożony boazeriami i umeblowany w stylu Watteau, wewnątrz rokokowy, na zewnątrz staroświecki, ogrodzony

potrójnym szpalerem kwiatów, miał w sobie jakąś dyskrecję, wdzięk i powagę, jak przystało na połączenie kaprysu miłosnego z wysokim urzędem.

Nie ma już dziś tego domu i korytarza, które istniały jeszcze przed kilkunastu laty; w 1793 roku jakiś kotlarz kupił dom, by go zburzyć, ale że nie mógł zapłacić należnej sumy, rząd ogłosił jego upadłość. Tak więc dom zburzył fortunę kotlarza. Od tego czasu pałacyk pozostał nie zamieszkały i powoli popadał w ruinę, jak każdy dom, którego nie ożywia obecność człowieka. Umeblowany starymi meblami, zawsze był do nabycia lub do wynajęcia, co obwieszczała nielicznym przechodniom, pojawiającym się kilka razy do roku na ulicy Plumet, pożółkła i nieczytelna kartka, wisząca od roku 1810 na kracie ogrodu.

Pod koniec Restauracji ci sami przechodnie mogli zauważyć, że kartka znikła i - co więcej - że okiennice na pierwszym piętrze były otwarte. Istotnie, dom został wynajęty. W oknach pojawiły się "firaneczki", znak, że była tam kobieta.

W październiku 1829 roku zjawił się człowiek w podeszłym wieku i wynajął dom, oczywiście razem z tylnym budynkiem i korytarzem wychodzącym na ulicę Babilońską. Kazał naprawić sekretne zamki obu drzwi tego przejścia. Jak wspominaliśmy, dom był jeszcze umeblowany starymi meblami prezydenta; nowy lokator odnowił je, uzupełnił drobne braki, naprawił bruk na podwórzu, powprawiał płyty, stopnie schodów, posadzki w pokojach, szyby w oknach i w końcu zamieszkał tam z młodą panią i starą służącą, czyniąc to tak dyskretnie, jakby się wkradał do cudzego domu, a nie wprowadzał do siebie. Sąsiedzi nie plotkowali, bo nie było tam żadnych sąsiadów.

Tym lokatorem, unikającym rozgłosu, był Jan Valjean, a młodą panią Kozeta. Służąca nazywała się Toussaint. Jan Valjean wydobyl tę kobietę ze szpitala i z nędzy; była stara, pochodziła z prowincji i jąkała się - trzy zalety, które zadecydowały, iż przyjął ją na służbę. Wynajął dom pod nazwiskiem pana Fauchelevent, rentiera. Ze wszystkiego, co powiedzieliśmy wyżej, czytelnik niewątpliwie poznał Jana Valjean jeszcze wcześniej niż Thénardier.

Dlaczego Jan Valjean opuścił klasztor Petit-Picpus? Co się takiego stało?

Nic się nie stało.

Jak pamiętamy, Jan Valjean był w klasztorze szczęśliwy, tak szczęśliwy, że w końcu sumienie zaczęło go niepokoić. Codziennie widywał Kozetę, czuł, że rodzi się i rośnie w nim coraz silniejsza miłość ojcowska, strzegł duszy tego dziecka, mówił sobie, że Kozeta należy do niego, że nic nie może mu jej odebrać, że tak będzie zawsze, że, co dzień łagodnie do tego nakłaniana, zostanie pewnie zakonnica i że wobec tego dla niego i dla niej klasztor jest całym światem, że on się tam zestarzeje, a ona dorośnie, że ona się tam zestarzeje, a on umrze, że

wreszcie - o błoga nadziejo! - nic ich nigdy nie rozłączy. Rozmyślając nad tym, popadł w rozterkę. Badał siebie. Zastanawiał się, czy całe to szczęście było jego własnością, czy nie chodziło tu także o szczęście cudze, o szczęście tego dziecka, które zagarniał dla siebie on, starzec? Czy nie jest to kradzież? Mówił sobie, że ta dziecina ma prawo poznać życie, nim się go wyrzeknie, i że pozbawić ją z góry wszystkich radości, bez zasięgnięcia nawet jej zdania, pod pozorem, że się ją chroni od ciężkich przeżyć, wykorzystać jej nieświadomość i odcięcie od świata, żeby wzbudzić w niej sztuczne powołanie, to wynaturzyć istotę ludzką i kłamać wobec Boga. Któż wie, czy pewnego dnia, zdawszy sobie z tego sprawę i będąc zakonnicą wbrew chęci, Kozeta go nie znieawidzi? Ta ostatnia myśl, prawie samolubna i mniej heroiczna od innych, była mu nie do zniesienia. Postanowił opuścić klasztor.

Postanowił. Z bólem stwierdził, że tak trzeba. Przeszkód nie było żadnych. Pięć lat pobytu między tymi czterema murami, pięć lat ukrycia niezawodnie usunęło lub rozproszyło powody do jakiegokolwiek obawy. Mógł spokojnie wrócić pomiędzy ludzi. Postarzał się, wszystko się zmieniło. Któż by go teraz poznał? A poza tym, w najgorszym razie, niebezpieczeństwo groziło tylko jemu i nie miał prawa skazywać Kozety na klasztor dla tej tylko przyczyny, że został niegdyś skazany na galery. Zresztą, czymże jest niebezpieczeństwo w porównaniu z obowiązkiem? A wreszcie nic mu nie broniło zachować przezorność i mieć się na baczności.

Edukacja Kozety była prawie ukończona.

Raz powziąwszy decyzję, czekał tylko sposobności. Nadarzyła się wkrótce: stary Fauchelevant umarł.

Jan Valjean poprosił o posłuchanie u wielebnej matki przełożonej i oznajmił jej, że otrzymawszy po śmierci brata niewielką schedę, która pozwala mu żyć teraz bez pracy, opuszcza służbę w klasztorze i zabiera ze sobą córkę; ponieważ byłoby jednak rzeczą niesłuszną, aby Kozeta otrzymała bezpłatne wychowanie, skoro nie zostaje zakonnicą, prosi pokornie wielebnią matkę przełożoną, by raczyła przyjąć dla zgromadzenia sumę pięciu tysięcy franków jako zwrot kosztów pięcioletniego pobytu Kozety w zakładzie.

W taki to sposób Jan Valjean opuścił klasztor Nieustającej Adoracji.

Wychodząc, niósł sam, nie chcąc powierzyć go nikomu, mały kuferek, od którego klucz miał zawsze przy sobie. Ten kuferek intrygował Kozetę, wydobywały się bowiem z niego balsamiczne wonie.

Dodajmy jeszcze, że odtąd nigdy się nie rozstawał z owym kuferkim. Miał go zawsze w swoim pokoju, była to zawsze pierwsza, a nieraz jedyna rzecz, którą zabierał przy przepro-

wadzce. Kozeta śmiała się z tego i nazywała kuferek “nieodłącznym przyjacielem”; mówiła: “Jestem o niego zazdrosna”.

Zresztą Jan Valjean wrócił do świata nie bez uczucia głębokiego lęku.

Wynalazł dom przy ulicy Plumet i zaszył się w nim. Używał odtąd nazwiska Ultyma Fauchelevant.

Jednocześnie wynajął w Paryżu dwa inne mieszkania, aby, nie przebywając stale w tej samej dzielnicy, mniej zwracać na siebie uwagę, jak również, aby w razie najbliższego alarmu móc się oddalić i nie zostać zaskoczonym zniemacka, jak owej nocy, kiedy to w tak cudowny sposób wymknął się Javertowi. Oba mieszkania były skromne, na pozór prawie ubogie, znajdowały się w dwóch bardzo odległych od siebie dzielnicach, jedno przy ulicy Zachodniej, drugie przy ulicy Człowieka Zbrojnego.

W jednym lub w drugim mieszkaniu spędzał z Kozeta miesiąc lub sześć tygodni, nie zabierając ze sobą starej Toussaint. Używał wówczas do posług miejscowego stróża i podawał się za rentiera z okolic Paryża, utrzymującego mieszkanie na wypadek pobytu w mieście. Ten człowiek, będący uosobieniem cnoty, miał w Paryżu trzy siedziby, aby ujść policji.

## II

### Jan Valjean - gwardzista narodowy

Właściwie jednak mieszkał przy ulicy Plumet i ułożył sobie życie w następujący sposób:

Kozeta wraz ze służącą zajmowała pałacyk; miała obszerną sypialnię z malowidłami na ścianach, buduar ze złożonymi listwami i salon prezydenta, pełen kobierców i głębokich foteli; miała też ogród. Jan Valjean kazał wstawić do pokoju Kozety łóżko z baldachimem ze staroświeckiego, trójbarwnego adamaszku, zasłać podłogę pięknym, starym dywanem perskim, kupionym przy ulicy Figuier-Saint-Paul u pani Gaucher; aby złagodzić surowość świetnych antyków, dodał do tej starzyzny wesołe i wdzięczne mebelki panieńskie: etażerkę, biblioteczkę z książkami o złożonych grzbietach, papierem listowym i przyborami do pisania, stolik do robótek inkrustowany perłową masą, szkatułkę z pozłacanego srebra i gotownię z japońskiej porcelany. Długie, adamaszkowe portiery w trójbarwne pasy na czerwonym tle, dobrane kolorem do baldachimu, wisiały w oknach na pierwszym piętrze. W pokojach na dole były zasłony z ciężkiej tkaniny. Przez całą zimę mieszkanko Kozety było ogrzewane od góry do dołu. Jan Valjean zajmował pomieszczenie w głębi podwórza, podobne do stróżówki, gdzie stało łóżko polowe z materacem, stół z surowego drzewa, dwa wyplatane krzesła, fajansowy dzban na wodę, kilka starych książek na półce, a w kącie ukochany kuferek; nigdy nie palił tam ognia. Obiady jadał z Kozetą i zawsze musiał być dla niego na stole razowy chleb. Przyjmując Toussaint na służbę powiedział jej:

- Panienka jest panią domu.

- A ppan, ppproszę pppana? - zapytała zdumiona Toussaint.

- Ja jestem czymś więcej niż panem domu. Jestem ojcem.

Kozeta w klasztorze nauczyła się gospodarstwa i teraz zajmowała się wydatkami domowymi, bardzo zresztą skromnymi. Codziennie Jan Valjean brał ją pod ramię i wychodzili na przechadzkę. Prowadził ją do ogrodu Luksemburskiego, w najmniej uczęszczaną aleję, a co niedziela na mszę do kościoła Św. Jakuba z Alto Passo, bo znajdował się daleko. Była to dzielnica bardzo uboga i Jan Valjean szczerze rozdawał jałmużnę; biedacy oblegali go w kościele i dlatego to Thénardierowie zaadresowali swoją epistołę: "Do Wielmożnego Dobroczyńcy z kościoła Św. Jakuba". Chętnie prowadził Kozetę do ubogich i



chorych. Nikt obcy nie wchodził do domu przy ulicy Plumet. Toussaint kupowała żywność, a Jan Valjean sam nosił wodę z pobliskiej studni na bulwarze. Drzewo na opał i wino składano w zagłębieniu wyłożonym kamieniami, które przylegało do ulicy Babilońskiej i służyło niegdyś panu prezydentowi za grotę; bowiem w epoce “belwederków i kabanek” nie mogło być miłości bez grotty.

Przy furtce od ulicy Babilońskiej wisiała skrzynka w rodzaju skarbonki, przeznaczona na listy i dzienniki; ale że nikt z trojga mieszkańców ulicy Plumet nie otrzymywał ani dzienników, ani listów, cała rola tej skrzynki, która była niegdyś powiernicą i pośredniczką miłostek frywolnego palestranta, ograniczała się teraz do przyjmowania zawiadomień poborcy podatkowego i wezwań do stawienia się na wartę. Gdyż pan Fauchelevent, rentier, był członkiem gwardii narodowej. Nie mógł się wymknąć z gęstej sieci spisu ludności z 1831 roku. Władze miejskie owych czasów, zbierając potrzebne do spisu informacje, dotarły aż do klasztoru Petit-Picpus, do tego świętego a nieprzeniknionego obłoku, z którego Jan Valjean wyszedł jako człowiek w oczach merostwa nieposzlakowany, a więc godny, aby pełnić wartę.

Trzy lub cztery razy do roku Jan Valjean wkładał swój mundur i odbywał wartę; czynił to zresztą bardzo chętnie; było to dla niego dogodne przebranie, dzięki któremu mógł się stykać z ludźmi, pozostając w samotności. Skończył właśnie sześćdziesiąt lat, wiek ten zwalniał go od służby: lecz wyglądał zaledwie na pięćdziesiąt, a zresztą nie miał najmniejszej ochoty uwolnić się od swego sierżanta ani zadzierać z hrabią Lobau\*.

Był dotknięty śmiercią cywilną, ukrywał swoje nazwisko, ukrywał tożsamość osoby, ukrywał wiek, ukrywał wszystko; i - jak powiedzieliśmy już - był gwardzistą narodowym z dobrej woli. Upodobnić się do pierwszego lepszego płatnika podatków - było całą jego ambicją. Na zewnątrz - mieszczanin, wewnątrz - anioł, taki był ideał tego człowieka.

Zanotujmy wszakże jeszcze jeden szczegół: kiedy Jan Valjean wychodził z Kozetą, ubierał się w sposób, który już opisaliśmy, i wyglądał na emerytowanego oficera. Kiedy wychodził sam, zazwyczaj wieczorem, wkładał zawsze bluzę i robotnicze spodnie, a czapkę nasuwał głęboko na oczy. Czy była to ostrożność, czy może pokora? Zapewne i jedno, i drugie! Kozeta przyzwyczaiła się do niewytlumaczonych zagadek swego losu i nie zwracała prawie uwagi na osobliwe zwyczaje ojca. Toussaint zaś czciła Jana Valjean i przyjmowała bez zastrzeżeń wszystko, co czynił. Pewnego dnia rzeźnik, który widział parę razy Jana Valjean, rzekł do niej:

- Tojakiś dziwak.

---

\* Georges Mouton hrabia de Lobau (1770-1838) - marszałek Francji; za Ludwika Filipa dowódca paryskiej gwardii narodowej.

- To święty - odpowiedziała stara.

Jan Valjean, Kozeta i Toussaint wchodzili i wychodzili zawsze furką od ulicy Babilońskiej. Kto ich nie dostrzegł przez kratę ogrodu, ten nie mógł odgadnąć, że mieszkają przy ulicy Plumet. A krata była zawsze zamknięta. Jan Valjean nie uprawiał ogrodu, żeby nie zwracać niczyjej uwagi.

I tu może popełnił błąd.

### III

#### “Foliis ac frondibus”\*

Ogród, zapuszczony od przeszło pół wieku, stał się niezwykle i uroczy. Przed czterdziestu laty przechodnie przystawali na ulicy, by go podziwiać, nie domyślając się wcale, jakie tajemnice kryje ta gęsta, świeża zieleń. W owych czasach niejednen marzyciel zapuszczał niedyskretne spojrzenie i myśl poprzez zamkniętą na kłódkę, staroświecką bramę, wspartą na dwóch pozieleniałych i omszałych słupach, krzywą, chwiejącą się i zakończoną u góry dziwnym frontonem w zawile arabeski.

Stała tam w rogu kamienna ława, parę posągów pokrytych pleśnią, resztki drewnianych krat butwiały na murze; ani śladu ścieżek czy trawników, wszędzie chwasty. Znikła sztuka ogrodnicza, wróciła natura. Zielsko krzewiło się bujnie; cóż za cudowna przygoda dla biednego skrawka ziemi! Lewkonie święciły tam swoje gody. Nic w tym ogrodzie nie tamowało świętego pędu do życia; tu było królestwo żywiołu. Drzewa schylały się ku cierniom, ciernie wznosiły się do drzew, rośliny pięły się w górę, gałęzie zwisały ku dołowi, to, co czepia się ziemi, spotykało się z tym, co rozwija się w wolnej przestrzeni, to, co kołysze się na wietrze, kłoniło się ku temu, co wije się w mchu; pnie, gałęzie, liście, pędy, kępy, pnącza, ciernie i głogi mieszały się razem, połączyły, splotły, zespoliły. Na tym małym skrawku ziemi, pod zadowolonym okiem Stwórcy, roślinność, złączona ciasnym uściskiem, święciła i dopełniała świętego misterium zbratania, które jest symbolem braterstwa ludzi. Ogród ten przestał być ogrodem; były to gęste, olbrzymie zarośla, to znaczy coś, co jest nieprzeniknione jak las, ludne jak miasto, drżące jak gniazdo ptaszęce, ciemne jak katedra, wonne jak wiązanka kwiecica, samotne jak grób, gwarne jak tłum.

W kwietniu ten olbrzymi krzew, swobodnie rosnący między kratą a murami, wchodził w okres godów wraz z całą przyrodą ogarniętą głuchą pracą powszechnego kiełkowania, drżał o wschodzie słońca, niemal jak zwierzę, które wdycha fluidy miłości kosmicznej i czuje, jak soki wiosenne wzbierają i krążą w jego żyłach, i rozpuszczając na wietrze swoje bujne, zielone warkocze, siał na wilgotną ziemię, na poobtłukiwane posągi, na wałący się ganek pałacyku i nawet na bruk pustej ulicy gwiazdki kwiatów, perły rosy, bujność, piękno, życie, radość i wonie. O popołudniowej godzinie chroniły się tu tysiące białych motyli; niebiański to

---

\* Wśród liści i gałęzi.

był widok, gdy wirowały w cieniu, niby żywy śnieg lata. Tu, w wesołym, zielonym mroku, chór niewinnych głosów przemawiał słodko do duszy, a czego zapomniały powiedzieć szczebioty ptaszęce, dopowiadały szmery i szумы. Wieczorem opar marzenia unosił się z ogrodu i spowijał go cały; całun mgły, niebiański smutek i spokój okrywały go, biły zeń odurzające wonie wiciokrzewów i powoi, niby subtelną, upajającą trucizną; rozbrzmiewał ostatnimi nawoływaniem trznadli i pliszek, zasypiających wśród gałęzi, i czuło się w nim świętą zażyłość ptaka i drzewa; we dnie skrzydła dają radość liściom, w nocy liście dają schronienie skrzydłom.

W zimie przez czarne, wilgotne, nastroszone i drżące zarośla przeświecał dom. Zamiast kwiatów na gałązkach i rosy na kwiatach widać było na zmarzniętym, grubym kobiercu poźółkłych liści długie, srebrzyste wstęgi ślimaków. Ale zawsze, w każdej swojej postaci i o każdej porze roku, w zimie, w lecie, na jesieni czy na wiosnę, ten mały zakątek tchnął melancholią, zadumą, osamotnieniem i swobodą; czuło się w nim nieobecność człowieka, a obecność Boga; stare, zardzewiałe pręty zdawały się mówić: ten ogród należy do nas.

Otoczał go wprawdzie bruk Paryża, o parę kroków, na ulicy Varennes, stały wspaniałe klasyczne pałace, opodal wznosiła się kopia Inwalidów, niedaleko była Izba Deputowanych, w pobliżu na ulicy Burgundzkiej i Św. Dominika, toczyły się eleganckie karoce, na pobliskim skrzyżowaniu ulic wymijały się żółte, brązowe, białe i czerwone omnibusy - ale cóż z tego? Ulica Plumet była pełnym pustkowiem; śmierć dawnych właścicieli, rewolucja, która przeszła tędy, upadek starych fortun, pustka, zapomnienie, czterdzieści lat opuszczenia i sieroctwa sprawiły, że do tego uprzywilejowanego zakątka powróciły znów paprocie, sasanki, szaleje, dziewanny, złocenie, naparstnice, wysokie trawy, wielkie karbowane rośliny o szerokich liściach, jakby wyciętych z bładozielonego sukna, jaszczurki, chrząszcze, ruchliwe i niespokojne żuki, że z głębin ziemi dobieła się i zapanowała wśród tych murów jakaś dzika i niedostępna wielkość, że natura, która krzyżuje nędzne poczynania człowieka i króluje niepodzielnie tam, gdzie króluje - zarówno w mrówce, jak w orle - rozkwitła w tym skromnym paryskim ogródku z taką dzikością i majestatem jak w dziewiczych lasach Nowego Świata.

Nie ma bowiem rzeczy małych. Wie o tym dobrze ten, kto odczuwa głęboko tajniki przyrody. I choć nie jest danym filozofii dostąpienie absolutnego zadowolenia w czymkolwiek - ani w zbadaniu przyczyny, ani w ograniczeniu skutku - przecież badacz wpada w najwyższy zachwyt wobec tego rozkładu sił zmierzających do jedności. Wszystko pracuje dla wszystkich.

Algebrę można stosować do obłoków; z promieniowania gwiazdy korzysta róża; żaden myśliciel nie ośmieliłby się twierdzić, że woń głógów nie ma wpływu na gwiazdne konstelacje. Któż może zbadać, jaką drogą przebiega atom? Nie wiemy, czy powstawanie świata nie jest zależne od spadania ziaren piasku. Któż zna wzajemne przypływy i odpływy rzeczy nieskończenie wielkich i nieskończenie małych, któż zna echa, jakie wywołują przyczyny w otchłaniach istot i lawinach wszechświata? Drobnny zuczek ma swoje znaczenie; to, co małe, jest wielkie; co wielkie - jest małe; wszystko musi pozostawać w równowadze; przerażająca to wizja dla umysłu. Między istotami a rzeczami istnieje cudowna zależność; w tej niewyczerpanej całości - od słońca do mszycy - nikt nikim nie gardzi; jedni potrzebują drugich. Światło, unosząc w błękitny wonie ziemskie, wie, co z nimi czyni; noc rozdaje materię gwiazdną uśpionym kwiatom. Każdy fruwający ptak ma przywiązaną do nóżki nić nieskończoności. Narodzinami jest powstanie meteora i uderzenie dziobka pisklęcia jaskółki, które rozbija skorupkę jajka; natura jednocześnie wydaje robaka i stwarza Sokratesa. Gdzie się kończy teleskop, zaczyna się mikroskop. Który z nich dalej sięga? Wybierajcie. Pleśń jest plejadą kwiatów; mgławica jest mrowiskiem gwiazd. To samo zespolenie - dziwniejsze jeszcze - istnieje w dziedzinie tworów ducha i materii. Żywoły i idee mieszają się, łączą, bratają i pomnażają wzajemnie, by wreszcie doprowadzić świat materialny i świat duchowy do jednej i tej samej jasności. Każde zjawisko nieustannie powraca do samego siebie. W niezmiernych wymianach kosmicznych powszechne życie płynie i odpływa w nieznanach ilościach, unosi wszystko w niewidzialne misterium fluidów, robi użytek z każdej rzeczy, nie traci ani jednego sennego marzenia: tu sieje żyjątko, tam kruszy gwiazdę, tu kroczy chwiejnie, tam pełza, tworzy ze światła siłę, a z myśli żywoły, rozproszone, niepodzielne i zdolne rozłożyć wszystko z wyjątkiem tego punktu geometrycznego - jaźni; sprowadza wszystko do duszy - atomu, rozwija wszystko w Bogu i płacząc w tajnikach oszałamiającego mechanizmu wszystkie działania od najwyższych do najniższych, wiążąc lot owada z ruchem ziemi, podporządkowuje może - kto wie? bodaj na podstawie identyczności prawa - lot komet na firmamencie krążeniu drobnoustrojów w kropelce wody. Machina utworzona z ducha. Olbrzymie tryby, których pierwszym motorem jest maleńka muszka, a ostatnim kołem - gwiazdy zodiaku.

## IV

### Zmiana kraty

Ogród ten, stworzony niegdyś, by kryć tajemnicę swawolnych miłostek, przemienił się w doskonale schronienie dla tajemnic niewinności. Nie było już w nim ani szpalerów, ani trawników, ani altanek, ani grot; tylko nieprzenikniona, puszysta ciemność, osłaniająca go ze wszystkich stron jak welon.

Paphos\* na nowo zmieniło się w Eden. Coś - jakby żal za grzechy - oczyściło to ustronie. Ta kwiaciarka teraz ofiarowywała swoje kwiaty - duszy. Zalotny ogródek o tak wątpliwej niegdyś reputacji znów stał się dziewiczy i czysty. Prezydent parlamentu wraz z ogrodnikiem (jeden przekonany, że wstępuje w ślady Lamoignona\*, drugi - że jest następcą La Nôtre'a) wymierzili go, przystrzygli, wymuskali, wygłaskali i przysposobili dla miłostek; natura, odebrawszy go, nasyciła cieniem i przygotowała dla miłości.

W tym pustkowiu kryło się także serce, które czekało. Wszystko było gotowe na przyjęcie miłości; była tam świątynia, wzniesiona z zieleni, traw, mchu, z westchnień ptaszęcych, aksamitnych ciemności, drżących gałązek, i dusza pełna słodyczy, ufności, pogody, nadziei, pragnień i złudzeń.

Kozeta wyszła z klasztoru prawie dzieckiem; miała niewiele ponad czternaście lat i była w "niewdzięcznym wieku"; powiedzieliśmy już, że - z wyjątkiem oczu - wydawała się raczej brzydka niż ładna; nie miała wszakże w sobie nic szpetnego, była tylko chuda, niezręczna, nieśmiała i zuchwała zarazem, słowem: podlotek.

Edukacja jej była ukończona; to znaczy, nauczono ją religii, a nawet (lub przede wszystkim) pobożności, "historii", to jest czegoś, co w klasztorze nosi to miano, geografii, gramatyki, imiesłowów, królów Francji, po trosze także muzyki, rysunku itd., ale poza tym nie wiedziała o niczym, co jest urokiem i niebezpieczeństwem zarazem. Dusza młodej dziewczyny nie powinna być pozostawiona w ciemności; później bowiem - jak w *camera ob-scuro* - rodzą się w niej widma zbyt gwałtowne i jaskrawe. Powinna być rozjaśniona łagodnie i ostrożnie, raczej odbłaskiem rzeczywistości niż jej bezpośrednim, rażącym światłem. Taki użyteczny, łagodny, a zarazem surowy półmrok rozprasza dziecięce lęki i

---

\* Miasto poświęcone Wenus, w którym była jej świątynia.

\* Chrétien-Francois de Lamoignon de Basville (1644-1709) - prawnik właściciel pięknej posiadłości ziemskiej, która weszła do literatury dzięki Boileau (List VI).

zapobiega upadkom. I tylko instykt macierzyński - ta cudowna intuicja, złożona ze wspomnień dziewicy i z doświadczeń kobiety - wie, jaki powinien być ten półmrok. Instyktu tego nie zastąpi nic. W kształtowaniu duszy dziewczęcej wszystkie zakonnice całego świata nie zastąpią matki.

Kozeta matki nie miała! Miała jedynie wiele matek, matkę w liczbie mnogiej.

Jeżeli zaś chodzi o Jana Valjean, to choć żywił dla Kozety wszystkie najtkliwsze uczucia i otaczał ją serdeczną opieką, był jednak tylko starym człowiekiem, nic nie wiedzącym w tym względzie.

W dziele wychowania, w ważnym zagadnieniu przygotowania kobiety do życia, ileż trzeba mądrości, by walczyć z wielką niewiedzą, zwaną niewinnością.

Nic lepiej nie przygotowuje młodej dziewczyny do namiętności niż klasztor. Klasztor kieruje myśl ku temu, co nieznanne. Serce, zamknięte w sobie, nie mogąc się otworzyć, draży własną głębię i nie mogąc znaleźć ujścia zatapia się w sobie. Stąd widzenia, przypuszczenia, domysły, projekty romansów, pragnienie przygód, fantastyczne rojenia, całe budowle wznoszone w najtajniejszej głębi ducha, ciemne i tajemnicze siedziby, w których namiętność od razu znajduje gotowe schronienie, gdy tylko wyjście za kratę klasztorną pozwoli jej się tam wśliznąć. Aby ucisk klasztorny zdołał zatriumfować nad sercem, musi trwać całe życie.

Opuściwszy klasztor, Kozeta nie mogła znaleźć nic miłszego i nic bardziej niebezpiecznego niż dom przy ulicy Plumet. Stanowił on niejako dalszy ciąg samotności, a zarazem początek swobody; ogród zamknięty, lecz natura dzika, bogata, zmysłowa i wonna; marzenia te same co w klasztorze, lecz możność oglądania młodzieńców; krata, lecz krata wychodząca na ulicę.

Jednakże - powtarzamy raz jeszcze - gdy Kozeta tu zamieszkała, była jeszcze dzieckiem. Jan Valjean oddał jej ten zapuszczony ogród. "Rób w nim, co ci się podoba!" - mawiał do niej. Bawiło to Kozetę; myszkowała w kępach i kamieniach, szukała "zwierzaków" i bawiła się, bo jeszcze nie nadszedł dla niej czas marzeń; lubiła ogród za żuczki, które znajdowała pod nogami w trawie, bo nie nadszedł jeszcze czas, by go pokochała za gwiazdy, które widziała nad głową poprzez gałęzie drzew.

A poza tym kochała z całej duszy ojca, to znaczy Jana Valjean. Kochała go naiwną namiętnością dziecka, widząc w tym zacnym człowieku upragnionego i najmiłszego towarzysza. Pamiętamy, że pan Madeleine dużo czytał; Jan Valjean czynił to samo; dzięki temu nauczył się ciekawie rozmawiać; miał ukryte zasoby i wymowę skromnej, lecz prawdziwej inteligencji, która sama się wykształciła. Pozostało mu dość trzeźwości, by nią przyprawić swą dobroć; był to surowy umysł i łagodne serce. W Ogrodzie Luksemburskim

podczas rozmów, które prowadzili we dwoje, długo tłumaczył jej wszystko, czerpiąc z tego, co przeczytał, a również z tego co przecierpiał. Kozeta słuchała go błędząc wzrokiem naokoło.

Ten prosty człowiek wystarczał zainteresowaniom Kozety, tak jak dziki ogród wystarczał jej zabawom. Gdy się już nabiegała za motylami, podchodziła doń zadyszana mówiąc: “Ależ się wybiegałam”, a on całował ją w czoło.

Kozeta uwielbiała tego zacnego człowieka. Nie odstępowała go na krok. Tylko tam czuła się dobrze, gdzie był Jan Valjean. A że nie mieszkał w pałacyku ani nie przebywał w ogrodzie, przeto wołała brukowane podwórko od pełnego kwiecica zakątka i izdebkę z wyplatany mi krzesłami od pełnego kobierców salonu, gdzie rozpierały się wyściełane fotele. Jan Valjean mówił do niej czasem z uśmiechem, uszczęśliwiony tym natręctwem: “Idźże do siebie, zostaw mnie choć na chwilę samego”.

Kozeta robiła mu nieraz wdzięczne i czułe wymówki, tak urocze, gdy córka robi je ojcu.

- Ojcze, strasznie tu marznę u ciebie! Czemu nie każesz rozesłać dywanu i nie postawisz pieca?

- Drogie dziecko, tylu jest ludzi więcej wartych ode mnie, którzy nie mają nawet dachu nad głową.

- To dlaczego u mnie pali się w piecach i mam wszystko, czego mi potrzeba?

- Bo jesteś kobietą i dzieckiem.

- To mężczyźni powinni cierpieć zimno i niewygody?

- Tak! Niektórzy!

- Dobrze! Będę więc przychodziła tu tak często, że będziesz musiał napalić w piecu.

Pytała go również:

- Czemu jesz ten szkaradny chleb, ojcze?

- Tak sobie... moje dziecko.

- A, jeśli tak sobie, to i ja będę go jadła.

I żeby Kozeta nie jadła czarnego chleba, Jan Valjean jadł biały.

Kozeta jak przez mgłę pamiętała swoje dzieciństwo. Co rano i co wieczór modliła się za matkę, której nie znała. Thénardierowie zostali jej w pamięci jak dwie ohydne zmyry senne. Przypomniała sobie, że “pewnego dnia, w nocy” poszła do lasu po wodę. Sądziła, że to było gdzieś bardzo daleko od Paryża. Zdawało jej się, że początek jej życia upłynął w jakiejś otchłani, z której wydobył ją Jan Valjean. Wyobrażała sobie, że dzieciństwo spędziła tylko w otoczeniu stonóg, pajaków i węży. Nie miała pewności, czy jest istotnie córką Jana Valjean i



czy on jest jej ojcem, a gdy o tym rozmyślała wieczorem, przed zaśnięciem, wyobrażała sobie, że dusza matki jest koło niej, bo zamieszkała w tym zacnym człowieku.

Podchodziła doń, gdy siedział na krześle, opierała policzek o jego siwą głowę i roniła cichą łzę, myśląc: "Może ten człowiek jest moją matką".

Jakkolwiek wydać się to może dziwne, Kozeta w swej zupełnej nieświadomości dziewczyny wychowanej w klasztorze jak również dlatego, że macierzyństwo zawsze jest niezrozumiałe dla dziewictwa, wyobraziła sobie w końcu, że chyba nie miała matki. Nie знаła nawet jej imienia. Ilekroć zdarzyło jej się zagadnąć o to Jana Valjean, on milczał. Gdy ponawiała pytanie, odpowiadał uśmiechem. Raz nalegała z uporem, a wówczas uśmiech przemienił się w łzę.

Milczenie Jana Valjean osłaniało Fantynę mrokiem.

Byłaż to ostrożność? Czy szacunek? Byłaż to obawa wydania tego imienia na kaprysy pamięci innej niż jego pamięć?

Dopóki Kozeta była mała, chętnie opowiadał jej o matce; gdy podrosła, stało się to dlań niemożliwe. Po prostu - nie śmiał. Czy przez wzgląd na Kozetę? Czy przez wzgląd na Fantynę? Odczuwał jakąś religijną trwogę przed wprowadzeniem tego cienia do myśli Kozety i przed włączeniem w ich losy tej zmarłej jako trzeciej osoby. Im cień ten był mu świętszy, tym wydawał się groźniejszy. Rozmyślał o Fantynie i czuł, że coś nakazuje mu milczenie. Majaczyło mu się w mroku coś, jakby palec położony na ustach. Może to skromność wrodzona Fantynie, której się tak brutalnie wyzbyła za życia, wróciła teraz, okryła ją po śmierci, czuwała, oburzona, nad spokojem zmarłej i nieustępliwie strzegła jej mogiły? Czy Jan Valjean bezwiednie ulegał jej woli? My - wierząc w śmierć - nie należymy do ludzi, którzy odrzuciliby takie tajemnicze wytłumaczenie. Stąd pochodziła niemożność wymówienia, nawet wobec Kozety, imienia: Fantyna.

Pewnego razu Kozeta powiedziała:

- Ojczy, widziałam dziś w nocy we śnie moją matkę. Miała dwa wielkie skrzydła. Widać moja matka za życia była prawie święta...

- Przez męczeństwo - odrzekł Jan Valjean.

Zresztą Jan Valjean był szczęśliwy.

Gdy Kozeta wychodziła z nim na spacer, wspierała się na jego ramieniu, dumna, szczęśliwa, z sercem przepelnionym radością. Jan Valjean, widząc objawy miłości tak wyłącznej i tak zachwyconej jego osobą, czuł, że mu serce topnieje z rozkoszy. Biedak drżał ogarnięty anielską radością; zapewniał samego siebie z uniesieniem, że to będzie trwało przez całe życie; mówił sobie, że doprawdy za mało cierpiał, by zasłużyć na tak promienne

szczęście, i w głębi duszy dziękował Bogu, iż zezwolił, by jego - nędznika - tak kochała ta niewinna istota.

## V

### **Róża spostrzega, że jest śmiercionośną machiną**

Pewnego razu Kozeta przypadkiem spojrzała w lustro i rzekła: "O!" Wydało się jej bowiem, że jest ładna. To odkrycie dziwnie ją zaniepokoiło. Do tej pory nie myślała wcale o swojej twarzy. Patrzyła na siebie w lustro, ale się nie widziała. A poza tym powtarzano jej nieraz, że jest brzydka; jeden tylko Jan Valjean mówił łagodnie: "Ależ nie! Ależ nie!" Mimo to Kozeta zawsze uważała się za brzydka i rosła w tym przekonaniu, pogodziwszy się z losem z łatwą rezygnacją dziecięcego wieku. I oto nagle lustro powtórzyło jej za Janem Valjean: "Ależ nie!" Nie spała całą noc. "A gdybym naprawdę była ładna? - myślała. A to byłoby zabawne, gdybym była ładna!" Przypominając sobie koleżanki, znane w klasztorze z urody, mówiła sobie: "Jak to? Więc byłabym taka jak one?"

Nazajutrz spojrzała do lustra, tym razem już nie przypadkowo, i zważyła o sobie: "Gdzież miałam rozum? - rzekła. - Och, nie! Jestem brzydka!" Po prostu źle spała, miała podkrążone oczy i była blada. Poprzedniego dnia, gdy wierzyła w swą piękność, nie była tym zbyt uradowana, ale zasmuciła się, przestawszy w nią wierzyć. Nie przyglądała się sobie w lustrze i przez dwa tygodnie starała się czesać odwrócona plecami do zwierciadła.

Wieczorami, po obiedzie, zazwyczaj haftowała w salonie lub robiła inną klasztorną robótkę, a Jan Valjean, siedząc obok, czytał. Pewnego razu podniosła wzrok znad robótki i zdumiała się spostrzegłszy niepokój, z jakim ojciec na nią patrzył.

Kiedy indziej szła ulicą i wydawało się jej, że ktoś - nie wiedziała kto - powiedział za nią: "Ładna dziewczyna, ale źle ubrana". "Ba! - pomyślała. - To nie o mnie mowa. Ja jestem dobrze ubrana i brzydka". Miała wówczas na sobie merynosową sukienkę i pluszowy kapelusz.

Innego dnia wreszcie, będąc w ogrodzie, usłyszała, jak biedna, stara Toussaint mówi: "Czy pan widzi, jak nasza panienka wyładniała?" Kozeta nie dosłyszała, co ojciec odpowiedział, tak wstrząsnęły ją słowa Toussaint. Wymknęła się z ogrodu, pobiegła do swego pokoju, do lustra, w którym nie przeglądała się od trzech miesięcy, i krzyknęła. Olśniła ją własna uroda.

Była piękna i urocza; musiała się zgodzić ze zdaniem starej Toussaint i zwierciadła. Kibić jej wypełniała, cera wydelikatniała, włosy nabrały połysku, nieznany blask zapalił się w

niebieskich źrenicach. Tak jak dzień rodzi się w jednej krótkiej chwili, tak i ona uwierzyła od razu w swoją piękność; zresztą inni też ją widzieli; Toussaint to potwierdzała; o niej też z pewnością mówił ów przechodzień, nie mogła już dłużej wątpić. Wróciła do ogrodu i zdawało jej się, że jest królową, że słyszy śpiew ptaków, choć była zima, że widzi złociste niebo i słońce przeświecające przez drzewa i kwiaty na drzewach - nieprzytomna, odurzona, pogrążona w niewysłowionym zachwycie.

Jan Valjean zaś czuł jakiś głęboki i nieokreślony ucisk w sercu. Bo w istocie, od jakiegoś czasu, z przerażeniem patrzył na tę piękność, która z każdym dniem jaśniej promieniała ze słodkiej twarzyczki Kozety. Jutrzenka, radosna dla wszystkich, dla niego jednego była ponura.

Kozeta stała się piękna o wiele wcześniej, niż to sama spostrzegła. Lecz niespodziewana jasność, która wschodziła powoli i stopniowo opromieniała całą postać dziewczęcia, od razu boleśnie poraziła posepny wzrok Jana Valjean. Czuł, że zbliża się zmiana w jego szczęśliwym życiu, tak szczęśliwym, że bał się poruszyć, aby czegoś w nim nie popsuć. Ten człowiek, który przeżył wszystkie niedole, którego rany, zadane mu przez los, broczyły jeszcze krwią, który był niegdyś prawie zły, a stał się prawie święty, który przedtem ciągnął łańcuchy skazańca, a teraz ciągnął niewidzialny, lecz ciężki łańcuch wiecznej niesławy; ten człowiek, którego prawo nie wypuściło ze swych szponów, który mógł być w każdej chwili schwytywany na nowo i z mroków swej cnoty wydany na jaskrawe światło publicznej hańby, ten człowiek godził się na wszystko, tłumaczył wszystko, wszystko wybaczał, wszystkiemu błogosławił i dobrze życzył, o jedno tylko błagając Opatrzność, ludzi, prawo, społeczeństwo, naturę i świat: żeby Kozeta go kochała.

Żeby Kozeta nie przestała go kochać; żeby Bóg zezwolił, aby serce tego dziecka zwracało się zawsze do niego, na zawsze zostało jego. Miłość Kozety była dlań uzdrowieniem, wypoczynkiem, spokojem, pełnią radości, najcenniejszą nagrodą, ukoronowaniem wszystkiego. Miłość Kozety była dlań szczęściem. Niczego więcej nie pragnął. Gdyby go ktoś zapytał: "Chcesz być szczęśliwszy?", odpowiedziałby: "Nie". Gdyby Bóg go zapytał: "Chcesz wejść do nieba?", odpowiedziałby: "Nie, tam nie byłoby mi tak dobrze!"

Wszystko, co mogło zakłócić - bodaj powierzchownie - tę sytuację, przenikało go dreszczem, niby początek jakiejś zmiany. Nigdy właściwie nie wiedział, co to jest piękność kobiety, ale czuł instynktownie, że to rzecz straszna.

Z głębi swojej szpetoty, starości, nędzy, potępienia i znękania patrzył przerażony na tę piękność, która obok niego, pod jego okiem rozkwitała coraz wspanialsza i coraz bardziej zwycięska na niewinnej i budzącej lęk twarzy dziecka.

Mówił do siebie: “Jakaż ona piękna! A ja? Co się ze mną stanie!”

I na tym właśnie polegała różnica między jego miłością a miłością macierzyńską. Matka patrzyłaby z radością na to, na co on patrzył z trwogą.

Pierwsze objawy tej przemiany nie dały długo na siebie czekać.

Od owego dnia, kiedy powiedziała sobie: “Doprawdy, jestem piękna!”, Kozeta zaczęła zwracać uwagę na swój strój. Przypomniała sobie słowa przechodnia: “Ładna, ale źle ubrana”. Było to tchnienie wyroczni, które przepłynęło obok niej i rozwiało się, pozwolewszy w jej sercu zakiełkować jednej z tych dwóch rzeczy, które później wypełniają całe życie kobiety: kokieterii. Drugą jest miłość.

Wraz z wiarą w swą piękność rozkwitała w niej dusza kobiety. Zaczęła gardzić merynosem i wstydzić się pluszu. Ojciec niczego jej nigdy nie odmawiał. Od razu posiadała wszystkie arkana wiedzy, jaki powinien być kapelusz, suknia, mantylka, pantofelek, zarękawek, jaki materiał jest stosowny i jaki kolor jest twarzowy; tej wiedzy, która czyni z paryżanki istotę tak czarującą, niezgłębioną i niebezpieczną. Określenie “kobieta urzekająca” - zostało wymyślone dla paryżanki.

Nim upłynął miesiąc, mała Kozeta stała się w swej pustelni przy ulicy Babilońskiej nie tylko jedną z najładniejszych kobiet w Paryżu - co już coś znaczy - ale jedną z “najszykowniejszych”, co znaczy o wiele więcej. Chętnie spotkałaby teraz “swego przechodnia”, żeby zobaczyć, co też powie, i “dać mu nauczkę!”. Istotnie, była zachwycająca pod każdym względem i cudownie odróżniała kapelusz z magazynu Gerard od kapelusza z magazynu Herbaut.

Jan Valjean z udreką patrzył na to spustoszenie. On, któremu się zdawało, że może tylko pełzać, a najwyżej chodzić, widział, że Kozecie rosną skrzydła.

Zresztą, każda kobieta spojrzawszy na strój Kozety łatwo by odgadła, że dziewczyna nie ma matki. Nie przestrzegła w tym względzie pewnych drobnych, ogólnie przyjętych zwyczajów. Matka powiedziała by jej na przykład, że młodej dziewczynie nie przystoi ubierać się w adamaszek.

Gdy Kozeta wyszła po raz pierwszy na spacer w czarnej adamaszkowej sukience, takiej pelerynce i białym krepowym kapeluszu, oparła się na ramieniu Jana Valjean, wesola, roześmiana, różowa, dumna i olśniewająca.

- Jak ci się podobam, ojcze? - rzekła.

Jan Valjean odpowiedział głosem przypominającym kwaśny ton zazdrośnika:

- Jesteś urocza.

Podczas przechadzki zachowywał się jak zwykle. Po powrocie do domu zapytał Kozety:

- Czy nie będziesz już nosiła tamtej sukni i tamtego kapelusza?

Rozmowa toczyła się w pokoju Kozety. Dziewczyna odwróciła się od szafy, w której wisiały jej skromniutki, pensjonarskie sukienki.

- Tego szkaradzieństwa? - rzekła. - A na cóż mi to, ojcze? O nie, nie! Nigdy już nie włożę tych okropności. W czymś takim na głowie wyglądałabym jak straszdyło!

Jan Valjean westchnął głęboko.

Od tej chwili zauważył też, że Kozeta, która dawniej prosiła zawsze, żeby zostać w domu, mówiąc: "Ojcze, najlepiej się tu bawię z tobą", teraz chciała ciągle chodzić na spacer. Bo istotnie, na cóż zda się ładna twarzyczka i prześliczne stroje, jeśli ich się nie pokazuje?

Zauważył też, że Kozeta nie lubiła już podwórka tak jak dawniej; teraz chętniej spędzała czas w ogrodzie, z przyjemnością spacerując przed kratą.

Jan Valjean, dziki, nietowarzystki, nie zaglądał nawet do ogródka; przebywał na swym podwórzu jak pies.

Poznawszy, że jest piękna, Kozeta zatraciła wdzięk płynący z nieświadomości własnej urody; rozkoszny to wdzięk, połączenie bowiem piękności i naiwności jest niewymownie urocze i trudno o bardziej czarujące zjawisko niż widok olśniewającej piękności, nieświadomej, że trzyma w swym ręku klucze do rajów. A straciwszy wdzięk naiwności, Kozeta zyskała czar poważnej zadumy. Cała jej postać przeniknięta radością młodości, niewinności i urody tchnęła cudowną melancholią.

Wtedy to właśnie Mariusz - po półrocznej przerwie - zobaczył ją ponownie w Ogrodzie Luksemburskim.

## VI

### Bitwa się rozpoczyna

Kozeta, podobnie jak Mariusz, żyła w cieniu, w każdej chwili gotowa zapłonąć. Los, z właściwą sobie tajemniczą, a nieuchronną cierpliwością, powoli zbliżał do siebie te dwie istoty stęsknione, naładowane burzliwą elektrycznością namiętności, te dwie dusze, które kryły w sobie miłość, jak dwie chmury kryją piorun, i które miały zbliżyć się i połączyć spojrzeniem, jak chmury - błyskawicą.

W romansach miłosnych tak nadużywano spojrzenia, że w końcu popadło ono w niełaskę. I teraz powieściopisarz prawie nie śmie powiedzieć, że dwie istoty pokochały się, ponieważ spojrzwały na siebie. A przecież tak właśnie rodzi się miłość, i tylko tak. Reszta jest tylko resztą i przychodzi później. Nic bardziej realnego nad potężne wstrząsy dwóch dusz, które wymieniły między sobą tę iskierkę.

W owej godzinie, gdy Kozeta nieświadomie rzuciła spojrzenie, które posiadało niepokój w duszy Mariusza, Mariusz ani się domyślał, że i on swoim spojrzeniem posiadał niepokój w duszy Kozety. Wyrządził jej to samo zło i to samo dobro.

Od dawna już go spostrzegła i przyglądała mu się, tak jak to dziewczęta widzą i przyglądają się - patrząc gdzie indziej. Kozeta jeszcze wydawała się Mariuszowi brzydka, gdy on już wydawał jej się piękny. Ponieważ jednak nie zwracał na nią wcale uwagi, był jej obojętny.

Jednakże mimo woli musiała zauważyć, że ten młodzieniec ma piękne włosy, piękne oczy, piękne zęby, uroczo brzmiący głos, słyszała bowiem, jak rozmawiał z kolegami; że wprawdzie chodzi nieco przygarbiony, lecz za to ze swoistym wdziękiem, że wydaje się wcale niegłupi, że cała jego postać jest szlachetna, miła, prosta i dumna, wreszcie, że wygląda biednie, ale przyzwoicie.

Owego dnia, kiedy oczy ich spotkały się i powiedziały sobie nagle te pierwsze tajemne i niewysłowione rzeczy, które szepcze spojrzenie, Kozeta zrazu nic nie zrozumiała. Zamyślona wróciła do domu na ulicy Zachodniej, gdzie Jan Valjean spędzał swoim zwyczajem sześć tygodni. Nazajutrz, obudzwszy się, pomyślała o nieznanym młodzieńcu, który przez długi czas był tak obojętny i zimny, a teraz zdawał się zwracać na nią uwagę, i miała wrażenie, że uwaga ta nie sprawia jej najmniejszej przyjemności. Gniewał ją raczej

niecو ten piękny zarozumialec. Obudziła się w niej wojowniczość. Zdawało jej się - i czuła dziecinną radość na myśl o tym - że wreszcie się zemści.

Świadoma swej urody, czuła dobrze, choć niezbyt jasno zdawała sobie z tego sprawę, że posiada groźną broń. Kobiety bawią się swoją urodą jak dzieci nożem. I ranią się.

Pamiętamy wahania Mariusza, jego gwałtowne wzruszenia i obawy. Siadywał na ławce jak przykuty i nie podchodził bliżej. Drażniło to Kozetę. Wreszcie pewnego dnia powiedziała do Jana Valjean:

- Ojczy, przejdźmy się trochę tamtą aleją.

Widząc, że Mariusz się do niej nie zbliża, ona poszła do niego. W takim wypadku każda kobieta podobna jest do Mahometa. Poza tym - szczególna to rzecz - pierwszym objawem prawdziwej miłości u młodzieńca jest - nieśmiałość, a u dziewczyny śmiałość. Wydaje się to dziwne, lecz jest bardzo proste: to obie płci starają się zbliżyć do siebie i przebierają się w cechy płci odmiernej.

Owego dnia spojrzenie Kozety doprowadziło Mariusza do szaleństwa, a spojrzenie Mariusza przeniknęło Kozetę dreszczem. Mariusz wrócił do domu pełen ufności. Kozeta - pełna niepokoju. Od owego dnia - zaczęli się kochać.

Zrazu Kozetę ogarnął głęboki, niezrozumiały smutek. Zdawało jej się, jakby w ciągu jednego dnia dusza jej pociemniała. Nie poznawała jej wcale. Biel dziewczęcej duszy, złożona z chłodu i wesołości, podobna jest do śniegu. Topnieje w promieniach swego słońca - miłości.

Kozeta nie wiedziała, co to miłość. Nigdy nie słyszała tego słowa, użytego w jego ziemskim znaczeniu. W świeckich śpiewnikach, które zawędrowały do klasztoru, słowo "kochanie" zastąpiono słowami "pranie" czy "trąb granie". Wynikały stąd zagadki, nad którymi "duże" wysilały swą wyobraźnię: "Ach, jak rozkoszne jest to pranie!" lub "Litość to nie trąb granie". Ale, opuszczając klasztor, Kozeta była zbyt dziecinna, żeby się interesować "trąb granie". Nie wiedziała więc, jak nazwać to, co teraz czuła. Czy jednak człowiek, który nie zna nazwy swej choroby, jest przez to mniej chory?

Kochała więc tym goręcej, że kochała nieświadomie. Nie wiedziała, czy to dobre, czy złe, potrzebne czy niebezpieczne, konieczne czy zgubne, wieczne czy przelotne, dozwolone czy zakazane: kochała. Zdziwiłaby się bardzo, gdyby jej ktoś powiedział: "Nie sypiasz? Ależ tego nie wolno! Nie jesz? To bardzo źle! Serce ci bije jak oszalałe? Ależ to nie uchodzi! Czerwienisz się i bledniesz, kiedy pewna czarno ubrana osoba pojawia się w pewnej zielonej alei? To karygodne!" Nie, tego by nie zrozumiała i odrzekłaby: "Jakaż moja wina w tym, czego nie rozumiem i na co nie mogę poradzić?"



Tak się złożyło, że miłość ta odpowiadała najlepiej stanowi jej duszy: uwielbienie z daleka, niema kontemplacja, ubóstwienie nieznanego człowieka. To młodość objawiła się młodości, marzenie nocne zmieniło się w romans, nie przestając być marzeniem, wysniona zjawia obłąkała się w ciało, lecz była jeszcze bez imienia, bez zmy, bez plamy, bez wymagań i błędów: słowem, daleki kochanek w sferze ideału, majak, który przybrał kształt ludzki. W owym okresie każde bliższe, realniejsze uczucie spłoszyłoby Kozetę, jeszcze pogrążoną w wyolbrzymiających wszystko oparach klasztoru. Przeżywała jeszcze wszystkie strachy dzieciństwa i wszystkie trwogi zakonnice. Nastrój klasztoru, którym nasiąkała przez pięć lat, jeszcze unosił się nad jej osobą i stwarzał naokoło atmosferę lęku. W takiej sytuacji potrzebny jej był nie kochanek i nawet nie wielbiciel, lecz wizja. I pokochała Mariusza jak coś uroczonego, promiennego i nieosiągalnego.

Największa niewinność łączy się zawsze z najwyższą zalotnością, więc otwarcie uśmiechała się do niego.

Codziennie niecierpliwie czekała godziny przechadzki, a gdy spotkała Mariusza, czuła się niewymownie szczęśliwa i szczerze sądziła, że wypowiada całą swą myśl, mówiąc do Jana Valjean:

- Jak uroczy jest Ogród Luksemburski.

Mariusz i Kozeta byli dla siebie jakby pogrążeni w mroku nocy. Nie rozmawiali ze sobą, nie pozdrawiali się, nie znali, patrzyli na siebie i jak gwiazdy na niebie, oddzielone milionami mil, żyli tylko zapatrzeni w siebie.

Tak Kozeta powoli stawała się kobietą i rozkwitała, piękna i zakochana, świadoma swojej urody, a nieświadoma swojej miłości. A w dodatku zalotna przez niewinność.

## VII

### On smutny, ona jeszcze smutniejsza

Każda sytuacja budzi w człowieku właściwy instynkt. Stara i odwieczna matka-natura po cichu ostrzegała Jana Valjean o obecności Mariusza. Jan Valjean drżał w najtajniejszych głębiach swych myśli. Nic nie widział, nic nie wiedział, a przecież z upartą uwagą wpatrywał się w otaczające go ciemności, jak gdyby czuł, że w jednej stronie coś się buduje, a w drugiej stronie coś wali się w gruzy. Mariusz, ostrzeżony przez tę samą matkę-naturę, bo takie jest głębokie prawo boże, robił wszystko, co mógł, by unikać "ojca". Jednakże Jan Valjean zwrócił na niego uwagę parokrotnie. Istotnie zachowanie Mariusza przestało być naturalne. Okazywał podejrzaną przezorność albo niezręczną śmiałość. Nie podchodził już blisko, jak dawniej; zatrzymywał się z daleka i siedział pogrążony w zachwyceniu; miał książkę i udawał, że ją czyta; po co udawał? Dawniej przychodził w starym ubraniu. Teraz codziennie był w nowym; może nawet układał sobie włosy? Miał dziwny wyraz oczu, nosił rękawiczki; słowem, Jan Valjean znienawidził tego młodzieńca.

Kozeta z niczym się nie zdradzała. Nie wiedząc dobrze, co się z nią dzieje, czuła, że coś się dzieje i że trzeba się z tym ukrywać.

Między nagłym upodobaniem do strojów u Kozety a zwyczajem noszenia nowych ubrań, który miał ten nieznajomy młodzieniec, istniał jakiś związek, bardzo niemiły dla Jana Valjean. Było to prawdopodobnie, a nawet na pewno sprawą przypadku, ale kryło w sobie jakąś groźbę. Nigdy ani słowem nie wspomniał Kozecie o nieznajomym. Raz jednak nie mógł się powstrzymać i z jakąś nieuświadomioną rozpaczą, która nagle zagłębia sondę we własne nieszczęście, rzekł do niej:

- Ten młodzieniec wygląda na pedanta!

Rok wcześniej Kozeta, obojętna mała dziewczynka, odpowiedziałaby mu: "Ależ nie! On jest bardzo miły!" Dziesięć lat później, nosząc w sercu miłość do Mariusza, odpowiedziałaby: "Masz rację ojczyste, to jakiś nieznośny pedant!" Ale w tym okresie życia i w tym stanie serca, w którym wówczas była, odrzekła tylko z niezmałym spokojem:

- Który? Tamten?

Jakby go widziała po raz pierwszy w życiu.

“Co za głupiec ze mnie! - pomyślał Jan Valjean. - Ona go jeszcze wcale nie zauważyła. A ja go jej pokazuję!”

O starcza naiwności! O przebiegłości dziecięca!

Takie jest prawo tych najmłodszych lat cierpień i trosk, lat gwałtownych walk pierwszej miłości z pierwszymi przeszkodami, że dziewczyna nie daje się złapać w żadną pułapkę, a młodzieniec wpada w każdą. Jan Valjean wypowiedział Mariuszowi głuchą wojnę, której tamten się nie domyślał z wzniosłą głupotą swej wielkiej miłości i młodego wieku. Jan Valjean zastawiał nań różne sidła; przesuwiał godziny spacerów, zmieniał ławkę, zostawił chusteczkę, przychodził do Ogrodu sam. Mariusz na oślep wpadał w te sidła i na wszystkie znaki zapytania, stawiane mu przez Jana Valjean, odpowiadał naiwnie: “tak”. Kozeta zaś zamknęła się w swojej pozornej beztrosce i niewzruszonym spokoju, tak, że Jan Valjean doszedł do takiego wniosku: “Ten fircyk szaleje za Kozetą, ale ona nie wie nawet o jego istnieniu!”

A jednak serce drżało mu boleśnie. Prędzej czy później nadejdzie godzina, w której Kozeta pokocha. Wszystko przecież zaczyna się od obojętności.

Raz tylko Kozeta popełniła błąd i przestraszyła go; gdy po trzygodzinnym pobycie w Ogrodzie wstał z ławki zbierając się do odejścia, powiedziała: - Już?...

Jan Valjean nie przerwał przechadzek do Ogrodu Luksemburskiego, nie chciał zachowywać się inaczej niż zwykle, a nade wszystko lękał się, by Kozeta czegoś nie spostrzegła; ale w godzinach tak słodkich dla zakochanych, gdy Kozeta przesyłała uśmiech Mariuszowi, który w upojeniu nic poza tym nie spostrzegał, bo cały świat przesłaniała mu promienna, ukochana twarzyczka, Jan Valjean wbijał w Mariusza oczy roziskrzzone groźbą. On, który w końcu uwierzył, że jest już niezdolny żywić niechęci do żadnego człowieka, czuł chwilami, gdy Mariusz był w Ogrodzie, że znów staje się dziki i okrutny i że otwierają się i burzą przeciw temu młokosowi dawne głębie jego duszy, gdzie niegdyś kryło się tyle gniewu. Zdawało mu się, że znów spiętrzają się w jego duszy jakieś nieznane wulkany.

Cóż to? Znowu ten człowiek? Co on tu robi? Kręci się, węszy, bada, próbuje i powiada: “A czemu nie?” Krąży wokół życia Jana Valjean, wokół jego szczęścia, by mu je wyrwać i zabrać!

Jan Valjean dodawał: “Tak! Właśnie to! Czego szuka? Przygody! Czego chce? Miłości! A ja? Byłem z początku najnędzniejszym z ludzi, a potem najniezwyklejszym; sześćdziesiąt lat przeżyłem na kolanach, przecierpiałem wszystko, co tylko można przecierpieć, zestarzałem się nie zaznawszy młodości, żyłem bez rodziny, bez krewnych, bez przyjaciół, bez żony, bez dzieci, zostawiłem swoją krew serdeczną na wszystkich kamieniach,

na wszystkich cierniach, na wszystkich drogach, wzdłuż wszystkich murów, byłem łagodny, choć ludzie byli dla mnie okrutni, byłem dobry, choć ludzie byli dla mnie źli, stałem się mimo wszystko uczciwym człowiekiem, odpokutowałem zło, które wyrządziłem, wybaczyłem zło, które mnie wyrządzono i kiedy wreszcie doczekałem się nagrody, kiedy skończyła się niedola, kiedy zbliżam się do celu, kiedy mam to, czego pragnę, co zdobyłem z takim trudem i okupiłem taką ceną, wszystko ma zniknąć, rozwiać się - stracę Kozetę, życie, radość, duszę własną, bo jakiemuś głupiemu młokosowi zachciało się spacerów w Ogrodzie Luksemburskim!”

Wówczas źrenice jego napełniały się złowrogim i niezwykłym światłem. To nie człowiek patrzył na człowieka; nie wróg patrzył na wroga; to brytan patrzył na złodzieja.

Resztę znamy. Mariusz nadal postępował jak szaleniec. Pewnego dnia poszedł za Kozetą aż na ulicę Zachodnią. Innego dnia rozmawiał ze stróżem. Stróż ze swej strony porozmawiał z Janem Valjean:

- Proszę pana - rzekł - wypytywał się tu o pana jakiś ciekawy młodzieniec.

Nazajutrz Jan Valjean rzucił Mariuszowi takie spojrzenie, że on je wreszcie spostrzegł. W tydzień później Jan Valjean wyprowadził się. Poprzysiągł sobie, że noga jego nie postanie ani w Ogrodzie Luksemburskim, ani na ulicy Zachodniej. Powrócił na ulicę Plumet.

Kozeta nie skarżyła się, nie powiedziała ani słowa, nie pytała o nic, nie próbowała dowiedzieć się, dlaczego tak się stało. Doszła do momentu, w którym człowiek nie chce się dać przeniknąć i zdradzić swoich myśli. Jan Valjean nie znał z własnego doświadczenia tych cierpień, jedynych, które są błogie, i jedynych, których sam nigdy nie przeżywał; dlatego nie zrozumiał, jak groźną oznaką było milczenie Kozety. Zauważył tylko, że posmutniała, więc i on sposepniał. Z obu stron stanęli do walki niedoświadczeni zapaśnicy.

Raz odważył się na próbę. Zapytał Kozetę:

- Czy chcesz pójść do Ogrodu Luksemburskiego?

Blask rozświetlił jej pobladłą twarzyczkę.

- I owszem - odrzekła.

Poszli. Od ostatniej ich bytności upłynęły trzy miesiące. Mariusz już nie przychodził do Ogrodu. Mariusza nie było. Następnego dnia Jan Valjean znów zapytał Kozetę:

- Czy chcesz pójść do Ogrodu?

Odpowiedziała ze smutną słodyczą:

- Nie.

Smutek jej uraził Jana Valjeana, a słodycz zraniła boleśnie.

Co się działo w duszy tak młodej, a już tak zamkniętej? Jaki się w niej dokonywał przewrót? Co przeżywała? Nieraz zamiast iść spać, Jan Valjean siadywał przy swoim pościeliu i ściskając głowę rękami spędzał całe noce, szukając odpowiedzi na pytanie: “O czym myśli Kozeta?”, i dumając, nad czym ona może dumać.

Och, w takich chwilach jakże bolesne spojrzenie rzucał na klasztor, ów nieskalany szczyt, ową siedzibę aniołów, niedostępny lodowiec cnoty! Z jakimże zachwytem zaprawionym rozpaczą podziwiał ogród klasztorny, pełen nieznanych kwiatów i zamkniętych dziewczyc, gdzie wonie i dusze ulatują prosto w niebo! Jak uwielbiał ten na zawsze utracony raj, który dobrowolnie i szaleńczo opuścił. Jak żałował teraz swego samozaparcia i tego szaleństwa, które kazało mu wprowadzić Kozetę w świat, jak żałował go, on, biedny bohater wyrzeczenia, powalony przez własne poświęcenie. Jakże często powtarzał sobie: “I cóżem ja uczynił?!”

Lecz Kozecie nie okazywał nic: ani zgryzoty, ani opryskliwości. Widziała ona zawsze tę samą pogodną, dobrą twarz. Zachowanie Jana Valjeana było jeszcze czulsze i bardziej ojcowskie niż zazwyczaj. I tylko po większej słodyczy obejścia można było poznać, iż był mniej wesoły.

Kozeta także opadała z sił. Cierpiała z powodu nieobecności Mariusza tak, jak cieszyła się z jego obecności, nie wiedząc właściwie dlaczego. Gdy Jan Valjean zaprzestał prowadzić ją na zwykłe przechadzki, instynkt kobiecy podszeptał jej w zakamarkach serca, że nie powinna okazywać, iż zależy jej na bywaniu w Ogrodzie, że jeśli to będzie obojętne, ojciec znów ją tam zaprowadzi. Ale mijały dni, tygodnie i miesiące. Jan Valjean przyjął bez słowa milczącą zgodę Kozety. Żałowała tego. Ale już było za późno. Gdy znów odwiedziła Ogród Luksemburski, Mariusza w nim nie było. Mariusz znikł, skończyło się. Co robić? Czy go kiedy w życiu odnajdzie? Czuła ucisk serca, który nie ustępował, ale wzrastał z każdym dniem. Nie wiedziała, czy jest lato, czy zima, czy świeci słońce, czy pada deszcz, czy ptaki śpiewają, czy kwitną dalie, czy stokrocie, czy Ogród Luksemburski miłszy jest od Tuileries, czy bielizna przyniesiona przez prачkę jest za mało, czy za bardzo ukrochmalona, czy stara Toussaint załatwia zakupy dobrze, czy też źle, i żyła w przygnębieniu, roztargniona, pochłonięta jedną tylko myślą, z błędnym wzrokiem utkwionym w jeden punkt, jak ktoś, kto w nocy wpatruje się w głęboką ciemność, w której rozwiała się jakaś zjawia.

Kozeta także kryła swoją udrękę przed Janem Valjeanem. Przybladła tylko. Ukazywała mu tę samą słodką twarzyczkę.

Ale bladeść jej wystarczyła, by Jan Valjean zaniepokoił się bardzo. Parokrotnie pytał:

- Co ci jest?

Odpowiadała:

- Nic mi nie jest, ojczy.

Po chwili milczenia, odgadując, że i on jest smutny, pytała:

- A tobie, ojczy, co dolega?

- Mnie? Nic - odpowiadał.

Te dwie istoty, które się darzyły tak wyłącznym uczuciem, tak czułą miłością, które tak długo żyły jedna dla drugiej, teraz cierpiały jedna obok drugiej, jedna przez drugą, cierpiały bez słowa, bez urazy - z uśmiechem.

## VIII

### Łańcuch

Bardziej nieszczęśliwym z dwojga był Jan Valjean. Młodości pozostaje jej własny blask nawet w smutku. Bywały chwile, w których Jan Valjean cierpiał tak bardzo, że stawał się dziecinny. Cierpienie ma tę właściwość, że odsłania dziecinne strony człowieka. Czuł nieodparcie, że traci Kozetę. Chciał walczyć, chciał ją zatrzymać przy sobie, zachwycić ją, olśnić jakimś zewnętrznym przepychem. Te myśli dziecinne, jak powiedzieliśmy, a zarazem starcze, właśnie przez swoją dziecinność, dały mu dość trafne pojęcie o wpływie szarmerowanych mundurów na wyobraźnię dziewczęcą. Pewnego razu zobaczył przejeżdżającego konno generała w galowym mundurze, hrabiego Coutard, komendanta Paryża. Zaczął zazdrościć temu kapiącemu złotem człowiekowi: jakby to było dobrze, powiedział sobie, móc przywdziać taki strój, który był rzeczą nie do odrzucenia; na pewno olśniłby tym Kozetę i gdyby - prowadząc ją pod rękę i przechodząc koło bram Ogrodu Tuileryjskiego odbierał honory wojskowe, wystarczyłoby to Kozecie i wybiło jej z głowy wszystkich młodych ludzi.

Nieoczekiwany wstrząs przyłączył się do tych smutnych myśli.

W samotnym życiu, które prowadzili od czasu zamieszkania na ulicy Plumet, mieli pewien stały zwyczaj. Chodzili od czasu do czasu oglądać wschód słońca; jest to spokojna rozrywka, równie stosowna dla tych, co wchodzą w życie, jak i dla tych, co z niego ustępują.

Dla człowieka lubiącego samotność przechadzka o brzasku dnia łączy w sobie powab przechadzki nocnej z wesołością budzącej się przyrody. Ulice są puste, a ptaki śpiewają. Kozeta, sama ptaszę, chętnie wstawała o świcie. Przygotowywali się do tych porannych przechadzek już w przeddzień. On wysuwał projekt, ona godziła się skwapliwie. Umawiali się jak spiskowcy, wyruszali przed świtem; dawało to dużo radości Kozecie. Młodość lubi takie niewinne dziwactwa.

Wiemy, że Jan Valjean z upodobaniem odwiedzał miejsca mało uczęszczane, samotne zakątki, zapomniane ustronia. Koło rogatek paryskich rozpościerały się, wówczas włączone prawie w miasto, biedne poletka, gdzie latem rosło nędzne zboże i które na jesieni, po żniwach, wyglądały nie jak zżęte, ale jak wygracowane. Jan Valjean chadzał tam ze szczególną przyjemnością, a Kozeta nie nudziła się wcale. On znajdował samotność, ona - swobodę. Stawała się znowu małą dziewczynką, mogła biegać, nawet bawić się, zdejmowała

kapeluszu, kładła go na kolanach Jana Valjeana i zrywała naręczą kwiatów. Przyglądała się motylom na kwiatach, ale ich nie chwyciła: łagodność i wrażliwość rodzą się wraz z miłością; młoda dziewczyna, która nosi w sercu ledwo uchwytny i kruchy ideał, lituje się nad skrzydełkiem motyla. Wiła wieńce z maków i wkładała je na głowę; a gdy promień słońca prześwietlił maki i rozżarzył ich purpurę, świeża, różowa twarzyczka wydawała się uwieńczona ognistą koroną.

Nawet wówczas, kiedy życie ich posmutniało, zachowali zwyczaj porannych spacerów.

Tak więc w pewien październikowy ranek, skuszeni piękną pogodą, która panowała na jesieni 1831 roku, wyszli na przechadzkę i znaleźli się o wczesnej godzinie przy rogatce Maine. Nie był to jeszcze świt, ale brzask dopiero; chwila czarowna i niezwykła. Parę gwiazd świeciło tu i ówdzie na bladym, głębokim lazurze, ziemia była ciemna, niebo jasne, drzenie przebiegało przez żółta trawy, wszystko spowijał tajemniczy mrok. Zabłąkany między gwiazdami skowronek z zawrotnej wysokości dzwonił swą piosenką i, rzekłbyś, że hymn do nieskończoności śpiewany przez tę kruszynkę uspokajał ogrom. Na wschodzie czarna sylwetka Val-de-Grâce rysowała się na widnokręgu jaśniejącym stalowym blaskiem; ponad jej kopułą wschodziła promienna Wenus i wyglądała jak dusza ulatująca z mrocznego gmachu.

Wszystko tchnęło ciszą i spokojem; gościniec był pusty, tylko gdzieś w dole mgliście majaczyły sylwetki paru robotników idących do pracy.

Jan Valjean usiadł w bocznej alei na belkach złożonych u wejścia do jakiejś budowy. Odwrócony twarzą ku drodze, a plecami ku światłu, zapomniał o słońcu, które miało wzejść za chwilę, i zapadł w jedno z tych głębokich zamyśleń, które skupiają całą duszę, więżą nawet wzrok i odgradzają jak cztery ściany.

Bywają zamyślenia, które można by nazwać pionowymi: gdy się jest na ich dnie, trzeba dużo czasu, by powrócić na ziemię. Jan Valjean zatonął w głębinach takiej właśnie zadumy. Myślał o Kozecie, o szczęściu, jakie mógł przeżywać, gdyby nic nie stało między nimi, o jasności, którą Kozeta napełniała jego życie, jasności, będącej oddechem jej duszy. Był w tym marzeniu prawie szczęśliwy. Kozeta stojąc obok niego patrzyła na różowiejące obłoki. Nagle zawołała:

- Ojciec, zdaje się, że coś nadjeżdża!

Jan Valjean podniósł oczy.

Kozeta miała słusność.



Szosa prowadząca do dawnej rogatki Maine jest - jak wiadomo - przedłużeniem ulicy Sèvres; bulwar wewnętrzny przecina ją pod kątem prostym. Z miejsca przecięcia bulwaru z szosą dochodził jakiś zgiełk, trudny do wytłumaczenia o tej porze, majaczyło się tam niewyraźnie coś, jak gdyby ruchomy zator. Jakaś bezkształtna masa wyłoniła się z bulwaru i wjeżdżała na szosę.

Masa ta rosła i zdawała się poruszać w porządku, ale była najeżona, rozkołysana; wyglądało to na wóz, ale niepodobna było dostrzec ładunku. Były tam konie, koła, krzyki, trzaskanie z batów. Stopniowo zaczęły się wyłaniać kontury, jeszcze pograżone w ciemnościach. Był to istotnie wóz, który skręcił z bulwaru na szosę i kierował się w stronę rogatki, tam gdzie siedział Jan Valjean; za pierwszym wozem jechał drugi, podobny, potem trzeci i czwarty. Siedem wozów wyjechało kolejno z bulwaru, posuwając się w tak bliskiej odległości, że końskie łby dotykały tyłu wozów. Jakieś sylwetki poruszały się na wozach, w mroku coś migotało, niczym obnażone szable, rozlegał się szczęk podobny do szczęku poruszanych łańcuchów; wszystko zbliżało się, głosy rosły, była to rzecz tak straszna, jak coś, co wyłania się z pieczary snów.

Zbliżając się, przybierała wyraźniejszy kształt, zarysowywała się między drzewami siną plamą zjawy; masa zaczęła bieleć; słońce, które wstawało powoli, rzucało blade światło na to rojowisko grobowe, a zarazem żyjące, głowy sylwetek stały się trupimi twarzami i oto, co się wreszcie ukazało:

Po szosie jechało gęsiego siedem wozów. Sześć pierwszych miało niezwykłą budowę. Przypominały wózki bednarzy, coś w rodzaju długiej drabiny na dwóch kołach, której przedłużenie od przodu tworzą dyszle. Każdy wózek, albo raczej każdą drabinę ciągnęły cztery konie. Na drabinach wisały jak gdyby wielkie grona ludzi. W słabym świetle poranka nie było widać tych ludzi, można się ich było tylko domyślać. Jechali po dwudziestu czterech na wozie, dwunastu z każdej strony, zwróceniem plecami do siebie, a twarzą do przechodniów, z nogami zwisającymi w powietrzu; coś im brzęczało za plecami - był to łańcuch, i coś im błyszczało na szyjach - były to obroże! Każdy miał własną obrożę, lecz łańcuch był wspólny dla wszystkich, tak że jeśli tych dwudziestu czterech ludzi musiało zejść z wozu i iść pieszo, to skuwała ich wtedy nieubłagana jedność, i z łańcuchem, który stawał się ich kręgosłupem, musieli pełzać po ziemi niczym stonoga. W tyle i przedzie wozu stali dwaj ludzie uzbrojeni w karabiny, każdy z nich trzymał koniec łańcucha pod stopą. Obroże były kwadratowe. Pochód zamykał siódmy wóz, wielki, czterokołowy furgon drabiniasty, ale bez przykrycia, zaprzężony w sześć koni; załadowany był brzęczącym stosem żelaznych kotłów, garnków, kuchenek i łańcuchów, wśród których leżało kilku ludzi skrzepowanych i wyglądających na

chorych. Ten furgon z rzadkimi szczablami okalały połamane kraty, które zdawały się dawniej służyć do tortur.

Wozy jechały środkiem jezdni. Po obu stronach w podwójnym szeregu szli strażnicy o bestialskim wyglądzie, w trójgraniastych kapeluszach jak żołnierze z czasów Dyrektoriatu; byli brudni, obdarci, odpychający, ubrani w kurtki inwalidów, a w spodnie karawaniarzy, szaroniebiescy, obszarpani, z czerwonymi epoletami, żółtymi pasami, uzbrojeni w kordelasy, karabiny i kije; wyglądali jak ciury obozowe. Zbiry te zdawały się łączyć w sobie podłość żebraków z władzą katów. Ten, który wyglądał na szefa, trzymał w ręku bicz pocztyliona. Wszystkie te szczegóły, początkowo zatarte w mroku, występowały coraz wyraźniej w rosnącym świetle dnia. Na przedzie i z tyłu jechali konno żandarmi, poważni, z szablami w ręku.

Sznur wozów był tak długi, że kiedy pierwszy z nich zbliżał się do rogatki, ostatni dopiero wyjeżdżał z bulwaru.

Tłum, który w mgnieniu oka wyrósł jak spod ziemi - co często zdarza się w Paryżu - cisnął się po obu stronach szosy i patrzył. Z sąsiednich uliczek dochodziły krzyki nawołujących się ludzi i stuk chodaków; to ogrodnicy nadbiegali, by przyjrzeć się widowisku.

Ludzie stłoczeni na drabinach milczeli, podrzucani wstrząsami wozu. Zsinieli od porannego chłodu. Wszyscy mieli płócienne spodnie i chodaki na bosych stopach. Reszta ubioru zależała od fantazji nędzy. Szkaradna pstrokaczna - nie ma smutniejszego widoku niż arlekin w łachmanach. Były tam więc i pomięte kapelusze filcowe, i kaszkiety powalane smołą, i ohydne wełniane czapki; obok robotniczej bluzy czarny surdut z dziurawymi łokciami; wielu miało damskie kapelusze, niektórzy wsadzili na głowę koszyki; widać było obrośnięte piersi, a przez dziury w ubraniach wytatuowane na ciele świątynie miłości, serca przebite strzałą, amorki. Widoczne też były liszaje i czerwone wypryski. Paru wspierało nogi na słomianym sznurze, zawieszonym wzdłuż bocznej drabiny, niby strzemiona, który służył im za oparcie dla stóp. Jeden trzymał w ręku i podnosił do ust coś w rodzaju czarnego kamienia, który zdawał się gryźć. Był to chleb. Widziałeś tam jedynie oczy suche, przygaste lub płonące złym blaskiem. Strażnicy klęli; skazańcy nie odzywali się ani słowem; od czasu do czasu rozlegał się świst kija smagającego plecy lub głowy; niektórzy z tych ludzi ziewali; łachmany ich były straszne; nogi zwisały, ramiona kołysały się, zderzały głowy, żelastwa dzwoniły, oczy pałały dzikim ogniem, ręce zaciskały się w pięści lub otwierały bezwładnie jak dłonie trupa.

Gromadki dzieci wybuchały śmiechem patrząc na ten pochód.

Ten sznur wozów - jakkolwiek wyglądał - był ponury. Było oczywiste, że jutro czy za godzinę może rozsrożyć się ulewa, że za nią przyjdzie inna i jeszcze inna, że te zniszczone ubrania przemokną do nitki, że ludzie ci, raz zmókłszy, już nie wyschną; skostniawszy z zimna, już się nie ogrzeją; że po deszczu płócienne spodnie przylgną im do piszczeli, a chodaki nasiąkną wodą, że razy kijów nie powstrzymają szczękania zębów, że łańcuch będzie ich nadal trzymał za karki, a nogi będą nadal wisały w powietrzu. I nie można było nie zadrzeć ze zgrozy na widok tych istot ludzkich, związanych i biernych pod zimnymi chmurami jesieni, tych istot wystawionych, jak drzewa i kamienie, na słotę, wiatr i wszelkie nawałnice.

Nie szczędzono kijów nawet chorym, którzy związani sznurami leżeli bez ruchu na siódmym wozie, rzućni tam, niby worki wypełnione nędzą.

Nagle ukazało się słońce. Ze wschodu trysnął olbrzymi promień i, rzekłbyś, rozpalił te dzikie głowy. Rozwiązały się języki; buchnęła pożoga szyderstw, przekleństw i śpiewek. Szeroki, poziomy pas światła przeciął szereg na dwoje, oświecając głowy i torsy, a nogi i koła zostawiając w cieniu. Myśli odmalowały się na twarzach; była to chwila straszliwa: maski opadły, ukazały się oblicza szatanów, odsłoniły się okrutne dusze. Ta ciżba, choć oświetlona, pozostała nadal posepna. Niektórzy ze skazańców, wesołki, mieli w ustach dutki z piór i wydmuchiwali przez nie robactwo na tłum, celując specjalnie w kobiety. Brzask obrysował czarnym cieniem te żalosne profile; każdą z tych istot zesześciła nędza! I było to tak potworne, że miało się wrażenie, iż światło słoneczne padając na nich zamienia się w płomień błyskawicy. Wóz jadący na przedzie z obłądną wesołością zaintonował i wyśpiewywał na całe gardło znaną wówczas piosenkę Desaugiersa "Westalkę". Drzewa drżały złowieszczo; w bocznych alejach mieszczuchy z idiotycznym rozradowaniem na twarzach przysłuchiwały się sprośnym błazeństwom śpiewanym przez widma.

Wszystkie niedole złączyły się w tym orszaku w jeden chaos; były tam zarysy pysków wszystkich zwierząt, byli starcy, młodzieńcy, łyse czaszki, siwe brody, potworność cynizmu, gniewna rezygnacja, grymas okrutnego uśmiechu, dziwaczne postawy, ryje w czapkach, główki niemal dziewczęce z kędziorami na skroniach, twarze dziecinne i tym bardziej straszne, wychudłe oblicza szkieletów, którym brakowało tylko śmierci. Na pierwszym wozie jechał Murzyn, który dawniej był może niewolnikiem i teraz mógł porównać ciężar łańcuchów. Straszne zrównanie w dół, ku hańbie, napiętnowało te czoła; na tym stopniu ponizienia wszyscy przeszli ostateczne przemiany w najtajniejszych głębiach dna duszy; i ciemnota, która przeobraziła się w otepienie, zrównała się z inteligencją, która przeobraziła się w rozpacz. Niepodobna było wybierać między tymi ludźmi, którzy ukazywali się oczom

niby kwintesencja błota. Nie ulegało wątpliwości, że ten, kto formował tę ohydłą procesję, nie myślał o żadnej klasyfikacji. Istoty te zostały związane i połączone w pary bezładnie, zapewne według przypadkowości alfabetu, i były jak załadowane na wozy. Jednakże nagromadzenie okropności daje w końcu jakąś wspólną wypadkową; z dodawania nieszczęśników zawsze wypada pewna suma; każdy łańcuch miał wspólną duszę, a każdy wóz odrębną fizjonomię. Jeden śpiewał, drugi wył, trzeci wyciągał rękę po jałmużnę, na innym słychać było zgrzytanie zębów; tam grożono przechodniom, ówdzie złorzeczono Bogu; ostatni wóz milczał jak grób. Dante pomyślałby, że widzi korowód siedmiu kręgów piekła.

Posępny pochód skazańców do kaźni odbywał się nie na straszliwym, ciskającym pioruny rydwanie Apokalipsy, lecz - rzecz znacznie bardziej ponura - na wózkach od gnoju.

Jeden ze strażników miał na końcu kija haczyk i zdawał się od czasu do czasu grzebać w tej kupie mierzwy ludzkiej. W tłumie jakaś starucha, pokazując na nich palcem, mówiła do pięcioletniego chłopca: "Przypatrz się, nicponiu, niech cię to nauczy!"

Gdy śpiewy i bluźnierstwa wzmagaly się, ten, który wydawał się dowódcą, strzelił z bicia i na ten znak straszliwe, głuche razy kijów posypały się na ośle, niby grad; wielu ryczało i pieniało się z wściekłości; powiększało to uciechę uliczników, którzy się zbiegli jak chmara much obsiadających rany.

Oczy Jana Valjean stały się przerażające. Nie były to źrenice, lecz grube szkło, które zastępuje czasem u nieszczęśliwych ludzi spojrzenie, wydaje się nieświadome rzeczywistości i płonie odbłaskiem jakiejś zgrozy i katastrofy. Nie patrzył na widowisko; przeżywał wizję. Chciał podnieść się, biec, uciekać; nie mógł się ruszyć z miejsca. Niekiedy rzeczy, na które patrzymy, chwytają nas i trzymają. Siedział jak przykuty, osłupiały, bezmyślny, pytając sam siebie, ogarnięty ogromną, niepojętą trwogą, co znaczą te dręczące go upiory, i skąd się bierze to ścigające go pandemonium. Nagle podniósł rękę do czoła ruchem właściwym ludziom, którym nagle powraca pamięć; przypomniał sobie, że była to zwykła trasa, że zazwyczaj wybierano tę okrężną drogę, aby uniknąć spotkania z orszakiem królewskim, zawsze możliwego na szosie wiodącej do Fontainebleau, i że przed trzydziestu pięciu laty on także przejeżdżał przez tę rogatkę.

Kozeta była przerażona nie mniej, choć inaczej. Nie rozumiała. Zabrakło jej tchu; nie chciała wierzyć własnym oczom; w końcu zawołała:

- Ojczy! Kto to jedzie na tych wozach?

Jan Valjean odpowiedział:

- Skazańcy!

- Dokąd jadą?

- Na galery!

W tym momencie razy, zadawane przez setkę rąk wzmogły się przeplatane płazowaniem szabel, rozpętała się istna nawałnica kijów i biczów. Galernicy skulili się, jakieś ohydne posłuszeństwo zrodziło się z męki i wszyscy zamilkli ze spojrzeniem wilków schwytych w potrzask. Kozeta drżała na całym ciełe; zapytała znowu:

- Ojczy, czy to są ludzie?

- Niekiedy - odpowiedział nieszczęśnik.

W istocie był to konwój skazańców, który wyruszywszy przed świtem z Bicêtre posuwał się drogą do Mans, aby ominąć Fontainebleau, gdzie przebywał właśnie król. To okrażenie przedłużało okrutną podróż o kilka dni, ale cóż to znaczy wobec faktu, że można w ten sposób oszczędzić osobie królewskiej przykrego widoku.

Jan Valjean wrócił do domu przybity. Takie spotkania są strasliwym ciosem, a wspomnienie o nich podobne jest do gwałtownego wstrząsu.

Wracając na ulicę Babilońską, Jan Valjean zauważył, że Kozeta nie wypytywała go już więcej o to, co zobaczyła; może zresztą sam był zbyt pogrążony w bolesnych i przygnębiających myślach, by słyszeć jej słowa i odpowiadać na nie. Dopiero wieczorem, gdy Kozeta pożegnała go idąc spać, usłyszał, jak półgłosem mówiła do siebie:

- Och, Boże! Gdybym z bliska zobaczyła któregoś z tych ludzi, chyba bym umarła na sam jego widok!

Szczęśliwy przypadek zrządził, że nazajutrz po tym tragicznym dniu, z racji nie wiem już jakiej oficjalnej uroczystości, w Paryżu odbywały się zabawy publiczne, rewia wojska na Polu Marsowym, regaty na Sekwanie, widowiska na Polach Elizejskich, sztuczne ognie na placu Gwiazdy, a wszędzie iluminacje. Zadając gwałt swoim obyczajom, Jan Valjean zaprowadził Kozetę na te zabawy, aby odwrócić jej myśl od przykrych wspomnień wczorajszego dnia i wrzawą rozbawionej stolicy zatrzeć ślad strasliwego widoku, który przesunął się przed jej oczyma. Rewia wojskowa, będąca okrasą uroczystości, usprawiedliwiała obecność wszystkich mundurów; Jan Valjean włożył swój mundur gwardii narodowej, z mglistym wewnętrznym uczuciem człowieka, który szuka schronienia. Jak się wydawało, przechadzka osiągnęła swój cel. Kozeta, która uważała za swój obowiązek nie sprzeciwiać się ojcu i dla której każde widowisko było nowością, przystała na tę rozrywkę z ochotą właściwą młodości i nie zrobiła zbyt pogardliwej minki na tę wspólną miskę radości, zwaną zabawą publiczną; Jan Valjean mógł więc sądzić, że udało mu się zatrzeć w jej pamięci ostatni ślad ohydnej wizji.

W parę dni później, pewnego ranka, korzystając z pięknego słońca, siedzieli oboje na ganku od strony ogrodu; było to jeszcze jedno odstępstwo od zasad narzuconych sobie przez Jana Valjean i od zwyczaju przesiadywania w pokoju, do którego smutek skłaniał Kozetę; Kozeta stała w lekkim szlafrocuku, usprawiedliwionym poranną godziną, który nadaje tyle czarownego wdzięku młodej dziewczynie i przypomina obłok osłaniający gwiazdę. Z główką zalaną światłem, różowa po dobrze przespanej nocy, obrywała płatki stokrotki pod rozczulonym wzrokiem zacnego starca. Nie znała uroczej wróżby: “kocha, lubi, szanuje” itd., bo któż by miał ją tego nauczyć? Skubała kwiatek instynktownie, niewinnie, nieświadoma tego, że obrywanie płatków stokroci to badanie tajemnic serca. Gdyby istniała czwarta Gracja, uśmiechnięta, zwana Melancholią, Kozeta wyglądałaby jak ta Gracja. Jan Valjean wpatrywał się urzeczony w drobne paluszki trzymające kwiatek i zapomniał o wszystkim w promienności, jaka biła od tego dziecka. Rudzik świergotał cicho w pobliskich zaroślach, białe obłoczki płynęły po niebie tak wesoło, jakby przed chwilą wyrwały się na swobodę. Kozeta obrywała uważnie płatki kwiatu i zdawała się rozmyślać głęboko nad czymś niezmiernie miłym; nagle odwróciła szyję wdzięcznym, powolnym, łabędzim ruchem i zapytała:

- Ojcze, a co to są galery?

## **Księga czwarta**

**Pomoc z dołu może być pomocą z góry**

## Zewnętrzna rana leczy ból duszy

Tak więc życie ich zasnuwały powoli chmury.

Pozostała im tylko jedna rozrywka - niegdyś szczęście - nosić chleb ludziom, którzy cierpieli głód, i odzienie ludziom, którzy cierpieli zimno. Kozeta często towarzyszyła Janowi Valjean; w czasie tych odwiedzin u ubogich odnajdywali czasem nieco dawnej serdecznej zażyłości. Niekiedy, po dobrze spędzonym dniu, gdy ulżyli wielu niedolom, przyodziali i nakarmili wiele drobnych dzieci, Kozeta była wieczorem nieco weselsza. W tym właśnie czasie odwiedzili norę Jondrette'a.

Nazajutrz po tych odwiedzinach Jan Valjean zjawił się rano u Kozety, spokojny jak zwykle, ale z wielką raną na lewym ramieniu, rozognioną, rozjątrzoną i podobną do oparzenia, którą wytłumaczył jakąś błahą przyczyną. Z powodu tej rany gorączkował przez cały miesiąc i nie wychodził z domu. Nie chciał nawet słyszeć o lekarzu. Gdy Kozeta nalegała, odpowiadał: “Wezwij weterynarza!”

Rano i wieczór Kozeta opatrywała mu ranę z taką troskliwością i tak anielsko uszczęśliwiona, że może mu się przysłużyć, iż Jan Valjean czuł, jak powraca dawna radość, a znikają obawy i troski; wpatrywał się w Kozetę i powtarzał sobie: “Błogosławiona rana! Błogosławiony ból!”

Podczas choroby ojca Kozeta porzuciła pałacyk i znowu chętnie przebywała w małej izdebce i na podwórku. Prawie całe dni spędzała z Janem Valjean i czytała mu książki, jakie chciał; najczęściej książki podróżnicze. Jan Valjean odżył, szczęście jego zmartwychwstało promieniując niewysłowionym blaskiem; Ogród Luksemburski, nieznany natrętny młokos, oziębłość Kozety - wszystkie te chmury jego duszy rozproszyły się. Doszło do tego, że myślał: “Uroiłem sobie to wszystko! Jestem stary wariat!”

Był tak szczęśliwy, że potworne i nieoczekiwane odkrycie Thénardierów w norze Jondrette'a spłynęło po nim bez większego wrażenia. Zdołał umknąć, zmylił ślady - czegoż mógł chcieć więcej? Jeśli wspominał całą przygodę, to tylko po to, by litować się nad tymi nędznikami: “Siedzą w więzieniu i już nie mogą szkodzić - myślał - ale jak rozpaczliwa jest dola tej rodziny!”

O potwornej wizji z rogatki Maine Kozeta nie wspomniała już nigdy ani słowem.



W klasztorze siostra Matylda uczyła ją muzyki. Kozeta miała głos skowronka, skowronka, który by miał duszę, i niekiedy wieczorami śpiewała w skromnej izdebce rannego smutne piosenki, które radowały Jana Valjean.

Nadeszła wiosna, ogród o tej porze roku był tak cudownie piękny, że Jan Valjean rzekł do Kozety:

- Przestałaś tam zupełnie chodzić! Pospaceruj sobie trochę po ogrodzie!

- Jak chcesz, ojczy - odrzekła Kozeta.

I, posłuszna woli ojca, przechadzała się znów po ogrodzie, najczęściej sama, gdyż jak już wspominaliśmy, Jan Valjean zapewne z obawy, by go ktoś nie spostrzegł przez kratę, prawie nigdy tam nie zaglądał.

Rana Jana Valjean wniosła urozmaicenie do ich życia.

Widząc, że ojciec mniej cierpi, że powraca do zdrowia i wydaje się szczęśliwy, Kozeta uczyła radość, która ogarnęła jej duszę tak naturalnie i niepostrzeżenie, że prawie jej nie zauważyła. A poza tym był marzec, dni stawały się coraz dłuższe, zima odchodziła unosząc ze sobą jak zawsze część naszych smutków; potem nadszedł kwiecień, ten świt lata, świeży jak poranek, wesoły jak lata dzieciństwa, a niekiedy trochę rozplakany jak niemowlę, bo jest nim przecie. W tym miesiącu przyroda lśni najpowabniejszym blaskiem, który z nieba, obłoków, drzew, łąk i kwiatów przenika do serca człowieka.

Kozeta była jeszcze zbyt młoda, by nie ulec tej kwietniowej radości - tak do niej podobnej. Niepostrzeżenie i bez jej wiedzy ciemność pierzchła z jej duszy. Wiosna rozjaśnia smutne serca, jak południowe słońce rozwidnia piwnice. Kozeta nie była już nawet bardzo smutna, zresztą nie zdawała sobie z tego sprawy. Rano, około dziesiątej, po śniadaniu, gdy udało jej się wyciągnąć ojca na kwadrans do ogrodu i gdy spacerowała z nim razem w słońcu, koło ganku, podtrzymując jego chorą rękę, nie dostrzegła nawet, że co chwila się śmieje i jest szczęśliwa.

Jan Valjean, upojony, widział, jak wracają jej rumieńce i świeżość. "O błogostawiona rano!" - powtarzał po cichu.

I czuł wdzięczność do Thénardierów.

Kiedy rana się zagoiła, powrócił do zwyczaju samotnych przechadzek o zmroku.

Błędem byłoby mniemać, że można się tak przechadzać samotnie po nie zamieszkanym okolicach Paryża, nie narażając się na jakąś złą przygodę.

## II

### **Matka Plutarch bez trudu wyjaśnia dziwne zjawisko**

Pewnego wieczoru mały Gavroche nic nie jadł; przypomniał sobie, że poprzedniego dnia musiał również obyc się bez obiadu; zaczynało mu to doskwierać. Postanowił spróbować zdobyć coś na kolację. Zaczął wałęsać się po mało zamieszkałej dzielnicy za Salpêtrière; trafiają się tam zwykle dobre gratki; gdzie nie ma nikogo, tam zawsze można coś znaleźć. Dotarł tak do osiedla, które, jak mu się zdawało, było wioską Austerlitz.

Podczas jednej ze swych poprzednich wycieczek zauważył tam stary ogród, gdzie widywał tylko jednego staruszka i jedną staruszkę, a w tym ogrodzie niezgorszą jabłoń. Obok jabłoni stała niedomknięta skrzynia na owoce, z której można by wyciągnąć jabłko. Jabłko - to kolacja; jabłko - to życie. Co zgubiło Adama, mogło uratować Gavroche'a. Ogród leżał przy pustej nie wybrukowanej uliczce, obrosłej po obu stronach krzewami zamiast domów, których tu jeszcze nie było; żywopłot odgradzał ogród od uliczki.

Gavroche skierował się w tamtą stronę, odnalazł uliczkę, poznał jabłoń, stwierdził, że skrzynia stoi, i zbadał żywopłot; taki żywopłot - to kwestia jednego skoku. Zapadał zmierzch, na ulicy nie było nawet psa z kulawą nogą, słowem, pora wydawała się stosowna. Gavroche szykował się do skoku, gdy nagle zatrzymał się. W ogrodzie rozmawiano. Zajrzał przez szparę.

O dwa kroki od niego, po drugiej stronie, tuż pod żywopłotem, dokładnie w tym miejscu, gdzie byłby wylądował po skoku, leżał kamień tworzący coś w rodzaju ławki, a na tej ławce siedział staruszek z ogrodu. Obok stała staruszka i coś tam zrzędziła. Gavroche bez ceremonii zaczął podsłuchiwać.

- Panie Mabeuf! - mówiła stara.

“Mabeuf? - pomyślał Gavroche. - A to pocieszne nazwisko!”

Starzec nawet nie drgnął. Staruszka powtórzyła:

- Panie Mabeuf!

Nie odrywając oczu od ziemi, starzec odezwał się wreszcie:

- Co takiego, matko Plutarch?

“Matka Plutarch? - pomyślał Gavroche. - Drugie pocieszne nazwisko!”

Matka Plutarch mówiła dalej i starzec, chcąc nie chcąc, musiał wdać się w rozmowę:

- Gospodarz jest niezadowolony.
- Dlaczego?
- Bo mu się należy za trzy kwartały.
- Jeszcze trzy miesiące, a będziemy mu winni za cztery.
- Powiada, że wyrzuci pana na ulicę.
- To pójdę.
- Sklepiarka chce, żeby jej zapłacić. Nie daje ani wiązki drzewa. Czym pan będzie palić w zimie! Nie będziemy mieli ani szczapki!
- Słońce grzeje.
- Rzeźnik odmawia kredytu, nie chce więcej dawać mięsa.
- To doskonale. Mięso mi nie służy, jest ciężko strawne.
- To co będziemy jeść na obiad?
- Chleb.
- Piekarz żąda zapłaty choć części długu i powiada: "Nie ma pieniędzy - nie ma chleba!"
- Trudno.
- Cóż pan będzie jadł?
- Mamy jabłka na jabłonce.
- Ależ, proszę pana, nie można przecież tak żyć bez pieniędzy!
- Nie mam ani grosza.

Stara odeszła. Starzec został sam. Pogrzeżył się w myślach. Gavroche zamyślił się także. Zapadła noc.

Pierwszym rezultatem rozmyślań Gavroche'a było to, że zamiast przeleźć przez żywopłot przykucnął pod nim. Gałęzie u dołu były rzadsze.

"Patrzcie ludzie! - zawołał w duchu Gavroche. - Sypialnia!" I ułożył się wygodnie. Plecami prawie dotykał ławki ojca Mabeuf. Słyszał nawet oddech starca.

Tak więc zamiast kolacji próbował się zdrzemnąć. Spał jak zając pod miedzą, na jedno oko, i drzemiąc czuwał. Białe niebo zmierzchu rozjaśniało nieco ziemię i uliczka tworzyła sinawą linię między dwoma rzędami ciemnych zarośli.

Nagle na tym jaśniejszym pasie ukazały się dwie postacie. Jedna szła przodem, druga o parę kroków za nią. - Oho, idą jacyś dwaj - mruknął Gavroche. Pierwsza postać zdawała się być starym mieszczaninem, przygarbionym i zamyślonym, ubranym więcej niż skromnie; szedł powoli z powodu podeszłego wieku, zażywając wieczornej przechadzki pod gwiazdzystym niebem. Druga postać była prosta, silna, wysmukła. Dostosowała swój krok do

kroku pierwszej postaci, ale ten chód powolny zdradzał sprężystość i zwinność. Postać ta, choć miała w sobie coś drapieżnego i budziła niepokój, wyglądała na ówczesnego “eleganta”; kapelusz o dobrym fasonie, czarny, doskonale skrojony surdut, wcięty w pasie, i prawdopodobnie z cienkiego sukna. W sposobie trzymania głowy była jakaś siła nie pozbawiona wdzięku, a pod kapeluszem rysował się w zmroku młodzieńczy profil.

Profil ten miał w ustach różę. Gavroche od razu poznał drugą postać. To był Montparnasse.

O pierwszej mógł tyle tylko powiedzieć, że był to jakiś stary jegomość.

Gavroche natychmiast zaczął ich obserwować. Jeden z przechodniów najwidoczniej żywił jakieś zamiary względem drugiego. Gavroche mógł doskonale śledzić ze swego miejsca, co się dalej stanie. Sypialnia w samą porę przemieniła się w kryjówkę.

Montparnasse na łowach o tej porze i w takim miejscu - groźna sprawa. Gavroche czuł, że jego serce ulicznika wzbiera litością dla starego człowieka.

Co robić? Wmieszać się? Słabością wspomagać inną słabość? Niezle uśmiełby się Montparnasse! Gavroche nie łudził się, że groźny osiemnastoletni bandyta za jednym zamachem uporałby się ze starcem i z dzieckiem.

Kiedy tak rozmyślał, nastąpił nagły i ohydny napad. Napad tygrysa na muła, napad pająka na muchę. Montparnasse znieacka odrzucił różę, skoczył na starca, chwycił go za szyję, ścisnął i uczeił się go kurczowo. Gavroche z trudem powstrzymał okrzyk. Po chwili jeden z mężczyzn leżał już pod drugim, powalony charczał i szarpał się, przygwożdżony do ziemi kolanem ze spiżu. Tylko że stało się nieco inaczej, niż przewidywał Gavroche: na ziemi leżał Montparnasse, a na nim siedział stary jegomość.

Wszystko to działo się o parę kroków od Gavroche'a.

Starzec, otrzymawszy cios, odparował go, i to z taką siłą, że w mgnieniu oka odwróciły się role napastowanego i napastnika.

“A to chwacki inwalida!” - pomyślał Gavroche.

I mimo woli klasnął w ręce. Ale były to stracone oklaski. Nie usłyszeli ich zapaśnicy, którzy pochłonięci walką i ogłuszeni zmagali się ze sobą, dysząc ciężko.

Wreszcie zrobiło się cicho. Montparnasse przestał się szamotać.

Gavroche szepnął na stronie:

- Czyżby umarł?

Starzec nie wyrzekł słowa, ani nie krzyknął. Podniósł się i Gavroche usłyszał, jak mówił do Montparnasse'a:

- Wstań!

Montparnasse wstał, ale starowina trzymał go nadal. Montparnasse, upokorzony i wściekły, przypominał wilka złapanego przez owcę.

Gavroche patrzył i słuchał, usiłując uszami dopomóc oczom. Bawił się świetnie.

I został wynagrodzony za sumienne przeżywanie emocji widza. Mógł pochwycić w locie rozmowę, której panujące wokół ciemności nadawały dziwnie tragiczne brzmienie.

Stary jegomość pytał, Montparnasse odpowiadał:

- Ile masz lat?

- Dziewiętnaście.

- Jesteś silny i zdrowy. Dlaczego nie pracujesz?

- Bo mnie to nudzi.

- Czym się trudnisz?

- Próżniactwem.

- Mów poważnie. Czy mogę ci w czymś dopomóc? Kim chcesz zostać?

- Złodziejem.

Zapanowało milczenie. Starzec zamyślił się głęboko. Stał bez ruchu i nie puszczał Montparnasse'a.

Chwilami młody bandyta, silny i zręczny, zaczynał się rzucać jak dziki zwierz w potrzasku. Wstrząsał się, podstawił nogę, wił się jak oszalały i usiłował się wyrwać. Ale starzec zdawał się tego nie spostrzegać i jedną dłonią trzymał obie jego ręce z niewzruszoną obojętnością bezwzględnej przewagi.

Zaduma starca trwała kilka chwil, po czym, patrząc w oczy Montparnasse'owi i podnosząc nieco głos, zwrócił się doń w tych ciemnościach z uroczystą przemową, z której Gavroche nie uronił ani słowa:

- Chłopcze, przez lenistwo gotujesz sobie najpracowitszą egzystencję. A powiadasz, że jesteś próżniakiem! Przygotuj się do ciężkiej pracy! Czy widziałeś kiedy niebezpieczną maszynę, która się nazywa walcownią? Trzeba się jej strzec, bo jest podstępna i okrutna, jeśli cię chwyci za poję ubrania, wciągnie całego. Ta maszyna - to próżniactwo. Wstrzymaj się, póki jeszcze czas, i uciekaj! Inaczej zginiesz! Pochwyć cię niebawem jej tryby, a gdy się w nie dostaniesz, pożegnaj się z wszelką nadzieją. Robota cię czeka, próżniaku! Ani chwili odpoczynku. Chwyć cię żelazna ręka nieubłaganej pracy. Nie chcesz zarabiać na chleb, nie chcesz mieć zajęcia ani spełniać swoich obowiązków, nudzi cię być takim jak inni? Ano cóż, będziesz inny! Praca jest prawem; kto ją odpycha jako nudę, będzie ją miał jako mękę. Nie chcesz być robotnikiem, będziesz niewolnikiem. Nie wymkniesz się pracy, zawsze cię pochwyć! Nie chcesz być jej przyjacielem, będziesz jej Murzynem. Ach, nie chciałeś

uczciwego znoju ludzi, udziałem twoim będzie krwawy pot potępieńców. Kiedy inni śpiewają, ty będziesz charczał. Z daleka, z dołu będziesz patrzył na innych ludzi przy pracy i wyda ci się, że to odpoczynek. Oracze, żeńcy, marynarze, kowale pojawią ci się w aureoli, niby błogosławieni w raj. Jaka światłość bije z kowadła! Chodzić za pługiem, wiązać snopy - co za radość! Swobodna łódź gnana wiatrem, jakaż to uciecha! A ty, próżniaku - haruj, ciągnij, pchaj bez odpoczynku. Na próżno gryziesz wędzidło, jesteś pociągowym zwierzęciem w piekielnym zaprzęgu. Ach, więc nic nie robić - taki twój cel. Nie zaznasz tygodnia, dnia ani godziny wolnej od zmęczenia. Niczego nie podniesiesz bez bolesnego wysiłku; co chwila mięśnie będą ci pękać. To, co dla innych jest piórkiem, dla ciebie będzie ciężkim głazem. Najprostsze rzeczy spiętrzą się przed tobą w stromą górę. Życie zmieni się w koszmar. Chodzenie, poruszanie się, oddychanie - stanie się straszliwą pracą. Płuca będą ci ciążyły jak stufuntowe ciężary. Przejsz parę kroków w tym czy w tamtym kierunku - stanie się problemem. Pierwszy lepszy człowiek, gdy chce wyjść z domu, otwiera drzwi i jest na dworze. Ty - chcąc wyjść - będziesz musiał przebić mur. Cóż robią ludzie, by wyjść na miasto? Po prostu schodzą po schodach. Ty rozedrzesz prześcieradło, poskubiesz je na nitki, spleciesz z nich sznur, wysuniesz się przez okno; zawieszysz na tej nici nad przepaścią; wkoło noc, zawierucha, deszcz, huragan; sznur może się okazać za krótki, a wtedy pozostanie ci jedyny sposób wyjścia: skoczyć. Skoczyć na oślep, w otchłań, z niewiadomej wysokości i spaść na to, co jest pod tobą, w nieznanie. Albo też, ryzykując spalenie żywcem, będziesz się piał kominem; czy - ryzykując utopienie - będziesz się czołgał przez kanał kloaki. Nie mówię ci już o dziurach, które trzeba zasłaniać, o kamieniach, dwadzieścia razy dziennie wyjmowanych i wkładanych z powrotem, ani o wapnie, które trzeba ukrywać w sienniku. Natrafisz na zamek? Każdy spokojny obywatel ma w kieszeni klucz, zrobiony przez ślusarza; a ty, jeśli zechcesz otworzyć zamek, musisz wpierw wykonać straszne arcydzieło: weźmiesz jeden su, przetniesz na dwie blaszki - czym? - to już twoja w tym głowa. Potem wyłobisz wnętrza obu blaszek, nie naruszając strony zewnętrznej, natniesz gwint na brzegach, aby przystawały do siebie, jak spód do pokrywki, tak żeby ześrubowawszy wierzch z górą, niczego nie można się było domyślić. Dla strażników - bo będziesz pilnowany - będzie to jeden su. Ale dla ciebie - to będzie pudełko. A co w nie włożysz? Kawałek stali. Sprężynę od zegarka, którą natniesz w zęby i zamienisz w piłę. Tą piłą, wielkości szpilki, schowaną w groszaku, musisz przeciąć zamki, rygle, kłódki i kratę w oknie, i kajdany u nogi. A jeśli zdołasz zrobić to arcydzieło, jeśli dokonasz cudu sztuki, zręczności, umiejętności i cierpliwości i jeśli wyjdzie na jaw, kto jest jego autorem - jakaż cię czeka nagroda? Loch. Oto twoja przyszłość! Lenistwo, uciechy - co za otchłanie. Nic nie robić - to złowrogi zamysł,

wiesz o tym? Życ próżniaczo kosztem społeczeństwa, stać się niepotrzebnym, a więc szkodliwym - to prosta droga do najgłębszej niedoli. Biada temu, kto chce być pasożytem - będzie robakiem! Więc nie podoba ci się praca; myślisz tylko o jednym: jakby dobrze zjeść, dobrze wypić, dobrze spać. Będziesz pił wodę, będziesz jadł czarny chleb, będziesz spał na gołej desce z żelazem przykutym do nóg, którego zimno czuć będziesz nocą na ciele. Skruszysz to żelazo i uciekniesz. I cóż? Będziesz się czołgał w zaroślach i żywił trawą, jak leśne zwierzęta, i zostaniesz ujęty. A wtedy lata całe spędzisz w lochu, przykuty do ściany, po omacku szukając dzbana z wodą, gryząc plugawy chleb ciemności, na który pies by się nie połakomił, jedząc groch, który już jadło robactwo. Będziesz stonogą w piwnicy. Ach, nieszczęsny chłopcze, miej litość nad sobą. Nie ma jeszcze dwudziestu lat, jak ssałeś pierś karmicielki, i twoja matka na pewno jeszcze żyje. Usłuchaj mnie, zaklinam! Chcesz mieć ubranie z cienkiego czarnego sukna i lakierowane trzewiki, chcesz trefić włosy i skrapiać je pachnącym olejkiem, chcesz podobać się dziewczętom, chcesz być przystojny? Będziesz miał ogoloną głowę, czerwony kaftan i drewniane chodaki. Chcesz mieć pierścienie na palcu? Będziesz miał obrożę na szyi. A jeśli spojrzysz na kobietę, oćwiczą cię kijem. Wejdiesz tam mając lat dwadzieścia, a wyjdiesz mając pięćdziesiąt. Wejdiesz młody, rumiany, świeży, z błyszczącymi oczyma, białymi zębami i bujnymi włosami młodości, a wyjdiesz złamany, zgarbiony, pomarszczony, bezzębny, straszny, z siwą głową. Ach, biedny chłopcze, idziesz fałszywą drogą, próżniactwo źle ci doradza. Złodziejstwo jest najuciąźliwszą pracą. Wierz mi, nie podejmuj się tego mozolnego zajęcia, jakim jest próżniactwo. Trudny jest żywot hultaja. Łatwiej być uczciwym człowiekiem. A teraz idź i zastanów się nad tym, co ci powiedziałem. Ach, tak, czego chciałeś ode mnie? Sakiewki? Masz!

I puściwszy Montparnasse'a starzec włożył mu w rękę sakiewkę. Opryszek ważył ją przez chwilę na dłoni; po czym z machinalną ostrożnością - jakby ją ukradł - wsunął nieznacznie do tylnej kieszeni surduta.

To powiedziawszy i uczyniwszy, starzec odwrócił się i spokojnie kontynuował przerwany spacer.

- Stary bałwan! - mruknął Montparnasse.

Kim był ów starzec? Czytelnik domyślił się zapewne. Zdumiony Montparnasse patrzył, jak znika w mroku. To zapatrzenie stało się dlań zgubne w skutkach.

Podczas gdy starzec się oddalał, Gavroche się przybliżał. Gavroche, spojrzawszy z ukosa, upewnił się, że ojciec Mabeuf siedzi ciągle na ławce i jakby śpi. Po czym wysunął się z zarośli i w ciemności zaczął się czołgać za stojącym nieruchomo Montparnasse'em. Podpełznął w ten sposób do niego, nie będąc ani widziany, ani słyszany, wsunął ostrożnie

rękę do tylnej kieszeni surduta z cienkiego czarnego sukna, chwycił sakiewkę, wysunął rękę i czołgając się znowu, umknął w mrok jak jaszczurka. Montparnasse, który nie miał powodu, by się mieć na baczności, a przy tym zamyślił się po raz pierwszy w życiu, nic nie spostrzegł. Gavroche, wróciwszy do miejsca, gdzie siedział ojciec Mabeuf, przerzucił sakiewkę przez żywopłot i uciekł ile sił w nogach.

Sakiewka spadła ojcu Mabeuf na nogę. Uderzenie obudziło staruszka. Schylił się, podniósł sakiewkę i nie rozumiejąc, co to znaczy - otworzył. Miała dwie przegródki: w jednej było trochę drobnych, w drugiej sześć napoleonów.

Pan Mabeuf bardzo przerażony zaniósł ją gospodyni.

- Spadła nam z nieba! - oświadczyła matka Plutarch.



## **Księga piąta**

**Której koniec nie jest  
podobny do początku**

## I

### Samotność i koszary

Cierpienie Kozety, tak jeszcze dojmujące i żywe przed czterema czy pięcioma miesiącami, teraz, bez jej wiedzy, zaczynało się zblizniać. Przyroda, wiosna, młodość, miłość do ojca, wesołość ptaków i kwiatów sączyły w tę młodą dziewiczą duszę powoli, codziennie, kropla po kropli coś, co podobne było do zapomnienia. Czy ogień wygasł w niej zupełnie? Czy przytaił się tylko pod warstwą popiołu? To pewne, że nie czuła już prawie bolesnej, piekającej rany.

Pewnego dnia pomyślała nagle o Mariuszu.

- Dziwne! - rzekła. - Już o nim nie myślę.

W tym samym tygodniu zauważyła przechodzącego przed kratą ogrodu pięknego oficera lansjerów: cienka talia, śliczny mundur, rumieńce jak u panienki, szabla pod pachą, wypomadowane wąsiki, lakierowane czako. Miał jasne włosy, wylupiate niebieskie oczy, twarz okrągłą, próżną, beczelną i ładną - słowem, zupełne przeciwieństwo Mariusza. W ustach - cygaro. Kozeta pomyślała, że ten oficer z pewnością należy do pułku, który stał w koszarach przy ulicy Babilońskiej.

Nazajutrz zobaczyła, że znowu tamtędy przechodził. Zauważyła godzinę.

Od tej chwili - czy był to przypadek? - widywała go prawie codziennie.

Koledzy oficera spostrzegli, że prawie zawsze wówczas, gdy ulicą przechodził piękny porucznik, a był nim znany już czytelnikowi Teodul Gillenormand, w "zapuszczonym ogrodzie" za starą rokokową kratą pojawiała się jakaś całkiem powabna osóbka.

- Popatrz no! - mówili mu. - Jakaś mała robi do ciebie oczko!

- A bo ja mam czas - odpowiadał lansjer - patrzeć na wszystkie dziewczęta, które na mnie patrzą?!

Właśnie wtedy Mariusz konał z tęsknoty i mówił: „Ach, gdybym mógł ją choć raz ujrzeć przed śmiercią!” Gdyby się jego życzenie ziściło, gdyby w tej chwili zobaczył Kozetę zerkającą na lansjera, bez słowa skonałby z rozpaczy.

Kto był winien? Nikt.

Mariusz należał do natur, które pogrążają się i trwają w smutku; Kozeta zaś do tych, które na chwilę się w nim zanurzywszy, szybko wydobywają się na powierzchnię.

Ponadto Kozeta przeżywała właśnie ów niebezpieczny moment, fatalny okres, w którym kobieta puszcza wodze marzeniu i serce samotnej dziewczyny staje się podobne młodym pędom winnym, co - zależnie od przypadku - oplatają się wokół marmurowej kolumny albo słupa przy karczmie. Chwila to krótka, a stanowcza, chwila krytyczna dla każdej sieroty, czy to biednej, czy bogatej, bogactwo bowiem nie chroni od złego wyboru - osoby postawione wysoko też wchodzą w niestosowne związki; prawdziwie zaś niestosownym związkiem jest niezgodność dusz; podobnie jak niejeden młodzieniec, nikomu nie znany, bez nazwiska, bez "urodzenia", bez majątku, jest marmurową kolumną podpierającą świątynię wzniosłych uczuć i wzniosłych idei, tak i niejeden człowiek światowy, zadowolony z siebie, zamożny, strojny w lśniące trzewiki i błyskotliwe słówka, widziany nie od zewnątrz, lecz od wewnątrz - to jest od tej strony, którą chowa dla kobiety - okazuje się głupim kłosem, pełnym utajonych namiętności, brutalnych, wszetecznych i plugawych - słupem przy karczmie.

Co Kozeta nosiła w duszy? Namiętność uspokojoną lub uśpioną; miłość w stanie lotnym; coś, co było przezroczyste i lśniące, na pewnej głębokości zmacone, a jeszcze głębiej - ciemne. Obraz pięknego oficera odbijał się na powierzchni. A czy na dnie - na samym dnie - zostało jakieś wspomnienie? Może. Kozeta nie wiedziała.

Tymczasem zdarzył się dziwny wypadek.

## II

### Lęki Kozety

W pierwszej połowie kwietnia Jan Valjean udał się w podróż. Wiemy, że zdarzało się to czasami, choć bardzo rzadko. Pozostawał zwykle poza domem dwa, najwyżej trzy dni. Dokąd jeździł? Nikt tego nie wiedział, nawet Kozeta. Raz tylko podczas jednego z takich wyjazdów odwiozła go dorożką do rogu uliczki, na której przeczytała napis: Zaułek Plan-chette. Tam Jan Valjean wysiadł, a dorożka odwiozła Kozetę z powrotem na ulicę Babilońską. Te krótkie podróże zdarzały się zazwyczaj wtedy, gdy w domu brakło pieniędzy.

Tak więc Jan Valjean wyjechał. Zapowiedział, że wróci za trzy dni.

Wieczorem Kozeta siedziała sama w salonie. Aby rozproszyć nudę, otworzyła harmonium i akompaniując sobie zaczęła śpiewać pieśń z "Eurianty": *Hej, strzelcy, co w kniejach...* — najpiękniejszą bodaj ze wszystkich utworów muzycznych. Skończywszy śpiewać zamyśliła się.

Nagle wydało jej się, że w ogrodzie ktoś chodzi.

Nie mógł to być ojciec, bo wyjechał, ani też stara Toussaint, bo już spała. Była godzina dziesiąta.

Kozeta podeszła do zamkniętej okiennicy i przyłożyła ucho. Wydało jej się, że słyszy ostrożne, męskie kroki.

Wbiegła szybko na piętro, do swego pokoju, odchyliła lufcik w okiennicy i wyjrzała na ogród. Świecił księżyc w pełni i widać było wszystko jak w dzień.

Nie było nikogo.

Otworzyła okno. W ogrodzie panowała zupełna cisza, ulica była pusta jak zwykle.

Kozeta pomyślała, że się omyliła. Przywidziało jej się, że słyszy kroki. Było to zapewne złudzenie wywołane cudowną, posępną pieśnią Webera, która odsłania duszy przerażające głębie i wywołuje wizję lasu rozkołysanego ową pieśnią, w której słysząc trzask suchych gałęzi pod niespokojną stopą strzelców przemykających w mroku.

Kozeta przestała więc myśleć o tym zdarzeniu.

Zresztą nie była z natury bojaźliwa. W żyłach jej płynęła krew Cyganki, bosonogiej miłośniczki przygód. Pamiętamy, że była raczej skowronkiem niż gołębicą. W gruncie rzeczy miała usposobienie dzikie i odważne.

Nazajutrz z nastaniem nocy, wcześniej niż poprzedniego dnia, Kozeta przechadzała się po ogrodzie. Poprzez myśli, które bezładnie krążyły jej po głowie, zdawało jej się czasem, że podobnie jak wczoraj słyszy jakiś szmer, jakby ktoś stąpał w ciemnościach niedaleko, między drzewami, ale powiedziała sobie, że szelest ocierających się o siebie gałęzi bardzo przypomina kroki na murawie, i nie zwracała na to uwagi. Zresztą nic nie widziała.

Wyszła z “gęstwiny”; aby wejść na ganek, musiała przebyć niewielki zielony trawnik. Gdy wyszła z zarośli, wschodzący księżyc, który świecił za nią, rzucił jej cień na murawę.

Kozeta stanęła przerażona.

Obok jej cienia, w poświacie księżycy, rysował się wyraźnie cień drugi, dziwnie przerażający i groźny, cień w okrągłym kapeluszu.

Wyglądało to na cień jakiegoś mężczyzny, który by stał na skraju zarośli, o parę kroków za Kozetą.

Przez chwilę nie mogła dobyć głosu, krzyknąć, zawołać pomocy, poruszyć się ani odwrócić głowy.

Wreszcie zebrała całą swoją odwagę i odwróciła się śmiało.

Nie było nikogo.

Spojrzała na ziemię. Cień znikł.

Cofnęła się w zarośla, odważnie przeszukała wszystkie kąty, doszła do kraty ogrodzenia i nic nie znalazła.

Poczuła, że krew jej się ścina w żyłach. Czyżby to znów było złudzenie? Jak to? Przez dwa dni z rzędu? Raz można ulec złudzeniu, ale dwa razy? Najbardziej niepokojące było to, że ów cień na pewno nie był duchem. Duchy nie noszą okrągłych kapeluszy.

Jan Valjean powrócił nazajutrz. Kozeta opowiedziała mu wszystko, co, jej zdaniem, słyszała i widziała. Spodziewała się, że ojciec ją uspokoi, wzruszy ramionami i powie: „Jesteś niemądre dziecko”.

Jan Valjean zaniepokoił się.

- Coś w tym musi być - odrzekł.

Odszedł pod jakimś pretekstem, pośpieszył do ogrodu i Kozeta zobaczyła, że z wielką uwagą bada kratę.

W nocy obudziła się; tym razem była pewna, że pod oknami na ganku słyszy wyraźne kroki. Podbiegła do okiennicy i uchyliła lufcik. Istotnie w ogrodzie był jakiś mężczyzna z grubym kijem w ręku. Już miała krzyknąć, gdy księżyc oświetlił jego twarz. Poznała ojca.

Wróciła do łóżka, mówiąc do siebie: “A więc jest jednak poważnie zaniepokojony”.

Jan Valjean spędził w ogrodzie tę noc i dwie następne. Kozeta widziała go przez otwór w okiennicy.

Trzeciej nocy księżyc, będący w ostatniej kwadrze, wschodził już później; mniej więcej koło pierwszej usłyszała głośny wybuch śmiechu i głos ojca wołający:

- Kozeto!

Wskoczyła z łóżka, zarzuciła szlafrok i otworzyła okno.

Ojciec stał na trawniku.

- Obudziłem cię, żeby cię uspokoić - rzekł. - Popatrz. Masz tu swój cień w okrągłym kapeluszu.

I pokazał jej na trawie cień rysujący się w świetle księżyca i rzeczywiście dość podobny do mężczyzny w kapeluszu. Był to cień, który padał od blaszanego komina z daszkiem, sterczącego na dachu sąsiedniego domu.

Kozeta roześmiała się również; wszystkie jej ponure przypuszczenia rozwiały się i nazajutrz przy śniadaniu wesoło żartowała sobie z posępnego ogrodu, w którym straszy cień komina.

Jan Valjean uspokoił się całkowicie; Kozeta zaś nie zwróciła uwagi, czy cień komina padał w tym samym miejscu, w którym widziała cień na murawie, ani czy księżyc był równie wysoko na niebie. Nie zastanowiła się też wcale nad tym osobliwym kominem, który boi się, by go nie przyłapano na gorącym uczynku, i ucieka, gdy ktoś zauważy jego cień; bo cień zniknął, gdy się odwróciła; tego była pewna. Kozeta uspokoiła się zupełnie. Argumenty ojca wydały jej się niezbite i ani myślała już o tym, by ktoś mógł chodzić wieczorem czy w nocy po ogrodzie.

Jednakże po kilku dniach zaszedł nowy wypadek.

### III

#### **...wyolbrzymione przez komentarze starej Toussaint**

Przy kracie od ulicy stała w ogrodzie kamienna ława, osłonięta przed wzrokiem ciekawych szpalerem, której przechodzień mógł jednak dosięgnąć przez kratę i szpaler, jeśli bardzo wyciągnął rękę. Pewnego wieczora tegoż miesiąca kwietnia Jan Valjean wyszedł z domu; Kozeta po zachodzie słońca usiadła na ławce. Wiatr szeleścił w drzewach; Kozeta marzyła; ogarnął ją z wolna jakiś smutek bez przyczyny, ów nieodparty smutek wieczorny, który pochodzi może - któż to wie? - z tajemnicy grobu, odmykającego się o tej godzinie.

Może Fantyna stała tam w cieniu?

Kozeta wstała, powoli obeszła ogród dokoła, stąpając po zroszonej trawie i mówiąc do siebie w jakimś melancholijnym ni to śnie, ni to jawie: "Doprawdy, o tej porze przydałyby się w ogrodzie chodaki. Można dostać kataru".

Wróciła do ławki.

Siadając, spostrzegła na miejscu, z którego niedawno wstała, spory kamień, widocznie przed chwilą tam położony.

Wpatrzyła się w kamień, zastanawiając się, co to ma znaczyć. Nagle przyszło jej na myśl, że kamień sam nie mógł dostać się na ławkę, że ktoś go tu położył, że czyjaś ręka wsunęła się przez kratę; Kozeta przestraszyła się. Tym razem przestraszyła się naprawdę. Nie mogło być żadnych wątpliwości: kamień leżał na ławce; nie tknęła go i nie śmiąc obejrzeć się za siebie, uciekła do domu, zamknęła natychmiast okiennice, założyła sztabę i zasunęła zasuwę przy oszklonych drzwiach na ganek. Zapytała starej Toussaint:

- Czy ojciec wrócił?

- Jeszcze nie, proszę pani.

(Oddaliśmy już raz jękanie starej Toussaint; niech czytelnik pozwoli, że więcej nie będziemy tego podkreślać. Czujemy wstręt do dźwiękowego zapisu kalectwa).

Jan Valjean, człowiek lubiący rozmyślania i nocne przechadzki, nieraz wracał dość późno do domu.

- Toussaint - mówiła dalej Kozeta - czy Toussaint starannie zakłada sztaby przy okiennicach od ogrodu i wkłada zatyczki w pierścienie?

- O, niech pani będzie spokojna!

Kozeta dobrze wiedziała, że Toussaint o tym pamięta, ale nie mogła się powstrzymać, by nie dodać:

- Bo tu tak pusto!

- Co to, to prawda - rzekła Toussaint. - Mogą tu człowieka zarżnąć, nim zdąży pisać. A do tego pan nie sypia w domu. Ale niech się panienka nie boi, zamykam okna, jak fortece. Same kobiety w mieszkaniu! Jak tu się nie bać? Niech panienka tylko pomyśli: jacyś ludzie wchodzą nocą do pokoju, mówią: "Milcz", i zaczynają nam podrywać gardła. Mniejsza o śmierć, bo i tak wszyscy pomrzemy, wiadomo, że kiedyś trzeba umrzeć, ale jakie wstrętne musi być dotknięcie takich ludzi! A w dodatku pewno rzną tępymi nożami! Ach, mój Boże!

- Proszę nic nie mówić, Toussaint - rzekła Kozeta. - I pozamykać wszystko dokładnie.

Kozeta, przerażona melodramatem, który Toussaint ułożyła naprędce, a pewnie także myślą o dziwnych zdarzeniach z zeszłego tygodnia, które się znów powtarzały, nie śmiała nawet jej powiedzieć: "Proszę pójść obejrzeć kamień, który ktoś położył na ławce". Bała się bowiem otworzyć drzwi do ogrodu, żeby stamtąd nie weszli "ci ludzie". Kazała pozamykać starannie drzwi i okna, kazała obejść służącej cały dom od piwnic aż do strychów, zamknęła się na klucz w swoim pokoju, zajrzała pod łóżko, położyła się i spała niespokojnym snem. Przez całą noc śnił się jej kamień, olbrzymi jak góra i pełen jaskiń.

O wschodzie słońca - a wschodzące słońce ma to do siebie, że śmiejemy się z nocnych strachów tym serdeczniej, im większą przejmowały nas trwogą - o wschodzie słońca Kozeta obudziwszy się pomyślała o wczorajszym strachu, jak o zmorze sennej, i powiedziała sobie: "Coś mi się uroiło! Tak jak te kroki, które w zeszłym tygodniu słyszałam nocą w ogrodzie, i jak ten cień komina. Czyżbym się stawała tchórzliwa?" Słońce, które prześwitywało przez szczeliny okiennic i rozpałało purpurą adamaszkowe firanki, uspokoiło ją tak dalece, że z myśli jej pierzchły wszystkie widziadła, a nawet ów kamień.

"Nie było kamienia na ławce, jak w ogrodzie nie było mężczyzny w okrągłym kapeluszu. Kamień tak samo mi się przywidział jak i tamto".

Ubrała się, zeszła do ogrodu, podbiegła do ławki i poczuła, że oblewa ją zimny pot. Kamień leżał na ławce.

Jej przestraszony trwał tylko chwilę. Co w nocy przeraża, w dzień budzi ciekawość.

- No to zobaczymy! - rzekła.

Podniosła kamień, który był dość duży. Pod nim leżało coś, co wyglądało na list.

Była to koperta z białego papieru. Kozeta wzięła ją do ręki: nie miała adresu z jednej strony ani pieczętki z drugiej. A jednak koperta, choć otwarta, nie była pusta: widać było w środku kartki papieru.



Kozeta wsunęła rękę do koperty. Czuła już nie lęk, nie ciekawość, ale kiełkujący niepokój.

Wyciągnęła z koperty to, co się tam znajdowało, mały zeszytek, którego kartki były ponumerowane i zapisane dość ładnym, pomyślała Kozeta, i drobnym pismem.

Kozeta szukała jakiegoś nazwiska - na próżno; jakiegoś podpisu - na próżno. Do kogo był ten list? Zapewne do niej, bo czyjaś ręka położyła go na jej ławce. Od kogo był ten list? Jakiś nieprzeparty czar padł na nią, usiłowała odwrócić oczy od kartek, które drżały w jej ręce, spojrzała na niebo, na ulicę, na akacje skąpane w blasku, na gołębie latające nad sąsiednim dachem, potem spojrzenie jej padło nagle na rękopis i powiedziała sobie, że trzeba się dowiedzieć, co zawiera. Oto, co przeczytała:

## IV

### Serce pod kamieniem

*Sprowadzenie wszechświata do jednej istoty; rozszerzenie jednej istoty aż do Boga - oto, czym jest miłość.*

\*

*Miłość to pozdrowienie, które aniołowie ślą gwiazdom.*

\*

*Jakże smutna jest dusza, gdy smutna jest z miłości.*

*Jakąż pustkę stwarza nieobecność istoty, która wypełnia cały świat. O, to wielka prawda, że istota ukochana staje się Bogiem. I Bóg mógłby być o to zazdrosny, gdyby ten Ojciec wszechrzeczy nie stworzył świata dla duszy, a duszy - dla miłości.*

\*

*Jeden mały uśmiech spod białego krepowego kapelusika z liliową wstążką sprawia, że dusza wchodzi do krainy marzeń.*

\*

*Bóg kryje się we wszystkim, lecz wszystko kryje nam Boga. Rzeczy są czarne, ludzie nieprzejrzysti. Kochać kogoś — to uczynić go przejrzystym.*

\*

*Niektóre myśli to modlitwy. Są chwile, w których - niezależnie od postawy ciała - dusza korzy się na klęczkach.*

\*

*Rozłączeni kochankowie oszukują nieobecność tysiącem złud, które jednak są w pewien sposób rzeczywiste. Nie wolno im się widywać, nie mogą do siebie pisać; znajdują setki tajemniczych sposobów porozumienia. Przesyłają sobie śpiew ptaków, woń kwiatów, śmiech dzieci, blask słońca, westchnienie wiatru, promienie gwiazd, wszechświat cały. I czemuż nie mieliby tak czynić? Wszystkie dzieła boże stworzone są po to, by służyć miłości. Miłość jest dość potężna, by rozkazać całej naturze przekazywanie swych poleceń.*

*O wiosno, jesteś listem, który piszę do Niej.*

\*

*Przyszłość w większej mierze należy do serc niż do rozumu. Jedynie miłość może wypełnić sobą wieczność. Nieskończoności trzeba tego, co niewyczerpane.*

\*

*Miłość jest częścią duszy; tę samą ma naturę. Podobnie jak ona, jest iskrą bożą, podobnie jak ona, nie podlega zepsuciu, jest niepodzielna i wiecznotrwała. To ogień, który jest w nas nieśmiertelny, nieogarniony; nic go ugasić ani ograniczyć nie zdoła. Czujemy jego żar przenikający do kości i widzimy, jak promieniowaniem swoim sięga nieba.*

\*

*O miłości! O uwielbienie! O rozkoszy dwóch duchów, które się rozumieją, dwóch serc, które się zrastają ze sobą, dwóch spojrzeń, które się przenikają. Wszak wrócisz znów do mnie, szczęście moje? Przechadzki we dwoje w ustronnym zaciszu, dni błogostawione, promienne! Marzyłem nieraz, że godziny odrywają się od życia aniołów i spływając na dół wchodzą w ludzkie losy.*

\*

*Szczęście kochanków Bóg może powiększyć tylko w jeden sposób: przedłużyć je w nieskończoność. Po życiu miłości - wieczność miłości, to istotnie powiększenie. Ale natężenia*

*niewystawionej szczęśliwości, które miłość daje duszy już na tym świecie, nawet Bóg zwiększyć nie może. Bóg - to pełnia niebios; miłość - to pełnia człowieka.*

\*

*Patrzysz na gwiazdę z dwóch powodów: bo jest świetlista i nieodgadniona. A masz przy sobie jasność jeszcze słodsza i tajemnicę bardziej niezbadaną: Kobieta.*

\*

*Każdy z nas - kimkolwiek jest - ma istotę niezbędną mu do życia jak powietrze. Jeśli jej zabraknie, brak nam tchu, dusimy się. I umieramy. Straszna to rzecz - śmierć z braku miłości. To zatrucie duszy.*

\*

*Gdy miłość złączy i stopi dwie istoty w jedność anielską i świętą, odnajdują one tajemnice życia i są już tylko dwoma wyrazami jednego losu, dwoma skrzydłami jednej duszy. Kochajcie! Szybujcie w błękitach!*

*Kiedy kobietę, przechodzącą mimo, widzisz otoczoną blaskiem, jesteś zgubiony - kochasz. Jedno ci tylko pozostaje: myśleć o niej tak nieustannie i tak usilnie, aby ona również była zmuszona myśleć o tobie.*

\*

*Co miłość rozpocznie - tylko Bóg skończyć może.*

\*

*Prawdziwa miłość wpada w rozpacz lub w zachwycenie z powodu zgubionej rękawiczki czy znalezionej chustki, a potrzebuje wieczności dla swego poświęcenia i swoich nadziei. Składa się z tego, co nieskończenie wielkie, i z tego, co nieskończenie małe.*

\*

*Jeśli jesteś kamieniem - bądź magnesem; jeśli jesteś rośliną - bądź czułkiem; jeśli jesteś człowiekiem - bądź miłością.*

\*

*Miłości wszystkiego mało: ma szczęście, pożąda raju; ma raj, pożąda nieba.  
O wy, którzy kochacie, wszystko to jest w miłości. Trzeba tylko umieć to w niej znaleźć.  
Miłość ma to samo, co ma niebo - kontemplację, i coś więcej, niż ma niebo - rozkosz.*

\*

*“Czy przychodzi jeszcze do Ogrodu Luksemburskiego?” – “Nie, panie”. - “W tym kościele bywa na mszy, prawda?” – “Już tu nie przychodzi”. - “Czy wciąż mieszka w tym domu?” – “Wyprowadziła się”. - “A gdzie teraz mieszka?” - “Nie powiedziała”.  
Jakże smutno jest nie znać adresu swej duszy!*

\*

*Miłość ma swoje dziecinady, inne namiętności mają swoje małostki. Hańba namiętnościom, które pomniejszają człowieka! Chwała tej, która go czyni dzieckiem.*

\*

*To dziwne, czy wiesz? Otacza mnie noc. Ktoś, odchodząc, zabrał ze sobą niebo.*

\*

*O, leżeć przy sobie w jednym grobie z dłonią w dłoni i czasem, w ciemnościach, pieścić nawzajem swe palce — niczego więcej nie chcę od wieczności.*

\*

*Wy, co cierpicie z miłości, kochajcie jeszcze goręcej. Śmierć z miłości - to życie.*

\*

*Kochajcie! Tajemnicze gwieździste przemienienie łączy się z męką kochania. W agonii jest zachwycenie.*

\*

*O radości ptaszęca! Ptaki śpiewają - bo mają gniazda.*

\*

*Miłość to cudowne zachłyśnięcie się powietrzem raju.*

\*

*Serca głębokie, umysły mądre! Bierzcie życie takim, jak je Pan Bóg stworzył. Długa to próba, niezrozumiałe przygotowanie do nieznanych przeznaczeń. To właściwe przeznaczenie zaczyna się dla człowieka z chwilą zstąpienia do grobu. Tam ukazuje mu się coś - zaczyna dostrzegać rzeczy ostateczne. Rzeczy ostateczne! Ustanówcie się nad tym słowem. Żywi widzą nieskończoność; rzeczy ostateczne ukazują się tylko zmarłym. Nim to nastąpi, kochajcie, cierpcie, ufajcie i rozmyślajcie. Biada nieszczęsnym, co ukochali tylko ciało, kształt, zewnętrzną formę. Śmierć im wszystko zabierze. Kochajcie dusze. Odnajdziecie je.*

\*

*Spotkałem na ulicy bardzo ubożego młodzieńca, który kochał. Miał stary kapelusz, zniszczone ubranie, dziury na łokciach; jego buty napełniały się wodą, a dusza gwiazdami.*

\*

*Wielka to rzecz — być kochanym! Większa jeszcze - kochać! Dzięki namiętności serce staje się bohaterskie. Wszystko, co ma w sobie, jest czyste, wszystko, na czym się wesprze, jest wzniosłe i wielkie. Nie zakiełkuje w nim żadna zła myśl, jak pokrzywa nie wyrośnie na lodowcu. Dusza wyniosła i pogodna, niedostępna dla pospolitych namiętności i wzruszeń, góruje nad chmurami i mrokiem tego świata, nad szaleństwem, kłamstwem, nienawiścią, próżnością i nędzą, zamieszkuje lazury nieba i czuje tylko głębokie, ukryte wstrząsy losu, jak szczyty górskie czują trzęsienie ziemi.*

\*

*Gdyby ani jeden człowiek na ziemi nie kochał - słońce by zgasło!*

## V

### Kozeta po przeczytaniu listu

Czytając te kartki Kozeta coraz głębiej tonęła w rozmarzeniu. Gdy podniosła wzrok po przeczytaniu ostatniego wiersza w zeszytcie, piękny oficer - była to właśnie jego godzina - przechodził zdobyczym krokiem koło kraty. Wydał się jej wstrętny.

Zaczęła znowu oglądać zeszyt. "Pismo jest prześliczne - pomyślała - pisała ta sama ręka, ale różnym atramentem, raz bardzo ciemnym, raz wyblakłym, jak gdyby dolewano wody do kałamarza - a zatem w ciągu wielu różnych dni". Były to myśli wylewane na papier, westchnienia serca rzucające od czasu do czasu, bezładnie, bez wyboru, bez celu, przypadkowo. Nic podobnego Kozeta dotychczas nie czytała. Ten rękopis, w którym dostrzegła więcej jasności niż cienia, sprawiał na niej wrażenie drzwi uchylonych do sanktuarium. Tajemnicze słowa lśniły w jej oczach cudownym blaskiem i zalewały serce potokiem dziwnego światła. Wychowanie, jakie odebrała, mówiło jej zawsze o duszy, a nigdy o miłości, tak jakby ktoś opowiadał o zarzewiu nie wspominając płomienia. Ten piętnastostronicowy rękopis wyjawiał jej nieoczekiwane i łagodnie tajemnicę miłości, cierpienia, losu, życia, wieczności, początku i końca. Zdawało się, że jakaś ręka otworzyła się i rzuciła jej garść promieni. Wyczuwała poprzez te słowa naturę namiętą, żarliwą, uczciwą i wielkoduszną, wolę świętą, wielki ból i wielką nadzieję, serce cierpiące, pełne uniesienia i zachwytu. Czym był ten rękopis? Listem. Listem bez imienia, bez adresu, bez podpisu, nagłym, a bezinteresownym, zagadką złożoną z prawd, przesłaniem miłosnym przyniesionym przez anioła, a czytany przez dziewicę, spotkaniem wyznaczonym w nieziemskiej sferze, czułym listem zjawy do cienia. To ktoś nieobecny, spokojny i zgnębiony, zdający się szukać ucieczki w śmierci, słał nieobecnej tajemnicę losu, klucz życia - miłość. Pisał to, zstępując do grobu i dosięgając nieba. Te słowa spadające jedno po drugim na papier można by nazwać kroplami duszy.

Od kogo pochodziły te kartki? Kto je napisał?

Kozeta nie wahała się ani chwili. Jeden tylko człowiek.

On!

W jej umyśle rozjaśniło się zupełnie: wszystko powróciło znowu. Uczuła niewysłowioną radość i głęboki niepokój. To on! On pisał do niej. On był tutaj! To jego ręka



wsunęła się przez kratę! Kiedy ona o nim zapomniała, on ją odnalazł. Ale czy istotnie o nim zapomniała? Nie! Nigdy! Była szalona, sądząc tak choć przez chwilę. Zawsze go kochała, zawsze go uwielbiała. Ogień skrył się i czas pewien tlił pod warstwą popiołu, ale widziała, że wżerał się tylko coraz głębiej, aż wybuchnął i objął ją całą. Ten zeszyt był niby płomyk przerzucony z tamtej duszy w jej duszę. Czuła, że pożar ogarnął ją na nowo. Wchłaniała każde słowo rękopisu.

- O tak! - mówiła - jak ja to rozpoznaję! Wszystko to wyczytałam już w jego oczach!

Gdy po raz trzeci odczytywała list, porucznik Teodul, dzwoniąc ostrogami, znowu przeszedł przed kratą. Kozeta mimo woli podniosła oczy. Wydał jej się mdły, głupi, śmieszny, pyszałkowaty, niemiły, zuchwały i bardzo brzydki. Oficer uznał za stosowne przesłać jej uśmiech. Odwróciła się od niego zawstydzona i gniewna. Chętnie rzuciłaby mu coś ciężkiego na głowę.

Uciekła, wróciła do domu i zamknęła się w pokoju, by zagłębić się w te kartki, by uczyć się ich na pamięć, i marzyć. Gdy przeczytała je wiele razy, ucałowała zeszycik i wsunęła go za stanik.

Stało się, Kozeta pograżyła się na nowo w miłości głębokiej, anielskiej. Eden otworzył się przed nią.

Przez cały dzień chodziła jak odurzona. Zaledwie mogła myśleć, myśli jej były jak splątany motek nici, niczego nie przypuszczała, drżąc oczekiwała czegoś, ale czego? Czegoś nieokreślonego; nie śmiała sobie nic obiecywać i niczego nie chciała sobie odmówić. Bładość przepływała po jej twarzy, ciało przenikał dreszcz. Wydawało jej się chwilami, że żyje w jakimś urojonym świecie; mówiła do siebie: "Czy to prawda?", i dotykała przez suknię najdroższego listu, przyciskała go do serca, czuła brzegi kartek; gdyby Jan Valjean ujrzał ją wtedy, zadrżałby na widok promiennej, nieznannej radości, tryskającej spod jej powiek. "O tak - myślała. - To on! To od niego dla mnie!"

I mówiła sobie, że go odnalazła dzięki pośrednictwu aniołów, dzięki niebiańskiemu przypadkowi.

O cudowna przemiano miłości! O marzenia! Ten niebiański przypadek, to pośrednictwo aniołów było gałką chleba, którą z podwórza Karola Wielkiego do Lwiej Jamy jeden złodziej przerzucił drugiemu złodziejowi ponad dachami więzienia La Force.

## VI

### **Starzy są od tego, żeby w porę wychodzili z domu**

Wieczorem Jan Valjean wyszedł z domu. Kozeta ubrała się, uczesała jak najbardziej twarzowo i włożyła suknię, której stanik, nieco głębiej wycięty, odsłaniał ramiona, co było, jak mówią młode dziewczęta, “trochę nieprzyzwoite”. Nie było to ani trochę nieprzyzwoite, tylko po prostu ładne. Ubrała się tak, sama nie wiedząc dlaczego.

Czy chciała wyjść? Nie.

Czy spodziewała się gości? Nie.

O zmroku zeszła do ogrodu. Toussaint zajęta była w kuchni, której okna wychodziły na podwórze.

Zaczęła przechadzać się pod drzewami, odsuwając niekiedy ręką gałęzie, bo zwieszały się bardzo nisko.

Tak doszła do ławki.

Kamień wciąż leżał na tym samym miejscu.

Usiadła i położyła na nim delikatną, białą rękę, jak gdyby chciała go pogłaskać i podziękować mu.

Nagle doznała nieokreślonego wrażenia, jakiego się doświadcza, gdy ktoś nawet nie zauważony stanie za nami.

Odwróciła głowę i wstała z ławki.

To był on.

Stał z odkrytą głową. Wydawał się błydy i wychudły. Ledwie można było dostrzec jego czarne ubranie. Zmrok rozjaśniał jego piękne czoło, a cienie kładł na oczach. Było w nim coś ze śmierci i nocy, przysłonięte niewymowną słodyczą. Twarz jego jaśniała światłem konającego dnia i zamyśleniem odlatującej duszy.

Zdawało się, że nie był jeszcze widmem, a już przestał być człowiekiem.

Kapelusz jego leżał o parę kroków, rzucony w zarośla. Bliska omdlenia, Kozeta nie wydała żadnego okrzyku. Cofała się powoli, czuła bowiem, że coś ją przyciąga. On nie ruszał się z miejsca. Czuła, że otula ją coś niewysłowionego i smutnego - spojrzenie jego oczu, których nie widziała.

Cofając się, napotkała drzewo i oparła się o nie. Gdyby nie to drzewo, byłaby upadła.

Wtedy usłyszała jego głos, ten głos, którego naprawdę nigdy jeszcze nie słyszała, szepczący nieco głośniejszy od szmeru liści:

- Niech mi pani wybaczy, że tu jestem. Ciężko mi, nie mogłem tak żyć dłużej, przyszedłem. Czy przeczytała pani to, co położyłem na ławce? Czy pani mnie choć trochę poznaje? Proszę się mnie nie lękać. Upłynęło już dużo czasu, czy pamięta pani ten dzień, kiedy pani spojrzała na mnie po raz pierwszy? To było w Ogrodzie Luksemburskim, przy Gladiatorze. A pamięta pani ten dzień, kiedy pani koło mnie przeszła? To było szesnastego czerwca i drugiego lipca. Niedługo minie rok. Tak dawno już pani nie widziałem! Pytałem kobiety wynajmującej krzesła w ogrodzie; powiedziała mi, że już pani nie przychodzi. Mieszkała pani wtedy na ulicy Zachodniej, na trzecim piętrze od frontu, w takim nowym domu. Widzi pani, że wiem. Śledziłem panią. Co miałem robić? Potem pani znikła. Zdawało mi się raz, że pani przechodziła, kiedy czytałem dzienniki pod arkadami Odeonu. Pobiegłem. Ale nie; to była tylko jakaś młoda osoba w podobnym kapeluszu. Przychodzę tutaj w nocy, niech się pani nie lęka, nikt mnie nie widzi. Przychodzę popatrzeć z bliska na pani okna. Staram się zachowywać bardzo cicho, żeby pani nie słyszała, bo może by się pani przestraszyła. Kiedyś wieczorem stałem tu za panią, pani się obejrzała, a ja uciekłem. Raz słyszałem, jak pani śpiewała. Byłem wtedy szczęśliwy! Czy pani to przeszkadza, że przez zamknięte okiennice słucham pani śpiewu? To nie może pani przeszkadzać, prawda? Pani jest aniołem, niech mi pani pozwoli przychodzić tu czasami. Zdaje mi się, że wkrótce umrę. Gdyby pani wiedziała! Ja uwielbiam panią. Przepraszam, sam nie wiem, co mówię, może rozgniewałem panią. Gniewa się pani?

- O moja matko! - odpowiedziała Kozeta.

I zachwiała się jakby miała umrzeć.

Podtrzymał ją, osunęła się na ziemię; chwycił ją w ramiona i przytulił mocno do piersi, nie wiedząc, co czyni. Trzymał ją tak, sam chwiejąc się na nogach; głowę wypełniał mu jakiś słodki czad, między brwiami przelatywały błyskawice; myśli się rozpierzchły; zdawało mu się, że dokonuje świętego obrzędu i że dopuszcza się świętokradztwa. Zresztą nie odczuwał żadnego pożądanego wobec tej uroczej kobiety, której kształty czuł na swojej piersi. Był upojony miłością.

Kozeta ujęła jego dłoń i położyła ją sobie na sercu. Wyczuł swój list i wyjąkał:

- Więc kocha mnie pani?

Odpowiedziała głosem tak cichym, że było to już ledwo dosłyszalne tchnienie:

- Nie mów nic! Ty wiesz!

I ukryła spłonioną twarz na piersi dumnego i upojonego szczęściem młodzieńca.

Usiadł na ławce, ona przy nim. Zabrakło im słów. Gwiazdy zaczęły zapalać się na niebie. Jak to się stało, że ich usta się spotkały? Jak to się dzieje, że ptak śpiewa, że śnieg topnieje, że róża rozkwita, że maj roztacza swą krasę, że biały świt wstaje za czarnymi drzewami na drżącym szczycie wzgórz?

Pocałunek - to było wszystko.

Oboje zadrżeli i spojrzeli na siebie w ciemnościach roziskrzonymi oczyma.

Nie czuli ani chłodnej nocy, ani zimnego kamienia, ani wilgotnej ziemi, ani zroszonej trawy, patrzyli na siebie z sercem pełnym myśli. Bezwiednie wzięli się za ręce.

Kozeta nie zapytała go, nie pomyślała nawet o tym, którądy wszedł i jak się dostał do ogrodu. Wydało się jej rzeczą prostą, że był przy niej.

Od czasu do czasu kolano Mariusza dotykało kolana Kozety i przebiegało ich drzenie.

Czasem Kozeta wyjąkała jakieś słówko. Dusza drżała na jej wargach, jak kropla rosy na kwiecie.

Powoli zaczęli rozmawiać. Po milczeniu, które jest pełnią szczęścia, nadeszła chwila zwierzeń. Pogodna, wspaniała noc rozpościerała się nad ich głowami. Te dwie istoty, czyste jak duchy, opowiadały sobie wszystko: swoje sny, upojenia, zachwyty, rojenia, zwątpienia. Powiedzieli sobie oboje, jak ubóstwiali się z daleka, jak pragnęli się wzajemnie, jak rozpaczali, gdy przestali się widywać. W duchowej bliskości, której już nic powiększyć nie mogło, zwierzyli sobie wzajem wszystko, co najszybsze i najtajniejsze. Opowiedzieli sobie z ufną wiarą w swoje złudzenia wszystko, cokolwiek miłość, młodość i ta reszta dzieciństwa, która w nich jeszcze tkwiła, przywiodły im na myśl. Te dwa serca przelały się w siebie i po upływie godziny młodzieniec miał w sobie duszę dziewczyny, a dziewczyna miała w sobie duszę młodzieńca. Przeniknęli się, zachwycili, olśnili oboje.

Gdy skończyli rozmowę, gdy powiedzieli sobie wszystko, ona oparła mu głowę na ramieniu i zapytała:

- Jak panu na imię?

- Mariusz - odpowiedział. - A pani?

- Kozeta.

**Księga szósta**

**Mały Gavroche**

## I

### Złośliwa psota wiatru

Od roku 1823, podczas gdy karczma w Montfermeil grzęzła i tonęła powoli nie w przepaści bankructwa, ale w kloace drobnych długów, małżonkom Thénardier przybyło dwoje dzieci, dwóch chłopców. Mięli więc pięcioro, dwie córki i trzech synów. To było dużo.

Thénardierowa wyjątkowo szczęśliwie pozbyła się dwóch najmłodszych, gdy byli jeszcze zupełnie mali.

Pozbyła się - to właściwe określenie. Miała ona naturę kobiecą w formie cząstkowej - zjawisko niewyjątkowe zresztą. Thénardierowa, podobnie jak marszałkowa La Mothe-Houdancourt, była matką tylko dla swych córek. Jej uczucia macierzyńskie na nich się kończyły, a nienawiść do rodzaju ludzkiego zaczynała się od synów. W nich mierzyła złość jej jak grot, dla nich serce jej było nieprzystępne jak strome, ponure urwisko. Widzieliśmy już, że nie cierpiała starszego; nienawidziła obu młodszych. Dlaczego? Tak sobie. "Tak sobie" - to najstraszniejszy z powodów i odpowiedź nie podlegająca dyskusji. "Nie trzeba mi kupy bachorów!" - mówiła ta matka.

A teraz wyjaśnijmy, w jaki sposób Thénardierowie zdołali pozbyć się dwojga najmłodszych dzieci, a nawet ciągnąć z tego pewne korzyści.

Owa Magnon, o której mówiliśmy niedawno, była tą samą osobą, która potrafiła wyłudzić od starego pana Gillenormand zabezpieczenie materialne dla swoich dwojga dzieci. Mieszkała na wybrzeżu Celestins, na rogu starej uliczki Piżmowej, która zrobiła, co mogła, by zamienić na przyjemny zapach swoją nieświeżą reputację. Czytelnik pamięta zapewne straszną epidemię krupu, która trzydzieści pięć lat temu nawiedziła dzielnicę Paryża leżące nad Sekwaną i z której skorzystała nauka przeprowadzając na wielką skalę doświadczenia nad skutecznością wdychania ałunu, dziś tak pomyślnie zastąpionego przez pędzlowanie jodyną. Podczas tej epidemii Magnon straciła jednego dnia obu synów, jeszcze bardzo małych -jednego rano, drugiego wieczorem. Był to dla niej cios. Dzieci te były skarbem dla matki: reprezentowały wartość osiemdziesięciu franków miesięcznie. Te osiemdziesiąt franków bardzo punktualnie wypłacał w imieniu pana Gillenormand jego pełnomocnik pan Barge, emerytowany komornik, mieszkający przy ulicy Króla Sycylii. Ze śmiercią dzieci renta była pogrzebana. Magnon szukała na to rady. W tej ciemnej masonerii zła, do której należała,

ludzie wiedzą o sobie wszystko, dochowują tajemnicy i wspomagają się wzajemnie. Magnon potrzebowała dwojga dzieci; Thénardierowa miała dwoje; ta sama płeć, ten sam wiek. Dobre rozwiązanie dla jednej, dobra lokata dla drugiej. Tak więc synowie Thénardierów stali się synami Magnon. Magnon wyprowadziła się z bulwaru Celestins, a zamieszkała przy ulicy Clocheperce. W Paryżu tożsamość wiążąca osobę z nią samą zrywa się z chwilą przeprowadzki z jednej ulicy na drugą.

Urząd Stanu Cywilnego, nie powiadomiony o niczym, nie wdał się w tę sprawę, i podstawienie odbyło się w najprostszy w świecie sposób. Thénardier zażądał za wypożyczenie dzieci dziesięciu franków miesięcznie, które Magnon mu obiecała, a nawet płaciła. Nie trzeba dodawać, że pan Gillenormand dotrzymywał nadal swego zobowiązania. Odwiedzał chłopców co pół roku. Nie spostrzegł zmiany. "Panie - mówiła mu Magnon - jacy oni podobni do pana!"

Thénardier, który potrafił prędko zmieniać skórę, skorzystał z tej okazji, by stać się Jondrette'em. Jeśli zaś chodzi o jego dwie córki i Gavroche'a, to zaledwie mieli czas spostrzec istnienie najmłodszych braci. Na pewnym szczeblu nędzy panuje swego rodzaju upiorna obojętność i na istoty ludzkie patrzy się jak na larwy. Człowiek dla swoich najbliższych jest często tylko niewyraźną postacią cienia, ledwo mającą na mglistym tle życia i łatwo wchłanianą przez niewidzialne.

Wieczorem tego dnia, kiedy dostarczyła Magnon swoich dwóch malców z wyraźną chęcią pozbycia się ich na zawsze, Thénardierowa odczuła albo też udawała, że odczuwa pewne skrupuły. Powiedziała do męża:

- Nic innego, tylkośmy porzucili swoje dzieci.

Thénardier, autorytatywny i flegmatyczny, usunął jej wątpliwości jednym zdaniem:

- Jan Jakub Rousseau postępował jeszcze lepiej!\*

Skrupuły matki przerodziły się w obawę:

- A jak policja będzie się nas czepiać? Powiedz no, mości Thénardier, czy wolno robić to, cośmy zrobili?

Thénardier odpowiedział:

- Wszystko wolno! Sprawa czysta jak iza! A zresztą kto się będzie interesował bachorami, które nie mają złamanego grosza?

Owa Magnon była swego rodzaju elegantką w świecie występku. Stroiła się. Mieszkanie, umeblowane licho, ale pretensjonalnie, dzieliła z pewną zręczną złodziejką,

---

\* Aluzja do faktu, że J. J. Rousseau oddawał swoje dzieci do przytułku.

sfrancuziałą Angielką. Angielka ta, stawszy się obywatelką miasta Paryża, osoba godna polecenia dzięki bardzo bogatym znajomościom i pozostająca w bliskiej zażyłości z medalami z Biblioteki i diamentami panny Mars, stała się później głośna w rejestrach sądowych. Nazywano ją panną Miss.

Dwa małe podrzutki nie mogły narzekać. Za rekomendację służyło im osiemdziesiąt franków, więc obchodzono się z nimi dobrze jak z każdą rzeczą, z której ciągnie się zyski; byli nieźle ubrani, nieźle odżywieni, traktowani prawie jak “mali panicze” i lepiej się czuli u przybranej matki niż u rodzonej. Magnon pozowała na damę i nie używała przy nich złodziejskiej gwary.

Tak spędzili kilka lat. Thénardier dobrze z tego wróżył. Pewnego dnia powiedział nawet Magnon, gdy mu wypłacała miesięczną sumę dziesięciu franków:

- Trzeba będzie, żeby “ojciec” zajął się ich edukacją.

Nagle ci dwaj malcy, z którymi dotąd nawet w złej doli los obchodził się dość łaskawie, zostali brutalnie rzućeni w wir życia i zmuszeni rozpocząć je na własną rękę.

Masowe aresztowania przestępców - podobne do tego, które miało miejsce na poddaszu u Jondrette'a, i nieuchronnie pociągające za sobą dalsze dochodzenia i uwięzienia - są prawdziwą klęską dla tej ohydnej i tajemnej antyspołeczności, która żyje pod społeczeństwem jawnym. Takie wydarzenia wywołują w tym ciemnym świecie cały szereg wstrząsów. Katastrofa Thénardierów spowodowała katastrofę Magnon.

Pewnego dnia, wkrótce po przekazaniu Eponinie przez Magnon kartki w sprawie ulicy Plumet, na ulicy Clocheperce odbyła się niespodziewanie obława policyjna; Magnon i panna Miss zostały ujęte, a wraz z nimi wpadli w sieć wszyscy mieszkańcy tego podejrzanego domu. Obaj malcy bawili się wówczas na podwórzu i wcale nie spostrzegli najścia; kiedy chcieli wrócić, zastali drzwi zamknięte, a dom pusty. Szewc z naprzeciwka zawołał ich i oddał im kartkę, która “matka” zostawiła dla nich. Na kartce był adres: “Pan Barge, poborca, ulica Króla Sycylii nr 8”. Szewc powiedział im:

- Już nie będziecie tu mieszkali. Pójdziecie tam, to niedaleko, pierwsza ulica na lewo. Pytajcie o drogę z tą kartką.

Dzieci poszły; starszy prowadził młodszego, ściskając w rękę kartkę, która miała być ich przewodnikiem. Było zimno i zgrabiące paluszki chłopca słabo trzymały ową kartkę. Na zakręćcie ulicy Clocheperce podmuch wiatru wyrwał mu ją z ręki, a że noc już zapadła, dziecko nie mogło jej odnaleźć.

Zaczęli błąkać się po ulicach.



## II

### Gdzie mały Gavroche wykorzystuje Napoleona Wielkiego

Wiosną w Paryżu zdarzają się dość często ostre, przejmujące wiatry, od których człowiek wprawdzie nie zamarza, ale dotkliwie marznie. Wiatry te, które psują najpiękniejsze dni wiosenne, robią właśnie takie wrażenie jak podmuch zimnego powietrza, wdzierający się do ciepłego pokoju przez szpary w oknach lub nieszczelne drzwi. Wydaje się, że ciemna brama zimy została nie domknięta i wiatr tamtędy się wciska. Na wiosnę 1832 roku, kiedy w Europie wybuchła pierwsza w tym stuleciu wielka epidemia, wiatry te były jeszcze przykrzejsze i przenikliwsze niż zwykle. Uchyliły się wówczas bramy bardziej lodowate niż bramy zimy, bramy grobu. W tych wiatrach czuć było tchnienie cholery.

Z meteorologicznego punktu widzenia te zimne wiatry miały tę szczególną właściwość, że nie wykluczały wcale wysokiego napięcia elektryczności w powietrzu. Zdarzały się w owym czasie częste burze z błyskawicami i grzmotami.

Pewnego wieczora, kiedy podobny wichur hulał tak okropnie, jak gdyby powrócił styczeń, i każdy wciągał znów na siebie ciepłe palto, mały Gavroche, jak zawsze wesoły i dygocący w swych łachmanach, stał jakby w zachwyceniu przed sklepem jakiegoś fryzjera w okolicy Wiązu Św. Gerwazego. Był ustrojony w wełnianą niewieścią chustkę, nie wiedzieć jak zdobytą, z której zrobił sobie szalik. Mały Gavroche starał się gorąco podziwiać woskową pannę młodą w dekolowanej sukni i wianku z pomarańczowego kwiecica, która obracała się za szybą, śląc przechodniom - między dwoma kinkietami - swój uśmiech; naprawdę zaś chłopak patrzył na sklep tylko po to, by wybadać, czy nie uda mu się "zwędzić" z wystawy kawałka mydła, który by mógł później odsprzedać za jednego su fryzjerowi z przedmieścia. Nieraz już miewał śniadanie z takiego kawałka mydła. Ten rodzaj zajęcia, do którego miał niepospolite zdolności, nazywał się w jego języku: "goleniem brody golibrody".

Wpatrując się w pannę młodą i zerkając na mydło, mruzczał przez zęby:

- We wtorek. Nie, to nie we wtorek. Czy we wtorek? A może i we wtorek! Tak, we wtorek.

Nie stwierdzono nigdy, o co chodziło w tym monologu. Jeśli przypadkiem monolog odnosił się do dnia, w którym Gavroche ostatni raz jadł obiad, znaczyłoby to, że przed trzema dniami, rzecz działa się bowiem w piątek.

W sklepie, który ogrzewał suto napalony piec, fryzjer golił klienta i od czasu do czasu rzucał spojrzenie w kierunku tego wroga, tego bezczelnego, zziębniętego ulicznika, który obie ręce trzymał w kieszeniach, ale myślą najwyraźniej gdzieś myszkował.

Kiedy Gavroche tak oglądał pannę młodą, wystawę i *Windsor soaps*, dwaj chłopcy nierównego wzrostu, dość przyzwoicie ubrani i jeszcze mniejsi od niego - jeden wyglądający na siedem, a drugi na pięć lat - nacisnęli nieśmiało klamkę i weszli do sklepu, prosząc nie wiadomo o co, może o wsparcie, płaczącym szeptem, podobniejszym do jęku niż do prośby. Mówili obaj naraz i niepodobna było zrozumieć ich słów, gdyż młodszemu łkania przerywały głos, a starszy szczekał z zimna zębami. Fryzjer odwrócił się z wyrazem wściekłości na twarzy i nie wypuszczając z rąk brzytwy odepchnął starszego lewą ręką, a młodszego kolaniem, wyrzucił ich na ulicę i zamknął drzwi mówiąc:

- Tylko zimna napuszczają, nie wiadomo po co!

Malcy z płaczem poszli dalej. Tymczasem nadciągnęła chmura i zaczął padać deszcz.

Mały Gavroche pobiegł za chłopcami i zagadnął ich:

- O co chodzi, smyki?

- Nie wiemy, gdzie spać - odparł starszy.

- Tylko tyle! - rzekł Gavroche. - Wielkie rzeczy! Jest czego beczeć? A to głupty!

I w poczuciu swojej nieco zarozumiałej wyższości, przybierając ton czulej i opiekuńczej powagi, dodał:

- Chodźcie ze mną, knoty!

- Dobrze, proszę pana - odrzekł starszy. I obaj malcy poszli za nim jak za arcybiskupem. Przeszli płakać.

Gavroche prowadził ich ulicą Św. Antoniego, w kierunku Bastylii.

Idąc obejrzał się i rzucił oburzone spojrzenie na sklepik fryzjera.

- A to zimna ryba! Perukarz bez serca! - mruknął. - Angielskie ziółko!

Jakaś dziewczyna, widząc te trójkę idącą gęsiego z Gavroche'em na czele, wybuchnęła hałaśliwym śmiechem. Śmiech ten okazywał wyraźny brak uszanowania.

- Dzień dobry, panno Omnibus - powiedział jej Gavroche. Po chwili, przypomniawszy sobie fryzjera, dodał:

- Pomyliłem zwierzęta; to nie ryba, to wąż. Ej, ty, golibrodzo, pójde do ślusarza i każe ci przyprawić dzwonek do ogona!

Ten fryzjer nastroił go agresywnie. Przeskakując przez rynsztok, zawołał do brodatej stróżki, godnej witać Fausta na Brockenie<sup>\*</sup>, która szła z miotłą w ręce:

- O, widzę, że jejmość wychodzi na miasto razem ze swoim rumakiem!

Co mówiąc, opryskał błotem lakierki jakiegoś przechodnia.

- Hultaju! - wrzasnął tamten z wściekłością.

Gavroche wysunął nos z szalika.

- Łaskawy pan ma do kogoś pretensje?

- Do ciebie! - odrzekł przechodzień.

- Biuro zamknięte - odparł Gavroche. - Dziś już nie przyjmuję żadnych zażaleń.

Idąc dalej ulicą, spostrzegł we wnęce jednej z bram zziębniętą do szpiku kości kilkunastoletnią żebraczkę, ubraną tak kuso, że widać jej było kolana. Na taki strój dziewczyna była już za duża. Ale wzrost płata czasem podobne figle: spódniczka staje się zbyt krótka właśnie wtedy, gdy nagość zaczyna być nieobyczajna.

- Biedna dziewczucha! - rzekł Gavroche. - Nie ma to nawet majtek! Na, bierz!

I odwinąwszy z szyi poczciwy wełniany szalik rzucił go na chude fioletowe ramiona żebraczki, na których szalik znów stał się chustką.

Mała popatrzyła na niego ze zdziwieniem i w milczeniu przyjęła chustkę. Na pewnym szczeblu nędzy człowiek w swym odrętwieniu nie złorzeczy już złu i nie dziękuje za dobroć.

Zrobiwszy to, Gavroche wstrząsnął się: "Brrr!" - dygocąc teraz bardziej niż święty Marcin, który zostawił sobie jednak połowę płaszcza.

Na to "brr" - deszcz lunął ze zdwojoną siłą. Nielitościwe nieba karzą dobre uczynki.

- Masz tobie! - krzyknął Gavroche. - Co to ma znaczyć? Znowu leje? Mój Boże, jeśli to potrwa dłużej, skreślam abonament!

I poszedł dalej.

- Ano trudno - dodał po chwili, rzuciwszy okiem na żebraczkę, która otulała się szalem. - Ta ma przynajmniej morową okryjbidę!

I patrząc na chmurę, zawołał:

- Nie udało ci się!

Obaj malcy dreptali za nim.

Kiedy przechodzili obok tych gęsto zakratowanych okien wystawowych, które wskazują na piekarnię - chleb bowiem, jak złoto, chroniony jest przez żelazne kraty, Gavroche odwrócił się i zapytał:

---

<sup>\*</sup> Brocken - najwyższa z gór Harzu gdzie według legendy co roku w noc pierwszego maja widzimy święcą sabat; jest to noc Walpurgi, którą Goethe przedstawił w jednej ze scen "Fausta".

- No i co bębnym? Jedliśmy obiad?

- Nie, proszę pana - odparł starszy. - Nic jeszcze nie jedliśmy od samego rana.

- Nie macie więc ojca ani matki? - zapytał majestatycznie Gavroche.

- Przepraszam pana, mamy tatę i mamę, tylko nie wiemy, gdzie oni są.

- Czasami lepiej tego nie wiedzieć - odrzekł Gavroche, który był filozofem.

- Już dwie godziny - ciągnął starszy chłopiec - chodzimy i szukamy czegoś do zjedzenia po bramach, ale nic nie znaleźliśmy.

- Wiem - rzekł Gavroche. - To psy wszystko wyjadają. I po chwili milczenia dodał:

- A więc to tak! Pogubiliśmy naszych rodziców. Nie wiemy, cośmy z nimi zrobili. To nieładnie, smarkacze. Zawieruszyć starszych ludzi - tak się nie robi. Ale trudno, trzeba przegryźć coś niecoś!

Nie pytał ich o nic więcej. Nie mieć dachu nad głową - najzwyczajniejsza rzecz na świecie!

Starszy z dwóch bębnów, odzyskawszy już prawie łatwą, dziecięcą bez troskę, zawołał:

- A to heca! Mamusia mówiła, że w Palmową Niedzielę zaprowadzi nas po palmy.

- Pfi! - rzekł Gavroche.

- Nasza mama - mówił dalej starszy - to pani. Mieszka z panną Miss.

- Bajaj, bajaj! - odrzekł Gavroche.

Przystanął jednakże i kilka razy obmacywał i przetrząsał wszystkie zakamarki swoich łachmanów.

Wreszcie podniósł głowę z miną, która miała być tylko zadowolona, a była pełna triumfu.

- Spokój, knoty. Oto kolacja dla całej trójki. I wyciągnął z którejś kieszeni jednego su. Nie dając malcom czasu na wyrażenie podziwu, wepchnął ich do piekarni i położył pieniążek na ladę, wołając:

- Panie starszy, chleba za pięć centymów! Sprzedawca, którym był sam właściciel sklepu, wziął bochenek chleba i nóż.

- W trzech kawałkach, panie starszy! - rzekł znowu Gavroche i dodał z godnością: - Jest nas trzech.

A widząc, że piekarz, przyjrząwszy się trzem biesiadnikom, wziął chleb razowy, Gavroche wsadził głęboko palec do nosa, wciągnął powietrze tak potężnie, jakby na końcu tego palca miał szczyptę tabaki Fryderyka Wielkiego, i rzucił piekarzowi w twarz wykrzyknik pełen najwyższego oburzenia:

- Cuszszz to znowuszszz?

Czytelników, którzy by w tym zapytaniu Gavroche'a próbowali widzieć jakiś dziki okrzyk przesłany przez Jowów czy Botokudów z jednego brzegu rzeki na drugi poprzez rozległe puste przestrzenie, uprzedzamy, że jest to wyrażenie, którego oni - nasi czytelnicy - używają co dzień i które oznacza po prostu: "Cóż to znowu?" Piekarz zrozumiał je od razu i rzekł:

- Jak to? Chleb, bardzo smaczny chleb drugiego gatunku.

- Chce pan powiedzieć - ordynarny razowiec! - odpowiedział ze spokojem i zimną pogardą Gavroche. - Białego chleba, panie starszy. Fajnego chleba. Ja stawiam.

Piekarz nie mógł powstrzymać uśmiechu i krząc biały chleb spoglądał na chłopców z wyrazem współczucia, co dotknęło Gavroche'a.

- Ejże, panie męczybuło! Co nas pan tak mierzysz gałami? Może jeszcze sążnia pan weźmiesz?

Wszyscy trzej, postawieni jeden na drugi nie mieliby jednego sążnia.

Kiedy już chleb był pokrajany, piekarz schował pieniądze, a Gavroche powiedział dzieciom:

- Wpruwajcie.

Chłopcy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Gavroche roześmiał się.

- Ach, prawda! Toto jeszcze takie małe, że nie rozumie po ludzku.

I powtórzył:

- Jedzcie.

To mówiąc, dał każdemu kawałek chleba.

Sądząc zaś, że starszy, który mu się wydał godniejszy rozmowy, zasługuje na specjalną zachętę i że należało mu oszczędzić wszelkiego wahania przy zaspokajaniu apetytu, dodał, dając mu najgrubszą kromkę:

- Masz, włóż to do dzioba.

Jeden kawałek był niniejszy od pozostałych. Gavroche wziął go dla siebie.

Biedne dzieciaki, nie wyłączając Gavroche'a, były zgłodniałe. Pochłaniając żarłocznie chleb tarasowały ciasny sklepik i piekarz po otrzymaniu należności patrzył na nich niechętnym okiem.

- Wracajmy na ulicę - rzekł Gavroche.

Ruszyli w kierunku Bastylii.

Od czasu do czasu, kiedy mijali oświetlone wystawy sklepowe, młodszy chłopiec przystawał, aby zobaczyć godzinę na stalowym zegarku, który nosił na sznurku obwiązany wokół szyi.

- Kiełbie we łbie - mówił wtedy Gavroche. A potem w zamyśleniu mruczał przez zęby:

- Swoją drogą, gdybym ja miał dzieci, to bym ich lepiej pilnował.

Kiedy kończyli już swój chleb i dochodzili do rogu ponurej ulicy Ballets, w głębi której widnieje niska, złowroga brama więzienia La Force, ktoś zapytał:

- A, to ty, Gavroche?

- A, to ty, Montparnasse? - odpowiedział Gavroche.

Jakiś dorosły mężczyzna zaczepił chłopca, a mężczyzną tym był nikt inny, jak Montparnasse, w przebraniu i niebieskich okularach, którego jednak Gavroche poznał bez trudu:

- Cholera! - powiedział Gavroche. - Masz kapotę koloru kataplazmów z siemienia lnianego i niebieskie okulary jak jaki doktor. Jak babcię kocham - trzymasz fason!

- Pssst! - rzekł Montparnasse. - Nie tak głośno.

I szybko odciągnął Gavroche'a z kręgu światła padającego ze sklepów.

Obaj malcy machinalnie podreptali za nimi, trzymając się za ręce.

Kiedy znaleźli się pod ciemnym sklepieniem jakiejś bramy, ukryci przed spojrzeniami i deszczem, Montparnasse zapytał:

- Wiesz, gdzie idę?

- Tam gdzie się nie utonie - rzekł Gavroche.

- Widzicie go, kawalarz! - odrzekł Montparnasse i dodał: - Babet na mnie czeka.

- Ach! - zawołał Gavroche. - To ona ma na imię Babet!

Montparnasse zniżył głos:

- Nie ona. On.

- A, Babet!

- Tak, Babet.

- Myślałem, że siedzi pod kluczem.

- Już się wywinął - odrzekł Montparnasse.

I pospiesznie opowiedział chłopcu, że tegoż dnia rano Babet przewieziony do Conciergierie zdołał umknąć, skręciwszy na lewo zamiast na prawo w "korytarzu badań".

Gavroche wyraził podziw dla tej zręczności.

- Co za jubiler! - powiedział.

Montparnasse dodał parę szczegółów ucieczki Babeta i zakończył słowami:

- Ale to jeszcze nie wszystko!

Gavroche, słuchając wziął laskę, którą Montparnasse trzymał w ręce, i niechętnie pociągnął za rączkę: ukazało się ostrze sztyletu.

- O! - zawołał Gavroche wsuwając szybko sztylet z powrotem - zabrałeś ze sobą twojego żandarma przebranego po cywilnemu.

Montparnasse przymrużył oko.

- Psiakość! - rzekł znowu Gavroche. - Myślisz, że natkniesz się na szpagaty?

- Nie wiadomo - odparł Montparnasse z obojętną miną. - Nie zaszkodzi nigdy mieć przy sobie szpilkę.

Gavroche nalegał:

- Co masz zamiar robić dzisiejszej nocy?

Montparnasse uderzył znów w poważny ton i odrzekł połykając sylaby:

- Różne rzeczy.

I nagle zmieniając temat dodał:

- Aha!

- Co takiego?

- Historia z ostatnich dni. Wyobraź sobie, spotykam jakiegoś jegomościa, dostaję od niego w upominku kazanie i sakiewkę. Wkładam ją do kieszeni. W chwilę później sięgam po nią - a tu w kieszeni nie ma nic.

- Oprócz kazania - rzekł Gavroche.

- A ty - spytał Montparnasse - gdzie teraz idziesz?

Gavroche wskazał na swoich dwóch protegowanych i odrzekł:

- Idę położyć spać te dzieciaki.

- Gdzież ich położysz?

- U mnie w domu.

- To znaczy gdzie?

- U mnie w domu.

- Więc masz mieszkanie?

- Mam.

- A gdzie mieszkasz?

- W słońcu - rzekł Gavroche.

Montparnasse, choć z natury nieskłonny do zdziwienia, nie mógł powstrzymać okrzyku:

- W słoniu!

- Ano tak, w słoniu - odparł Gavroche - Cuszszszz takiego?

Znowu słowo, którego nikt nie pisze, a które każdy mówi, oznaczające po prostu: coś takiego.

Po tej filozoficznej odpowiedzi chłopca Montparnasse odzyskał spokój i rozsądek. Zdawało się, że nabrał lepszego mniemania o mieszkaniu Gavroche'a.

- Ach, rzeczywiście! W słoniu... - rzekł. - Wygodnie tam?

- Bardzo wygodnie - odpowiedział Gavroche. - Powiadam ci, klawo. Nie ma przeciągów jak pod mostem.

- A jak wchodzisz?

- Wchodzę.

- Jest jakaś dziura? - dopytywał się Montparnasse.

- No chyba! Ale nie trzeba o niej gadać. Między przednimi nogami. Kapusie jej nie wypatrzyli.

- Przez nią włączysz? Rozumiem.

- Chwytam się rękami, szast, prast, gotowe, już mnie nie ma. Po chwili milczenia dodał:

- Dla moich malców będę miał drabinę.

Montparnasse roześmiał się.

- Skąd, u diabła, wytrzasnąłeś tych smyków?

Gavroche odpowiedział z prostotą:

- Dostałem te bębny w prezencie od pewnego golibrody.

Tymczasem Montparnasse stropił się.

- Od razu mnie poznałeś - mruknął.

Wyjął coś drobnego z kieszeni - były to po prostu dwie dutki z pióra owinięte watą - i wsadził sobie w dziurki od nosa. Kształt nosa miał teraz zupełnie inny.

- To cię zmienia - rzekł Gavroche. - Nie jesteś już taki brzydki, powinieneś nosić to zawsze.

Montparnasse był przystojnym chłopcem, ale Gavroche lubił przekpinki.

- Żarty na bok - rzekł Montparnasse. - Jak teraz wyglądam?

I głos miał również inny; w jednej chwili Montparnasse zmienił się nie do poznania.

- O! Zrób Porriszynela! - zawołał Gavroche.



Na dźwięk tego słowa dwaj malcy, którzy do tej pory nie słuchali rozmowy, bardzo zajęci dłubaniem w nosie, zbliżyli się i popatrzyli na Montparnasse'a z budzącą się radością i podziwem.

Na nieszczęście Montparnasse był zatroskany. Położył Gavroche'owi rękę na ramieniu i rzekł ze znaczącym naciskiem:

- Słuchaj, co ci powiem, mój chłopcze, gdybym był na rynku z moim dogiem, digiem i dagem, to za dychę chętnie bym się wygłupiał, ale dziś nie zapusty.

Ta dziwna przemowa wywarła na uliczniku szczególne wrażenie. Odwrócił się żywo, z uwagą rozejrzał się wokoło małymi, błyszczącymi oczkami i dostrzegł w odległości paru kroków policjanta, który stał odwrócony do nich plecami. Gavroche'owi wyrwał się okrzyk: "Aha!", lecz szybko go stłumił i potrząsając ręką Montparnasse'a rzekł:

- No to dobranoc, zasuwam z bębnami do mojego słońca. Gdybyś mnie przypadkiem potrzebował której nocy, to możesz mnie tam znaleźć. Mieszkam na pierwszym piętrze. Portiera nie ma. Pytaj o pana Gavroche'a.

- Dobrze - odrzekł Montparnasse.

Po czym rozstali się; Montparnasse poszedł w stronę placu Gréve, a Gavroche w stronę Bastylii. Pięcioletni malec ciągnięty przez starszego brata, którego ciągnął Gavroche, kilka razy oglądał się, żeby spojrzeć na oddalającego się "Porriszynela".

Niezrozumiałe zdanie, którym Montparnasse ostrzegł Gavroche'a o obecności policjanta, zawierało w sobie jeden tylko znak magiczny, a mianowicie połączenia liter *d* i *g* powtórzone kilkakrotnie w różnych odmianach. Sylaba ta, nie wypowiedziana wprost, lecz artystycznie wpleciona w zdanie znaczy: "Uwaga! Nie można swobodnie mówić". Przemowa wygłoszona przez Montparnasse'a miała też swoiste piękno literackie, które uszło uwagi Gavroche'a, a mianowicie słowa *dog*, *dag* i *dig*, które w złodziejskiej gwarze z okolic Tempie oznaczają: pies, nóż i dziewczyna, były często używane przez wesołków i kuglarzy złotego wieku, kiedy to Molière pisał, a Callot rysował.

Na południowo-wschodnim rogu Bastylii, koło wlotu kanału wykopanego w dawnej fosie tego więzienia-fortecy, istniał jeszcze dwadzieścia lat temu dziwaczny pomnik, który zatarł się już w pamięci mieszkańców Paryża, a wart był tego, by się w niej utrwalić, jako pomysł "członka Instytutu, generała głównodowodzącego Armii Egipskiej".

Powiadamy pomnik, choć była to tylko makieta. Ale ta makieta, wspaniały szkic, dostojny strzęp myśli Napoleońskiej, którą kilka następujących po sobie porywów wiatru unosiło i rzucało za każdym razem coraz dalej od nas, stała się historyczna i nabrała cech jakiejś trwałości kontrastującej z jej prowizorycznym wyglądem. Był to słoń wysokości

czterdziestu stóp, zbudowany z wapna i desek i dźwigający na grzbiecie podobną do domu wieżę; niegdyś jakiś pacykarz pomalował go na zielono; teraz słońce, słoty i czas nadały mu barwę czarną. Na pustym i odsłoniętym krańcu placu szerokie czoło tego kolosa, jego trąba, kły, wieża, potężny zad, nogi podobne do czterech kolumn odcinały się w nocy na tle gwiaździstego nieba tworząc sylwetkę zdumiewającą i straszną. Nie wiadomo było, co ma oznaczać. Stanowił pewnego rodzaju symbol siły ludu. Było to ciemne, zagadkowe i wielkie, była to jakaś zjawia potężna i widzialna, stojąca obok niewidzialnego widma Bastylli.

Niewielu cudzoziemców odwiedzało ten pomnik, żaden przechodzień na niego nie patrzył; niszczał powoli, z każdą zmianą pory roku tynk odpadał mu z boków kawałami, tworząc szkaradne rany. Od roku 1814 "edylowie"\* - jak to się mówi w wytwornym stylu - zapomnieli o nim. Stał w swoim kącie ponury, chory, rozsypujący się w gruzy, otoczony butwiejącym ogrodzeniem, które ustawicznie zanieczyszczali pijani woźnice. Brzuch miał cały porysowany szczelinami, jakaś deska sterczała mu z ogona, między nogami wyrosły wysokie zielska, ponieważ zaś przez trzydzieści lat poziom otaczającego placu podniósł się w powolnym, lecz nieustającym procesie, który niedostrzegalnie dźwiga w górę grunt wielkich miast, słoń stał w dole i zdawało się, że ziemia się pod nim zapadła. Był brudny, wzgardzony, odpychający i wspaniały, brzydki w oczach mieszczucha, pełen melancholii w oczach filozofa. Miał w sobie coś ze śmiecia przeznaczonego na wyrzucenie i coś z króla idącego na szafot.

Jak już wspomnieliśmy, nocą jego wygląd zmieniał się. Noc to właściwe tło dla wszystkiego, co jest cieniem. Z zapadnięciem zmroku stary słoń przeobrażał się całkowicie, stał cichy i groźny wśród niewzruszonego spokoju ciemności. Należąc do przeszłości, należał do nocy i mrok harmonizował z jego wielkością.

Ten pomnik surowy, przysadzisty, ciężki, chropawy i ponury, prawie niekształtny, a przecież niewątpliwie dostojny i pełen jakiejś wspaniałej i dzikiej powagi znikł, aby spokojnie mógł się panoszyć na placu rodzaj olbrzymiego pieca ozdobionego rurą od komina, który zajął miejsce posępnej fortecy o dziewięciu wieżach, mniej więcej tak jak burżuazja zajęła miejsce feudalizmu. Rzecz jasna, że właśnie piec stał się symbolem epoki, której potęga mieści się w kotle. Epoka ta minie; już mija; ludzie zaczynają rozumieć, że jeśli nawet w kotle może się gnieździć siła, to jednak potęga gnieździ się tylko w rozumie; innymi słowy, nie lokomotywy prowadzą i kierują światem, lecz idee. Zaprzęgnijcie lokomotywy do rydwanu idei - zgoda, ale nie bierzcie konia za jeźdźca.

---

\* Członkowie Rady Miejskiej Paryża w czasach republiki.

A więc - wracając do placu Bastylli - twórca słonia potrafił zrobić z gipsu rzecz wielką; budowniczy komina zdołał zrobić z brązu rzecz niegodną uwagi.

Rura od pieca, ochrzczona dźwięcznym imieniem Kolumny Lipcowej, ten nieudany pomnik poronionej rewolucji był w roku 1832 jeszcze okryty olbrzymią szatą rusztowań, której naszym zdaniem wielka szkoda, i otoczony szerokim ogrodzeniem z desek, które dopełniało odgradzenia słonia od reszty świata.

Do tego zakątka placu, ledwo oświetlonego blaskiem dalekiej latarni, Gavroche zaprowadził swoich dwóch "bębnów".

Niech nam będzie wolno przerwać tu i przypomnieć, że pozostajemy w całkowitej zgodzie z rzeczywistością i że dwadzieścia lat temu sąd karny rozpatrywał sprawę o włóczęgostwo i niszczenie pomników publicznych, wytoczoną przeciwko dziecku, które złapano śpiące w tymże wnętrzu słonia z placu Bastylli.

Przypomniawszy o tym fakcie, idziemy dalej.

Doszedłszy do olbrzyma, Gavroche, rozumiejąc, jakie wrażenie może wywołać to, co nieskończenie wielkie, na tym, co nieskończenie małe, rzekł:

- Nie bać się, smyki!

Po czym wszedł przez dziurę w ogrodzeniu, otaczającym słonia, i pomógł malcom przedostać się przez nią. Dzieci, trochę wystraszone, szły za Gavroche'em bez słowa, zdając się z ufnością na tę małą opatrność w łachmanach, która dała im chleba i obiecała schronienie.

Wzdłuż ogrodzenia leżała drabina, która w dzień służyła robotnikom z sąsiedniej budowy. Gavroche podniósł ją z zadziwiającą siłą i oparł o jedną z przednich nóg słonia. Tam gdzie kończyła się drabina, widać było w brzuchu kolosa rodzaj czarnego otworu.

Gavroche wskazał swoim gościom drabinę i otwór, po czym rzekł:

- Jazda do góry, włazcie!

Malcy, przerażeni, spojrzeli na siebie.

- Boicie się, smyki! - zawołał Gavroche. I dodał: - Zaraz zobaczycie.

Objął chropowatą nogę słonia i w mgnieniu oka, nie racząc posłużyć się drabiną, był już przy otworze. Wśliznął się tam, jak wąż w skalną rozpadlinę, i znikł, a po chwili malcy zobaczyli błądy zarys jego głowy, majaczący białawą plamą u wylotu otworu pełnego ciemności.

- No, włazić, smarkacze! - zawołał. - Zobaczycie, jak tu dobrze! Właz ty! - zwrócił się do starszego. - Podam ci rękę.

Malcy tręcili się łokciami; ulicznik przerażał ich, a zarazem dodawał im ducha, a przy tym deszcz nie ustawał. Starszy z malców zdobył się na odwagę; młodszy, widząc, że brat wchodzi po drabinie, a on zostaje sam między nogami tej wielkiej bestii, miał wielką ochotę rozplakać się, ale nie śmiał.

Starszy wspinał się niepewnie po szczeblach drabiny, a Gavroche dodawał mu otuchy okrzykami, jakimi fecht mistrz zwraca się do swoich uczniów albo mulnik do swoich mułów.

- Nie bój się! - Dobra! - Dalej! - Postaw tu nogę! - Złap się tego! - Śmiało!

A kiedy już mógł go dosięgnąć, chwycił go szybko i mocno za ramię i przyciągnął do siebie.

- Zrobione!

Malec wlaźł przez otwór do środka.

- Teraz - rzekł Gavroche - poczekaj na mnie. Zechce pan łaskawie usiąść.

I wydstawszy się ze szczeliny w ten sam sposób, w jaki się do niej dostał, ześliznął się z małpią zręcznością po nodze słonia, spadł na równe nogi w trawę, chwycił w pół pięcioletniego malca, postawił go na samym środku drabiny i zaczął wchodzić za nim, wołając do starszego chłopca:

- Ja go będę pchał, a ty ciągnij!

W jednej chwili, zanim się zdążył opamiętać, malec został podniesiony, podsadzony, wepchnięty, wciągnięty i wpakowany do otworu. Gavroche wszedł za nim, odtrącił nogą drabinę, która upadła na trawę, i zaczął klaskać w dłonie i krzyczeć:

- Jesteśmy na miejscu! Niech żyje generał Lafayette!

Po tym wybuchu radości dodał:

- No, pędraki, jesteście u mnie.

Rzeczywiście, Gavroche był u siebie.

O niespodziewana użyteczności rzeczy nieużytecznych! O miłosierdzie rzeczy wielkich! Dobroci olbrzymów! Ten ogromny pomnik, niegdyś kryjący w sobie myśl cesarza, stał się mieszkaniem ulicznika. Kolos przyjął i przygarnął malca. Odświętnie wystrojeni mieszkańcy, przechodząc koło słonia na placu Bastylli i mierząc go pogardliwym spojrzeniem wylupiastych oczu, mawiali: "Na co to komu potrzebne?" To było potrzebne, aby małą istotę bez ojca i matki, bez chleba, bez odzienia, bez dachu ochronić od zimna, szronu, gradu i śloty, osłonić od wiatrów zimowych, ustrzec przed spaniem w błocie, które sprowadza gorączkę, i przed spaniem w śniegu, które powoduje śmierć. To było potrzebne, aby przytulić niewinne stworzenie, odtrącone przez społeczeństwo. To było potrzebne, by zmniejszyć ogrom winy społecznej. Była to kryjówka otwarta dla tego, przed którym

wszystkie drzwi zostały zamknięte. Zdawało się, że stary wynędzniały olbrzym, stoczony przez robactwo i zapomnienie, pokryty naroślami, pleśnią i wrzodami, chwiejący się, spróchniały, opuszczony, potępiony, olbrzymi żebrak, na próżno błagający na publicznym placu o jałmużnę przychylnego spojrzenia, zlitował się nad tym innym żebrakiem - biednym Pigmejem odzianym w łachmany, który błąkał się bez butów, bez dachu nad głową, chuchając w ręce, żywiąc się tym, co inni wyrzucają. Oto na co był potrzebny słoń z placu Bastylli. Myśl Napoleona, wzgardzona przez ludzi, została podjęta przez Boga. To, co było tylko świetne, stało się dostojne. Do urzeczywistnienia tego, co zamierzał, trzeba było cesarzowi porfiru, spiżu, żelaza, złota i marmuru; Bogu wystarczyło zniszczone powiązanie belek, desek i wapna. Cesarz miał genialną wizję: w postaci tego tytanicznego słońca, zbrojnego, niezwykłego, z podniesioną w górę trąbą, z wieżą na grzbiecie, z którego wytryskiwały wokoło wesołe i ożywcze strumienie wody, widział wcielenie ludu. Bóg zrobił z tego rzecz większą - schronienie dla dziecka.

Otwór, przez który wszedł Gavroche, był szparą ledwo widoczną z zewnątrz, bo ukrytą - jak już wspominaliśmy - pod brzuchem słońca i tak wąską, że tylko koty i dzieci mogły się przez nią prześliznąć.

- Naprzód - rzekł Gavroche - musimy zapowiedzieć portierowi, że nie ma nas w domu.

I dawszy śmiało nurka w ciemności, jak ktoś, kto zna na pamięć swoje mieszkanie, wziął deskę i zastawił nią otwór.

Znowu zanurzył się w ciemnościach. Dzieci usłyszały syczenie zapalniczki włożonej do butelki fosforycznej. Zapalniczek chemicznych jeszcze wówczas nie znano. Krzesiwo "Fumade" było ostatnim wyrazem postępu.

Malcy, oślepieni nagłym światłem, zmrużyli oczy. Gavroche zapalił właśnie kawałek przesiąkniętego żywicą knota, zwanego "stoczkiem piwnicznym". Ten stoczek, który bardziej kopcił, niż świecił, ukazał w mglistych zarysach wnętrze słońca. Obaj goście Gavroche'a rozejrzeli się dokoła i doznali uczucia, jakiego doznałby ktoś zamknięty w wielkiej beczce Heidelberskiej lub raczej, jakiego musiał doznać Jonasz w brzuchu biblijnego wieloryba. Oczom ich ukazał się otaczający ich wkoło olbrzymi szkielet. W górze długa brunatna belka, z której w pewnych odległościach od siebie rozchodziły się mocne, sklezione wiązania, wyobrażała kręgosłup i żebra; stalaktyty wapna zwieszały się jak jelita, a wielkie rozpięte między żebrami pajęczyny tworzyły zakurzone przepony. Tu i ówdzie po kątach widać było wielkie, czarniawe plamy - wydawały się żywe i przebiegały szybko z miejsca na miejsce gwałtownym, bojaźliwym ruchem.

Odłamki gruzu, spadłe z grzbietu słonia na jego brzuch, wypełniły zagłębienie tak, że można było po nim chodzić jak po podłodze.

Młodszy chłopiec przytulił się do brata i rzekł półgłosem:

- Ciemno!

Słowo to wywołało wybuch gniewu Gavroche'a. Osłupiałe miny obu malców stwarzały konieczność zastosowania gwałtownych środków.

- Co mi tu chrzaniecie! - zawołał. - Kpiny jakieś? Grymasy? Tuilerii wam się zachciewa? Upadliście na łeb czy co? Uprzedzam, żem dobry, pókim dobry! Paniczyki z morskiej pianki jesteście, czy co u licha?

Besztanie - to nieraz dobre lekarstwo na strach. Uspokaja. Malcy przysunęli się do Gavroche'a.

Gavroche, ojcowsko rozczulony tym dowodem zaufania, przeszedł "od powagi do łagodności" i zwracając się do młodszego:

- Głuptasie! - powiedział, łagodząc zniewagę pieszczotliwym brzmieniem głosu. - To na dworze jest ciemno. Na dworze pada, a tu nie; tam zimno, a tu ani krzty wiatru; tam jest tłum ludzi, a tu nie ma nikogo; tam nawet księżyc nie świeci, a tu jest moja świeczka, do stu tysięcy diabłów!

Dzieci zaczęły się rozglądać po apartamentach z mniejszym strachem, ale Gavroche nie zostawił im wiele czasu na rozmyślania.

- Dalej! - powiedział.

I popchnął ich - jesteśmy szczęśliwi, że możemy to tak nazwać - w głąb swego pokoju.

Stało tam jego łóżko.

Łóżku Gavroche'a niczego nie brakowało, to znaczy, miało ono materac, koc i alkowę z firankami.

Materac zastępowała mata słomiana, koc - dość duża płachta z grubej szarej wełny, bardzo ciepła i prawie nowa. A oto, jak wyglądała alkowa:

Trzy dość długie tyczki mocno wbite w warstwę gruzu pokrywającą podłogę, to jest brzuch słonia, dwie z przodu i jedna z tyłu, związane u góry sznurem, tworzyły kozły w kształcie piramidy. Rusztowanie to podtrzymywało mosiężną siatkę, po prostu narzuconą na nie, lecz artystycznie rozmieszczoną i przymocowaną żelaznym drutem, tak że szczelnie okrywała wszystkie trzy tyczki. Od dołu siatkę przyciskał do ziemi szereg dużych kamieni tak ułożonych, że nic nie mogło się przedostać do wnętrza. Siatka ta była po prostu kawałkiem miedzianej kraty, służącej w menażeriach do pokrywania pomieszczeń na ptaki. Łóżko

Ga-vroche'a umieszczone było pod nią jak w klatce. Wszystko razem przypominało namiot Eskimosa. Ta właśnie siatka zastępowała firankę. Gavroche odsunął nieco kamienie przyciskające siatkę od przodu, tak że zachodzące na siebie jej dwa brzegi rozchyliły się.

- Na czworaki, smyki! - zawołał.

Ostrożnie wpuścił swych gości do środka, po czym wczołgał się sam za nimi, przysunął kamienie i zamknął szczelnie szparę.

Trzej chłopcy wyciągnęli się na macie. Choć byli bardzo mali, żaden z nich nie mógłby stanąć w alkwie. Gavroche wciąż trzymał w ręku stoczek.

- A teraz spać - rzekł. - Gaszę kandelabr.

- Proszę pana - zapytał starszy z braci, pokazując na kratę. - Co to takiego?

- To od szczurów - odrzekł z powagą Gavroche. - Spać!

Poczuł wszakże, że winien jest tym niedowarzonemu młodzikom parę słów wyjaśnienia, więc dodał:

- Ten cały kram jest z Ogrodu Zoologicznego. To dla dzikich zwierząt. Mają tam tego do diabła i trochę. Trza tylko wdrapać się na mur, przeleźć przez okno i przecisnąć się pod bramą. Jest tego, ile dusza zapagnie.

Mówiąc to, otulał brzegiem kołdry najmłodszego malca, który szeptał:

- O, jak mi dobrze! Jak ciepło!

Gavroche spojrział zadowolonym wzrokiem na koc.

- To też z Ogrodu Zoologicznego. Zabrałem go małpom.

I pokazując starszemu matę, na której leżał, matę bardzo grubą i pięknie plecioną, dodał:

- A to było u żyrafy.

Po chwili zaś dodał:

- Wszystko to miały zwierzęta. Zabrałem im. Nie rozgniewały się. Powiedziałem im: "To dla słońca".

Po chwili milczenia dodał:

- Człowiek przełazi przez mur i gwizdże sobie na rząd. I tyle.

Dwaj malcy patrzyli z trwożnym i zdumionym szacunkiem na to stworzenie zmyślne i nieustraszone, bezdomne jak oni, samotne jak oni, słabe jak oni, które było nędzne, a zarazem wszechmocne, wydawało się im istotą nadprzyrodzoną i łączyło w twarzy wszystkie grymasy starego cyrkowca z najbardziej naiwnym i najbardziej uroczym z uśmiechów.

- Proszę pana - rzekł nieśmiało starszy - a nie boi się pan policjantów?

Gavroche ograniczył się do odpowiedzi:

- Bąku, nie mówi się policjantów, mówi się "salcesonów".

Młodszy miał oczy szeroko otwarte, ale nic nie mówił. Ponieważ leżał na brzegu maty, starszy bowiem był pośrodku, Gavroche macierzyńskim ruchem otulił go kocem, uniósł mu nieco matę pod głowę, wpychając pod spód stare gałgany, by dziecko miało w ten sposób poduszkę. Po czym zwrócił się do starszego:

- He? Morowo tu, co?

- O tak! - odpowiedział tamten, patrząc na Gavroche'a z miną wybawionego anioła.

Biedne, przemoczone do nitki dzieci zaczynały się rozgrzewać.

- No więc - ciągnął dalej Gavroche - po co było beczeć?

Tu pokazał na młodszego:

- Nie dziwię się temu szkrabowi, ale to głupio, żeby taki duży chłopak się mazgał, wygląda wtedy człowiek jak cielę.

- Mój Boże - odrzekło dziecko. - Nie mamy już domu, nie wiedzieliśmy, gdzie się podziąć.

- Te, smyku - wtrącił Gavroche. - Nie mówi się dom, mówi się "chałupa".

- No i baliśmy się zostać sami w nocy,

- Nie mówi się "noc", mówi się "kimka".

- Dziękuję panu! - odpowiedział chłopczyk.

- Słuchaj! - podjął Gavroche. - Nigdy nie trzeba biadolić i lamentować o byle co. Ja się wami zaopiekuję. Zobaczysz, jak się będziemy bawić! Latem pójdziemy do Glacière razem z Dudkiem, moim kolegą, będziemy się kąpać koło przystani i biegać na nagusa po tratwach koło mostu Austerlitzkiego; praczki się o to wściekają. Drań się, pieklą, nie masz pojęcia, jakie to śmieszne! Pójdziemy obejrzeć człowieka-szkielec na Polach Elizejskich. Jest żywy. A chudy gość, powiadam wam, skóra i kości. A potem zaprowadzę was do teatru; zobaczcie Fryderyka Lemaitre. Mam bilety, znam aktorów, raz nawet grałem w jednej sztuce. Była nas cała banda, ot, takich smyków, biegaliśmy pod płótnem i to miało być morze. Już ja to zrobię, że zaangażują was w moim teatrze. Pójdziemy też zobaczyć dzikich ludzi. Ale to tacy dzicy na niby. Noszą różowe trykoty, które się marszczą, a na łokciach widać cery z białej wełny. A potem pójdziemy do Opery. Wejdziemy tam razem z klakierami. W Operze jest doskonała klaka. Ale nie poszedłbym z klaką do bulwarowych teatrzyków. Wyobraź sobie, że w Operze są tacy głupcy, co płacą klakierom po dwadzieścia su. Nazywają ich ścierkami. Pójdziemy także zobaczyć, jak ścinają głowy na gilotynie. Pokażę wam kata. Mieszka na ulicy Bagno i nazywa się pan Sanson. Ma przy drzwiach skrzynkę na listy. Ach, powiadam wam, zabawa na całego!



W tym momencie kropla wosku spadła mu na palce i przywołała do rzeczywistości.

- Do licha! - rzekł. - Knotek się kończy. Ostrożnie! Nie mogę wydawać na oświetlenie więcej niż jednego su miesięcznie. Jak się człowiek kładzie do łóżka, trzeba spać. Nie mamy czasu na czytanie romansów pana Pawła de Kock. A i światło mogłoby się przedostać przez szczeliny w bramie - salcesonom więcej nie trzeba.

- A przy tym - nieśmiało wtrącił starszy, gdyż tylko on miał odwagę odzywać się do Gavroche'a i odpowiadać mu - węgielek z knota mógłby upaść na słomę. Trzeba uważać, żeby nie podpalić domu.

- Nie mówi się "podpalić domu" - rzekł Gavroche. - Mówi się "sfajczyć chałupę".

Burza rozpętała się na dobre. Poprzez huki piorunów słychać było, jak ulewa siecze grzbiet kolosa.

- Teraz deszcz może się kazać wypchać - rzekł Gavroche. - Lubię słuchać, jak leje się z tego wiadra po nogach mojego domu. Głupia zima! Marnuje swój towar, marnuje swoją robotę; nie może nas zmoczyć i dlatego ten stary nosiwoda tak warczy!

Po tej aluzji do pioruna, której wszelkie konsekwencje Gavroche, jako filozof dziewiętnastego wieku, gotów był wziąć na siebie, błyskawica tak oślepiająca rozdarła mrok, że blask jej przedostał się przez szczelinę w brzuchu słońca. Prawie równocześnie rozległ się ogłuszający huk piorunu. Obaj malcy krzyknęli i poderwali się tak gwałtownie, że omal nie rozsunęli siatki, ale Gavroche zwrócił ku nim swoją zuchowatą twarz i na uderzenie piorunu odpowiedział wybuchem śmiechu.

- Spokój, bachory. Nie rozwalajmy budynku. Piękny piorun, ani słowa! Błyskawica też nie byle jaka. Brawo Pan Bóg! Do krośset! Udało się wcale nie gorzej niż w teatrze "Ambigu".

Powiedziawszy to, doprowadził siatkę do porządku, łagodnie pchnął dzieci na posłanie, przycisnął im kolana, żeby się dobrze wyciągnęły, i zawołał:

- Jak Bozia zapala swoją świeczkę, to ja mogę zgasić swoją. No, młodzież, trzeba spać. Nie wysypiać się, to bardzo niezdrowo. Od tego zalatuje człowiekowi z sieni, albo, jak mówią w eleganckim świecie, śmierdzi z gęby. Opatulcie się dobrze pierzyną, bo gaszę światło. No, już?

- Już - szepnął starszy - tak mi dobrze. Jakbym miał puchową poduszkę pod głową.

- Nie mówi się głowa - krzyknął Gavroche. - Mówi się "czerep".

Malcy przytulili się do siebie. Gavroche ułożył ich wygodniej, naciągnął im koc aż na uszy i po raz trzeci powtórzył rozkaz w swoim dostojnym języku:

- Kimajcie!

Po czym zdmuchnął ogarek.

Zaledwie światło zgasło, dziwne drzenie zaczęło wstrząsać siatką, pod którą leżeli trzej chłopcy. Były to nieustające odgłosy głuchego skrobania, połączone z metalicznym dźwiękiem, jak gdyby jakieś pazury i zęby zgrzytały po miedzianym drucie. Towarzyszyły temu najróżniejsze cienkie piski.

Słyszając ten hałas nad swoją głową pięcioletni malec zlodowaciał ze strachu i trącił łokciem brata, ale tamten "kimał" już zgodnie z rozkazem Gavroche'a. Wówczas, nie mogąc opanować przerażenia, dziecko odważyło się zainterpelować Gavroche'a, jak mogło najciszej, wstrzymując oddech:

- Proszę pana...

- Hę? - zapytał Gavroche, który ledwo zamknął oczy.

- Co to takiego?

- To szczury - odpowiedział Gavroche.

I znów przytulił głowę do maty.

Istotnie, w kadłubie słońca roilo się wprost od szczurów, one to tworzyły owe czarne, ruchliwe plamy, o których wspominaliśmy. Dopóki świeczka paliła się, szczury czuły respekt przed światłem, lecz gdy tylko ta pieczara, będąca jak gdyby ich królestwem, została na powrót oddana we władanie ciemności, zwietrzyły "świeże mięso" - jak mawiał zacny Perrault - i rzuciły się tłumnie na namiot Gavroche'a; wdrapywały się na sam jego szczyt i gryzły oczka drucianej siatki, starając się przebić tę swego rodzaju kolczugę.

Wszelako malec wciąż nie mógł usnąć.

- Proszę pana... - szepnął znowu.

- Hę? - rzekł Gavroche.

- A co to takiego szczury?

- To takie myszy.

To objaśnienie uspokoiło nieco chłopca. Widział już raz w życiu białe myszki i nie bał ich się wcale. Jednakże odezwał się jeszcze raz:

- Proszę pana...

- Hę? - rzekł Gavroche.

- Dlaczego pan nie ma kota?

- Miałem - odpowiedział Gavroche. - Przyniosłem go tutaj, ale mi go zjadły.

To nowe wyjaśnienie popsuło efekt pierwszego i malec znów zaczął drżeć ze strachu. Po raz czwarty nawiązał się dialog między nim a Gavroche'em:

- Proszę pana...

- He?
- Kogo one zjadły?
- Kota.
- Kto zjadł kota?
- Szczury.
- Te myszy?
- Tak, szczury.

Dziecko przerażone tymi myszami, które zjadają koty, pytało dalej:

- Proszę pana, czy te myszy i nas by zjadły?
- Jeszcze jak! - odrzekł Gavroche.

Przestрах dziecka doszedł do szczytu, lecz Gavroche dodał:

- Nic się nie bój, tu nie wliżą. A zresztą, ja tu jestem. Weź mnie za rękę. Cicho bądź i kimaj!

Gavroche wyciągnął rękę do malca ponad starszym chłopcem. Dziecko przycisnęło dłoń jego do siebie i poczuło się trochę pewniej. Odwaga i siła udzielają się w jakiś tajemniczy sposób. Dookoła znów zapadła cisza, bo rozmowa przestraszyła i spłoszyła szczury. I choć wróciły po paru minutach i urządziły w najlepsze swoje harce, trzech chłopcy, pogrążeni we śnie, nic już nie słyszeli.

Upływały godziny nocy. Cień zasłał olbrzymi plac Bastylli, od czasu do czasu zrywał się lodowaty wiatr zmieszany z deszczem; patrole, które przeszukiwały bramy, wejścia, zakamarki i ciemne kąty, tropiąc nocnych włóczęgów, przechodziły w milczeniu koło słonia; potwór stojący nieruchomo, wpatrzony otwartymi oczami w ciemność, zdawał się śnić, jakby zadowolony ze spełnienia dobrego uczynku, i chronił przed niebem i ludźmi troje biednych dzieci, pogrążonych w głębokim śnie.

Aby zrozumieć dalszy ciąg opowiadania, należy pamiętać, że w owym czasie odwach więzienia Bastylli mieścił się po drugiej stronie placu, tak że warta nie mogła zauważyć i usłyszeć tego, co działo się w pobliżu słonia.

Mniej więcej na godzinę przed świtem jakiś człowiek wybiegł z ulicy Św. Antoniego, przebiegł przez plac, okrążył rozległe ogrodzenie wokół Kolumny Lipcowej i prześliznął się przez parkan aż pod brzuch słonia. Gdyby jakieś światło padło na tego człowieka, łatwo można byłoby odgadnąć, że całą noc spędził na deszczu, był bowiem przemoczony do suchej nitki. Stanąwszy pod słoniem, wydał dziwaczny okrzyk, nie należący do żadnego ludzkiego języka, który tylko papuga mogłaby powtórzyć. Powtórzył dwukrotnie ten okrzyk, o którym słabe tylko wyobrażenie może dać następująca pisownia:

- Kirikikiu!

Na drugie zawołanie dźwięczny, wesoły i młody głos odpowiedział z głębi słonia:

- Jestem!

I prawie natychmiast odsunęła się deska zamykająca otwór, dając przejście dziecku, które zsunęło się po nodze słonia i zwinnie zeskoczyło na ziemię obok owego człowieka. Był to Gavroche; a dorosłym mężczyzną był Montparnasse.

Ów okrzyk "Kirikikiu" oznaczał bez wątpienia to samo, co chłopiec określił słowami: "Zapytaj o pana Gavroche".

Usłyszawszy go, Gavroche obudził się od razu, wysliznął się z "alkowy", rozchylając nieco siatkę drucianą, którą potem starannie zasunął za sobą, odsłonił otwór i zszedł na dół.

Mężczyzna i chłopiec bez słowa rozpoznali się w ciemnościach. Montparnasse powiedział tylko:

- Potrzebujemy ciebie. Chodź nam pomóc.

Ulicznikowi nie trzeba było innego wyjaśnienia.

- Dobra! - rzekł.

I obaj poszli w kierunku ulicy Św. Antoniego, z której Montparnasse wyszedł lawirując zręcznie między długim sznurem wózków z warzywami, które o tej porze jadą w kierunku Hal.

Ogrodnicy siedzący na wózkach wśród stosów warzyw i sałaty, na wpół drzemiąc, zawinięci po czubek nosa w płachty, bo lał rzęsy deszcz, nie spojrzeli nawet na tych dziwnych przechodniów.

### III

#### **Perypetie uciezki**

A oto, co działo się tej samej nocy w więzieniu La Force: Babet, Brujon, Gueulemer i Thénardier, choć ten ostatni siedział w osobnej celi, uknuli ucieczkę. Jak wiemy z tego, co Montparnasse opowiedział Gavroche'owi, Babet tegoż właśnie dnia czmychnął już na własną rękę.

Montparnasse miał pomagać więźniom z zewnątrz. Brujon, spędziwszy miesiąc w karcerze, miał czas, po pierwsze, spleść sznur, a po wtóre, obmyślić dokładnie plan działania. Niegdyś to ponure miejsce, w którym dyscyplina więzienna pozostawia skazańców samym sobie, składało się z czterech kamiennych ścian, kamiennego sufitu, podłogi z płyt kamiennych, pryczy, zakratowanego okienka, żelaznych drzwi i zwało się “ciemnicą”. Uznano jednak, że słowo “ciemnica” brzmi zbyt groźnie; dziś zwie się to karcerem, a składa się z żelaznych drzwi, zakratowanego okienka, pryczy, podłogi z kamiennych płyt, kamiennego sufitu i czterech kamiennych ścian. Około południa dochodzi tam trochę światła. Niedogodność tych pomieszczeń, które, jak widzimy, nie są już ciemnicą, polega na tym, że pozwalają na rozmyślania istotom, które należałoby zająć jakąś pracą.

Brujon więc miał czas na rozmyślania i dlatego wyszedł z karceru z uplecionym sznurem. A że na podwórzu Karola Wielkiego cieszył się opinią bardzo niebezpiecznego osobnika, przeniesiono go do Nowego Budynku. Tam z początku znalazł Gueulemera, a następnie gwóźdź: Gueulemera - czyli zbrodnię, i gwóźdź - czyli wolność.

Czas już dać dokładne wyobrażenie o Brujonie: mimo delikatnej budowy i głęboko wystudiowanej obojętności - był to układny, inteligentny i chwacki rzezimieszek o pieszczotliwym spojrzeniu i okrutnym uśmiechu. Spojrzenie było wyrazem woli, a uśmiech - wyrazem natury. Pierwsze studia w zakresie swej sztuki poświęcił Brujon dachom; doszedł do znakomych rezultatów w fachu polegającym na zrywaniu ołowianych płyt z dachów; proceder ten, niszczący dachy i zrywający rynny, ulepszył metodą, która nosi nazwę “wypruwania flaków”.

Chwila do uciezki była tym bardziej stosowna, że właśnie dekarze naprawiali i pokrywali na nowo część dachów więzienia. Podwórze Św. Bernarda nie było wskutek tego

całkowicie odcięte od podwórza Karola Wielkiego i Św. Ludwika: na dachach stały rusztowania i drabiny, czyli - innymi słowy - mosty i schody wiodące na swobodę.

Newralgicznym punktem więzienia był Nowy Budynek, najbardziej waląca się i odrapana rudera, jaką można sobie wyobrazić. Mury jej były do tego stopnia zżarte saletrą, że musiano w sypialniach poobijać deskami sklepienia. Mimo to w tej ruinie nierozważnie umieszczano najniebezpieczniejszych oskarżonych i "grube sprawy" - jak się to mówi w więziennym języku.

W Nowym Budynku mieściły się cztery sale sypialne, położone jedna nad drugą, i poddasze, zwane Letniskiem. Szeroki przewód kominowy - prawdopodobnie pozostałość po dawnej kuchni książąt La Force - zaczynał się na parterze, przechodził przez wszystkie cztery piętra, przedzierał na dwoje sypialnie, tworząc w nich coś na kształt spłaszczonej kolumny, i kończył się na dachu.

Gueulemer i Brujon znaleźli się w tej samej sypialni. Przez ostrożność umieszczono ich na najniższym piętrze. Przypadek zrządził, że wezgłowia ich łóżek dotykały owego komina.

Thénardier, znajdował się dokładnie nad nimi na poddaszu, zwanym Letniskiem.

Przechodzeń, który minie koszary straży ogniowej i przystanie na ulicy Ogrodowej Św. Katarzyny przed bramą do łaźni, widzi podwórze pełne kwiatów i krzewów w skrzynkach; w głębi wznosi się niewielka biała rotunda z dwoma skrzydłami muru, ozdobiona wesołymi zielonymi okiennicami, sielankowe marzenie Jana Jakuba. Nie więcej jak dziesięć lat temu ponad tą rotundą wyrastał czarny mur, wysoki, ohydny i nagi, do którego ona przylegała. Był to mur dookolny więzienia La Force.

Ten czarny mur wznoszący się za białą rotundą wyglądał jak Milton widziany za Berquinem.

Mimo że mur był wysoki, górował nad nim dach jeszcze czarniejszy od niego. Był to dach Nowego Budynku. Widać w nim było cztery zakratowane mansardowe okienka - okna Letniska. Na dachu wznosił się komin - był to komin, który przechodził przez sypialnie.

Letnisko, poddasze Nowego Budynku, było rodzajem wielkiej hali z mansardowym sufitem, zamkniętej potrójną kratą i drzwiami okutymi blachą nabijaną olbrzymimi ćwiekami. Wchodząc do niej od strony północnej, po lewej ręce miało się cztery okienka, a po prawej, na wprost okienek, cztery dość duże czworokątne klatki, oddzielone od siebie wąskimi korytarzami; ściany owych klatek na wysokość oparcia zbudowane były z cegły, a wyżej, aż po dach, z żelaznych krat.

Thénardier od nocy 3 lutego był osobno zamknięty w jednej z tych klatek. Nie dowiedziano się nigdy, w jaki sposób i z czyją pomocą potrafił zdobyć i ukryć tam butelkę wina zawierającego narkotyk i wynalezionego podobno przez Desruesa, które to wino wślawiła banda “Usypiaczy”.

W wielu więzieniach zdarzają się pracownicy-oszuści, na wpół dozorczy, na wpół złodzieje, którzy są nieuczciwymi sługami policji i biorą “koszykowe”.

Tej samej więc nocy, kiedy mały Gavroche przygarnął dwoje bezdomnych dzieci, Brujon i Gueulemer, wiedząc, że zbiegły rano Babet oczekuje ich na ulicy razem z Montparnasse'em, wstali po cichu i gwoździem, znalezionym przez Brujona, zabrali się do wiercenia otworu w przewodzie kominowym, do którego przytykały ich łóżka. Odłamki padały na pryczę Brujona, tak że nie było nic słychać. Grad z deszczem i huki piorunów wstrząsały drzwiami w zawiasach, napełniając więzienie hałasem potężnym i pożytecznym. Ci z więźniów, którzy się obudzili, udawali, że zasypiają znowu, nie przeszkadzając Gueulemerowi i Brujonowi. Brujon był zręczny, a Gueulemer silny. Najłżejszy szmer nie dotarł do strażnika śpiącego w zakratowanej celi, wychodzącej na sypialnię, a tymczasem dwaj groźni bandyci przebili mur, wspięli się kominem w górę, wyłamali żelazną kratę zamykającą wylot komina i znaleźli się na dachu. Ulewa i wiatr wzmagają się, dach był śliski.

- Trona kimka! W sam raz na zmywę!\* - rzekł Brujon.

Przepaść szerokości sześciu, a głębokości osiemdziesięciu stóp oddzielała jeszcze zbiegów od dookólnego muru. Na dnie tej przepaści widzieli połyskujący w ciemnościach karabin wartownika. Złoczyńcy przywiązali do pozostałych u wylotu komina sztab wyłamanej przed chwilą kraty sznur, który Brujon ukręcił w karczerze, drugi jego koniec przetrzucili przez mur, przesadzili jednym skokiem przepaść, uczepili się rękoma szczytu muru, przeskoczyli przezeń i jeden po drugim zsunęli się na mały dach przylegający do łaźni; ściągnęli sznur, zeskoczyli na podwórze łaźni, przebiegli je, popchnęli okienko portiera, przy którym wisiał sznur od bramy, pociągnęli za sznur, otworzyli bramę i znaleźli się na ulicy.

Niecałe trzy kwadransy upłynęły od chwili, kiedy w ciemnościach wstali ze swoich prycz z gwoździem w rękę i projektem w głowie.

Po kilku chwilach spotkali Babeta i Montpamasse'a, którzy krążyli w pobliżu.

Ściągając sznur, zerwali go, i kawałek pozostał na dachu, przywiązany do komina. Poza tym, że zdarli sobie całą skórę z rąk, nie ponieśli żadnego szwanku.

---

\* Ciemna noc! W sam raz na ucieczkę!

Tej samej nocy Thénardier został uprzedzony, nie wiadomo w jaki sposób, i czuwał. Około godziny pierwszej, mimo ciemnej nocy, ujrzał przed okienkiem naprzeciw swej klatki, dwa cienie przesuwające się po dachu wśród deszczu i zawiei. Jeden z nich zatrzymał się na mgnienie oka przed okienkiem. Był to Brujon. Thénardier poznał go i zrozumiał. To mu wystarczyło. Jako z niebezpiecznego bandyty, oskarżonego o nocną zasadzkę dokonaną zbrojną ręką, nie spuszczano zeń oka. Przed jego klatką przechadzał się strażnik z nabitym karabinem, zmieniany co dwie godziny. Letnisko było oświetlone lampą przymocowaną do ściany. Więzień miał na nogach kajdany wagi pięćdziesięciu funtów. Co dzień o czwartej po południu dozorca strzeżony przez dwa brytany - tak to wyglądało jeszcze w owych czasach - wchodził do jego klatki, kładł koło pryczy dwufuntowy bochenek razowca, dzban wody, miskę dość chudego rosółu, w którym pływało parę ziaren bobu, sprawdzał kajdany i żelazne kraty. Człowiek z psami przychodził dwa razy w ciągu nocy.

Thénardierowi pozwolono zachować rodzaj żelaznego kołka, który służył mu do zawieszania chleba w szparze ściany, aby - jak mówił - uchronić go od szczurów. Ponieważ Thénardiera w jego klatce miano zawsze na oku, nie uważano, aby ten kołek mógł być niebezpieczny. Dopiero później przypomniano sobie, że jeden ze strażników powiedział:

- Lepiej byłoby dać mu tylko drewniany kołek.

O drugiej nad ranem wartownik, stary żołnierz, miał zmianę; zastąpił go rekrut. W chwilę później dozorca z psami odbył swoją wizytę i odszedł, nie zauważywszy nic, chyba jedynie to, że rekrut był bardzo młody i wyglądał na chłopaka ze wsi. W dwie godziny później, o czwartej, przy następnej zmianie warty znaleziono rekruta uśpionego, leżącego jak kłoda przy klatce Thénardiera. Thénardiera już w niej nie było. Na podłodze leżały rozbite kajdany. W suficie celi widniała dziura, a nad nią w dachu druga. Jedna z desek pryczy była wyrwana i zapewne zabrana, gdyż zginęła bez śladu. Znaleziono także w celi do połowy opróżnioną butelkę z resztką odurzającego wina, którym żołnierz został uśpiony. Bagnet żołnierza znikł.

Kiedy to wszystko odkryto, wydawało się, że Thénardier jest już poza zasięgiem wszelkich poszukiwań. W rzeczywistości zaś, choć opuścił już Nowy Budynek, znajdował się jednak w wielkim niebezpieczeństwie. Nie udało mu się jeszcze uciec.

Wydostawszy się na dach Nowego Budynku, znalazł resztę sznura, wiszącą przy prętach kraty u szczytu komina, lecz ten urwany kawałek był za krótki i Thénardier nie mógł uciec przez mur dookolny, jak Gueulemer i Brujon.

Skręcając z ulicy Ballets w ulicę Króla Sycylii widzi się prawie tuż za rogiem, po prawej stronie, brudne i cuchnące wgłębienie. W ubiegłym stuleciu stał tam dom, z którego



została jedynie tylna ściana, istna ruina, wznosząca się między sąsiednimi budynkami na wysokość trzeciego piętra. Tę walącą się ścianę można łatwo rozpoznać po dwóch wielkich kwadratowych oknach, dziś jeszcze istniejących; do środkowego okna, bliższego prawego szczytu, przybita jest spróchniała belka, niby podpierająca krokiew. Poprzez te okna widać było niegdyś wysoką ponurą ścianę - fragment dookólnego muru więzienia La Force.

Pusta przestrzeń na ulicy, która powstała po zburzonym domu, jest do połowy zamknięta ogrodzeniem ze zbutwiałych desek, przytwierdzonych do pięciu kamiennych słupów. Za ogrodzeniem stoi mała chatka oparta o stojącą jeszcze ścianę zburzonego domu. W płocie jest furka, którą kilka lat temu zamykano tylko na skobel.

Na szczycie tej właśnie ruiny znalazł się Thénardier wkrótce po godzinie trzeciej rano.

Jak się tam dostał? Nigdy nie zdołano tego pojąć ani wytłumaczyć. Błyskawice i przeszkadzały mu zapewne, i zarazem pomagały. Czy skorzystał z drabin i rusztowań dekarzy, aby przechodząc z dachu na dach, z gzymsu na gzyms, z domu na dom dotrzeć do pawilonów Karola Wielkiego, a potem Św. Ludwika i do dookólnego muru, a stąd do owej ruiny przy ulicy Króla Sycylii? Droga ta nie była ciągła i zdawało się, że znajdujące się w niej przerwy czyniły ją niemożliwą do przebycia; może deskę ze swej pryczy przerzucił jako pomost między dachem Letniska a murem, a potem czołgał się po murze naokoło całego więzienia, aż do owej ruiny? Ale mur tworzył linię łamaną i nierówną, podnosił się i opadał, był niski koło straży pożarnej, wysoki koło łaźni, porozdzielany budynkami; inną miał wysokość koło pałacu Lamoignon, a inną od ulicy Pavée i spadał zawsze pod kątem prostym; a przy tym straże dojrzałyby ciemną postać zbiega; właściwie więc pozostało rzeczą prawie niewytłumaczoną, jaką drogę przebył Thénardier. Na oba te sposoby ucieczka była niemożliwa. Czy wiedziony tym przemożnym pragnieniem wolności, które przepaście zamienia w rowy, żelazne kraty w plecionkę z wikliny, beznogiego kalekę w atletę, podagryka w ptaka, głupotę w instynkt, instynkt w rozum, a rozum w geniusz - Thénardier wynalazł i wymyślił trzeci sposób? Nie dowiedziano się tego nigdy.

Nie zawsze można zdać sobie sprawę z cudów ucieczki. Powtórzmy raz jeszcze, że zbieg działa w natchnieniu; tajemnicze światelko ucieczki ma w sobie blask gwiazdy i błyskawicy; wysiłek zmierzający do wyzwolenia jest równie zdumiewający jak wzlot ku wzniosłości: i mówi się o zbiegłym z więzienia złodzieju: "W jakim sposobie wdrapał się na ten dach?", tak samo, jak mówi się o Corneille'u: "Jak znalazł swoje: «Żeby umarł!»"

Jakkolwiek się rzeczy miały, gdy Thénardier, zlany potem, przemoczony deszczem, w podartym na strzępy ubraniu, z pościeranymi rękami, pokrwawionymi łokciami i pozdzieranymi kolanami dotarł do tego "ostrza muru" - jak nazywają szczyt muru dzieci w

swoim obrazowym języku - i wyciągnął się tam, zabrakło mu sił. Urwisko wysokości trzech pięter dzieliło go od bruku ulicy.

Sznur, który miał ze sobą, był za krótki.

Czekał blady, wyczerpany, straciwszy wszelką nadzieję, osłonięty jeszcze mrokiem nocy, lecz zdając sobie sprawę, że dzień nadchodzi, przerażony myślą, że za chwilę na pobliskim kościele Św. Pawła wybije czwarta, że przyjdzie zmiana warty i zobaczą strażnika uśpionego pod przedziurawionym dachem: patrzył osłupiały w tę straszliwą głębię, na widoczny w świetle latarni - mokry, czarny bruk, ten upragniony, groźny bruk, który oznaczał śmierć i wolność zarazem.

Zastanawiał się, czy pozostałym trzem współnikom udało się uciec, czy czekali na niego, czy przyjdą mu z pomocą. Nasłuchiwał. Ale odkąd leżał na murze, nikt nie przeszedł ulicą z wyjątkiem jednego patrolu. Ogrodnicy z Montreuil, Charonne, Vincennes i Bercy jeżdżą do Hal niemal wyłącznie ulicą Św. Antoniego.

Wybiła czwarta. Thénardier zdrzął. W chwilę później w więzieniu wybuchł zgiefk towarzyszący przerażeniu i zamieszaniu, które następują po odkryciu ucieczki więźnia. Odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, skrzyp krat w zawiasach, poruszenie straży, chrapliwe nawoływania dozorców, uderzenia kolbami o bruk na podwórzach - dochodziły do zbiega. W zakratowanych oknach izb sypialnych ukazywały się i znikwały światła, ktoś biegł z pochodnią na szczyt Nowego Budynku, wezwano strażaków z sąsiednich koszar. Ich hełmy błyszczą wśród deszczu w blasku pochodni przesuwają się po dachach. Jednocześnie Thénardier widział, jak od strony Bastylli złowieszczą bladeść zaczyna ogarniać niebo. A on leżał smagany ulewą na szczycie muru mającym dziesięć cali szerokości; z obu stron tego muru była przepaść. Zbieg nie mógł się ruszyć, nieprzytomny na myśl o możliwym upadku i przejęty zgrozą na myśl o niechybnym uwięzieniu; wyobraźnia jego, jak serce dzwonu, biegała od jednego rozwiązania do drugiego: "Jeśli spadnę - śmierć; jeśli zostanę - więzienie".

Leżąc tak miotany rozpaczą, zobaczył nagle, choć ulica była jeszcze zupełnie ciemna, przemykającego się wzdłuż murów człowieka; człowiek ten wysunął się z ulicy Pavée i zatrzymał się we wgłębieniu, nad którym Thénardier był jak gdyby zawieszony. Po chwili przyłączył się do niego drugi, który szedł z taką samą ostrożnością, następnie trzeci i czwarty. Kiedy się zeszli, jeden z nich otworzył furtkę w parkanie i wszyscy czterej wśliznęli się na plac, gdzie stała drewniana szopa. Zatrzymali się wprost pod Thénardierem. Widocznie wybrali to miejsce, aby porozmawiać niewidziani przez przechodniów i wartownika pilnującego bramy więzienia o kilka kroków dalej. Trzeba zresztą dodać, że deszcz uwięził strażnika w jego budce. Thénardier, nie mogąc poznać twarzy, nadstawił ucha i usiłował

pochwycić ich słowa z rozpaczliwą uwagą człowieka, który czuje, że jest zgubiony.

Przed oczami Thénardiera przesunęło się coś na kształt nadziei - ludzie ci mówili gwara złodziejską.

Pierwszy odezwał się cicho, ale wyraźnie:

- No to chodu! Co mamy tu strzelać jary<sup>\*</sup>. Drugi odpowiedział:

- Jorgacz! Leje tak, że Iwasiowi lulkę może zgasić. Skowronki mogą nas zlipować. Jakiś bukot stoi tu niedaleko. Tylko patrzeć, jak nas wychlają<sup>\*</sup>.

Słowa “strzelać jary” i “Iwaś”, z których pierwsze należy do żargonu przedmieścia, a drugie do żargonu miasta, były dla Thénardiera objawieniem. Po wyrażeniu “strzelać jary” poznał Brujona, podmiejskiego rzezimieszka, a po słowie “Iwaś” - Babet, który obok innych licznych zajęć trudnił się też paserstwem w dzielnicy Tempie.

Stara gwara złodziejska z czasów “złotego wieku” używana jest jedynie w okolicy Tempie, a Babet był nawet jedynym człowiekiem, który mówił nią bezbłędnie. Bez słowa “Iwaś” Thénardier nie byłby go poznał, ponieważ Babet zupełnie zmienił głos.

Ale trzeci zaoponował:

- Nie ma gwałtu; poczekajmy jeszcze chwilę. Nie wiadomo, czy on nie potrzebuje naszej pomocy.

Po tych słowach, wypowiedzianych zwykłym językiem, Thénardier, poznał Montparnasse'a, który za szczyt elegancji uważał, by rozumieć wszystkie rodzaje gwary, lecz żadnej z nich nie używać.

Czwarty milczał, ale zdradziły go barczyste plecy. Thénardier nie miał wątpliwości. To był Gueulemer.

Brujon odpowiedział prawie gwałtownie, ale ciągle po cichu:

- Gamrasz na słozy? Bimbasz? Kapelan nie zrobił zmywy. Taki myłka nie zna roboty. Potargać pajęczynę, upleść ćwiryk, rozkobzać kwirasy, podrobić ksywy i klawisze, przemajchrować manele, przerzucić ćwiryk przez kukier, dekować się potrafi tylko cwany wisztok. Stary tu na nic, nie kuma fechty<sup>\*</sup>.

Babet dodał jeszcze, zawsze tym samym poprawnym, “klasycznym” żargonem, którego używali Poulailler i Cartouche, a który różnił się od nowego, bezczelnego, barwnego i śmiałego żargonu, jakim mówił Brujon, jak styl Racine'a od stylu Andrzeja Chenier:

---

<sup>\*</sup> Gadać.

<sup>\*</sup> To prawda. Leje tak, że diabłu fajkę może zgasić. Policjanci mogą nas wysledzić. Wartownik stoi niedaleko. Tylko patrzeć, jak nas złapią.

- Twój kapelan już capnięty. Tu trza metra, a on jest nowak. Jakiś kapuś wziął go na megaj albo i baran, co udawał błotnego manusa. Słyszysz, Montparnasse, ten szufir w szpitalu? Lipujesz te jarzączki? Capnęli go, jak tu stoje. Wymierzą mu ze dwadzieścia łokci. Wiecie, że pietra nie mam, ani nie hnajam na oskinę, ale wam siewram, że gips z tego, a jak nie zwichniemy, to nas wsadzą do kwaczu. Nie gówniaj się, suń z nami, wytroimy torbę cienkiego ołówka...\*

- Nie opuszcza się towarzyszy w potrzebie - mruknął Montparnasse.

- Ady szewram ci, że wsiąkł - odpowiedział Brujon. - Już blacha z jego hopki. Nic nie poradzim. Róbmymy zmywę, bo cięgiem mi się widzi, że szulawy nemną nas za parkan\*.

Montparnasse słabo się już opierał; bo rzeczywiście z solidarnością właściwą bandytom, którzy nigdy nie opuszczają kamratów w potrzebie, ci czterej ludzie nie bacząc na niebezpieczeństwo krążyli przez całą noc wokół więzienia w nadziei, że na jakimś murze pojawi się postać Thénardiera. Ale noc zaczynała się już robić doprawdy zbyt piękna, ulewa była taka, że wszystkie ulice opustoszały, oni zaś przemarzli, mieli przemoczone ubrania i dziurawe buty; niepokojący zgiełk, który wybuchł w więzieniu, daremne godziny czekania, napotykanie patrole, uchodząca nadzieja, powracający strach, wszystko to skłaniało do odejścia. Nawet Montparnasse, który był może do pewnego stopnia zięciem Thénardiera, ustąpił. Jeszcze chwila, a odejdą. Thénardier dyszał ciężko na szczycie muru, jak rozbitkowie z "Meduzy" na swojej tratwie, widząc, że okręt, który ukazał się ich oczom, znika na widnokręgu.

Nie śmiał ich zawołać - jeden okrzyk, gdyby go ktoś posłyszał, mógł popsuć wszystko; przyszedł mu do głowy pewien pomysł, ostatni błysk nadziei; wyjął z kieszeni kawałek sznura Brujona, który odczepił od komina, i rzucił go na ogrodzony plac. Sznur upadł im pod nogi.

- Ćwiryk\* - rzekł Babet.

- Mój mortusek - rzekł Brujon.

- Karczmarz jest tutaj - rzekł Montparnasse.

Spojrzeli w górę, Thénardier, wysunął nieco głowę.

---

\* Kpisz? Żartujesz? Karczmarz nie uciekł. Nie zna się na tym. Podrzeć bieliznę, upleść sznur, rozbić drzwi, podrobić papiery i klucze, przepiłować kajdany, przerzucić sznur przez mur, kryć się potrafi tylko doświadczony przestępca. Stary nie zna się na robocie.

\* Twój karczmarz już złapany. Tu trzeba mistrza, a on jest nowicjuszem. Nabrał go jakiś szpicel albo "baran", co się podawał za dobrego kompana. Słyszysz ten hałas w więzieniu? Widzisz te świece? Chwycili go. Dostanie ze dwadzieścia lat. Wiecie, że nie strachliwy i nie boję się, ale mówię wam, nic z tego, a jak nie odejdziemy, to nas wsadzą do więzienia. Nie złość się, chodź z nami, wypijemy butelkę wina.

\* Mówię ci, że wpadł. Nic z jego ucieczki. Nic nie poradzimy. Uciekajmy, bo policjanci mogą nas złapać.

\* Sznur.

- Prędeży! - rzekł Montparnasse. - Brujon, masz drugi kawał sznura?
  - Mam.
  - Zwiąż je razem, rzucimy mu, przywiąże go do ściany, to wystarczy, żeby zejść.
- Thénardier odważył się odezwać półgłosem:
- Zesztywniałem z zimna.
  - Rozgrzejesz się.
  - Nie mogę się już ruszać.
  - Zsuń się, my cię tu złapiemy.
  - Ręce mi zgrabiały.
  - Przywiąż tylko linę do muru.
  - Nie dam rady.
  - Któryś z nas musi tam wleźć - rzekł Montparnasse.
  - Trzy piętra! - mruknął Brujon.

Stary, zniszczony przewód kominowy, prowadzący do pieca, który ogrzewał niegdyś szopę, piął się wzdłuż muru aż do samego szczytu, kończąc się prawie w tym miejscu, gdzie widać było Thénardiera. Przewód ten, już wówczas zniszczony i popękany, później rozpadł się zupełnie, lecz jeszcze do tej pory widać ślad po nim. Był bardzo wąski.

- Można by wleźć tędy - rzekł Montparnasse.
- Tą rurą? - zawołał Babet. - Smyrny\* gość się nie przecisnie, trzeba by jakiegoś mikrusa.
- Ano, trzeba by knota! - powiedział Brujon.
- Ale skąd wziąć taką żabę? - zapytał Gueulemer.
- Zaczekajcie - rzekł Montparnasse. - Już mam.

Uchylił po cichu furtki od parkanu, upewnił się, że nikogo nie ma na ulicy, wysunął się ostrożnie, zamknął za sobą furtkę i pobiegł w stronę Bastylii.

Upłynęło siedem, a może osiem minut - osiem tysięcy wieków dla Thénardiera; Babet, Brujon i Gueulemer przez cały czas milczeli, wreszcie furtka otworzyła się, stanął w niej zadyszany Montparnasse, który prowadził Gavroche'a. Dzięki ulewie ulica była nadal zupełnie pusta.

Mały Gavroche wszedł na placyk i ze spokojem obejrzał bandytów. Woda ściekała mu z włosów. Gueulemer zwrócił się do niego:

- Te, pętaś, jesteś morowiec?

Gavroche wzruszył ramionami i odpowiedział:

- Taki pętaś, jak ja, to klawy gość, a takie klawe goście, jak wy, to pętaśki.
- Mikrus, ale truję\* ma fest - rzekł Babet.
- Szczeniak paryski makitrę\* ma - dodał Brujon.
- Co mam zrobić? - zapytał Gavroche.
- Wleźć na szczyt muru tą rurą - odpowiedział Montparnasse.
- Z tą windą\* - rzekł Babet.
- Z tym mortuskiem - powiedział Brujon.
- Z tym ćwirykiem - dorzucił Babet.
- I przyrychtować go na fest - uzupełnił Brujon.
- I co więcej? - zapytał Gavroche.
- To wszystko - rzekł Gueulemer.

Chłopiec obejrzał linę, przewód kominowy, mur i okna i wydał wargami ten niepowtarzalny i pogardliwy dźwięk, który oznacza:

- Tylko tyle?
- Tam na górze siedzi człowiek, którego uratujesz - rzekł Montparnasse.
- Zrobisz to? - zapytał Brujon.
- Głupiś! - odparł chłopak, jak gdyby to pytanie wydało mu się niedorzeczne, i zdjął trzewiki.

Gueulemer wziął jedną ręką Gavroche'a, postawił go na dachu szopy, którego spróchniałe deski ugięły się pod ciężarem dziecka, i dał mu sznur związany przez Brujona w czasie nieobecności Montparnasse'a. Chłopiec podszedł do rury, do której łatwo można się było dostać przez dużą szczelinę tuż nad dachem. Kiedy już zabierał się do wdrapywania w górę, Thénardier, widząc, że zbliża się ratunek i bliskie ocalenie, wychylił się za krawędź muru; pierwszy blask dnia oświetlił nieco jego czoło złane rześnym potem, sine policzki, długi ostry nos, siwą najeżoną brodę - i Gavroche go poznał.

- Masz tobie! - rzekł. - To mój ojciec... ale to nic nie szkodzi.

I wzięwszy linę w zęby, śmiało zaczął się wspinać.

Dostał się na szczyt muru, siadł na nim okrakiem i mocno przywiązał linę do górnej ramy okna.

Po chwili Thénardier był na ulicy.

Jak tylko dotknął bruku i poczuł, że niebezpieczeństwo jest już poza nim, zapomniał o

---

\* Dorosły.  
 \* Jadaczka.  
 \* Głowa.  
 \* Sznur.

zmęczeniu, zimnie i strachu; wszystkie okropności, które przeszedł, rozwiały się jak dym, cała jego dziwna i okrutna inteligencja obudziła się w przywróconej wolności, gotowa do działania. Oto, jakie były pierwsze słowa tego człowieka:

- Jest jaka granda na widoku?

Nie potrzeba tłumaczyć przeraźliwie jasnego sensu tych słów, w których mieści się naraz zabójstwo i grabież.

- Wleźmy w jaki kąt - rzekł Brujon. - Załatwimy sprawę w dwóch słowach i zaraz się rozejdziemy. Przy ulicy Plumet było coś do zrobienia; ulica pusta, dom odosobniony, w ogrodzie stare kraty, same kobiety.

- No więc, czemu nie? - spytał Thénardier.

- Twoja binia\*, Eponina, miała wywęszyć, jak się ten interes przedstawia - odpowiedział Babet.

- I przyniosła Magnon sucharek - dodał Gueulemer. - Kapota\*.

- To morowa brzana\*, nie frajerka - rzekł Thénardier - ale nie zawadzi samemu zobaczyć.

- Tak, tak - rzekł Brujon. - Trzeba będzie zobaczyć.

Żaden z nich nie zwracał już uwagi na Gavroche'a, który podczas tej rozmowy przysiadł na kamiennym słupku parkanu; poczekał parę chwil - może na to, aby ojciec spojrział na niego - wziął trzewiki i zapytał:

- No co? Wszystko załatwione? Nie jestem wam potrzebny? Zrobiłem, com miał zrobić, a teraz idę. Muszę obudzić moje bębny.

I odszedł.

Pięciu mężczyzn wyszło kolejno zza parkanu.

Kiedy Gavroche zniknął za rogiem ulicy Ballets, Babet wziął Thénardiera na bok:

- Zauważyłeś tego szczeniaka?

- Jakiego szczeniaka?

- Ano tego, co wlaźł do ciebie po murze ze sznurem.

- Nie bardzo.

- Nie wiem na pewno, ale coś mi się zdaje, że to twój syn.

- Tak? - rzekł Thénardier. - Rzeczywiście?

I odszedł.

---

\* Dziewczyna.

\* Nic z tego.

\* Dziewczyna.

**Księga siódma**

**Język złodziejski**



# I

## Pochodzenie

*Pigritia* - to straszne słowo.

Plodzi świat, zwany *la pégre* - czyli kradzież, i piekło, zwane *la pégrenne* - czyli głód.

Tak więc lenistwo jest matką.

Ma córkę - kradzież, i syna - głód.

O czymże mówimy? O żargonie złodziejskim.

Co to jest żargon? Naród i gwara zarazem; kradzież pod dwojaką postacią: ludu i języka.

Kiedy przed trzydziestu czterema laty autor tej poważnej i smutnej opowieści wprowadził do swego dzieła\* - pisanego w tym samym, co niniejsze, celu - przestępcę mówiącego żargonem złodziejskim, wywołało to zdumienie i głośnie protesty: "Jak można! Żargon złodziejski? Przecież to ohyda! To język galer, kazamat, więzień, język tego, co najwstrętniejsze w społeczeństwie" itd., itd.

Nie mogliśmy nigdy zrozumieć takich zarzutów.

Te same sprzeciwy podniosły się później, gdy dwaj znakomici pisarze, Balzak i Eugeniusz Sue, jeden - głęboki badacz serc ludzkich, drugi - nieustraszony przyjaciel ludu, zaczęli przedstawiać przestępców mówiących właściwym sobie językiem, jak to zrobił w 1828 roku autor "Ostatniego dnia skazańca". Powtarzano znowu: "Czego chcą od nas pisarze z tym oburzającym żargonem? Język złodziejski jest obmierzły! Przejmuje zgrozą!"

Zapewne. Temu nikt nie przeczy.

Ale odkądże jest błędem posuwanie się naprzód, docieranie do samego dna, gdy chodzi o zbadanie rany, przepaści czy społeczeństwa? Byliśmy zawsze zdania, że jest to raczej akt odwagi, a co najmniej czyn prosty i użyteczny, godny sympatii i uwagi, na którą zasługuje każde zadanie podjęte i spełnione. Dlaczego wszystkiego nie zbadać, nie przestudiować? Dlaczego zatrzymywać się w połowie drogi? Zatrzymać może się sonda, ale nigdy ten, który sonduje.

Rzecz jasna, nie jest to zadanie pociągające ani łatwe - zapuszczać się w najniższe

---

\* "Ostatni dzień skazańca" (przyp. aut.).

pokłady ładu społecznego, tam gdzie kończy się ziemia, a zaczyna błoto, grzebać w tych gęstych kałużach, ścigać, schwycić i rzucić na bruk tę drgającą życiem, szkaradną gwarę, która ocieka błotem w świetle dnia, ten zropiały słownik, którego każde słowo wydaje się ohydny pierścieniem jakiegoś potwora żyjącego w mule i ciemnościach. Nic przykrzejszego nad takie rozpatrywanie bez osłonek, w świetle myśli przerażającego kłębowiska żargonu złodziejskiego. Istotnie, można by sądzić, że dobyliśmy z kloaki jakąś szkaradną bestię, której żywiołem jest noc; że mamy przed oczyma straszne, żywe i najeżone zarośla, które drżą, ruszają się, chcą wrócić w ciemności, grożą i patrzą. Ten wyraz podobny jest do szponów, tamten do zgastył przekrwionych ślepi, to zdanie zdaje się poruszać jak szczypce kraba. Wszystko to żyje ohydny życiem rzeczy, które zorganizowały się w dezorganizacji.

Ale odkądże to wstręt wyklucza badanie? Odkąd choroba odstrasza lekarza? Czy można sobie wyobrazić przyrodnika, który nie chce przeprowadzać studiów nad żmiją, nietoperzem, skorpionem, stonogą czy tarantulą i odrzuca je z powrotem w ciemność, mówiąc: “Fe! Jakież to szkaradne!” Myśliciel unikający języka złodziejskiego byłby podobny do chirurga unikającego widoku wrzodu czy narośli, do filologa wahającego się zbadać jakieś zjawisko językowe, do filozofa wahającego się zgłębić jakieś zjawisko życia ludzkości. Trzeba bowiem wyraźnie powiedzieć tym, którzy tego nie wiedzą: żargon złodziejski jest zjawiskiem literackim i wynikiem stosunków społecznych. Bo czymże on jest w istocie? Językiem nędzy.

Tu mógłby nas ktoś zatrzymać; mógłby uogólnić fakt, co często równa się osłabieniu jego znaczenia; mógłby nam powiedzieć, że wszystkie rzemiosła, wszystkie zawody, a nawet i wszystkie szczeble hierarchii społecznej, i wszystkie formy inteligencji mają swój język, swój żargon. Kupiec mówiący: “Montpellier w dowolnej ilości, Marsylia w najlepszym gatunku”, giełdciarz mówiący: “Zwyczaj z końcem bieżącego, premia”, gracz mówiący: “Impasuję, wyprułem się z pika”, wodewilista mówiący: “Kłapa generalna”, aktor mówiący: “Sypnąłem się”, filozof mówiący: “Troistość fenomenu”, myśliwy mówiący: “Zajęcza farba”, “Psy idą za wiatrem”, piechur mówiący: “Moja rura”, fehmistrz mówiący: “Tercja, kwarta, parada!”, drukarz mówiący: “Łamać kolumnę” - wszyscy oni: drukarz, fehmistrz, piechur, myśliwy, filozof, aktor, wodewilista, gracz i giełdciarz, mówią żargonem. Malarz mówiący: “Moje płótno”, notariusz mówiący o gońcu: “Mój kurier”, balwierz mówiący: “Mój subiekt”, czy szewc mówiący: “Moje kopyto” - mówią żargonem. Ostatecznie jeśli ktoś już chce koniecznie, to i różne sposoby oznaczania prawej czy lewej strony u marynarza: “Bak-bort” i “Sztymbort”, u woźnicy - “Hetta” i “Wišta”, u ministrantów: “Strona Epistoły”, “Strona Ewangelii” - to też żargon. Istnieje również żargon mizdrzących się lalek, podobnie jak istniał

żargon wykwintniś. Pałac Rambouillet przypominał nieco Dziedziniec Cudów. Szyfry dyplomatyczne to żargon; kancelaria papieska, określająca Rzym cyfrą 26, przesyłkę - grkztntgzyal, a księcia Modeny - asbficustgrnogtkzutu XI - używa żargonu. Średniowieczni medycy mówią: opoponach, perfroschinum, reptitalmus, dracatholicum angelorum, postmegorum zamiast marchew, rzodkiew i rzepa - mówili żargonem. Fabrykant cukru mówiąc: "klarsa, głowa, kostka, melasa, kryształ, żółta mączka, cukrzyca", ten zacny fabrykant mówi żargonem. Pewna szkoła krytyków sprzed dwudziestu lat, która orzekła, że połowa Szekspira to "igraszka słów i kalambury" - mówiła żargonem. Poeta i artysta, którzy z wielką wnikliwością osądzają, iż pan de Montmorency jest *bourgeois*, jeśli nie zna się na poezji i rzeźbie - mówią żargonem. Akademik klasyczny, nazywający kwiaty - Florą, owoce - Pomoną, morze - Neptunem, miłość - ogniem trawiącym serce, piękność - powabem, konia - rumakiem, kokardę białą lub trójkolorową - różą Bellony, trójgraniasty kapelusz - trójrogiem Marsa - ten akademik klasyczny mówi żargonem. Algebra, medycyna, botanika mają swój żargon. Język używany na pokładzie, cudowny język ludzi morza, tak bogaty i malowniczy, którym mówili Jan Bart, Duquesne, Sufren i Duperré, ten język, w którym słychać trzepot żagli, głos tuby, szczęk bosaków przy zderzeniu się okrętów, kołysanie statku, wiatr i huk armaty - jest żargonem heroicznym i świetnym i wobec żargonu złodziejskiego jest tym, czym lew wobec szakala.

Niewątpliwie. Cokolwiek jednak można by na ten temat powiedzieć, nadając taki sens pojęciu żargonu, wyolbrzymia się je, a na to nie każdy się zgodzi. Co do nas, zachowujemy dla tego słowa jego dawne znaczenie, ściśle określone i ograniczone, i żargon zwięzamy do żargonu. Żargon prawdziwy, żargon doskonały, jeśli te dwa określenia dadzą się ze sobą pogodzić, prastary żargon, który był całym królestwem, nie jest niczym innym - powtórzmy raz jeszcze - jak językiem brzydkim, niespokojnym, chytrym, zdradzieckim, jadowitym, okrutnym, podejrzanym, nikczemnym, niezbadanym, nieodłącznym od nędzy. Tam gdzie jest kres wszelkiego upodlenia i wszelkiej niedoli, znajdzie się zawsze ostatnia nędza, która się buntuje i wypowiada walkę ogółowi szczęśliwych faktów i panujących praw; walkę straszliwą, niebezpieczną i okrutną zarazem, w której raz podstępem, raz gwałtem atakuje ład społeczny, to ukłuciami szpilki - występkiem, to uderzeniem maczugi - zbrodnią. Dla celów tej walki nędza wymyśliła język wojenny, którym jest żargon.

Ocalić od zapomnienia, utrzymać na powierzchni bodaj fragment jakiegokolwiek mowy, którą człowiek się posługiwał, a która zamknęłaby, to ocalić jeden z elementów, dobrych czy złych, które formują lub deformują cywilizację, to pomnożyć dane z zakresu spostrzeżeń społecznych i służyć samej cywilizacji. Tę przysługę oddał Plaut - świadomie czy

nieświadomie - przedstawiając dwóch żołnierzy, którzy mówią narzeczem fenickim; tę przysługę oddał Molier kładąc w usta wielu swoich postaci żargon lewentyński i niezliczne gwary. Tu nowy wybuch sprzeciwów: "Narzecze fenickie, doskonale! Lewentyńskie, proszę bardzo! Dialekt, zgoda! To języki, którymi posługiwały się narody lub prowincje; ale żargon? Po co utrwalac żargon? Po co żargon «ocalac od zapomnienia»?"

Odpowiemy na to krótko. Jeśli język, którym mówił naród lub jakaś dzielnica, zasługuje na uwagę, stokroć więcej zasługuje na uwagę i badanie język, którym mówi nędza.

Jest to bowiem język, którym we Francji, na przykład, od przeszło czterech wieków posługiwała się wszelka nędza ludzka. A także - obstawiamy przy tym - badanie wypaczeń i ułomności społecznych i sygnalizowanie ich po to, by je wyleczyć, jest pracą, która nie dopuszcza swobody wyboru. Historyk obyczajów i idei ma równie doniosłe posłannictwo do spełnienia jak historyk faktów. Tego zajmuje powierzchnia cywilizacji: walka tronów, narodziny władców, małżeństwa królów, bitwy, zgromadzenia, wybitne postacie polityczne, jawne rewolucje - wszelkie fakty widome; tamtego zajmuje podskórne dno, lud, który pracuje, cierpi i czeka, kobieta przygnieciona brzemieniem nad siły, konające dziecko, głucha walka człowieka z człowiekiem, utajone okrucieństwa, przesady, przyjęte powszechnie niesprawiedliwości, utajone następstwa obowiązujących praw, tajemne ewolucje dusz, nieuchwytnie drżenia przebiegające masy ludzkie; ludzie głodni, obdarci, wydziedziczeni, ludzie nieszczęśliwi, upodleni, sieroty, wszystkie te straszne postacie, które błądzą w ciemnościach. Z sercem pełnym miłości i surowości zarazem - jako brat i jako sędzia - powinien on zstąpić aż do tych niezbadanych kazamat, gdzie pełzają razem ci, co krwawią, i ci, co ranią; ci, co płaczą, i ci, co złorzeczą; ci, co głodują, i ci, co pożerają; ci, co cierpią zło, i ci, co zło czynią. Czyżby więc owi historycy serc i dusz mieli mniej ważne zadania do spełnienia niż historycy zewnętrznych faktów? Czyżby Alighieri miał mniej do powiedzenia niż Makiawel? Dno cywilizacji - dlatego że głębsze i ciemniejsze - jestże mniej ważne niż jego powierzchnia? Czyż można dobrze znać górę, jeśli się nie zna wnętrza jej pieczar?

Powiedzmy zresztą mimochodem, że z paru powyższych słów można by - wbrew naszym intencjom - wysnuć wniosek, jakoby między tymi dwoma rodzajami historyków istniał jakiś wyraźny przedział. Nie jest dobrym historykiem jawnego, widzialnego, głośnego, publicznego życia ludu ten, kto zarazem, w pewnej bodaj mierze, nie jest historykiem jego istotnego, ukrytego życia; i nie jest dobrym historykiem wewnętrznego nurtu ten, kto nie umie w potrzebie być również historykiem zewnętrznych wydarzeń. Historia idei i obyczajów przeplata się z historią wydarzeń, i odwrotnie. To dwa szeregi różnych faktów, które sobie nawzajem odpowiadają, zawsze się ze sobą łączą, a nieraz wzajemnie zapładniają. Wszelkie

powiązania, które Opatrzność kreśli na powierzchni narodu, mają swój ciemny, lecz wyraźny odpowiednik w jego głębinach, a wszelkie konwulsyjne ruchy głębin wywołują zmiany na powierzchni. Skoro więc prawdziwa historia występuje we wszystkich objawach życia, prawdziwy historyk powinien interesować się wszystkim.

Człowiek to nie koło o jednym centrum, ale raczej elipsa o dwóch ogniskach. Jednym są fakty, drugim - idee.

Żargon jest niejako szatnią, w której język przebiera się, gdy chce popełnić coś złego. Stroi się tam w słowa-maski i metafory-łachmany.

I tak staje się straszny.

Z trudem można go rozpoznać. Więc to naprawdę język francuski, ten wspaniały język ludzkości? Oto gotów jest wejść na scenę, gadać ze zbrodnią i wystąpić w każdej roli z repertuaru zła. Nie idzie, lecz kuleje; utykając wspiera się na kulach z Dziedzińca Cudów, kulach, które w każdej chwili przemienić się mogą w maczugę. Zwie się włóczegostwem i żebractwem. Wszelkie ciemne zjawy - jego garderobiane - ucharakteryzowały go. Ruchem właściwym płazom to pełźnie, to przeży się w górę. Zdolny jest odtąd do przyjęcia każdej roli; fałszerz obdarzył go zezem, truciciel pomalował śniedzią, podpalacz uczernił sadzą, a morderca naznaczył czerwienią.

Do uszu tego, kto od strony zamieszkałej przez ludzi uczciwych podsłuchuje pod drzwiami społeczności, dochodzi rozmowa tych, co są poza jej nawiasem. Odróżnia pytania i odpowiedzi. Słyszy niezrozumiałą, szkaradny pomruk, podobny do ludzkiego głosu, lecz bliższy wyciu niż mowie. To żargon. Słowa są zniekształcone i przepojone jakimś fantastycznym bestialstwem. Zda się, słyszeć gadające hydry. To niezrozumiałość w tajemniczości. Zgrzyta i szepcze, pomnażając mrok zagadkowością. Ciemność otacza nieszczęście, ciemność otacza zbrodnię; te dwie ciemności zespolone tworzą żargon. Mroczna atmosfera, mroczne uczynki, mroczne głosy. Przeróżający język-ropucha, co przesuwając się, podskakuje, czołga, ślini i wykonuje potworne ruchy w nieogarniętej, szarej mgle, utkanej ze słoty, nocy, głodu, występku, kłamstwa, niesprawiedliwości, nagości, duchoty i zimy - w tym dniu nędzarzy.

Miejmy litość nad tymi, co są karani. Kimże, niestety, sami jesteśmy? Kim jestem ja, który do was mówię? Kim jesteście wy, którzy mnie słuchacie? Skąd przychodzimy? I czy to pewne, że nim przyszedliśmy na świat, nic nie czyniliśmy? Ziemia ma niejaki podobieństwo z więzieniem. Kto wie, czy człowiek nie jest przestępcą ściganym przez sprawiedliwość bożą?

Przyjrzyjcie się z bliska życiu. Tak się ono dziwnie plecie, że wszędzie wyczuwa się piętno kary.

Czy jesteś tym, kogo nazywają szczęśliwym? A przecież co dnia jesteś smutny. Każdy dzień ma swoje wielkie zmartwienie lub drobne zgryzoty. Wczoraj drżałeś o zdrowie drogiej ci osoby, dziś - boisz się o własne; jutro będzie cię trapiła troska o pieniądze, pojutrze złośliwość oszczercy, innego jeszcze dnia - nieszczęście przyjaciela, a kiedy indziej znów brzydka pogoda, coś, co się stłukło lub zagubiło, albo też jakaś rozrywka, po której dolega ci sumienie i ból krzyża; innym razem będzie cię trapił bieg spraw publicznych. Nie licząc już cierpień miłosnych. I tak ciągle; jedna chmura się rozprasza, tworzy się druga. Na sto dni znajdzie się zaledwie jeden dzień niezmaconej radości i pełnego słońca. A przecież należysz do małej garstki szczęśliwych! Innych otacza nieprzerwana noc.

Ludzie rozważni rzadko używają określenia: szczęśliwi i nieszczęśliwi. Na tym świecie, który jest wyraźnie przedsionkiem innego świata - nie ma szczęśliwych.

Ludzie światli i ludzie ciemni - oto prawdziwy podział ludzkości.

Zmniejszyć liczbę ludzi ciemnych, powiększyć liczbę ludzi światłych - oto cel! I dlatego nawołujemy: Oświaty! Nauki! Nauczyć czytać - to rozpalić ogień; każde przesyłabizowane słowo - to iskra.

Zresztą światło nie zawsze oznacza radość. Można cierpieć i w świetle; nadmiar światła spala. Płomień jest wrogiem skrzydeł. Płonąć i szybować wysoko - to cud geniuszu.

Gdy poznanie prawdy i miłość staną się twoim udziałem, będziesz nadal cierpieć. Dzień rodzi się we łzach. Ludzie światli płaczą, choćby tylko nad losem ciemnych.

## II

### Korzenie

Żargon - to język ludzi ciemnych. Ta tajemnicza gwara, potępiona i zbuntowana, porusza myśl aż do najciemniejszych jej głębi, a filozofię społeczną zmusza do najboleśniejszych rozważań. Tu wyraźnie maluje się kara. Każda sylaba wydaje się napiętnowana. Słowa potocznej mowy wydają się w żargonie jakby pomarszczone i stwardniałe pod rozpalanym żelazem kata; ma się wrażenie, że niektóre jeszcze dymią. Niejedno zdanie przypomina z nagła obnażone, napiętnowane ramię przestępcy. Myśl z oporem wypowiada się w tych słowach-złoczyńcach. Przenośnia jest często tak bezczelna, że łatwo poznać, iż stała pod pręgierzem.

Zresztą - mimo to, a także właśnie i dlatego - ta dziwna mowa ma swoje prawowite miejsce w wielkiej, nacechowanej obiektywizmem skrzyni, zwanej literaturą, gdzie zaśniedziały miedziak leży obok złotego medalu. Żargon - czy się kto z tym zgodzi, czy nie - ma swoją składnię i swoją poezję. Jest to język. I jeśli ze zniekształcenia niektórych jego słów widać, że mełł je w zębach Mandrin<sup>\*</sup>, to pewne wspaniałe jego metonimie ukazują, że mówił nim Villon.

Ów piękny, a tak znany wiersz:

*Mais où sont les neiges d'antan?*<sup>\*</sup>

- to wiersz pisany żargonem. *Antan* - *ante annum* - to żargonowe powiedzenie z królestwa żebraków i złodziei, określające rok przeszły, a w rozszerzonym znaczeniu - niegdyś. Trzydzieści pięć lat temu, gdy w roku 1827 z więzienia wyruszał wielki, skutny łańcuchem szereg skazańców, w jednej z ciemnic Bicetre można było odczytać takie zdanie, wyskrobane gwoździem na murze przez króla żebraków i złodziei, skazanego na galery: *Les dabs d'antan trimaient siempre pour la pierre du Coësre*, co oznacza: "Dawniejsi królowie jeździli zawsze na koronację". Dla tego króla koronacją były galery.

Słowo *décarade*, które wyraża odjazd galopem ciężkiego wehikułu, przypisywane jest

---

<sup>\*</sup> Louis Mandrin (1724-1755) - słynny w swoim czasie i popularny wśród biedoty francuski przemytnik.

<sup>\*</sup> Ach, gdzie są niegdysiejsze śniegi? Przekład T. Żeleńskiego (Boya).

Villonowi i jest jego godne. Słowo to, krzeszące iskry spod kopyt, streszcza w swej mistrzowskiej onomatopei śliczną strofę La Fontaine'a:

*Sześć koni z trudem ciągnęło do góry*

*Ciężki dylizans pocztowy.\**

Mało jest studiów tak ciekawych i użytecznych - z czysto literackiego punktu widzenia - jak studia nad żargonem. Jest to odrębny język w języku, chorobliwa narośl, niezdrowy szczep, który rozrósł się w gąszcz roślinności, pasożyt, który korzeniami tkwi w starym pniu galijskim, a ponurym listowiem oplata całą jedną stronę języka. Takim wydaje się żargon na pierwszy rzut oka, taki jest pospolity pogląd na żargon. Lecz dla ludzi badających język tak, jak go badać należy, to znaczy tak, jak geolog bada ziemię, żargon stanowi prawdziwą formację aluwialną. I w zależności od tego, czy drąży w nim głębiej, czy płycej, badacz znajduje pod starym ludowym językiem francuskim język prowansalski, włoski, hiszpański, lewantyński - ten język śródziemnomorskich portów - angielski i niemiecki; trzy odmiany romańskiego: francuską, włoską i romańską, łacinę, i wreszcie język baskijski i celtycki. Dziwna i głęboka formacja. Podziemna budowla, wzniesiona wspólnie przez wszystkich nędzarzy. Każde przekłete pokolenie zostawiło po sobie swoje złoża, każde cierpienie dorzuciło swój gład, każde serce dodało swój kamyk. Kłębowisko dusz złych, podłych lub gniewnych, które przeszły przez życie i rozwiały się w wieczności, jest tu prawie nie tknięte i jakby widzialne pod postacią potwornych słów.

Chcecie wpływów języka hiszpańskiego? Dawny żargon gotycki aż roi się od nich. Oto *boffette* - policzek, od *bofeton*; *vantane* - okno, od *vantana*; *gat* - kot, od *gato*; *acite* - oliwa, od *aceyte*. Chcecie włoskiego? Oto *spade* - szpada, od włoskiego *spada*; *carvel* - okręt, od *caravella*. Chcecie angielskiego? Oto *bichot* - biskup, od *bishop*; *raille* - szpieg, od *rascal*; *rascalion* - łotr; *pilche* - puzderko, od *pilcher* - futerał. Chcecie niemieckiego? Oto *caleur* - chłopiec, *Kellner*; *hers* - pan, herszt, od *Herzog* - książę. Chcecie łaciny? *Frangir* - złamać, od *frangere*; *affurer* - kraść, od *fur*; *cadene* - łańcuch, od *catena*. Jedno słowo występuje we wszystkich językach europejskich z dziwną uporczywością i mocą, słowo: *magnus*. Szkocja przerobiła je na *mac* i oznacza nim przywódcę klanu: Mac - Farlane, Mac-Callummore - wielki Farlane, wielki Callummore\*; żargon zrobił z niego *meck*, później *meg* - a znaczy to Bóg. Chcecie baskijskiego? Oto *gahisto* - diabeł, od *gaiштоa* - zły; *sorgabon* - dobranoc, od

---

\* "Bajki", ks. VII, 9 (PIW, 1955), przekład Władysława Noskowskiego.

\* Trzeba podkreślić, że *mac* po celtycku znaczy syn (przyj. aut.).



*gabon* - dobry wieczór. Chcecie celtyckiego? Oto *blavin* - chustka, od *blavet* - tryskająca woda; *menesse* - kobieta (w sensie pejoratywnym), od *meinec* - pełen kamieni; *barant* - strumyk, od *baranton* - źródło; *goffeur* - ślusarz, od *goff* - kowal; *guédouze* - śmierć, od *guenn-du* - czarno-biały. Chcecie wreszcie historii? Żargon nazywa talary maltankami na pamiątkę monety, która kursowała na galerach maltańskich.

Oprócz wykazanych już powiązań filologicznych żargon ma jeszcze inne źródła, które, że tak powiem, wywodzą się z samego ducha człowieka.

A więc przede wszystkim bezpośrednio tworzenie wyrazów. W tym leży tajemnica języków: malowanie słowami, które - nie wiadomo jak ani dlaczego - mają swe wyraźne oblicze. To jest pierwotna podstawa każdej mowy ludzkiej, coś, co można by nazwać jej granitowym fundamentem. Żargon roi się od takich słów, słów nagłych, utworzonych spontanicznie, nie wiadomo gdzie ani przez kogo, bez etymologii, analogii, bez pochodnych, od słów samotnych, barbarzyńskich, często ohydnych, które jednak mają szczególną dosadność i życie. Trudno o dziwniejsze zjawiska nad te słowa, które osłaniają i okrywają zarazem. Niektóre z nich są dziwaczne, a zarazem straszne i robią wrażenie grymasu cyklopa.

Po wtóre - metafora. Właściwością języka, który chce wszystko powiedzieć i wszystko ukryć, jest obfitość przerośni. Przerośnia to zagadka, którą osłania się złodziej knujący kradzież i więzień zamyślający ucieczkę. Żadna mowa nie jest tak bogata w przerośnie jak żargon. Zostać zastrzelonym - połknąć pigułkę; jeść - wbijać w krzyż; śledztwo - maglowanie lub spowiedź; złodziej chleba - szczur. Czasem w miarę tego jak żargon przechodzi z pierwszego stadium w drugie, słowa, mające sens pierwotny, nabierają znaczenia przerośni. Diabeł przestaje być złym, a staje się piekarzem, bo wsadza do pieca. To określenie zyskuje na dowcipie, ale traci na wielkości; coś jakby Racine obok Corneille'a lub Eurypides obok Aischylosa. Pewne określenia żargonu, należące do obu stadiów, zachowały sens pierwotny przy równoczesnym sensie przerośnym i przypominają fantasmagorie: "Łysy kapuje, a hołociarze idą na ostrą jazdę do szumu."\* Przesuwa się to przed oczyma wyobraźni jak grupa widm. Nie wiadomo, co widać.

Po trzecie - pomysłowość. Żargon żeruje na języku. Posługuje się nim dowolnie, czerpie z niego wedle fantazji i często ogranicza się do tego, by w razie potrzeby przekreślić go w sposób ogólny i prosty. Nieraz z tak przekreślonych, potocznych słów i z wyrazów czysto żargonowych powstają powiedzenia malownicze, w których wyczuwa się dwa poprzednio wspomniane elementy: bezpośrednio tworzenie słów i metaforę: "Szkieł szczeka,

---

\* Książec świeci, a złodzieje koni idą na kradzież do lasu.

kumam, że potok płynie po szumie.”\* “Gawruk to frajer, gawruczka cwana, a brzana klawa.”\* Najczęściej, aby zmylić słuchacza, żargon poprzestaje na przyczepieniu do każdego słowa końcówki - czegoś w rodzaju wstrętnego ogona.

Żargon, ta mowa zepsucia, sam szybko zepsuciu ulega. Ponadto, chcąc być nieuchwytnym, zmienia się, ilekroć spostrzeże, że stał się zrozumiały. Promień światła, który dla wszelkiej innej roślinności niesie życie, dla niego jest śmiertelny. Toteż żargon wciąż się rozpada i powstaje na nowo; wciąż dokonuje się w nim ta ciemna i szybka praca. Więcej drogi przebiegnie w ciągu dziesięciu lat niż mowa normalna w ciągu dziesięciu wieków. I tak makówka zamienia się w makitrę\*, zdzira w zdziochę, forasy w kwirasy\*, łachy przechodzą w nachy\*, wąż przeobraża się w węgorza\*, a grypcicha w grypsulę\*. Diabeł jest początkowo złym, a potem Iwasiem; ksiądz z gałachy staje się plicharzem; nóż to kajek, potem knyp, majcher i zadra; policjant to pajak, księżyc, szularz, dziad, salceson i szpagat; koń to chaja, hołota i wolta; sędzia - piłat, spowiednik, rabin, tyran.

W XVII wieku bić się to było - potraktować tabaką, a w XIX - wsadzić prymkę w gębę. Dwadzieścia rozmaitych powiedzeń mieści się między tymi dwoma krańcami. Język Cartouche'a byłby dla Lacenaire'a niezrozumiałą hebrajszczyzną. Każde słowo tej mowy jest w ustawicznej ucieczce, podobnie jak i ludzie, którzy się nią posługują.

Wszakże od czasu do czasu, właśnie z powodu tego nieustannego ruchu, dawny żargon pojawia się i staje się nowym. Ma swoje ośrodki, w których się utrzymuje. Temple zachowało siedemnastowieczny żargon; Bicêtre, gdy było więzieniem, przechowało żargon średniowiecznego królestwa żebraków i złodziei. Niemniej jednak regułą jest nieustanna płynność.

Kiedy filozof zdoła w celach badawczych utrwalić na moment ten język, który rozwiewa się co chwila, pogrąża się w pożyteczną, choć bolesną zadumę. Żadne studium nie jest tak pouczające i tak pełne ciekawych spostrzeżeń. Każda przenośnia, każdy źródłosłów żargonu kryje w sobie jakąś naukę. Ludzie mówiący nim używają słowa “bić” w znaczeniu udawać; chorobę się “bije”. Podstęp jest ich siłą.

Dla nich pojęcie człowieka łączy się zawsze z pojęciem ciemności. Noc wśród wielu imion ma także imię: kochanka. Człowiek jest tu uczuciowo spokrewniony z nocą.

---

\* Pies szczeka, myślę, że dylizans jedzie przez las.

\* Pan to głupiec, pani przebiegła, a córka ładna.

\* Głowa.

\* Drzwi.

\* Ubranie.

\* Łańcuszek

\* Krowa.

Przyzwyczajali się traktować społeczeństwo jak wroga im atmosferę, jakąś siłę fatalną, toteż mówią o wolności tak, jak mówi się o zdrowiu. Człowiek aresztowany to “chory”, skazany to “nieboszczyk”.

Najstraszniejszą rzeczą dla więźnia, pogrzebanego wśród murów z kamienia, jest rodzaj lodowatej bezgrzeszności, dlatego też nazywa więzienie szpitalem. W tym ponurym miejscu życie na wolności maluje się w najpowabniejszych barwach. Więzień ma kajdany u nóg - myślicie może, iż więzień sądzi, że nogi służą do chodzenia? Nie, według niego nogi służą od tańca. Toteż gdy uda mu się przepiłować kajdany, pierwszą jego myślą jest, że może teraz tańczyć, i piłę nazywa “smyczkiem”.

“Imię” to u nich “środek” - ma to związek głęboki. Bandyta ma dwie głowy: jedna obmyśla jego czyny i kieruje nim w życiu; drugą ma na karku w dniu śmierci; pierwszą głowę, która mu doradza zbrodnię, nazywa Sorboną, głowę zaś, która za zbrodnię pokutuje - pałą. Gdy człowiek ma już tylko na grzbiecie łachy, a w sercu występki, gdy doszedł do podwójnego poniżenia - moralnego i materialnego, które charakteryzują oba znaczenia słowa nędznik, dojrzał już do zbrodni; jest niby nóż dobrze wyostrzony, obosieczny, a jego dwa ostrza - to niedola i złość; toteż żargon nie nazywa go nędznikiem, lecz ciętym. Czymże są galery? To ogień potępienia, piekło. Stracić wolność to - cegłę palić. Wreszcie, jak złoczyńcy nazywają więzienie? Akademią. Cały system karny można wysnuć z tego słowa.

Chcecie wiedzieć, gdzie wylęła się większość śpiewek więziennych, owe strofki, zwane w specjalnym słownictwie *lironfa*! Posłuchajcie:

W paryskim więzieniu Châtelet był wielki, długi loch, położony osiem stóp poniżej poziomu Sekwany. Loch ten nie miał najmniejszego nawet okienka, jedynym otworem były drzwi; ludzie mogli tam wejść, powietrze - nie. Sufitem tej ciemnicy był kamienny strop, podłogą - dziesięciocalowa warstwa błota. Kamienne płyty, stanowiące niegdyś podłogę, pod wpływem przenikającej tu wody popękały i pokruszyły się. Na wysokości ośmiu stóp nad ziemią biegła przez długość całego lochu potężna belka, a z niej - w pewnych odstępach od siebie - zwisały łańcuchy długości trzech stóp, zakończone żelaznymi obręczami. Tutaj umieszczano więźniów skazanych na galery i trzymano do dnia wyjazdu do Tuluzy. Wpychano ich pod belkę, gdzie na każdego czekał łańcuch, kołysząc się w ciemnościach. Zwisające ramiona łańcuchów i otwarte szpony obroży chwytwały nieszczęsnych za szyję. Zakutych w żelaza zostawiano w lochu. Łańcuch był za krótki, by więźniowie mogli się położyć. Stali więc w lochu nieruchomo, wśród ciemności, pod tą belką, nieledwie wisząc; z niesłychanym tylko wysiłkiem mogli dosięgnąć chleba lub dzbana z wodą, nad głową mieli sklepienie, pod nogami błoto sięgające do połowy łydek, po nogach ciekły im własne

ekskrementy; wydani na tortury nie mogli ustać na nogach, czepiali się rękami łańcucha, by w ten sposób odpocząć; spać mogli jedynie stojąc i co chwila budzili się duszeni obrozą; niektórzy nie obudzili się już nigdy. Aby jeść, przesuwali stopą jednej nogi wzdłuż goleni drugiej na wysokość ręki kawał chleba, który im ciśnięto w błoto. Jak długo tak przebywali? Miesiąc, dwa miesiące, czasem pół roku; jeden więzień przetrwał tam cały rok. Taki był przedsiónek galer. A dostać się tam można było za ukradzenie królowi zająca. Co robili w tym grobowcu-piekle? To, co można robić w grobie - konali, i to, co można robić w piekle - śpiewali. Albowiem tam, gdzie już nie ma nadziei, pozostaje jeszcze śpiew. Na wodach u brzegów Malty, gdy zbliżała się galera, słychać było śpiew, zanim dał się słyszeć plusk wiosła. Biedny kłusownik Suryincent, który przeszedł przez ten loch-więzienie Châtelet, powiedział: "To wiersze mnie podtrzymywały". Bezżyteczność poezji. Na co się zdadzą wiersze? W tej to ciemnicy zrodziły się wszystkie prawie śpiewki żargonowe. Z ciemnicy Wielkiego Châtelet wywodzi się żalony refren galer Montgomery: "Rimaloumisaine, timoulamison". Większość tych piosenek jest ponura, niektóre są wesołe, a jedna - czuła:

*Nie mielim wczora fartu,  
Dziś mamy czychotkę a fras.\**

Cokolwiek uczynicie, nie zdołacie nigdy unicestwić tej niezniszczalnej resztki ludzkiego serca - miłości.

W tym świecie ciemnego występku tajemnice są zawsze święcie dochowywane. Tajemnica jest sprawą wszystkich. Tajemnica jest dla tych nieszczęśników czymś, co stanowi podwalinę ich związku. Zdradzić tajemnicę - to wydrzeć każdemu z członków tej nieujarzmionej społeczności część jego samego. Denuncjować - to w dosadnym języku złodziejskim - zakopać. Jak gdyby denuncjator zabierał dla siebie własność wszystkich i ciągnął potajemny zysk z niedoli towarzyszy.

Szperanie w żargonie przynosi na każdym kroku odkrycia. Studiowanie i zgłębianie tej dziwnej mowy prowadzi do ukrytego punktu, gdzie społeczeństwo normalne styka się ze społeczeństwem przeklętym.

Żargon - to słowo, które stało się galernikiem.

Przerazającą i zdumiewającą jest rzeczą, że myśl w człowieku może zostać tak nisko zepchnięta, że może być skrepowana i pociągnięta tam przez ciemną tyranię losów i przywiązana jakimiś więzami do tej otchłani.

O nieszczęsna myśli nędzarzy!

Biada! Czy nikt nie przyjdzie z pomocą duszy ludzkiej tonącej w mroku? Czyż udziałem jej ma być wieczne oczekiwanie na ducha oswobodziciela, tego mocarnego jeźdźca, który dosiada gryfów i pegazów, tego bojownika koloru jutrzeńki, który spływa na skrzydłach z błękitów, tego promiennego rycerza przyszłości? Czy na próżno ma wzywać na pomoc ognisty grot ideału? Jestże na wieki skazana na to, by słyszeć, jak z dna jaskini nadciąga przerażające Zło, i widzieć - coraz to bliżej pod odrażającą wodą - ten łeb smoczy, paszczę bluzgającą pianą, wężowy ruch szponów i potwornych pierścieni olbrzymiego cielska? Czyż na zawsze ma tam pozostać bez promyka światła, bez nadziei, w grozie tego straszliwego zbliżania się potwora, który wyczuł obecność ofiary, drżąca z rozpuszczonymi na wiatr włosami, załamująca dłonie, na wieki przykuta do skały nocy, nieszczęsna Andromeda, biała i naga wśród otaczających ją mroków?

---

\* Nie mieliśmy wczoraj szczęścia. Dziś tęsknimy za wolnością i miłością.

### III

#### **Żargon, który płacze, i żargon, który się śmieje**

Jak widzimy, cały żargon - i to zarówno żargon sprzed czterystu lat, jak i dzisiejszy - jest przepojony ciemnym duchem symbolizmu, który nadaje każdemu słowu to wyraz bolesny, to groźny. Czuć w nim odwieczny, drapieżny smutek żebraczych włóczęgów z Dziedzińca Cudów, grających w karty własnego pomysłu, których parę dochowało się do naszych czasów. Tak więc na przykład ósemkę trefl wyobrażało wysokie drzewo z ośmioma olbrzymimi liśćmi koniczyny - fantastyczna personifikacja lasu. Pod drzewem płonęło wielkie ognisko, przy którym trzy zajęce piekły na różnie myśliwego, w głębi zaś przy drugim ognisku, z dymiącego kotła wystawał łeb ogara. Czyż może być coś równie ponurego jak ten odwet namalowany na kartach do gry, wobec stosów, na których palono przemytników, i wobec kotłów, w których gotowano fałszerzy pieniędzy? Wszelkie formy, jakie przybierała myśl w królestwie żargonu, nawet piosenkę, nawet drwinę, nawet pogroźkę cechowała jednakowo niemoc i znękanie. Wszystkie pieśni, których kilka melodii dochowało się do naszych czasów, były pokorne i tak żalosne, że wyciskały łzy z oczu. Nędzarz nazywa się w nich "nieszczęsnym nędzarzem" i zawsze bywa zajęcem, który się ukrywa, myszką, która ucieka, lub spłoszonym ptakiem. Zaledwie ośmiela się prosić, wzdycha tylko; jeden taki jęk doszedł do nas: *Nie pojmuję, jak Bóg, ojciec ludzi, może tak dręczyć swe dzieci i wnuki, a słysząc ich krzyki, sam nie doznaje udręczenia.* Nędzarz, ilekroć ma czas na myślenie, staje się maluczki wobec prawa i bezsilny wobec społeczeństwa; pada na kolana, błaga, uderza w pokorę; widać, że poczuwa się do winy. Mniej więcej w połowie ostatniego stulecia następuje zmiana. Piosenki więzienne, śpiewki złodziejskie przybrały - że tak powiem - zuchwałą i wesołą minę. Żalosne *maluré* zostało zastąpione przez *larifla*. W każdej prawie osiemnastowiecznej piosence z galer, więzień i miejsc kaźni napotyka się jakąś szatańską, zagadkową wesołość. Słysząc w nich skoczny, piskliwy refren, jakby migający fosforycznym blaskiem i wygrany, zda się, po lasach na fujarce przez błędne ogniki.

*Mirlababi, surlababo*

*Mirliton ribon ribette,*

*Surlababi, mirlababo*

*Mirliton ribon ribo.*

Przy wtórze tej piosenki zarzynano człowieka w piwnicy lub na skaju lasu.

Znamienny objaw. W osiemnastym stuleciu rozprasza się odwieczna melancholia tych klas uciśnionych. Zaczynają się śmiać. Szydzą z pana boskiego i królewskiej mości. Za Ludwika XV nazywają króla Francji - markizem Pantin. Są prawie wesole. Jakieś blade światło zaczyna otaczać tych nędzarzy, jak gdyby sumienie przestało im ciążyć. Te godne pożałowania klany ciemności nie tylko okazują rozpaczliwe zuchwalstwo postępów, ale i beztroskie zuchwalstwo dowcipu. Znak to, że nędzarze przestają się czuć przestępcami i że czują jakieś nieuświadomione poparcie nawet wśród filozofów i myślicieli. Znak to, że kradzież i grabież przenikają aż do doktryn i sofizmatów, tracąc w ten sposób nieco swej szpetoty, lecz obdzielając ją hojnie sofizmaty i doktryny. Wreszcie - znak to, że jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, coś niezwykłego niebawem się z tego wykluje.

Wstrzymajmy się na chwilę. Kogo tu oskarżamy? Osiemnasty wiek czy jego filozofię? Nie. Dzieło osiemnastego wieku jest zdrowe i dobre. Encyklopedyści z Diderotem, fizjokraci z Turgotem, filozofowie z Wolterem i utopiści z Rousseau na czele - to cztery święte legie. Im zawdzięczamy ogromny skok ludzkości naprzód ku światłu. To cztery awangardy ludzkości, zmierzające ku czterem stronom świata postępu: Diderot ku pięknu, Turgot - ku pożytkowi. Wolter - ku prawdzie, Rousseau - ku sprawiedliwości. Ale obok i poniżej filozofów byli sofiści - trujące ziele wśród zdrowej roślinności, cykuta wśród dziewiczej puszczy. I gdy kat palił na głównych schodach Pałacu Sprawiedliwości wielkie księgi wyzwolenicze stulecia, pisarze, dziś już zapomniani, ogłaszali na podstawie przywileju królewskiego jakieś dziwaczne, destrukcyjne pisma, chciwie czytane przez nędzarzy. Niektóre z tych publikacji, wydawanych - szczególnie ciekawy - pod patronatem pewnego księcia, znajdują się w "Tajnej Bibliotece". Fakty te, znamienne, a nieznanne, nie docierały na powierzchnię. Nieraz mrok otaczający jakiś fakt stwarza jego niebezpieczeństwo. Jest niejasny, gdyż kryje się pod ziemią. Ze wszystkich tych pisarzy najszkodliwszy podkop w masach czynił może Restif de la Bretonne.

Ta praca, prowadzona w całej Europie, największe spustoszenie poczyniła w Niemczech. W pewnej epoce - przedstawionej przez Schillera w jego głośnym dramacie "Zbójcy" - kradzież i rozbój, podniesione w Niemczech do godności protestu przeciw własności i pracy, podszywały się pod pewne podstawowe, powierzchowne i fałszywe idee, na pozór słuszne, a w istocie niedorzeczne, okrywały się nimi, niejako ginęły w nich, stawały się pojęciami abstrakcyjnymi, przechodziły w teorię i w tej postaci krążyły wśród

pracowitego, cierpiącego i uczciwego ludu, bez wiedzy nierozważnych chemików, którzy tę miksturę przygotowali, a nawet bez wiedzy tłumu, który ją połykał. Fakt taki - ilekroć zdarza się - jest niebezpieczny. Cierpienie rodzi gniew; a gdy klasy posiadające ślepną lub usypiają, co jest zawsze zamykaniem oczu, nienawiść klas uciemiężonych zapala swą żagiew od płomienia jakiegoś niezadowolonego czy niezrównoważonego umysłu, dumającego na uboczu, i zaczyna obserwować uważnie społeczeństwo. Obserwacja nienawiści - to rzecz straszna!

Stąd - jeśli tak chce nieszczęście czasów - pochodzą przerażające wstrząsy, zwane niegdyś buntami chłopskimi, wobec których rozruchy czysto polityczne są dziecinną igraszką; nie są już one walką uciemiężonych z ciemnością, lecz buntem nędzy przeciw dobrobytowi. Wtedy wszystko wali się w gruzy.

Bunty chłopskie to - jak trzęsienia ziemi - trzęsienia ludu.

Temu właśnie niebezpieczeństwu, grożącemu może Europie w końcu osiemnastego wieku, zapobiegła Rewolucja Francuska, ten wspaniały akt uczciwości.

Rewolucja Francuska jest niczym innym, jak ideałem uzbrojonym w miecz; powstała, jednym szybkim ruchem zatrasnęła bramę zła i otwarła podwoje dobra.

Postawiła zagadnienie, obwieściła prawdę, przepędziła niezdrowe wyziewy, uzdrowiła wiek, na tron wyniosła lud.

Rzec by można, że po raz wtóry stworzyła człowieka, dając mu drugą duszę - prawo.

Wiek dziewiętnasty dziedziczy i korzysta z dzieła rewolucji, tak że dziś katastrofa społeczna, o której mówiliśmy przed chwilą, jest po prostu niemożliwa. Ślepy, kto ją zapowiada, głupi kto się jej boi! Rewolucja to szczepionka przeciw buntom chłopskim.

Dzięki rewolucji zmieniły się warunki społeczne. Choroby feudalne i monarchiczne nie krążą już w naszej krwi. Znikło średniowiecze z kart naszej konstytucji. Minęły dla nas czasy, gdy straszliwe wrzenie wewnętrzne wydzierało się na zewnątrz, gdy słyszało się pod stopami przebiegające ukryte drzenie głuchego grzmotu, gdy na powierzchni cywilizacji występowały jakieś kretowiska, gdy ziemia pękała, gdy otwierały się sklepienia jaskiń i gdy nagle wyłaniały się spod ziemi głowy potworów.

Sens rewolucji jest wartością moralną. Rozwój poczucia prawa pociąga za sobą rozwój poczucia obowiązku. Uprawnieniem każdego człowieka jest wolność, która kończy się tam, gdzie zaczyna się sfera wolności drugiego człowieka, jak to pięknie powiedział Robespierre. Od 1789 roku cały naród mieści się w pojęciu jednostki, której zwrócono godność, nie ma takiego nędzarza, który, posiadając prawo, nie miałby swego miejsca w społeczeństwie; każdy głodomór czuje w sobie dostojeństwo Francji; godność obywatela jest



wewnętrzna zbroja; kto jest wolny, jest uczciwy; kto ma prawo głosu, rządzi. Stąd nieprzekupność; stąd kres niezdrowych pożądań; stąd bohaterskie unikanie każdej pokusy. Uzdrowiająca siła rewolucji jest tak potężna, że w dniach wyzwolenia - takich jak 14 lipca, 10 sierpnia - znika motłoch. Pierwszy okrzyk mas osiągających prawdę i wielkość to: "Śmierć złodziejom!" Postęp jest uczciwym człowiekiem. Kto eskortował w 1848 roku furgony ze skarbami Tuileries? Gałganiarze z przedmieścia Św. Antoniego. Łachmany trzymały straż przy skarbcu. Cnota opromieniała swym blaskiem tych obdartusów. Na furgonach, w skrzyniach ledwo domkniętych albo wcale nie zamkniętych, między setkami olśniewających klejnotów leżała stara korona Francji, cała wysadzana diamentami, ozdobiona królewskim rubinem "Regentem", wartości trzydziestu milionów.

A oni boso pilnowali tej korony.

A zatem nie ma już buntów chłopskich. Żal mi zręcznych ludzi. Dawny strach stracił swoją moc i nie można się już nim posługiwać w polityce. Pękła główna sprężyna czerwonego widma. Wszyscy już o tym wiedzą. Straszak przestał straszyć. Ptaki nie lękają się stracha, siadają na nim pośmięcuszki, a ludzie śmieją się z niego.

## IV

### **Dwa zadania: czuwać i nie tracić nadziei**

Czy w tym stanie rzeczy znikło wszelkie niebezpieczeństwo społeczne? Z pewnością nie. Nie ma już buntów chłopskich. W tym względzie społeczeństwo może być spokojne, krew mu już nie uderzy do głowy; ale niech się zatroszczy o to, w jaki sposób oddycha. Nie trzeba lękać się apopleksji, ale grożą suchoty. Suchoty społeczne zaś zwą się nędzą. Śmierć nie tylko uderza, ale i draży. Powtarzamy niezmordowanie, że pierwszym obowiązkiem braterskim - niech o tym nie zapominają życzliwe serca - i pierwszą koniecznością polityczną - niech to wiedzą serca samolubne - jest myśleć w pierwszym rzędzie o wydziedziczonych i cierpiących masach, wspomagać je, oświecać i kochać, wspaniale rozszerzać im horyzonty, dostarczać hojnie wykształcenia pod każdą postacią, świecić przykładem pracy, a nigdy przykładem lenistwa, zmniejszać ciężar indywidualnego brzemienia, rozszerzając pojęcie celu ogólnego, ograniczać biedę nie ograniczając dostatku, stwarzać szerokie pole dla działalności publicznej i politycznej, mieć jak Briareus sto rąk, by je wyciągać ze wszystkich stron ku słabym i uciśnionym, używać zbiorowej siły do tego wielkiego zadania, jakim jest otwarcie warsztatów dla wszystkich rąk, szkół dla wszystkich zdolności i pracowni dla wszystkich umysłów, podnieść płace, zmniejszyć trud, zrównoważyć "ma" i "winien", czyli przystosować posiadanie do wysiłków i zaspokojenie do potrzeb, słowem, sprawić, by ku pożytkowi cierpiących i ciemnych aparat społeczny wydał z siebie więcej światła i dobrobytu.

Dodajmy jeszcze, że wszystko to jest dopiero początkiem. Istotne zagadnienie brzmi: praca nie może być prawem nie będąc również uprawnieniem.

Nie tu jednak miejsce, by się szerzej nad tą sprawą rozwodzić.

Jeśli natura zwie się Opatrznością, społeczeństwo powinno się zwać przezornością.

Rozwój intelektualny i moralny jest równie nieodzowny jak poprawa bytu materialnego. Wiedza - to wiatyk; myśl jest pierwszą koniecznością; prawda jest pokarmem jak ziarno. Rozum nie karmiony nauką i mądrością słabnie. Współczujemy głodnym żołądkom, lecz współczujemy i duchom, którym brak strawy. Jeśli istnieje coś bardziej wstrząsającego niż ciało, które kona z braku chleba, to chyba tylko dusza, która ginie z braku światła.

Cały postęp zmierza do usunięcia tego zła. Pewnego dnia zdziwią się ludzie. Gdy rodzaj ludzki dźwignie się wzwyż, najniższe warstwy w naturalny sposób wydobędą się z kręgu niedoli. Nędza zniknie przez samo podniesienie poziomu.

Błędem byłoby wątpić w to błogosławione rozwiązanie.

To prawda, że w obecnej chwili przeszłość jest bardzo mocna. Odradza się. Zadziwiające jest to odmłodzenie trupa. Oto idzie, zbliża się. Wydaje się zwycięzcą, ten umarły jest zdobywcą. Nadciąga ze swą armią zabobonów, z mieczem despotyzmu i sztandarem ciemnoty; od jakiegoś czasu wygrał już z dziesięć bitew. Posuwa się naprzód, grozi, śmieje się, staje u naszych bram. Ale nie traćmy nadziei. Sprzedajmy pole, na którym Hannibal rozłożył się obozem.

My, którzy wierzymy, czegoż mamy się obawiać?

Idea nie cofa się, podobnie jak nie cofa się bieg rzeki.

Ale nich się zastanowią ci którzy odrzucają przyszłość. Mówiąc postępowi: "nie", skazują nie przyszłość, lecz siebie. Narażają się na smutną chorobę, zaszczepiają sobie przeszłość. W jeden tylko sposób można odrzucić Jutro - umrzeć.

Nie chcemy żadnej śmierci; śmierć ciała oby przyszła najpóźniej, śmierć myśli oby nie przyszła nigdy.

Tak, zagadka sama się wyjaśni, sfinks przemówi; problem zostanie rozwiązany. Tak! Ludowi zarysowanemu przez wiek osiemnasty nada ostateczną formę wiek dziewiętnasty. Tylko głupiec może o tym wątpić! Przyszły rozkwit, niedaleki rozkwit powszechnego dobrobytu jest boskim zrządzeniem losu. Ogarniające wszystko potężne siły rządzą sprawami ludzkimi i doprowadzają je wszystkie w określonym czasie do pewnego logicznego punktu, to znaczy do równowagi, to znaczy - do sprawiedliwości. Siła, w której zespala się ziemia i niebo, rodzi się z ludzkości i kieruje ludzkością; siła ta czyni cuda; cudowne rozwiązania są dla niej równie łatwe, jak niezwykle wydarzenia. Wspomagana przez wiedzę pochodzącą od jednego człowieka i wydarzenia pochodzące od innego nie lęka się w stawianiu problemów sprzeczności, które ogółowi wydają się niepodobieństwem. Równie zręcznie wydobywa rozwiązanie ze zbliżenia poglądów, jak naukę ze zbliżenia faktów; wszystkiego można się spodziewać po tej tajemniczej sile postępu, która pewnego pięknego dnia zachód i wschód stawia naprzeciw siebie w głębi grobowca i każe imamom rozmawiać z Bonapartem we wnętrzu wielkiej piramidy.

Zanim to nadejdzie, nie czas na odpoczynki, wahania i przerwy we wspólnym pochodzie umysłów.

Filozofia społeczna jest z istoty swej nauką pokoju. Rozładowanie gniewów przez badanie antagonizmów jest jej celem i powinno być jej skutkiem. Bada, wnika, analizuje; później wiąże. Działa w drodze redukcji, strącając wszelką nienawiść.

Widziano nieraz, że społeczeństwo pada pod naporem wichru, który rozpętał się nad ludźmi, historia obfituje w takie zagłady ludów i mocarstw; pewnego dnia ta nieznana siła, ten huragan przelatuje i unosi ze sobą wszystko: obyczaje, prawa, wierzenia. Znikły jedna po drugiej cywilizacje Indii, Chaldei, Persji, Asyrii, Egiptu. Dlaczego? Nie wiemy. Jakie były przyczyny tych katastrof? Nie wiemy. Czy te społeczeństwa mogły być uratowane? Czy same zawiniły? Czy z uporem trwały przy jakimś fatalnym występku, który je zgubił? W jakim stopniu te okropne zagłady narodu lub rasy są śmiercią samobójczą? Pytania bez odpowiedzi. Mrok okrywa te skazane cywilizacje. Utonęły, a więc musiały przeciekać; i nic więcej o tym nie można powiedzieć. Z przerażeniem patrzymy, jak w głębinach morza, zwanego przeszłością, za potężnymi falami wieków, pod przerażającym tchnieniem ust ciemności toną ogromne okręty: Babilon, Niniwa, Tars, Teby, Rzym. Tam są ciemności, lecz tutaj jest jasność. Nie znamy chorób starożytnych cywilizacji, znamy ułomności naszej. Mamy prawo widzieć je w pełnym świetle, podziwiamy jej piękno i obnażamy jej skazy. Gdzie widzimy schorzenie, zapuszczamy sondę, a gdy cierpienie zostało stwierdzone, badanie jego przyczyny prowadzi do znalezienia lekarstwa. Cywilizacja nasza, dzieło dwudziestu wieków, jest zarazem potworem i cudem; warto ją ocalić. I będzie ocalona. Ulżyć jej - to już wiele; oświecić ją - to też niemało. Wszystkie wysiłki współczesnej filozofii społecznej powinny dążyć do tego celu. Myśliciel dzisiejszy ma wielkie zadanie: zbadać stan zdrowia cywilizacji. Powtarzamy, że to badanie dodaje odwagi; na tym wezwaniu do odwagi chcemy zakończyć tych kilka stron, stanowiących surowe *intermezzo* bolesnego dramatu. Pod śmiertelnością społeczną kryje się nieśmiertelność ludzka. Glob ziemski nie umiera dlatego, że tu i ówdzie ma rany kraterów i lizaje solfatar<sup>\*</sup>, że wulkan wzbiera jak wrzód i wyrzuca ropę. Choroby społeczeństw nie zabijają człowieka.

A jednak ten, kto śledzi leczenie społeczne, czasem powątpiewająco kręci głową. Najsilniejsi, najbardziej kochający, najrozumniejsi miewają chwile zwątpienia.

Czy przyszłość nadejdzie? Pytanie to wydaje się niemal uzasadnione wobec straszliwego mroku dokoła. Ponure spotkanie egoistów i nędzarzy. U egoistów - przesady, ciemnota kosztownej edukacji, żarłoczność wzmożona przez upojenie, oszołomienie pomyślnością, która przytępia słuch, lęk przed cierpieniem, wyradzający się u niektórych w odragę do tych, co cierpią, bezlitosna sytość „ja” tak wyolbrzymione, że zamyka duszę; u nę-

dzarzy chciwość, zawiść, nienawiść na widok dostatku innych, potężne wstrząsy bestii ludzkiej dążącej do nasycenia, zasnute mrokiem serca, smutek, potrzeby, fatalność, nieczysta i prostacka ciemnota.

Czy trzeba nadal wznosić oczy ku niebu? Czyliż punkt świetlisty, który się na nim rysuje, jest rzędu tych jasności, co gasną? Lęk ogarnia na widok ideału, zagubionego w przestworzach, drobnego, samotnego, ledwo dostrzegalnego, świecącego, ale otoczonego czernią wszystkich potęg gróźb, potwornie spiętrzonych wokół niego. Jednakże równie jest on bezpieczny jak gwiazda w paszczach chmur.

---

\* Solfatary - gorące wyziewy siarkowe.

**Księga ósma**

**Upojenia i smutki**

## I

### **Pełnia światła**

Czytelnik domyślił się zapewne, że Eponina, posłana przez Magnon na ulicę Plumet, poznawszy przez kartę jej mieszkankę, naprzód oddaliła bandytów od tej ulicy, a potem zaprowadzi tam Mariusza. Mariusz po kilku dniach ekstazy przed kratą ogrodu, party tą siłą, która żelazo przyciąga do magnesu, a zakochanego do domu ukochanej, wszedł nareszcie do ogrodu Kozety jak Romeo do ogrodu Julii. Przyszło mu to nawet łatwiej; Romeo musiał przeskakiwać mur, Mariusz odsunął tylko w starym ogrodzeniu jeden z prętów, chwiejający się u nasady jak zęby zgrzybiałego człowieka. Był szczupły i przesunął się bez trudu.

A że nikt nigdy tą ulicą nie przechodził, on zaś jedynie nocą wślizgiwał się do ogrodu, nie było obawy, aby go ktoś zobaczył.

Od owej błogosławionej i świętej chwili, w której pocałunek zaręczył te dwie dusze, Mariusz przychodził tam co wieczór. Gdyby w tym okresie życia Kozeta zakochała się w człowieku pozbawionym skrupułów i rozpustnym, byłaby zgubiona; istnieją bowiem wspaniałomyślne natury, które oddają się całe, a do takich właśnie natur należała Kozeta. Jedną z cech wielkoduszności kobiet jest uległość. Miłość, gdy osiągnie pełnię, łączy się z jakimś niebiańskim zaślepieniem wstydlivosti. Na ileż jednak niebezpieczeństw narażacie się, o szlachetne dusze! Często dajecie nam serce, a my bierzemy ciało. Serce wam zostaje i z drżeniem wpatrujecie się w nie w ciemnościach. Miłość nie zna celów pośrednich - gubi lub zbawia. Cały los człowieka zawiera się w tym dylemacie; żadna siła fatalna nie stawia tak nieubłaganie, jak miłość, dylematu: zguba albo zbawienie. Miłość jest życiem, jeśli nie jest śmiercią; kolebką, ale także i trumną. To samo uczucie szepcze w sercu człowieka: "nie" i "tak". Ze wszystkich dzieł Boga serce ludzkie daje najwięcej światła i - niestety - najwięcej mroku.

Bóg sprawił, że miłość, którą napotkała Kozeta, należała do rzędu tych, co zbawiają.

Przez cały miesiąc maj 1832 roku co noc, w biednym zapuszczonym ogrodzie, wśród coraz bujniejszych i coraz wonniejszych krzewów spotykały się dwie istoty, utkane z samej materii czystości i niewinności, przepojone niebiańskim szczęściem, bliższe aniołom niż ludziom, nieskalane, uczciwe, upojone, promienne, będące dla siebie nawzajem światłem jaśniejącym wśród mroków. Kozecie wydawało się, że Mariusz ma koronę, Mariuszowi - że

Kozeta ma nimb nad głową. Dotykali się, patrzyli na siebie, brali się za ręce, tulili do siebie; ale istniała pewna granica, której nie przekraczali; nie dlatego, by jej strzegli - nie wiedzieli o niej. Mariusz czuł nieprzekraczalną zaporę - czystość Kozety; Kozeta czuła niezawodne oparcie - uczciwość Mariusza. Pierwszy pocałunek był zarazem ostatnim. Od tej pory Mariusz ośmielał się tylko musnąć czasem ustami rękę, szal lub pukiel włosów Kozety. Nie była dlań kobietą, lecz cudowną wonią. Oddychał nią. Ona nie odmawiała mu niczego, on niczego nie żądał. Kozeta była szczęśliwa, Mariusz - niczego więcej nie pragnął. Żyli w tym cudownym stanie, który nazwać można by olśnieniem jednej duszy przez drugą. Był to niewysłowiony pierwszy uścisk dwóch niepokalanych duchów w sferze ideału. Spotkanie dwóch łabędzi na Jungfrau.

W tym okresie miłości, kiedy zmysły milczą ogarnięte wszechmocą ekstazy, Mariusz, ten czysty i seraficzny Mariusz byłby zdolny raczej pójść do dziewczyny ulicznej niż unieść suknię Kozety i odsłonić jej stopy. Gdy pewnego razu, w noc księżycową, Kozeta schyliła się, by podnieść coś z ziemi, i gdy stanik rozchylił się, odsłaniając nieco piersi, Mariusz odwrócił oczy.

Co działo się między tymi dwoma istotami? Nic. Ubóstwiały się.

Nocą, gdy byli razem, ogród wydawał im się miejscem świętym, żyjącym własnym życiem. Wszystkie kwiaty otwierały kielichy i słały ku nim upajającą wonie; a oni otwierali swe dusze, które spływały na kwiaty. Zmysłowa, bujna roślinność drżała pełna wzbierających soków i upojenia wokół tych dwóch niewinnych istot, a oni wypowiadali słowa miłości, które dreszczem przejmowały drzewa.

Czym były te słowa? Tchnieniem. Niczym więcej. Lecz tchnienie to wystarczyło, by wzburzyć i wzruszyć całą przyrodę. Magiczną ich moc trudno byłoby zrozumieć czytając w książce te rozmowy przeznaczone dla wiatru, który miał je unosić i rozsnuwać po liściach jak dym. Odejmijcie od szeptów dwojga zakochanych melodię, która płynie z duszy i wtóruje słowom, niby akompaniament na lirze, a zostanie wam tylko cień; powiecie wówczas: "Jak to? Tylko tyle? Nic więcej?" Tak, dziecinada, powtarzanie ciągle tego samego, wybuchy śmiechu z byle powodu, błahostki, głupstwa - to właśnie to, co jest najwznioślejsze i najgłębsze na świecie, jedyne rzeczy, które warto mówić i których warto słuchać.

Kto nigdy nie słuchał i nigdy nie mówił tych nedorzecznych, śmiesznych słów, jest człowiekiem głupim i złym.

Kozeta mówiła do Mariusza:

- Czy wiesz?...



(Wśród tego wszystkiego bowiem, w niebiańskiej niewinności, sami nie wiedząc, jak się to stało, zaczęli sobie mówić po imieniu.)

- Czy wiesz? Mam na imię Eufrazja.

- Eufrazja? Skąd znowu, przecież nazywasz się Kozeta!

- Ach, to tylko takie nieładne przezwisko, które mi dano, kiedy byłam mała. Eufrazja to moje prawdziwe imię. Nie podoba ci się?

- Owszem... Ale Kozeta też brzmi ładnie.

- Bardziej ci się podoba niż Eufrazja?

- Chyba tak...

- No to i mnie także. Rzeczywiście, Kozeta to ładne imię. Nazywaj mnie Kozeta.

Mówiła to z uśmiechem, który zmieniał ich dialog w idyllę, godną jakiegoś niebiańskiego gaju.

Kiedy indziej, wpatrując się w Mariusza, wołała:

- Pan jest piękny, mój panie, i ładny, i mądry, wcale nie jest pan głupi, jest pan o wiele bardziej ode mnie wykształcony, ale nie ustępuję panu pod jednym względem: Kocham cię.

Mariuszowi, tonącemu w błękitach, wydawało się, że to gwiazda wyśpiewała poemat.

Albo też, gdy zakaszłał, Kozeta uderzała go lekko po ramieniu i mówiła:

- Proszę nie kaszleć, mój panie! Tu nie wolno kaszleć bez mojego pozwolenia. To brzydko tak mnie niepokoić swoim kaszlem. Chcę, żebyś był zdrow, bo przecież gdybyś chorował, ja byłabym bardzo nieszczęśliwa. Powiedz, jakżeby mogło być inaczej?

Było to po prostu boskie.

Raz Mariusz powiedział Kozecie:

- Wyobraź sobie, że przez pewien czas myślałem, że ci na imię Urszula.

Śmieli się z tego przez cały wieczór.

Kiedyś, wśród innej rozmowy, wymknęły mu się słowa:

- Och, raz w Ogrodzie Luksemburskim miałem ochotę połamać do reszty pewnego inwalidę.

Tu nagle uciał i nie powiedział nic więcej. Musiałby wspomnieć Kozecie o jej podwiązce, a to było dla niego niepodobieństwem. Tu wznosiła się nieznana przeszkoda - ciało - przed którą ta bezgranicznie niewinna miłość cofała się, zdjeta jakimś świętym lękiem.

Mariusz tak właśnie wyobrażał sobie życie z Kozetą. Niczego więcej nie było mu trzeba: przychodzić co wieczór na ulicę Plumet, odsuwać usłużny pręt w ogrodzeniu, siedzieć na ławce, ramię przy ramieniu, patrzeć poprzez drzewa na migotliwe blaski zapadającej nocy, załamaniem spodni na kolanie dotykać szerokiej sukni Kozety, głaskać jej paznokcie, mówić

jej po imieniu, wachać ten sam kwiat - zawsze, w nieskończoność. Tymczasem chmury przepływały nad ich głowami. Każde tchnienie wiatru unosi więcej marzeń człowieka niż obłoków nieba.

Nie można powiedzieć, by ta czysta, płochliwa miłość była zupełnie pozbawiona zalotności. "Prawienie komplementów" ukochanej jest pierwszą formą pieśczości, półodwagą, która próbuje swych sił. Komplement - to jakby pocałunek poprzez zasłonę. Jest w nim dotknięcie zmysłowości słodkiej, lecz ukrytej. Serce cofa się przed zmysłowością, by mocniej kochać. Przepojone marzeniem czułości Mariusza były - rzecz można - niebiańskie. Ptaki przelatujące hen, w górze, w bliskości aniołów, muszą słyszeć podobne słowa. A przecież było w nich też i życie, człowieczeństwo i tyle poczucia rzeczywistości, na ile Mariusza było stać. Były to słowa, które mówi się w zacisznym ustroniu, preludium do słów, które się będzie mówiło w alkowie, liryczne wynurzenia; połączenie sonetu i strofy poematu, wdzięczne hiperbole miłosnego gruchania, bukiet wszelkich odcieni uwielbienia, tchnący delikatną, niebiańską wonią, niewymowny szczebiot dwóch serc.

- Jakaś ty piękna! - szeptał Mariusz. - Nie śmiem patrzeć na ciebie. I dlatego wpatruję się w ciebie z zachwytem. Jesteś samym wdziękiem. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Gdy twój pantofelek wysunie się spod sukienki - drzę cały. Jakie czarodziejskie światełko błyska z każdej twojej ledwie poczętej myśli. Jesteś zadziwiająco rozumna. Wydaje mi się czasem, że jesteś snem. Mów, słucham cię, podziwiam. O Kozeto! Jakie to dziwne i cudowne, ja od zmysłów odchodzę! Jesteś precudna, panienko. Przez mikroskop patrzę na twoją nóżkę, a przez teleskop na duszę.

A Kozeta mówiła:

- Kocham cię trochę więcej, więcej o ten cały czas, który upłynął od rana.

W tych rozmowach pytania i odpowiedzi padały bezładnie, lecz zawsze zmierzały zgodnie do jednego celu: miłości.

Kozeta była cała naiwnością, przejrzystością, bielą, czystością, promiennością. Rzec by można, że była świetlista. Postać jej przywodziła każdemu na myśl kwiecień i jutrzenkę. Oczy miała jak skąpane w rosie. Była światłością poranka w postaci kobiety.

Że Mariusz, ubóstwiając Kozetę, podziwiał ją, to rzecz zrozumiała. Ale trzeba przyznać, że ta mała pensjonarka świeżo wypuszczona z klasztoru, rozmawiała z czarującą bystrością i wypowiadała niekiedy najrozmaitsze myśli pełne subtelności i prawdy. Jej szczebiot był rozmową. Nie myliła się w niczym i o wszystkim miała trafny sąd. Kobieta czuje i mówi, wiedzona tkliwym a nieomylnym instynktem serca. Nikt tak jak ona nie potrafi

mówić rzeczy miłych, a zarazem głębokich. Słodczy i głębia - oto istota kobiety; oto istota nieba.

W tej pełni szczęścia - co chwila łzy napływały im do oczu. Rozgnieciona boża krówka, piórko, które spadło z gniazdka, złamana gałązka tarniny - napełniały ich litością i w swym zachwyceniu, spowitym mgłą melancholii, najbardziej - zda się - pragnęli płakać. Najistotniejszą oznaką miłości jest rozrzewnienie, niekiedy trudne prawie do zniesienia.

Ale równocześnie - sprzeczność ta jest grą światła - śmiali się chętnie i z taką czarującą swobodą, tak poufale, że czasem sprawiali wrażenie niemal dwóch chłopów. Jednakże - choć nie wiedzą o tym serca upojone czystością - wieczna natura jest zawsze przy nich. Jest - wraz ze swym celem brutalnym i wzniosłym zarazem; i nawet w najniewinniejszym spotkaniu czystych dusz wyczuwa się cudowną i tajemniczą różnicę, jaka dzieli parę kochanków od pary przyjaciół. Kozeta i Mariusz ubóstwiali się.

To, co wieczne i niezmienne, nie przestaje istnieć. Dwie istoty kochają się, uśmiechają się do siebie, śmieją, przekomarzają, splatają dłonie, mówią sobie: "ty" - a wieczność się nie zmienia. Para kochanków kryje się w wieczornym zmroku, jak ptaki i róże, serca ich promieniają z ich oczu urzekając się nawzajem; toczą ciche rozmowy, szepczą - a tymczasem nieogarniony, równomierny ruch gwiazd wypełnia nieskończoność.

## II

### Upojenie pełnią szczęścia

Oszołomieni szczęściem, żyli na pół przytomni. Nie spostrzegli, że właśnie w tym miesiącu cholera dziesiątkowała Paryż. Zwierzyli się sobie ze wszystkiego, ale te zwierzenia nie posunęły się o wiele dalej poza wymianę imion. Mariusz powiedział Kozecie, że jest sierotą, nazywa się Mariusz Pontmercy, jest adwokatem i utrzymuje się z pisania różnych rzeczy dla księgarzy; że ojciec jego był pułkownikiem, że to był bohater i że on, Mariusz, poróżnił się ze swym dziadkiem, który jest bogaty. Napomknął też, że jest baronem, ale to nie wywarło na Kozecie żadnego wrażenia. Mariusz - baronem? Nie rozumiała tego, nie wiedziała, co to słowo znaczy. Mariusz był Mariuszem. Ona zaś ze swej strony zwierzyła mu się, że wychowała się w klasztorze Petit-Picpus, że ona również nie ma matki, że ojciec jej nazywa się pan Fauchelevent i jest bardzo dobry, wspomaga hojnie biednych, ale sam jest biedny i odmawia sobie wszystkiego, jej dogadzając we wszystkim.

Dziwna rzecz, w tej jakby symfonii, w której żył Mariusz, odkąd widywał się z Kozetą, niedawna nawet przeszłość stała się dla niego tak odległa i tak się zatarała, iż opowiadania Kozety wystarczyły mu całkowicie. Nie przyszło mu nawet do głowy, by opowiedzieć jej o nocnej przygodzie w ruderze, o Thénardierach, o spalonej ręce, osobliwym zachowaniu i dziwnej ucieczce jej ojca. Na razie zapomniał o tym; wieczorem nie wiedział nawet, co robił rano ani gdzie jadł obiad, ani z kim rozmawiał; w uszach brzmiały mu pienia, które zagłuszały każdą inną myśl, żył tylko w godzinach, kiedy widywał Kozetę. Wtedy był w niebie, nic więc dziwnego, że nie pamiętał o ziemi. Oboje śniali się w upojeniu pod niepojętym brzemieniem rozkoszy duchowych. Tak żyją owi somnambulicy, których świat zwie parą zakochanych.

Któż tego nie doświadczył? I czemuż nadchodzi chwila, w której człowiek niestety opuszcza ten raj? I czemu życie toczy się potem dalej?

Kochanie zastępuje myślenie. Miłość - to żarliwe zapomnienie o wszystkim, co nie jest miłością. Nie wymagajcie logiki od namiętności. Jak w mechanizmie niebieskim nie ma idealnej figury geometrycznej, tak i w sercu ludzkim nie ma doskonale logicznych skojarzeń. Dla Kozety i Mariusza nie istniało nic poza Mariuszem i Kozetą. Cały świat zapadł się dokoła nich. Przeżywali złotą chwilę. Przed nimi nie było nic, za nimi nie było nic. Mariusz nie

zdawał sobie prawie sprawy, że Kozeta ma ojca. Umysł miał jakby przesłonięty zachwytem. O czym więc rozmawiała ta para kochanków? Wiemy już: o kwiatach, jaskółkach, zachodach słońca, wschodach księżyca - tych wszystkich ważnych sprawach. Powiedzieli sobie wszystko z wyjątkiem wszystkiego. Owo "wszystko" kochanków to "nic". Ale ojciec, rzeczywistość, tamta rudera, bandyci, tamta przygoda, po co o tym myśleć? Mariusz nie był nawet pewny, czy rzeczywiście przeżył ten przykry sen. Byli razem, we dwoje, ubóstwiali się - to tylko było rzeczywistością. Wszystko inne nie istniało. Prawdopodobnie takie zatarcie się w pamięci przeżytego piekła jest nieodłączne od dojścia do raju. Człowiek nie wie, czy naprawdę widział demony. Czy one w ogóle istnieją? Czy drżał przed nimi, czy cierpiał? Już nie wie tego: wszystko zasłania różany obłok.

Na takich to wyżynach żyły te dwie istoty w owej sferze nieprawdopodobieństwa istniejącego w naturze: zawieszony między nadirem a zenitem, między człowiekiem a aniołem, ponad ziemskim błotem, poniżej sfer niebieskich, w chmurach; będące bardziej duszą i ekstazą niż krwią i ciałem, już zbyt wysublimowane, by stąpać po ziemi, jeszcze zbyt obciążone człowieczeństwem, by ulecieć w błękity, w zawieszeniu, jak atomy, które czekają na chemiczną reakcję; pozornie niedosiężne dla losu, nie wiedzące nic o tej grząskiej koleinie, zwanej wczoraj, dziś i jutro; zachwycone, upojone, zwiewne, nieraz tak bezcielesne, że zdolne do ucieczki w nieskończoność, prawie gotowe do odlotu w wieczność.

Ukołysani, śnili na jawie. O cudowny letargu rzeczywistości przytłoczonej ideałem!

Choć Kozeta była niewymownie piękna, Mariusz nieraz zamykał przy niej oczy. Mając oczy zamknięte, najlepiej widzi się duszę.

Nie zastanawiali się, dokąd ich to zaprowadzi; uważali, że już doszli do celu. Dziwne jest uroszczenie ludzi, którzy chcą, by miłość gdzieś wiodła.

### III

#### Pierwsze smugi cienia

Jan Valjean nie domyślał się niczego. Kozeta, z natury mniej marzycielska niż Mariusz, była wesoła i to wystarczało, by Jan Valjean czuł się szczęśliwy. Myśli Kozety, jej tkliwe uczucia, obraz Mariusza wypełniający duszę nie mąciły niezrównanego blasku jej czystego, pogodnego czoła. W tym wieku dziewczyna nosi swoją miłość jak anioł lilię. Jan Valjean był tedy spokojny. Poza tym, gdy między kochankami istnieje porozumienie, wszystko układa się pomyślnie, osobę trzecią, która mogłaby zakłócić ich miłość, trzymają w doskonałej niewiedzy, za pomocą nielicznych środków ostrożności, zawsze jednakich u wszystkich zakochanych. Tak więc Kozeta nigdy i w niczym nie sprzeciwiała się woli Jana Valjean. Chciał iść na przechadzkę? Dobrze, ojczulku. Chciał pozostać w domu? Doskonale! Chciał spędzić razem z nią wieczór? Była zachwycona. A że szedł do siebie zawsze o dziesiątej, więc w te wieczory Mariusz wchodził do ogrodu dopiero po tej godzinie, gdy usłyszał z ulicy, że Kozeta otwiera oszklone drzwi na ganek. Rzecz jasna, że za dnia Mariusz nigdy się tam nie pokazywał. Jan Valjean zapomniał o jego istnieniu. Raz tylko, pewnego ranka, zapytał Kozety: “Co to? Masz ubielone plecy?” To poprzedniego wieczora Mariusz w uniesieniu przycisnął ją do ściany.

Stara Toussaint kładła się wcześniej i po skończonej pracy myślała tylko o spaniu, toteż, podobnie jak Jan Valjean, nie wiedziała o niczym.

Mariusz nigdy nie wchodził do domu. Razem z Kozetą kryli się we wnęce koło ganku, żeby ich nikt nie mógł usłyszeć ani zobaczyć z ulicy; siedzieli tam, często za całą rozmowę ściskając sobie ręce po dwadzieścia razy na minutę i spoglądając na gałęzie drzew. Gdyby wtedy piorun padł o trzydzieści kroków od nich, nawet by go nie zauważyli, tak przenikały się pochłaniając nawzajem ich marzenia.

Czystość promieniejąca. Godziny nieskalane, prawie całkowicie do siebie podobne. Taka miłość składa się z płatków lilii i piórek gołębic.

Cała szerokość ogrodu dzieliła ich od ulicy. Ilekroć Mariusz wchodził lub wychodził, starannie wsuwał na swoje miejsce pręt w ogrodzeniu, żeby nic się nie rzucało w oczy.

Odchodził zazwyczaj koło północy i wracał do Courfeyraca. Ten zaś mówił do Bahorela:

- Czy dasz wiarę? Mariusz wraca teraz o pierwszej w nocy.

Bahorel odpowiadał:

- Cóż chcesz? Cicha woda brzegi rwie.

Czasami Courfeyrac zakładał na krzyż ręce, przybierał poważną minę i mówił do Mariusza:

- Źle się prowadzisz, młodzieńcze!

Jako człowiek praktyczny, niechętnym okiem patrzył na odblask niewidzialnego rajy na twarzy Mariusza; nie był przyzwyczajony do wyjątkowych namiętności, irytowały go i nieraz usiłował przywołać Mariusza do rzeczywistości.

Pewnego ranka zwrócił się doń z przyganą:

- Mój drogi, robisz wrażenie kogoś, kto mieszka na księżycu - królestwo Marzenia, prowincja Ułudy, stolica Bańka Mydlana. No, chłopcze, powiedz, jak jej na imię?

Ale nikt nie mógł Mariuszowi "rozwiązać języka". Raczej dałby sobie wyrwać paznokcie niż wydrzeć te trzy święte zgłoski, z których składało się najcudniejsze imię: Kozeta. Prawdziwa miłość jest promienna jak świt i niema jak grób. Mariusz zmienił się dla Courfeyraca o tyle, że jego milczenie promieniało szczęściem.

W tym uroczym maju Mariusz i Kozeta poznali takie nieprawdopodobne szczęście:

Sprzeczać się i mówić sobie "pan", "pani", aby po tym milej było mówić sobie "ty".

Długo i szczegółowo opowiadać o ludziach, którzy ich nic a nic nie obchodzą; jeszcze jeden dowód, że w owej zachwycającej operze, zwanej miłością, libretto nie ma wielkiego znaczenia.

Mariusz - słuchać Kozety mówiącej o strojach.

Kozeta - słuchać Mariusza, rozprawiającego o polityce.

Słuchać, siedząc blisko siebie, turkotu wozów w ulicy Babilońskiej.

Patrzeć razem na gwiazdę w przestworzach lub na świetlika w trawie.

Milczeć razem, co jest jeszcze większą rozkoszą niż rozmowa. Itd., itd.

Tymczasem zbliżały się rozmaite powikłania.

Pewnego wieczora Mariusz spieszył na schadzkę bulwarem Inwalidów; szedł jak zwykle, ze spuszczoną głową; miał już skrócić w ulicę Plumet, gdy usłyszał tuż przy sobie głos:

- Dobry wieczór, panie Mariuszu.

Podniósł głowę i poznał Eponinę.

Doznał dziwnego wrażenia. Ani razu nie pomyślał o tej dziewczynie, od czasu gdy zaprowadziła go na ulicę Plumet; nie widział jej już później i zupełnie o niej zapomniał. Miał

w stosunku do niej dług wdzięczności, jej zawdzięczał swoje obecne szczęście, a jednak to spotkanie było mu niemiłe.

Błędem jest mniemać, że szczęśliwa i czysta miłość prowadzi człowieka do stanu doskonałości; prowadzi go tylko - jak widzieliśmy - do stanu zapomnienia. W takich okolicznościach człowiek zapomina być złym, lecz zapomina również być dobrym. Znika gdzieś wdzięczność, obowiązek, pamięć rzeczy ważnych i niemiłych. Kiedy indziej - Mariusz inaczej zachowałby się wobec Eponiny. Ale teraz, pochłonięty Kozetą, nie zdawał sobie prawie sprawy, że to Eponina, Eponina Thénardier, że nosi nazwisko zapisane przez jego ojca, nazwisko, dla którego jeszcze parę miesięcy temu gotów był na wszystko. Ukazujemy tu Mariusza takim, jakim był w istocie. W blasku cudownej miłości nawet obraz ojca zbladł w jego duszy. Odpowiedział tedy z pewnym zakłopotaniem:

- A, to pani, panno Eponino!

- Dlaczego pan nazywa mnie panią? Czy zrobiłam panu co złego?

- Nie - odpowiedział.

Oczywiście, nie miał do niej żadnej urazy. Przeciwnie. Ale czuł, że teraz, kiedy był na ty z Kozetą, nie mógł postąpić inaczej; nie mógł mówić Eponinie po imieniu.

Ponieważ milczał, zawołała:

- No, nich pan powie...

Tu urwała. Zdawało się, że tej dziewczynie, niedawno tak beztraskiej i zuchwałej, zabrakło słów. Usiłowała się uśmiechnąć i nie mogła. Powiedziała jeszcze:

- Więc?...

Po czym znowu umilkła i spuściła oczy.

- Do widzenia, panie Mariuszu - rzekła nagle i odeszła.



## IV

### Szkieł\*

Nazajutrz 3 czerwca - a 3 czerwca 1832 roku to data godna zapamiętania z powodu ważnych wypadków, które jak ciężkie burzowe chmury zawisły wówczas nad Paryżem -Mariusz szedł o zmroku tą samą drogą, co poprzedniego wieczora, z sercem pełnym tych samych rozkosznych myśli, kiedy między drzewami bulwaru spostrzegł zmierzającą ku niemu Eponinę. Dwa dni z rzędu, tego za wiele. Zawrócił szybko, skręcił z bulwaru, zmienił kierunek i poszedł na ulicę Plumet ulicą Monsieur.

Wobec tego Eponina poszła za nim aż do ulicy Plumet, co jej się nigdy nie zdarzało. Dotychczas bowiem wystarczyło jej, że go widziała, kiedy przechodził bulwarem, i nie starała się z nim spotykać. Wczoraj dopiero spróbowała z nim pomówić.

Szła więc za Mariuszem, który nie wiedział o tym. Zobaczyła, jak odsunął pręt kraty i wśliznął się do środka.

- O - rzekła. - Wchodzi do domu!

Podeszła do kraty i dotykając po kolei prętów, łatwo odnalazła ten, który Mariusz odsunął. Szepnęła ponuro:

- Co to, to nie, Lizetto!

Usiadła na podmurowaniu kraty, tuż koło ruchomego pręta, jakby go pilnowała. W tym właśnie miejscu krata stykała się z murem sąsiedniej posesji, tworząc ciemne wgłębienie, w którym Eponina znikła zupełnie.

Siedziała tak przeszło godzinę, bez ruchu, milcząca, pogrążona w myślach.

Około dziesiątej jeden z nielicznych przechodniów ulicy Plumet, jakiś stary człowiek, który spieszył do domu i szybkim krokiem mijał to miejsce odludne i nie cieszące się dobrą sławą, idąc wzdłuż kraty, zbliżywszy się do załamania między kratą a murem, usłyszał głuchy i groźny szepc:

- Nie dziwiłabym się, gdyby tu co wieczór przychodził!

Przechodzień rozejrzał się dokoła, nie zobaczył nikogo, nie odważył się zajrzeć w ciemny kąt i przeraził się bardzo. Przyśpieszył kroku.

---

\* Pies.

Dobrze zrobił, że się pośpieszył, gdyż wkrótce sześciu mężczyzn, którzy szli wzdłuż muru osobno w pewnej odległości jeden od drugiego i wyglądali na jakiś pijany patrol, weszło na ulicę Plumet.

Pierwszy, który doszedł do kraty ogrodu, zatrzymał się tam, czekając na resztę; po chwili zebrała się cała szóstka.

Zaczęli rozmawiać po cichu:

- To tu - rzekł jeden.

- Czy tu zabywa szkieł? \* - zapytał drugi.

- Nie wiem. Na wszelki wypadek miniam \* dla niego gałkę do sfrygania.\*

- Miniasz plaster, żeby sprawić lipko?\*

- Miniam.

- Krata jest stara - dodał piąty, który miał głos brzuchomówcy.

- To klawo - rzekł ten, który odezwał się drugi. - Nie zaśpiewa pod smykiem \* i nie będzie dużo kramu ze sznitem.\*

Szósty, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, zaczął oglądać kratę, jak to przed godziną robiła Eponina, ujmując ręką kolejno każdy pręt i ruszając nim ostrożnie. Tak doszedł wreszcie do pręta, który Mariusz obłuźnił. Gdy już go chwycił, jakaś ręka wysunęła się nagle z cienia i spadła mu na ramię, coś pchnęło go silnie w pierś i ochryply głos powiedział z cicha:

- Jest szkieł!

Jednocześnie wyrosła przed nim postać bladej dziewczyny.

Mężczyzna doznał wstrząsu, jaki wywołuje zawsze niespodziewane wydarzenie. Najeżył się i stał się straszny; nie ma nic groźniejszego niż widok spłoszonych drapieźników. Ich przerażenie jest przerażające. Cofnął się i wybełkotał:

- Co to za łajdaczka?

- Twoja córka.

Istotnie, to Eponina mówiła do Thénardiera.

Z ukazaniem się dziewczyny pięciu pozostałych, to znaczy Claquesous, Gueulemer, Babet, Montparnasse i Brujon zbliżyli się bez szmeru, bez pośpiechu, bez słowa, ze złowrogą powolnością, właściwą tym ludziom nocy.

---

\* Czy tu jest pies?

\* Mam.

\* Zżarcia.

\* Wybić okno.

\* Piła.

Każdy z nich miał w ręku jakieś ohydne narzędzie. Gueulemer trzymał zakrzywione obcęgi, zwane przez bandytów “wydrą”.

- A ty co tu robisz? Czego chcesz? Zwariowałaś? - krzyknął Thénardier, o ile można krzyczeć szeptem. - Po coś tu przylazła i przeszkadzasz nam w pracy?

Eponina wybuchnęła śmiechem i rzuciła mu się na szyję.

- Jestem tu, bo tak mi się podoba. Cóż to, nie wolno posiedzieć sobie na kamieniu? To wy jesteście tu niepotrzebni. Czego tu chcecie, kiedy to przecież sucharek. Powiedziałam już Magnon, że tu nie ma nic do roboty. Pocałujże mnie, kochany ojczulku. Dawno cię nie widziałam! Więc już wyszedłeś?

Thénardier spróbował uwolnić się z objęć Eponiny i mruknął:

- Dobra, dobra, jużes mnie pocałowała. Tak, wyszedłem, już nie siedzę. A teraz zmiataj stąd.

Ale Eponina nie wypuściła go z uścisku i zasypała nowymi pieszczotami.

- Jak to zrobiłeś, ojczulku? Musisz być nie lada mądrą, żeś się stamtąd umiał wydostać. Opowiedz no mi. A matka? Gdzie jest matka? Powiedz mi, co się dzieje z mamą?

Thénardier odrzekł:

- Jest zdrowa, nie wiem zresztą, puść mnie. Powiadam ci, idź stąd!

- A właśnie że nie chcę - odpowiedziała Eponina z miną rozkapryszzonego dziecka. - Nie widzieliśmy się przez cztery miesiące, ledwo cię uściskałam, a ty mnie odpędzasz.

I znów objęła ojca za szyję.

- Co za głupstwa - rzekł Babet.

- Spieszmy się! - rzekł Gueulemer. - Bo jeszcze gliny nadejdą.

Głos brzuchomówcy wyskandował dwuwiersz:

*Dziś nie Wielkanoc, moja dzierlatko,*

*By się fladrować\* z mamą i z tatką.*

Eponina odwróciła się do pięciu bandytów:

- A, to pan Brujon. Dzień dobry panu, panie Babet, dzień dobry, panie Claquesous. Cóż to, pan mnie nie poznaje, panie Gueulemer? Jak się masz, Montparnasse?

- Dobra, dobra, każdy cię już poznał - rzekł Thénardier. - A teraz dobranoc, do widzenia, zjeżdżaj stąd i daj nam święty spokój.

---

\* Z cięciem.

\* Pieścić.

- Teraz lisy wychodzą na żer, a nie kwoczki - rzekł Montparnasse.

- Widzisz przecie, że idziemy tu na klawisz\* - dodał Babet.

Eponina ujęła Montparnasse'a za rękę.

- Uważaj - powiedział - bo się zatniesz; mam knyp\* otwarty.

- Mój kochany - rzekła Eponina ze słodyczą - trzeba mieć zaufanie do ludzi. Jestem chyba córką mojego ojca. Panie Babet, panie Gueulemer, przecież to ja miałam zbadać tę sprawę.

Rzecz godna uwagi: Eponina nie mówiła językiem złodziejskim. Od czasu poznania Mariusza ten szkaradny żargon nie mógł jej przejść przez gardło.

Ręką wątlą i kościstą jak dłoń szkieletu ścisnęła wielką rękę Gueulemera i mówiła dalej:

- Wiecie dobrze, że nie jestem głupia. Zazwyczaj ufacie mi. Oddałam wam niejedną przysługę. Otóż wywiedziałam się o wszystkim i powiadam wam, szkoda czasu i atłasu. Przysięgam, że w tym domu nie ma nic do roboty.

- Tu są samotne kobiety - rzekł Gueulemer.

- Nie, już się wyprowadziły.

- Ale świece się nie wyprowadziły! - rzekł Babet.

I poprzez górne gałęzie drzew pokazał Eponinie światło, które poruszało się na strychu pałacyku.

Mimo spóźnionej pory stara Toussaint nie spała jeszcze i rozwieszała bieliznę.

Eponina zaryzykowała ostatnią próbę:

- Ależ to biedni ludzie - rzekła. - W całym domu nikt nie ma złamanego szeląga.

- Wynoś się do diabła! - zawołał Thénardier. - Jak przetrząśniemy chałupę i przewrócimy wszystko do góry nogami od piwnicy po strych, to ci powiemy, co tam jest, czy patyki, czy lisy, czy szmelc\*.

I odepchnął ją, chcąc przejść.

- Kochany przyjacielu Montparnasse - rzekła Eponina - ty jesteś poczciwy chłopak, proszę cię, nie wchodźcie!

- Uważaj, mówię ci, bo się możesz zaciąć! - odparł Montparnasse.

Thénardier odezwał się właściwym sobie, stanowczym tonem:

- Zjeżdżaj, córko, i daj ludziom spokojnie labdać\*.

---

\* Kradzież z włamaniem.

\* Nóż.

\* Tysiące, setki czy drobne pieniądze.

\* Pracować.

Eponina puściła rękę Montparnasse'a, którą uchwyciła, i spytała:

- Chcecie więc wejść do tego domu?

- Ano niby! - odrzekł z szyderczym śmiechem bruchomówca.

Teraz dziewczyna oparła się o kraty i patrząc prosto w twarz sześciu uzbrojonym po zęby bandytom, których rysy nabrały w nocy szatańskiego wyrazu, rzekła cichym i stanowczym głosem:

- Ale ja nie chcę.

Zatrzymali się zdumieni. Tylko bruchomówca śmiał się szyderczo. Eponina mówiła dalej:

- Posłuchajcie uważnie, przyjaciele. To nie żarty. Teraz ja mówię. Jeżeli wejdziecie do ogrodu, jeżeli tylko dotkniecie tej kraty, będę krzyczeć, walić do drzwi, obudzę ludzi i sprowadzę żandarmów, żeby was wszystkich nakryli.

- Ona to zrobi - rzekł cicho Thénardier do Brujona i bruchomówcy.

Przytaknęła ruchem głowy i dodała:

- Zaczynając od mojego ojca!

Thénardier zbliżył się do córki.

- Nie za blisko, staruszkule! - zawołała.

Cofnął się, mrużąc przez zęby:

- Co się jej stało? - i dodał: - Suko!

Eponina wybuchnęła jakimś okropnym śmiechem:

- Jak wam się podoba, ale nie wejdziecie. Nie jestem suką, jestem córką wilka. Jest was sześciu - i cóż z tego? Wy jesteście mężczyźni, a ja jestem kobieta, ale nie boję się was wcale. Powiadam wam, że nie wejdziecie do tego domu, bo tak mi się podoba. Zbliźcie się tylko, a zacznę szczekać. Powiedziałam wam, że tu jest szkieł. Ten szkieł - to ja. Gwiżdżę na was. Wynoście się stąd, mam was dosyć! Idźcie, gdzie chcecie, ale tu nie przychodźcie, zabraniam wam! Wy z nożami, ja z pantoflem, wszystko mi jedno, zbliźcie się tylko!

Postąpiła krok ku bandytom. Była straszna. Znowu wybuchnęła śmiechem.

- Dalibóg, że się nie boję! I tak w lecie będę zdychała z głodu, a w zimie będę marzła. Śmieszne są te głupie chłopy, myślą, że nastraszą dziewczynę! Nastraszą - czym? Pęknać można ze śmiechu! Dlatego że macie kochanki-szurgoty, co włożą ze strachu pod łóżko, jak na nie rozdzieracie gębę, myślicie, żeście tacy straszni? Ja tam niczego się nie boję!

Utkwiła wzrok w Thénardierze i dodała:

- Nawet ciebie!

Po czym mówiła dalej, wodząc po bandytach nabiegłymi krwią oczami upiora:

- A cóż mi z tego, że jutro znajdą mnie tu, na ulicy Plumet, zadźganą nożem przez własnego ojca albo za rok wyłowią w Saint-Cloud czy na Łabędziej Wyspie razem ze starymi, zgniłymi korkami i ścierwem potopionych psów?

Tu musiała przerwać i zaniosła się suchym kaszlem; oddech wydobywał się chrapliwie z jej wątej, zapadłej piersi.

Po czym mówiła dalej:

- Niech tylko krzyknę, a zbiegną się ludzie i adiu Fruziu! Was jest sześciu, ale ja starczę za cały świat.

Thénardier uczynił ruch w jej kierunku.

- Nie zbliżaj się! - krzyknęła.

Zatrzymał się i rzekł łagodnie:

- Nie, to nie, nie zbliżę się, ale ty nie mów tak głośno. Cóż to, córeczko, chcesz nam przeszkadzać w pracy? A przecież musimy zarabiać na chleb. Nie kochasz już swojego ojca?

- Nie zawracaj głowy - odrzekła Eponina.

- Musimy przecież z czegoś żyć, musimy jeść...

- Zdychajcie!

To powiedziawszy, usiadła na murku przy kracie nucąc:

*Rączki pulchniutkie,*

*Nóżki zgrabniutkie,*

*Na próżno tracę czas.*

Oparła łokieć na kolanie, brodę na dłoni i z obojętną miną machała nogą. Przez dziury w sukni widać było chude obojczyki. Stojąca obok latarnia oświecała jej profil i postać. Trudno było wyobrazić sobie coś bardziej zdecydowanego i zdumiewającego.

Bandyci, widząc ze zdziwieniem i złością, że jedna dziewczyna trzyma ich w szachu, stanęli w cieniu latarni i zaczęli się naradzać, wzruszając ramionami, upokorzeni i wściekli.

Eponina przyglądała im się ze spokojem i groźnym wyrazem twarzy.

- Coś w tym jest - rzekł Babet. - Ona ma jakiś powód. Może zakochała się? Ale szkoda marnować okazję. Dwie kobiety i stary, który mieszka w podwórzu. W oknach wiszą wcale niezłe firanki. Stary to pewno bałtacz\*. Myślę, że to dobry interes.

- No to wejdźcie! - zawołał Montparnasse. - Bierzcie się do roboty. Ja tu zostanę z dziewczyną i jeżeli się ruszy...

Tu błysnął w świetle latarni ostrzem noża, który trzymał otwarty w rękawie.

Thénardier milczał i zdawał się gotów na wszystko.

Brujon, który był dla nich niemal wyrocznią i jak wiadomo “naraił” robotę, jeszcze się nie odezwał. Zdawał się zamyślony. Miał opinię człowieka, który nie cofa się przed niczym, i wiadomo było, że raz, dla fantazji, obrabował posterunek żandarmerii. Poza tym układał wiersze i piosenki, dzięki czemu miał wielki autorytet.

Babet zagadnął go:

- Nic nie mówisz, Brujon?

Brujon milczał jeszcze chwilę, pokręcił głową w tę i w tamtą stronę i wreszcie zdecydował się przemówić:

- Posłuchajcie: dziś rano widziałem dwa bijące się wróble, dziś wieczór natykam się na kłócaącą się kobietę. To zły znak. Idźmy stąd.

I poszli.

Odchodząc Montparnasse mruknał:

- Wszystko jedno, ale gdyby co do czego, to bym ją stuknął.

Babet odpowiedział:

- A ja nie. Nigdy nie podnoszę ręki na damę.

Na rogu ulicy przystanęli i wymienili półgłosem kilka zagadkowych zdań następującej treści:

- Gdzie będziemy spać tej nocy?

-Pod Pantinem\*.

- Thénardier, masz przy sobie klucz od kraty?

- No, pewnie.

Eponina, która nie spuszczała z nich oczu, zobaczyła, że zawracają w stronę, z której przyszli. Wstała i zaczęła pełznąć za nimi wzdłuż murów i domów. Tak odprowadziła ich do bulwaru. Tu rozeszli się w różne strony. Eponina widziała, jak sześciu mężczyzn zagłębiło się w ciemność, jak gdyby rozplywając się w mroku.

---

\* Żyd.

\* Paryżem.

## V

### Nocne sprawy

Po odejściu bandytów ulica Plumet odzyskała swój spokojny wygląd nocny.

To, co się działo przed chwilą na tej ulicy, nie zdziwiłoby leśnych ostępów. Knieje, zarośla, wrzosowiska, splątane gałęzie, bujne zielska żyją ponurym życiem; dzikie kłębowisko dostrzega tam nagłe pojawienie się tego, co niewidzialne; to, co znajduje się poniżej człowieka, poprzez mgłę widzi tam to, co jest poza człowiekiem; i rzeczy, o których my, ludzie, nie wiemy, spotykają się tam ze sobą w ciemnościach nocy. Najeżona i dzika przyroda wzdryga się, gdy nadciąga coś, w czym wyczuwa nadprzyrodzoność. Ciemne moce znają się między sobą i w tajemniczy sposób równoważą. Kły i pazury boją się tego, co nieuchwytnie. Krwiożercza zwierzęcość, nienasycona żarłoczność w pogoni za łupem, instynkty zbrojne w szpony i szczęki, których jedynym motywem działania i jedynym celem jest zaspokojenie głodu, patrzą i z niepokojem wietrzą niewzruszony, widmowy kształt, który sunie spowity całunem, stoi w długiej powiewnej szacie i wydaje się żyć jakimś straszonym martwym życiem. Ta zwierzęcość, będąca samą materią, odczuwa mglisty lęk przed zetknięciem się z nieogarnioną tajemniczością, skupioną w nieznaną istotę. Przed ciemną postacią, spotkaną na swej drodze, zatrzymuje się nagle każde dzikie zwierzę. To, co wyłania się z mogiły, onieśmiela i niepokoi to, co wyłazi z legowiska. Dzika istota boi się istoty złowróźbnej, wilki uciekają przed upiorem.



## VI

### **Mariusz do tego stopnia wraca do rzeczywistości, że zostawia Kozecie swój adres**

Podczas kiedy ten pies w ludzkiej postaci warował przy kracie ogrodu i sześciu bandytów ustępowało przed jedną dziewczyną. Mariusz był przy Kozecie. Nigdy niebo nie było bardziej wygwieżdzone i piękniejsze, drzewa bardziej drżące, woń ziół bardziej przenikliwa; nigdy głosy ptaków, usypiających wśród listowia, nie były słodsze; nigdy wszechświat harmonią swej pogody nie wtórował tak zgodnie wewnętrznej muzyce miłości; nigdy Mariusz nie był bardziej zakochany, szczęśliwy, upojony zachwytem. Ale zastał Kozetę smutną. Musiała przed chwilą płakać. Miała zaczerwienione oczy.

Była to pierwsza chmurka w tym czarownym śnie.

Mariusz zapytał:

- Co ci jest?

Odpowiedziała:

- Powiem ci.

Potem usiadła na ławce przy ganku, a gdy on siadał przy niej drżąc z niepokoju, mówiła dalej:

- Ojciec powiedział mi dziś rano, żebym się przygotowała do podróży, że ma jakieś sprawy do załatwienia i może wyjedziemy.

Mariusz zadrżał od stóp do głów.

U kresu życia - umrzeć znaczy odejść, u początku życia - odejść znaczy umrzeć.

Od sześciu tygodni Mariusz z każdym dniem, powoli, nieznacznie, stopniowo brał Kozetę w posiadanie. Posiadanie czysto idealne, lecz głębokie. Jak to już wyjaśniliśmy, w okresie pierwszej miłości bierze się duszę dużo wcześniej niż ciało; później bierze się ciało dużo wcześniej niż duszę; a czasem duszy nie bierze się wcale. Ludzie tego pokroju co Faublas i Prudhomme dodają: "bo dusza nie istnieje"; ale, na szczęście, sarkazm ten jest bluźnierstwem. Mariusz posiadał więc Kozetę, posiadał tak, jak posiada duch, ale otulił ją całą swą duszą i trzymał zazdrośnie z niezachwianym przeświadczeniem posiadania. Do niego należał jej uśmiech, oddech, woń szaty, świetlista głębia niebieskich źrenic, atłasowa skóra ręki, którą gładził, rozkoszne znamię na szyi, wszystkie myśli. Umówili się, że co noc

będą śnić o sobie, i dotrzymywali słowa. Posiadał więc wszystkie sny Kozety. Wpatrywał się i nieraz muskał oddechem małe kędziorki wijące się na jej karku i był przeświadczony, że każdy, najmniejszy włoszek należy do niego - do Mariusza. Podziwiał i uwielbiał jej stroje, kokardy, rękawiczki, mankieciki, pantofelki, niby przedmioty święte, których był panem i władcą. Myślał, że jest panem tych ślicznych szylkretowych grzebyków, wpiętych w jej włosy, i nawet mówił sobie - był to głuchy i niewyraźny szept budzącej się żądz - że każda tasiemka u jej sukni, każde oczko w pończosze, każda zakładka w staniku należy do niego. Siedząc przy Kozecie, czuł, że jest przy swojej własności, przy swojej rzeczy, przy swoim tyranie i swojej niewolnicy. Zdawało się, że dusze ich tak zespoliły się ze sobą, że gdyby chcieli je rozdzielić, nie mogliby ich rozpoznać: "To moja". - "Nie to moja". "Zapewniam cię, że się mylisz. To jestem ja". - "To, co bierzesz za siebie, to właśnie jestem ja". Mariusz stał się jak gdyby częścią Kozety, a Kozeta częścią Mariusza. Czuł, że Kozeta w nim żyje. Mieć Kozetę, posiadać Kozetę, było dlań tym samym co oddychać. I teraz właśnie, gdy żył tą wiarą, upojeniem, posiadaniem dziewiczym, niezwykłym i absolutnym, gdy czuł się wszechwładnym panem, padły nagle słowa: "Wyjeżdżamy", i brutalny głos rzeczywistości zawołał: "Kozeta nie jest twoja!"

Mariusz obudził się. Od sześciu tygodni żył - jak wspominaliśmy - poza życiem. Słowo "wyjechać" szorstko przywołało go do życia.

Nie znalazł odpowiedzi. Kozeta poczuła tylko, że ma bardzo zimną rękę. Teraz ona z kolei zapytała:

- Co ci jest?

Odpowiedział tak cicho, że go ledwie dosłyszała:

- Nie rozumiem, co powiedziałaś.

- Dziś rano ojciec mi powiedział - powtórzyła - żebym przyszykowałam wszystkie moje rzeczy i była gotowa, że da mi swoją bieliznę do zapakowania, że musi wyjechać, że wyjeżdżamy, że potrzebny będzie duży kufer dla mnie, a mały dla niego, że wszystko trzeba przygotować w ciągu tygodnia, że może pojedziemy do Anglii.

- Ależ to potworne! - zawołał Mariusz

To pewne, że w tej chwili, zdaniem Mariusza, żadne nadużycie władzy, żadna przemoc, żaden gwałt najstraszniejszych tyranów, żaden postępek Buzyrysa, Tyberiusza czy Henryka VIII nie mógł się równać z okrucieństwem faktu, że pan Fauchelevent zabierał córkę do Anglii, bo tam miał interesy do załatwienia.

Zapytał słabym głosem:

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Nie powiedział kiedy.

- A kiedy wrócisz?

- Nie powiedział kiedy.

Mariusz wstał i zapytał chłodno:

- Jedzie pani, panno Kozeto?

Kozeta podniosła na niego swoje śliczne, pełne udręki oczy i odpowiedziała jak nieprzytomna:

- Gdzie?

- Do Anglii. Jedzie pani?

- Dlaczego mi mówisz: pani?

- Pytam, czy pani jedzie?

- Cóż mam zrobić? - odrzekła składając ręce.

- A więc jedzie pani?

- Jeżeli ojciec jedzie?

- A więc jedzie pani?

Kozeta ujęła rękę Mariusza i ścisnęła ją bez słowa.

- Dobrze - rzekł Mariusz. - A zatem ja pojedę gdzie indziej.

Kozeta wyczuła raczej, niż zrozumiała znaczenie tych słów; zbladła tak bardzo, że w ciemności widać było jej białą twarz.

Wyjąkała:

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Mariusz popatrzył na nią, potem z wolna podniósł oczy ku niebu i odrzekł:

- Nic.

Kiedy spuścił oczy, ujrzał, że Kozeta uśmiecha się do niego. Uśmiech kochanej kobiety świeci jasnością widoczną w nocy.

- Jacyż my jesteśmy niemądrzy! Mariuszu, mam pomysł!

- Jaki?

- Jedź z nami! Powiem ci dokąd! Przyjedź tam, gdzie ja będę!

Mariusz obudził się już zupełnie. Spadł z obłoków do rzeczywistości i zawołał:

- Jechać z wami? Oszalałaś? Na to trzeba pieniędzy, a ja ich nie mam. Jechać do Anglii! Ależ ja jestem winien, sam już nie wiem ile, ale chyba z dziesięć luidorów Courfeyracowi, jednemu z moich przyjaciół, którego nie znasz. Mam stary kapelusz, niewart trzech franków, surdut z poobrywanymi guzikami z przodu, podartą koszulę, dziurawe łokcie i dziurawe buty. Od sześciu tygodni nie myślę o tym i nic ci nie mówiłem. Jestem nędzarzem,

Kozeto! Widujesz mnie tylko w nocy i darzysz swoją miłością, ale gdybyś mnie zobaczyła w dzień, obdarzyłabyś mnie jałmużną. Jechać do Anglii! Ależ ja nie mam nawet na opłacenie paszportu.

Oparł się gwałtownie o stojące w pobliżu drzewo, splótłszy ręce nad głową i przytulając czoło do kory; nie czuł ani jej szorstkości, która kaleczyła mu skórę, ani gorączki, która młotem biła mu w skroniach, nieruchomy, bliski upadku, jak posąg rozpaczny.

Długo stał w tej pozycji. W takich otchłaniach można trwać wieczność. Wreszcie odwrócił się. Usłyszał za sobą stłumiony szmer cichy i żalony.

To szlochała Kozeta.

Płakała tak od dwóch godzin obok pogrążonego w myślach Mariusza.

Podszedł do niej, padł na kolana i chyląc się powoli do ziemi ujął koniec jej stopy, która wychyliła się spod sukienki, i pocałował ją.

Nie broniła mu. Są chwile, w których kobieta - niby chmurna bogini - przyjmuje kult miłości.

- Nie płacz - rzekł.

- Jeżeli ja mam wyjechać, a ty nie możesz wyjechać z nami! - wyszeptała.

Zapytał znowu:

- Kochasz mnie?

Odpowiedziała mu wśród łkań tym niebiańskim słowem, które najczarowniej brzmi przez łzy:

- Ubóstwiam cię!

A on ciągnął dalej głosem, który był jak najczulsza pieśń:

- Nie płacz. Proszę, zrób to dla mnie i przestań płakać.

- A ty mnie kochasz? - zapytała.

Wziął ją za rękę:

- Kozeto, nigdy nikomu nie dawałem słowa honoru, boję się słowa honoru. Czuję wtedy obecność ojca. Otóż daję ci najświętsze słowo honoru, że jeżeli ty wyjedziesz - ja umrę.

Wymówił te słowa tonem pełnym tak uroczystego i spokojnego smutku, że Kozeta zdrzała. Poczowała chłód, którym przejmują bliskość tego, co tchnie grozą i prawdą jednocześnie. Dreszcz przerwał jej szloch.

- A teraz posłuchaj - rzekł. - Nie czekaj na mnie jutro.

- Dlaczego?

- Czekaj na mnie pojutrze.

- Ach, dlaczego?

- Zobaczysz.

- Cały dzień nie widzieć ciebie? To niemożliwe!

- Poświęćmy jeden dzień, żeby mieć może całe życie.

Tu Mariusz dodał półgłosem do siebie:

- Ten człowiek nie zmienia nigdy swoich zwyczajów i nikogo jeszcze nie przyjął w dzień.

- O kim mówisz? - spytała Kozeta.

- Ja? Ja nic nie mówię.

- Więc czego się spodziewasz?

- Poczekaj dwa dni.

- Chcesz tego?

- Tak, Kozeto.

Ujęła jego głowę w obie dłonie, wspięła się na palce i zajrzała mu w oczy, szukając w nich nadziei dla siebie. Mariusz mówił dalej:

- Myślę, że powinnaś znać mój adres, bo kto wie, co się może zdarzyć. Mieszkam u przyjaciela, nazwiskiem Courfeyrac, przy ulicy Szklarskiej numer 16.

Sięgnął do kieszeni, wyjął scyzoryk i wrył nim na tynku ściany: "Szklarska numer 16".

Tymczasem Kozeta znów zaczęła wpatrywać mu się w oczy.

- Powiedz mi, Mariuszu, co masz na myśli. Ty coś planujesz. Powiedz mi, ach, powiedz mi, żebym mogła spać spokojnie.

- Co wymyśliłem? Oto, że niemożliwe, żeby Bóg chciał nas rozłączyć. Czekaj na mnie pojutrze.

- A cóż ja będę robiła przez ten czas? - zapytała Kozeta. - Ty jesteś swobodny, możesz iść, gdzie chcesz. Szczęśliwi ci mężczyźni! A ja zostanę sama. O, jak mi będzie smutno! Co chcesz zrobić jutro wieczorem, powiedz?

- Chcę spróbować pewnej rzeczy.

- A więc będę się modlić i myśleć o tobie przez cały czas, żeby ci się powiodło. Nie pytam o nic, bo nie chcesz. Jesteś moim panem. Jutro zaśpiewam wieczorem tę pieśń z "Eurianty", którą tak lubisz i której słuchałeś kiedyś wieczorem pod moim oknem. Ale pojutrze przyjdiesz wcześniej. Będę cię czekała punktualnie o dziewiątej. Uprzedzam! Mój Boże, jak to smutno, że dni są takie długie! Słyszysz - punkt o dziewiątej będę w ogrodzie.

- I ja też.

I bez słowa, kierowani jedną myślą, porwani tym prądem elektrycznym, który nieustannie przebiega między kochankami, oboje upojeni rozkoszą w cierpieniu samym, padli sobie w ramiona, nie wiedząc o tym, że usta ich złączyły się w pocałunku, podczas gdy wzniesione ku niebu oczy, pełne zachwyty i skąpane we łzach, wpatrywały się w gwiazdy.

Mariusz wyszedł, ulica była pusta. Eponina odprowadzała właśnie bandytów na bulwar.

Gdy Mariusz rozmyślał, z głową opartą o drzewo, przyszedł mu pewien pomysł, pomysł, który - niestety - sam uważał za niemożliwy i niedorzeczny. Powziął rozpaczliwe postanowienie.

## VII

### Stare serce spotyka się z młodym

Dziadek Gillenormand miał w owym czasie dziewięćdziesiąt jeden lat z okładem. Mieszkał nadal wraz z panną Gillenormand przy ulicy Panien Kalwaryjskich numer 6. Był to, jak pamiętamy, jeden z tych starców minionej epoki, którzy czekają śmierci wyprostowani i których ani brzemień lat, ani zgryzoty nie zdołają ugiąć.

Jednakże od pewnego czasu córka jego mawiała: "Ojciec się posunął". Nie policzkował już sług i z mniejszą energią walił laską w podest schodów, gdy Baskijczyk spóźniał się z otwarciem drzwi. Rewolucja lipcowa wzburzyła go zaledwie na sześć miesięcy. Z umiarkowanym podnieceniem wyczytał w "Monitorze" takie zestawienie wyrazów: pan Humblot-Conte - par Francji. Starzec był właściwie bardzo przygnębiony. Nie załamывał się i nie poddawał, bo to nie leżało ani w jego naturze fizycznej, ani moralnej, ale czuł, że słabnie wewnątrz. Od czterech lat czekał na Mariusza z niezachwianym przekonaniem - to jest właściwe określenie - że ten ladaco prędzej czy później zadzwoni do jego drzwi; a teraz zdarzały się ponure godziny, kiedy mówił sobie, że jeśli Mariusz każe czekać na siebie jeszcze dłużej... Nie śmierci się bał, ale myśli, że może nigdy już nie zobaczy Mariusza. Nie zobaczyć Mariusza - dotąd podobna myśl ani razu nie powstała mu w głowie; teraz zaś zaczęła się pojawiać i przejmowała go trwogą. Jak to zawsze bywa przy uczuciach wrodzonych i prawdziwych, nieobecność wzmogła jeszcze miłość dziadka do niewdzięcznego wnuka, który poszedł w świat. W grudniowe mroźne noce najczęściej myślimy o słońcu. Pan Gillenormand nie był zdolny lub wydawało mu się, że nie jest zdolny uczynić - on, dziadek - pierwszego kroku pojednawczego. "Krew by mnie zalała!" - mówił. Nie miał sobie nic do wyrzucenia, ale myślał o Mariuszu z najgłębszą tkliwością i niemą rozpaczą starca, który odchodzi w ciemność.

Zaczął też tracić zęby, co zwiększało jeszcze jego przygnębienie.

Pan Gillenormand - nie przyznając się wszakże sobie do tego, wprawiłoby go to bowiem w złość i zawstydziło głęboko - nie kochał nigdy żadnej ze swych kochanek tak jak Mariusza.

Kazał sobie powiesić naprzeciw łóżka - tak, aby budząc się mieć go od razu przed oczami - stary portret swojej drugiej córki, zmarłej pani Pontmercy, zrobiony, gdy miała lat

osiemnaście. Wpatrywał się ciągle w ten portret. Pewnego razu powiedział przyglądając mu się:

- Uważam, że jest podobny.

- Do mojej siostry? - podchwyciła panna Gillenormand. - O tak.

A starzec dodał:

- I do niego także.

Pewnego dnia, kiedy siedział, ściągnąwszy kolana, z przymkniętymi oczyma, w postawie wyrażającej wielkie przygnębienie, córka ośmieliła się zapytać:

- Ojczy, czy zawsze czujesz tę samą urazę?...

Urwała nie mając odwagi dokończyć.

- Do kogo? - zapytał.

- Do biednego Mariusza?

Podniósł swą starą głowę, położył na stole wychudłą pomarszczoną dłoń i zawołał z największą irytacją i przejęciem:

- Biedny Mariusz, powiadasz waćpanna? Ten panicz to hultaj, ladaco, firecyk, niewdzięcznik bez serca i bez duszy, zarozumialec, szelma!

I odwrócił głowę, by córka nie dostrzegła łzy w jego oku. W trzy dni później przerwał milczenie, w którym się pogryzał od czterech godzin, by zniemacka odezwać się do córki:

- Miałem już honor prosić raz pannę Gillenormand, żeby nigdy ze mną o tym nie mówiła.

Ciotka Gillenormand zrezygnowała z wszelkich prób i postawiła taką wnikliwą diagnozę: "Ojciec nie bardzo kochał moją siostrę od czasu, gdy popełniła to głupstwo. Mariusza nie cierpi - to oczywiste". "Od czasu gdy popełniła to głupstwo" - znaczyło - od czasu gdy poślubiła pułkownika.

Zresztą, jak to było do przewidzenia, pannie Gillenormand nie udało się podstawić na miejsce Mariusza swego ulubieńca, oficera lansjerów. Ewentualny następca, Teodul, nie spodobał się. Pan Gillenormand nie zgodził się na zamianę. Pustki serca nie zapelniłby co. Ze swej strony Teodulowi, choć miałby chętkę na spadek po dziadku, nie uśmiechały się zabiegi o jego względy. Starzec nudził lansjera, a lansjer drażnił starca. Pan porucznik Teodul był niewątpliwie wesoły, ale gadatliwy; frywolny, ale wulgarny; hulaka, ale w złym guście; miał kochanki, to prawda, i wiele o nich mówił, to także prawda, ale mówił w niewłaściwy sposób. Każda jego zaleta miała jakąś wadę. Pana Gillenormand nużyły jego przechwałki na temat przygód miłosnych w okolicy koszar przy ulicy Babilońskiej. Na domiar złego po-



rucznik Gillenormand przychodził czasem w mundurze z trójkolorową kokardą - to czyniło go nie do zniesienia. Ojciec rzekł w końcu do córki:

- Dość mam twojego Teodula. Przyjmuj go sama, jeśli chcesz. Ja w czasie pokoju nie gustuję w wojakach. Z dwojga złego chyba wolę już prawdziwych rębajłów od tych fircyków, co paradują z szablą u boku. Szczęk ostrzy w czasie bitwy jest ostatecznie lepszy od brząkania szablą po bruku. A przy tym puszyć się jak junak i ścisnąć w pasie jak kokietka, nosić gorset pod zbroją - to już podwójna głupota. Prawdziwy mężczyzna równie unika fanfaronady, jak pretensjonalności. Nie jest ani zabijaką, ani lalką. Bierz sobie swojego Teodula.

Na próżno perswadowała mu córka:

- Przecież to ojca stryjeczny wnuk!

O ile jednak dla pana Gillenormand rodzony wnuk był wszystkim, o tyle stryjeczny niczym.

W istocie, ponieważ był człowiekiem rozumnym - przez porównanie z Teodulem coraz bardziej żałował Mariusza.

Pewnego wieczora, było to 4 czerwca, co nie przeszkadzało, że u pana Gillenormand palił się suty ogień na kominku, starzec odesłał córkę, która szyła w przyległym pokoju. Został sam w swojej sypialni ozdobionej pasterskimi scenami, nogi oparł o kratę kominka i na pół zasłonięty dużym parawanem z koromandelskiej laki, siedział wygodnie w swoim wyściełanym fotelu i oparty o stół, na którym płonęły dwie świece pod zielonym abażurem, trzymał w ręku książkę, ale jej nie czytał. Ubrany był na wzór elegantów z czasów swojej młodości i przypominał stary portret Garata. Gdyby tak wyszedł na ulicę, zwracano by na niego uwagę, toteż córka wkładała mu, gdy wychodził, szeroki płaszcz z peleryną, który okrywał jego strój. W domu chodził w szlafroku tylko rano po wstaniu i wieczorem przed położeniem się do łóżka. "To postarza" - mawiał.

Dziadek Gillenormand myślał o Mariuszu z wielką miłością i goryczą i, jak zwykle, gorycz wzięła górę. Zgorzkniała tkliwość zaczynała w końcu wrzeć i przemieniała się w oburzenie. Doszedł już był do tego, że usiłował pogodzić się z losem i składał broń przed swoją boleścią. Tłumaczył sobie właśnie, że teraz Mariusz nie ma już powodu do powrotu. Że gdyby miał wrócić, byłby to już zrobił dawniej, że trzeba pożegnać się z nadzieją. Starał się oswoić z myślą, że wszystko skończone i że umrze nie zobaczywszy "tego panicza". Ale cała jego natura buntowała się przed tą myślą i stare ojcowskie serce nie mogło się z nią pogodzić. "Jak to - powracał mu wciąż na myśl ten sam smutny refren - więc on już nie wróci?" Skłonił łysą głowę na piersi, a gniewny i żalony wzrok utkwiał błędnie w popiele kominka.

Gdy trwał tak pogrążony w głębokiej zadumie, wszedł stary sługa Baskijczyk i zapytał:

- Czy pan przyjmie pana Mariusza?

Starzec wyprostował się bladej i podobny do trupa podniesionego galwanicznym wstrząsem. Cała krew spłynęła mu do serca. Wyjąkał:

- Jakiego pana Mariusza?

- Nie wiem - odparł Baskijczyk zatrwożony i zbity z tropu wyglądem swego pana. - Nie widziałem go. To Nikoleta powiedziała mi: "Przyszedł młody panicz, powiedz panu, że to pan Mariusz".

Pan Gillenormand wyjąkał cicho:

- Prosić.

Nie zmienił postawy, siedział z trzęsącą się głową i oczyma utkwionymi w drzwi. Otworzyły się. Wszedł młodzieniec. Był to Mariusz.

Mariusz zatrzymał się w drzwiach, jak gdyby czekając na zachętę, żeby się zbliżyć.

W cieniu rzucanym przez abażur, nie można było dostrzec jego nędznej odzieży. Widać było tylko twarz spokojną i poważną, ale dziwnie smutną.

Pan Gillenormand, osłupiały ze zdumienia i radości, siedział przez długą chwilę, widząc tylko jasność, jakby stanęło przed nim cudowne zjawisko. Był bliski omdlenia; widział Mariusza poprzez olśnienie. Tak, to był on, Mariusz!

Nareszcie! Po czterech latach! Objął go całego, żeby tak rzec, jednym spojrzeniem. Wydał mu się pięknym, szlachetnym, wytwornym, dorosłym, dojrzałym, pełnym wdzięku mężczyzną o ujmującym i dystygowanym zachowaniu. Chciał wyciągnąć ku niemu ramiona, przywołać go do siebie, biec ku niemu, serce topniało mu z uniesienia, moc najczulszych słów przepełniała mu piersi. Cała ta czułość objawiła się w końcu, dotarła do warg i - prawem kontrastu stanowiącym istotę jego natury - znalazła wyraz w szorstkich słowach. Zapytał opryskliwie:

- Czego pan sobie życzy?

Mariusz odpowiedział z zakłopotaniem:

- Panie...

Pan Gillenormand pragnął, żeby Mariusz padł mu w ramiona. Był niezadowolony z Mariusza i z siebie. Czuł własną opryskliwość i chłód Mariusza. Świadomość, że przepełnia go tkliwość i rozrzewnienie, które umie okazać tylko z taką szorstkością, nappełniała go nieznośnym, drażniącym bólem. Powróciła gorycz.

Przerwał Mariuszowi zrzędlwym tonem:

- Więc po co pan przychodzi?

To “więc” znaczyło: jeśli nie po to, by mnie uściskać. Mariusz spojrział na dziadka, którego blada twarz wydawała się z marmuru.

- Panie...

Starzec przerwał surowo:

- Czy przychodzi pan prosić o przebaczenie? Czy uznał pan swą winę?

Chciał naprowadzić Mariusza na właściwą drogę, myślał, że “dziecko” się ugnie. Mariusz drgnął, żądano od niego, by się zaparł ojca; spuścił oczy i odpowiedział:

- Nie, panie.

- Wobec tego - wybuchnął gwałtownie starzec, z przejmującą i gniewną boleścią - czego pan chce ode mnie?

Mariusz splótł ręce, postąpił krok naprzód i rzekł cichym, drżącym głosem:

- Panie, miej litość.

Te słowa poruszyły pana Gillenormand; powiedziane wcześniej byłyby go rozczuliły, ale przychodziły za późno. Starzec wstał wsparty na lasce obiema rękami; wargi miał białe, głowa mu drżała, ale jego wysoka postać górowała nad pochylonym Mariuszem.

- Litość nad tobą, mój panie? Młodzieniec prosi o litość dziewięćdziesięcioletniego starca? Wchodzisz w życie, a ja je opuszczam. Ty chodzisz do teatru, na bale, do kawiarni, grasz w bilard, jesteś dowcipny, podobasz się kobietom, jesteś ładnym chłopcem; a ja wśród lata spluwam w ogień rozpalony na kominku. Jesteś bogaty jedynym prawdziwym bogactwem, a ja mam wszystkie nędze starości - niemoc, samotność! Ty masz wszystkie zęby, zdrowy żołądek, jasne oko, siłę, apetyt, zdrowie, wesołość, czarną, gęstą jak las czuprynę, a ja straciłem już nawet i siwe włosy, tracę zęby, tracę nogi, tracę pamięć; wciąż mi się mylą nazwy trzech ulic - ulicy Charlot, ulicy Chaurne i ulicy Saint-Claude - do tego już doszedłem. Ty masz przed sobą słoneczną przyszłość, ja już w niej nic nie widzę, tak głęboko zapadłem w ciemność. Ty jesteś zakochany - to pewne, mnie nikt na świecie nie kocha - i ty mnie prosisz o litość! Dalibóg, Molier o tym zapomniał. Jeśli takie żarciki stroicie w sądach, panowie adwokaci, no to wam serdecznie wieszczę. Jesteście śmieszni.

I sędziwy starzec ciągnął głosem gniewnym i poważnym:

- No, czegoż pan chce ode mnie?

- Panie - rzekł Mariusz - wiem, że moja obecność jest mu niemiła, ale przyszedłem tylko poprosić o pewną rzecz i zaraz odejdę.

- Głupiec jesteś, mój panie! - odrzekł starzec. - Kto ci mówił, żebyś odchodził?

Było to tłumaczenie tych czułych słów, które miał w sercu: "Przepraszam! Rzuć mi się na szyję!" Pan Gillenormand czuł, że za chwilę Mariusz go pożegna, że zraził go swym przyjęciem, odpychał szorstkością; powtarzał to sobie i nękała go coraz to większa boleść, a że boleść natychmiast przeobrażała się u niego w gniew, więc opryskliwość jego wzrastała. Chciał, żeby Mariusz zrozumiał, a Mariusz nic nie rozumiał. To doprowadziło starca do wściekłości. Mówił dalej:

- Jak to! Ubliżyłeś, mój panie, mnie - swemu dziadkowi, rzuciłeś mój dom, poszedłeś licho wie gdzie, doprowadziłeś ciotkę do rozpaczki, żyłeś sobie kawalerskim życiem - oczywiście to wygodniej - miłości, swawole, powroty do domu Bóg wie o jakiej porze, bawiłeś się, nie dałeś mi znaku życia, robiłeś długie i nawet słówkiem nie poprosiłeś, żebym je zapłacił, robiłeś burdy i awantury i teraz po czterech latach przychodzisz do mnie i tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Ten gwałtowny sposób zachęcania do czułości sprawił tylko tyle, że Mariusz zamilkł. Pan Gillenormand skrzyżował ręce na piersi, co u niego było gestem szczególnie władczym, i rzekł z goryczą:

- Skończmy z tym. Pan przyszedł prosić mnie o coś. O cóż więc? O co? Proszę mówić.

- Panie - rzekł Mariusz, ze spojrzeniem człowieka, przed którym otwiera się przepaść - przychodzę prosić o pozwolenie wstąpienia w związek małżeński.

Pan Gillenormand zadzwonił. Baskijczyk uchylił drzwi.

- Poproś moją córkę.

W chwilę później drzwi otworzyły się znowu; panna Gillenormand ukazała się w nich, ale nie weszła. Mariusz stał w milczeniu ze spuszczonej rękami i miną przestępcy. Pan Gillenormand chodził wszerz i wzdłuż po pokoju. Odwrócił się do córki i rzekł:

- Nic takiego. To pan Mariusz. Przywitaj się z nim. Pan Mariusz chce się żenić. To wszystko. Możesz już odejść.

Urywany i chrapliwy głos starca był oznaką niezwykłego uniesienia. Ciotka spojrzała z przerażeniem na Mariusza. Zdawało się, że go ledwie poznaje, nie uczyniła żadnego gestu, nie powiedziała ni pół słowa i znikła na skinienie ojca szybciej niż źdźbło trawy porwane huraganem.

Pan Gillenormand oparł się o kominek.

- Żenić się! W dwudziestym pierwszym roku życia! Gracko się uwinąłeś. O nic więcej nie chodzi, tylko o pozwolenie! Prosta formalność. Siadaj no, mój panie. A więc, przez ten czas, kiedy to nie miałem zaszczytu oglądać cię, mieliście rewolucję. Jakobini górą. Pan

zapewne jest zadowolony. Wszak od czasu gdy zostałeś baronem, jesteś republikaninem. Umiecie to pogodzić ze sobą: republika jest przyprawą do baronostwa. Czy pan dostał może order za rewolucję lipcową? Brał pan udział w zdobyciu Luwru? Niedaleko stąd, na ulicy Św. Antoniego, naprzeciwko ulicy Nonnains-d'Hyères, na wysokości trzeciego piętra tkwi w murze domu kula armatnia z napisem: 28 lipiec 1830. Niech pan sobie to obejrzy. Piękny widok. Śliczne rzeczy wyprawiają pańscy przyjaciele! *À propos*, zdaje się, że na miejscu pomnika księcia de Berry budują fontannę. Zatem pan chce się żenić? Z kim? Czy wolno mi o to zapytać bez popełnienia niedyskrecji?

Zatrzymał się i zanim Mariusz zdążył odpowiedzieć, dodał gwałtownie:

- A więc masz stanowisko? Zrobiłeś majątek? Ile zarabiasz na adwokaturze?
- Nic - odpowiedział Mariusz z jakąś stanowczością i odwagą niemal ponurą.
- Nic? Utrzymujesz się więc z tych tysiąca dwustu franków, które ci posyłam?

Mariusz nie odpowiedział. Pan Gillenormand ciągnął dalej:

- A więc, rozumiem, panna jest bogata?
- Jak ja.
- Co? Nie ma posagu?
- Nie ma.
- Jakie sperandy?
- Chyba żadne.
- Goła jak mysz kościelna? A kim jest jej ojciec?
- Nie wiem.
- Jak się nazywa?
- Panna Fauchelevant.
- Fauche... jak?
- Fauchelevant.
- Pfi! - rzekł starzec.
- Panie! - krzyknął Mariusz.

Pan Gillenormand przerwał mu tonem człowieka, który mówi do siebie:

- Otóż to! Dwadzieścia jeden lat, bez stanowiska, tysiąc dwieście franków rocznie, pani baronowa Pontmercy będzie kupować u straganiarki włoszczyznę za dwa su.

- Panie - podjął Mariusz, widząc z obłędnym przerażeniem, że ostatnia nadzieja się rozwiewa - zaklinam pana na miłość boską, błagam ze złożonymi rękami, błagam pana na klęczkach - pozwól mi ją poślubić.

Starzec kaszlał i mówił z przenikliwym, ponurym śmiechem:

- Ach! Ach! Powiedziałaś sobie: "Niech wszyscy diabli, pójdę do tego głupiego ramola, tego starego piernika. Jaka szkoda, że nie mam jeszcze dwudziestu pięciu lat! Wysłałbym mu zawiadomienie z wyrazami poważania i obyłbym się bez pozwolenia! Ale i tak powiem mu: «Stary idioto, aż nadto cię uszczęśliwiam swymi odwiedzinami, mam ochotę ożenić się, mam ochotę poślubić pannę jakąś tam, córkę czyjąś tam, ja nie mam butów, ona nie ma koszuli, wszystko w porządku, mam ochotę utopić moją karierę, przyszłość, młodość, życie, mam ochotę dać nurka w nędzę z żoną na karku, tak mi się właśnie podoba, ty się na to musisz zgodzić». I stara mumia się zgodzi!" Jazda, mój chłopcze, uwiąż sobie kamień u szyi, ożeń się z tą twoją Pousselevent, Coupeleyent... Nigdy, mój panie, nigdy!

- Dziadku!

- Nigdy!

To "nigdy" starzec wymówił takim tonem, że Mariusz stracił wszelką nadzieję. Powolnym, chwiejnym krokiem przeszedł przez pokój, jakby umierał raczej, niż odchodził. Pan Gillenormand wiódł za nim oczyma, a kiedy drzwi się otworzyły i Mariusz miał wyjść, w paru susach przebiegł pokój z energią porywczych i rozpieszczonych starców, chwycił wnuka za kołnierz, gwałtownie wciągnął go do pokoju, pchnął na fotel i rzekł:

- Opowiedz mi o wszystkim.

Tę przemianę wywołało jedno słówko "dziadku", które wyrwało się Mariuszowi.

Mariusz patrzył na niego błędnym wzrokiem. Ruchliwa twarz pana Gillenormand wyrażała już tylko szorstką, lecz niewymowną dobroć. Dobry dziadunio zajął miejsce surowego dziadka.

- No, słucham, opowiedz mi swoje miłostki, wypowiadaj się, gadaj wszystko, do diaska. Ach, te młokosy - cóż to za głupcy!

- Dziadku! - powtórzył Mariusz.

Twarc starca rozjaśniła się niewymownym blaskiem.

- O tak! Tak! Nazywaj mnie dziadkiem, a zobaczysz!

Było coś tak dobrego, tkliwego, szczerego i ojcowskiego w szorstkości starca, że Mariusz przechodząc nagle od rozpacz do nadziei poczuł się jakby ogłuszony i upojony. Siedział przy stole, światło świecy ukazywało jego zniszczone ubranie - któremu pan Gillenormand przyglądał się ze zdumieniem.

- Otóż, mój dziadku... - rzekł Mariusz.

- Widzę - przerwał mu pan Gillenormand - że ty naprawdę nie masz ani grosza. Jesteś ubrany jak opryszek.

Poszperał w szufladzie, wyjął sakiewkę i położył na stole.

- Masz tu sto luidorów - rzekł. Kup sobie kapelusz.

- Mój dziadku - mówił dalej Mariusz - mój kochany dziaduniu, gdybyś wiedział! Ja ją kocham. Nie wyobrażasz sobie, pierwszy raz zobaczyłem ją w Ogrodzie Luksemburskim, bo tam przychodziła na spacer. Z początku nie zwracałem na nią uwagi, a później - sam nie wiem, jak się to stało - zakochałem się. Ach! Jaki byłem nieszczęśliwy! Teraz wreszcie widuję ją codziennie, u niej. Ojciec jej nie wie o niczym, wyobraź sobie, że mają wyjechać, spotykamy się co wieczór w ogrodzie, ojciec chce ją zabrać do Anglii, więc powiedziałem sobie: "Pójdę do dziadka i opowiem mu wszystko". Oszalałbym, umarłbym, zachorowałbym, utopiłbym się. Muszę się z nią koniecznie ożenić, inaczej zwariuję. Oto cała prawda, chyba niczego nie zapomniałem. Ona mieszka w ogrodzie, otoczonym kratą, przy ulicy Plumet. Niedaleko Inwalidów.

Dziadek usiadł rozpromieniony obok Mariusza. Słuchając go i delektując się brzmieniem jego głosu, delectował się też powolnym zażywaniem dużego niucha tabaki. Usłyszawszy słowa "ulica Plumet", przerwał i resztę tabaki rozsypał na kolana.

- Ulica Plumet? Powiadasz ulica Plumet? Czekaj no. Czy tam w pobliżu nie ma koszar? Ależ tak, to to samo. Twój kuzyn Teodul mówił mi o niej; ten lansjer, oficer. Kokietka, mój chłopcze, kokietka! Ależ tak, do diaska, ulica Plumet. Dawniej nazywała się Blomet. Teraz przypominam sobie. Słyszałem o tej dzierlatce zza kraty na ulicy Plumet. W ogrodzie. Istna Pamela. Masz niezły gust, podobno wcale urodziwa. Między nami mówiąc, zdaje się, że ten głupi oficerek trochę się do niej umizgał. Nie wiem, jak daleko zaszedł. Ale to nie ma znaczenia, a przy tym nie trzeba mu zbyt wierzyć. On lubi przechwałki. Mariuszu, moim zdaniem, dobrze robisz, że się kochasz. To przystoi twemu wiekowi. Wolę cię jako kochanka niż jako jakobina. Wolę, żebyś się kochał w spódniczce, co mówię, w dwudziestu spódniczkach, do licha, niż w jednym panu Robespierre! Co do mnie, to muszę sobie oddać sprawiedliwość, że spośród sankiulotów lubiłem tylko kobiety. Ładne dziewczątka jest zawsze ładnym dziewczątkiem, tak jest, i basta! A co do twojej małej, to przyjmuje cię bez wiedzy tatusia. Tak zwykle bywa. I ja też miewałem podobne awanturki, i to nie jedną. Wiesz, co się robi w takich razach? Nie bierze się sprawy zbyt serio; nie robi się z tego tragedii; nie kończy się ślubem i wizytą u pana mera przepasanego szarfą. Jest się po prostu mądrym chłopcem ze zdrowym sensem w głowie. Kochajcie, ludzie, ale się nie żeńcie. Przychodzisz więc do dziadka, który w gruncie rzeczy jest wielkim poczciwiną i zawsze ma parę rulonów złota w starej szufladzie; powiadasz mu: dziadku, tak i tak. A dziadek powiada: najzwyklejsza w świecie historia. Młodość musi się wyszumieć, starość musi to zrozumieć. Ja byłem kiedyś młody, ty będziesz kiedyś stary. Tak, mój chłopcze, oddasz to swojemu

wnukowi. Masz dwieście pistołów, baw się, u licha! Znakomicie, tak trzeba właśnie załatwiać sprawę. Nie trzeba się żenić, ale to niczemu nie przeszkadza. Rozumiesz mnie?

Mariusz, skamieniały, nie mogąc wymówić słowa, potrząsnął głową na znak, że nie rozumie.

Staruszek parsknął śmiechem, przymrużył pomarszczoną powiekę, uderzył go ręką po kolanie, spojrział w oczy z miną tajemniczą i promieniejącą i rzekł tklawie, wzruszając ramionami:

- Zrób z niej swoją kochankę, głuptyś!

Mariusz zbladł. Nie rozumiał nic z tego wszystkiego, co przed chwilą mówił dziadek. Gadanina o ulicy Blomet, Pameli, koszarach i lansjerze przesunęła się przed nim jak senny majak.

Nic z tego nie mogło odnosić się do Kozety, która była czysta jak lilia. Staruszek bredził. Ale to bredzenie zakończyło się słowem, które Mariusz zrozumiał, a które dla Kozety było śmiertelną zniewagą. Powiedzenie: "Zrób z niej swoją kochankę", jak miecz przeszło serce surowego młodzieńca.

Wstał, podniósł z ziemi kapelusz i stanowczym, pewnym krokiem podszedł ku drzwiom. Tu obrócił się, skłonił się głęboko dziadkowi, podniósł głowę i rzekł:

- Przed pięciu laty znieważył pan mego ojca; dziś znieważa pan moją żonę. O nic już pana nie proszę. Żegnam.

Dziadek Gillenormand, zdumiony, otworzył usta, wyciągnął ramiona, chciał wstać, ale zanim zdołał wymówić słowo, drzwi się zamknęły i Mariusz znikł.

Starzec siedział chwilę nieruchomo, jak rażony gromem, nie mogąc przemówić ani odetchnąć, jakby czyjaś dłoń zacisnęła mu gardło. Wreszcie zerwał się z fotela, pobiegł do drzwi, o ile można biegać, mając lat dziewięćdziesiąt jeden, otworzył je i zawołał:

- Na pomoc! Na pomoc!

Nadbiegła córka, potem służba. Starzec rzeził żałośnie:

- Biegnijcie za nim! Złapcie go! Co ja mu złego zrobiłem? Oszalał! Poszedł sobie! Ach, mój Boże, mój Boże! Teraz już nie wróci!

Podszedł do okna, które wychodziło na ulicę, otworzył je starymi, drżącymi dłońmi, wychylił się więcej niż do połowy ciała i podczas gdy Baskijczyk i Nikoleta trzymali go z tyłu, wołał:

- Mariuszu! Mariuszu! Mariuszu! Mariuszu!

Ale Mariusz nie mógł go już słyszeć, właśnie w tej chwili skręcał w ulicę Św. Ludwika.



Starzec gestem rozpachy parę razy podniósł ręce do skroni, cofnął się chwiejnym krokiem i opadł na fotel bez sił, bez głosu, bez łez, potrząsając głową i poruszając nieprzytomnie ustami, a w oczach i sercu miał już tylko ponurą otchłań podobną do nocy.

**Księga dziewiąta**

**Dokąd idą?**

## I

### Jan Valjean

Tego samego dnia, około czwartej po południu, Jan Valjean siedział sam na stoku jednego z najmniej uczęszczanych wałów Pola Marsowego. Czy to przez ostrożność, czy dlatego, że chciał zebrać myśli, czy może po prostu skutkiem nieuchwytniej zmiany przyzwyczajęń, jaka dokonuje się powoli w każdym ludzkim istnieniu, Jan Valjean rzadko teraz wychodził z Kozetą. Miał na sobie robotniczą bluzę, spodnie z szarego płótna, a szeroki daszek czapki zakrywał mu twarz. Jeśli chodziło o Kozetę, był teraz spokojny i szczęśliwy; rozwiało się wszystko, co przez pewien czas niepokoiło go i dręczyło; ale od tygodnia czy dwóch pojawiły się nowe troski. Pewnego dnia, przechadzając się po bulwarze, spostrzegł Thénardiera; dzięki przebraniu Thénardier go nie poznał. Ale od tego czasu Jan Valjean widział go kilkakrotnie i nabrał teraz pewności, że Thénardier krąży w tej dzielnicy. Był to dostateczny powód, by powziąć zasadniczą decyzję. Bliskość Thénardiera oznaczała wszystkie niebezpieczeństwa naraz.

Poza tym Paryż nie był spokojny; zaburzenia polityczne stwarzały tę niedogodność dla człowieka mającego coś do ukrywania w życiu, że policja stała się bardzo niespokojna i podejrzliwa; tropiąc takich ludzi jak Pépin lub Morey, łatwo mogła trafić na człowieka w rodzaju Jana Valjean.

Ze wszystkich tych względów nie mógł być spokojny. Wreszcie nowy i niewytłumaczony fakt, po którym jeszcze nie ochłonął, zaostrzył jego czujność. Tego właśnie ranka, wstawszy wcześniej od innych domowników, spacerował po ogrodzie, zanim otworzyły się okiennice u Kozety, gdy nagle spostrzegł na ścianie napis, wyskrobany zapewne gwoździem: *Szklarska numer 16*.

Napis był świeży, litery białe na poczerniałym ze starości tynku, kępa pokrzyw rosnących pod murem przyprószona była jeszcze zeszkobanym wapnem. Zapewne ktoś napisał to ubiegłej nocy. Co to mogło być? Adres? Znak dla innych? Przestroga dla niego? Nie ulegało w każdym razie wątpliwości, że ktoś wtargnął do ogrodu, że przychodzili do niego jacyś nieznani ludzie. Przypomniawszy sobie osobliwe zdarzenia, które niegdyś zaniepokoiły Kozetę. Snuł na tej kanwie domysły. Nie wspomniawszy Kozecie o napisie na ścianie, nie chcąc jej przestraszyć.

Zważywszy to wszystko, Jan Valjean postanowił opuścić Paryż, z nawet Francję, i przenieść się do Anglii. Uprzedził o tym Kozetę. Chciał wyjechać w ciągu tygodnia. Siedział na Polu Marsowym, na zboczu wału, i różne myśli cisnęły mu się do głowy: Thénardier, policja, napis na murze, wyjazd, trudności związane ze zdobyciem paszportu.

Zajęty rozmyślaniami spostrzegł po cieniu, rzucanym przez słońce, że ktoś zatrzymał się tuż za nim, na szczycie wału. Nim zdążył się odwrócić, złożona we czworo kartka papieru upadła mu na kolana, jakby czyjaś ręka rzuciła ją ponad jego głowę. Wziął kartkę, rozwinął i przeczytał słowa, napisane ołówkiem dużymi literami:

### ***WYPROWADŹCIE SIĘ.***

Jan Valjean zerwał się, ale na wale nie było już nikogo; rozejrzał się dokoła i spostrzegł jakąś istotę, większą niż dziecko, mniejszą niż dorosły mężczyzna, ubraną w szarą bluzkę i popielate welwetowe spodnie; stworzenie to przesunęło się na drugą stronę wału i zsunęło się do rowu otaczającego Pole Marsowe.

Jan Valjean wrócił natychmiast do domu, pogrążony w niespokojnych myślach.

## II

### Mariusz

Mariusz wyszedł od pana Gillenormand zdruzgotany. Wchodził do domu dziadka z niewielką nadzieją, opuszczał go w bezbrzeżnej rozpacz.

Ci, którzy obserwowali pierwsze porywy serca, rozumieją z łatwością, że oficer lansjerów, ów niemądry kuzyn Teodul, nie zostawił śladu w jego umyśle. Najmniejszego. Zdawałoby się, że poeta dramatyczny mógłby wysnuć pewne powikłania z rewelacji, jaką dziadek niespodzianie uczęstował wnuka. Jednakże ile zyskałoby na tym dramat, tyle straciłaby prawda. Mariusz był w wieku, w którym nie wierzy się w zło; później dopiero nadchodzi czas, kiedy człowiek wierzy we wszystko. Podejrzenia - to zmarszczki; nie ma ich wczesna młodość. To, co do głębi przejmuje Otella, bez śladu spływa po Kandydzie. Podejrzewać Kozetę! Mariusz łatwiej popełniłby każdą inną zbrodnię.

Zaczął błąkać się po ulicach, zwykła ucieczka ludzi cierpiących. Nie mógłby sobie później przypomnieć, o czym wówczas myślał. O drugiej nad ranem wrócił do Courfeyraca i w ubraniu rzucił się na swój materac. Był już biały dzień, gdy zasnął owym okropnym, ciężkim snem, w którym myśli nieustannie snują się po głowie. Kiedy się obudził, zobaczył w pokoju Courfeyraca, Enjolrasa, Feuilly i Combeferre'a w kapeluszach, gotowych do wyjścia i bardzo czymś przejętych.

Courfeyrac zapytał go:

- Czy pójdziesz na pogrzeb generała Lamarque?

Mariuszowi wydało się, że Courfeyrac mówi po chińsku.

Wyszedł z domu wkrótce po nich. Wsunął do kieszeni pistolety, które Javert powierzył mu podczas przygody w dniu 3 lutego i które u niego pozostały. Pistolety były nabite. Trudno byłoby powiedzieć, jaka ponura myśl kierowała nim, gdy je z sobą zabierał.

Przez cały dzień wahał się bez celu; chwilami padało, lecz on tego nie spostrzegł; kupił sobie na obiad bułkę za jednego su, włożył do kieszeni i zapomniał o niej. Podobno kąpał się w Sekwanie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Bywają chwile, gdy człowiek ma żar pod czaszką. Taką chwilę przeżywał Mariusz. Nie spodziewał się już niczego, niczego się już nie lękał; o ten krok posunął się naprzód od poprzedniego dnia. Z gorączkową niecierpliwością czekał wieczoru. Świeciła mu jedna tylko jasna myśl, że o dziewiątej

zobaczy Kozetę. Ta ostatnia chwila szczęścia, była mu teraz całą przyszłością; po niej - ciemność. Chwilami, gdy krążył po najbardziej odludnych bulwarach, zdawało mu się, że z Paryża dochodzi jakaś dziwna wrzawa. Budził się wtedy nieco z zadumy i zadawał sobie pytanie: "Czy tam się biją?"

O zmroku, punkt o dziewiątej - tak, jak obiecał Kozecie - był na ulicy Plumet. Gdy zbliżył się do kraty, zapomniał o wszystkim. Od czterdziestu ośmiu godzin nie widział Kozety, teraz znów ją zobaczy - wszelkie inne myśli pierzchły, została tylko niewysłowiona i głęboka radość. Chwile, w których przeżywamy całe wieki, są zawsze tak wszechwładne i cudowne, że całkowicie wypełniają serce.

Mariusz odsunął pręt i wbiegł do ogrodu. Nie było Kozety tam, gdzie zwykle na niego czekała. Przedarł się przez gęstwinę krzewów i podszedł do wnęki przy ganku. "Tam na mnie czeka" - myślał. Ale Kozety nie było. Podniósł oczy i zobaczył, że okiennice są zamknięte. Obszedł cały ogród dokoła, ogród był pusty. Wówczas, oszalały z miłości, pijany, przerażony, nieprzytomny z bólu i niepokoju, jak człowiek, który wraca do swego domu w nieszczęsną godzinę, zastukał w okiennice. Stukał raz i drugi, narażając się na to, że okno się otworzy i wyjrzy z niego chmurna twarz ojca, który zapyta: "Czego pan chce?" To było już niczym wobec tego, co przeczuwał. Zastukawszy zawołał głośno:

- Kozeto! Kozeto!

- Kozeto! - powtórzył gwałtownie. Nikt nie odpowiedział. Wszystko skończone. Nikogo nie było w ogrodzie, nikogo nie było w pałacyku.

Mariusz utkwiał pełen rozpaczony wzrok w ponurym domu, ciemnym i cichym jak grób, a bardziej pustym od grobu. Spojrzał na kamienną ławkę, gdzie tyle czarownych godzin spędził z Kozetą. A potem usiadł na stopniach ganku ze słodkim spokojem i niezłomnym postanowieniem w sercu, błogosławił w myśli swej miłości i powiedział sobie, że skoro Kozeta odjechała, jemu pozostała tylko śmierć.

Nagle usłyszał głos, który zdawał się dochodzić z ulicy i wołał poprzez drzewa:

- Panie Mariuszu!

Zerwał się.

- Co? - zapytał.

- Czy pan tam jest, panie Mariuszu?

- Jestem.

- Panie Mariuszu - wołał głos - pańscy przyjaciele czekają na pana przy barykadzie na ulicy Konopnej.

Ów głos wydał mu się znajomy. Przypominał ochryply i szorstki głos Eponiny. Mariusz podbiegł do kraty, pchnął ruchomy pręt, wysunął głowę i zobaczył, że ktoś, wyglądający na młodego chłopca, szybko biegnąc ginie w mroku.

### III

#### Pan Mabeuf

Sakiewka Jana Valjean w niczym nie ulżyła doli pana Mabeuf; w swej nieskazitelnej dziecięcej prawości nie przyjął bowiem tego daru nieba; nie wierzył, aby gwiazda mogła .. się zamienić w złote monety. Nie odgadł też, że dar nieba był darem Gavroche'a. Zaniósł sakiewkę do komisariatu swej dzielnicy, jako przedmiot zgubiony, po który może zgłosić się właściciel. Sakiewka została zgubiona na dobre. Nikt się po nią oczywiście nie zgłosił i nie wspomogła także pana Mabeuf. A pan Mabeuf podupadał coraz bardziej. Doświadczenia z indygiem w Ogrodzie Botanicznym powiodły się nie lepiej niż w jego ogródku w wiosce Austerlitz. Od roku już zalegał z zapłatą pensji swojej gospodyni; teraz zaś, jak widzieliśmy, zalegał z opłatą komornego. Lombard sprzedał po upływie trzynastu miesięcy płyty miedziorytowe "Flory". Jakiś kotlarz zrobił z nich rondle. Gdy zabrakło płyt, nie mogąc nawet uzupełnić zdekompletowanych egzemplarzy swej "Flory", które posiadał jeszcze, sprzedał jakiemuś antykwariuszowi za nędzną sumkę ryciny i tekst jako "braki". Z dzieła całego życia nie pozostało mu nic. Z wolna przejadał pieniądze otrzymane za egzemplarze "Flory". Gdy zobaczył, że i te skromne zasoby wyczerpują się, zaprzestał uprawy ogrodu, który teraz leżał odłogiem. Od dawna już - i to od bardzo dawna - zrezygnował z dwóch jajek i kawałka wołowiny, które czasem zjadał na obiad. Żywił się chlebem i kartoflami. Sprzedał ostatnie meble, potem wszystko, co miał w podwójnej ilości z pościeli, ubrania i nakrycia, wreszcie zielniki i sztychy; pozostały mu jeszcze najcenniejsze książki, niektóre niezwykle rzadkie, między innymi "Wersety historyczne Biblii" w wydaniu z 1560 roku, "O kon-kordancji wielorakich Biblii" Piotra de Besse, "Perły Małgorzaty" Jana de La-Haye z dedykacją dla królowej Nawarry, księga "O obowiązkach i godności ambasadora" imć pana de Villiers-Hotman, "Florilegium rabbinicum" z 1664 roku, Tybulla z 1567 roku ze wspaniałym napisem: *Venetis, in oedibus Manutianis*; wreszcie egzemplarz Diogenesa Laercjusza drukowany w Lyonie w 1644 roku, w którym znajdują się słynne watykańskie warianty rękopisu 411 z XIII wieku i dwa weneckie warianty rękopisów, 393 i 394, tak owocnie zbadane przez Henryka Estienne, wreszcie wszystkie ustępy pisane dialektem doryckim, które znajdują się jedynie w sławnym rękopisie z XII wieku, będącym w posiadaniu biblioteki w Neapolu. Pan Mabeuf nie palił nigdy na kominku w swoim pokoju i



kładł się za dnia, by oszczędzić świecy. Zdawać by się mogło, że nie ma sąsiadów; spostrzegł, że go unikano, gdy wychodził. Nędza dziecka budzi oddźwięk u matki, nędza młodzieńca budzi oddźwięk u młodej dziewczyny, nędza starego człowieka nie obchodzi nikogo. Ze wszystkich niedoli ta jest najbardziej wystygła. Wszelako pan Mabeuf nie wyzbył się do szczętu swej dziecięcej pogody. Oczy ożywiały mu się, gdy spoczęły na książkach i starzec uśmiechał się, gdy spoglądał na swojego Diogenesa Laercjusza. Oszklona szafa była jedynym meblem, który mu pozostał poza niezbędnymi sprzętami.

Pewnego dnia matka Plutarch powiedziała mu:

- Nie mam za co kupić obiadu.

Obiadem nazywała kawałek chleba i kilka kartofli.

- A na kredyt? - zapytał pan Mabeuf.

- Wie pan przecie, że nie chcą dawać na kredyt.

Pan Mabeuf otworzył bibliotekę, długo oglądał swoje książki, jedną po drugiej, jak ojciec zmuszony do zdziesiątkowania swego potomstwa i nie mogący się zdecydować na wybór ofiary, wreszcie gwałtownie chwycił jedną, włożył ją pod pachę i wyszedł. Wrócił po dwóch godzinach, nic już nie niosąc pod pachą, położył na stole trzydzieści su i rzekł:

- To na obiad.

Matka Plutarch spostrzegła, że od tej chwili pogodna twarz starca zasnuła się cieniem, który nie ustąpił już nigdy.

Nazajutrz, na trzeci dzień, codziennie trzeba było robić to samo. Pan Mabeuf wychodził z książką, a wracał z pieniędzmi. Ponieważ zaś antykwariusze wiedzieli, że sprzedaje przyciśnięty biedą, dawali dwadzieścia su za książkę, za którą zapłacił niegdyś dwadzieścia franków; nieraz u tego samego księgarza. I tak, książka po książce, cała biblioteka poszła w świat. Czasami mówił: "Przecież mam już osiemdziesiąt lat", jak gdyby miał jakąś ukrytą nadzieję, że prędzej doczeka końca swych dni niż końca swej biblioteki. Stawał się coraz smutniejszy. Raz tylko rozpogodził się: wyszedł ze swoim Robertem Estienne, którego sprzedał za trzydzieści pięć su na wybrzeżu Malaquis, a wrócił z egzemplarzem aldyna<sup>\*</sup>, który kupił za czterdzieści su na ulicy Gres. "Jestem winien pięć su!" - rzekł rozpromieniony do matki Plutarch. Tego dnia nie jadł obiadu.

Należał do Towarzystwa Ogrodniczego. Wiedziano tam, że żyje w niedostatku. Prezes Towarzystwa odwiedził go, obiecał, że pomówi o nim z ministrem rolnictwa i handlu, i uczynił to. "Ależ oczywiście! Oczywiście! - zawołał minister. - Stary uczone! Botanik!

---

<sup>\*</sup> Aldyny - książki wydane w XV-XVI w. przez rodzinę drukarzy włoskich Manuccich (od imienia założyciela drukarni Aldo).

Spokojny człowiek! Trzeba coś dla niego zrobić!” Nazajutrz pan Mabeuf otrzymał zaproszenie na obiad do ministra. Drżąc z radości pokazał je matce Plutarch:

- Jesteśmy uratowani! - powiedział.

W oznaczonym dniu udał się do ministra. Spostrzegł, że jego pognieciony krawat, stary niemodny surdut i trzewiki wyglansowane jajkiem zdziwiły lokai. Nikt się do niego nie odezwał ani słowem, nawet pan minister. Koło dziesiątej wieczorem, czekając wciąż, że ktoś się nim zainteresuje, usłyszał, jak ministrowa, piękna, wydekoltowana dama, do której nie śmiał się zbliżyć, zapytała:

- Któż to jest ten stary jegomość?

Wrócił do siebie pieszo o północy pod ulewnym deszczem. Udając się do ministra sprzedał jeden ze swych elzewirów na dorożkę.

Co wieczór, nim udał się na spoczynek, miał zwyczaj czytać parę stron swego Diogenesa Laercjusza. Znał na tyle grekę, że mógł rozkoszować się niezwykłością posiadanego tekstu. Nie miał już żadnej innej radości. Tak upłynęło parę tygodni. Nagle matka Plutarch zachorowała. Jeśli istnieje rzecz smutniejsza niż niemożność kupienia chleba u piekarza, to chyba tylko jedna - niemożność kupienia lekarstwa w aptece. Pewnego wieczoru lekarz przepisał chorej bardzo drogą miksturę. Poza tym stan jej pogorszył się, trzeba było nająć kobietę do pielęgnowania. Pan Mabeuf otworzył bibliotekę - była pusta. Ostatnia książka powędrowała już do antykwariatu. Został tylko Diogenes Laercjusz.

Wziął cenny unikat pod pachę i wyszedł; było to czwartego czerwca 1832 roku. Udał się pod bramę Św. Jakuba do następcy Royola i wrócił ze stu frankami. Położył kupkę pieciofrankowych monet na nocnym stoliku starej służącej i bez słowa poszedł do swego pokoju.

Nazajutrz o świcie usiadł na obalonym słupku w ogrodzie. Przez żywopłot można było widzieć, że siedział cały ranek nieruchomo, z pochyloną głową, ze wzrokiem utkwionym błędnie w zwiędłe rabatki. Chwilami padał deszcz, ale starzec zdawał się nie zwracać na to uwagi. Po południu w Paryżu wybuchła niezwykła wrzawa. Przypominało to strzały karabinowe i krzyki tysięcznych tłumów.

Ojciec Mabeuf podniósł głowę. Spostrzegł przechodzącego ogrodnika i zapytał:

- Co się dzieje?

Ogrodnik, niosący motykę na ramieniu odpowiedział najspokojniej:

- To rozruchy.

- Jak to rozruchy?

- No tak, biją się.

- Dlaczego się biją?
- Ba! - rzekł ogrodnik.
- A gdzie? - zapytał pan Mabeuf.
- W stronie Arsenалу.

Ojciec Mabeuf wrócił do domu, wziął kapelusz, machinalnie poszukał jakiejś książki, żeby ją włożyć pod pachę, nic nie znalazł, powiedział: "Aha, prawda!", i z nieprzytomną miną wyszedł.

**Księga dziesiąta**

**5 czerwca 1832 roku**

## I

### Zewnętrzny aspekt zagadnienia

Co składa się na rozruchy? Wszystko i nic. Powolne wyzwalenie energii elektrycznej, nagły wybuch płomienia, błędząca po omacku siła, przelotny podmuch. Ten podmuch owiewa myślące głowy, marzycielskie umysły, cierpiące dusze, rozpalone namiętności, skowyczące nędze i porywa je.

Dokąd?

Jak los zdarzy. Poprzez państwo, poprzez prawo, poprzez dostatek i zuchwalstwo innych ludzi.

Podrażnione przekonania, zgorzkniały entuzjazm, serdeczne oburzenie, tłumione instynkty wojenne, uniesienia młodej odwagi, wielkoduszne zaślepienie, ciekawość, chęć zmiany, pragnienie rzeczy nieznanych, uczucie, które powoduje, że człowiek z przyjemnością czyta afisz nowej sztuki i czeka w teatrze na gwizdek maszynisty; niesprecyzowana nienawiść, urazy, zawody, każda próżność, która uważa się za ofiarę losu, niedole, złudzenia, ambicje nie mające ujścia, każdy, kto w ogólnej katastrofie widzi dla siebie wyjście, a wreszcie, na najniższym szczeblu, motłoch, to łatwo zapalne bagno - oto elementy rozruchów.

To, co największe, i to, co najmniejsze; istoty błakające się poza nawiasem wszystkiego, czyhające tylko na odpowiednią chwilę, cyganeria, typy spod ciemnej gwiazdy, włóczęgi uliczne, ci, którzy sypiają w kamiennej pustyni miasta z zimnym stropem chmur zamiast dachu nad głową, i ci, którzy żądają kawałka chleba powszedniego od przypadku, a nie od pracy, nieznanani ludzie z otchłani nędzy i upadku, bosonodzy oberwańcy - oto, co przystaje do rozruchów.

Ten, kto nosi w sercu tajemny bunt przeciw jakiemuś aktowi władzy państwowej, życia czy losu, jest bliski rozruchom i gdy tylko one wybuchną, zaczyna drzeć i czuje, że go porywa zawierucha. Rozruchy - to swego rodzaju trąba powietrzna w społeczeństwie, która powstaje nagle w pewnych warunkach temperatury i wirując wzbija się w górę, toczy, grzmi, niszczy, znosi, miażdży, burzy, wrywa z korzeniami, pociągając za sobą natury mocne i słabe, ludzi wielkiego i małego ducha, pnie drzew i źdźbła słomy.

Biada temu, kogo porywa, i temu, na kogo uderza. Jednego rozbija o drugiego.

Kogo ogarnie, temu udziela jakiejś niezwyklej mocy. Pierwszego lepszego człowieka przepaja potęgą wydarzeń; wszystko przemienia w pociski. Kamienie brukowe zamienia w kule armatnie, tragarzy w generałów.

Jeśli można dawać wiarę pewnym wyroczniom podstępnej polityki, to z punktu widzenia władzy niegroźne rozruchy są pożądane. Istnieje teoria, że rozruchy - o ile nie obalają rządu - umacniają go. Poddają próbie armię, jednoczą burżuazję, wyrabiają muskuły policji, sprawdzają siłę kośćca społecznego. To gimnastyka, a nawet niemal higiena. Władza po rozruchach czuje się tak rześka jak człowiek po masażu.

Przed trzydziestu laty patrzano na rozruchy z innego jeszcze punktu widzenia.

W każdej dziedzinie istnieje teoria, która sama mieni się "zdrowym rozsądkiem". Filint przeciwko Alcestowi; próba pogodzenia prawdy i fałszu; wyjaśnienie, upomnienie, nieco wyniosła łagodność, która będąc połączeniem nagany i usprawiedliwienia uważa się z tego powodu za mądrość, a częstokroć jest tylko pedanterią. Z tego właśnie wywodzi się cała szkoła polityczna, zwana systemem "złotego środka". Między wodą zimną a gorącą ona reprezentuje stronnictwo letniej wody. Szkoła owa, mimo swej fałszywej głębi najzupełniej powierzchowna - rozważa skutki nie badając przyczyn i z wysokości swej pseudo-mądrości gromi wzburzenie ulicy.

Szkoła ta głosi:

Rozruchy, które zaważyły na dziele 1830 roku, pomniejszyły i skalowały to wiekopomne wydarzenie. Rewolucja lipcowa - to wspaniały huragan ludowy, po którym wyłoniło się nagle czyste niebo. Rozruchy napędziły nowych chmur i wypaczyły tę rewolucję, którą cechowała zrazu tak niezwykła jednomyślność, sprowadzając ją do rzędu kłótni. Podobnie jak każdy postęp dokonujący się nagłymi skokami, rewolucja lipcowa miała swoje ukryte szczyby, rozruchy obnażały je; można było powiedzieć: "O, tu jest pęknięcie!" Po rewolucji lipcowej czuło się wyzwolenie; po rozruchach czuło się katastrofę.

Wszelkie rozruchy powodują zamknięcie sklepów, zmniejszenie kapitałów, panikę na giełdzie, przerwę w handlu, zahamowanie rozwoju interesów; przyspieszają bankructwa, pieniądź znika, fortuny prywatne zostają zachwiane, kredyt publiczny podważony, przemysł zdezorientowany, kapitały odpływają, płace niższą, wszędzie panuje strach. Ten stan odbija się we wszystkich miastach, otwierają się przepaście. Obliczono, że pierwszy dzień rozruchów kosztuje Francję dwadzieścia milionów, drugi - czterdzieści, trzeci - sześćdziesiąt. Trzydniowe rozruchy kosztują więc sto dwadzieścia milionów, czyli - biorąc pod uwagę jedynie rezultat finansowy - tyleż co katastrofa, zatopienie czy przegrana bitwa, w której zginęłaby flota złożona z sześćdziesięciu okrętów liniowych.

Zapewne z historycznego punktu widzenia rozruchy nie są pozbawione swego piękna; walki uliczne nie mniej są wzniosłe i patetyczne od walk leśnych; w jednych tchnie dusza lasu, w drugich bije serce miasta; jedne mają swego Jana Chouan<sup>\*</sup>, drugie swego Jeanne'a<sup>\*</sup>. Rozruchy rzuciły czerwony, lecz wspaniały snop światła na najistotniejsze cechy charakteru paryżan: na ich wielkoduszność, poświęcenie, burzliwą wesołość; ukazały studentów, którzy dowiedli, że męstwo jest częścią inteligencji, ukazały niezłomność gwardii narodowej, biwaki sklepikarzy, fortece uliczników, pogardę śmierci u zwykłego przechodnia. Zmierzyły się ze sobą uczelnie i legie. Właściwie między walczącymi istniała tylko jedna różnica: różnica wieku; rasa była ta sama; ci sami ludzie, gdy mają lat dwadzieścia ze stoicy-zmem umierają za swe idee, gdy mają lat czterdzieści - za rodziny. Wojsko, któremu podczas wojny domowej przypada zawsze smutna rola, przeciwstawiało rozwagę zuchwalstwu. Rozruchy ujawniły nieustraszoną ludu i były zarazem szkołą odwagi dla stanu mieszczańskiego.

Dobrze, ale czy to wszystko warte jest rozlewu krwi? A do rozlewu krwi dodajcie jeszcze zasnutą chmurami przyszłość, zahamowanie postępu, niepokój wśród najzacniejszych obywateli, rozpacz uczciwych liberałów, radość obcego absolutyzmu z powodu tych ran, które rewolucja zadała sobie sama, triumf zwyciężonych z roku 1830, mówiących: "Mówiliśmy, że tak będzie!" Dodajcie, że jeśli nawet Paryż urósł, to Francja z całą pewnością zmałała. Dodajcie - niczego bowiem nie należy ukrywać - masakry, co tak często hańbiły zwycięstwo rozszalonego porządku nad rozszalałą wolnością. Ogólnie biorąc, rozruchy były rzeczą zgubną.

Tak przemawia owa niby mądrość, którą się tak chętnie zadawała ten niby lud, mieszczaństwo.

My jednak odrzucamy zbyt szerokie - a co za tym idzie - i zbyt wygodne określenie: rozruchy. Nie wszystkie ruchy ludowe są sobie równe. Nie zastanawiamy się też, czy rozruchy kosztują tyle co bitwa. Dlaczegoż bowiem brać pod uwagę bitwę? Tutaj wyłania się zagadnienie wojny. Czy wojna jest mniejszą plagą niż rozruchy? I czy rozruchy są zawsze plagą? A gdyby 14 lipca kosztował nawet sto dwadzieścia milionów? Osadzenie Filipa V w Hiszpanii kosztowało Francję dwa miliardy. Nawet za tę samą cenę - wolelibyśmy 14 lipca. Zresztą odrzucamy te cyfry, które wydają się argumentem, a są tylko pustym słowem. Gdy chodzi o rozruchy, badamy istotę tego zjawiska. We wszystkim, co mówi przedstawiona

---

<sup>\*</sup> Jean Cotterreau zwany Jean Chouan (1757-1794) - przywódca powstania rojalistycznego w Wandei podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

<sup>\*</sup> Jeanne - robotnik paryski, dowódca barykady wzniesionej 5 czerwca 1832 r na rogu ulicy Saint-Martin i Saint-Merry.

wyżej doktryna, jest mowa wyłącznie o skutku, my zaś szukamy przyczyny. Sprecyzujmy naszą myśl.



## II

### Istota zagadnienia

Istnieją rozruchy, istnieją też powstania; i jedno i drugie są wybuchem gniewu; pierwszy z nich jest bezpodstawny; drugi - uzasadniony. W państwach demokratycznych, jedynych, które oparte są na sprawiedliwych podstawach, zdarza się czasem, iż jakiś odłam społeczeństwa uzurpuje sobie władzę; wtedy ogół powstaje, a konieczność dochodzenia swoich praw może posunąć aż do chwycenia za broń. We wszystkich tych zagadnieniach, należących do zakresu suwerenności zbiorowej, wojna ogółu przeciw frakcji jest powstaniem, atak frakcji na ogół jest rozruchami; zależnie od tego czy Tuilerie są siedzibą króla, czy Konwentu, zostają zaatakowane słusznie lub niesłusznie. To samo działo niesłusznie jest skierowane przeciw tłumom 10 sierpnia, a słusznie 14 Vendemiaire'a. Pozornie to samo, w istocie co innego. Szwajcarzy bronią fałszu, Bonaparte broni prawdy. To, czego dokonało wolne i suwerenne głosowanie, nie może zostać zburzone przez rozruchy uliczne. Tak samo przedstawia się sprawa, gdy chodzi o zdobycze cywilizacji; instynkt mas, wczoraj trafny i dalekowzroczny, jutro może być stępiony. Ta sama wściekłość skierowana przeciw Terrayowi jest słuszna i usprawiedliwiona, skierowana przeciw Turgotowi - jest niedorzeczna. Zniszczone maszyny, splądrowane spichrze, zerwane szyny, zburzone doki, tłumy skierowane na fałszywą drogę, lud źle pojmujący istotę postępu, Ramus zabity przez studentów, Rousseau obrzucony kamieniami i wypędzony ze Szwajcarii - to rozruchy. Gdy Izrael powstaje przeciw Mojżeszowi, Ateny przeciw Fokionowi, Rzym przeciw Scypionowi - to rozruchy; gdy Paryż atakuje Bastylię - to powstanie. Żołnierze buntujący się przeciw Aleksandrowi, majtkowie przeciw Krzysztofowi Kolumbowi - to ten sam bunt, zbrodniczy bunt. Dlaczego? Dlatego że Aleksander uczynił mieczem dla Azji to, co Kolumb dla Ameryki busolą; obaj odkryli nowe światy. Dar nowego świata jest dla cywilizacji tak wielkim pomnożeniem światła, że w tym wypadku wszelki opór jest występkiem. Nieraz lud sam sobie nie dochowuje wiary. Tłum bywa zdrajcą ludu. Czy można sobie na przykład wyobrazić dziwniejszą historię niż długi i krwawy protest "przemysłowców solnych", niewygasający bunt słusznej sprawy, który w decydującej chwili, w dniu ocalenia, w godzinie zwycięstwa ludu, kuma się z tronem, przemienia w ruch Szuanów i z powstania przeciw królowi staje się buntem w obronie króla? Ponure arcydzieło ciemnoty! Przemysłownik urywa się z królewskiej

szubienicy i - mając jeszcze kawał powroza u szyi - przypina białą kokardę. Okrzyk: "Precz z podatkami!", rodzi okrzyk: "Niech żyje król!" Mordercy z nocy Św. Bartłomieja, krwawi kaci wrześniowi, zbóje z Awinionu, zabójcy Coligny'ego, pani de Lamballe i Brune'a, partyzanci hiszpańscy, "Zieloni", długowłose bandy pana z Cadenet towarzysze Jehudy, rycerze księcia d'Angoulême - oto rozruchy. Wanda to wielkie rozruchy katolickie.

Głos powstającego prawa, prawa w ruchu, można poznać; nie zawsze dobywa się on z wrzenia wzburzonych tłumów; bywają szaleńcze gniewy, bywają pęknięte dzwony. Nie każdy dzwon na trwogę dźwięczy szlachetnym spiżem. Rozkołysanie namiętności i ciemnoty nie przypomina w niczym wstrząsów spowodowanych przez postęp. Powstawajcie, zgoda, lecz po to, byście stawali się wielcy. Pokażcie mi, w którą stronę krocycie. Powstanie jest zawsze ruchem naprzód. Każde inne poruszenie jest złe. Każde gwałtowne cofnięcie - to rozruchy, cofanie się wstecz - to zamach przeciw rodzajowi ludzkiemu. Powstanie to napad wściekłości, która ogarnia prawdę; z bruków, które zrywa, powstanie krzesze iskry prawa; ten sam bruk tylko błotem obryzguje rozruchy. Danton przeciw Ludwikowi XVI - to powstanie; Hebert przeciw Dantonowi - to bunt.

Toteż jeśli w pewnych wypadkach powstanie może być, jak rzekł Lafayette, najświętszym obowiązkiem, rozruchy mogą być najgubniejszym zamachem stanu.

Istnieje też pomiędzy nimi pewna różnica temperatury. Powstanie często bywa wulkanem, rozruchy często bywają słomianym ogniem.

Bunt - mówiliśmy to - zawiera się niekiedy w samej władzy. Polignac jest buntownikiem, Kamil Desmoulins - rządzącym.

Niekiedy powstanie jest zmartwychwstaniem.

Ponieważ rozwiązywanie wszystkich kwestii przez głosowanie powszechne jest zdobyczą ostatnich czasów, a całe poprzedzające ten fakt dzieje od czterech tysięcy lat pełne są pogwałceń prawa i cierpień ludu, przeto każda epoka historii przynosi ze sobą protest, na jaki ją stać. Za cesarów nie było powstań, ale był Juwenal.

*Facit indignatio*\* zastępuje Grakchów.

Za cesarów mamy wygnańca z Assuanu, mamy też twórcę "Roczników"\*.

Nie wspominamy już o wielkim wygnańcu z Patmos\*; on także, w imię świata idealnego, występuje przeciwko światu rzeczywistemu, stwarza z wizji druzgocącą satyrę i na Rzym-Niniwę, Rzym-Babilon, Rzym-Sodomę ciska płomienny odbłask Apokalipsy.

---

\* *Facit indignatio (versum)* - oburzenie składa wiersz, Juwenal, "Satyry", 1,79.

\* Wygnaniec z Assuanu - satyryk rzymski Juwenalis (ok. 60-128); twórca "Roczników" - historyk rzymski Tacyt (55-120).

\* Wygnaniec z Patmos - Jan Ewangelista.

Jan na skale - to sfinks na swym postumencie. Można go nie rozumieć; jest Żydem i mówi po hebrajsku. Ale twórca "Roczników" to Łatyńczyk, a raczej Rzymianin.

Neronowie zaprowadzili rządy czarne, toteż winni być odmalowani w czarnych barwach. Nie wystarczy posługiwać się rylcem historii; trzeba wlać w nacięcia zwięzłą prozę, taką, która gryzie.

Despoci przydają się na coś filozofom. Słowo spętane to słowo groźne. Gdy tyran narzuca ludowi milczenie, pisarz podwaja i potraja siłę swego pióra. Z tego milczenia wypływa pewna tajemnicza pełnia, która wsącza się w myśl i zastyga w niej spizowym kształtem. Ucisk w historii powoduje zwięzłość historyka. Niejedna sławna proza swoją granitową zwartość zawdzięcza tyranowi.

Tyrania zmusza pisarza do ścisłości, co jego dziełu dodaje mocy. Ostrze okresów cycerońskich, wystarczające zaledwie dla Verresa, stepiłoby się na Kaliguli. Im mniej, zamaszyste zdanie, tym cios mocniejszy. Myśl Tacyty to ramię ściągnięte do uderzenia.

Uczciwość wielkiego serca ludzkiego, skoncentrowana w zdaniu słusznym i prawdziwym, poraża jak grom.

Podkreślamy mimochodem godny uwagi fakt, że Cezar żyje po Tacycie. Przypadli mu w udziale Tyberiusze. Cezar i Tacyt to dwa następujące po sobie zjawiska; do spotkania ich nie dopuścił tajemniczo ten, który na teatrum wieków kieruje wejściami i zejściami ze sceny. Cezar jest wielki, Tacyt jest wielki; Bóg oszczędza te dwie wielkości, nie pozwalając, by się zderzyły. Mąż sprawiedliwy atakując Cezara mógłby go zaatakować zbyt ostro i dopuścić się niesprawiedliwości. Bóg tego nie chce. Wielkie wojny w Afryce i w Hiszpanii, rozgromienie piratów w Cylicji, wniesienie cywilizacji do Galii, Bretanii i Germanii - cała ta chwała przysłania Rubikon. Objawia się w tym jak gdyby subtelna pobłażliwość sprawiedliwości boskiej, która nie chce wydać sławnego uzurpatora na łaskę i niełaskę groźnego historyka, ratuje Cezara przed Tacytem i przyznaje geniuszowi okoliczności łagodzące.

I pod genialnym despota despotyzm pozostaje despotyzmem. Zepsucie szerzy się pod rządami wielkich tyranów, ale jeszcze ohydniejsza zaraza moralna szerzy się pod rządami tyranów podłych. Nic nie przysłania hańby tych rządów; a ci, co nam dostarczają przykładów - Tacyt czy Juwenal - tym skuteczniej smagają na oczach ludzkości tę bezprzykładną sromotę.

Rzym bardziej cuchnie za Witeliusza niż za Sulli. Za Klaudiusza i za Domicjana podłość jest na miarę brzydoty tyranów. Nikczemność niewolników to bezpośrednie dzieło despoty; trujące miazmaty wydobywają się z owych znieprawionych sumień, w których odbija się obraz ich pana; władze publiczne są plugawe, serca skarłate, sumienia płytkie, dusze robaczywe; tak dzieje się za Karakalli, tak dzieje się za Kommodiusza, tak dzieje się za

Heliogabala, za Cezara natomiast z senatu rzymskiego wydziela się tylko woń właściwa orlemu kałowi. Stąd spóźnione, zdawałoby się, wystąpienia Tacytów i Juwenali. Demonstrator przybywa wówczas, kiedy zjawiska są oczywistością.

Ale Juwenal i Tacyt - podobnie jak w czasach biblijnych Izajasz, a w średniowieczu Dante - to jednostki; rozruchy i powstanie to tłum, który raz myli się, a raz ma rację.

U źródeł rozruchów leży zazwyczaj fakt materialny; powstanie jest zawsze zjawiskiem natury moralnej. Uosobienie rozruchów to Masaniello, powstania - Spartakus. Powstania wywodzą się z ducha, rozruchy - z żołądka. Imć Brzuch irytuje się, ale z pewnością nie zawsze się myli. Jeśli chodzi o kwestię głodu, to rozruchy takie, jak na przykład w Buzangais, były w swym założeniu wzniosłe i sprawiedliwe. Niemniej jednak są to tylko rozruchy. Dlaczego? Dlatego że mając w gruncie rzeczy rację, obrały błędną formę postępowania. Srogie, choć będące w swym prawie, okrutne, choć silne, zadawały ciosy na chybił trafił; jak oślepiiony słoń, tratowały wszystko, co napotkały na drodze; zostawiły za sobą trupy starców, kobiet i dzieci; same nie wiedząc dlaczego, wylały krew bezbronnych i niewinnych istot. Nakarmienie ludu jest dobrym celem, rzeź nie jest dobrym sposobem.

Wszelki protest zbrojny, nawet najbardziej uprawniony, nawet 10 sierpnia czy 14 lipca - zaczyna się zawsze od zamieszek. Wystąpienie prawa poprzedza głuchy pomruk i bryzgająca piana. Początkiem powstania są rozruchy, podobnie jak początkiem rzeki jest strumień. Zazwyczaj powstanie dociera do oceanu rewolucji. Niekiedy jednak, mimo że płynie z niebotycznych gór królujących nad horyzontem moralnym - sprawiedliwości, słuszności, mądrości, prawa - mimo że bierze swój początek wśród nieskalanych śniegów ideału, mimo że musi przebyć długą drogę ze skały na skałę, że odbija niebo w przezroczu swych wód, że wzbiera tysiącem dopływów w swym majestatycznym triumfalnym biegu, powstanie gubi się nagle w jakimś mieszczańskim bagnie, niby Ren w trzęsawiskach.

Ale to należy do przeszłości; przyszłość będzie inna. Głosowanie powszechne ma tę wspaniałą właściwość, że niszczy same podstawy rozruchów i dając powstaniom prawo głosu, wytrąca im broń z ręki. Koniec wojen, zarówno walk ulicznych, jak i walk granicznych, oto nieunikniony postęp. Jakikolwiek jest dzień dzisiejszy, dzień jutrzejszy to Pokój.

Jednakże mieszczaństwo, we właściwym tego słowa znaczeniu, prawie nie odróżnia odcieni między powstaniem a rozruchami. Dla niego wszystko to jest rokoszem, zwykłą rebelią, buntem psa przeciw panu, próbą ugryzienia, którą trzeba ukarać łańcuchem i budą, jest naszczekiwaniem, ujadaniem; tak sądzi aż do dnia, kiedy łeb nagle spotęnieje i zamajaczy w cieniu jako głowa lwa.

Wówczas mieszczanin woła: "Niech żyje lud!"

Po tych wyjaśnieniach zapytajmy, czym są w historii wypadki z czerwca 1832 roku. Czy to rozruchy, czy powstanie?

Powstanie.

Może się zdarzyć, że przedstawiając te groźne wydarzenia, użyjemy czasem słowa "rozruchy", będzie się to odnosić jedynie do oceny faktów zewnętrznych; nigdy bowiem nie zapominamy o różnicy pomiędzy formą: rozruchy, a treścią: powstanie.

Wypadki z 1832 roku miały w swym nagłym wybuchu i ponurym wygaśnięciu taką wielkość, że nawet ci, którzy widzieli w nich jedynie rozruchy, mówią o nich z szacunkiem. Ich zdaniem wypadki te są pozostałością 1830 roku. Wzburzone umysły - powiadają - nie mogą się uspokoić w ciągu jednego dnia. Rewolucja nie urywa się nagle, jak ucięta nożem. Zanim powróci do zupełnego spokoju, zawsze jeszcze tu i ówdzie wznosi się i opada, jak masyw górski przechodzący powoli w równinę. Alpy muszą mieć swoją Jurę, a Pireneje - Asturię.

Ten patetyczny przełom w historii współczesnej, zwany we wspomnieniach mieszkańców Paryża "epoką zamieszek", jest z całą pewnością charakterystycznym momentem wśród burzliwych chwil naszego stulecia.

Jeszcze jedno słowo, nim podejmiemy tok opowiadania.

Wydarzenia, które opowiemy za chwilę, należą do owej żywej i dramatycznej rzeczywistości, którą historycy nieraz pomijają z braku czasu i miejsca. A właśnie ona, kładziemy na to nacisk, jest życiem, drganiem i biciem ludzkiego serca. Mówiliśmy już chyba, że drobne szczegóły są, jeśli tak rzecz można, listowiem wielkich wydarzeń i giną w bezkresach historii. Tak zwana "epoka zamieszek" obfituje w takie szczegóły. Śledztwa sądowe - z innych powodów niż historia - nie wszystko odsłoniły i nie wszędzie chyba dotarły do sedna sprawy. A więc, oprócz szczegółów znanych i opisanych, wydobędziemy tu na jaw pewne sprawy, o których nikt nie wie, fakty, które zatarło zapomnienie jednych lub śmierć innych ludzi. Większość aktorów tego potężnego widowiska znikła; już nazajutrz zamilkli; ale to, co tu opowiemy - możemy rzec śmiało - widzieliśmy na własne oczy. Zmienimy kilka nazwisk, bo historia opowiada, nie denuncjuje, ale odmalujemy prawdę. W granicach pisanej przez nas książki ukážemy jedną tylko stronę wydarzeń owych dni 5 i 6 czerwca 1832 roku i jeden epizod - z pewnością najmniej znany. Ale uczynimy to w taki sposób, że pod ciemną zasłoną, którą uniesiemy, czytelnik dostrzeże prawdziwe oblicze owego strasznego wydarzenia społecznego.

### III

#### Pogrzeb sposobnością odrodzenia

Wiosną 1832 roku, mimo że od trzech miesięcy cholera mroziła umysły i swoją posepną grozą tłumiała ich wzburzenie, Paryż od dawna gotów był do wybuchu. Jak już mówiliśmy, wielkie miasto przypomina naładowane działo, wystarczy jednej iskry, by wystrzeliło. W czerwcu 1832 roku tą iskrą stała się śmierć generała Lamarque.

Lamarque był mężem okrytym chwałą i człowiekiem czynu. Kolejno za Cesarstwa i Restauracji dał dowody odwagi obu rodzajów, jakie były konieczne w tych dwóch epokach: odwagi na polu bitwy i odwagi na trybunie. Za Restauracji był równie wymowny jak poprzednio mężny. Rąbał słowem jak szablą. Podobnie jak jego poprzednik Foy, zasłynąwszy jako dowódca, zasłynął potem jako obrońca wolności. Zasiadał między lewicą a skrajną lewicą, kochany przez lud za to, że stanął po stronie przyszłości, kochany przez tłumy za to, że niegdyś wiernie służył cesarzowi. Wraz z hrabią Gerardem i Drouetem był jednym z marszałków *inpetto* Napoleona. Traktaty z 1815 roku oburzyły go jak osobista zniewaga. Do Wellingtona pałał żywiołową nienawiścią, która podobała się tłumowi, i od siedemnastu lat zwracając mało uwagi na współczesne wydarzenia z godnością nosił w sercu żal po Waterloo. W agonii przyciskał do piersi szpadę, którą ofiarowali mu oficerowie Stu Dni. Napoleon umarł ze słowami "armia" na ustach. Lamarque - ze słowem "ojczyzna".

Śmierci jego - której się spodziewano - lud lękał się jako bolesnej straty, rząd zaś jako okazji do zamieszek. Ta śmierć była żałobą. Jak wszystko, co gorzkie, żałoba może się przemienić w rewoltę. Tak też się stało.

4 czerwca i nazajutrz rano, w dzień wyznaczony na pogrzeb Lamarque'a, przedmieście Św. Antoniego, które miał przechodzić kondukt, przybrało groźny wygląd. Gwarną sieć uliczek napełniał zgiełk i wrzawa. Każdy zbroił się, jak mógł. Stolarze pobrali ze swych warsztatów sztaby, "żeby wyważać drzwi". Jeden z nich zrobił sobie sztylet z szydła odłamując jego haczyk i ostrząc rękojeść. Inny, ogarnięty gorączkowym pragnieniem, by jak najprędzej "uderzyć", od trzech dni sypiał w ubraniu. Pewien cieśla, nazwiskiem Lombier, spotkał kolegę, który go zagadnął: "Dokąd idziesz?" - "Wiesz, nie mam broni!" - "No więc co?" - "Idę do warsztatu po cykiel!" - "Na co ci cykiel?" - "Sam nie wiem" - odrzekł Lombier. Niejaki Jacqueline, człek pomysłowy i przedsiębiorczy, zaczepiał przechodzących

robotników: “Chodź no ze mną!” Fundował im wina za dziesięć su i pytał: “Masz pracę?” - “Nie” - “To idź do Filspierre'a, który mieszka między rogatką Montreuil a rogatką Charonne, on ci da pracę”. Filspierre dawał naboje i broń. Niektórzy znani przywódcy “roznosili pocztę”, to znaczy biegali od jednego do drugiego, aby zebrać swoich ludzi. W szynku Barthélemy” koło rogatki Trône i u Capela przy ulicy Petit-Chapeau pijący rozprawiali z powagą. Słysząc było, jak mówili: “Gdzie masz pistolet?” - “Pod kapotą. A ty?” - “A ja pod koszulą”. Na ulicy Traversiere przed zakładem Rolanda i na placu przed Spalonym Domem, koło warsztatu ślusarskiego Berniera, stały grupki szepczących ludzi. Wśród nich najbardziej zapalonym wydawał się niejaki Mavot, który w żadnym warsztacie nigdy nie zagrażał miejsca dłużej niż przez tydzień, odprawiany przez majstrów, “bo ciągle trzeba było się z nim kłócić”. Poległ następnego dnia na barykadzie przy ulicy Menilmontant. Pretot, który miał również zginąć w walce, pomagał dzielnie Mavotowi i gdy go pytano: “Czego ty chcesz?”, odpowiadał: “Powstania!” Robotnicy zgromadzeni na rogu ulicy Bercy czekali na człowieka nazwiskiem Lemarin, organizatora spisku na przedmieściu Saint-Marceau. Hasła podawano sobie z ust do ust niemal jawnie.

Tak więc 5 czerwca, w dzień na przemian deszczowy i słoneczny, kondukt pogrzebowy generała Lamarque posuwał się ulicami Paryża z oficjalną asystą wojskową przez ostrożność nieco wzmocnioną. Dwa bataliony z bębniami spowitymi w krepę i karabinami obróconymi lufą do ziemi, dziesięć tysięcy gwardzistów z szablami u boku oraz artyleria gwardii narodowej eskortowały karawan, który ciągnęła młodzież. Tuż za nimi kroczyli oficerowie ze schroniska Inwalidów, z gałązkami wawrzynu w ręku. Dalej postępował niezliczony, podniecony, dziwny tłum: członkowie Towarzystwa Przyjaciół Ludu, studenci prawa, studenci medycyny, uchodźcy najrozmaitszych narodowości, sztandary hiszpańskie, włoskie, niemieckie, polskie, sztandary trójbarwne w poziome pasy, wszystkie flagi świata, dzieci wywijające zielonymi gałązkami, kamieniarze i cieśle, którzy właśnie strajkowali, drukarze, łatwi do rozpoznania dzięki czapkoms z papieru; szli dwójkami lub trójkami, wznosząc okrzyki, uzbrojeni w kije, a niektórzy w szable, szli w nieładzie, a przecież ożywnieni jednym duchem; szli jak bezładna ciżba, to znów jak regularna kolumna. Poszczególne grupy wybierały sobie dowódców, jakiś mężczyzna uzbrojony w parę pistoletów, widocznych z daleka, zdawał się dokonywać przeglądu szeregów, które się przed nim rozstępowały. Na ulicach przyległych do bulwarów, na drzewach, na balkonach, w oknach, na dachach – wszędzie mrowie głów: mężczyźni, kobiety, dzieci. W oczach widzów czaił się niepokój; jeden tłum, uzbrojony, maszerował, drugi tłum, wylękły - patrzył.

Rząd obserwował również. Obserwował z dłonią na rękojeści szabli. Na placu Ludwika XV widać było cztery szwadrony konnych karabinierów w pogotowiu, z pełnymi ładownicami, nabitymi fuzjami i muszkietonami, z trębaczami na czele; w Dzielnicy Łacińskiej i w Ogrodzie Botanicznym rozstawiono na ulicach oddziały gwardii miejskiej; w Hali Win stał szwadron dragonów, na placu Greve połowa dwunastego pułku lekkiej jazdy, druga połowa znajdowała się koło Bastylli, szósty dragonów - koło Celestynów. Dziedziniec Luwru pełen był artylerii. Reszta wojska, nie licząc oddziałów z okolic Paryża, czekała w koszarach. Zaniepokojony rząd zawiesił nad groźnym tłumem dwadzieścia cztery tysiące żołnierzy w mieście i trzydzieści tysięcy na peryferiach.

Wśród uczestników konduktu krążyły najróżniejsze wieści: mówiono o intrygach legitymistów; mówiono o księciu Reichstadt, którego Bóg nazaczył piętnem śmierci w tej właśnie chwili, kiedy lud ofiarowywał mu władzę. Jakiś nierozpoznany osobnik obwieszczał, iż w oznaczonej godzinie dwaj pozyskani dla sprawy majstrzy otworzą ludowi bramy fabryki broni. Na odsłoniętych czołach większości ludzi kroczących w kondukcie zapał łączył się ze smutkiem. W tym tłumie przejętym gwałtownym, lecz szlachetnym wzruszeniem widziało się też tu i ówdzie twarze naprawdę zbrodnicze i niecne usta szepczące: “Do grabieży!” Niektóre wzburzenia mącą wodę ode dna i dobywają błoto na powierzchnię. Objaw, któremu nieobca jest “dobrze wyszkolona” policja.

Kondukt posuwał się z gorączkową powolnością od domu żałoby przez bulwary do placu Bastylli. Co pewien czas padał deszcz, ale tłum nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Nie brakło incydentów: oprowadzono trumnę dokoła kolumny Vendôme; posypały się kamienie, gdy księżę Fitz-James ukazał się na balkonie z nakrytą głową, kogut galijski został zerwany z ludowego sztandaru i rzucony w błoto, przy bramie Św. Marcina zraniono szablą policjanta, jakiś oficer z dwunastego pułku lekkiej jazdy powiedział głośno: “Ja jestem republikaninem!”; studentów politechniki, którzy przybyli wbrew zakazom przełożonych, tłum powitał okrzykami: “Niech żyje politechnika! Niech żyje Republika!” Na placu Bastylli dołączyły się do konduktu długie, groźne szeregi mieszkańców przedmieścia Św. Antoniego i jakieś straszliwe wrzenie zaczęło ogarniać tłum.

Słyszano, jak pewien człowiek mówił do towarzysza: “Widzisz tego jegomościa z ryżą bródką? To on da znak, kiedy trzeba będzie zacząć strzelać”. Wydaje się, że ta sama ryża bródka pełniła i później podobną funkcję w innych zamieszkach, w tak zwanej sprawie Quenisseta.

Karawan minął plac Bastylli, przejechał wzdłuż kanału, przebył mały most i dotarł do esplanady koło mostu Austerlitzkiego. Tam zatrzymał się. Z lotu ptaka to mrowie ludzkie



musiało wyglądać jak kometa, której głowa leżała na esplanadzie, a ogon rozpostarty na wybrzeżu Bourdon przykrywał plac Bastylli i ciągnął się aż do bramy Św. Marcina. Wokół karawanu utworzył się wielki krąg. W olbrzymim tłumie zapanowała cisza. Przemówił Lafayette żegnając Lamarque'a. Była to chwila wzruszająca i wspaniała; odkryły się wszystkie głowy, wszystkie serca mocniej zabiły. Nagle w grupie otaczających karawan zjawiał się mężczyzna na koniu, cały w czerni, z czerwonym sztandarem w rękę; niektórzy twierdzili później, że była to czerwona czapka zatknięta na pikę. Lafayette odwrócił głowę. Exelmans opuścił kondukt.

Ten czerwony sztandar wywołał burzę i znikł w niej. Od bulwaru Bourdon aż po most Austerlitzki tłum, niby wzburzone morze, zakołysał się wołając: "Lamarque do Panteonu! Lafayette na ratusz!" Wśród entuzjastycznych okrzyków tłumu młodzież zaczęła ciągnąć karawan Lamarque'a w kierunku mostu Austerlitzkiego, a powóz Lafayette'a przez bulwar Morland.

W grupie otaczającej i oklaskującej Lafayette'a, zauważono i pokazywano sobie pewnego Niemca, Ludwika Snydera, zmarłego później w wieku 100 lat, który brał również udział w wojnie 1776 roku i bił się pod Trenton pod dowództwem Washingtona, a pod Brandywine pod dowództwem Lafayette'a.

Tymczasem na lewym brzegu ruszyła miejska konnica i zagroziła most, a na prawym brzegu dragoni wysunęli się od strony Celestynów i rozwinęli się szykiem wzdłuż wybrzeża Morland. Ludzie ciągnący Lafayette'a zauważyli ich nagle za zakrętem i zawołali: "Dragon! Dragon!" Oni zaś, z pistoletami w olstrach, z szablami w pochwach i muszkietonami przy siodłach, jechali stępą w zupełnym milczeniu, w postawie wyczekującej i groźnej.

Na dwieście kroków przed małym mostem stanęli. Powóz Lafayette'a podjechał ku nim - dragoni rozstąpili się, przepuścili go, a potem znowu zwarli szeregi. W tym momencie tłum stanął z wojskiem twarzą w twarz. Kobiety zaczęły uciekać w popłochu.

Co stało się w owej fatalnej minucie? Nikt nie umiałby dać na to odpowiedzi. Była to tajemnicza chwila, w której starły się ze sobą dwie chmury. Jedni mówią, że od Arsenалу doleciał głos trąbki, dającej sygnał ataku, inni, że jakieś dziecko zraniło sztyletem dragona. Pewne jest tylko, że nagle padły trzy strzały: pierwszy zabił dowódcę szwadronu, Choleta, drugi głuchą staruszkę, która zamykała okno w swoim mieszkaniu przy ulicy Contrescarpe, trzeci trafił w epolet jednego z oficerów. Jakaś kobieta krzyknęła: "Zaczynają za wcześnie!" I nagle zobaczono, że na wprost wybrzeża Morland szwadron dragonów, który pozostawał dotychczas w koszarach, wypada galopem z obnażonymi szablami i pędzi przez ulicę Bassompierre i bulwar Bourdon zmiatając wszystko przed sobą.

To wystarczyło; rozpętuje się burza, sypie się grad kamieni, wybucha strzelanina, wielu ludzi rzuca się do podnóża skarpy i przechodzi przez wąską odnogę Sekwany, dziś zasypaną; składy drzewa na wyspie Louviers, jakby zawczasu przygotowana reduta, pokrywają się walczącymi; padają słupy, rozlegają się strzały z pistoletów, zaczyna rosnąć barykada; młodzież, odepchnięta przez wojsko, biegnie wraz z karawanem przez most Austerlitzki i atakuje gwardię narodową; przybywają karabinierzy, dragoni siekają szablami, tłum rozprasza się na wszystkie strony, wrzawa wojenna ogarnia Paryż, ludzie krzyczą: “Do broni!” biegają, padają, uciekają, stawiają opór. Gniew roznieca powstanie jak wiatr ogień.

## IV

### Wrzenie tamtych dni

Nie ma osobliwszej rzeczy niż pierwszy dreszcz zamieszek. Wszystko wybucha wszędzie równocześnie. Czy to było przewidziane? Tak. Czy było przygotowane? Nie. Skąd się rodzi? Z ulicznego bruku, Skąd się bierze? Z nieba. Tu powstanie ma charakter spisku, ówdzie - improwizacji. Pierwszy lepszy człowiek obejmuje przewodnictwo tłumów i wie gdzie, dokąd chce. Pełen grozy początek zaprawiony jakąś potężną radością. Zrazu wszędzie wybucha zgiełk, zamykają się sklepy, znikają stragany; później zaczynają padać pojedyncze strzały; ludzie uciekają; kolby karabinów walą w bramy; słysząc, jak na podwórkach służące śmieją się mówiąc: "Zanosi się na awanturę!"

Nie minął kwadrans i oto co działo się niemal równocześnie w dwudziestu różnych punktach Paryża.

Na ulicy Sainte-Croix-de-la-Bretonnerie ze dwudziestu młodych ludzi z brodami i długimi włosami weszło do szynku; po chwili wyszli niosąc poziomo trójbarwny sztandar, spowity krepą; na czele kroczyło trzech uzbrojonych mężczyzn; jeden miał szablę, drugi - strzelbę, trzeci - pikę.

Na ulicy Nonnains-d'Hyères jakiś dostatnio ubrany jegomość o donośnym głosie, brzuchaty, łysy, z czarną brodą i nieposłusznie sterczącym szczeciniastym wąsem, którego nie sposób ułożyć porządnie, otwarcie proponował przechodniom naboje.

Mężczyźni z gołymi ramionami obnosili po ulicy Saint-Pierre-Montmartre czarną chorągiew, na której białe litery tworzyły napis: "Republika albo śmierć!" Na ulicy Jeûneurs, Cadran, Montorgueil i Mandar pojawiły się podniecone grupki wymachując sztandarami, na których widniało napisane złotymi literami słowo: "sekcja", i numer. Na jednym z tych sztandarów pasy czerwony i niebieski dzielił wąski i prawie niedostrzegalny biały paseczek.

Na bulwarze Św. Marcina rozgrabiono wytwórnę broni, poza tym trzy sklepy rusznikarzy, pierwszy przy ulicy Beaubourg, drugi przy ulicy Michelle-Comte, trzeci przy ulicy Temple. W ciągu paru minut tysiąc rąk pochwyciło i uniosło dwieście trzydzieści karabinów, przeważnie dwustrzałowych, sześćdziesiąt cztery szable i osiemdziesiąt trzy pistolety. Aby więcej ludzi mogło się uzbroić, jedni brali karabiny, inni bagnety.

Naprzeciw wybrzeża Gréve uzbrojeni w muszkiety ludzie zajmowali miejsca w oknach, aby stamtąd strzelać. Jeden z nich miał muszkiet bębenny. Dzwonili do mieszkań, wchodzili i zabierali się do robienia naboju. Jedna kobieta opowiadała później: “Nie wiedziałam nawet, co to są naboje, dopiero mąż mi powiedział”.

Do sklepu z osobliwościami na ulicy Vieilles-Haudriettes włamała się grupa ludzi i zabrała jatagany oraz broń turecką.

Na ulicy Perłowej leżał trup murarza, który padł od kuli karabinowej.

Prawy i lewy brzeg Sekwany, wybrzeża, bulwary, Dzielnice Łacińską i Hale ogarnęło podniecenie; robotnicy, studenci, sekcyjni czytali proklamacje, wołali: “Do broni”, tłukli latarnie, wyprzęgali konie z pojazdów, zrywali bruk z ulic, wyważali bramy domów, wrywali drzewa, przeszukiwali piwnice, toczyli beczki i układali płyty chodników, kamienie, meble, deski wznosząc barykady.

Zmuszano mieszczan do pomocy. Powstańcy wchodzili do domów, żądali od kobiet szabel i karabinów nieobecnych mężów i pisali na drzwiach kredą hiszpańską: “Broń została wydana”. Niektórzy kwitowali “własnym nazwiskiem” odbiór szabli i karabinu i mówili: “Proszę się jutro zgłosić po nie do merostwa”. Rozbrajano po ulicach pojedyncze patrole i członków gwardii narodowej, udających się do swej komendy. Oficerom zrywano szlify. Na ulicy Cmentarnej pewien oficer gwardii narodowej, ścigany przez tłum, uzbrojony w kije i florety, ledwo się zdołał schronić w jakimś domu, skąd mógł się wydostać dopiero nocą i w przebraniu.

W dzielnicy Św. Jakuba studenci tłumnie opuszczali hotele i biegli w górę ulicy Św. Jacka do kawiarni “Postęp” lub też schodzili w dół do kawiarni “Pod Siedmioma Bilardami” przy ulicy Mathurins. Tam przed wejściem młodzi ludzie, stojący na kamiennych słupach, rozdawali broń. Splądrowano składy drzewa przy ulicy Transnonain, by zdobyć materiał na zbudowanie barykady. W jednym tylko punkcie Paryża, przy zbiegu ulic Sainte-Avoye i Simon-le-Franc, mieszkańcy stawili opór i rozebrali barykadę. W jednym też punkcie powstańcy cofnęli się; otworzywszy ogień na oddział gwardii narodowej, uciekli ulicą Corderie porzucając zaczęłą barykadę przy ulicy Temple. Oddział gwardii znalazł na barykadzie czerwony sztandar, paczkę naboju i trzysta kul do pistoletów. Sztandar został podarty i gwardia zatknęła sobie jego strzępy na bagnety.

Wszystko, co opowiadamy tu powoli i kolejno, wybuchło naraz we wszystkich punktach miasta, wśród wrzawy i zgiełku, niczym snop błyskawic wśród jednego huku grzmotu.

W niespełną godzinę w jednej tylko dzielnicy Hal wyrosło, jak spod ziemi, dwadzieścia siedem barykad. Pośrodku stał dom oznaczony numerem 50, słynna reduta Jeanne'a i jego stu sześciu towarzyszy; osłonięta z jednej strony barykadą na ulicy Saint-Merry, z drugiej - barykadą na ulicy Maubuee, reduta ta panowała nad trzema ulicami: ulicą Arcis, Św. Marcina i Aubry-le-Boucher, która na nią wprost wychodziła. Dwie barykady, stykające się pod kątem prostym, ciągnęły się jedna na ulicy Montorgueil w stronę Żebraczej Dużej, druga - na ulicy Geoffroy-Langevin w stronę ulicy Sainte-Avoye. Nie będziemy tu wspominali niezliczonych barykad w dwudziestu innych dzielnicach Paryża, na Bagnie czy na wzgórzu Świętej Genowefy, ani barykady przy ulicy Menilmonatant, w której widać było wrota wyrwane z zawiasów; ani też innej, zbudowanej z wyciągniętego i przewróconego koczka, przy małym moście koło Hôtel-Dieu, o trzysta kroków od prefektury policji.

Na barykadzie przy ulicy Menetriers dostatnio ubrany mężczyzna rozdawał pieniądze pracującym. Do barykady przy ulicy Greneta nadjechał konno jakiś nieznajomy i wręczył człowiekowi, który wyglądał na dowódcę, coś na kształt rulonu pieniędzy. "Masz - powiedział - na opłacenie wydatków, na wino i resztę". Młody blondyn bez krawata biegał między barykadami nosząc rozkazy. Inny, z obnażoną szablą i niebieską czapką policjanta na głowie, rozstawiał strażę. Winiarnie i stróżówki przemieniono w obręb barykad na kordegardy. Zresztą rozruchy rozwijały się według najlepszych reguł taktyki wojskowej. Wąskie, strome i kręte uliczki, pełne załomków i zakrętów, stanowiły świetnie wybraną pozycję, szczególnie najbliższa okolica Hal - sieć uliczek bardziej powikłana niż drogi leśne. Mówiono, że Stowarzyszenie Przyjaciół Ludu objęło dowództwo powstania w dzielnicy Sainte-Avoye. Przeszukując trupa mężczyzny, zabitego na ulicy Ponceau, znaleziono przy nim plan Paryża.

W rzeczywistości kierowała rozruchami jakaś nieznana gwałtowność, która była w powietrzu. W mgnieniu oka powstanie jedną ręką wzniosło barykady, a drugą opanowało wszystkie prawie posterunki garnizonu. W niespełną trzy godziny, niby smuga zapalonego prochu, powstańcy zajęli i opanowali na prawym brzegu: Arsenał, siedzibę merostwa na placu Królewskim, całą dzielnicę Bagno, fabrykę broni Popincourt, Galiote, Wieżę Ciśnień i wszystkie ulice w okolicy Hal; na lewym zaś brzegu koszary Weteranów, więzienie Św. Pelagii, plac Maubert, prochownię Dwa Młyny i wszystkie rogatki. O piątej po południu byli panami Bastylli, Lingerie i Blancs-Manteaux, a ich strażę przednie podchodziły pod plac Zwycięstw i zagrażały bankowi, koszarom Petits-Peres oraz poczcie. Rozruchy ogarnęły trzecią część Paryża.

Wszędzie zawiązały się gigantyczne starcia; na skutek zaś rozbrajania oddziałów rządowych, rewizji po domach i szybkiego opanowania sklepów z bronią - walka, w której zrazu padały kamienie, przemieniła się w strzelaninę.

Około szóstej wieczorem pasaż Saumon stał się terenem walk. Na jednym jego krańcu znajdowali się powstańcy, na drugim wojsko; strzelano do siebie od kraty do kraty. Pewien widz, marzyciel, autor niniejszej książki, chcąc z bliska przyjrzeć się wulkanowi, znalazł się w tym pasażu wzięty w dwa ognie. Od kul chroniło go tylko niewielkie zagłębienie między słupami oddzielającymi sklepy; blisko pół godziny musiał przetrwać w tej dość trudnej sytuacji.

Tymczasem biły werble, gwardia narodowa wciągała mundury i spiesznie chwyciła broń, oddziały wychodziły z merostw, pułki wychodziły z koszar. Naprzeciw pasażu Ancre zasztyletowano dobosza. Drugiego napadła na ulicy Łabędziej trzydziestoosobowa grupa młodzieży, przedziurawiła mu bęben i odebrała szablę. Trzeci został zabity na ulicy Grenier-Saint-Lazare. Na ulicy Michel-le-Comte poległo trzech oficerów, jeden po drugim. Wielu gwardzistów, rannych na ulicy Lombards, wycofało się.

Niedaleko Cour Batave oddział gwardii narodowej znalazł czerwony sztandar z napisem: "Rewolucja republikańska nr 127". Byłaż to istotnie rewolucja?

Powstanie utworzyło z centrum Paryża rodzaj niezdobytej, skomplikowanej i ogromnej twierdzy.

Tam znajdowało się ognisko ruchu, tam najwyraźniej tkwiło sedno sprawy. Reszta - to były tylko utarczki bez większego znaczenia. Dowodził tego również fakt, że tam nie zaczęto jeszcze walki.

W niektórych pułkach żołnierze byli niezdecydowani, pogłębiało to jeszcze straszliwą niepewność kryzysu. Przypominali sobie owacje, jakimi lud przyjął w lipcu 1830 roku neutralność 53 pułku liniowego. Dowodzili nimi dwaj mężowie dzielni i wypróbowani w bojach, marszałek Lobau i generał Bugeaud; Bugeaud jako podkomendny Lobau. Mocne patrole złożone z batalionów piechoty, otoczone całą kompanią gwardii narodowej i poprzedzane przez prefekta policji, przepasanego wstęgą, miały przeprowadzać rekonesanse na ulicach ogarniętych powstaniem. Powstańcy zaś rozstawiali swoje widety na skrzyżowaniach ulic i zuchwale wysyłali patrole poza obręb barykad. Obie strony obserwowały się nawzajem. Rząd - mimo że miał wojsko w ręku - wahał się; zbliżała się noc; z Saint-Merry dolatywał dźwięk dzwonów, bijących na trwogę. Ówczesny minister wojny, marszałek Soult, który widział Austerlitz, chmurnie patrzył na sytuację.

Ci starzy żeglarze bowiem, przyzwyczajeni do regularnych posunięć i kierujący się zawsze taktyką, tą busołą bitwy, stają bezradni wobec potężnej, spienionej fali, zwanej gniewem ludu. Niełatwo chwycić w żagle wichry rewolucji.

Podmiejska gwardia narodowa gromadziła się w pośpiechu i bezładzie. Z Saint-Denis nadjeżdżał cwałem batalion 12 pułku, 14 pułk piechoty przybywał z Courbevoie; baterie szkoły wojskowej zajęły stanowiska na placu Carrousel; z Vincennes nadciągały armaty.

Tuileries opustoszały. Ludwik Filip zachowywał pogodę ducha.

## V

### Osobliwości Paryża

Mówiliśmy już, że w ciągu dwóch ostatnich lat Paryż widział niejedno powstanie. Poza dzielnicami objętymi powstaniem oblicze tego miasta cechuje zazwyczaj podczas rozruchów przedziwny spokój. Paryż bardzo łatwo przyzwyczaja się do wszystkiego - to tylko rozruchy! - i tyle ma spraw, że nie przejmuje się byle czym. Tylko miasta-kolosal przedstawiają podobne widowiska. Tylko te ogromne skupiska mogą być równocześnie widownią wojny domowej i zachowywać jakiś niezwykle spokojny. Zazwyczaj gdy powstanie się zaczyna, gdy słychać werble, pobudki, marsze wojskowe, sklepikarz powiada tylko: "Zdaje mi się, że jest jakaś bijatyka na ulicy Św. Marcina". Albo: "Na przedmieściu Św. Antoniego". Często dodaje beztrąsko: "Gdzieś w tamtej okolicy".

Potem, gdy już wyraźniej dolatują przeraźliwe i złowieszcze odgłosy strzelaniny i salwy plutonów, sklepikarz mówi: "Ale grzeją! Patrzcie no, ale grzeją!"

Po chwili, jeśli rozruchy zbliżają się i zdobywają teren, czym prędzej zamyka swój sklepik i szybko naciąga mundur na grzbiet, innymi słowy, zabezpiecza swoje towary, a naraża życie.

Strzelanina rozlega się na skrzyżowaniach ulic, w pasażach, w zaułkach, barykady przechodzą z rąk do rąk, krew się leje, pociski siekają po fasadach domów, kule zabijają mieszkańców w ich sypialniach, trupy zalegają ulice. O kilka ulic dalej słychać z kawiarni stuk kul bilardowych.

Grupki ciekawych rozmawiają i śmieją się o dwa kroki od ulic objętych walką; teatry są otwarte, grają w nich wodewile. Jeżdżą dorożki, ludzie wychodzą na obiad do restauracji; niekiedy w tej samej nawet dzielnicy, gdzie toczą się bitwy. W 1831 roku przerwano strzelaninę, by przepuścić orszak weselny.

Podczas powstania 12 maja 1839 roku na ulicy Św. Marcina jakiś ułomny staruszek, ciągnąc ręczny wózek nakryty trójkolorową płachtą, pełen karafek z jakimś płynem, kuśtykał od barykady do wojska i od wojska do barykady, proponując z całkowitą bezstronnością szklankę soku kokosowego raz rządowi, raz anarchii.



Trudno o coś równie niezwykłego i na tym polega właśnie owa charakterystyczna właściwość rozruchów paryskich, której nie ma żadna inna stolica. Bo na to trzeba dwóch rzeczy: wielkości Paryża i jego wesołości. Na to trzeba miasta Woltera i Napoleona.

Tym razem wszakże, gdy 5 czerwca 1832 roku chwycono za broń, wielkie miasto odczuło coś, co mogło okazać się silniejsze od niego. Złękło się. Wszędzie, w najodleglejszych nawet i najmniej “zainteresowanych” dzielnicach, drzwi, okna i okiennice pozamykane były w biały dzień. Ludzie odważni zbroili się, tchórze się kryli. Znikł gdzieś niefrasobliwy, a zaferowany przechodzień. Wiele ulic świeciło pustką jak o czwartej nad ranem. Podawano sobie niepokojące szczegóły, rozpowszechniano fatalne wiadomości: że *oni* opanowali bank; że w jednym tylko klasztorze Saint-Merry było ich sześciuset, że okopali się i zabarykadowali w kościele; że piechota nie jest pewna; że Armand Carrel odwiedził marszałka Clauzel, a marszałek mu powiedział: “Niech pan najpierw ma choćby jeden pułk!”; że Lafayette, chociaż chory, powiedział im: “Jestem po waszej stronie! Pojadę z wami wszędzie, gdzie tylko się znajdzie miejsce dla mojego krzesła!”; że trzeba się mieć na baczności; że w nocy znajdą się ludzie, którzy będą grabić samotne domy w mniej zamieszkanym dzielnicach Paryża (w tym można poznać bujną wyobraźnię policji, tej Anny Radcliffe rządu); że na ulicy Aubry-le-Boucher ustawiono baterię; że Lobau i Bugeaud zmówili się i o północy, a najdalej o świcie, cztery kolumny mają ruszyć równocześnie na samo centrum powstania; jedna od strony Bastylli, druga od bramy Św. Marcina, trzecia od strony placu Grève, a czwarta od Hal; że wojsko ma opuścić Paryż i wycofać się na Pole Marsowe; że nie wiadomo jeszcze, co się może zdarzyć, ale z całą pewnością tym razem sprawa jest poważna. Niepokojono się niezdecydowaniem marszałka Soult. “Dlaczego od razu nie uderza?” Istotnie, zastanawiał się on głęboko. Zdawało się, że stary lew zwietrzył w cieniu jakiegoś nieznanego potwora.

Nadszedł wieczór; teatry były nieczynne; po ulicach nerwowo krążyły patrole; rewidowano przechodniów; zatrzymywano podejrzane osoby. O dziewiątej wieczorem było przeszło osiemset osób aresztowanych; w prefekturze policji - przepełnienie; w Conciergerie - przepełnienie, w więzieniu La Force - przepełnienie. Zwłaszcza w Conciergerie długi korytarz piwniczny, zwany “paryską ulicą”, był pokryty wiązkami słomy; leżał na nich stłoczony tłum więźniów, których krzepił płomienną przemową “człowiek z Lyonu” - Lagrange. Chrzęst słomy poruszanej przez tylu ludzi szeleścił niby ulewny deszcz. Gdzie indziej więźniowie nocowali pod gołym niebem, na dziedzińcach, pokotem. Wszędzie panował niepokój i jakieś niezwykle dla Paryża drżenie.

Barykadowano domy; żony i matki niepokoiły się; naokoło słycać było jedynie słowa: “On nie wrócił! Ach, mój Boże!” Gdzieś z oddali dolatywał czasem turkot przejeżdżającego pojazdu. Stojąc w progu domu, przysłuchiwano się wrzawie, krzykom, hałasom, głuchym i niewyraźnym odgłosom i mówiono: “To konnica”, albo: “To jaszce w galopie”; przysłuchiwano się trąbkom, bębnom, strzelaninie, a nade wszystko żalosnemu dźwiękowi dzwonu bijącego na trwogę w klasztorze Saint-Merry. Czekano na pierwszy strzał armatni. Uzbrojeni mężczyźni ukazywali się nagle zza rogu ulic i znikali krzycząc: “Wracać do domów!” Rzucano się czym prędzej ryglować drzwi. Ludzie mówili: “Jak się to skończy?” Z minuty na minutę, w miarę jak zapadała noc, zdawało się, że potężna łuna rozruchów coraz posepniej zabarwia Paryż swym blaskiem.

**Księga jedenasta**

**Atom brata się z huraganem**

## I

### **Nieco wyjaśnień na temat źródeł poezji Gavroche'a. Wpływ pewnego członka Akademii Francuskiej na tę poezję**

W chwili gdy wskutek zetknięcia się przed Arsenalem wojska z ludem wybuchło powstanie, powodując cofanie się tłumu, który postępował za trumną i na całej długości bulwarów ciążył, rzecz można, na czole konduktu - zrobił się przerażający zamęt. Ciżba zakołysała się, szeregi załamały, wszyscy zaczęli biec, uciekać, jedni z okrzykami, rwąc się do natarcia, inni umykając, pobladli z trwogi. Szeroka rzeka ludzka, która pokrywała bulwary, w mgnieniu oka rozlała się w prawo i lewo i wartkimi strumieniami wtargnęła w dwieście ulic równocześnie z gwałtownością przerwanej służby. W tej właśnie chwili obdarty malec, który szedł ulicą Menilmontant z gałązką zerwanego niedawno na wzgórzach Belleville złotego deszczu w rękę, zobaczył na wystawie sklepu ze starzyzną stary, kawaleryjski pistolet. Rzucił na bruk swoją gałązkę i zawołał:

- Paniusiu, pożyczam sobie od was ten figiel.

I uciekł z pistoletem.

W kilka minut później tłum przerażonych mieszczan, pierzchających ulicą Amelot i ulicą Basse, spotkał chłopca, który wywijał pistoletem i śpiewał:

*W nocy nic nie widać wcale,  
We dnie widać doskonale,  
Nad pisemkiem zagadkowym  
Mieszczuch łamie sobie głowę.  
Hej! ratujcie wasze dusze,  
Wy, spiczaste kapelusze!*

To mały Gavroche szedł na wojnę.

Na bulwarze spostrzegł, że pistolet nie ma kurka.

Od kogo nauczył się tej piosenki, którą wyśpiewywał sobie w takt kroków, od kogo nauczył się innych piosenek, które chętnie śpiewał przy każdej sposobności? Nie wiemy.

Może sam je ułożył? Gavroche znał zresztą wszystkie popularne wówczas piosenki i urozmaicał je własnym szczebiotem. Chochlik i andrus, łączył głosy przyrody z głosami Paryża. Repertuar ptaków przeplatał repertuarem pracowni malarskich. Znał młodych malarzy, plemię blisko spokrewnione z jego światem. Przez parę miesięcy terminował u drukarza. Pewnego razu posłano go z jakimś poleceniem do pana Baour-Lormian, jednego z czterdziestu nieśmiertelnych. Gavroche był urwisem literatury.

Mówiąc nawiasem, Gavroche wcale się nie domyślał, że w ową szkaradną noc deszczową, kiedy to ofiarował dwom malcom gościnę w swoim słońiu, stał się narzędziem Opatrzności dla swoich rodzonych braci. Wieczorem - bracia, nad ranem - ojciec; oto, co działo się owej nocy. Opuściwszy o świcie ulicę Ballets, czym prędzej wrócił do słońia, z mistrzowską zręcznością wydobył z niego obu brzdąców, podzielił się z nimi zaimprovizowanym śniadaniem, po czym odszedł powierzając dzieci dobrej matce-ulicy, która właściwie wychowała go również. Przed rozstaniem umówił się z nimi wieczorem w tym samym miejscu i wygłosił pożegnalną orację:

- Teraz daję drapaką albo inaczej mówiąc - nogę, czyli, jak powiadają na królewskim dworze - wieję! Słuchajcie, mikrusy, jeżeli nie znajdziecie tatusia i mamusi, wracajcie tu wieczorem. Dam wam coś do dzioba i położę spać.

Jednakże dzieci, czy to zabrane przez żandarma i odstawione do przytułku, czy skradzione przez jakiegoś cyrkowca, czy też po prostu zabłąkane w niezmiernym labiryncie Paryża - nie pokazały się więcej. Na dnie naszego społeczeństwa pełno jest takich zagubionych śladów.

Gavroche już nie zobaczył malców. Od owej nocy upłynęło dziesięć, a może dwanaście tygodni. Nieraz drapał się w głowę i stawiał sobie pytanie: "Gdzie, u diaska, podziały się moje dzieciaki?"

Tymczasem z pistoletem w garści dotarł na ulicę Pont-aux-Choux. Zauważył, że tylko jeden sklep jest tam jeszcze otwarty, i to - rzecz godna zastanowienia - sklep z ciastkami. Opatrzność chyba zrzędziła, iż nadarzała mu się sposobność zjedzenia jeszcze jednego ciastka z jabłkami, zanim wkroczy w nieznane. Gavroche przystanął, obmacał spodnie, przetrząsnął kamizelkę, wywrócił kieszenie, nie znalazł nic, ani grosza, i zaczął wołać: "Ratunku!"

Ciężko jest wyrzec się ciastka, i to ostatniego w życiu.

Mimo to Gavroche ruszył w dalszą drogę.

Kilka minut później był już na ulicy Św. Ludwika. Przechodząc ulicą Parku Królewskiego poczuł, że musi sobie powetować stratę nieosiągalnego ciastka, i zaczął w biały dzień zdzierać afisze teatralne, co sprawiło mu niebywałą rozkosz.

Nieco dalej, widząc przechodzącą grupkę zażywnych osobników, których zaliczył do posiadaczy, wzruszył ramionami i splunął przed siebie filozoficzną żółcią:

- Rentiery, jakie to spaśle! To wpruwa, że kicha drągiem stoi, to brodzi w dobrym żarcu. Spytajcie ich, co robią z pieniędzmi - sami nie wiedzą. Żrą je chyba! Ile brzuch pomieści.

## II

### Gavroche maszeruje

Trzymać w garści pistolet bez kurka i wywijać nim na ulicy jest tak ważną funkcją społeczną, że Gavroche'owi z każdym krokiem przybywało werwy. Wyśpiewywał “Marsylianę” przeplatając ją okrzykami:

- Wszystko w porządku, dolega mi okrutnie lewa łapa. Reumatyzm mnie pokręcił, ale jestem zadowolony, obywatelu. Trzymajcie się mocno, mieszcuchy! Już ja wam zaśpiewam wywrotowe piosenki! Co to są szpicle? To psy. Nie, psiakość, nie ubliżajmy psom! Chciałbym przecież mieć kurek u pistoletu<sup>\*</sup>. Idę z bulwaru, moi drodzy, gorąco tam, gotuje się, kipi jak w garnku! Czas zebrać szumowiny. “Naprzód, obywatelu! Nieczysta krew niech wsiąknie w naszą błoń”<sup>\*</sup>. Oddaję życie za ojczyznę, nie zobaczę już swojej łubej - koniec, kropka, adiu Fruziu! Ale pal sześć, niech żyje radość! Bijmy się, psiakrew, dosyć mam despotyzmu! W tej chwili koń przejeżdżającego ulicą gwardzisty narodowego potknął się i padł. Gavroche położył pistolet na bruku, pomógł gwardziście wstać i podnieść konia. Po czym wziął swój pistolet i ruszył dalej.

Na ulicy Thorigny panowała cisza i spokój. Apatia ta, właściwa dzielnicy Bagno, stanowiła jaskrawy kontrast z rozlegającą się dokoła wrzawą. Na progu domu gawędziły cztery kumoszki. Szkocja ma tria czarownic, Paryż ma kwartety kumoszek; złowrogą wróżbę: “Będiesz władcą”, którą Makbet usłyszał na wrzosowisku Armuyr, podobne głosy mogłyby wykrać Bonapartemu na rogu ulicy Baudoyer.

Kumoszki z ulicy Thorigny pochłaniały własne sprawy. Były to trzy stróżki i jedna gałganiarka z koszem i hakiem.

Wszystkie cztery jakby stały w czterech kątach starości, którymi są: zgrzybiałość, niedołęstwo, nędza i smutek.

Gałganiarka była pokorna. W tym świecie otwartym na cztery wiatry gałganiarka kłania się nisko, stróżka protekcyjnie kiwa głową. A to dlatego, że śmietnik - niepodzielna domena stróżki - może być i chudy lub tłusty, zależnie od fantazji tego, kto nim rządzi. I miotła może okazać się łaskawa.

---

<sup>\*</sup> W oryginale gra słów: pies i kurek po francusku - *chien*.

<sup>\*</sup> “Marsylianka”, przekład E. Porębowicza.

Gałganiarka, kosz na śmieci przepełniony wdzięcznością, uśmiechała się - i to jakim uśmiechem! - do trzech stróżek. Rozmawiały mniej więcej w ten sposób:

- Jak tam, moja pani, czy kot pani jest zawsze taki zły?

- Mój Boże, pani wie, że koty zawsze źle żyją z psami. A psy się skarżą.

- Ludzie też.

- Pchły z kotów nie czepiają się człowieka.

- Ii, to głupstwo, ale psy są niebezpieczne. Pamiętam taki rok, kiedy było tyle psów, że aż stało o tym w gazetach. To było wtedy, kiedy w Tuilerych trzymali duże barany, które ciągnęły powozik króla Rzymskiego. Pamiętacie, panie, króla Rzymskiego?

- Ja wolałam księcia Bordeaux.

- A ja znałam Ludwika XVII. Wolę Ludwika XVII.

- Ależ mięso jest drogie, pani Patagon!

- Niech mi pani nawet nie mówi o jatkach, okropność! Okropność! Zamiast mięsa same kości!

Tutaj do rozmowy wtrąciła się gałganiarka:

- Tak, tak, moje panie; i handel nie idzie. Śmiecie są kiepskie. Ludzie nic nie wyrzucają, sami wszystko zjadają.

- Są biedniejsi od was, matko Vargoulême.

- Co to, to prawda - zgodziła się pełna szacunku gałganiarka. - Ja mam mój zawód.

Po chwili milczenia gałganiarka ulegając wrodzonej naturze ludzkiej potrzebie popisania się, dodała:

- Jak wracam rano, przetrząsam kosz, przebieram i sortuję (miało to zapewne znaczyć: sortuję) śmiecie. Mam tego w izbie całe stosy. Gałgany kładę do koszyka, ogryzki do szaflika, płótno do szafki, wełnę do komody, stare papierzyska w kąt pod okno, rzeczy do jedzenia do miski, kawałki szkła do komina, stare buty za drzwi, a kości pod łóżko.

Gavroche przystanął z tyłu i słuchał.

- Hej, panusie - zawołał - a cóż wam się tak zebrało na rozmowy o polityce?

Natarły na niego z czterech stron, jazgocząc zapamiętane:

- Widzicie mi zbója!

- Co on trzyma w garści? Pistolet!

- Popatrzeć no tylko, taki smarkaty oberwaniec!

- Nie usiedzi spokojnie, póki nie obali rządu!

Gavroche, pełen pogardy, ograniczył swoją zemstę do gestu, podnosząc koniec nosa dużym palcem szeroko rozcapierzonej dłoni.



Gałganiarka krzyknęła:

- A paskudny obdartusie!

Ta, którą nazywano panią Patagon, klasnęła w dłonie z oburzenia:

- Zanosi się na coś niedobrego, jak amen w pacierzu! W sąsiednim domu mieszka taki młokos z bródką, co widywałam go, jak się prowadził pod rękę z jakąś dzierlatką w różowym czepeczku, a dziś - patrzę, niesie karabin! Kuma Bacheux mówi, że w zeszłym tygodniu były rozruchy w... w... wyleciało mi z głowy! - w Pontoise. A teraz ten wstrętny urwis z pistoletem! Podobno ulica Celestynów zapchana armatami. I co ma robić rząd z takimi nicponiami, którzy nie wiedzą, co wymyślić, byle ludziom zatruć życie! A już zaczynał się jaki taki spokój po tych wszystkich nieszczęściach, Boże miłosierny! Ta biedaczka królowa; widziałam, jak ją wieźli na wózku. I znowu tabaka podrożeje! Okropność! Zobaczysz, łotrze, pójdę patrzeć, jak cię będą gilotynować.

- Kapie ci z nosa, prababciu - rzekł Gavroche. - Wytrzyj trąbę.

I ruszył dalej.

Na ulicy Pavée przypomniał sobie gałganiarkę i wygłosił następujący monolog:

- Niesłusznie obrazasz rewolucjonistów, matko Śmieciaro. Ten pistolet walczy i o twoją sprawę; o to, żebyś miała w swoim koszu więcej rzeczy do jedzenia.

Nagle usłyszał za sobą jakiś hałas; to stróżka Patagon szła za nim i z daleka wygrażała mu pięścią, wrzeszcząc:

- A ty bękarcie jeden!

- Bękart jestem, powiadasz? - rzekł Gavroche. - Gwizdź na to.

Po chwili, przechodząc przed pałacem Lamoignon, rzucił okrzyk:

- Naprzód! Do boju!

I wpadł w melancholijny nastrój. Spojrzał na swój pistolet z wyrzutem, jakby go chciał wzruszyć.

- Ja idę na wojnę - rzekł do niego - a ty ani drgniesz!

Widok burka, bywa, odwróci uwagę od kurka. Przebiegł właśnie przez ulicę jakiś wychudzony pudel. Gavroche zaczął się nad nim litować.

- Biedny piesku - powiedział - chyba połknąłeś beczkę, bo ci widać wszystkie obręcze.

I skierował się w stronę Wiązu Św. Gerwazego.

### III

#### Słuszne oburzenie golibrody

Zacny golibroda, ten sam, co wypędził dwóch malców, którym Gavroche udzielił schronienia w gościnnym wnętrzu słonia, stał w tej chwili w swym zakładzie i golił starego legionistę, weterana z czasów Cesarstwa. Gawędzili. Golibroda naturalnie gadał coś o rozruchach, potem o generale Lamarque, a od Lamarque'a przeszli do cesarza. Zawiązała się tedy rozmowa między golibrodą a żołnierzem, którą Prudhomme, gdyby był przy niej obecny, przyozdobiłby pięknie wstawkami i zatytułował "Dialog brzytwy i miecza".

- Jak cesarz jeździł konno, proszę pana? - pytał golibroda.

- Źle, nie umiał spadać z konia. Toteż nigdy nie spadał.

- A ładne miał konie? Musiał mieć piękne konie, co?

- Przyjrzałem się dobrze jego wierzchowcowi tego dnia, kiedy mnie dekorował krzyżem. Była to ścigła siwa klaczka. Uszy miała daleko rozstawione, głęboka w łęku, drobna główka z czarną strzałką, długa szyja, mocne wiązania, pierś wypukła, pięknie sklepiona, i potężny zad. Wysoka była - miała z piętnaście piędzi.

- Piękne zwierzę! - rzekł golibroda.

- To był koń jego cesarskiej mości.

Golibroda poczuł, że te słowa wypadają uczcić chwilą milczenia: zastosował się do tego, po czym podjął na nowo:

- Cesarz był ranny tylko raz, nieprawdaż?

Stary żołnierz odpowiedział spokojnym i autorytatywnym tonem człowieka, który był naocznym świadkiem wydarzenia:

- Tak, w piętę. Pod Ratyzboną. Nigdy nie był tak pięknie ubrany jak tego dnia. Wyglądał jak z pudełeczka.

- A pan, panie weteranie, zapewne nieraz był ranny?

- Ja? - odparł żołnierz. - Ach, drobnostka. Pod Marengo dostałem dwa razy szablą przez kark. Pod Austerlitz kulkę w prawe ramię, pod Jeną drugą kulkę w lewe biodro. Pod Friedlandem pchnięcie bagnetem - o, tu; pod Borodino pokłuto mnie lancami, pod Lutzen odłamek granatu urwał mi kawałek palca... Ach, a jeszcze pod Waterloo oberwałem kartaczem w udo. To wszystko.

- Jak to pięknie umierać na polu bitwy! - zawołał golibroda tonem godnym Pindara. - Słowo honoru, zamiast zdychać powoli na barłogu, złożony chorobą, zdychać dzień po dniu, otoczony miksturami, kompresami, lewatywami i doktorami, stokroć wolałbym dostać kulą armatnią w brzuch!

- Toś pan niewybredny! - odrzekł żołnierz.

Ledwo wymówił te słowa, gdy straszliwy brzęk wstrząsnął sklepem. Szyba wystawowa rozprysła się nagle w kawałki. Perukarz zbladł.

- O Boże! - krzyknął. - Jest!

- Co?

- Kula armatnia.

- Masz pan tę kulę! - powiedział żołnierz podnosząc coś, co toczyło się po ziemi. Był to kamień.

Golibroda skoczył do rozbitej szyby i zobaczył Gavroche'a zmykającego ile sił w nogach w stronę Rynku Świętojańskiego. Przechodząc koło zakładu golibrody Gavroche, któremu sprawa dwóch malców wciąż jeszcze leżała na wątrobie, nie mógł się oprzeć pokusie, by nie pozdrowić go, i rzucił mu kamieniem w szybę.

- Patrz pan! - wrzasnął golibroda, który z białego zrobił się siny - taki to robi szkody dla samej przyjemności robienia szkody. I co ja temu andrusowi zrobiłem?

## IV

### Starzec zadziwia dziecko

Tymczasem na Rynku Świętojańskim, gdzie posterunki były już rozbrojone, Gavroche “nawiązał łączność” z grupą, której przewodził Enjolras, Courfeyrac, Combeferre i Feuilly. Wszyscy byli jako tako uzbrojeni. Bahorel i Jan Prouvaire odszukali ich i przyłączyli się do grupy. Enjolras miał myśliwską dwururkę, Combeferre karabin gwardii narodowej z numerem pułku, a za pasem dwa pistolety, które widać było spod rozpiętego surdutu; Jan Prouvaire - stary kawaleryjski muszkieton, Bahorel - karabin. Courfeyrac wymachiwał laską z obnażonym sztyletem. Feuilly z gołą szablą w dłoni kroczył na czele wołając:

- Niech żyje Polska!

Szli z wybrzeża Morland, bez krawatów, bez kapeluszy, zadyszani, przemoczeni deszczem, z błyskawicami w oczach. Gavroche zagadnął ich spokojnie:

- Dokąd idziemy?

- Chodź z nami! - rzekł Courfeyrac.

Już za Feuilly szedł albo raczej podskakiwał Bahorel, który podczas rozruchów czuł się jak ryba w wodzie. Miał na sobie szkarłatną kamizelkę i sypał ciętymi dowcipami. Jakiś przechodzień wstrząśnięty widokiem jego kamizelki wrzasnął przerażony:

- Czerwoni idą!

- Czerwoni! Czerwoni! - przedrzeźniał go Bahorel. - Śmieszne obawy, mieszczaninie! Ja tam nie truchleję na widok maku polnego ani nie drzę ze strachu przed “Czerwonym Kapurkiem”. Wierz mi, mieszczaninie, strach przed czerwienią zostawmy rogatemu bydłu!

Wtem spostrzegł, że na narożniku wisi ogłoszenie zgoła pokojowej treści, a mianowicie dyspensa arcybiskupa Paryża, zezwalająca jego “owieczkom” na spożywanie jajek w okresie wielkiego postu.

Bahorel zawołał:

- Owieczki, czyli mniej uprzejmie mówiąc - barany!

I zerwał z muru list pasterski. Postępkami tym zjednął sobie wielkie uznanie Gavroche'a. Od tej chwili malec nie spuszczał zeń oczu.

- Słuchaj, Bahorel - zauważył Enjolras - nie masz racji. Trzeba było zostawić ten list w spokoju, nie z nim walczyliśmy. Niepotrzebnie marnujesz swój gniew. Oszczędzaj go. Nie wolno strzelać bez rozkazu, trzeba trzymać w ryzach zarówno karabin, jak i porywy duszy.

- Każdy postępuje, jak mu serce dyktuje - odciął się Bahorel. - To arcydzieło biskupa drażni mnie, chcę jeść jajka bez niczyjego pozwolenia. Ty jesteś z gatunku zimnego ognia, a ja się bawię. A zresztą, nie marnuję sił, nabieram tylko rozpędu; i jeśli podarłem ten list pasterski, to tylko po to - *me Hercule!* - by sobie zaostrzyć apetyt.

Słowa *me Hercule!* zaciekały Gavroche'a. Korzystał z każdej sposobności, by się czegoś nauczyć, a ten wróg afiszów zdobył jego szacunek. Zapytał go:

- Co to znaczy "*me Hercule!*"!

Bahorel odpowiedział:

- To znaczy "psiakrew" po łacinie.

Tu Bahorel zobaczył w oknie bladego młodzieńca z czarną bródką, który przyglądał się przechodzącym; zapewne należał do Przyjaciół Abecadła.

Krzyknął do niego:

- Prędko, szykuj naboje! *Hannibal ante portas.*

- Oj, to prawda! Pogubią draby portki! - powiedział Gavroche, który już teraz rozumiał po łacinie.

Towarzyszył im hałaśliwy orszak: studenci, aktorzy, młodzi ludzie należący do Kugurdy z Aix, rzemieślnicy, robotnicy portowi uzbrojeni w kije i bagnety; niektórzy podobnie jak Combeferre z pistoletami za pasem. Wśród tej gromady szedł jakiś starzec, który musiał być w bardzo podeszłym wieku. Nie miał broni i chociaż zamyślony, starał się dotrzymać innym kroku, by nie pozostać w tyle. Zauważył go Gavroche.

- A to co za jeden? - zapytał Courfeyraca.

- Jakiś starowina.

Był to pan Mabeuf.

## V

### Starzec

Opowiedzmy, co się stało.

W czasie szarzy dragonów Enjolras wraz z przyjaciółmi znajdował się na bulwarze Bourdon, obok spichrzy zbożowych. Enjolras, Courfeyrac i Combeferre byli wśród tych, którzy skręcili w ulicę Bassompierre, krzyżąc: "Na barykady!" Na ulicy Lesdiguières spotkali wolno idącego starca.

Zwróciło ich uwagę, że staruszek szedł zygzakiem, jak gdyby był pijany. Ponadto kapelusz trzymał w ręku, mimo że padało przez całe rano, a i teraz kropił dość rzęsy deszcz. Courfeyrac poznał ojca Mabeuf. Znał go, gdyż nieraz odprowadzał Mariusza do drzwi jego domu. Wiedział, że stary skarbnik parafii i bibliofil był człowiekiem spokojnym i więcej nawet niż nieśmiałym, toteż zdumiał się niepomiernie, widząc go w tym podnieconym tłumie, o dwa kroki od szarzy konnicy, prawie wśród strzelaniny, z odkrytą głową, przechadzającego się pod deszczem i kulami. Podszedł do niego i między dwudziestopięcioletnim powstańcem a osiemdziesięcioletnim starcem zawiązał się taki dialog:

- Panie Mabeuf, niech pan wraca do domu.
- Dlaczego?
- Tutaj szykuje się bitka.
- To dobrze.
- Będą tu strzelać, będą siec szablami, panie Mabeuf.
- To dobrze.
- Będą walić z armat.
- To dobrze. A wy dokąd idziecie?
- Idziemy obalić rząd.
- To dobrze.

I poszedł za nimi. Od tej chwili nie odezwał się ani słowem. Krok jego stał się nagle pewny i sprężysty. Robotnicy chcieli go ująć pod rękę. Potrząsnął głową na znak odmowy. Wysunął się prawie na czoło kolumny; miał ruchy człowieka, który idzie, a twarz człowieka - który śpi.

- A to zawzięty staruszek! - szeptali studenci. Szeregi obiegała wieść, że to dawny członek Konwentu, stary królobójca.

Tłum skręcił w ulicę Szklarską. Mały Gavroche szedł, jako trębacz, na czele i wyśpiewywał na całe gardło:

*Księżyc przegląda się w strumyku,  
Chodźmy, Karolciu, do gaiku,  
Stamtąd przyjemny wieje chłód.  
Tu, tu, tu,  
Do Chatou.  
Mam jednego tylko Boga, jednego  
króla i jeden grosz, i jeden but!*

*Raz dwa wróbelki o poranku  
Upiły się rosą z tymianku.  
Tęgi był tymiankowy miód!  
Zi, zi, zi,  
Do Passy.  
Mam jednego tylko Boga, jednego  
króla i jeden grosz, i jeden but!*

*Wilczki, niecnoty, tak się schlały,  
Że na nos się powywracały.  
Aż śmiał się z nich tygrysi ród.  
Don, don, don,  
Do Meudon.  
Mam jednego tylko Boga, jednego  
króla i jeden grosz, i jeden but!*

*Zaprzestań swarów, dąsów, krzyków,  
Chodźmy, Karolciu, do gaiku,  
Stamtąd przyjemny wieje chłód.  
Tin, tin, tin,  
Do Pantin.*

*Mam jednego tylko Boga, jednego  
króla i jeden grosz, i jeden but!*

Szli w kierunku Saint-Merry.



## VI

### Ochotnicy

Tłum rósł z każdą chwilą. Koło ulicy Billettes przyłączył się do niego wysoki, szpakowaty mężczyzna, którego krzepką, surową i śmiałą postawę Courfeyrac, Enjolras i Combeferre spostrzegli od razu, choć go nie znali. Gavroche, który śpiewał, gwizdał, hałasował, wybiegał naprzód i stukał w okiennice sklepów kolbą swojego pistoletu bez kurka, tak był tym zajęty, że nie zwrócił uwagi na przybysza.

Tak się zdarzyło, że przechodzili ulicą Szklarską koło mieszkania Courfeyraca.

- Doskonała okazja! - rzekł Courfeyrac. - Zapomniałem sakiewki i zgubiłem kapelusz.

Odłączył się od grupy i przeskakując po cztery stopnie wbiegł do swego mieszkania, wziął stary kapelusz i sakiewkę. Zabrał też sporą kwadratową skrzynię, wielkości dużej walizki, która była ukryta pod brudną bielizną. Kiedy pospiesznie zbiegał na dół, dozorczyńni zawołała go:

- Panie de Courfeyrac!

- Jak się pani nazywa, pani dozorczyńni? - rzucił jej w odpowiedzi Courfeyrac.

Dozorczyńni zgłupiała.

- Przecie pan dobrze wie; ja jestem tu stróżką i nazywam się matka Veuvain.

- No, to jeśli jeszcze raz nazwie mnie pani panem de Courfeyrac, ja będę panią nazywał matką de Veuvain. A teraz o co chodzi? Co się stało?

- Ktoś czeka na pana.

- Kto taki?

- Nie wiem.

- Gdzie?

- U mnie w stróżówce.

- A niech go wszyscy diabli!

- Ale toto czeka tu przeszło godzinę! - nalegała stróżka.

W tej samej chwili jakiś młody robotnik, chudy, blady, niski, piegowaty, ubrany w podartą bluzę i połatane welwetowe spodnie, bardziej podobny do przebranej dziewczyny niż do mężczyzny, wyszedł ze stróżówki i zapytał Courfeyraca głosem, który nie przypominał wcale kobiecego głosu:

- Proszę pana, gdzie jest pan Mariusz?

- Nie ma go w domu.

- A czy wróci wieczorem?

- Nie wiem.

I Courfeyrac dodał:

- Ja na pewno nie wrócę.

Chłopak przyjrzał mu się uważnie i zapytał:

- A czemu?

- A temu!

- Gdzie pan idzie?

- Co cię to obchodzi?

- Może zanieść panu kuferek?

- Idę na barykady.

- Czy mogę pójść z panem?

- Jak sobie chcesz! - odrzekł Courfeyrac. - Ulica jest otwarta, bruk jest dla wszystkich.

I wybiegł z domu, by dogonić przyjaciół. Połączywszy się z nimi, oddał kuferek jednemu z towarzyszy. Upłynął dobry kwadrans, nim spostrzegł, że młody robotnik istotnie przystał do nich.

Tłum nie zawsze idzie tam, gdzie chce. Wy tłumaczyliśmy już, że unosi go podmuch wiatru. Minęli ulicę Saint-Merry i znaleźli się - sami nie wiedząc jak - na ulicy Św. Dionizego.

**Księga dwunasta**

**“Korynt”**

## I

### Historia “Koryntu” od czasów jego założenia

Paryżanie, którzy wchodząc dziś w ulicę Rambuteau od strony Hal widzą na prawo, naprzeciw ulicy Zakręt, sklep koszykarski, a nad nim zamiast szyldu koszyk wyobrażający postać cesarza Napoleona Wielkiego z napisem: “Pod Napoleonem z wikliny uplecionem”, nie przypuszczają nawet, że przed niespełna trzydziestu laty miejsce to było widownią straszliwych wydarzeń.

Tu właśnie znajdowała się ulica Konopna, na dawnych tabliczkach pisana Konopiana, i sławny szynk zwany “Koryntem”. Czytelnik pamięta to wszystko, co mówiliśmy już o wzniesionej w tym miejscu barykadzie, którą zresztą zaćmiła całkowicie barykada z ulicy Saint-Merry. Na tę właśnie sławną barykadę z ulicy Konopnej - dziś pograżonej w mroku niepamięci - pragniemy rzucić snop światła.

Dla jasności opowiadania niech nam będzie wolno uciec się do prostego sposobu, którego użyliśmy już przy opisie bitwy pod Waterloo. Kto chce mieć dokładne pojęcie o rozmieszczeniu domów stojących w owym czasie koło kościoła Św. Eustachego w północno-wschodnim rogu Hal paryskich, tam gdzie dziś kończy się ulica Rambuteau, niech sobie wyobrazi duże N, górnym końcem sięgające ulicy Św. Dionizego, a podstawą wsparte o Hale, którego pionowe ramiona tworzyłyby ulice Duża Żebacza i Konopna, a linię ukośną - ulica Mała Żebacza, Stara uliczka Zakręt przecinała owe trzy linie krętym zygzakiem, tak że splątany labirynt tych czterech ulic tworzył na powierzchni stu sążni kwadratowych - między Halami i ulicą Św. Dionizego z jednej strony, a ulicą Łabędzią i ulicą Dominikańską z drugiej - siedem wysepek domów o najdziwniejszej konfiguracji, różnej wielkości, rozrzuconych bezładnie i jakby przypadkowo, a oddzielonych od siebie wąskimi szczelinami, niby bloki kamienne w warsztacie kamieniarza.

Użyliśmy określenia “wąskie szczeliny”; trudno byłoby dać dokładniejsze wyobrażenie o tych ciemnych, ciasnych i krętych uliczkach, wśród ośmiopiętrowych ruder. Rudery te były tak zniszczone, że na ulicy Konopnej i Małej Żebaczkiej podtrzymywały je belki oparte o ściany przeciwległych domów. Ulica była wąska, a rynsztok szeroki, przechodzień szedł zawsze po mokrym bruku, ocierając się o sklepy podobne do piwnic, o

grube słupy obite żelazem, o olbrzymie stosy śmieci i bramy zbrojne w potężne, odwieczne kraty. Z przebicciem ulicy Rambuteau wszystko to znikło.

Nazwa ulicy - Zakręt - znakomicie oddaje kręte linie tej plątaniny. Nieco dalej, jeszcze lepiej odzwierciedla ją nazwa dochodzącej do niej ulicy - Przeskok.

Skręcając z ulicy Św. Dionizego w ulicę Konopną przechodzień widział, że zwęża się ona przed nim jak wydłużony lejek. Na końcu tej ulicy, bardzo zresztą krótkiej, rząd wysokich domów zagradzał mu drogę od strony Hal, co skłaniałoby go do przypuszczenia, że znajduje się w ślepej uliczce, gdyby nie dwa ciemne przesmyki w prawo i w lewo, któredy mógł się przemknąć. Była to uliczka Zakręt, której jeden koniec wychodził na ulicę Dominikańską, drugi zaś na ulicę Łabędzią i Małą Żebraćą. W głębi tego zaułka, na rogu prawego przesmyku, stał dom niższy od innych, tworzący coś w rodzaju cypla.

W tym właśnie domu, tylko dwupiętrowym, wiódł od trzystu lat beztroski żywot słynny szynk. Nappełniał on wesołą wrzawą miejsce, o którym stary Teofil wspomina w dwuwierszu:

*Grzechocze straszny szkielet kochanka,  
Co się powiesił tutaj z miłości.*

Miejsce było dobre i szynk przechodził z ojca na syna.

Za czasów Maturyna Régnier gospoda nazywała się „Pot-aux-Roses”, a że panowała wówczas moda na rebusy, więc za szyld służył jej słupek pomalowany na różowo. W ubiegłym stuleciu zacny Natoire, jeden z mistrzów fantastyczności, dziś wzgardzony przez zwolenników akademizmu, zaproszywszy sobie kilka razy głowę w tej gospodzie przy tym samym stole, przy którym upijał się Régnier, w dowód wdzięczności wymalował na różowym słupku - winne grono. Uszczęśliwiony właściciel zmienił nazwę szynku i kazał napisać złotymi głoskami: „Pod Winogronami Koryntu”. Stąd wzięła się nazwa „Korynt”. Skrótory są charakterystyczne dla pijaków. Skrót bowiem jest zygzakiem zdania. „Korynt” z czasem zatriumfował nad „Pot-aux-Roses”. Ostatni z dynastii szynkarzy, ojciec Hucheloup, nieświadomy dawnych tradycji, pomalował słupek na niebiesko.

Salka z kontuarem na parterze, salka z bilardem na piętrze, drewniane kręte schody przebijające sufit, wino na stołach, dym na ścianach, świece palące się w biały dzień - tak wyglądała owa gospoda. Schody z drewnianą klapą w podłodze dolnej salki prowadziły do piwnicy. Na drugim piętrze mieszkali małżonkowie Hucheloup. Wchodziło się tam po stromych schodach, przypominających raczej drabinę, przez ukryte drzwi z głównej sali na

pierwszym piętrze. Na strychu były dwa mansardowe poddasza, tam gnieździły się służące. Kuchnia mieściła się na piętrze przy sali z bufetem.

Ojciec Hucheloup przyszedł może na świat ze zdolnościami chemika, został jednak kucharzem; w jego szynku nie tylko się piło, ale i jadło. Hucheloup wynalazł wyborny specjał, który podawano tylko u niego, były to faszerowane karpie, zwane *carpes au gras*. Jadło się je przy łożówce lub świecznikach z czasów Ludwika XVI, na stole obitym ceratą zamiast obrusa. Specjał ten ściągał smakoszy z oddalonych dzielnic miasta. Pewnego ranka Hucheloup uznał za stosowne poinformować przechodniów o “specjalności swojej kuchni”; umoczył tedy pędzel w czarnej farbie - i mając własne zasady ortograficzne, podobnie jak własne przepisy kulinarne - wymalował na ścianie domu ten niezwykły napis:

### CARPES HO GRAS

Pewnej zimy ulewom i śniegom przyszła ochota zatrzeć “s” na końcu pierwszego słowa i “g” na początku trzeciego, tak że zostało tylko

### CARPE HO RAS

Tak więc przy pomocy czasu i deszczów skromne gastronomiczne ogłoszenie stało się maksymą filozoficzną.

Okazało się, że ojciec Hucheloup, choć nie znał dobrze francuskiego, znał łacinę, wywiódł z kuchni filozofię i chcąc jedynie zakasować Carême'a\* dorównał Horacemu. Najciekawsze, zaś, że to także miało znaczyć: wstąpcie do mojego szynku.

Dziś nie pozostało już z tego wszystkiego śladu. W roku 1847 labirynt Zakrętu został rozcięty i szeroka otwarty, obecnie zaś prawdopodobnie nie istnieje wcale. Ulica Konopna i “Korynt” znikły pod brukiem nowej ulicy Rambuteau.

Wspominaliśmy już, że “Korynt” był miejscem zebrań, jeśli nie zbiórek, Courfeyraca i jego przyjaciół. Gospodę tę wynalazł Grantaire. Wszedł do niej z powodu napisu *Carpe horas*, a powrócił z powodu dania *carpes au gras*. Młodzi pili tam, jedli, krzyczeli; płacili mało, płacili, jak popadło, nie płacili wcale - ale zawsze czekało ich gościnne przyjęcie. Ojciec Hucheloup był zacnym człowiekiem.

Ten zacny, jak dopiero powiedzieliśmy, Hucheloup był oberżystą wąsatym - zabawna odmiana! Miał zawsze nadąsaną i niezadowoloną minę, jak gdyby chciał odstraszyć klientów;

zrządził na swoich gości i wydawało się, że bardziej skłonny jest kłócić się z nimi niż podawać im zupę. Podtrzymujemy jednak to, co już raz powiedzieliśmy - czekało tu każdego gościnne przyjęcie. Dziwactwa gospodarza ściągały gości, a zwłaszcza młodzież, która mówiła: “Chodźmy posłuchać zrzędzenia ojca Hucheloup”. Hucheloup był niegdyś fehmistrzem. Często nagle wybuchał śmiechem. Szczery śmiech - poczciwa dusza! Był w gruncie rzeczy komikiem z pozorami tragika. Najbardziej lubił budzić strach wśród otoczenia; podobnie jak owe tabakierki w kształcie pistoletu. Zamiast strzału - kichnięcie.

Żona jego, matka Hucheloup, była osobą brodatą i wyjątkowo szpetną.

Około roku 1830 ojciec Hucheloup umarł, zabierając z sobą do grobu tajemnicę przyrządzania faszerowanych karpi. Niepoczyszona wdowa prowadziła nadal gospodę, ale kuchnia bardzo się zepsuła, stała się wstrętą, a wino, zawsze kiepskie, stało się okropne. Jednakże Courfeyrac i jego przyjaciele chodzili nadal do “Koryntu”. “Przez cześć dla wspomnień” - mówił Bossuet.

Astmatyczna i rozlana wdowa Hucheloup miała sielskie wspomnienia, którym swoista jej wymowa odbierała ckliwość. We własny specjalny sposób opisywała rzeczy, które urozmaicały sielskie reminiscencje jej młodości. Zapewniała, że niegdyś lubiła słuchać śpiewu “słowików w zagrodzie”.

Sala na pierwszym piętrze, gdzie mieściła się restauracja, była obszerną długą izbą, zastawioną stołkami, taboretami, krzesłami, ławkami, stołami i starym, kulawym bilardem. Wchodziło się tam po krętych schodach przez kwadratowy otwór w rogu sali przypominający właz okrętowy.

Sala ta, oświetlona tylko jednym wąskim oknem i palącą się stale lampą, wyglądała na norę. Wszystkie sprzęty o czterech nogach zachowywały się tak, jakby miały trzy. Jediną ozdobę ścian bielonych wapnem stanowił nagryzmołony węglem czterowersz ku czci pani Hucheloup:

*Z bliska lęk srogi budzi, a zdumiewa z dala,  
Wielka brodawka zdobi czubek jej nochala,  
I drżysz, że przy kichnięciu nochal ją wychlusta  
Lub sam pewnego razu utonie w jej ustach.*

Pani Hucheloup z niewzruszonym spokojem przechodziła sto razy dziennie obok tego wiernego opisu swej urody. Dwie służące, których nie nazywano nigdy inaczej jak Matelota i

---

\* Marie-Antoine Carême (1784-1833) - słynny kucharz francuski.

Gibelota\*, pomagały jej podawać dzbany z sinawym winem i rozstawiać gliniane miski z jakąś polewką przed zgłodniałymi gośćmi. Matelota, tęga, okrągła, ruda i krzykliwa, dawna faworytka nieboszczyka Hucheloup, była brzydsza od wszystkich mitologicznych potworów, ponieważ jednak nie wypada, by sługa górowała czymś nad swą panią, była mniej szpetna niż matka Hucheloup. Gibelota, wysmukła, delikatna i limfatycznie blada, z podkrążonymi oczami, ciężkimi powiekami, zawsze wyczerpana i słaba, dotknięta czymś, co można by nazwać chronicznym zmęczeniem, wstawiała pierwsza, kładła się ostatnia i usługiwała wszystkim - nawet drugiej służącej - z milczącą słodyczą, uśmiechając się, mimo znużenia, jakimś sennym półuśmiechem.

Nad bufetem wisało lustro.

Na drzwiach wiodących do sali restauracyjnej można było odczytać zdanie wypisane kredą przez Courfeyraca:

*Raczej się, jeśli możesz, jedz, jeśli masz odwagę.*

---

\* *Matelote* - danie z ryby, *gibelotte* - danie z królika.



## II

### Wesoły początek

Laigle z Meaux, jak wiemy, mieszkał częściej u Joly'ego niż gdzie indziej. Mieszkanie było dla niego tym, czym gałąź dla ptaka. Dwaj przyjaciele mieszkali razem, jedli razem, spali razem. Wszystko uważali za wspólną własność, bodajże i Musichettę również. Byli nierozłączni jak bracia syjamscy. Rano 5 czerwca poszli na śniadanie do "Koryntu". Joly miał nos zapchany z powodu silnego kataru. Laigle zaczął już także kichać. Laigle miał ubranie wytarte, ale Joly był dobrze ubrany.

Około dziewiątej rano otworzyli drzwi "Koryntu".

Weszli na pierwsze piętro.

Matelota i Gibelota zapytały, co podać.

- Ostrygi, ser i szynkę - rzekł Laigle.

Usiedli za stołem.

Szynk świecił pustkami; poza nimi dwoma nie było tam nikogo.

Gibelota, poznawszy Joly'ego i Laigle'a, postawiła na stole butelkę wina.

Zabierali się właśnie do ostryg, gdy w otworze schodów ukazała się głowa i odezwał się głos:

- Przechodziłem tędy. Na ulicy zaleciał mnie rozkoszny zapach sera z Brie. Jestem!

Był to Grantaire.

Wziął taboret i usiadł przy stole.

Na jego widok Gibelota przyniosła jeszcze dwie butelki.

Razem trzy.

- Masz zamiar wypić te dwie butelki? - zapytał Laigle Grantaire'a.

Grantaire odparł:

- Wszyscy są domyślni, ty jeden bezmyślny. Nigdy dwie butelczyny nie zdziwiły żadnego mężczyzny.

Laigle i Joly zaczęli od jedzenia, Grantaire od picia. Szybko wypróżnił pół butelki.

- Masz chyba dziurę w brzuchu! - rzekł Laigle.

- A ty na łokciu - odparł Grantaire.

I wychyliwszy szklanekę dodał:

- Tak, tak, Orle mów pogrzebowych, masz stare ubranie!

- Oczywiście - rzekł Laigle - z tego wniosek, że mój przydzwiek i ja żyjemy w zgodzie. Dostosował się do mnie i nie zawadza mi, przyjął kształt moich brzydkich kształtów, nie krępuje mi ruchów; czuję go tylko dlatego, że mnie grzeje. Stare ubrania są jak starzy przyjaciele.

- To prawda - wtrącił się Joly. - Stare, białe ubrania są jak starzy, biali przyjaciele.

- Aleś ty zakatarzony! - rzekł Grantaire.

- Czy idziesz z bulwaru? - zapytał go Laigle.

- Nie.

- Widzieliśmy przed chwilą razem, jak przechodziło czoło konduktu.

- Bajestatyczny widok! - rzekł Joly.

- Jaki spokój tutaj na tej uliczce! - zawołał Laigle. - Kto by pomyślał, że w Paryżu wszystko wywraca się do góry nogami? Widać od razu, że niegdyś była tu dzielnica klasztorów. Wymieniają je Du Breul i Sauval, a także ksiądz Lebeuf. Pełno tu było klasztorów, roiło się od mnichów trzewiczkowych, bosych, golonych, brodatych, szarych, czarnych, białych, franciszkanów, minorytów, kapucynów, karmelitów, małych augustianów, wielkich augustianów, starych augustianów - całe mrowie!

- Nie mówmy o mnichach - przerwał Grantaire - bo zaraz mam ochotę podrapać się. Po czym wykrzyknął:

- Pfe! - połknąłem nieświeżą ostrygę! I już ogarnia mnie znów hipochondria. Ostrygi są nieświeże, służące szpetne. Nienawidzę rodzaju ludzkiego! Przechodziłem przed chwilą koło wielkiej wypożyczalni książek przy ulicy Richelieu. Ten stos skorup po ostrygach, który ludzie zwą biblioteką, napawa mnie wstrętem do myślenia. Ile zmarnowanego papieru! Ile atramentu! Ile niepotrzebnej bazgraniny! Tyle tego napisano! Jakiż to dureń powiedział, że człowiek jest bezpiórym dwunogiem. Spotkałem też jedną znajomą, ładną dziewczuszkę, śliczną jak wiosna, godną imienia Floreal. Nędznica była w siódmym niebie, zachwycona, rozradowana, uszczęśliwiona, bo wczoraj jakiś okropny ospowaty bankier raczył obdarzyć ją swymi względami. Niestety! Kobieta z równą zaciekłością tropi dzierżawcę podatków, jak eleganta. Kotki polują zarówno na ptaszki jak i na myszki. Jeszcze przed dwoma miesiącami panieczka żyła sobie grzecznie na poddaszu, wszywając miedziane kółka do gorsetów, czyli - jak to się mówi - była szwaczką, miała polowe łóżko, doniczkę z kwiatkiem i była zadowolona. A teraz jest bankierową. Metamorfoza dokonała się w przeciągu ubiegłej nocy. Dziś rano spotkałem tę nieszczęsną ofiarę rozpromienioną i radosną. Najokropniejsze jest to, że szelma była dziś równie ładna jak wczoraj. Nic w jej twarzy nie mówiło o finansistcie.

Róże tym górują czy też tym ustępują kobietom, że ślady, które zostawiają na nich liszki, są widoczne. Ach! Moralność nie istnieje na tym świecie! Niech zaświadczy o tym mirt - symbol miłości, laur - symbol wojny, ta głupia gałązka oliwna - symbol pokoju, jabłoń, której owocemomal nie udławił się Adam i liść figowy - protoplasta spódniczek. Co do prawa zaś, to chcecie wiedzieć, czym jest prawo? Oto Galowie patrzą pożądlwym okiem na Kluzję - Rzym ochrania Kluzję i pyta Galów, czym im ona zawiniła. Brennus odpowiada: "Tym samym, czym wam zawiniła Alba, czym wam zawiniła Fidena, czym wam zawinili Ekwowie, Wolskowie i Sabińczycy. Byli waszymi sąsiadami, Kluzyczycy są naszymi. My rozumiemy sąsiedztwo w ten sam sposób, co wy. Wyście ukradli Albę, my bierzemy Kluzję". - "Nie weźmiecie Kluzji" - rzekł Rzym. Brennus wziął Rzym i zawołał potem: „*Vae victis!*” Oto macie prawo! Ach, ileż jest drapieżców na tym świecie! Ile orłów! Ile orłów! Na samą myśl o nich dostają gęsiej skóry!

Wyciągnął swoją szklanę do Joly'ego; Joly ją napełnił, Grantaire wypił i ciągnął dalej, nie przerywając prawie monologu dla tej szklanczki wina, której nikt - nawet on - nie zauważył:

- Brennus, zdobywca Rzymu, to orzeł; bankier, który sobie bierze gryzетkę, to orzeł. Tu i tam równy bezwstyd! Nie wierzmy więc w nic! Istnieje jedna tylko rzecz realna: trunek! Bez względu na wasze zapatrywania, bez względu na to, czy opowiadacie się za chudym kurem - jak kanton Uri, czy za tłustym - jak kanton Glaris - mniejsza o to, pijcie! Mówiliście mi o tym, co się działo na bulwarze, o kondukcje pogrzebowym *et caetera*. A więc znowu rewolucja? Dziwi mnie to ubóstwo środków, jakimi Pan Bóg rozporządza. Co chwila musi na nowo oliwić zawiasy wydarzeń. To się coś zacina, to staje. Więc prędko - rewolucja. Pan Bóg ma zawsze czarne ręce od wstrętnej mazi. Na jego miejscu postępowałbym znacznie prościej: nie naprawiałbym co chwila tej maszyny, prowadziłbym rodzaj ludzki spokojnie, nizałbym oczka zdarzeń jedno po drugim, nie zrywając wątku; nie stosowałbym środków wyjątkowych i nie uciekałbym się do niezwykłych wydarzeń. Zjawisko, które nazywacie postępem, poruszają dwa motory: ludzie i wydarzenia. Ale, niestety, od czasu do czasu musi się pojawić coś wyjątkowego. Zarówno ludziom, jak i wydarzeniom nie wystarcza zwykła gromada: wśród ludzi trzeba geniuszy, wśród wydarzeń - rewolucji. Wielkie wydarzenia są regułą; porządek rzeczy nie może się bez nich obejść; patrząc na komety człowiek miałby ochotę twierdzić, że samo niebo nie potrafi obyć się bez aktorskich występów. W chwili kiedy najmniej się tego spodziewamy, Pan Bóg przylepia meteor na murze swego firmamentu. Pojawia się jakaś dziwna gwiazda z olbrzymim ogonem. I Cezar zostaje zabity. Brutus przebijają go sztyletem, a Pan Bóg kometa. Trach - i oto zorza północna, i oto rewolucja, i oto

wielki człowiek; rok 1793 wypisany wielkimi literami, w głównej roli Napoleon, kometa z 1811 roku zdobi górę afisza. Ach, piękny szafirowy afisz, rozgwieźdzony niezwykle blaskami! Bum! Bum! przedstawienie nadzwyczajne! Spójrzcie tylko w górę, gapie! Wszystko jest rozwichrzone - gwiazda i dramat. Dobry Boże - za dużo tego i za mało. Te wyjątkowe, nadzwyczajne środki wydają się wspaniałe, a są ubogie. Opatrzność ucieka się do forteli, moi przyjaciele. Wybuch rewolucja - o czym to świadczy? Że z Panem Bogiem jest krucho. Kiedy przerwie się łączność między przeszłością a teraźniejszością, a Pan Bóg nie może związać końca z końcem, urządzi zamach stanu. Doprawdy, to mnie utwierdza w moich podejrzeniach co do sytuacji finansowej Jehowy. Widok tyłu niedostatków na górze i na dole, takiej małostkowości, chciwości, skąpstwa i niedoli na niebie i na ziemi, poczynając od ptaszka, któremu brak ziarnka prosa, a kończąc na mojej osobie, której brak stu tysięcy franków renty, widok mocno wyświechtanych losów ludzkości, nawet losów królewskich, przez które prześwituje sznurek osnowy przeznaczenia (niech świadczy o tym powieszenie księcia Kondeusza) - widok zimy, tej dziury w zenicie, przez którą dmucha zimny wiatr, widok tyłu łachmanów na purpurze świeżej jutrzeńki wstającej zza szczytu wzgórza, widok kropli rosy, tych fałszywych pereł, widok szronu, tych fałszywych diamentów, widok rozprężonej ludzkości i połatanych wypadków, tyłu plam na słońcu, tyłu dziur na księżycu i takiej nędzy dookoła - każe mi przypuszczać, że Pan Bóg nie jest bogaty. Wprawdzie zachowuje jeszcze świetne pozory, ale pod nimi wyczuwam niedostatek. Urządza rewolucję tak, jak handlowiec urządza bal, gdy mu kasa świeci pustką. Nie trzeba sądzić bogów po pozorach. Poprzez wyłoczone niebo dostrzegam ubogi wszechświat. Świat bankrutuje. I dlatego jestem niezadowolony. Patrzcie, mamy dziś 5 czerwca, a na dworze ciemno jak w nocy; od rana czekam, żeby się trochę rozjaśniło, ale się nie rozjaśnia, i założę się, że dziś się już nie rozjaśni. To jest nieakuratność źle płaconego subiekta. Tak, wszystko jest kiepsko urządzone, nic do niczego nie pasuje, stary świat nie jest piękny, przyłączam się do opozycji. Wszystko idzie na opak. Wszechświat mnie irytuje. To tak jak z dziećmi: ci, co by chcieli je mieć, i nie mają, a ci, co ich wcale nie chcą - mają. Rezultat z tego taki, że jestem wściekły. A ponadto przygnębia mnie widok tego łyska - Laigle'a z Meaux. Upokarza mnie myśl, że jestem w tym samym wieku, co ta łysa pała. Zresztą, krytykuję, ale nie znieważam. Świat jest taki, jaki jest. Mówię to wszystko bez złych intencji, tylko dla spokoju sumienia. Racz przyjąć, Ojczyźnie Przedwieczny, wyrazy mego najgłębszego poważania. O, na wszystkich świętych Olimpu i wszystkich bogów nieba, nie jestem stworzony na paryżanina, bym jak piłka odbijana dwiema rakietami przelatywał wciąż od gromady włóczęgów do gromady zabijaków! Stworzony jestem raczej na Turka, który całymi dniami patrzy na wschodnie

dzierlatki, wiodące cudne płasy egipskie, równie lubieżne jak sny cnotliwego człowieka, lub na wieśniaka z Beauce czy weneckiego szlachcica otoczonego pięknymi donzellami, czy na księżatko niemieckie, które dostarcza związkowi germańskiemu pół-żołnierza i spędza czas na suszeniu skarpet na płocie swojej zagrody, czyli granicy swojego państwa. Taki los powinien być przypaść mi w udziale. Tak! Powiedziałem, że jestem stworzony na Turka, i wcale tego nie cofam. Nie pojmuję, czemu Turcy mają kiepską opinię. Mahometowi nie brak dobrych stron; żądam szacunku dla wynalazcy serajów pełnych hurys i rajy pełnego odalisek! Nie znieważajmy mahometanizmu, jedynej religii, która ma ogród rozkoszy. Po czym, powtarzam, pijmy! Ziemia - to wielka bzdura. Podobno ci durnie będą się bić, będą sobie rozkwasać nosy, mordować się, i to w pełni lata, w pięknym miesiącu czerwcu, kiedy każdy z nich mógłby z pięknym dziewczęciem pod rękę upajać się na polach zapachami olbrzymiej filiżanki herbaty - skoszonego siana. Za wiele doprawdy popełnia się niedorzeczności! Stara stłuczona latarnia, którą widziałem przed chwilą u handlarza starzyzną, nasuwa mi pewne refleksje. Najwyższy czas oświecić rodzaj ludzki. I znowu mi smutno! Tak to bywa, gdy ostryga i rewolucja staną kością w gardle! Staję się znów ponury. Och, ten ohydny, stary świat! Człek na nim haruje, marnuje, tratuje, rujnuje, morduje, nawet się do niego przyzwyczajają. À

Po tym napadzie elokwencji Grantaire dostał zasłużonego napadu kaszlu.

- À *propos* rewolucji - rzekł Joly - stanowczo Bariusz busi być zakochady.

- A czy wiadomo w kim? - zapytał Laigle.

- Die.

- Nie?

- Przecie bówię: die.

- Amory Mariusza! - wykrzyknął Grantaire. - Już to widzę! Mariusz jest niby mgła, musiał wynaleźć sobie mgiełkę. Mariusz jest z rodziny poetów. A poeta znaczy to samo co wariat. *Timbroeus*\* *Apollo*. Mariusz i jego Maria czy Maryla, czy Marysia, czy Marychna muszą stanowić pocieszną parę kochanków. Wiem dobrze, jak to jest: pogrążeni w ekstazie zapominają o pocałunkach! Nieskalani na ziemi, łączą się w nieskończoności. To dusze obdarzone zmysłami. Na gwiazdach splatają się w miłosnym uścisku!

Grantaire zabierał się do drugiej butelki, a może i do drugiej tyrody, gdy w kwadratowym otworze schodów pojawiła się nowa postać. Był to niespełna dziesięcioletni chłopiec, obdarty, malutki, o żółtym pyszczku, żywym spojrzeniu i rozwichrzonej czuprynie;

---

\* Od słowa *timbrè* - postrzelony, zbzikowany.

ociekał deszczem, ale uśmiechał się. Bez wahania dokonał wyboru między trzema przyjaciółmi - choć najwyraźniej nie znał żadnego z nich - i zwrócił się do Laigle'a z Meaux:

- Czy to pan jest panem Bossuet? - zapytał.

- Istotnie, tak mi na imię - odparł Laigle. - Co powiesz?

- Zaraz. Jeden taki wysoki blondyn mówi mi na bulwarze: "Znasz matkę Hucheloup?"

Mówię mu: "A jakże! Na ulicy Konopnej, wdowa po starym". To on mówi: "Idź tam. Zastaniesz u niej pana Bossuet i powiesz mu ode mnie: ABC". To jakiś kawał, co? Dał mi dziesięć su.

- Joly, pożycz mi dziesięć su - rzekł Laigle i odwracając się do Grantaire'a dodał: - Grantaire, pożycz mi dziesięć su.

Te dwadzieścia su dał dziecku.

- Dziękuję panu - rzekł chłopczyk.

- Jak ci na imię? - spytał Laigle.

- Jestem Dudek, przyjaciel Gavroche'a.

- Zostań tu z nami - rzekł Laigle.

- Zjedz coś z nami - rzekł Grantaire.

Chłopiec odpowiedział.

- Nie mogę, idę w pochodzie. To ja krzyczę: "Precz z Polignakiem!"

I cofnąwszy nogę jak najdalej do tyłu, co oznacza ukłon pełen najgłębszego szacunku, odszedł.

Po wyjściu dziecka Grantaire rzekł:

- To był okaz smarkacza najczystszej wody. Jest mnóstwo odmian smarkaczy: smarkacz-notariusz to goniec, smarkacz-kucharz to kuchcik, smarkacz-piekarz to piekarczyk, smarkacz-lokaj to *groom*, smarkacz-marynarz to chłopiec okrętowy, smarkacz-żołnierz to mały dobosz, smarkacz-malarz to malarczyk, smarkacz-dworzanin to paż, smarkacz-król to delfin, a smarkacz-bóg to *bambino*.

Tymczasem Leigle zastanawiał się nad czymś głęboko; rzekł półgłosem:

- ABC - to znaczy: pogrzeb Lamarque'a.

- A wysoki blondyn - zauważył Grantaire - to Enjolras, który cię o tym zawiadamia.

- Pójdziemy? - zapytał Bossuet.

- Deszcz leje - rzekł Joly. - Przysięgałem, że pójdę w ogień, ale die przysięgałem, że pójdę w wodę. Die chcę się bocznie zakatarzyć.

- Ja zostaję tutaj - powiedział Grantaire. - Wolę obiad od karawanu.

- Z tego wniosek, że zostajemy - orzekł Laigle. - A więc pijmy. Zresztą można nie być na pogrzebie, a wziąć udział w rozruchach.

- Ach, rozruchy! To coś dla bnie! - zawołał Joly.

Laigle zatarł ręce.

- Oto wreszcie poprawiny rewolucji z 1830 roku. Rzeczywiście jest ona dla narodu przyciasna i uciska go tu i ówdzie!

- Wasza rewolucja niewiele mnie obchodzi - rzekł Grantaire. - Nie czuję wstrętu do obecnego rządu. To korona złagodzona bawełnianą szlafmycą, berło zakończone parasolem. Myślę, że w taki dzień jak dzisiaj Ludwik Filip będzie mógł użyć swej królewskiej godności w dwojaki sposób: przeciw ludowi - wyciągnąć berło, a przeciw niebu - parasol.

Salka była ciemna, gęste chmury wyгнаły z niej resztki światła dziennego. W szynku ani na ulicy nie było nikogo, wszyscy pobiegali patrzeć, "co się dzieje".

- Czy to południe, czy północ? - zawołał Bossuet. - Nie widać końca nosa! Gibeloto, światła!

Grantaire, smutny, pił dalej.

- Enjolras mną gardzi - mrucał. - Enjolras powiedział sobie: "Joly jest chory. Grantaire pijany". Więc wysłał Dudka do Bossueta. Gdyby tak malec po mnie przyszedł, poszedłbym za nim. Tym gorzej dla Enjolrasa! Nie pójdę na ten jego pogrzeb!

Powziąwszy taką decyzję, Bossuet, Joly i Grantaire nie ruszyli się z szynku. Około godziny drugiej stół, przy którym siedzieli, zastawiony był pustymi butelkami. Paliły się na nim dwie świece, jedna w zupełnie zzieleniałym miedzianym lichtarzu, druga osadzona w szyjce pękniętej karafki. Grantaire nakłonił Bossueta i Joly'ego, aby sobie popili; Bossuet i Joly nakłonili Grantaire'a, aby się weselił.

Jemu zaś od południa nie wystarczyło już wino, to skromne źródło marzeń. U prawdziwych pijaków wino cieszy się pobłażliwym uznaniem. Pijaństwo ma swą czarną i białą magię; wino jest tylko białą magią. Grantaire był śmiałkiem w krainie pijackich majaków. Rozwierająca się przed nim groźna czeluść pijaństwa nie odstraszała go, przeciwnie, pociągała. Porzucił butelki i chwycił za kufel. A kufel - to otchłań. Nie mając pod ręką opium ani haszyszu, a chcąc zamroczyć umysł, uciekł się do strasznej mieszanki; wódki, angielskiego piwa i absyntu, która wywołuje straszliwe zamroczenie. Te trzy wyziewy: piwa, wódki i absyntu obciążają duszę ołowiem. W tym potrójnym mroku topi się niebiański motyl; z mgły przybierającej niewyraźny kształt skrzydła nietoperza - rodzą się trzy milczące furie: Koszmar, Noc i Śmierć - i krążą nad uspioną Psyche.

Grantaire nie doszedł jeszcze do tego ponurego stanu. Przeciwnie. Był niezmiernie wesoły, a Bossuet i Joly wtórowali mu. Tręcali się szklankami. Grantaire do dziwnego wymawiania słów i myśli dodawał jeszcze bredzenie gestów. Z godnością oparł lewą dłoń na kolanie, tak że ramię tworzyło kąt prosty, i z rozwiązany krawatem, siedząc okrakiem na stoliku, z pełną szklanką w prawej ręce, rzucał w stronę grubej Mateloty słowa pełne namaszczonej powagi:

- Niechaj otworzą podwoje pałacu! Niechaj każdy człowiek zostanie członkiem Akademii i ma prawo całować panią Hucheloup. Pijmy!

A zwracając się do pani Hucheloup dodawał:

- Niewiasto starożytna i obyczajem uświęcona, zbliż się, abym mógł cię podziwiać.

Joly zaś wołał:

- Bateloto i Gibeloto, die dawajcie już pić Grantaire'owi. Przejadł boć pieniędzy! Od rana przepił szalodą subę: dwa fradki i osiebdziesiąt pięć cedtybów!

Grantaire wykrzykiwał znowu:

- Kto bez mojego pozwolenia zdjął gwiazdy z nieba i postawił je zamiast świecy na stole?

Bossuet, mocno pijany, zachował spokój.

Siedział na parapecie otwartego okna, moknąc na deszczu, i spoglądał na przyjaciół.

Nagle usłyszał wrzawę, odgłos szybkich kroków i wołania: "Do broni!" Odwrócił się; na rogu ulicy Św. Dionizego, u wylotu ulicy Konopnej zobaczył Enjolrasa ze strzelbą w rękę, Gavroche'a ze swym pistoletem, Feuilly'ego z szablą, Courfeyraca ze szpadą, Jana Prouvaire z muszkietem, Combeferre'a ze strzelbą, Bahorela z karabinem, a za nim uzbrojony, wzburzony tłum.

Od wylotu ulicy Konopnej dzieliła go zaledwie odległość strzału z karabinu. Bossuet przyłożył do ust obie ręce na kształt tuby i zawołał:

- Courfeyrac! Hej! Courfeyrac!

Courfeyrac usłyszał wołanie, dostrzegł Bossueta, zrobił parę kroków ulicą Konopną, krzycząc: "Czego chcesz?", co skrzyżowało się z "Gdzie idziesz?".

- Stawiać barykadę! - odparł Courfeyrac.

- Stawiaj ją tutaj! Doskonałe miejsce! Tutaj!

- Masz rację, Orle - rzekł Courfeyrac.

Na jego znak tłum skręcił w ulicę Konopną.



### III

#### **Grantaire'a zaczynają ogarniać ciemności nocy**

Miejsce było istotnie wybornie dobrane; szeroka u wylotu ulica zwężała się przy końcu i tworzyła ślepy zaułek, ponieważ zamykał ją "Korynt"; uliczkę Zakręt łatwo było zabarykadować tak z lewej, jak i z prawej strony, natarcie możliwe było jedynie od ulicy Św. Dionizego, to znaczy od czoła i na odsłoniętej przestrzeni. Podchmielony Bossuet miał orientację trzeźwego Hannibala.

Wtargnięcie tłumu wzbudziło panikę na całej ulicy. Przechodnie znikli. W mgnieniu oka na prawo, na lewo, w głębi zamknęły się wszystkie sklepy, warsztaty, bramy, okiennice, okna i okienka od parteru aż po dachy. Jakaś przerażona staruszka wywiesiła przed oknem jako osłonę od kul materac umocowany na dwóch żerdziach do suszenia bielizny. Jedynie dom, w którym mieścił się szynk, pozostał otwarty, a to dla tej prostej przyczyny, że tam właśnie wtargnął tłum.

- O, mój Boże, mój Boże! - jęczała matka Hucheloup.

Bossuet wyszedł naprzeciw Courfeyraca. Joly stanąwszy w oknie wołał:

- Courfeyrac, czemu die wzięłeś parasola? Będziesz biały katar!

Tymczasem w ciągu paru minut wyrwano dwadzieścia prętów żelaznych z kraty przy wystawie szynku i rozebrano bruk na przestrzeni dziesięciu sążni. Gavroche i Bahorel zabrali po drodze i przewrócili wózek murarza nazwiskiem Anceau; znajdujące się na wózku trzy baryłki wapna ustawili rzędem, a na nich ułożyli warstwę kamieni z broku. Enjolras otworzył piwnicę i wszystkie puste beczki wdowy Hucheloup stanęły przy beczkach z wapnem; Feuilly rękami nawykłymi do malowania kruchych listków wachlarzy podparł wózek i baryłki dwoma wielkimi stosami ciosanych kamieni, zdobytych, jak wszystko, w mgnieniu oka i przyniesionych nie wiadomo skąd. Wyrwano belki podtrzymujące fasadę sąsiedniego domu i umieszczono je na beczkach. Gdy Bossuet i Courfeyrac obejrzel się, ulica była już do połowy zamknięta szańcem nieco wyższym od człowieka. Jedynie ręka ludu zdolna jest wznosić budowle z dzieła zniszczenia.

Gibelota i Matelota stanęły wraz ze wszystkimi do pracy. Gibelota zносиła gruz. Swoje znużenie oddała na usługi barykadzie. Podawała kamienie z równie sennym wyrazem twarzy, jak podawała wino.

U wylotu ulicy przejechał omnibus zaprzężony w parę siwych koni.

Bossuet przesadził stos kamieni, pobiegł, zatrzymał omnibus, kazał wysiąść pasażerom, pomógł zejść "damom", odprawił woźnicę i wrócił prowadząc za uzdę konie ciągnące pojazd.

- Wara omnibusom przejeżdżać przed "Koryntem"! - rzekł. - *Non licet omnibus adire Corinthum.*

Po chwili konie puszczone luzem ruszyły przed siebie ulicą Zakręt, a omnibus przewrócony bokiem tarasował do reszty ulicę.

Matka Hucheloup przestraszona schroniła się na pierwsze piętro.

Błędnym wzrokiem patrzyła dokoła, nic nie widząc, i pojękiwała z cicha.

Okrzyki przerażenia nie śmiały przecisnąć się jej przez gardło.

- Koniec świata! Koniec świata! - szeptała.

Joly wycisnął całusa na jej tłustym, pomarszczonym, czerwonym karku i powiedział do Grantaire'a:

- Zawsze byłem zdania, mój drogi, że niewieścia szyjka to rzecz niezmiernie delikatna.

Ale Grantaire dosięgał najwyższych sfer zachwycenia. Kiedy Matelota weszła na piętro, chwycił ją wpół i stojąc przy oknie wybuchał raz po raz śmiechem.

- Matelota jest szpetna! - krzyczał. - Matelota to ideał brzydoty! To chimera! A oto tajemnica jej przyjscia na świat: pewien Pigmalion z czasów gotyku, rzeźbiąc maskary na katedrze, zakochał się pewnego dnia w najokropniejszej z nich. Ubłagał Miłość, by ją ożywiła, i stąd wzięła się Matelota. Spójrzcie na nią, obywatele! Ma włosy koloru chromianu ołowiu, jak kochanka Tycjana; to zacna dziewczyna. Ręczę, że się będzie dzielnie biła! W każdej zacnej dziewczynie jest materiał na bohatera! A matka Hucheloup - też odważna kobita. Spójrzcie tylko na jej wąsy! Odziedziczyła je po nieboszczyku mężu! Huzar w spódnicy, powiadam wam! Także będzie się biła! We dwie napędzą strachu całej dzielnicy. Towarzysze, obalimy rząd! To prawda równie niezbita jak i to, że istnieje piętnaście kwasów pośrednich między kwasem margarynowym a kwasem mrówczanym. Zresztą nic a nic mnie to nie obchodzi. Panowie, mój ojciec nie znosił mnie dlatego, że nie rozumiałem matematyki. Rozumiem tylko miłość i wolność! Jestem Grantaire, dobry chłop! Nigdy nie miałem pieniędzy, więc się do nich nie mogłem przyzwyczaić, a co za tym idzie, nigdy mi ich nie brakło; gdybym jednak był bogaty, nie byłoby biednych na świecie. Zobaczylibyście! O, gdyby tak dobrzy ludzie mieli pełne kiesy, wszystko wyglądałoby lepiej! Wyobrażam sobie Jezusa bogatego jak Rotszyld! Ile by zdziałał dobrego! Mateloto, pocałuj mnie. Jesteś

namiętna i wstydliva; twe policzki proszą o pocałunek braterski, a usta kuszą do pocałunków kochanka!

- Cicho bądź, opoju - rzekł Courfeyrac.

Grantaire odrzekł:

- Jestem kapitułem i laureatem turnieju poetyckiego.

Enjolras, który ze strzelbą w ręku stał na szczycie barykady, zwrócił ku niemu swoją piękną, surową twarz. Jak wiadomo, Enjolras miał w sobie coś ze Spartańczyka i z purytanina. Zginąłby w Termopilach u boku Leonidasa i wraz z Cromwellem puściłby z dymem Droghedę.

- Grantaire! - zawołał. - Wynoś się! Niech ci wino paruje z głowy gdzie indziej! Tu jest miejsce upojenia, nie pijaństwa! Nie okrywaj hańbą barykady!

Te gniewne słowa wywarły osobliwy skutek. Rzekłbyś, że Grantaire'owi ktoś chlusnął w twarz szklanką zimnej wody. Wydawało się, że nagle wytrzeźwiał. Usiadł przy stole koło okna, oparł się łokciami, popatrzył na Enjolrasa z niewymowną czułością i rzekł:

- Ty wiesz, że ja w ciebie wierzę!

- Ruszaj stąd!

- Pozwól mi się tu przespać.

- Prześpij się gdzie indziej! - krzyknął Enjolras.

Grantaire, ciągle wpatrując się w niego czułym i mętnym wzrokiem, odrzekł.

- Pozwól mi tutaj spać, nim tutaj umrę.

Enjolras rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

- Ty, Grantaire, niezdolny jesteś wierzyć, myśleć, chcieć, niezdolny żyć ani umrzeć.

Grantaire odpowiedział poważnie:

- Zobaczysz!

Wybełkotał jeszcze parę niezrozumiałych słów, po czym głowa opadła mu ciężko na stół i - jak to często bywa w drugim stadium pijackiego zamroczenia, w które nagle popadł na skutek słów Enjolrasa - po chwili Grantaire spał już głęboko.

## IV

### Próby pocieszenia wdowy Hucheloup

Bahorel, zachwycony barykadą, wykrzykiwał:

- A to pięknie wydekoltowana ulica, aż miło spojrzeć!

Courfeyrac, demolując częściowo szynk, starał się pocieszyć wdowę po szynkarzu. - Skarżyliście się kiedyś, matko Hucheloup, że wam spisano protokół i kazano zapłacić karę, bo Gibelota trzepała przez okno dywanik, prawda?

- A jakże, drogi panie Courfeyrac. Ach, mój Boże, i ten stół także chce pan wstawić w tę okropność? I nawet za dywanik i tę doniczkę, co to spadła z okna na ulicę, rząd kazał mi zapłacić sto franków grzywny. Co za niegodziwość!

- No, widzicie, matko Hucheloup, teraz pomścimy wasze krzywdy.

Matka Hucheloup w takim odszkodowaniu jakoś nie umiała dopatrzeć się korzyści dla siebie. Otrzymała podobną satysfakcję, jak owa Arabka, która spoliczkowana przez męża, pobiegła do ojca, domagając się zemsty. "Ojciec - mówiła - winieneś memu mężowi odpłacić zniewagą za zniewagę!" Ojciec zapytał: "W który policzek uderzył cię mąż?" - "W lewy". Ojciec uderzył ją w prawy policzek i rzekł: "No to teraz jesteś już zadowolona. Idź i powiedz mężowi, że on uderzył moją córkę; za to ja uderzyłem jego żonę!"

Deszcz ustał. Nadciągali nowi ochotnicy. Robotnicy przynieśli pod bluzami beczkę prochu, koszyk z butelkami wiotriolu, parę pochodni karnawałowych i kosz lampionów, "pozostałych z obchodu imienin króla". Uroczystość ta odbyła się niedawno, przypadała bowiem na dzień 1 maja. Opowiadano, że amunicja pochodziła od kupca kolonialnego z przedmieścia Św. Antoniego, nazwiskiem Pepin. Stłuczono jedyną latarnię znajdującą się na ulicy Konopnej, latarnię na ulicy Św. Dionizego i wszystkie latarnie na sąsiednich ulicach: Zakręt, Łabędziej, Dominikańskiej, Dużej i Małej Żebraczej.

Rej wodzili: Enjolras, Comberferre i Courfeyrac. Wznoszono już jednocześnie dwie nowe barykady, przylegające do domu, w którym mieścił się "Korynt", i tworzące kąt prosty; większa z nich zamykała ulicę Konopną, druga - uliczkę Zakręt od strony ulicy Łabędziej. Ta ostatnia, bardzo wąska, zbudowana była z samych beczek i kamieni brukowych. Pracowało przy niej około pięćdziesięciu ludzi; trzydziestu z nich miało strzelby, gdyż po drodze w sklepie rusznikarza zaciągnęli większą pożyczkę.

Trudno o osobliwsze i bardziej pstre zbiorowisko ludzi. Jeden miał długi kaftan, szablę kawaleryjską i dwa kawaleryjskie pistolety, drugi bez surduta, w okrągłym kapeluszu, zawiesił sobie u boku rożek z prochem, trzeci uzbrojony w szydło rymarza osłonił pierś plastronem z dziewięciu arkuszy szarego papieru. Był też i taki, co krzyczał: "Wytraćmy ich do ostatniego i skonajmy na ostrzach własnych bagnatów!" Ten właśnie nie miał bagnetu. Inny włożył na surdut kurtkę z bawolej skóry i ładownicę gwardii narodowej ozdobioną napisem wyszytym czerwoną wełną: Porządek publiczny. Widziało się tam mnóstwo karabinów oznaczonych numerami pułków, niewiele kapeluszy, ani jednego krawata, dużo obnażonych ramion, kilka pik. Dodajcie do tego rozmaitość wieku i rozmaitość twarzy; drobni, bladzi młodzieńcy obok spalonych na brąz robotników portowych. Wszyscy się śpieszyli i pomagając sobie nawzajem rozmawiali o szansach powodzenia - że nadejdą posiłki o trzeciej nad ranem, że jeden pułk jest pewny, że Paryż powstanie. Przeróżające rozmowy zaprawione jakąś serdeczną wesołością. Rzekłbyś, że to bracia - a oni nie znali nawet swych imion. Piękno wielkich niebezpieczeństw polega na tym, iż ukazuje braterstwo obcych sobie ludzi.

W kuchni rozpalono ogień i w formie do lania kul topiono dzbany, łyżki, widelce, słowem, całą cynową zastawę szynku. Nie zapomniano o picciu. Kapsle i loftki wały się na stołach między szklankami wina. W salce bilardowej matka Hucheloup, Matelota i Gibelota, różnie odmienione przez strach, pierwsza - ogłupiała, druga - zadyszana, trzecia - rozbudzona, skubały szmaty na szarpie; pomagali im w tej pracy - napawając je przerażeniem - trzej powstańcy, tęgie zuchy, kudłate, wąsate i brodate, którzy skubali płótno zręcznie jak bieliźniarki.

Wysoki mężczyzna, którego Courfeyrac, Combeferre i Enjolras zauważyli w momencie, gdy przyłączył się do gromady na rogu ulicy Billettes, pomagał bardzo wydajnie przy budowie małej barykady. Gavroche pracował przy dużej. Młody robotnik, który czekał na Courfeyraca w domu i pytał o pana Mariusza, znikł mniej więcej w chwili, kiedy przewrócono omnibus.

Gavroche podniecony i tryskający radością wprowadził wszystko w ruch. Biegał tam i z powrotem, wchodził, schodził, hałasował, promieniał. Zdawało się, że jest po to, by wszystkim dodawać ducha. Czy miał jakąś podniętę? Tak, swoją nędzę. Czy miał jakieś skrzydła? Tak, swoją radość. Był wirem. Widziało go się stale, słyszało go się ciągle. Wypełniał sobą przestrzeń, był wszędzie naraz. Ta wszechobecność była niemal irytująca; nie dawał chwili wytchnienia. Potężna barykada czuła go na sobie. Dokuczał gapiom, podniecał próżniaków, dodawał sił zmęczonym, niecierpliwił zamyślonych, jednych pobudzał do

wesołości, innych do wysiłku, jeszcze innych do gniewu, wszystkich wprowadzał w ruch; to ukłął ostrym słowem studenta, to przygadał robotnikowi, tu przysiadł, tam przystanął chwilę, odbiegał, fruwał nad zgiełkiem i pracą, skakał od jednych do drugich, mruczał, bzykał i dokuczał wszystkim - mucha wielkiego zaprzęgu Rewolucji\*.

Jego drobne ramiona były w ciągłym ruchu, drobne płuca wysyłały się w nieustannym krzyku:

- Nuże! Więcej kamieni! Więcej beczek!... Więcej tego tam! Czy już nic nie ma? Zatkaną mi tę dziurę gruzem! Niska jest ta wasza barykada. Musi urosnąć. Dawajcie na nią, co się da, kładźcie, co się da, pchajcie, co się da! Zburzcie dom! Macie tu oszklone drzwi!

Tutaj ludzie pracujący przy barykadzie zakrzyczeli go:

- Oszklone drzwi? A na co drzwi oszklone, ty knocie?

- Sam taki - odciął się Gavroche. - Oszklone drzwi na barykadzie to świetna rzecz! Nie przeszkadzają w ataku, ale utrudniają zdobycie pozycji. Cóż to, nigdy nie przełaziliście kraść jabłka przez mur, na którym były potłuczone butelki? Szklane drzwi ślicznie obetną odciski gwardzistom, kiedy zechcą wleźć na naszą barykadę. Do licha, szkło jest zdradliwe jak diabli! Co tu gadać! Nie cierpicie na bujną wyobraźnię, towarzysze!

Zresztą był wściekły, że ma pistolet bez kurka. Chodził od jednego do drugiego prosząc:

- Strzelbę! Ja chcę strzelbę! Czemu nie dają mi strzelby?

- Strzelba? Tobie? - rzekł Combeferre.

- A czemu nie? - odrzekł Gavroche. - Przecież miałem strzelbę w 1830, kiedyśmy się posprzeczali z Karolem X.

Enjolras wzruszył ramionami.

- Jak będziemy mieli pod dostatkiem broni dla dorosłych, to damy i dzieciom.

Gavroche odwrócił się z dumną miną i rzekł:

- Jeśli zginiesz przede mną, biorę twoją.

- Ty smarkaczu! - powiedział Enjolras.

- Ty żółtodziobie! - odparł Gavroche.

Jakiś elegant, który zabłądził tu przypadkiem i wałęsał się u wylotu ulicy, ściągnął ich uwagę.

Gavroche krzyknął:

- Chodźcie do nas, młodzieńcze! Cóż to, nic nie chcesz zrobić dla kochanej ojczyzny?

Elegant uciekł.

---

\* Aluzja do bajki La Fontaine'a "Dyliżans i mucha".

## V

### Przygotowania

Mylili się dzienniki ówczesne, twierdząc, że barykada przy ulicy Konopnej - "ów bastion prawie nie do zdobycia" - jak ją nazywały, sięgała wysokości pierwszego piętra. W rzeczywistości jej średnia wysokość nie przekraczała sześciu lub siedmiu stóp. Zbudowana została w ten sposób, że walczący mogli albo skryć się za nią, albo też wyglądać ponad nią, a nawet wejść na szczyt szanca po czterech rzędach płyt kamiennych, ułożonych w ten sposób, że tworzyły stopnie od strony wewnętrznej. Na zewnątrz front barykady, zbudowany z kamieni brukowych i beczek połączonych belkami i deskami wetkniętymi między szprychy kół wózka Anceau i przewróconego omnibusu, miał wygląd najeżony i splątany. Między murami domów a przeciwległym do szynku krańcem barykady pozostawiono wąskie przejście, którym mógł się przecisnąć pojedynczy człowiek; umożliwiało to wydostanie się stamtąd na ulicę. Dyszel omnibusu, związany sznurem, sterczał prostopadle w górę, a przytwierdzony doń czerwony sztandar powiewał nad barykadą.

Mała barykada na ulicy Zakręt, ukryta za domem, w którym mieścił się szynk, była niewidoczna. Obie razem tworzyły prawdziwą redutę. Enjolras i Combeferre uznali za właściwe nie zamykać drugiej części ulicy Zakręt, stanowiącej poprzez ulicę Dominikańską wyjście na Hale; prawdopodobnie chcieli w ten sposób zachować łączność z miastem, a nie obawiali się ataku od strony tej niebezpiecznej i trudno dostępnej uliczki.

Nie biorąc pod uwagę wolnego przejścia tworzącego "przekop" - jakby to nazwał Follard w swym strategicznym języku - jak również wąskiego przejścia zostawionego na ulicy Konopnej, obwarowana przestrzeń, w którą wrzynał się dom szynku, tworzyła rodzaj nieregularnego czworoboku, zamkniętego ze wszystkich stron. Odległość między głównym szansem a wysokimi domami zamykającymi ulicę wynosiła ze dwadzieścia kroków, tak że można by powiedzieć, iż barykada opierała się o owe domy, zamieszkałe wprawdzie, lecz głuche i ślepe od dołu po dachy.

Prace przy barykadzie wykonano bez żadnych przeszkód w ciągu niespełna godziny; ani razu garstce tych dzielnych ludzi nie ukazała się bermycyca czy ostrze bagnetu. Nieliczni przechodnie, którzy w tym momencie rozruchów odważyli się jeszcze zapuścić w ulicę Św. Dionizego, rzuciwszy okiem w ulicę Konopną, spostrzegali barykadę i przyspieszali kroku.

Po skończeniu pracy przy obu barykadach i wywieszeniu sztandaru - wyciągnięto z szynku stół; stanął na nim Courfeyrac. Enjolras przyniósł kwadratowy kuferek i Courfeyrac go otworzył. Kuferek był pełen naboí. Na ten widok najmężniejsi nawet zadrżeli i zaległa cisza.

Courfeyrac z uśmiechem rozdał naboje.

Każdy dostał trzydzieści ładunków. Wielu powstańców miało proch i ci zaczęli wyrabiać nowe naboje ze stopionych kul. Baryłkę prochu ustawiono na osobnym stole koło drzwi i zachowano jako rezerwę.

Werble rozsiane po całym Paryżu nie przestawały grać, ale w końcu stały się już monotonnym odgłosem, na który powstańcy przestali zwracać uwagę. Odgłos ten to zbliżał się złowieszczymi falami, to znów oddalał.

Wszyscy razem nabili strzelby i karabiny, bez pośpiechu, z jakąś uroczystą powagą. Enjolras rozstawił poza barykadą trzy strażę: jedną na ulicy Konopnej, drugą na ulicy Dominikańskiej, trzecią na rogu ulicy Małej Żebraczej.

Gdy barykady były już gotowe, stanowiska wyznaczone, strzelby nabite, strażę rozstawione, powstańcy - samotni wśród tych grozą ziejących ulic, którymi nikt nie przechodził, otoczeni milczącymi i jakby wymarłymi domami, w których nie drgał żaden ruch ludzki, otuleni coraz gęstszą zasłoną zapadającego zmierzchu, w tej ciszy i w tych mrokach tragicznych i groźnych, w których czuło się, że coś nadciąga, odcięci od świata, uzbrojeni, zdecydowani na wszystko, spokojni - czekali.



## VI

### W oczekiwaniu

Czym zajmowali się w tych godzinach oczekiwania? Musimy odpowiedzieć, albowiem należy to do historii. Podczas gdy mężczyźni wyrabiali naboje, a kobiety skubały szarpie, gdy wielki rondel pełen roztopionej cyny i ołowiu, przeznaczonych do odlewania kul, dymił na rozpalonym piecu, gdy straż z bronią na ramieniu czuwały nad barykadą, a Enjolras, którego uwagi nic nie zdołało rozproszyć, czuwał nad strażami - Combeferre, Courfeyrac, Jan Prouvaire, Feuilly, Bossuet, Joly, Bahorel i jeszcze paru innych odszukali się i zbrali razem, jak za najspokojniejszych dni studenckiej gawędy, i w kącie szynku przemienionego w koszary, o dwa kroki od reduty, którą zbudowali własnymi rękoma, gdy ostatnia ich godzina była już tak blisko, ci piękni młodzieńcy, oparłszy o krzesła karabiny gotowe do strzału - zaczęli recytować miłosne wiersze. Jakież to były wiersze? Oto one:

*Pamiętasz słodycz tamtych dni? To życie?  
Byliśmy wtedy tak młodzi oboje,  
Że dla serc naszych, serc w ciągłym zachwycie  
Miłość jedynym była niepokojem!*

*Jeśliby dodać moje, twoje lata,  
Ledwie czterdzieści razem by wyniosło.  
W malej kliteczce, naszej stronie świata,  
Nawet i zima była dla nas wiosną.*

*Piękne dni szczęścia! Dni tkliwe! Dni czułe!  
Manuel dumny! Paryż wniebowzięty!  
Foy gromowładny! A ja wciąż się kłutem  
O szpilkę, którą twój stanik był spięty.*

*Kiedym do "Prado " szedł z tobą pod rękę,  
By uczcić pierwszy krok w adwokaturze,*

*Byłaś tak śliczna i szłaś z takim wdziękiem,  
Że się za tobą oglądały róże.*

*Szept ich słyszałem: "Jak pięknie rozkwitła!  
Aromat z włosów na jej suknię spłynął!  
Pod pelerynką ma złożone skrzydła,  
Czepeczek z pąka ledwie się rozwinął".*

*Szliśmy przed siebie i każdy przechodzień,  
Gdy nas zobaczył, uśmiechniętych wzajem,  
Myślał, że jakiś miłosny czarodziej  
Skojarzył kwiecień tkliwy z pięknym majem.*

*Myśmy zamknęli się na cztery spusty,  
By jeść miłości owoc zakazany.  
Ledwie mi prośba wykwitła na usta,  
Już przez twe serce byłem wysłuchany.*

*Sorbona była bukolicznym gajem,  
Co noc do świtu miejscem mych zachwyceń;  
W ten sposób serce wrażliwe poznaje  
Z mapy Czulości Łacińską Dzielnicę.*

*Plac Maubert wdzięczny, plac Dauphine był boski!  
Gdy w naszej klitce, tym szczęścia ognisku,  
Na smukłe nogi wciągałaś pończoszki,  
To jakby gwiazda weszła mi na stryszku!*

*Platonom wielbił! Wywietrzało wszystko,  
Kwiat, coś mi dała, kwiat uśmiechu twego,  
Wyjaśniał lepiej dobroci zjawisko  
I od Malebranche 'a i od Lamennais 'go.*

*Byliśmy sobie posłuszni wzajemnie.*

*Stryzku słoneczny! Wiązać ci sznurówkę,  
Rankiem w koszulce widzieć cię codziennie,  
Jak nad lusterkiem chylisz wdzięczną główkę!*

*Któż by zapomniał! a śnię od tej pory  
Czasy jutrzeń, złotych nieboskłonów,  
Wstążek i kwiatów, jedwabów i mory,  
Gdzie miłość uczy się swego żargonu.*

*W doniczce kwitł nam gaj tulipanowy,  
Halka służyła w oknie za firankę;  
Ja niosłem do ust kubek fajansowy,  
A ty japońską cienką filiżankę.*

*Spalona mufka lub zguba szafira!  
Nieszczęścia! Myśmy z nich do łez się śmiali.  
Albo ten portret boskiego Szekspira:  
Jedną kolację tylko nam zań dali.*

*Prócz ciebie pragnień nie miałem już żadnych;  
Zebrałem warg twych, miłosierne były.  
Dante in folio był stołem biesiadnym,  
A za biesiadę kasztany służyły.*

*Gdybym po raz pierwszy usta twe całował  
W moich radosnych i szczęśliwych progach,  
Wyszłaś z mych ramion spłoszona, pąsowa,  
A jam zbladł: wtedy uwierzyłem w Boga.*

*Pamiętasz szczęście, które przeżyliśmy,  
Podarte łaszki, potargane loki?  
Pamiętasz, ile westchnień, marzeń, myśli*

*Z serc uleciało do niebios wysokich!\**

Pora, miejsce, wspomnienia młodości, parę gwiazd, które rozbłysły na niebie, cmentarny spokój opustoszałych ulic, straszliwe niebezpieczeństwo nadciągających wypadków nadawały patetycznego uroku tym wierszom półgłosem wypowiedzanym w mroku przez Jana Prouvaire, który - jak wspominaliśmy - był tkliwym poetą.

Tymczasem zaś na małej barykadzie zapalono lampion, a na dużej woskową pochodnię, podobną do tych, które w zapusty oświetlają z przodu powozy pełne zamaskowanych ludzi jadących do Courtille. Pochodnie te, jak wiadomo, pochodziły z przedmieścia Św. Antoniego.

Pochodnię, umieszczoną w czymś w rodzaju klatki z płyt chodnika, zamkniętej z trzech stron i chroniącej płomień od wiatru, ustawiono tak, by całe światło padało na sztandar. Ulica i barykada tonęły w ciemnościach, nie widać było nic, tylko ten sztandar wspaniale oświetlony jakby przez olbrzymią ślepą latarnię.

To światło zabarwiało szkarłat sztandaru jakąś groźną pur- purą.

---

\* Przekład Zbigniewa Bieńkowskiego.

## VII

### Ochotnik z ulicy Billettes

Zapadła już ciemna noc, a nic nowego się nie stało. Słysząc było tylko głąką wrzawę, a niekiedy strzelaninę, ale słabą i odległą. Ta zwłoka oznaczała, że rząd chce zyskać na czasie i gromadzi siły. Pięćdziesięciu ludzi czekało na sześćdziesiąt tysięcy.

Enjolras czuł, że ogarnia go niecierpliwość, jaka ogarnia ludzi silnych duchem u progu groźnych wydarzeń. Poszedł na poszukiwania Gavroche'a. Ten zabrał się właśnie do fabrykowania naboju w dolnej izbie przy skąpym świetle dwóch świec ustawionych przezornie na kontuarze, na stołach bowiem rozsypany był proch. Blask tych dwóch świec nie przenikał na zewnątrz. Powstańcy nie zapalali światła na górnych piętrach.

Ale w tej chwili uwagę Gavroche'a pochłaniał bynajmniej nie wyrób naboju, lecz coś całkiem innego.

Mężczyzna z ulicy Billettes wszedł właśnie do izby i usiadł przy stole w najciemniejszym kącie. Przy rozdziale broni przypadł mu wielkokalibrowy karabin, który teraz trzymał między kolanami. Do tej pory Gavroche zajęty tysiącem "bardzo zabawnych" rzeczy, nie widział go wcale.

Gdy nieznajomy wszedł, Gavroche machinalnie śledził go wzrokiem, podziwiając jego broń, lecz gdy mężczyzna usiadł, chłopak zerwał się nagle. Ten, kto śledziłby nieznajomego do tego momentu, zauważyłby, że człowiek ten obserwował przez cały czas ze szczególną uwagą barykadę i gromadkę powstańców, lecz odkąd wszedł do izby, pogrążył się w rozmyślaniach i zdawał się nie widzieć, co się dokoła niego dzieje. Chłopak podszedł do zamyślonemu mężczyźnie i zaczął obchodzić go na palcach dokoła, jak gdyby bał się go obudzić. Równocześnie jego dziecinna twarzyczka, tak zuchwała i tak poważna zarazem, tak łobuzerska i tak rozumna, tak wesoła i tak bolesna, przybierała całą gamę odcieni składających się na mimikę dorosłego mężczyzny, które znaczyły: "Ależ nie! Niemożliwe! Czy mnie oczy nie mylą? Chyba przywidzenie? Czyżby to był on? Nie! nie! Ależ tak! ależ nie!" itd. Gavroche kołysał się na piętach, zaciskał w kieszeniach obie pięści, wykręcał szyję jak ptak i wysilając całą swą przenikliwość wysuwał dolną wargę, jak mógł, najdalej. Był zdumiony, niepewny, niedowierzający, przekonany, olśniony. Miał minę głównego eunucha, który na targu niewolnic odkrył pomiędzy pyzatymi dziewczynami - Wenus, minę znawcy,

który w stosie kiczów znalazł Rafaela. Wszystko w nim pracowało - instynkt węszył, myśl kojarzyła. Przytrafiło mu się najwyraźniej coś niezwykle ważnego.

Gdy był całkowicie pochłonięty swymi rozważaniami, zagadnął go Enjolras.

- Jesteś mały - rzekł do niego - nikt cię nie zobaczy. Wyjdź na barykadę, prześliznij się wzdłuż domów, przejdź się po ulicach dokoła i powiedz mi, co się dzieje.

Gavroche wyprostował się.

- A więc i malcy mogą się na coś przydać! Jak to dobrze! Już lecę! A tymczasem niech pan ufa małym, a nie dowierza dużym...

I zadarłszy głowę, a zniżywszy głos, dodał wskazując na nieznajomego:

- Widzi pan tego drąga?

- Więc co?

- To szpicel!

- Jesteś pewien?

- Blisko dwa tygodnie temu ściągnął mnie za ucho z parapetu mostu Królewskiego, gdzie sobie zażywałem świeżego powietrza.

Enjolras oddalił się pospiesznie i szepnął kilka słów do stojącego niedaleko robotnika z portu win. Robotnik wyszedł z izby i natychmiast wrócił w towarzystwie trzech innych. Tych czterech mężczyzn, czterech barczystych tragarzy ustawiło się za stołem, przy którym siedział nieznajomy z ulicy Billettes, nie zwracając na siebie jego uwagi. Widać było, że gotowi są w każdej chwili rzucić się na niego.

Wtedy Enjolras podszedł do nieznajomego i zapytał:

- Kto pan jest?

Na to niespodziewane pytanie mężczyzna drgnął. Głęboko zatopił spojrzenie w czystych źrenicach Enjolrasa, widać było, że zrozumiał jego myśli. Uśmiechnął się uśmiechem najwyższej pogardy, siły i determinacji i odpowiedział z wyniosłą powagą:

- Rozumiem... A więc: tak.

- Jesteś pan szpiclem?

- Jestem funkcjonariuszem prawowitej władzy.

- Nazwisko?

- Javert.

Enjolras skinął na czterech ludzi. W mgnieniu oka, nim zdążył się odwrócić, Javert został schwyty za kołnierz, powalony na ziemię, obezwładniony i zrewidowany.

Znaleziono przy nim okrągłą kartkę wklejoną między dwa szkiełka, po jednej stronie wyryte było godło państwowe i słowa: Nadzór i czujność, po drugiej napis: Javert, inspektor

policji, lat 52, i podpis ówczesnego prefekta policji, Gisqueta.

Miał przy sobie także zegarek i sakiewkę, w której było kilka sztuk złota. Zostawiono mu jedno i drugie. Na dnie kieszonki od zegarka znaleziono zaklejoną w kopercie kartkę. Enjolras rozwinął ją i odczytał pięć wierszy napisanych własnoręcznie przez prefekta policji: *Natychmiast po wykonaniu swej misji politycznej inspektor Javert przeprowadzając wywiad upewni się, czy złoczyńcy grasują istotnie na prawym brzegu Sekwany koło mostu Jeny.*

Po skończonej rewizji podniesiono Javerta, skrepowano mu z tyłu ręce i przywiązano go na środku sali do owego sławnego słupa, od którego niegdyś gospoda wzięła swoją nazwę.

Gavroche, który był świadkiem tej sceny i wyrażał aprobatę milczącym kiwaniem głowy, podszedł teraz do Javerta i rzekł:

- Mysz złapała kota.

Wszystko odbyło się tak szybko, że w szynku zwrócono na całe wydarzenie uwagę, gdy już było po wszystkim. Javert nawet nie krzyknął.

Na widok Javerta przywiązanego do słupa nadbiegł Courfeyrac, Bossuet, Joly, Combeferre, a także inni powstańcy rozproszeni na obu barykadach.

Przyparty plecami do słupa i tak owiązany sznurami, że nie mógł nawet drgnąć, Javert trzymał głowę wysoko z nieustraszonym spokojem człowieka, który nigdy w życiu nie skłamał.

- To szpicel! - rzekł Enjolras, po czym zwrócił się do Javerta: - Na dwie minuty przed wzięciem barykady będzie pan rozstrzelany!

Javert odpowiedział swym najbardziej władczym tonem:

- Czemu nie zaraz?

- Bo nie chcemy marnować prochu.

- To załatwcie tę sprawę nożem.

- Szpiclu - rzekł piękny Enjolras - jesteśmy sędziami, nie mordercami.

Po czym zwrócił się do Gavroche'a:

- A ty ruszaj i rób, co ci kazałem!

- Już lecę - krzyknął Gavroche. I zatrzymując się przed wyjściem: - Ale, ale! Niech pan mi da jego karabin!

I dodał jeszcze:

- Zostawiam wam grajka, ale jego fujarka mnie się należy. Zasalutował i wesoło prześliznął się przez przejście dużej barykady.

## VIII

### **Wiele znaków zapytania przy niejaki Le Cabuc, który może nazywał się inaczej**

Tragiczny obraz, odmalowany tu przez nas, nie byłby kompletny i czytelnik nie znalazłby w nim pełnego i prawdziwego odbicia owych wielkich chwil, w których powstawało nowe społeczeństwo i narodziła się rewolucja, kiedy to konwulsyjne drgania łączą się z wysiłkiem, gdybyśmy w niniejszym szkicu pominęli pewne wydarzenie, pełne epickiej i dzikiej grozy. Miało ono miejsce zaraz po odejściu Gavroche'a.

Wiadomo, że tłum jest podobny do kuli śnieżnej - tocząc się rośnie i zbiera mnóstwo niespokojnych ludzi. Ludzie ci nie pytają siebie nawzajem, skąd przychodzą. Pomędzy ochotnikami, którzy przyłączyli się do grupy dowodzonej przez Enjolrasa, Courfeyraca i Combeferre'a, znajdował się osobnik ubrany w kurtkę tragarza, wytartą na plecach, który wymachiwał rękami, wykrzykiwał i wyglądał na zdziczałego pijaka. Człowiek ten, zwany lub przezwany Le Cabuc - zresztą zupełnie nie znany tym, co utrzymywali, że go znają - mocno pijany albo udający pijanego, rozsiadł się wraz z paroma towarzyszami za stołem wyniesionym z szynku na ulicę. Ów Le Cabuc, dolewając często tym, co sekundowali mu w picciu, zdawał się patrzeć z uwagą na wysoki dom w głębi barykady, który stał na wprost ulicy Św. Dionizego i pięcioma piętrami górował nad całą ulicą. Nagle zawołał:

- Wiecie, towarzysze, skąd powinniśmy strzelać? Z tego domu. Jak się usadowimy tam w oknach, zje diabła, kto wejdzie w tę ulicę!

- A pewno, ale dom jest zamknięty - odrzekł jeden z pijących.

- Walmy w drzwi!

- Nie otworzą.

- To wyważmy bramę!

Le Cabuc podbiega do bramy, przy której wisiał ciężki młotek, i zaczyna łomotać. Brama się nie otwiera. Le Cabuc łomocze po raz drugi. Nikt nie odpowiada. Po raz trzeci. Ta sama cisza.

- Hej! Jest tam kto? - woła Le Cabuc.

Nic się nie rusza.

Wówczas chwyta strzelbę i kolbę wali w bramę. Była to stara, sklepiona, niska i



wąska brama z masywnego dębu, wewnątrz obita blachą i okuta żelazem - prawdziwa brama forteczna. Uderzenia kolby wstrząsnęły całym domem, ale jej nie ruszyły.

Należy jednak przypuszczać, że mieszkańcy przerażili się, gdyż wreszcie na trzecim piętrze rozbłysło światło i otworzyło się małe kwadratowe okienko, w którym ukazała się świeca i głowa siwego, przerażonego starca: był to stróż.

Mężczyzna walący w bramę przestał się dobijać.

- Czego panowie sobie życzą? - zapytał stróż.

- Otwieraj! - rzekł Le Cabuc.

- Ale, panowie, ja tego nie mogę zrobić!

- Otwieraj, powiadam!

- Nie mogę, panowie!

Le Cabuc chwycił strzelbę i wycelował w stróża; tamten nic nie widział, gdyż Le Cabuc stał na ulicy, gdzie było zupełnie ciemno.

- Otwierasz czy nie?

- Nie, panowie!

- Nie, powiadasz?

- Powiadam nie, moi zacni pano...

Nie dokończył. Padł strzał, kula przeszła mu szyję trafiając pod brodę, a wychodząc przez kark. Starzec opadł bezwładnie nie wydawszy jęku. Świeca upadła i zgasła, nie widać już było nic poza tą nieruchomą głową wspartą o brzeg okna i białawym obłoczkim dymu płynącym w górę.

- Ano macie! - rzekł Le Cabuc opierając o ziemię kolbę strzelby.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy jakaś ręka chwyciła go za ramię, niczym orle szpony i rozległ się głos:

- Na kolana!

Morderca obejrzał się i zobaczył przed sobą bladą i niewzruszoną twarz Enjolrasa. Enjolras trzymał w ręku pistolet.

Nadbiegł tu na odgłos strzału.

Chwycił lewą ręką La Cabuca za kołnierz, bluzę, koszulę i szelki.

- Na kolana! - powtórzył.

I jednym władczyim ruchem ten delikatny dwudziestoletni młodzieniec zgiął jak trzcinę barczystego, rosnącego siłacza i rzucił go w błoto na kolana. Le Cabuc starał się opierać, ale zdawało się, że trzyma go jakaś dłoń o nadludzkiej sile.

Blady, z otwartą przy szyi koszulą i rozwianym włosom Enjolras ze swoją kobicą

twarzą był dziwnie podobny w tej chwili do starożytnej Temidy. Rozdęte nozdrza i opuszczone powieki nadawały jego czystemu greckiemu profilowi ten wyraz gniewu i czystości zarazem, jaki z punktu widzenia starożytnego świata przystoi sprawiedliwości.

Wszyscy zbiegli się, a potem ustawili z daleka w krąg, czując, że niepodobna wyrzec ani słowa wobec rzeczy, która miała się dokonać.

Le Cabuc, pokonany, zaniechał już oporu i drżał na całym ciele. Enjolras wypuścił go i wyjął zegarek.

- Zastanów się nad sobą. Módl się albo myśl! Masz jedną minutę!

- Łaski - szepnął morderca; po czym spuścił głowę mrużąc jakieś niezrozumiałe przekleństwa.

Enjolras nie spuszczał wzroku z zegarka; przeczekał minutę, wsunął zegarek do kieszeni, po czym chwycił za włosy Le Cabuca, który z wyciem czepiał się jego kolan i przyłożył mu lufę pistoletu do ucha. Wielu z tych nieustraszonych ludzi, którzy spokojnie wkroczyli w najstraszliwszą z przygód - odwróciło głowę.

Rozległ się strzał, morderca runął czołem na bruk. Enjolras wyprostował się i powiódł dokoła wzrokiem zdecydowanym i surowym.

Po czym pchnął trupa nogą i rzekł:

- Wyrzucić to za barykadę.

Trzech mężczyzn chwyciło ciało nędznika, którym wstrząsały jeszcze pośmiertne drgawki i przerzuciło je poprzez małą barykadę na uliczkę Zakręt.

Enjolras stał w zamyśleniu. Jakieś wzniosłe cienie zaczęły powoli zasnuwać jego groźny spokój. Nagle podniósł głos. Zapanowała cisza.

- Obywatele! - rzekł Enjolras. - Uczynek tego człowieka był potworny, mój uczynek jest przerażający. On zabił - dlatego ja zabiłem jego. Musiałem tak postąpić, bo powstanie ma swoją dyscyplinę. Tutaj morderstwo jest jeszcze większą zbrodnią niż gdziekolwiek indziej; spoczywa na nas wzrok rewolucji, jesteśmy kapłanami Republiki, jesteśmy świętymi ofiarami obowiązku, nie wolno, by ktokolwiek miał prawo rzucić oszczerstwo na naszą walkę. Osądziłem więc tego człowieka i skazałem go na śmierć. Musiałem tak postąpić, lecz czuję wstręt do tego postępu, zatem osądziłem siebie również i zobaczycie niebawem, jaki wydałem wyrok.

Słuchacze zadrżeli.

- Podzielimy twój los! - zawołał Combeferre.

- Niech tak będzie - odezwał się znowu Enjolras. - Jeszcze jedno słowo. Wykonując wyrok na tym człowieku, byłem posłuszny konieczności. Ale konieczność - to potwór starego

świata; konieczność zwie się Fatum. Otóż takie jest prawo postępu, że potwory uciekają przed aniołem. Fatum znika przed braterstwem. Nie jest to odpowiednia chwila, by wypowiadać słowo: miłość. Jednakże wymawiam je i głoszę jej chwałę. Miłości, do ciebie należy przyszłość. Śmierci, nienawidzę cię, choć posługuje się tobą. Obywatele, w przyszłości nie będzie ani mroków, ani piorunów, ani okrutnej niewiedzy, ani krwawych odwetów. Ponieważ zniknie Szatan, nie będzie też Michała Archanioła. W przyszłości nikt nikogo nie będzie zabijał, ziemia stanie się promienna, rodzaj ludzki będzie żył miłością. Nadejdzie taki dzień, obywatele, kiedy świat stanie się zgodą, harmonią, światłem, radością i życiem. I po to właśnie, aby dzień ten nadszedł, umrzemy.

Enjolras umilkł. Jego czyste, dziewicze wargi zacisnęły się; stał przez jakiś czas nieruchomy, jak posąg z marmuru, w tym miejscu, gdzie rozlał był krew. Jego nieruchomy wzrok sprawiał, że dookoła mówiono szeptem.

Jan Prouvaire i Combeferre ściskali się milcząco za ręce i przytuleni do siebie w rogu barykady patrzyli pełni zachwytu zaprawionego współczuciem na poważnego młodzieńca, kata i kapłana, świetlistego jak kryształ i twardego jak gład.

Powiedzmy od razu, że po akcji, gdy trupy zostały odstawione do kostnicy i zrewidowane, znaleziono przy Le Cabucu kartę agenta policji. Autor niniejszej książki miał w ręku w 1848 roku specjalny raport w tej sprawie, skierowany do prefekta policji w roku 1832.

Dodajmy też, że - jeśli można dawać wiarę dziwnym, lecz zapewne nie bezpodstawnym wieściom, które krążyły w policji - owym Le Cabuc był Claquesous. Faktem jest, że od chwili śmierci Le Cabuca zaginęła wieść o Claquesous. Znikł bez śladu, jakby wchłonęło go niewidzialne. Życie jego było mrokiem, śmierć - nocą.

Grupa powstańców nie ostrażnęła się jeszcze z wrażenia, jakie wywarł na niej ten tragiczny proces, tak szybko wytoczony i tak szybko zakończony, gdy Courfeyrac zobaczył znów na barykadzie owego drobnego młodzieńca, który dziś rano dopytywał się o Mariusza.

Chłopak ten o wyglądzie zuchwałym i beztroskim przyłączył się w nocy do powstańców.

**Księga trzynasta**

**Mariusz wchodzi w mrok**



## I

### Z ulicy Plumet do dzielnicy Św. Dionizego

Głos, który o zmierzchu wezwał Mariusza do pójścia na barykadę przy ulicy Konopnej, wydał mu się głosem przeznaczenia. Pragnął śmierci, oto nadarzała się sposobność, kołatał do drzwi grobu, oto jakaś ręka wyłoniła się z mroku podając mu klucz do mogiły. Te ponure wyjścia, które się otwierają w ciemności są pokusą dla rozpaczycy. Mariusz odsunął pręt, który tyle razy przepuszczał go do ogrodu, wyszedł na ulicę i powiedział:

- Chodźmy!

Oszalały z bólu, nie znajdując jednej myśli nawet, na której mógłby się oprzeć, niezdolny nic przyjąć od losu po tych dwóch miesiącach przeżytych wśród upojenia młodością i miłością, przytłoczony wszystkimi naraz zmorami rozpaczycy, miał jedno tylko pragnienie: jak najprędzej skończyć z życiem! Zaczął iść szybkim krokiem. Przypadek zrządził, że był uzbrojony, miał przy sobie pistolety Javerta.

Młodzieniec, który mignął mu przed oczami, znikł gdzieś wśród ulic.

Skręciwszy z ulicy Plumet na bulwar, Mariusz przeszedł przez Esplanadę, most Inwalidów, Pola Elizejskie, plac Ludwika XV i znalazł się na ulicy Rivoli. Sklepy tam były otwarte, pod arkadami palił się gaz, kobiety załatwiały sprawunki, jedzono lody w kawiarni "Laiter" lub ciastka w Cukierni Angielskiej. Tylko karetki pocztowe odjeżdżały galopem spod hotelu, "Książęcego" i hotelu "Meurice".

Mariusz wszedł przez pasaż Delorme na ulicę Św. Honoriusza. Tu sklepy były zamknięte, kupcy gawędzili stojąc przed uchylonymi drzwiami, krążyli przechodnie, paliły się latarnie i od pierwszego piętra w górę wszystkie okna były oświetlone jak zwykle. Na placu Palais-Royal stała konnica.

Mariusz szedł dalej ulicą Św. Honoriusza. W miarę jak oddalał się od Palais-Royal, coraz mniej widział oświetlonych okien; sklepy były pozamykane na głucho, nikt nie gawędził na progach, ulica stawała się coraz ciemniejsza, a tłum gęstniał. Tu bowiem przechodnie byli tak liczni, że stali się tłumem. Nikt w tym tłumie nie rozmawiał, a jednak wydobywał się z niego głuchy, głęboki pomruk.

Koło fontanny Suchego Drzewa zobaczył "ugrupowania", nieruchome i ponure szeregi, które stały wśród falującego tłumy jak głazy wśród nurtu rzeki.

U wylotu ulicy Prouvaires tłum nie posuwał się już naprzód. Stanowił mocny, gęsty, zwarty, zbity wał stłoczonych ludzi, którzy rozmawiali szeptem. Nie widać tu było prawie ciemnych ubrań ani okrągłych kapeluszy, lecz bluzy, kaftany, kaszkiety, rozczochrane głowy, ziemiste twarze. Ta masa ludzka falowała niewyraźnie w nocnej mgle. Szept tłumy brzmiał tu ochryple jak syczenie. Chociaż wszyscy stali w miejscu, słychać było tupanie po błocie. Poza linią tej gęstej cizby w żadnym oknie na ulicy Roule, na ulicy Prouvaires i na przedłużeniu ulicy Św. Honoriusza nie paliła się świeca. Coraz rzadsze i coraz krótsze rzędy latarni ginęły w głębi ulic. W owych czasach latarnie uliczne przypominały wielkie czerwone gwiazdy zawieszane na sznurach i rzucały na ulicę cień podobny do olbrzymiego pająka. Ulice te nie były puste: widać tam było karabiny ustawione w kozły, poruszające się bagnety, biwakujące wojsko. Żaden ciekawy nie przekroczył tej granicy. Tu ustawał wszelki ruch. Tu kończył się tłum, a zaczynało wojsko.

Mariusza ożywiała wola desperata: wzywano go, więc musiał iść. W jakiś sposób udało mu się przejść przez tłum i biwakujące oddziały, wymknąć się patrolom, obejść strażę. Zboczył, doszedł do ulicy Bethisy i skierował się w stronę Hal. Od rogu ulicy Bourdonnais nie było już latarni.

Wyszedł z zasięgu tłumy, minął granicę wojska i znalazł się w jakimś przerażającym miejscu. Nie było tu przechodniów, nie było żołnierzy, nie było światła; nikogo. Pustka, cisza, noc; i jakieś zimno, które przejmowało do szpiku kości. Wejść w taką ulicę - to wejść do lochu.

Szedł ciągle naprzód.

Zrobił kilka kroków. Ktoś przebiegł koło niego. Czy to był mężczyzna? Czy kobieta? Jedna osoba - czy kilka? Nie umiałby na to odpowiedzieć. Coś przebiegło i znikło.

Tak krążąc doszedł do jakiejś uliczki, która, jak sądził, była ulicą Garncarską; na środku tej uliczki natknął się na jakąś przeszkodę. Wyciągnął przed siebie ręce; był to przewrócony wózek; nogą wymacał kałuże, wyboje, kupy kamieni wyrwanych z bruku. Widocznie natrafił na barykadę, którą zaczęto budować i porzucono. Przeskoczył przez spiętrzone stosy kamieni i znalazł się po drugiej stronie. Szedł trzymając się blisko odbojów i kierując się według ścian domów. Minawszy barykadę miał wrażenie, że widzi coś białego. Zbliżył się i wówczas rzecz ta przybrała wyraźny kształt. Były to dwa konie, te same, które Bossuet wyprzągnął rano z omnibusu i które błędziły przez cały dzień po ulicach, a teraz stały tutaj ze zrezygnowaną cierpliwością bydłęcia, które tak samo nie rozumie postępków człowieka, jak człowiek nie rozumie postępków Opatrzności.

Mariusz wyminął konie; gdy dochodził do ulicy, która, jak mu się wydawało, była

ulicą Umowy Społecznej, nie wiadomo skąd padł strzał; jakaś zabłąkana w ciemności kula gwizdnęła mu koło ucha i przebiła nad jego głową mosiężny talerz, wywieszony przed sklepem balwierza. Jeszcze w roku 1846 można było zobaczyć przy ulicy Umowy Społecznej na rogu przy słupach Hal ten przestrzelony talerz.

Ów strzał - to był jeszcze znak życia. Od tej chwili Mariusz nic już nie napotkał.

Cała ta wędrówka przypominała zstępowanie w dół po ciemnych schodach.

Szedł jednak dalej.



## II

### Paryż z lotu puszczyka

Ktoś, kto w owych chwilach szybowałby nad Paryżem na skrzydłach nietoperza czy sowy, miałby przed oczyma ponury widok.

Cała stara dzielnica Hal, stanowiąca jak gdyby miasto w mieście, przecięta ulicami Św. Dionizego i Św. Marcina, labirynt tysiadczych uliczek, z których powstańcy zrobili swoją twierdzę i plac broni, wydałaby mu się olbrzymią, ciemną dziurą wydrążoną w samym centrum Paryża. Wzrok gubił się w niej jak w przepaści. Rozbite latarnie i zasłonięte okna sprawiły, że znikł tu wszelki promyk życia, wszelki głos, wszelki ruch. Niewidzialna policja powstańcza czuwała i utrzymywała porządek - to znaczy noc. Utopić niewielką liczbę w olbrzymiej ciemności, pomnożyć każdego z walczących przez możliwości, które ta ciemność w sobie kryje - to konieczna taktyka powstania. U schyłku dnia strzelano do każdego okna, w którym zabłysła świeca. Światło gasło, nieraz mieszkaniac domu padał trupem. Toteż teraz zamarł wszelki ruch. W domach panował lęk, żałoba, przerażenie, na ulicach - jakaś święta groza. Nie widać było nawet długich rzędów okien i pięter ani zębatej linii kominów i dachów, ani mglistych odbłasków ślizgających się po błotnistym, mokrym bruku. Wzrok, który zapuściłby się z góry w tę gęstą ciemność, dojrzałby może tu i ówdzie rozsiane w pewnych odległościach od siebie niewyraźne światła, ukazujące jakieś dziwaczne, połamane linie, kontury jakichś niezwykłych budowli, coś podobnego do ogników przesuwających się w rumach: to właśnie były barykady. Poza tym - jezioro ciemności, przymglone, ciężkie, żałobne, a nad nim nieruchome i złowieszcze sylwetki: wieża Św. Jakuba, kościół Saint-Merry i parę innych wielkich budowli, z których człowiek robi olbrzymy, a noc - widma.

Wokół tego pustego i niepokojącego labiryntu, w dzielnicach, gdzie nie zamarł ruch miejski i gdzie paliły się rzadkie latarnie, nasz powietrzny obserwator mógłby zauważyć metaliczne błyski szabel i bagnetów, głuche odgłosy toczących się dział i roje milczących batalionów, rosnących z minuty na minutę. Groźna obręcz zaciskała się i zamykała powoli wokół powstańców.

Osaczona dzielnica stała się rodzajem straszliwej pieczary; wszystko tu zdawało się pograżone we śnie i bezruchu i - jak widzieliśmy przed chwilą - w każdej ulicy, do której

można było dotrzeć, nie było nic prócz ciemności.

Złowrogie ciemności, pełne zasadzek, pełne zdarzeń nieznanych i groźnych. Przerażające było wejście w te mroki, straszne było przebywanie w nich; wchodzący drżeli przed tymi, którzy na nich czekali; oczekujący drżeli przed tymi, którzy mieli nadzieję. Niewidoczni bojownicy zaczajeni za każdym rogiem uliczki; sidła śmierci ukryte w nieprzeniknionej ciemności. Koniec. Tu nie można się było spodziewać innego światła - jak błysk wystrzału, innego spotkania - jak nagłego i szybkiego pojawienia się śmierci. Skąd? Jak? Kiedy? Tego nikt nie wiedział, ale była ona pewna i nieunikniona. Tu, w tym miejscu jakby wybranym na walkę, rząd i powstanie, gwardia narodowa i stowarzyszenia ludowe, mieszczaństwo i rozruchy miały się zmierzyć ze sobą po omacku. Dla jednych i dla drugich konieczność była ta sama i jedna tylko istniała droga wyjścia: polec albo zwyciężyć. Sytuacja była tak ostateczna, ciemność dokoła tak wszechwładna, że najlękliwsi czuli się zdecydowani na wszystko, najmężniejszych przenikała zgroza.

Obie strony ożywiała taka sama zaciekłość, gniew i determinacja. Dla jednych - pójście naprzód oznaczało śmierć i nikt nie myślał się cofnąć; dla drugich - śmiercią było pozostać na miejscu i nikt nie myślał uciekać.

Jutro wszystko musiało być zakończone, jedna albo druga strona musiała zatriumfować, powstanie musiało okazać się rewolucją albo bijatyką. Rozumiał to rząd, rozumiały stronnictwa; rozumiał każdy najskromniejszy mieszczuch. Toteż dręczący lęk saczył się w nieprzeniknioną ciemność otaczającą dzielnicę, gdzie wszystko miało się rozstrzygnąć; toteż wzmagał się niepokój wobec tej ciszy, z której miała się wyłonić katastrofa. Słysząc w niej było tylko jeden głos, rozdzierający jak przedśmiertne rżenie, groźny jak przekleństwo, głos dzwonu na trwogę z kościoła Saint-Merry. Nie było nic przeraźliwszego od zawodzącego w ciemnościach tego oszalałego i zrozpaczonego dzwonu.

Jak to się często zdarza, przyroda zdawała się być w porozumieniu z zamierzeniami ludzi. Nic nie mąciło tej złowrogiej harmonii. Gwiazdy znikły, ciężkie chmury ponurymi zwałami zaległy cały horyzont. Czarne niebo rozpościerało się nad wymarłymi ulicami, niczym olbrzymi całun rozwijający się nad olbrzymią mogiłą.

Podczas gdy jeszcze jedna polityczna walka przygotowywała się w miejscu, które widziało już tyle rewolucyjnych wydarzeń, podczas gdy młodzież, tajne związki i uczelnie w imię zasad, a klasa średnia w imię swoich interesów szykowały się, by się ze sobą zderzyć, zewrzeć i powalić przeciwnika, podczas gdy każdy przyspieszał i przyzywał ostatnią i decydującą godzinę spotkania, z oddali i spoza nieszczęsnej dzielnicy, z najgłębszych dołów nędzy starego, biednego Paryża, przysłoniętego wspaniałością bogatego i szczęśliwego

Paryża - dochodził głuchy pomruk groźnego głosu ludu.

Ten straszny i święty głos łączy w sobie ryk dzikiej bestii i słowo boże; przeraża słabych, a ostrzega mądrych, dobywa się z ziemi jak pomruk lwa, i z nieba jak pomruk gromu.

### III

#### Kraniec

Mariusz dotarł do Hal.

Tu panowała jeszcze większa cisza, jeszcze większa ciemność, jeszcze większy bezruch niż na pobliskich ulicach. Rzec by można, że lodowaty spokój grobu wyszedł z ziemi i rozpostarł się pod niebem.

Jednakże jakaś czerwona poświata rysowała na czarnym tle kontury wysokich dachów kamienic, zamykających ulicę Konopną od strony kościoła Św. Eustachego. Był to odbłask pochodni z barykady koło "Koryntu". Mariusz skierował się w stronę tej łuny. Doprowadziła go ona do Rynku Warzywnego, skąd dojrzał ciemny wylot ulicy Dominikańskiej. Wszedł w nią. Straż powstańcza, czuwająca po drugiej stronie, nie zauważyła go. Czuł, że jest blisko celu swych poszukiwań i stapał na palcach. Tak doszedł do zakrętu owego krótkiego odcinka uliczki Zakręt, który - jak czytelnik sobie przypomina - stanowił jedyne nie zamknięte przejście, pozostawione przez Enjolrasa dla komunikacji z miastem. Mariusz wysunął głowę zza węgła ostatniego domu po lewej stronie i zajrzał w uliczkę.

Tuż za ciemnym rogiem uliczki Zakręt i ulicy Konopnej, który rzucał szeroką smugę cienia i sam się nią otulał, ujrzał jakieś światła na bruku, fragment szynku, lampion migocący na wnęcie jakiegoś niekształtnego muru i ludzi siedzących w kucki z karabinami na kolanach. Dzieliła go od nich odległość dziesięciu sążni. Było to wnętrze barykady.

Domy, stojące po prawej stronie ulicy, zasłaniały mu resztę szynku, wielką barykadę i sztandar.

Mariuszowi pozostało zrobić tylko jeden krok.

Wtedy nieszczęśliwy młodzieniec usiadł na kamieniu przed bramą, skrzyżował ramiona i zaczął myśleć o ojcu.

Myślał o bohaterskim pułkowniku Pontmercy, o tym dzielnym żołnierzu, który za czasów Republiki strzegł granic Francji, a za Cesarza dotarł do granic Azji, który widział Genuę, Aleksandrię, Mediolan, Turyn, Madryt, Wiedeń, Drezno, Berlin, Moskwę i zostawił na polach zwycięskich bitew w całej Europie krople tej samej krwi, co płynęła w żyłach Mariusza, który posiwał przedwcześnie w trudach wojskowej dyscypliny i dowództwa, spędził życie z szablą u boku, z frędzlami epoletów spadającymi na pierś i kokardą

poczerniałą od prochu, z czołem odcisniętym od kasku - pod namiotem, w polu, na biwaku, w ambulansach i który po dwudziestu latach wrócił z tych wielkich bojów ze szramą na policzku i uśmiechem na ustach, prosty, spokojny, uroczy i czysty jak dziecko, zrobiwszy wszystko, co mógł, dla Francji, a nic przeciwko niej.

Mariusz powiedział sobie, że oto teraz jego dzień, że wybiła wreszcie jego godzina; że on także - w ślad za swoim ojcem - pobiegnie na spotkanie kulom dzielny, nieustraszony i zuchwały, nastawi pierś na bagnety, będzie przelewał krew, szukał wroga, szukał śmierci. Teraz on z kolei pójdzie na wojnę, stanie na polu bitwy, a pole bitwy, na którym miał stanąć - to ulica, a wojna, na którą rusza - to wojna domowa!

Ujrzał przed sobą wojnę domową niby otwierającą się przepaść, w którą za chwilę się rzuci.

I zadrżał.

Pomyślał o szpadzie ojca sprzedanej przez dziadka jakiemuś handlarzowi starzyzną, której straty on, Mariusz, tak bardzo żałował. Powiedział sobie, że dobrze zrobiła ta dzielna i nieskalana szpada, iż wymknęła mu się i odeszła gniewnie w ciemności. Jeżeli tak uciekła, to była obdarzona rozumem i widocznie przewidziała przyszłość, przeczuła rozruchy, wojnę rysztocków, wojnę uliczną, strzały z piwnic, ciosy w plecy. Widocznie ta szpada spod Marengo i Friedlandu nie chciała się znaleźć na ulicy Konopnej, widocznie ona, która służyła niegdyś ojcu, nie chciała teraz służyć synowi. Powiedział sobie, że gdyby miał tę szpadę dzisiaj, gdyby - wzięwszy ją ze śmiertelnego łoża ojca - ośmielił się użyć jej tej nocy w bratobójczej walce ulicznej, z pewnością przepaliłaby mu dłonie i rozgorzała nad nim jak miecz archanioła! Powinien być szczęśliwy, że jej tu nie ma, że znikła. Stało się dobrze i słusznie; dziadek okazał się prawdziwym stróżem chwały jego ojca. Lepiej, że szpada pułkownika została wystawiona na licytację, dostała się w ręce handlarzy i rdzewiała na kupie żelastwa, niżby teraz miała rozkrwawić pierś ojczyzny.

A potem Mariusz gorzko zapłakał.

To było straszne. Ale co robić? Żyć bez Kozety nie mógł. Skoro Kozeta wyjechała, musi umrzeć. Czyż nie dał jej słowa honoru, że umrze? Odjechała z tą świadomością, to znaczy, że chciała jego śmierci. Jasne też było, że go już nie kocha, jeśli tak wyjechała, nie uprzedziwszy go, bez słowa, bez listu, mimo że miała jego adres! Po co i dlaczego żyć teraz? A poza tym jak to? Doszedł aż tutaj - i cofnie się? Zbliżył się do niebezpieczeństwa i - ucieknie? Widział barykadę - i wymknie się, wymknie się drżąc ze strachu, mówiąc: "Mam tego dość, zobaczyłem, to wystarczy, to jest wojna domowa, odchodzę!" Opuści przyjaciół, którzy czekają, którym może jest potrzebny, którzy stanowią małą garstkę przeciwko całej

armii! Sprzeniewierzy się wszystkiemu naraz: miłości, przyjaźni, danemu słowu. Zastłoni swoje tchórzostwo patriotyzmem! Nie, to niemożliwe! Gdyby duch ojca był tu, w cieniu, i zobaczył, że Mariusz się cofa, wyplazowałby mu grzbiet szpada i zawołał: “Naprzód, tchórze!”

Oddany na pastwę myśli Mariusz spuścił głowę.

Nagle podniósł ją w górę. Jak gdyby jakieś potężne sprostowanie dokonało się w jego umyśle. W obliczu grobu następuje jakieś dziwne rozszerzenie horyzontów myśli; w bliskości śmierci widzi się prawdę. I wizja walki, w której, czuł to, weźmie niebawem udział, wydała mu się nie żałosna, lecz wspaniała. Dzięki nie wiedzieć jakiej pracy ducha walka uliczna przeobraziła się w oczach jego umysłu. Wszystkie burzliwe pytańniki, dumania obiegły go znów tłumnie, lecz przestały niepokoić. Na wszystkie miał odpowiedź.

Dlaczego ojciec miałby się oburzać? Czyż nie zdarza się, że powstanie urasta do godności obowiązku? Cóż mogło być uwłaczającego dla syna pułkownika Pontmercy w przygotowującym się boju? To nie Montmirail i nie Champaubert. W tym wypadku nie chodzi o świętą ziemię, ale o świętą ideę. Ojczyzna się skarży, tak, ale ludzkość się cieszy. A zresztą czyż istotnie ojczyzna się skarży? Francja krwawi, ale wolność się uśmiecha, a wobec uśmiechu wolności Francja nie pamięta o swoich ranach. A wreszcie, by spojrzeć z jeszcze wyższego punktu widzenia, kto mówi o wojnie domowej?

Wojna domowa? Co to w ogóle znaczy? Czy istnieje jakaś inna wojna? Czyż każda wojna ludzi nie jest wojną braci? Oceniać wojnę można wyłącznie na podstawie jej celu. Nie ma wojny między narodami ani wojny domowej, jest tylko wojna niesprawiedliwa lub wojna sprawiedliwa. Aż do dnia, kiedy zawarte zostanie przymierze między ludźmi, wojna - przynajmniej ta, która jest walką nadchodzącej przyszłości z ociągającą się przeszłością - może być konieczna. Cóż jej można zarzucić? Wojna przeobraża się w hańbę, szpada przeobraża się w sztylet tylko wówczas, gdy godzi w prawo, postęp, rozum, cywilizację, prawdę. Wtedy zarówno wojna domowa, jak i wojna między narodami jest wojną niesprawiedliwą i zwie się zbrodnią. Poza tą świętą sprawą - sprawiedliwością - jakim prawem jedna forma wojny miałaby pogardzać drugą? Jakim prawem szpada Washingtona miałaby nie uznawać piki Kamila Desmoulins? Kto jest większy - Leonidas walczący z najeźdźcą czy Tymoleon walczący z tyranem? Jeden, jest obrońcą, drugi oswobodzicielem. Czy należy rzucić klątwę na każde zbrojne powstanie bez względu na jego cel? Wobec tego okryjcie hańbą Brutusa, Marcela, Arnoulda de Blankenheim, Coligny'ego. Wojna podjazdowa? Wojna domowa? Czemu nie? Taką właśnie wojnę prowadził Ambioryks, Artevelde, Marnix, Pelagiusz. Lecz Ambioryks walczył z Rzymem, Artevelde z Francją,

Marnix z Hiszpanią, Pelagiusz z Maurami; wszyscy walczyli z obcym najeźdźcą. Tak, ale monarchia też jest obca; ucisk jest obcy; "prawo boskie" jest obce. Despotyzm gwałci granice moralne, tak jak napaść gwałci granice geograficzne. Wypędzić Anglika czy wypędzić tyrana to w obu wypadkach wydrzeć zabrane terytorium. Bywają chwile, kiedy protest nie wystarcza; po rozumowaniu i rozważaniach musi nastąpić czyn; gwałt kończy dzieło zaczęte przez ideę. "Prometeusz skowany" zaczyna - Arystogiton kończy; encyklopedyści oświecają umysły, 10 sierpnia je elektryzuje. Po Aischylosie następuje Trazybul, po Diderocie - Danton. Rzesze chętnie poddają się woli pana. Ich masa wydziela osad apatii. Tłum łatwo scala się w posłuszeństwo. Trzeba te rzesze poruszyć, popchnąć, wstrząsnąć brutalnie ludźmi samym dobrodziejstwem wyzwolenia, ranić ich oczy prawdą, rzucać im groźne snopy światła. Trzeba, by pozostali niejako porażeni własnym zbawieniem; to olśnienie zbudzi ich. Stąd konieczność wojen i dzwonów na trwogę. Trzeba, aby się podnieśli wielcy bojownicy, oświecili swą odwagą narody i wstrząsnęli tą biedną ludzkością, na którą rzuca swój cień "prawo boskie", chwała cesarów, siła, fanatyzm, nieodpowiedzialna władza i absolutna monarchia; trzeba, aby wstrząsnęli ciżbą z ogłupieniem wpatrzoną w te ciemne triumfy nocy, co jawią się przed nią w swej zmierzchającej wspaniałości. Precz z tyranem! Ale co? O kimże to mówicie? Czyżbyście Ludwika Filipa nazywali tyranem? Nie, podobnie jak nie nazywamy tyranem Ludwika XVI. Obaj byli - jak to historia zwykła nazywać - "dobrymi królami"; ale zasady są niepodzielne, logika prawdy jest prostolinijna, właściwością prawdy jest bezwzględność; żadnych ustępstw zatem; należy położyć kres wszelkiemu naruszeniu praw człowieka; w Ludwiku XVI odnajdujemy prawo boskie, w Ludwiku Filipie zasadę, "ponieważ jest Burbonem"; obaj w pewnej mierze przedstawiają pomniejszenie prawa; i aby znieść uzurpację prawa na świecie, trzeba ich zwalczać; trzeba, Francja bowiem jest zawsze tą, co zaczyna. Gdy we Francji upadnie władca, upadnie wszędzie. Słowem, przywrócić prawdę społeczną, zwrócić wolności tron, ludowi lud, a człowiekowi prawo samostanowienia o sobie, ozdobić na nowo purpurą czoło Francji, przywrócić w całej świetności rozum i sprawiedliwość; usunąć wszelki załęczek antagonizmu wyzwalając każdego, zniszczyć przeszkodę, jaką dla wielkiego powszechnego pokoju stanowi monarchia, zrównać ludzi wobec prawa - czyż może być szlachetniejsza sprawa, a zatem wznioślejsza wojna? Takie wojny budują pokój. Potężna twierdza przesądów, przywilejów, zabobonów, kłamstw, zdzierstw, nadużyć, gwałtów, niesprawiedliwości, ciemnoty wznosi jeszcze na świecie swe wieże nienawiści. Trzeba ją zrównać z ziemią. Trzeba zburzyć tego potwornego kolosa. Zwyciężyć pod Austerlitz to rzecz wspaniała; zdobyć Bastylę to rzecz olbrzymia.

Każdy doświadczył tego na sobie, że dusza - i na tym właśnie polega jej cudowna

jedność, a zarazem wszechobecność - ma dziwną zdolność chłodnego rozumowania w najbardziej gwałtownych i przełomowych chwilach życia; często się zdarza, że zrozpaczona namiętność i głęboka rozpacz, gdy ucichają już ich ponure monologi, rozważają zagadnienia i dyskutują tezy. Logika wplata się do konwulsji i wątek sylogizmu nie urywa się w posępnej burzy myśli. W takim stanie umysłu znajdował się Mariusz.

Podczas gdy tak rozmyślał, przygnębiony, lecz zdecydowany, a mimo wszystko wahający się i właściwie drżący przed tym, co miał uczynić, wzrok jego błędził po wnętrzu barykady. Powstańcy rozmawiali półgłosem, nie ruszając się, i czuło się tam tę niby-ciszę, która cechuje ostatnią fazę oczekiwania. Nad nimi, w okienku trzeciego piętra, Mariusz zobaczył jakiegoś widza czy świadka, który zdawał się przyglądać im ze szczególną uwagą. Był to ów stróż zabity przez Le Cabuca. Z dołu, przy świetle pochodni, osłoniętej kamieniami, ledwo widać było tę głowę. W słabym i niepewnym świetle trudno byłoby o dziwniejszy widok jak owa sinawa twarz, nieruchoma, zdumiona, z rozrzuconym włosiem, otwartymi ustami i nieruchomymi, szeroko otwartymi oczyma, wychylona na ulicę w pozycji znamionującej ciekawość. Rzec by można, że ten, który już umarł, przyglądał się tym, co mieli umrzeć za chwilę. Długa smuga krwi, która wyciekła z tej głowy, tworzyła czerwonawe strużki od okienka pod dachem aż do pierwszego piętra i tu się kończyła.



**Księga czternasta**

**Majestat rozpaczy**

## I

### Sztandar - akt pierwszy

Nic jeszcze się nie działo. Na wieży kościoła Saint-Merry wybiła dziesiąta; Enjolras i Combeferre z karabinami w ręku usiedli w pobliżu przejścia przy wielkiej barykadzie. Nie rozmawiali ze sobą; nasłuchiwali starając się pochwycić odgłos kroków, choćby najcichszy i najdalszy.

Nagle, gdzieś jak gdyby od strony ulicy Św. Dionizego, rozległ się wśród posepnej ciszy głos dźwięczny, młody i wesoły, który śpiewał na nutę starej ludowej piosenki "Przy świetle księżycy" te słowa, zakończone okrzykiem imitującym pianie koguta:

*Oj! z nosa mi kapie,  
Miły mój Bugeaud!  
Daj tu swych żandarmów,  
Powiem ja im coś!  
Niebieskie mundury,  
Pełno jest ich tu,  
A na czapkach kury,  
Ku-ku-ku-ry-ku!*

Ścisnęli się za ręce.

- To Gavroche - rzekł Enjolras.

- Ostrzega nas - rzekł Combeferre.

Tupot biegnących nóg zmaćił spokój bezludnej ulicy; jakaś drobna, zręczniejsza od linoskoczka istota wdrapała się na omnibus i zadyszany Gavroche wskoczył w środek barykady krzycząc:

- Gdzie mój karabin? Idą!

Wstrząs elektryczny przebiegł całą barykadę, słychać było, jak ręce sięgają po karabiny.

- Chcesz mój karabin? - zapytał Enjolras chłopca.

- Chcę tę dużą strzelbę - odparł Gavroche.

I wziął karabin Javerta.

Dwóch wartowników cofnęło się i wróciło na barykadę prawie równocześnie z Gavroche'em; była to straż z końca ulicy Konopnej i z uliczki Małej Żebraczej. Straż z ulicy Dominikańskiej została na posterunku, co oznaczało, że od strony mostów i Hal nic nie nadchodzi.

Ulica Konopna, której tylko niewielki kawałek bruku był widoczny w blasku światła padającego na sztandar, wydawała się powstańcom wielką czarną bramą, lekko uchyloną wśród mgły.

Każdy zajął swoje stanowisko.

Czterdziestu trzech powstańców, wśród nich Enjolras, Combeferre, Courfeyrac, Bossuet, Joly, Bahorel i Gavroche, klęczało na wielkiej barykadzie trzymając głowy na równej linii ze szczytem szanca, wsunawszy lufy karabinów między kamienie jak w strzelnice; byli uważni, milczący, gotowi do strzału. Sześciu innych pod wodzą Feuilly ustawiło się w oknach obu pięter "Koryntu", z wycelowanymi strzelbami.

Upłynęło jeszcze kilka chwil; nagle od strony Saint-Leu rozległ się wyraźny odgłos kroków, miarowych, ciężkich, gromadnych. Odgłos ów, zrazu słaby, potem wyraźny, wreszcie mocny i dudniący, zbliżał się powoli, uparcie, bez przerwy, z jakąś ciągłością spokojną i przeraźliwą. Tylko to było słychać. Była to jednocześnie cisza, i stąpanie posągu Komandora; lecz ten kamienny krok - ogromny i zwielokrotniony - nasuwał myśl o tłumie, a zarazem myśl o widmie. Zdawało się, że zbliża się straszliwy posąg - któremu na imię Legion. Krok zbliżał się, zbliżył się jeszcze i zatrzymał. Z końca ulicy dochodził jakby oddech wielu ludzi. Jednakże nie widać było nic, tylko w głębi, w gęstym mroku ukazało się mnóstwo jakichś drucików, cienkich jak igły i ledwo dostrzegalnych. Drgały niczym owe nie dające się opisać siatki fosforyczne, które widzimy niekiedy przed zaśnięciem pod zamkniętą powieką w pierwszych oparach snu. To daleki odbłask pochodni oświetlał niewyraźnie bagnety i lufy karabinów.

Nastąpiła jeszcze chwila przerwy, jak gdyby obie strony na coś czekały. Nagle z dna mroku rozległ się głos, tym bardziej złowieszczy, że nie widać było nikogo i zdawało się, że to sama ciemność przemówiła.

Głos ten zawołał:

- Kto tam?

Równocześnie rozległ się szcęk odwodzonych kurków. Enjolras odpowiedział głosem wibrującym ze wzruszenia i wyniosłym:

- Rewolucja Francuska!

- Ognia! - odpowiedział głos.

Błyskawica oblała purpurą fasady wszystkich domów, jak gdyby nagle drzwiczki rozżarzonego pieca otworzyły się i zatrzasnęły znowu.

Straszliwa detonacja wstrząsnęła barykadą. Czerwony sztandar upadł. Salwa była tak gwałtowna, pociski siekły tak gęsto, że przecięły drzewce sztandaru, czyli koniec dyszla omnibusu. Kule, odbite od gzymsów domów, upadły na barykadę i zraniły wielu ludzi.

Ta pierwsza salwa wywarła przerażające wrażenie; atak był gwałtowny i nawet najodważniejszych mógł skłonić do zastanowienia. Nie ulegało wątpliwości, że powstańcy mają do czynienia co najmniej z całym pułkiem.

- Towarzysze! - zawołał Courfeyrac. - Nie marnujmy prochu! - Czekajmy, aż wejda w ulicę!

- A przede wszystkim - powiedział Enjolras - podnieśmy sztandar.

I podjął z ziemi sztandar, który upadł u jego stóp. Po drugiej stronie barykady słychać było stuk stempli w lufach; wojsko ponownie nabijało broń. Enjolras odezwał się znowu:

- Kto się zdobędzie na odwagę? Kto na nowo zawiesi sztandar na barykadzie?

Nikt nie odpowiedział. Wejście na barykadę, w chwili gdy żołnierze wzięli ją na pewno znowu na cel, było równoznaczne ze śmiercią. Najodważniejszy człowiek waha się, nim dobrowolnie pójdzie na pewną zgubę. Nawet Enjolras zadrżał. Powtórzył:

- Nikt się nie zgłasza?

## II

### Sztandar - akt drugi

Odkąd powstańcy przybyli do "Koryntu" i rozpoczęli budowę barykady, nikt już nie zwracał uwagi na ojca Mabeuf. Pan Mabeuf nie opuścił jednak oddziału. Wszedł do parterowej sali szynku, usiadł za ladą i tu jakby się zatracił. Zdawało się, że nie patrzy i nie myśli. Courfeyrac i inni powstańcy nagabywali go parokrotnie, ostrzegali przed niebezpieczeństwem, namawiali, by odszedł, ale starzec jakby ich nie słyszał. Kiedy nikt do niego nie mówił, wargi jego poruszały się, jak gdyby komuś odpowiadał; z chwilą gdy zwracano się do niego, usta mu nieruchomiały, a oczy traciły wszelki wyraz.

Na kilka godzin przed rozpoczęciem ataku na barykadę usiadł w pozycji, której już nie zmienił: obie pięści oparł na kolanach, głowę zwiesił w dół, jakby patrzył w przepaść. Nic nie zdołało go wyrwać z tego stanu - duchem zdawał się być poza barykadą. Kiedy wszyscy zajęli swe stanowiska, w izbie gospody pozostał tylko Javert przywiązany do słupa, powstaniec z obnażoną szablą pilnujący więźnia i pan Mabeuf. W momencie ataku huk detonacji wstrząsnął nim; jak obudzony ze snu, podniósł się nagle, przeszedł przez izbę i gdy Enjolras powtarzał swe wezwanie: "Nikt się nie zgłasza?", starzec ukazał się w progu szynku. Jego widok wywarł wstrząsające wrażenie. Rozległo się wołanie:

- To jeden z tych, co głosowali! To członek Konwentu! Przedstawiciel ludu!

Zapewne wcale tego nie słyszał.

Szedł prosto na Enjolrasa, a powstańcy rozstępowali się przed nim z religijną czcią. Wyrwał sztandar z rąk Enjolrasa, który cofnął się osłupiały. Nikt nie ośmielił się przeszkodzić ani dopomóc temu osiemdziesięcioletniemu starcowi, który z trzęsącą się głową zaczął pewną stopą powoli wstępować na kamienne stopnie ustawione wewnątrz barykady. Było to tak groźne i tak wzniosłe, że wszyscy dokoła zawołali: "Czapki z głów!" Za każdym stopniem, na który pan Mabeuf wstępował, widok nabierał większej grozy: siwe włosy, poszarzała twarz, zapadnięte policzki, wysokie, łyse i poorane zmarszczkami czoło, wpadnięte oczy, otwarte, zdziwione usta, starcze ramię wznoszące w górę czerwony sztandar - wyłaniały się z cienia i olbrzymiały w krwawym blasku pochodni; zdawało się, że to widmo 1793 roku wychodzi spod ziemi ze sztandarem terroru w ręku.

Kiedy starzec był już na najwyższym stopniu, kiedy ta zjawa, drżąca i straszliwa,

stojąc na stosie gruzów, naprzeciw tysiąca dwustu niewidocznych karabinów, wyprostowała się w obliczu śmierci, jak gdyby silniejsza od niej, cała barykada przybrała w ciemności wygląd nadnaturalny i potężny.

Zapadła cisza, jaka towarzyszy tylko cudom.

Wśród tej ciszy starzec potrząsnął czerwonym sztandarem i krzyknął:

- Niech żyje Rewolucja! Niech żyje Republika! Braterstwo, równość - i śmierć!

Za barykadą rozległ się szybki, cichy szept, przypominający szmer modlitwy odmawianej w pośpiechu przez księdza. To zapewne na drugim końcu ulicy komisarz policji wydawał urzędowe polecenia.

Po czym ten sam donośny głos, który przed chwilą krzyknął: "Kto tam?", zawołał:

- Usunąć się!

Pan Mabeuf, trupio blady, półprzytomny, ze źrenicami roziskrzonymi ponurym blaskiem obłędu, wznosił sztandar nad głowę i zawołał:

- Niech żyje Republika!

- Ognia! - rozkazał głos.

Druga salwa, niby ogień kartaczy, runęła na barykadę.

Pod starcem ugięły się kolana; wyprostował się, wypuścił z rąk sztandar i sztywno jak kawał drewna padł na wznak, z rozkrzyżowanymi ramionami.

Spod ciała popłynęły strugi krwi. Twarz starca, blada i smutna, zdawała się spoglądać w niebo.

Powstańcy, przejęci wzruszeniem silniejszym od człowieka, które sprawia, że zapomina się nawet o własnej obronie, zbliżyli się do trupa z pełnym czci przerażeniem.

- Cóż to za ludzie, ci królobójcy! - rzekł Enjolras.

Courfeyrac nachylił się do jego ucha:

- Coś ci powiem, ale tylko tobie, bo nie chcę osłabiać entuzjazmu. To nie był wcale królobójca. Znałem go. Nazywał się ojciec Mabeuf. Nie wiem, co mu się dzisiaj stało. To poczciwy safandufa. Spójrzcie na jego twarz!

- Twarz safandufy, a serce Brutusa! - rzekł Enjolras. Po czym podniósł głos:

- Obywatele! Oto przykład, jaki starcy dają młodym. Myśmy się wahali - on stanął! Myśmy się cofali - on wystąpił. Oto czego ci, którzy drżą ze starości, uczą tych, którzy drżą ze strachu! Ten starzec okrył się chwałą wobec ojczyzny. Miał długie życie i wspaniałą śmierć! A teraz musimy osłaniać jego zwłoki. Niech każdy z nas broni tego zabitego starca tak, jakby bronił swego żywego ojca, i niech jego obecność pośród nas uczyni tę barykadę nie do zdobycia!

Szmer aprobaty ponurej i stanowczej odpowiedział jego słowom.

Enjolras z groźnym wyrazem twarzy schylił się, uniósł głowę starca i ucałował go w czoło, po czym rozsunął jego ręce i dotykając zmarłego z tkliwą ostrożnością, jak gdyby się bał sprawić mu ból, zdjął z niego surdut, pokazał wszystkim jego krwawe dziury i rzekł:

- Oto nasz sztandar!

### III

#### **Gavroche lepiej by zrobił, gdyby wziął karabin Enjolrasa**

Ciało ojca Mabeuf przykryto długim czarnym szalem wdowy Hucheloup. Sześciu ludzi zrobiło ze strzelb nosze, umieścili na nich zwłoki i z odkrytymi głowami, uroczyście, powoli zanieśli je do izby na parterze, gdzie złożyli na dużym stole.

Ludzie ci, pochłonięci swoją poważną i świętą czynnością, zupełnie zapomnieli o grożącym im niebezpieczeństwie. Gdy zwłoki niesiono obok obojętnego na wszystko Javerta, Enjolras powiedział do szpiega:

- Zaraz nadejdzie twoja kolej!

Tymczasem małemu Gavroche'owi, który jedyny nie opuścił swego stanowiska i czuwał, wydało się, że widzi ludzi skradających się cichaczem ku barykadzie. Zawołał nagle:

- Baczość!

Courfeyrac, Enjolras, Jan Prouvaire, Combeferre, Joly, Bahorel i Bossuet wypadli tłumnie z gospody. Czas był najwyższy! Ujrzano rozmigotany gąszcz bagnetów falujący nad barykadą. Rośli gwardziści miejscy wdzierali się do środka, jedni po omnibusie, drudzy przez przejście pod murem, napierając na chłopca, który cofał się przed nimi, lecz nie uciekał.

Chwila była krytyczna. Był to ów pierwszy moment powodzi, gdy rzeka dochodzi do wysokości grobli i woda zaczyna się przesączać przez szczeliny w tamie. Jeszcze sekunda, a barykada byłaby wzięta.

Bahorel rzucił się na pierwszego gwardzistę, który wdarł się do środka, i położył go strzałem z karabinu; drugi gwardzista zabił Bahorela pchnięciem bagnetu. Inny powalił już Courfeyraca, który wołał: "Do mnie!" Największy ze wszystkich, olbrzym prawie, szedł z bagnetem prosto na Gavroche'a. Chłopiec uniósł w drobnych rękach wielki karabin Javerta, rezolutnie wymierzył w olbrzyma i pociągnął za kurek. Karabin nie wystrzelił. Javert go nie nabił. Gwardzista wybuchnął śmiechem i zamierzył się bagnetem na dziecko.

Nim bagnet dotknął Gavroche'a, karabin wypadł z rąk żołnierza, kula trafiła go w środek czoła i runął na wznak. Druga kula ugodziła prosto w pierś gwardzistę, który walczył z Courfeyrakiem, i powaliła go na bruk.

To Mariusz wszedł na barykadę.



## IV

### Baryłka prochu

Mariusz, ukryty za węglem ulicy Zakręt, patrzył na początek walki pełen niezdecydowania i trwogi. Nie mógł wszakże opierać się dłużej temu tajemniczemu i przemożnemu przyciąganiu, które można by nazwać wołaniem przepaści. Wobec bliskości niebezpieczeństwa, śmierci pana Mabeuf - tej posępnej zagadki, śmierci Bahorela, słysząc wołanie Courfeyraca: "Do mnie!", widząc dziecko śmiertelnie zagrożone i towarzyszy, którzy czekali na jego pomoc lub pomstę - Mariusz przestał się wahać i z dwoma pistoletami w ręku rzucił się w wir walki. Pierwszym strzałem ocalił Gavroche'a, drugim oswobodził Courfeyraca.

Wśród palby karabinowej i krzyku rannych gwardzistów atakujący wdarli się na barykadę; spoza jej szanca wyłonił się teraz cały tłum żołnierzy gwardii miejskiej, pułków liniowych i podmiejskich oddziałów gwardii narodowej, wychylonych do połowy, z karabinami w ręku. Zdobyli już przeszło dwie trzecie szanca, ale nie zeskakiwali do środka barykady, jakby się wahali, bojąc się jakiejś zasadzki. Zaglądali do ciemnego wnętrza jak do jaskini lwa. Blask pochodni oświetlał tylko bagnety, futrzane bermyce i górną część niespokojnych i gniewnych twarzy.

Mariusz nie miał broni, bo odrzucił wystrzelone pistolety, ale dostrzegł w izbie szynku blisko drzwi baryłkę z prochem.

Kiedy odwrócił się patrząc w tamtą stronę, jakiś żołnierz wycelował w niego. W tej samej chwili czyjaś dłoń zasłoniła lufę karabinu. Ktoś rzucił się na pomoc: był to młody robotnik w welwetowych spodniach. Padł strzał, kula przeszła rękę - a może nie tylko rękę, bo chłopak upadł - ale nie dosięgła Mariusza. W gęstym dymie ledwo spostrzeżono to zdarzenie; Mariusz, który wchodził właśnie do izby, prawie nie zwrócił uwagi na to, co zaszło. Jednakże zamajaczyła mu przed oczami wycelowana w niego lufa karabinu i dłoń, która ją zasłoniła; słyszał także huk strzału. Ale w podobnych chwilach rzeczy migają przed oczami, przepływając szybko, i człowiek nie zatrzymuje się na nich. Coś tajemnego popycha w gęstszy jeszcze mrok i wszystko staje się mglistym obłokiem.

Powstańcy, zaskoczeni, ale nie przestraszeni, szybko się opamiętali. Enjolras krzyknął: "Czekajcie! Nie strzelajcie na ślepo!" Istotnie w zamieszaniu mogli zranić jedni

drugich. Większość stanęła w oknach pierwszego piętra i mansardy, skąd górowali nad atakującymi. Najdzielniejsi - z Enjolrasem, Courfeyrakiem, Janem Prouvaire i Combeferre'em, dumnie oparli się o ściany domów stojących w głębi i niczym nie osłonięci stawili czoło szeregom żołnierzy i gwardzistów, wychylających się zza barykady.

Odbyło się to wszystko bez pośpiechu, z dziwną i złowieszczą powagą, która poprzedza chaos bitwy. Przeciwnicy celowali do siebie z bliska, dzieliła ich bowiem tak mała odległość, że mogliby ze sobą rozmawiać. Gdy brakowało już tylko iskry, oficer z blachą pod szyją i w sutych epoletach wyciągnął szablę i zawołał:

- Złóżcie broń!

- Ognia! - odpowiedział Enjolras.

Salwy gruchnęły z obu stron równocześnie i dym przesłonił wszystko.

Dym ostry i dławiący, w którym ze słabym, głuchym jękiem czołgali się konający i ranni.

Gdy dym się rozwiął, ujrano oba szeregi walczących przeredzone, ale stojące na swoich pozycjach i w milczeniu nabijające broń.

Nagle jakiś grzmiący głos zawołał:

- Precz stąd albo wysadzę barykadę!

Wszyscy odwrócili się w stronę, z której rozległ się ów głos.

Mariusz wszedł do izby szynku, wziął baryłkę prochu i korzystając z dymu i tej jakby ciemnej mgły, która wypełniła wnętrze barykady, poczołgał się wzdłuż szanca aż do kamiennej wnęki, w której umieszczona była pochodnia. Wyrwać pochodnię, wstawić w jej miejsce baryłkę, podsunąć stos kamieni pod baryłkę, której dno wyskoczyło natychmiast ze straszliwym posłuszeństwem - wszystko to zajęło Mariuszowi tyle czasu, ile trzeba, aby się schylić i wyprostować. A teraz wszyscy - gwardziści narodowi, gwardziści miejscy, oficerowie, żołnierze - zebrani na drugim końcu barykady, patrzyli w osłupieniu, jak jedną nogą wsparty o wyrwane kamienie, z pochodnią w ręku, z dumną twarzą jaśniejącą tragicznym postanowieniem, Mariusz pochyła płonąca pochodnię nad tym groźnym rumowiskiem, gdzie widać było pękniętą beczkę prochu, i rzuca przeraźliwe słowa:

- Precz stąd albo wysadzę barykadę. Tu, na tej barykadzie, po osiemdziesięcioletnim starcu, Mariusz był wizją młodej rewolucji po ukazaniu się starej.

- Wysadzisz barykadę - odezwał się jakiś sierżant - ale i siebie.

- I siebie! - odrzekł Mariusz.

I przybliżył pochodnię do beczki z prochem.

Ale na barykadzie nie było już nikogo. Napastnicy, porzuciwszy swoich zabitych i

rannych, pierzchli w nieładzie na kraniec ulicy i znowu roztopili się w ciemnościach. Był to popłoch.

Barykada była wolna.

## V

### Koniec poematu Jana Prouvaira

Wszyscy otoczyli Mariusza. Courfeyrac rzucił mu się na szyję.

- To ty!

- Co za szczęście! - zawołał Combeferre.

- W samą porę przyszedłeś! - rzekł Bossuet.

- Gdyby nie ty, już bym nie żył! - powiedział Courfeyrac.

- Gdyby nie pan, miałbym się z pyszna! - dodał Gavroche.

Mariusz zapytał:

- Kto jest dowódcą?

- Ty! - odrzekł Enjolras.

Żar myśli, które przez cały dzień rozsadzały Mariuszowi głowę, przemienił się teraz w wir. Zdawało mu się, że wir ten jest poza nim i unosi go. Miał wrażenie, że od życia dzieli go już niezmierna odległość. Dwa promienne miesiące radości i miłości, które nagle zakończyły się straszną przepaścią, utrata Kozety, ta barykada, śmierć pana Mabeuf za Republikę, wreszcie on sam jako przywódca powstańców - wszystko to wydawało mu się jakimś potwornym snem. Musiał wyteżać umysł, aby zdać sobie sprawę, iż to, co go otacza, jest rzeczywistością. Za krótko jeszcze żył, aby wiedzieć, że najbliżej nas jest to, co niemożliwe, i że należy zawsze przewidywać nieprzewidziane. Patrzył na własny dramat jak na niezrozumiałe widowisko.

W tym zamroczeniu myśli nie poznał Javerta, który, przywiązany do słupa, nie poruszył nawet głową podczas ataku na barykadę i patrzył na otaczającą go burzliwą rewoltę z rezygnacją męczennika i majestatem sędziego. Mariusz nawet go nie zauważył.

Tymczasem napastnicy nie ponawiali natarcia. Słysząc było ich kroki i poruszanie na końcu ulicy, nikt nie zapuszczał się jednak w kierunku szanca, czy to dlatego, że napastnicy czekali na rozkaz, czy też na posiłki, nim ruszą do szturm na tę niezdobytą redutę. Powstańcy rozstawili strażę, a niektórzy z nich, studenci medycyny, zabrali się do opatrywania rannych.

Wyrzucono wszystkie stoły z szynku z wyjątkiem dwóch przeznaczonych na szarpie i naboje oraz trzeciego, na którym spoczywały zwłoki ojca Mabeuf. Dorzucono je do barykady,

a na ich miejsce rozpostarto materace z łóżek matki Hucheloup i służących. Na tych materacach ułożono rannych. Nikt nie wiedział, co się stało z trzema nieszczęsnymi mieszkankami "Koryntu". Po jakimś czasie odnaleziono je ukryte w piwnicy.

Bolesne wzruszenie przyćmiło radość ocalonej barykady.

Zarządzono apel. Jednego powstańca brakowało. Kogo? Najmilszego i najdzielniejszego - Jana Prouvaire. Szukano go między rannymi - na próżno. Szukano go między poległymi - na próżno. Widocznie dostał się do niewoli.

Combferre rzekł do Enjolrasa:

- Mają naszego przyjaciela; ale my mamy ich agenta. Czy bardzo zależy ci na tym szpiclu?

- Bardzo - odpowiedział Enjolras - ale mniej niż na życiu Jana Prouvaire.

Działo się to w parterowej izbie, tuż przy słupie, do którego przywiązany był Javert.

- A zatem - rzekł Combferre - przywiążę do laski białą chustkę i pójdę jako parlamentariusz zaproponować im wymianę jeńców.

- Posłuchaj - powiedział Enjolras kładąc mu dłoń na ramieniu.

Na końcu ulicy rozległ się charakterystyczny szcęk broni. Męski głos zawołał:

- Niech żyje Francja! Niech żyje przyszłość! Poznali głos Prouvaire'a. Mignęła błyskawica i huknął strzał. I znów zapanowała cisza.

- Zabili go! - zawołał Combferre.

Enjolras spojrział na Javerta i rzekł:

- Twoi przyjaciele rozstrzelali cię!

## VI

### Agonia śmierci po agonii życia

Osobliwością tego rodzaju wojny jest to, że natarcie na barykadę prawie zawsze idzie od czoła i że oblegający rezygnują zwykle z okrążenia nieprzyjaciela, lękając się zasadzek lub nie mając odwagi zapuszczać się w kręte uliczki. Toteż cała uwaga powstańców skupiała się na wielkiej barykadzie, niewątpliwie najbardziej zagrożonej, gdzie niezawodnie walka miała rozpocząć się od nowa. Mariusz pomyślał jednak o małej barykadzie i poszedł ją zlustrować. Była pusta, strzegł jej tylko lampion kołyszący się między kamieniami. Na uliczce Zakręt i w rozgałęzieniach ulic Małej Żebraczej i Łabędziej panował głęboki spokój. Wracając po dokonaniu oględzin Mariusz usłyszał słaby głos wołający go w ciemnościach:

- Panie Mariuszu!

Zadrżał, bo poznał głos, który przed dwiema godzinami zawołał nań przez kratę na ulicy Plumet.

Tylko teraz głos ten był słaby jak tchnienie.

Rozejrzał się dokoła i nie dostrzegł nikogo.

Pomyślał, że się pomylił, że padł ofiarą złudzenia, które jego wyobraźnia dodała do tych wszystkich niezwykłych wydarzeń rzeczywistych, kłębiących się wokół niego. Zrobił krok naprzód, by wyjść z załamania murów, gdzie stała barykada.

- Panie Mariuszu! - powtórzył głos.

Tym razem nie mógł już wątpić, usłyszał wyraźnie; spojrzął - i znowu nic nie dostrzegł.

- U pana stóp - rzekł głos.

Schylił się i zobaczył w ciemnościach jakiś kształt, który pełznął ku niemu. Coś czołgało się po bruku i właśnie to coś wołało go. Światło lampionu pozwoliło dojrzeć bluzę, podarte spodnie z szarego welwetu, bosa nogi i coś, co wyglądało na kałużę krwi. Mariusz zobaczył również wzniesioną ku niemu bladą twarz i usłyszał pytanie:

- Pan mnie nie poznaje?

- Nie.

- Jestem Eponina.

Mariusz schylił się szybko. Była to istotnie ta nieszczęśliwa dziewczyna przebrana za

mężczyznę.

- Skąd się tu wzięłaś? Co tu robisz?

- Umieram - odrzekła.

Są pewne słowa i pewne wydarzenia zdolne obudzić z najgłębszej apatii.

Mariusz zawołał, jakby nagle wyrwany ze snu:

- Jesteś ranna! Poczekaj, zaniosę cię do izby. Tam zrobią ci opatrunek. Czy to ciężka rana? Jak cię mam wziąć, żeby nie urazić? Gdzie cię boli? Na pomoc! Mój Boże! Ale po coś tu przyszła?

Próbował wesprzeć ramieniem i podźwignąć dziewczynę.

Podnosząc ją dotknął jej dłoni.

Eponina wydała słaby okrzyk.

- Czy cię uraziłem? - spytał Mariusz.

- Trochę.

- Przecież dotknąłem tylko ręki.

Podniosła dłoń do jego oczu i Mariusz zobaczył na środku dłoni czarną dziurę.

- Co ci się stało w rękę? - zapytał.

- Jest przebita.

- Przebita?

- Tak.

- Czym?

- Kulą.

- W jaki sposób?

- Czy widział pan karabin wycelowany w pana?

- Tak, i widziałem rękę, która zasłoniła lufę.

- To była moja ręka.

Mariusz zadrżał.

- Co za szaleństwo! Biedne dziecko! Ale tym lepiej, jeżeli tylko to, rana nie jest groźna. Pozwól, zaniosę cię na łóżko. Zrobię ci opatrunek; nie umiera się z powodu przestrelonej dłoni.

Dziewczyna szepnęła:

- Kula przebiła dłoń, a wyszła przez plecy. Nie warto mnie stąd ruszać. Powiem panu, jak mnie pan może opatrzeć lepiej od chirurga. Niech pan siądzie przy mnie na tym kamieniu.

Usłuchał; Eponina położyła mu głowę na kolanach i nie patrząc nań rzekła:

- O, jak przyjemnie! Jak mi dobrze! Już mnie nic nie boli! Milczała chwilę, po czym z

wysiłkiem odwróciła twarz i spojrzała na Mariusza.

- Wie pan, panie Mariuszu, złościło mnie, że pan wchodzi do tego ogrodu. To było bardzo głupie z mojej strony, bo przecież sama pokazałam panu ten dom i powinnam dobrze wiedzieć, że taki człowiek jak pan...

Przerwała i przedarłszy się przez strefę ciemności, która zapanowała już w jej umyśle, zapytała z rozdzierającym uśmiechem:

- Pan uważał, że jestem brzydka, prawda?

Ciągnęła dalej:

- Widzi pan, jest pan zgubiony. Nikt już nie wyjdzie z tej barykady. I to ja pana tu sprowadziłam. Pan umrze. Liczę na to. A jednak, jak zobaczyłam, że ten żołnierz wziął pana na cel, zasłoniłam ręką lufę. To śmieszne, ale cóż? Chciałam umrzeć przed panem. Kiedy mnie kula trafiła, doczołgałam się tutaj; nikt mnie nie widział, nikt mnie nie zabrał. Czekałam na pana i mówiłam sobie: "Czy on nigdy nie przyjdzie?" Och, gdyby pan wiedział! Tak mnie bolało, że gryzłam bluzę! Ale teraz jest mi dobrze. Pamięta pan, jak weszłam kiedyś do pana pokoju i przeglądałam się w pańskim lusterku? A jak spotkałam pana na bulwarze, koło praczek? Jak wtedy ptaki śpiewały! To nawet było nie bardzo dawno! Pan dał mi pięć franków, a ja powiedziałam, że nie chcę pańskich pieniędzy. Czy pan aby podniósł je z ziemi? Przecież pan nie jest bogaty, a ja zapomniałam panu powiedzieć, że trzeba je podnieść. Słońce wtedy świeciło, było ciepło. Pamięta pan, panie Mariuszu? Ach, jestem szczęśliwa! Wszyscy umrą!

Twarz jej miała wyraz błędny, skupiony i przejmujący. Rozdarta bluza ukazywała nagą pierś. Mówiąc przyciskała przebitą dłoń do piersi, gdzie widniał również otwór od kuli, z którego wypływał co chwila strumień krwi, jak wino z odemkniętego otworu beczki.

Mariusz patrzył z głębokim współczuciem na to nieszczęsne stworzenie.

- Och! - zawołała nagle. - Znowu boli. Duszę się!

I zaczęła gryźć bluzę; nogi jej coraz sztywniej wyciągały się na bruku.

W tej chwili na barykadzie rozległ się zuchowaty głosik małego Gavroche'a. Chłopiec wdrapał się na stół, aby nabić karabin, i wesoło wyśpiewywał tak popularną wówczas piosenkę:

*Gdy idzie Lafayette,*

*Żandarmi krzyczą wnet:*

*"Zmykajmy co tchu! Zmykajmy co tchu!"*



Eponina uniosła się nasłuchując i szepnęła:

- To on.

Po czym zwróciła się do Mariusza:

- Tam jest mój brat, nie chcę, żeby mnie zobaczył. Skrzyczałby mnie!

- Twój brat? - zapytał Mariusz, który w głębi serca myślał z przejmującą goryczą i bólem o obowiązkach, jakie ojciec przekazał mu względem Thénardierów. - Kto jest twoim bratem?

- Ten mały.

- Ten, co śpiewa?

- Tak.

Mariusz poruszył się.

- Och, niech pan nie odchodzi - szepnęła Eponina. - To już nie potrwa długo.

Usiadła prawie, ale głos jej był bardzo cichy i przerywany czkawką. Chwilami rżenie przerywało jej słowa. Przysunęła twarz jak najbliżej do twarzy Mariusza i powiedziała jakimś dziwnym tonem:

- Niech pan posłucha, nie chcę panu robić głupich kawałów. Mam w kieszeni list do pana. Od wczoraj. Kazano mi go odnieść na pocztę. Schowałam go. Nie chciałam, żeby doszedł do pana. Ale może gniewałby się pan o to na mnie tam, gdzie się za chwilę spotkamy. Bo się spotkamy, prawda? Niech pan weźmie swój list.

Schwyciła konwulsyjnie rękę Mariusza swoją przebitą dłonią, ale zdawała się już nie czuć bólu. Włożyła dłoń Mariusza w kieszeń swojej bluzy. Mariusz wyczuł tam rzeczywiście kartkę papieru.

- Niech pan weźmie! - rzekła.

Mariusz wziął list.

Uczyliła ruch wyrażający zadowolenie i zgodę.

- A teraz, za to, co zrobiłam, niech mi pan obieca... Urwała.

- Co? - zapytał Mariusz.

- Niech mi pan obieca...

- Obiecuję!

- Niech mi pan obieca, że jak umrę, pocałuje mnie pan w czoło. Poczuję to.

Głowa jej opadła na kolana Mariusza, powieki zamknęły się. Miał wrażenie, że jej biedna dusza już uleciała. Eponina leżała bez ruchu. A kiedy Mariusz sądził, że już usnęła na wieki, nagle otworzyła powoli oczy, w których jawiła się ciemna głębia śmierci, i szepnęła do niego głosem, którego tkiwość zdawała się już pochodzić z innego świata:

- Bo widzi pan, panie Mariuszu, ja chyba byłam w panu trochę zakochana.  
Spróbowała jeszcze uśmiechnąć się i skołała.

## VII

### Gavroche, wnikliwy kalkulator odległości

Mariusz dotrzymał obietnicy, złożył pocałunek na bladym czole, na którym perlił się zimny pot. Nie była to niewierność wobec Kozety, lecz pełne zadumy i tkliwości pożegnanie nieszczęśliwej duszy.

Nie bez drżenia wziął list, który mu oddała Eponina. Wyczuł od razu, że zawiera coś ważnego. Pilno mu było go odczytać. Takie już jest serce ludzkie; ledwie nieszczęsna dziewczyna zamknęła oczy, a już myślał o rozwinięciu tej kartki. Ostrożnie złożył Eponinę na ziemi i odszedł. Coś mówiło mu, że przy jej zwłokach nie powinien czytać tego listu.

Zbliżył się do świecy w izbie na parterze. Był to mały bilecik złożony i zapieczętowany z wytworną dbałością właściwą kobietom. Adres skreślony kobiecą ręką brzmiał:

*Wielmożny pan Mariusz Pontmercy, u pana Courfeyrac, ulica Szklarska nr 16.*

Złamał pieczętkę i przeczytał:

*Ukochany mój! Niestety, ojciec chce wyjechać natychmiast. Dziś wieczorem będziemy na ulicy Człowieka Zbrojnego numer 7. Za tydzień wyjeżdżamy do Londynu.*

*4 czerwca*

*Kozeta*

Ich miłość była tak niewinna, że Mariusz nie znał nawet pisma Kozety.

To, co zaszło, da się opowiedzieć w kilku słowach. Wszystko było dziełem Eponiny. Po wieczorze 3 czerwca nurtowały ją dwie myśli: przeszkodzić zamiarom ojca i bandytów wobec domu przy ulicy Plumet i rozłączyć Mariusza z Kozetą. Zamieniła swoje łańchmany z pierwszym lepszym andrusem, który myśl przebrania się za kobietę uznał za dobry kawał, sama zaś włożyła męski strój. Ona to na Polu Marsowym dała Janowi Valjean wymowne ostrzeżenie: “Wyprowadźcie się”. Jan Valjean wrócił do domu i oznajmił Kozecie: “Dziś wieczorem wyprowadzamy się razem z Toussaint na ulicę Człowieka Zbrojnego, w przyszłym tygodniu będziemy w Londynie”. Zdruzgotana tą niespodziewaną decyzją, Kozeta skreśliła naprędce parę słów do Mariusza. Ale jak zanieść list na pocztę? Nie wychodziła

nigdy sama, a Toussaint, zdumiona takim poleceniem, z pewnością pokazałaby list panu Fauchelevant. Dręczona tym niepokojem Kozeta dostrzegła nagle przez kratę Eponinę, przebraną za chłopca, która krążyła teraz nieustannie koło ogrodu. Przywołała “młodego robotnika”, wręczyła mu pięć franków i list, mówiąc: “Proszę natychmiast oddać ten list pod wskazanym adresem”. Eponina schowała list do kieszeni. Nazajutrz, 5 czerwca, poszła do Co-urfeyraca dowiedzieć się o Mariusza, nie po to, aby mu oddać list, ale - co zrozumie każde kochające i zazdrosne serce - aby “popatrzeć”. Tu czekała na Mariusza lub przynajmniej na Courfeyraca - tylko po to, aby “popatrzeć”. Gdy Courfeyrac powiedział: “Idziemy na barykadę”, przysła jej do głowy pewna myśl: rzucić się w tę śmierć, jak gotowa była rzucić się w każdą inną, i popchnąć w nią Mariusza. Poszła za Courfeyrakiem, upewniła się, w którym miejscu zaczęto wznosić barykadę, i pewna, że Mariusz jak co wieczór, zjawi się o zmierzchu na miejscu schadzki nie wiedząc o niczym, skoro ona przejęła list, pobiegła na ulicę Plumet, doczekała się Mariusza i w imieniu przyjaciół rzuciła mu wezwanie, które - jak sądziła - powinno go zaprowadzić na barykadę. Liczyła na jego rozpacz, kiedy nie odnajdzie Kozety - i nie omyliła się. Sama też wróciła na ulicę Konopną i widzieliśmy, jak się zachowała. Umarła z tą tragiczną radością zazdrosnych serc, które pociągają za sobą w śmierć istotę kochaną myśląc: “Nikt go mieć nie będzie!”

Mariusz okrył pocałunkami list Kozety. A więc kochała go! Przez chwilę pomyślał, że nie powinien umierać. Ale potem powiedział sobie: “Odjeżdża! Jej ojciec zabiera ją do Anglii, mój dziadek nie godzi się na małżeństwo. Nic się nie zmieniło w mojej smutnej doli”. Marzyciele, tacy jak Mariusz, łatwo popadają w stan bezdenne przygnębienia, z czego wywodzą się desperackie decyzje. Zmęczenie życiem jest rzeczą nie do zniesienia; łatwo wtedy o śmierć.

Pomyślał wówczas, że pozostaje mu jeszcze spełnić dwa obowiązki: zawiadomić o swej śmierci Kozetę przesyłając jej ostatnie pożegnanie i ocalić z nadciągającej katastrofy tego biednego dzieciaka, brata Eponiny i syna Thénardiera.

Miał przy sobie pugilares, ten sam, który mieścił niegdyś zeszytik, gdzie spisywał wyznania miłosne dla Kozety. Wyrwał z niego kartkę i napisał ołówkiem te słowa:

*Małżeństwo nasze jest niemożliwe. Prosiłem o pozwolenie mego dziadka: odmówił. Nie mam majątku; ty nie masz go również. Pobiegłem do Ciebie, ale Cię nie zastałem. Wiesz, co Ci przyrzekłem. Dotrzymuję słowa. Umieram. Kocham Cię. Gdy będziesz czytać te słowa, duch mój stanie przy Tobie i uśmiechnie się do Ciebie.*

Nie mając nic pod ręką, by zapieczętować list, złożył go tylko we czworo i napisał adres:

*Panna Kozeta Fauchelevant, u pana Fauchelevant,  
ulica Człowieka Zbrojnego numer 7.*

Złożywszy list, trwał chwilę w zamyśleniu, po czym znowu wziął pugilares, otworzył go i tym samym ołówkiem napisał na pierwszej stronie słowa:

*Nazywam się Mariusz Pontmercy. Proszę zanieść mego trupa do mojego dziadka,  
pana Gillenormand, ulica Panien Kalwaryjskich numer 6, w dzielnicy Bagno.*

Wsunął pugilares do kieszeni surduta i przywołał Gavroche'a. Na głos Mariusza chłopiec nadbiegł z wesołą i pełną oddania miną.

- Chcesz coś dla mnie zrobić?

- O rany! Wszystko, jak babcię kocham! - zawołał Gavroche. - Gdyby nie pan, ładnie bym wyglądał, no!

- Widzisz ten list?

- Widzę.

- Weź go. Wyjdź zaraz z barykady - tu Gavroche zaczął się niespokojnie drapać, w ucho - i jutro rano oddaj go według adresu pannie Kozecie u pana Fauchelevant na ulicy Człowieka Zbrojnego numer 7.

Bohaterski chłopak odpowiedział:

- Aha, a tymczasem wezmą barykadę, a mnie tu nie będzie!

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa atak zacznie się nad ranem i barykada nie zostanie zdobyta wcześniej niż jutro w południe.

Istotnie, chwila wytchnienia, jaką napastnicy dali barykadzie, przedłużała się. Była to jedna z tych przerw, częstych w nocnych walkach, po których następuje tym zacieklejszy bój.

- A gdybym tak odniósł pański list jutro rano? - zapytał Gavroche.

- To będzie za późno. Barykada zostanie na pewno otoczona, ulice strzeżone, nie przedostaniesz się. Idź zaraz.

Gavroche nie znajdował odpowiedzi i stał niezdecydowany, drapiąc się smutno w ucho. Nagle właściwym sobie ptaszęcym ruchem, chwycił list.

- Dobra - rzekł.

I biegiem wpadł w ulicę Zakręt.

Przyszła mu bowiem do głowy pewna myśl, która wpłynęła na jego decyzję. Nie wyjawiał jej wszakże z obawy, aby Mariusz się nie sprzeciwił.

Myśl była taka: “Jest zaledwie północ, ulica Człowieka Zbrojnego jest niedaleko, zaraz zaniosę list i zdążę wrócić na czas!”

**Księga piętnasta**

**Ulica Człowieka Zbrojnego**

## I

### **Bibuła - gaduła**

Czymże są konwulsje miasta wobec buntu ludzkiej duszy? Człowiek to jeszcze większa głęбина niż lud. W tej właśnie chwili Jan Valjean wydany był na pastwę straszliwego buntu wewnętrznego. Rozwarły się w nim wszystkie otchłanie. Podobnie jak Paryż drżał na progu wielkiej, tajemniczej rewolucji. Wystarczyło kilku godzin. Los jego i sumienie okrył nagle mrok. O nim, podobnie jak o Paryżu, można byłoby powiedzieć: dwie zasady stanęły twarzą w twarz. Anioł biały i anioł czarny chwyciły się za bary na moście zawieszonym nad przepaścią. Kto kogo strąci? Kto zwycięży?

W przeddzień 5 czerwca Jan Valjean w towarzystwie Kozety i Toussaint przeniósł się na ulicę Człowieka Zbrojnego. Oczekiwały go tam niespodziane powikłania.

Kozeta opuściła ulicę Plumet nie bez próby oporu. Po raz pierwszy od czasu, gdy żyli razem, wola Kozety okazała się różna od woli Jana Valjean i jeśli obie nie stały się ze sobą, to w każdym razie były sprzeczne. Z jednej strony był sprzeciw, z drugiej - nieugiętość. Niespodziana przestroga – “Wyprowadźcie się” - dana mu przez nieznanego, tak przeraziła Jana Valjean, że stał się bezwzględny. Sądził, iż jest odkryty i ścigany. Kozeta musiała ustąpić.

Oboje przybyli na ulicę Człowieka Zbrojnego nie otworzywszy ust, nie wymówiwszy ani słowa, każde zatopione we własnych myślach. Jan Valjean był tak niespokojny, że nie dostrzegł smutku Kozety. Kozeta tak smutna, że nie dostrzegła niepokoju Jana Valjean.

Jan Valjean zabrał ze sobą Toussaint, czego nigdy poprzednio nie czynił. Przewidywał, że może już nie wróci nigdy na ulicę Plumet, nie mógł przeto zostawić Toussaint ani też powierzyć jej swojej tajemnicy, chociaż uważał, że jest przywiązana i zasługuje na zaufanie. Sługa zdradza swego pana z ciekawości. A Toussaint - jakby predestynowana na służącą Jana Valjean - nie była wcale ciekawa. Jąkając się, mówiła w swojej chłopskiej gwarze z okolic Bameville: “Już ja jestem taka; patrzę swojej roboty, i kwita. Reszta - nie moja sprawa”.

Podczas tej przeprowadzki z ulicy Plumet, która wyglądała na ucieczkę, Jan Valjean zabrał tylko przepojony balsamiczną wonią kuferek, zwany przez Kozetę “nierozłącznym towarzyszem”. Wielkie kufry wymagały tragarzy, a tragarze - to świadkowie. Sprowadzono



dorożkę przed bramę od ulicy Babilońskiej i tak odjechali.

Toussaint z trudem uzyskała pozwolenie zabrania nieco pościeli i ubrań oraz kilku przyborów toaletowych.

Kozeta wzięła jedynie papiery i teczkę na listy.

Chcąc uniknąć oczu ludzkich i otoczyć swe zniknięcie większą ciemnością, Jan Valjean zdecydował się, aby opuszczenie pałacyku nastąpiło o zmierzchu, dzięki czemu Kozeta miała czas na skreślenie bileciku do Mariusza. Na ulicę Człowieka Zbrojnego przyjechali już po zapadnięciu nocy.

W milczeniu udali się na spoczynek.

Mieszkanie na ulicy Człowieka Zbrojnego mieściło się na drugim piętrze, wychodziło na podwórze i składało się z dwóch pokoi sypialnych, jadalni i przylegających do niej kuchni z niszą, gdzie stało polowe łóżko, które przypadło w udziale Toussaint. Jadalnia służyła zarazem za przedpokój i rozdzielała pokoje sypialne. Mieszkanie było zaopatrzone we wszystkie potrzebne sprzęty.

Człowiek odzyskuje spokój z równie bezzasadną łatwością, z jaką popada w trwogę; taka jest natura ludzka. Za ledwie Jan Valjean przybył na ulicę Człowieka Zbrojnego, a już jego obawy zmalły i stopniowo znikły. Niektóre miejsca działają kojąco na umysł w sposób niemal mechaniczny. Uliczka była nieuczęszczana, mieszkańcy spokojni. Janowi Valjean jakby udzielił się spokój tej uliczki starego Paryża, tak wąskiej, że zamkniętej dla ruchu kołowego belką położoną w poprzek na dwóch słupkach, niemej i głuchej wśród wrzawy miasta, mrocznej w południe i - rzecz by można - niezdolnej do wzruszeń, między dwoma rzędami wysokich, stuletnich domów, milczących, jak na starców przystało. Jakieś zastygłe zapomnienie wypełniało tę uliczkę. Jan Valjean odetchnął. Któż by mógł go tu odnaleźć?

Przede wszystkim umieścić nieodłączny kuferek koło swego łóżka.

Spał dobrze. Noc przynosi radę, dodać by można: noc uspokaja. Nazajutrz rano zbudził się prawie wesoły. Piękna wydała mu się szkaradna jadalnia, której umeblowanie stanowił okrągły stół, niski kredens, wiszące nad nim krzywe lustro, fotel stoczony przez komiki i kilka krzeseł zarzuconych tobołkami Toussaint. Z jednego z tych tobołków wзираł mundur gwardii narodowej Jana Valjean.

Kozeta kazała Toussaint przynieść sobie filiżankę rosołu i wyszła ze swego pokoju dopiero wieczorem.

Około piątej Toussaint, krzątająca się po domu i bardzo zaaferowana tą niewielką przeprowadzką, postawiła na stole jadalnym półmisek z zimnym drobiem, na który Kozeta raczyła spojrzeć jedynie przez wzgląd na ojca.

Następnie pod pozorem uporczywej migreny, powiedziawszy dobranoc, przeszła do swojej sypialni. Jan Valjean zjadł z apetytem skrzydełko kurczęcia i wsparty na stole, coraz pogodniejszy, czuł, że mu wraca poczucie bezpieczeństwa.

Podczas tego skromnego obiadu, kilkakrotnie dochodził jego uszu głos Toussaint, która jękając się mówiła: “Proszę pana, coś się święci! Biją się w Paryżu”. Pogrążony jednak w różnych myślach nie zwrócił na to uwagi, nawet, prawdę mówiąc, nie słyszał wcale jej słów.

Wstał i zaczął przechadzać się od okna do drzwi, od drzwi do okna, coraz spokojniejszy.

Wraz z uspokojeniem powracał myślą do jedyne go przedmiotu swoich trosk - Kozety. Nie dlatego, aby go zaniepokoiła ta migrena, drobne rozdrażnienie nerwów, dziewczęce dąsy, przelotna chmurka, która w ciągu jednego czy dwóch dni rozwieje się bez śladu, ale myślał o przyszłości i - jak zawsze - myślał o niej z rozczuleniem. Ostatecznie nie widział żadnej przeszkody, aby życie potoczyło się nadal szczęśliwie. Są godziny, w których wszystko wydaje się niemożliwe, w innych - wszystko wydaje się łatwe; Jan Valjean przeżywał właśnie jedną z takich dobrych godzin. Przychodzą one zwykle po złych, jak dzień po nocy, zgodnie z owym prawem następstwa i kontrastu, które jest samą istotą natury, a które umysły powierzchowne nazywają antytezą. W tej spokojnej uliczce, gdzie się schronił, Jan Valjean wyzwał się od wszystkiego, co go trapiło od pewnego czasu. I właśnie dlatego, że widział wiele ciemności, zaczął teraz dostrzegać lazur nieba. Już to samo, że opuścił ulicę Plumet bez żadnego wypadku i bez żadnych powikłań, było pomyślną wróżbą. Może rozsądnie byłoby wyjechać z kraju chociażby tylko na kilka miesięcy i udać się do Londynu? A więc dobrze, pojedzie. Czy będzie we Francji, czy w Anglii, jakie to może mieć znaczenie, byleby tylko miał przy sobie Kozetę. Kozeta była jego ojczyzną. Kozeta wystarczała mu do szczęścia; myśl, że on może jej do szczęścia nie wystarcza - ta myśl, która niegdyś trawiła go gorączką i spędzała sen z powiek - nawet nie przychodziła mu teraz do głowy. Zbladły wszystkie dawne zmartwienia, był pełen optymizmu. Skoro Kozeta była przy nim, wydawało mu się, że należy do niego; złudzenie optyczne, którego każdy doświadczył. Ogromnie upraszczając wszystko, układał w myśli wyjazd z Kozetą do Londynu, a wyobraźnia otwierała mu perspektywy odbudowania na nowo szczęścia, bez względu na miejsce, w którym zamieszkają.

Przechadzając się powoli wzdłuż i wszerz pokoju, natrafił nagle wzrokiem na coś dziwnego.

Naprzeciw, w pochylonym lustrze, wiszącym nad kredensem, zobaczył i wyraźnie przeczytał takie oto słowa:

*Ukochany mój! Niestety, ojciec chce wyjechać natychmiast. Dziś wieczorem będziemy na ulicy Człowieka Zbrojnego numer 7. Za tydzień wyjeżdżamy do Londynu.*

*4 czerwca*

*Kozeta*

Jan Valjean stanął jak porażony.

Kozeta położyła po przyjeździe teczkę z papierami na kredensie i pogrążona w bolesnej rozterce zapomniała zabrać ją, nie zauważywszy nawet, że zostawiła ją otwartą, i to w tym właśnie miejscu, gdzie osuszała na bibule parę słów skreślonych do Mariusza i przesłanych przez młodego robotnika z ulicy Plumet. Pismo odcisnęło się na bibule.

Lustro je odbijało.

Wynikło z tego zjawisko, zwane w geometrii obrazem symetrycznym; pismo, odbite na bibule odwrotnie, w lustrze odbijało się we właściwej postaci, tak że Jan Valjean miał przed oczami list Kozety do Mariusza, napisany poprzedniego dnia.

Było to proste i druzgoczące.

Jan Valjean podszedł do lustra. Przeczytał ponownie tych parę słów, ale nie wierzył własnym oczom. Zdawało mu się, że migają przed nim w świetle błyskawicy. To złudzenie. To niemożliwe. Tego nie było.

Powoli powracała mu zdolność postrzegania. Spojrzał na teczkę Kozety i odzyskał poczucie rzeczywistości. Wziął ją i rzekł: "To stąd". Gorączkowo zaczął badać cztery wiersze odcisnięte na bibule; litery, odbite na opak, tworzyły dziwną bazgraninę, w której nie mógł się dopatrzeć żadnego sensu. Wówczas powiedział sobie: "Przecież to nic nie znaczy, tu nie ma nic". I z niewymowną ulgą odetchnął pełną piersią. Któż w ciężkich chwilach nie doświadczył takich nedorzecznych radości? Dusza nie poddaje się rozpacz, nim nie wyczerpie wszystkich złudzeń.

Trzymał bibułę w ręce i przyglądał się jej, bezsensownie uszczęśliwiony, gotów prawie śmiać się, że stał się igraszką takiego przywidzenia. Nagle wzrok jego znowu padł na lustro i ujrzał to samo: cztery wiersze rysowały się tam z nieubłaganą dokładnością. Tym razem to nie było przywidzenie; powtarzające się złudzenie staje się rzeczywistością: to było namacalne, to było pismo odbite w lustrze. Zrozumiał.

Jan Valjean zachwiał się, wypuścił z rąk bibułę i w półprzytomny, ze spuszczoną głową i szklistym wzrokiem padł na stary fotel obok kredensu. Powiedział sobie, że to jest oczywiste, że jasność świata zgasła dla niego na zawsze, że Kozeta napisała do kogoś ten list.

A wtedy dusza jego stała się znowu straszna i wydała w ciemnościach głuchy ryk. Spróbujcie lwu wydrzeć psa, którego ma w swej klatce.

Rzecz dziwna i smutna - w tym momencie Mariusz nie miał jeszcze listu Kozety; zdradziecki traf wydał go wcześniej Janowi Valjean niż Mariuszowi.

Aż do tego dnia Jan Valjean nie ugiął się nigdy pod żadną przeciwnością losu. Przeszedł straszliwe próby; żaden cios nie został mu oszczędzony; okrutny los, zbrojny we wszystkie kary i omyłki społeczne, zawziął się na niego i prześladował zaciekle. Ale Jan Valjean nigdy się nie cofnął i nie uległ. Kiedy było trzeba, przyjmował każdą ostateczność; poświęcił odzyskaną nietykalność ludzką, zrezygnował z wolności, ryzykował życie, wszystko stracił, wszystko przecierpiał i pozostał bezinteresowny, pełen stoicyzmu; chwilami można było sądzić, że wyrzekł się samego siebie jak męczennik. Jego sumienie, zahartowane wśród tylu przeciwności, zdawało się nieugięte; a jednak ten, kto w tej chwili zajrzyłby do jego duszy, musiałby stwierdzić, że słabnie. Ze wszystkich katuszy, którymi torturowała go zła dola - ta była najgroźniejsza. Nigdy jeszcze nie chwyciły go takie kleszcze. Czuł, że tajemniczo drgnęła cała jego ukryta wrażliwość. Czuł, że coś szarpnęło w nim jakąś nieznaną strunę. Niestety, najcięższą próbą, powiedzmy lepiej: jedyną prawdziwą próbą, jest utrata kochanej istoty.

To pewne, że biedny, stary Jan Valjean kochał Kozetę jedynie uczuciem ojca; ale podkreślaliśmy już poprzednio: osamotnienie, w jakim żył, przepoiło to ojcostwo wszystkimi rodzajami miłości; kochał Kozetę jak córkę, kochał ją jak matkę, kochał ją jak siostrę. A że nie miał nigdy kochanki ani żony, natura zaś jest wierzyicielem, który nie zna zaprotestowanych weksli, to uczucie także, najbardziej uparte ze wszystkich, dołączyło się do innych, niejasne, nieświadome, czyste czystością zaślepienia, bezwiedne, niebiańskie, anielskie, boskie; nie tyle uczucie, ile instynkt, nie tyle instynkt, ile pociąg, pociąg niedostrzegalny, niewidzialny, ale rzeczywisty; i miłość - w pełnym znaczeniu tego słowa - była w jego wielkim przywiązaniu do Kozety, jak żyła złota w łonie góry - ukryta i dziewicza.

Należy pamiętać o tym stanie serca, na któryśmy już poprzednio wskazali. Żadne małżeństwo nie było między nimi możliwe; nawet małżeństwo dusz; a jednak nie ulega wątpliwości, że losy ich splotły się nierozzerwalnie ze sobą. Z wyjątkiem Kozety, czyli losu jednego dziecka - Jan Valjean nie znał w swoim długim życiu nic, co mógłby kochać. Kolejne namiętności i miłości nie pozostawiły w jego duszy zmiennych barw zieleni - od jasnej wiosennej aż po tę dojrzałą zieleń, jaką widzimy na liściach, co przetrwały zimę, i w sercach ludzi, co przekroczyli pięćdziesiątkę. Słowem, nieraz podkreślaliśmy to z naciskiem, duchowe zespolenie, ta jedność, z której wynikała wielka cnota, uczyniła Jana Valjean ojcem

Kozety. Niezwykłym ojcem, który był jej dziadkiem, synem, bratem i mężem; ojcem, który był jej nawet matką; ojcem, który kochał, ubóstwiał Kozetę i dla którego to dziecko było światłem, domem, rodziną, ojczyzną, rajem.

Toteż gdy zobaczył, że wszystko skończyło się nieodwołalnie, że Kozeta mu się wymyka, wysuwa z rąk, że się oddala nieuchwytna jak mgła albo woda, gdy stanął wobec tej druzgoczącej oczywistości: ktoś inny jest celem jej serca, ktoś inny jest pragnieniem jej życia, inny ma jej uczucie, a ja jestem tylko ojcem; ja nie istnieję; gdy już nie mógł wątpić i powiedział sobie: "Ona odchodzi ode mnie" - ból, jakiego doznał, przeszedł wszelką miarę. Zrobić to wszystko, co dotychczas zrobił, i dojść do tego! Stać się niczym! Wtedy - jak już mówiliśmy - dreszcz buntu wstrząsnął nim od stóp do głów. Uczuł aż w korzonkach włosów potężne przebudzenie egoizmu i "ja" zawyło w głębinach tego człowieka.

Istnieją duchowe załamania. Rozpacзлиwa rzeczywistość, przenikająca do duszy, zrywa i łamie pewne głębokie składniki stanowiące nieraz istotę człowieka. Gdy cierpienie dojdzie do tego stopnia, wprawia w bezładną ucieczkę wszystkie siły sumienia. Groźne to przesilenie. Nieliczni tylko wychodzą z tych zmagających podobni do siebie i wierni swym zadaniom. Gdy boleść przekroczy pewne granice, najbardziej niezłomna cnota zaczyna się chwiać. Jan Valjean wziął znowu bibułę do ręki i przekonał się raz jeszcze. Siedział pochylony, osłupiały, wpatrzony nieruchomym wzrokiem w te nieubłagane litery, i duszę jego zaległy chmury tak gęste, że można by sądzić, iż wszystko w niej runęło. Patrzył na to odkrycie, wyolbrzymione jeszcze przez wyobraźnię, ze spokojem pozornym i straszliwym, bowiem rzecz to groźna, gdy spokój człowieka upodabnia się do chłodu posągu.

Zmierzył myślą straszliwe posunięcie losu, o którym nic nie wiedział, przypomniał sobie swoje obawy z ubiegłego lata, tak lekkomyślnie rozproszone; rozpoznał, że to była ta sama przepaść, tylko że on nie stał na jej krawędzi, lecz leżał na dnie.

Rzecz niesłychana i bolesna: runął w przepaść nie wiedząc o tym. Zgasło wszystko światło jego życia, a on sądził, że wciąż mu słońce świeci.

Instynkt jego nie wahał się ani chwili. Porównał pewne okoliczności, pewne daty, pewne rumieńce i bladość Kozety i powiedział sobie: "To on". Przenikliwość rozpacz to zaczarowany łuk, który nigdy nie chybia celu. Pierwszym podejrzeniem trafił w Mariusza. Nie znał jego imienia, ale natychmiast odgadł człowieka. W nieubłaganym świetle wspomnień dostrzegł wyraźnie nieznanego włóczęgę z Ogrodu Luksemburskiego, tego nędznego poszukiwacza miłości, romansowego próżniaka, durnia i nikczemnika, bo nikczemnością jest umizgiwanie się do dziewcząt, które mają kochającego je ojca.

Stwierdziwszy niezbitcie, że przyczyną tej sytuacji był ów młody człowiek i że

wszystko wywodzi się od niego, on, Jan Valjean, człowiek odrodzony, człowiek, który tyle pracował nad swoją duszą i tyle zadał sobie trudu, aby całe życie, całą nędzę i wszystkie cierpienia przemienić w miłość, wejrzał w siebie i zobaczył tam widmo - Nienawiść.

Wielkie cierpienia zawierają w sobie uczucie głębokiej depresji. Odbierają chęć do życia. Człowiek dotknięty nimi czuje, że coś go opuszcza. W młodości takie spotkanie z cierpieniem jest ponure; w wieku dojrzałym - złowieszcze. Niestety, tak! Rozpacz bywa straszna, nawet wtedy, gdy krew jest gorąca, a włosy czarne, gdy głowa trzyma się prosto nad tułowiem jak płomień nad pochodnią, gdy zwój przeznaczenia dopiero zaczął się rozwijać, gdy na uderzenie serca przepelnionego miłością odpowiedzieć może inne serce, gdy jest jeszcze czas naprawić wszystko, gdy ma się dla siebie wszystkie kobiety, wszystkie uśmiechy, całą przyszłość i cały horyzont, gdy nietknięte są siły życiowe. Jeśli wtedy rozpacz jest straszna, czymże musi być na starość, gdy spłowiąte lata płyną coraz prędzej; czymże musi być o tej godzinie zmierzchu, gdy już pojawiają się naszym oczom gwiazdy mogiły?

Kiedy tak rozmyślał, weszła Toussaint. Jan Valjean wstał i zapytał:

- W której to stronie?

Zdumiona Toussaint odpowiedziała tylko:

- Co proszę?

Jan Valjean powtórzył:

- Przecież przed chwilą mówiliście, że się biją.

- A tak, proszę pana - odrzekła Toussaint. - Biją się w stronie Saint-Merry.

Istnieją machinalne odruchy, które poza naszą świadomością wywodzą się z naszych najskrytszych myśli.

Zapewne pod nakazem jednego z takich odruchów, prawie nieświadomionego, Jan Valjean w pięć minut później znalazł się na ulicy.

Z odkrytą głową usiadł na kamieniu przy bramie. Zdawał się nasłuchiwać.

Zapadła noc.

## II

### Ulicznik, nieprzyjaciel światła

Ile czasu tak spędził? Jakie były przyływy i odpływy jego tragicznych rozmyślań? Czy się otrząsnął, czy ugiął? A może się załamał? Czy mógł się podźwignąć i oprzeć w swej świadomości na czymś trwałym? Sam zapewne nie umiałby tego powiedzieć.

Ulica była pusta. Kilku zaniepokojonych mieszczan, wracających w pośpiechu do domu, ledwie go dostrzegło. W niebezpiecznych czasach każdy myśli o sobie. Latarnik przyszedł jak zwykle zapalić latarnię stojącą na wprost bramy numeru 7 i odszedł. Temu, kto przyjrzałby mu się w ciemnościach, Jan Valjean nie wydałby się żywym człowiekiem. Siedział na kamieniu przy swojej bramie, nieruchomy jak upiór lodowy. W rozpaczy jest złodowacenie. Z daleka dobiegał głos dzwonu na trwogę i głuchy burzliwy szum. Wśród niespokojnego bicia dzwonów i wrzawy rozruchów zegar na wieży kościoła Św. Pawła wybił godzinę jedenastą poważnie, bez pośpiechu; albowiem głos dzwonu na trwogę - to człowiek; a głos zegara - to Bóg. Jan Valjean pozostał obojętny na przemijanie godzin; siedział bez ruchu. Tymczasem, i to prawie w tym właśnie momencie, nagła detonacja rozległa się w okolicy Hal, potem druga jeszcze gwałtowniejsza; było to prawdopodobnie owo natarcie na barykadę przy ulicy Konopnej, odparte - jak widzieliśmy - przez Mariusza. Na odgłos tej dwukrotnej salwy, której gwałtowność potęgowała jeszcze głucha cisza nocna, Jan Valjean drgnął; odwrócił się w stronę, z której huk dochodził, a potem znów osunął się na kamień, skrzyżował ramiona i głowa powoli opadła mu na piersi.

Rozpoczął znowu posępną rozmowę z samym sobą.

Nagle podniósł oczy; ktoś szedł ulicą; usłyszał bliskie kroki, rozejrzał się i w świetle latarni, od strony ulicy biegnącej do Archiwum, ujrzał twarz bladą, młodą i promienną.

To Gavroche wszedł w ulicę Człowieka Zbrojnego.

Gavroche patrzył w górę i zdawał się czegoś szukać. Widział doskonale Jana Valjean, ale nie zwracał nań uwagi.

Popatrzywszy w górę, popatrzył z kolei w dół; wspinał się na palce, obmacując drzwi i okna parteru; wszystkie były zamknięte i zaryglowane. Stwierdziwszy, że pięć czy sześć domów było w ten sposób zabarykadowanych, chłopak wzruszył ramionami i zagaił rozmowę z samym sobą słowem:

- Psiakość!

I znów zaczął patrzeć w górę.

Jan Valjean, który w tym stanie ducha, w jakim znajdował się przed chwilą, nie odezwałby się i nie odpowiedział nikomu, pod wpływem jakiejś przemożnej siły zwrócił się do dziecka:

- Czego chcesz, mały?

- Jeść - odrzekł zwięźle Gavroche i dodał: - Sam pan jesteś mały.

Jan Valjean sięgnął do kieszeni i wydobyl monetę pięciofrankową.

Ale Gavroche, żywy jak pliszka, był w ustawicznym ruchu; teraz właśnie podniósł kamień. Spostrzegł bowiem latarnię.

- Cóż to - powiedział. - Tu jeszcze są latarnie? Źle się prowadzicie, moi mili. To wbrew łaadowi. Stłuczemy to.

I cisnął kamień w latarnię, której szyby wypadły z takim łoskotem, że mieszcuchy ukryte za firankami w przeciwległym domu zawołały: "Mamy znowu rok dziewięćdziesiąty trzeci!"

Latarnia zakołysała się gwałtownie i zgasła. Ulica nagle pograżyła się w ciemnościach.

- Tak, stara ulico - zauważył Gavroche - wkładaj na głowę szlafmycę.

I zwracając się do Jana Valjean dodał:

- Jak się nazywa to ogromne domisko tam, na końcu ulicy? To Archiwum, prawda? Warto by wyłuskać parę tych wielkich kolumn i zbudować z nich śliczną barykadkę!

Jan Valjean zbliżył się do Gavroche'a.

- Biedne dziecko! - rzekł półgłosem do siebie. - Jest głodne.

I włożył mu w rękę pięć franków.

Gavroche aż zadarł nos, zdumiony wielkością tego groszaka, i przyjrzał mu się w ciemnościach, olśniony jego blaskiem. Pięciofrankówki znał tylko ze słyszenia; podobała mu się ich reputacja, był zachwycony, że jedną z nich ogląda z bliska. Rzekł:

- Spójrzmy na grubego zwierza!

Przez chwilę przyglądał się monecie z zachwytem, potem obrócił się do Jana Valjean, oddał mu ją i rzekł wyniośle:

- Mieszczaninie, wołę tłuc latarnie. Zabierz pan swoją dziką bestię. Nie dam się przekupić. Ma pięć pazurów, ale mnie nie zadraśnie.

- Czy masz matkę? - zapytał Jan Valjean.

Gavroche odpowiedział:



- Prędzej niż pan!

- W takim razie - podjął Jan Valjean - schowaj te pieniądze dla matki.

Gavroche czuł się poruszony. Zauważył poza tym, że człowiek, z którym rozmawiał, jest bez kapelusza, a to wzbudziło w nim zaufanie.

- Naprawdę? - rzekł. - Nie po to mi pan daje, żebym nie tłukł latarni?

- Tłucz sobie, co ci się podoba!

- Porządny z pana człowiek - rzekł Gavroche.

I włożył pięć franków do jednej ze swych kieszeni. Potem w przypiływie zaufania zapytał:

- Pan jest z tej ulicy?

- Tak, bo co?

- Czy może mi pan pokazać numer siódmy?

- A na co ci numer siódmy?

Chłopiec zamilkł z obawy, że powiedział za dużo; energicznie zanurzył palce w czuprynie i odpowiedział tylko:

- Eee, nic, tak sobie.

Nagła myśl przemknęła Janowi Valjean przez głowę. Rozpacz miewa chwile jasnowiedzenia. Zapytał chłopca:

- Może przynosisz list, na który czekam?

- Pan? - odrzekł Gavroche. - Pan nie jest kobietą.

- List jest do panny Kozety, prawda?

- Kozeta? - mruknął Gavroche. - Owszem, zdaje mi się, że to jest właśnie to śmieszne imię.

- Otóż ja mam oddać jej list - rzekł Jan Valjean. - Daj!

- W takim razie chyba pan wie, że jestem przysłany z barykady.

- Oczywiście - rzekł Jan Valjean.

Gavroche zanurzył rękę w innej kieszeni i wyciągnął kartkę papieru złożoną we czworo. Następnie salutując po wojskowemu zawołał:

- Z szacunkiem do tej depezy. Pochodzi od Rządu Tymczasowego.

- Daj - rzekł Jan Valjean.

Gavroche trzymał kartkę wysoko nad głową.

- Niech pan sobie nie wyobraża, że to liścik miłosny. To dla kobiety, ale to dla ludu. My się bijemy i szanujemy płęć piękną. Nie jesteśmy jak te lwy salonowe, co swoim gęsiom posyłają czułe dyrdymałki.

- Dawaj.

- Co prawda - ciągnął dalej Gavroche - ma pan minę porządnego człowieka.

- Dawaj prędko.

- Proszę.

I wręczył kartkę Janowi Valjean.

- I pośpiesz się, panie Ktosiu, bo panna Ktosieta czeka.

Gavroche był zachwycony swoim conceptem.

Jan Valjean zapytał:

- Czy odpowiedź trzeba zanieść do Saint-Merry?

- No! Strzeliłby pan wtedy bestię, pospolicie bykiem zwaną! - zawołał Gavroche. -

Ten list pochodzi z barykady przy ulicy Konopnej, i zaraz tam wracam. Dobrej nocy, obywatelu!

Powiedziawszy to Gavroche odszedł, a raczej odfrunął z powrotem, jak ptak wypuszczony z klatki. Z szybkością wystrzelonego pocisku dał nurka w ciemności, jakby przeszywał je na wylot; ulica Człowieka Zbrojnego znów stała się cicha i pusta; w mgnieniu oka to dziwne dziecko - ni to cień, ni to zjawa - zanurzyło się w mrok między rzędami czarnych domów i jak dym rozpląnęło w ciemnościach. Można byłoby sądzić, że rozwiało się w powietrzu, gdyby w parę minut po jego zniknięciu nie rozległ się ogłuszający brzęk tłuczonego szkła i imponujący łoskot rozpryskującej się na bruku latarni na nowo nie wyrwał ze snu oburzonych mieszczuchów. To Gavroche przechodził ulicą Słomianą.

### III

#### Podczas gdy Kozeta i Toussaint śpią

Jan Valjean wrócił do domu z listem Mariusza.

Po omacku wszedł po schodach, rad ciemnościom, jak sowa trzymająca zdobycz w szponach, cicho otworzył i zamknął drzwi do swego pokoju, nadstawił ucha, czy nie usłyszy jakiegoś szmeru, stwierdził, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Kozeta i Toussaint śpią; tak drżały mu ręce, że zanurzał kilkakrotnie zapalki w fosforycznej butelce, nim zdołał wreszcie jedną zapalić; to, co zrobił, było w pewnym stopniu kradzieżą. W końcu zapalił świecę, oparł się na stole, rozwinął kartkę i przeczytał.

W gwałtownych wzruszeniach człowiek nie czyta, ale rzecz by można, miazdzy trzymany w ręku papier, dusi go jak ofiarę, gniecie i zagłębia w nim szpony gniewu lub radości; biegnie wzrokiem na koniec, przeskakuje na początek, uwaga jest rozgorączkowana; obejmuje całość w przybliżeniu, pojmując tylko to, co najważniejsze, chwyta jeden punkt, a reszta znika. W liście Mariusza do Kozety Jan Valjean zobaczył tylko tyle:

*Umieram. Gdy będziesz czytać te słowa, duch mój stanie przy Tobie.*

Odczytując te słowa doznał przerażającego olśnienia; przez chwilę był jakby zmiażdżony nagłą odmianą uczuć, która się dokonała w jego sercu. Popatrzył na list Mariusza w jakimś błogim osłupieniu; oto miał przed oczami widok wspaniały: śmierć znenawidzonej istoty.

Wydał okropny krzyk wewnętrznej radości. A więc - skończyło się. Rozstrzygnięcie nadeszło prędzej, niżby ośmielił się spodziewać. Znikął ten, który ciążył na jego losie. Znikął sam, niczym nie przymuszony, dobrowolnie. On, Jan Valjean, w niczym się do tego nie przyczynił; nie z jego winy "ten człowiek" umiera. Może nawet już umarł? Tu rozgorączkowanie jego zaczęło rachować. Nie. Jeszcze nie umarł. List był najoczywiściej pisany z myślą, że Kozeta czytać go będzie nazajutrz rano; po tych dwóch salwach, które rozległy się między jedenastą a północą, nie było walk; mocny szturm na barykadę przypuszczony będzie dopiero o świcie; ale to wszystko jedno. Skoro "ten człowiek" wmieszał się do wojny, nie wyjdzie z niej żywy; zmiażdżą go nieubłagane tryby maszyny. Jan

Valjean poczuł się wyzwolony. A więc znowu będzie ich tylko dwoje: on i Kozeta. Rywal ustępuje; przyszłość rozpoczyna się od nowa. Wystarczy schować list do kieszeni, a Kozeta nie dowie się nigdy, co się stało z “tym człowiekiem”. “Wystarczy zostawić wszystko swojemu biegowi. «Ten człowiek» nie umknie śmierci. Jeśli jeszcze nie umarł, niebawem umrze na pewno. Co za szczęście!”

Powiedziawszy sobie w duchu to wszystko, sposepniał.

Potem zszedł na dół i obudził stróża.

W niespełną godzinę Jan Valjean wyszedł na ulicę w pełnym umundurowaniu gwardii narodowej i z bronią w ręku. Stróż bez trudu znalazł w sąsiedztwie wszystko, czego mu brakowało do ekwipunku. Jan Valjean miał nabity karabin i ładownicę pełną naboju. Skierował się w stronę Hal.

## IV

### Nadmierna gorliwość Gavroche'a

Tymczasem Gavroche'owi przytrafiła się przygoda. Po sumiennym ukamienowaniu latarni na ulicy Słomianej doszedł do ulicy Vieilles-Haudriettes i nie widząc tam nawet “psa z kulawą nogą”, uznał, że nadarza się okazja, by śpiewać, ile dusza zapagnie. Śpiewanie, miast przeszkadzać, przyspieszyło jeszcze jego kroki. Na uśpione lub przerażone domy zaczął rozsiewać te zapalne kuplety:

*W starej altance gil zawodzi:*

*“Atala piękna, dobra, miła,  
Z kochankiem w podróż wyruszyła”.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?*

*Li, la.*

*Nie krzycz, Piotrusiu, to nie szkodzi,*

*Że najmilejsza twa Ludomiła*

*Catus przez okno mi przesyła.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?*

*Li, la.*

*Ach, to kokietki. Co noc, co dzień*

*Taka z nich uczuć płynie siła,*

*Że Orifala zwyciężyła.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?*

*Li, la.*

*W sprzeczce miłość płynie słodziej,*

*Choć na mnie sidła zastawiła,  
Sama w nie wpadła Bogumiła.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?*

*Li, la.*

*Mantylka, widzę, teraz w modzie.  
Suzy ramiona nią okryła,  
Miłość się moja w niej ukryła.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?*

*Li, la.*

*Miłość jak słońce w mroku wschodzi,  
Różami Zuzię uwieńczyła,  
Smagłą twarzyczkę rozjaśniła.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?*

*Li, la.*

*Lusterko na bezdroża wodzi,  
Janeczko, dusza moja śniła,  
Że mnie pieściłaś i tuliłaś.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?*

*Li, la.*

*Żeby po tańcu się ochłodzić,  
Wyszliśmy na dwór-gwiazda lśniła,  
Dobrze się Stelli przypatrzyła.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?*

*Li, la.*

Gavroche uzupełniał swój śpiew bogatą mimiką. Gest jest akcentem refrenu. Twarz malca - niewyczerpany zasób masek - wykrzywiała się w grymasach bardziej konwulsyjnych i dziwacznych niż dziurawa bielizna na porywistym wietrze. Niestety, ponieważ był sam i w ciemnościach - nikt ich nie widział i widzieć nie mógł. Dużo jest takich zmarnowanych skarbów.

Nagle zatrzymał się.

- Przerwijmy arię - rzekł.

Jego kocie źrenice dostrzegły we wnętrzu bramy coś, co w języku malarskim nazywa się kompozycją, to znaczy istotę i rzecz; rzeczą był ręczny wózek, a istotą - chłop z Owernii śpiący w tym wózku.

Drażki wózka opierały się o bruk, a głowa Owerniaka o tylną krawędź wózka. Leżał zwinięty w kłębek na tej równi pochyłej, nogami dotykając ziemi.

Gavroche, świadomy spraw tego świata, rozpoznał pijaka.

Był to jakiś tragarz z tej dzielnicy, który bardzo dużo wypił i bardzo mocno spał.

“Oto - pomyślał Gavroche - na co mogą się przydać letnie noce. Owerniak zasypia w wózku. My zabieramy wózek dla republiki, a monarchii zostawiamy Owerniaka”.

Olśniła go bowiem genialna myśl: ten wózek świetnie by wyglądał na naszej barykadzie!

Owerniak chrapał.

Gavroche delikatnie pociągnął wózek do tyłu, a Owerniaka do przodu, to znaczy za nogi, i po chwili chłop leżał na bruku, śpiąc nadal w najlepsze.

Wózek był wolny.

Gavroche, przygotowany z góry na wszelkie niespodzianki, nosił zawsze wszystko przy sobie. Pogrzebał w kieszeniach, wyjął skrawek papieru i kawałek czerwonego ołówka, który zwędził jakiemś cieśli.

Napisał:

REPUBLIKA FRANCUSKA

Otrzymało twój wózek

i podpisał:

*Gavroche*

Uczyniwszy to wsunął papier do kieszeni welwetowej kamizelki chłopca, który nie przestał chrapać, chwycił drążki w obie dłonie i ruszył pełnym galopem w kierunku Hal, pchając przed sobą wózek z triumfalnym turkotem.

To było niebezpieczne. Koło Drukarni Królewskiej mieścił się odwach. Gavroche nie pomyślał o tym. Posterunek był obsadzony przez gwardię narodową z przedmieścia. Oddział zaniepokoił się; gwardziści, leżący na łózkach polowych, podnieśli głowy. Dwie latarnie stłuczone jedna po drugiej, piosenka śpiewana na całe gardło - to już było bardzo wiele jak na te tchórzliwe ulice, które chodzą spać razem z kurami i tak wcześnie gaszą świece. Już od godziny chłopak hałasował w tej spokojnej dzielnicy jak mucha w butelce. Sierżant z przedmieścia nastawiał ucha i czekał. Był to człowiek ostrożny.

Wściekły turkot wózka dopełnił miary; nie sposób było czekać dłużej.

Sierżant zdecydował się na rekonesans.

- Jest ich tam cała banda - rzekł. - Idźmy ostrożnie!

Było rzeczą oczywistą, że Hydra Anarchii wypełzła ze swej kryjówki i szaleje w dzielnicy.

Skradającym się krokiem sierżant odważył się wyjść z odwachu.

Kiedy Gavroche, pchając wózek, wynurzył się z ulicy Vieilles-Haudriettes, nagle znalazł się twarzą w twarz z mundurem, czakiem, kitą i karabinem.

Po raz drugi stanął jak wryty.

- Masz ci los - rzekł. - To on. Dzień dobry, panie władza.

Zdziwienie u Gavroche'a trwało krótko i zniknęło szybko.

- Dokąd idziesz, łobuzie? - wrzasnął sierżant.

- Obywatelu - rzekł Gavroche - jeszcze cię nie nazwałem mieszczuchem. Dlaczego mnie obrażasz?

- Dokąd idziesz, huncwocie?

- Mój panie - odparł Gavroche - może wczoraj byłeś dowcipnym człowiekiem, ale dziś zostałeś zdegradowany.

- Pytam się, dokąd idziesz, łotrze?

Gavroche odpowiedział:

- Pan jest taki uprzejmy. Dalibóg, nie wygląda pan na swoje lata. Powinien pan sprzedawać swoje włosy po sto franków sztuka. Uciąłby pan z pięćset franków.

- Dokąd idziesz? Dokąd idziesz, bandyto?

- A fe, jakie brzydkie słowa! - odciął się Gavroche. - Na drugi raz, jak cię mamka będzie karmić, niech ci lepiej obetrze gębę.



Sierżant nastawił bagnet.

- Powiesz mi wreszcie, dokąd idziesz, nikczemniku?

- Mój generale - rzekł Gavroche - idę po doktora. Małżonka moja rodzi.

- Do broni! - krzyknął sierżant.

Uratować się za pomocą tego, co było przyczyną zguby - oto sztuka dzielnych ludzi. Jednym rzutem oka Gavroche ocenił sytuację. Wózek naraził go na niebezpieczeństwo, wózek powinien go ocalić.

Kiedy sierżant miał już rzucić się na Gavroche'a, wózek pchnięty z całej siły przemienił się w pocisk i z furią runął na napastnika.

Sierżant, ugodzony w brzuch, zwałił się na wznak do rynsztoka, a karabin jego wystrzelił w powietrze.

Na krzyk sierżanta żołnierze wysypali się w nieładzie z odwachu. Wystrzał z karabinu stał się hasłem do ogólnej strzelaniny; po pierwszej salwie, oddanej na oślep, nabito broń i zaczęto strzelać od nowa.

Ta karabinowa zabawa w ciuciubabkę trwała dobry kwadrans i uśmierciła kilka szyb okiennych.

Tymczasem Gavroche, który zawrócił w szaleńczym pędzie, zatrzymał się dopiero o jakieś pięć czy sześć ulic dalej i siedział zziębnięty na narożnym kamieniu przy ulicy Czerwonych Dzieci. Nasłuchiwał.

Odsapnąwszy nieco, odwrócił się w stronę, skąd dochodziła zawzięta strzelanina, podniósł lewą rękę do wysokości nosa i trzykrotnie wyrzucił ją ku przodowi, uderzając się równocześnie prawą ręką w tył głowy: wspaniały gest, w którym ulicznicy paryscy skondensowali ironię francuską, gest widocznie skuteczny, skoro przetrwał pół wieku.

Gorzka refleksja zmąciła jednak wesołość chłopca.

- Tak - powiedział sobie. - Śmieję się do rozpuku, pękam ze śmiechu, szalenie mi wesoło, ale zszedłem z drogi i teraz będę musiał obchodzić naokoło. Bylebym tylko zdążył w porę na barykadę.

I znowu ruszył pędem.

Biegnać przypomniał sobie:

- Ale, ale, na czym to stanąłem?

Zapuszczając się szybko w ulicę podjął na nowo swoją piosenkę i w ciemnościach cichy te słowa:

*Bastylia! O nią teraz chodzi!*

*W nią niech uderzy nasza siła,  
Ażeby w gruzy się zwała.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?*

*Li, la.*

*Zagrać nam w kregle nie zaszkodzi.  
Świat zgniły i monarchia zgniła!  
Niechby w nią kula uderzyła!*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?*

*Li, la.*

*Ludu, ty, co o kulach chodzisz,  
Tymi kulami w Luwr - tam zgniła  
Monarchia żywot przetańczyła.*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?*

*Li, la.*

*Krata wolności nie odgrodzi,  
Król Karol bagaż w świat wysyła,  
Zwiął, aż się za nim zakurzyło!*

*Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?*

*Li, la.*

Zbrojny alarm na odwachu bynajmniej nie minął bez echa. Wózek został zdobyty, pijak wzięty do niewoli. Wózek zarekwirowano; właściciela zaś ciągnano nieco po sądach polowych, jako współwinowajcę. Ówczesna prokuratura wykazała przy tej okazji swoją niestrudzoną gorliwość w obronie społeczeństwa.

Przygoda Gavroche'a przeszła do tradycji dzielnicy Temple jako jedno z najstraszliwszych wspomnień starych mieszkańców Bagna i zapisała się w ich pamięci jako “nocny atak na odwach przy Drukarni Królewskiej”.